



RYSZARD **ĆWIRLEJ**
**JUŻ NIKOGO
NIE SŁYCHAĆ**

Ryszard Ćwirlej to niekwestionowany mistrz powieści kryminalnej. Światowa liga! **Katarzyna Bonda**



RYSZARD **ĆWIRLEJ**
JUŻ NIKOGO
NIE SŁYCHAĆ

RYSZARD **ĆWIRLEJ**
JUŻ NIKOGO
NIE SŁYCHAĆ



Copyright © Ryszard Ćwirlej, 2018
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadząca: Monika Długa
Konsultacja historyczna: Marek Daroszewski
Redakcja: Beata Mes
Korekta: Kamila Markowska / panbook.pl
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl
Projekt okładki: Katarzyna Borkowska
Fotografia na okładce: © Mark Owen / Trevillion Images
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie elektroniczne 2018

eISBN 978-83-7976-821-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Zamość, 14 listopada 1926

*Do Komendy Policji Państwowej
Województwa Poznańskiego
Plac Wolności 12 w Poznaniu
Na rencę Pana Komisarza Antoniego Fischera*

Wielce Szanowny Pan komisarz Antoni Fiszer

W związku z zakończeniem mojej służby kier. post. P. P. w Majdanie Sopockim, pow. Tomaszów Lub. gdzie zostałem skierowany po demobilizacji i wstąpieniu w szeregi Policji Państwowej doszedłem do przekonania, że dość już będzie ponieważ po obcych kontaktach i czas do rodzinnego domu powrócić, gdyż matką moją Pelagią mieszkającą razem z siostrą Elżbietą lat 20 panną na wydaniu zająć się trzeba i męską renką wszystkie sprawy rodzinne uchwycić, stąd i siostrę wydać za jakiego porządnego człowieka co ma fach w rencę, dlatego wyrażam wolę pozostania w Policji Państwowej, jakby się jakie miejsce dla mnie znalazło w Poznaniu, żeby nie na prowincji nie daj Boże, byle blisko rodziny.

Względem tego jakby Pan komisarz mnie sobie zapamiętał, to ja byłem sierżantem w Pana kompanii w czasie wojny bolszewickiej i razem my prali po mordach tę czerwoną hołotę, to ja bym się także samo Panu komisarzowi tutaj pod renką w Poznaniu przydał bo póki co siłę w rencach jeszcze posiadam a i przywalić potrafię w pysk jak mało kto jak pan porucznik jeszcze pewnie pamięta.

Dlatego proszę mnie przydzielić gdzieś do Pana komisarza a najlepiej to razem z Okoniem Władysławem co razem my byli pod Panem porucznikiem wtedy a dziś komisarzem Fiszerem, o co pokornie upraszam się, gdyż Okoń Władysław jest mój bliski kolega i dobrze aby było razem znów służyć, jak to we wojnę bywało a wcześniej jeszcze we Wielkopolskim Powstaniu.

*Olkiewicz Anastazy
Przodownik Policji Państwowej*

[pieczęć]
Komenda Powiatowa Policji Państwowej
w Lublinie
ul. Staszica 3
tel. 1-62

Lublin, data 20 listopada 1926

Sz. Pan
Komisarz Antoni Fiszer
Komenda Policji Państwowej Woj. Poznańskiego
Plac Wolności 12

W odpowiedzi na pismo Pańskie niezwłocznie informuję, że przod. Anastazy Olkiewicz jako kier. post. P. P. w Majdanie Sopockim, pow. Tomaszów Lub. w istotny sposób przyczynił się do wykrycia sprawcy zabójcy własnej córki, Konstantego Wołkońskiego. Dochodzenie w tej sprawie prowadziłem osobiście.

W. w. funkcjonariusz, polecenia służbowe wykonywa naogół w stopniu dodatnim, regulaminu przestrzega, jednocześnie odznacza się miernymi właściwościami umysłowymi. Niewiadomo mi, czy jest to zwyczajne w Poznańskim, w Lubelskiem stanowi wszak normę, dlatego przod. Olkiewicza rekomenduję do dalszej służby w P. P. z pełnym przekonaniem. Nadmieniam przytem, iż mimo wzmiankowanych braków przod. Olkiewicz posiada niewuwzględniany w opiniach personalnych rzadki instynkt służbowy. Jest żywym dowodem na to, że szczęście sprzyja śmiałym oraz głupcom.

Uważam zatem, że pod silną ręką oficera z niepodważalnym autorytetem i pełnego ambicyj wychowawczych przod. Olkiewicz przysłuży się poznańskiej Policji Państwowej w jej chlubnej misji walki z przestępczością, tak Jej dopomóż Bóg!

Z. Maciejewski

asp. pkom. Zygmunt Maciejewski
z-ca kier. Wydz. Śledczego
[podpis ręczny, pieczęć ze skreśleniami i dopiskami ręcznymi]

Prolog

Poznań

Poniedziałek, 15 listopada 1926

Godzina 6.15 rano

Jak na listopad było całkiem ciepło. Adolf Paterek, siedemnastoletni praktykant w zakładzie pogrzebowym Charon przy ulicy Wielkie Garbary 25, stał przed bocznym wejściem do firmy od strony ulicy Woźnej, paląc skręconego przed chwilą papierosa. Palił, bo nie miał nic lepszego do roboty. Od kwadransa bowiem powinien już być w środku zakładu, tymczasem brama prowadząca na podwórze wciąż była zamknięta. Pewnie szef zasnął, więc zaraz zejdzie z góry ze swojego mieszkania, gderając jak zwykle, i pogoni go do roboty. Miał dzisiaj zajmować się przygotowaniem pięknej dębowej trumny dla poważnego klienta, świętej pamięci kupca kolonialnego Antoniego Boniewskiego, który zszedł był dwa dni temu, dostawszy się pod koła rozpędzonej dorożki. Ludzie mówili, że sam był sobie winien, bo wracał do domu z gospody przy Półwiejskiej tak pijany, że ledwie mógł utrzymać się na nogach. Podobno zdarzało mu się pijać codziennie, więc zdaniem tych, którzy dobrze znali życie, jego ziemską wędrówka musiała się prędzej czy później tak zakończyć. Powiadali też, że jego młodej, trzydziestoletniej żonie taki obrót spraw był całkiem na rękę, bo po co jej zapijaczony, stary przyk, jak wokół tyle młodego kwiatu. Tym bardziej, że jako wdowa nie miała powodów do narzekań. W końcu cały majątek męża przypadł jej i ich jedynej córce. Trzeba przyznać, że umiała to docenić. Okazała mężowi należny szacunek i wdzięczność, zachowując się nader godnie i zamawiając w dobrym zakładzie pogrzebowym porządną trumnę z dębowej deski, a nie ze zwykłej sośniny, co natychmiast zauważyły wszystkie sąsiadki tak skore do obmawiania, gdyby tylko nadarzył się ku obmowom pretekst.

Datę pogrzebu wyznaczono na jutro, dlatego przygotowania szły pełną parą i dziś pozostało Paterkowi tylko wyłożenie miejsca wiecznego spoczynku delikatną kołderką z atlasu. Miał na to sporo czasu, bo karawan z kostnicy Szpitala Miejskiego Józefa Strusia na Szkolnej miał dowieźć doczesne szczątki tragicznie zmarłego dopiero w samo południe. Tymi miał się zająć sam właściciel zakładu, Alojzy Kaczmarkiewicz. On bowiem znał się na balsamowaniu zwłok i malowaniu twarzy jak nikt inny. Nieraz powtarzał, że

jest w swoim zawodzie prawdziwym artystą i mógłby z powodzeniem pracować choćby w Teatrze Polskim, malując aktorskie gęby. Ale jako człowiek skromny i niegoniący za sławą, wolał zacisze swojego zakładu i upiększanie tych, którzy przepływali na drugą stronę Styksu.

Młody pomocnik trochę się zdziwił, że jego szef nie otworzył firmy punktualnie. Nie był z tych, co to lekceważyli sobie robotę z lenistwa. Był człowiekiem dobrze poukładanym, który nader cenił sobie własną solidność. Nie należał też do ludzi zatracających się w alkoholowych uciechach. Pijał zwyczajnie, tak jak wszyscy, kilka kufla piwa w ciągu dnia, a wódkę tylko w sobotni wieczór. No, ale w końcu każdemu może się zdarzyć wypić za dużo bez specjalnej okazji. Może więc wczoraj przyszedł czas i na niego?

Paterek rzucił niedopałek na chodnik i przydeptał go czubkiem trzewika. Rozejrzał się dookoła, ale nic nadzwyczajnego nie zwróciło jego uwagi. Ludzi na ulicy nie było jeszcze zbyt wielu. Większość podążała w kierunku Starego Rynku, bo tam już powoli rozpoczynał się handel targowy, mimo że do świtu zostało jeszcze trochę czasu. Prawdziwy ruch zacznie się dopiero wtedy, gdy zrobi się całkiem jasno i na zakupy ruszą kobiety z okolicznych domów, by kupić tanio coś, z czego będzie można przygotować obiad dla rodziny. Bo wiadomo przecież, że na straganach zawsze są lepsze ceny niż w składach.

Od strony rynku w kierunku zakładu szedł wolnym krokiem policjant. Adolf od razu go rozpoznał po charakterystycznej, nieco przygarbionej, atletycznej sylwetce. Posterunkowy Wróbel mieszkał w tej samej kamienicy, co rodzina Paterków, przy ulicy Wielkiej, więc znał chłopaka od urodzenia. Teraz na jego widok uśmiechnął się przyjaźnie.

– A ty co tak sterczysz na chodniku, zamiast za jaką robotę się chwycić?

– Kiedy bym się już dawno zabrał, ino że zamknięte.

– Jak zamknięte, to trzeba czekać – stwierdził policjant, spoglądając jednocześnie uważnie na furtkę osadzoną w solidnej, dębowej bramie.

– Tak i czekam. Dobrze, że mrozu nie ma.

– Jak na listopad to dość ciepło. W zeszłym roku to już śnieg padał.

No pamiętał. Przypomniawszy sobie, jak zjeżdżał na tyłku z warcianej skarpy po świeżym śniegu.

– Listopad to już jakby zima, a tu pogoda jak we wiosnę. I do tego jeszcze ten ciepły wiatr...

Coś widać musiało zaintrygować posterunkowego, bo nie odpowiadając na uwagę chłopaka o wietrze, minął go, podszedł do furtki i pochyliwszy się nieco, zaczął uważnie czemuś się przyglądać.

– Próbował żeś wchodzić?

– Jak wchodzić?

– No normalnie, o tak – powiedziawszy to, policjant chwycił za klamkę, przycisnął ją i pchnął drzwi. Metalowe zawiasy zaskrzypiały i droga na podwórko stanęła otworem. Chłopak aż rozdziawił usta ze zdumienia.

– Otwarte – bąknął, czochrając się po bujnej, jasnej czuprynie.

– Bo drzwi mogą być otwarte albo zamknięte – stwierdził z miną znawcy

posterunkowy Wróbel.

– Kiedy one powinny być zakluczone na klucz. – Nie mógł cały czas wyjść ze zdumienia.

– Widać pan Kaczmarkiewicz wcześniej już je odkluczył i teraz czeka na ciebie w środku. – Chłopak szybko pokręcił głową.

– Niemożliwe. Zawsze otwiera i czeka na mnie, żeby wpuścić do środka, a potem zaklucza.

– Zaklucza, powiadasz?

– No pewnie. Bo na podwórku masa różnych klunkrów leży. Jakby kto obcy tam wlaź, to zaraz mogłoby co zginać, dlatego brama z furtką są zawsze zakluczone.

– Stróż by się przydał – rzucił policjant, wchodząc do podcienia bramy. Chłopak natychmiast ruszył za nim.

– Stróż był, ale umarł na wiosnę...

– Wiem, że umarł. Znałem starego Flisiaka. Nowego by wziąć do zakładu.

– Pan Kaczmarkiewicz powiada, że młody by się nie nadał na nic, bo młodemu ino ksiuty we łbie. A Flisiak to mógł od rana do nocy siedzieć w jednym miejscu i mieć na wszystko baczenie, ino żeby miał co do wypicia... – przerwał, gdy stanęli na środku podwórza. Na lewo od bramy był ceglany mur oddzielający warsztat od sąsiedniej posesji. Po prawej trzypiętrowa część kamienicy, w której na dole mieścił się zakład. Drzwi prowadzące na zaplecze były szeroko otwarte.

– Otwarte drzwi. – Wskazał ręką zdziwiony Adolf.

Wróbel szybkim korkiem przemierzył dystans dzielący go od wejścia. W korytarzyku było ciemno. Jednak doskonale wiedział, jak się tu poruszać. Z prawej była stolarnia, w której przygotowywano trumny. Praca zaczynała się tam od siódmej, więc nie było jeszcze słyhać codziennego stukania młotków. Drzwi na wprost prowadziły do pomieszczenia, w którym eksponowano najładniejsze trumny, a wielkie wystawowe okno wychodziło na Garbary, tak żeby przechodnie mogli podziwiać piękne produkty zakładu Charon. Na lewo znajdowały się drzwi do kantorka, w którym szef trzymał wszystkie papiery. Policjant przekręcił włącznik światła i dająca żółtawą poświatę kiepska żarówka zabłysła pod sufitem. W półmroku zobaczyli solidne, dębowe biurko, obciążone zieloną skórą. Był to mebel reprezentacyjny, używany w szczególnych okolicznościach. Przy nim pryncypał Adolfa siadał tylko wtedy, gdy przyjmował pogrążonych w bólu klientów, bo kwestie kancelaryjne prowadził przy niewielkim sekretarzyku stojącym pod ścianą. Dlatego gdy weszli do środka, chłopak zdziwił się bardzo, dostrzegłszy nieporządek na wielkim blacie. Stała tam opróżniona do połowy butelka wódki, dwa kieliszki, kilka talerzy z niedojedzonymi zakąskami – ogórkami kiszonymi i płatami śledzi – oraz wypełniona po brzegi niedopałkami mosiężna popielniczka, zrobiona z łuski pocisku artyleryjskiego.

Przez chwilę obaj stali w drzwiach, przyglądając się wszystkiemu uważnie. W końcu policjant wzruszył ramionami. Nie było tu dla niego nic

interesującego.

– Popił se z jakimś swoim znajomkiem i poszedł leżeć do chaty – zawyrokował.

– Ale on nigdy w robocie nie pije. – Chłopak z niedowierzaniem pokręcił głową. Terminował u Kaczmarkiewicza już ponad trzy lata i zdążył dobrze poznać swojego chlebodawcę. A ten zawsze powtarzał, że pracownik może iść do domu po robocie, jak swój warsztat posprząta tak, żeby nawet najdrobniejszy pyłek po nim nie został. Sam dawał przykład i przed zamknięciem starannie układał wszystkie papiery w sekretarzyku, a potem zamykał go na klucz, spuściwszy najpierw roletę z połączonych ze sobą za pomocą płóciennych pasków sosnowych listewek. Dziś roleta nad sekretarzykiem była zasłonięta, ale ten bałagan na biurku...

Policjant cofnął się już na korytarzyk, ale Adolfowi coś nie dawało spokoju. Kantor szefa widzieli dotąd tylko w mdłym świetle. Na ścianie na prawo od drzwi był jeszcze jeden włącznik, zapalający górną lampę. Chłopak przekręcił go, a światło żyrandola z trzema żarówkami rozjaśniło całe pomieszczenie. Posterunkowy Wróbel odwrócił się i jeszcze raz zajrzał do środka. Popatrzył na blat stołu, a potem dalej, tam gdzie powinno stać krzesło właściciela zakładu. Krzesła nie było widać. Za to na ścianie dostrzegł coś, co sprawiło, że poczuł natychmiast zimny dreszcz, który przeszył mu kark i plecy ostrym szpikulcem. Na kremowej tapecie w kwiatki widać było wyraźnie ciemnoczerwoną plamę, jakby ktoś chlusnął czerwoną farbę na jasną powierzchnię.

– Jasna cholera! – jęknął policjant i ruszył szybko w kierunku biurka, odsuwając z drogi oniemiałego Adolfa. Chłopak patrzył na tę plamę jak zaczarowany, nie mogąc z wrażenia wykrztusić słowa. I dobrze, że nie mógł, bo Wróbel i tak by go nie usłyszał. Pochylił się nad biurkiem i zajrzał za nie.

Najpierw dostrzegł dwie stopy w grubych, wełnianych skarpetach, za skarpetami były, tak jak być powinny, spodnie, które mniej więcej na wysokości kostek przywiązane zostały sznurem bieliznianym do nóg krzesła. Właściciel zakładu pogrzebowego leżał na plecach, przywiązany do oparcia, za którym niknęły, zapewne równie fachowo co nogi, skrępowane dłonie. Jego otwarte oczy spoglądały obojętnie na wiszący pod sufitem żyrandol. Dziura w samym środku czoła wydawała się niewielka, ale posterunkowy dobrze wiedział, że taki strzał z bliska w miejscu, w którym kula natrafia na przeszkodę, pozostawia niewielki ślad, zaś prawdziwe spustoszenie czyni u wylotu. Popatrzył na ścianę z tyłu i natychmiast dostrzegł przyklepione do tapety drobne cząstki mózgu i bielące się ułamki kości czaszki. Uważnie zaczął lustrować tapetę, a potem jego spojrzenie ześlizgnęło się na podłogę. Oglądał każdy, najdrobniejszy nawet fragment w poszukiwaniu czegokolwiek. Nie miał pojęcia, czego szuka...

– Panie Wróbel! – Usłyszał swoje nazwisko i zdziwiony odwrócił się za siebie. Dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że nie jest tu sam.

– Co tam?

– To ja pójde naszykować trumnę.

– Jaką trumnę? – Nie zrozumiał, o co chodzi chłopakowi.

– No trumnę... Znaczą się najlepszą trumnę. Bo przecież pana

Kaczmarkiewicza nie położy się jak byle łachudrę. Wszyscy muszą wiedzieć, że właściciel zakładu pogrzebowego ma najlepszą trumnę, tę z czarnego dębu, prosto z wystawy...

– Rób, co chcesz. – Policjant machnął ręką na chłopaka. Nic go nie obchodziła trumna. On miał tu robotę. Opadł na kolana i zajrzał pod biurko. I wtedy coś dostrzegł. Wydobyl z kieszeni białą chusteczkę i przez nią ostrożnie podniósł z dywanu swoje znalezisko. Komisarz Fischer mawiał, że na miejscu, gdzie dokonano zbrodni, zawsze warto dobrze poszukać, bo coś na pewno się znajdzie.

Rozdział I

Czwartek, 18 listopada 1926

Godzina 5.40 rano

Mimo że miasto pogrążone było jeszcze w nocnym, jesiennym mroku, na peronie pierwszym Dworca Kolejowego Poznań Główny było jasno jak w dzień. Wszystko za sprawą mocnych lamp elektrycznych zawieszonych pod dachem, których blask oświetlał wyłożony kostką brukową chodnik i okazałą cześć torowiska. Mimo wczesnej pory po peronie kręciło się już sporo osób. Żadna z nich nie miała jednak ze sobą bagażu. Bo ci ludzie nie udawali się w żadną podróż. Oni oczekiwali na pasażerów przyjeżdżających do Poznania nocnym pociągiem ze stolicy. Od pięciu lat stolica Wielkopolski miała już kolejowe połączenie z Warszawą. W dwudziestym pierwszym roku dzięki budowie nowej linii łączącej Kutno, przez Konin, ze Strzałkowem kolej spięła swym żelaznym torem obie – dawną piastowską i tę nową, obecną stolicę kraju. To połączenie szczególnie cenili sobie napływowi Poznaniacy, czyli ci wszyscy, którzy przyjechali tu po powrocie Wielkopolski do macierzy budować zręby nowej administracji państwowej. Poznańskie dotąd było regionem, w którym szczególnie mocno brakowało kadry urzędniczej, gdyż Prusacy na wyższe stanowiska w swoich przedwojennych urzędach nie przyjmowali Polaków. Po przyłączeniu tej ziemi do Polski Niemcy w większości wyjechali. Szczególnie palącą potrzebą było więc obsadzenie nowych urzędów wykształconą i dobrze przygotowaną kadrą. Stąd do Wielkopolski kierowano urzędników z pozostałych dwóch byłych zaborów. Przyjeżdżali tu więc do pracy i osiedlali się fachowcy z zaboru austriackiego i rosyjskiego, a Poznaniacy natychmiast nazwali ich „galicyjokami z Kongresówki”.

Takie właśnie „galicyjoki” stały teraz na peronie, wyglądając warszawskiego pociągu. W zdecydowanej większości byli to mężczyźni, którzy oczekiwali na swoje żony. Te wraz z dziećmi przyjeżdżały sprawdzić, czy na tych poznańskich kresach w ogóle da się po ludzku żyć i czy można tu na pograniczu dostać jakie porządne mieszkanie dla całej rodziny, godne urzędniczych, niezwykle wysokich aspiracji. Bo skoro mężowie zostali już tu zesłani, to może trzeba było pomyśleć, czy aby nie dołączyć do nich na stałe.

Mężczyźni na peronie przechadzali się z pozoru zupełnie obojętnie wte i wewte, paląc papierosy i od czasu do czasu spoglądając na tarcze swoich

kieszonkowych zegarków wydobywanych spod grubych palt. Wśród nich uwijał się kasjer kolejowy, który sprawdzał, czy każdy z oczekujących ma przy sobie ważny bilet peronowy, bo wiadomo przecież doskonale, że na peron wejść można, mając wykupioną peronówkę. Z tych peronowych porządków śmiali się nawet sami Poznaniacy, opowiadając przyjezdnym dowcip o tym, dlaczego powstańcy wielkopolscy nie zdobyli Dworca Głównego. Podobno przed szturmem okazało się, że w kasie dworcowej zabrakło... peronówek.

Najpierw rozległ się przeciągły gwizd, oznajmiający, że gdzieś na wysokości wildeckich kamienic przejeżdża jakiś pociąg. Wszyscy na peronie spojrzeli w tamtym kierunku, ale nie można było niczego dostrzec w ciemnościach. Po chwili jednak w oddali nocny jeszcze mrok przeszły światła parowozu. Pół minuty później lokomotywa wyłoniła się z obłoków pary i wtoczyła się z głośnym hukiem na peron. Zapobiegliwi oczekujący w pośpiechu odsunęli się od krawędzi peronu pod bezpieczną opokę dworcowej ściany wzniesionej z czerwonej cegły. Nadmierna to była ostrożność, bo przecież jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby wjeżdżający na stację pociąg wciągnął kogoś pod koła samym swoim pędem. Ale co tu się dziwić zwykłym ludziom, którzy widząc nadciągającego olbrzyma pogrążonego w kłębach pary, cofali się bojaźliwie. W końcu taki pociąg to przecież potwór pchany siłą, która napędza go wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Gdy lokomotywa, sapiąc i dysząc głośno, przesunęła się dalej, a jej miejsce zajęły zielone wagony, ci z peronu ruszyli dziarsko przed siebie, machając chusteczkami, kapeluszami czy laskami i jednocześnie uważnie lustrując okna w poszukiwaniu drogich sobie twarzy. Odnalazłszy swoich, ruszali biegiem wzdłuż toczących się coraz wolniej wagonów, by w końcu zatrzymać się w miejscu, w którym koła z wielkim piskiem i jazgotem osadziła ogromna siła hamulców. Pociąg stanął i na chwilę zapadła kompletna cisza. A potem drzwi zaczęły się otwierać i z wnętrza każdego przedziału poczęła wysypywać się ciżba ludzka wprost w ramiona tych, którzy doczekali się wreszcie swoich bliskich.

Na dwójkę pasażerów drugiej klasy wagonu za lokomotywą nikt nie czekał. Pierwszy dziarsko wyskoczył na bruk niewysoki brunet w meloniku, ubrany w szary paltot z lichym kołnierzem z czarnego, wytartego dość mocno atłasu. Mężczyzna odwrócił się w stronę przedziału, a potem chwycił najpierw jedną, a później drugą walizkę i ustawił je obok swoich nóg. Następnie znów sięgnął do środka i zaraz poczuł, jak na jego grubych i dość niezgrabnych palcach zaciska się drobna dłoń w skórzanej, dość cienkiej, ale eleganckiej rękawicze. Przytrzymał ją pewnie, dając oparcie zstępującej po schodkach drobnej kobiecie lat trzydziestu, w zielonym, na pewno nie zimowym płaszczyku oraz kapeluszu zgodnie z modą przypominającym raczej hełm niż damskie nakrycie głowy. Rozejrzała się wokół i uśmiechnęła sama do siebie, jakby z zadowoleniem rozpoznawała okoliczne znaki w postaci znajomych elementów dworcowego budynku i stalowych konstrukcji utrzymujących dachy peronów. W końcu spojrzała na białą tablicę na ścianie dworca i przeczytała czarny napis, poruszając bezgłośnie wargami: „POZNAŃ”.

– No to żeśmy są w domu, panno Klementyno – stwierdził zadowolony przodownik Anastazy Olkiewicz, który wcale nie krył wzruszenia na widok znajomych kątów. Wyjeżdżał stąd wojskowym eszelonem w roku dwudziestym jako kapral Wojska Polskiego i weteran powstańczych walk. Teraz po latach wracał z Krzyżem Walecznych schowanym w walizce, a do tego jeszcze ze starannie złożonym tam mundurem przodownika policji, trzema parami kalesonów i podkoszulków oraz dwoma białymi koszulami na zmianę. Urlopowany policjant wracał na stare śmieci i był z tego powodu niezmiernie rad.

– Dziesięć lat w Warszawie spędziłam, ale dopiero tu czuję, że jestem u siebie – stwierdziła rozpromieniona kobieta, wciągając w nozdrza chłodne poznańskie powietrze zmieszane z zapachem dochodzącym z ciężko sapiącej lokomotywy.

– Ja też byłem długo poza tak zwanym domem.

– Tak zwanym? – zdziwiła się panna.

– Bo dom jest tam, gdzie się osiadzie na stałe, a ja, proszę panią, to nie osiadłem na tej tak zwanej obczyźnie. Nie mogłem się przyzwycząić. U siebie w Poznaniu to co innego. Tu się człowieka przywozi baną, do chaty to można na girach, bimbą albo dryndą, a jak se chłop tytę sprawi i się obali w antrejce, to go obeszczuć może nie jakiś pies, ale porzundny poznański kejter... – Naraz zamilkł, bo poczuł, że palnął straszne głupstwo. Przez całą drogę do Poznania starał się przed poznaną w pociągu panną Klementyną sprawiać wrażenie człowieka światowego i obytego także w kwestiach wymowy, a tu tymczasem, gdy tylko poczuł się pewniej na poznańskim gruncie, wyszedł z niego prawdziwy szuszwol. Spojrzał na nią, robiąc przy tym głupią minę i chrząkając znacząco, jakby chciał zatuszować to, co przed chwilą powiedział. Ona spojrzała na niego wielkimi, piwnymi oczyma zdziwiona...

Nagle wybuchła głośnym śmiechem.

– Nawet pan nie wie, panie Anastazy kochany, jak mi bardzo tej poznańskiej gadki brakowało tam na obczyźnie. Czy pan wie, że oni w tej Warszawie jedzą białe pyrki?

– Że niby co? – Olkiewicz nie do końca zrozumiał, w czym rzecz.

– Naprawdę, nie porządne żółte i mączyte, ale białe, takie jakie się u nas daje się świniom do koryta. Pastewnioki zwyczajne. I jeszcze powiadają, że te białe to takie... – przerwała na chwilę, szukając odpowiedniego słowa. – Takie, no eksklu...ekskursy...

– Ekstraordynaryjne. – Anastazy przypomniał sobie naraz trudne słowo z policyjnych regulaminów. Nie wiedział, co znaczy, ale ładnie brzmiało.

– No jakoś podobnie, co oznacza, że takie białe pyrki jedzą ludzie z wyższych sfer.

– Każdy ma takie sfery wyższe, na jakie se zasługuje, panno Klementyno. Ja na ten przykład ze sfer wyższych to mam poważne znajomości.

– Tak? – zdziwiła się i uważniej spojrzała na mężczyznę. Patrzyła na niego przez całą drogę z Zamościa do Warszawy, a później w przedziale pociągu poznańskiego, ale nie dostrzegła, żeby był to człowiek obracający się

w wyższych sferach. A znała się przecież na tym doskonale. W Warszawie pracowała w domu Jabłonowskich jako pomoc domowa, a ci państwo to przecież była prawdziwa wyższa sfera. Pani zajmowała się prowadzeniem domu i wychowaniem dzieci, a pan major pracował w sztabie generalnym. To znaczy dawniej pracował, bo od jakiegoś czasu już przestał chodzić w mundurze. Wszystko przez tę zawieruchę, którą spowodował marszałek. Major Jabłonowski w czasie majowej wojny ulicznej, która rozegrała się w Warszawie, opowiedział się po stronie pana prezydenta, więc gdy zamachowcy opanowali stolicę, został zmuszony do przejścia do rezerwy. I tak niemal z dnia na dzień państwo majorostwo stracili źródło dochodów. Początkowo jeszcze przez letnie miesiące jakoś żyli z oszczędności, ale już we wrześniu okazało się, że muszą zmienić mieszkanie. Sprzedali więc swoje piękne siedem pokoi w kamienicy przy ulicy Foksal i zamienili je na znacznie mniejsze lokum przy Rakowieckiej. Tam jednak, w tym nowym czteropokojowym, nie było słuźbówki, dlatego musieli się rozstać z panną Klementyną. W dniu przeprowadzki, trzy dni temu, spakowała więc do walizki swój niewielki dobytek i ruszyła na dworzec kolejowy. Mogła wprawdzie zostać w Warszawie, bo pan major napisał jej doskonałe referencje i z takimi listami mogła bez trudu dostać pracę w innym domu, ale ona postanowiła inaczej. Doszła bowiem do przekonania, że dość już będzie tej poniewierki po cudzych kątach i czas wrócić do Poznania. Przecież i tutaj znajdzie się dla niej jakaś dobra praca. Zwłaszcza z takimi referencjami. Przed powrotem do Poznania wybrała się jeszcze w odwiedzinach do ciotki, która mieszkała w Zamościu, i stamtąd ruszyła w drogę przez całą Polskę do Poznania. A już na stacji w Zamościu naprzeciwko niej w przedziale zajął miejsce ten sympatyczny policjant ubrany po cywilnemu.

– To dokąd pannę Klementynę odprowadzić? – zapytał, uśmiechając się, Olkiewicz.

– Moi mieszkają na Woźnej. Wie pan Anastazy, gdzie to?

– A co by ze mnie był za poznaniak, jakbym nie wiedział? – stwierdził z pełnym przekonaniem. – Przecie ja z Mostowej jestem, znaczy się po sąsiedzku. Weźnie się dryndę i w trymiga pojedziemy.

– Dryndę? A czy to aby nie za drogo będzie? Przecież to niedaleko na nogach...

– Co też panna Klementyna gada? Dla urzędnika państwowego to żaden wydatek – rzucił chełpliwie, choć tak naprawdę ostatnimi czasy liczył każdy grosz. Niewiele zostało mu już z ostatniej pensji, a odprawy żadnej dostać nie mógł, bo z policji nie odchodził, a tylko zmieniał słuźbowy przydział. Ale nie mógł przecież pozwolić sobie na to, by ta panna pomyślała o nim, że jest jakimś gołodupcem i nie stać go na dorożkę.

Chwycił więc jej tekturową walizkę, w drugą rękę złapał swoją, znacznie gorszą niż ta należąca do dziewczyny, i wskazał głową w kierunku obszernego placu przed dworcem. Ona włożyła mu dłoń w rękawiczce pod ramię i już mieli ruszać, gdy wtem poczuł potężne klepięcie w plecy.

– Anastazy, stary byku! – Usłyszał za sobą tubalny głos. Odwrócił się natychmiast. Przez chwilę patrzył z niedowierzaniem na uśmiechniętą od ucha

do ucha wąsatą gębę z wielkim, zaczerwienionym nosem, który wyłaniał się spod daszka policyjnej czapki.

– Władek, jak Boga Kocham! – wykrzyknął uradowany na widok starego przyjaciela z wojska. – Niech cię jasna cholera! – Postawił walizki i rzucił się w ramiona policjanta. Ten objął go swym niedźwiedzim uściskiem i ucałował z dubeltówki. – Skąd żeś wiedział, że przyjeżdżam?

– Nie wiedziałem, że akuratnie dzisiaj, ale wiedział od komisarza Fischera, że na dniach wracasz na stare śmieci. No to się rozejrzył przy warszawskiej banie, czy aby twojego łysego łba gdzie nie zobaczę... Bo ja akuratnie służbę patrolową mam na dworcu... – przerwał, spoglądając z zaciekawieniem na stojącą nieco z boku kobietę.

– Anastazy, nic żeś nie pisał, że do Poznania przywozisz żonę!

Zakłopotany Olkiewicz odwrócił się do swojej towarzyszki podróży.

– Pozwoli pani, że przedstawię tego tu wąsacza, bo to jest mój przyjaciel jeszcze z wojska, znaczy się we Francji my razem jeszcze za Prusaka, potem w powstaniu, a na koniec bolszewika my razem po mordach lali. Znaczy się...

– Okoń Władysław jestem, szanowna pani. – Policjant, chwyciwszy podaną mu dłoń, ucałował ją, kłaniając się nisko. – Nie wiedziałem, że Anastazy przyjedzie z narzeczoną.

– Ja nie jestem narzeczoną pana Anastazego – odparła zmieszana dziewczyna.

– Jeszcze nie? No to czas najwyższy. Po co czekać, co nie, Anastazy? – powiedziawszy to, klepnął przyjaciela w plecy.

– Ale my, że tak powiem... – Olkiewicz najwyraźniej nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Za to Okoń wiedział doskonale.

– To co, do dryndy idziemy? – zarządził i chwycił obie walizki, by zaraz ruszyć przodem. Olkiewicz popatrzył przepaszająco na Klementynę i wzruszył ramionami.

– Przepraszam, bo ten, no, kolega to nie wie, że my...

– Nic nie szkodzi. – Uśmiechnęła się, najwyraźniej zadowolona, i wsunęła mu dłoń pod ramię.

Godzina 7.30 rano

Wijący od strony Chwaliszewskiego mostu lekki wiatr niósł w kierunku Starego Rynku zapach rzeczno-mułny, ludzkich ekskrementów i gnijących śmieci. Kłoczony smród płynął szerokim korytarzem ulicy Wielkiej, owiewając otwierające się właśnie ekskluzywne składy i domy handlowe. Stróża i subiekt sklepowi podciągali w górę ciężkie rolety, zatykając nosy i jednocześnie przeklinając kapryśną pogodę. – Niech już przyjdzie wreszcie ten mróz i zdusi te smrody – mówili do siebie. – Kto to widział, żeby tak ciepło było w listopadzie?

Tam gdzie nowoczesna dwudziestowieczna zabudowa kończyła się niespodziewanie, ustępując miejsca starym kamieniczkom, ulica zwężała się do połowy swej normalnej szerokości, a rzeczna, lepka bryza jakby przystawała na

chwile, wpuszczając smród przez otwarte bramy na podwórka i boczne uliczki, by w końcu wślizgnąć się wąskim korytarzem pomiędzy stare, zaniedbane szczyty domów, których granice wyznaczał średniowieczny plan zabudowy. Smrodliwy powiew, wyrwawszy się z tej przypominającej lejek przestrzeni, wpadał na obszerny plac rynkowy, mieszając się z odorem końskiego łajna i ludzkiego potu. Bo rynek o tej porze pełen był sprzedających i kupujących. Chłopi z okolicznych wiosek przywozili do miasta kury, kaczki i gęsi, a klatki z ptactwem ustawiali wprost na bruku, by każdy klient mógł sobie obejrzeć i wybrać najtłustszą sztukę. Z wozów sprzedawali kapustę, kartofle i buraki. Chłopki w czarnych, bufiastych spódnicach i grubych chustach na głowach oferowały przyniesione na własnych plecach worki pełne marchwi, rzepy czy jabłek i gruszek. Gospodynie domowe, gosposie i służące przechadzały się wte i wewte, kręcąc nosami na jakość oferowanych towarów z nadzieją na zabicie ceny, ale sprzedający znali wartość swoich towarów. Nawoływali więc głośno, licząc, że któraś z przechodzących skusi się i wybierze właśnie jego ofertę.

A wśród tego tłumu targującego się o każdy, najmniejszy nawet grosz złodzieje uwijali się jak w ukropie. Ci najmłodsi kradli wszystko, co wpadnie w ręce. Ich łupem padały owoce i warzywa. Starsi, kilkunastoletni adeptci złodziejskiego fachu nie rzucali się na byle co. Uważnie obserwowali handlujących, licząc na to, że któraś z kupujących kobiet niezbyt dokładnie schowa pugilares z pieniędzmi albo podpity gospodarz wsunie je do kieszeni marynarki. Wtedy wystarczy wyciągnąć rękę i zaraz wmieszać się między ludzi.

Prawdziwi fachowcy przechadzali się wolno pomiędzy kupującymi, uważnie lustrując każdą większą transakcję, by wytypować najbardziej obiecującego frajera spośród sprzedających wieśniaków. Najlepiej takiego, który po każdej sprzedanej kurze sięgał po flaszkę schowaną na wozie i opijał udaną transakcję. Taki chłop dawał gwarancję, że gdy sprzeda cały towar, nie pojedzie od razu na te swoje Rataje czy Plewiska, ale najpierw pójdzie jeszcze do którejś z okolicznych piwiarni, by oblać dobrze udany poranek. A wiadomo, że nie ma łatwiejszego frajera do oskubania, jak pijany chłop z pełną kieszenią bejmów. Wystarczy pójść za takim gościem, przysiąc się do niego i odpowiednio go podgadać.

Tolek Grubiński, postawny trzydziestolatek z wypomadowanym i podkręconym czarnym wąsem, dobrze wiedział, jak to robić. Nieraz zdarzało mu się już oskubać takiego klienta. Nie był co prawda w tej dziedzinie mistrzem, bo z zawodu wyuczonym był włamywaczem i kasiarzem. Ale lubił od czasu do czasu trafić łatwy grosz. Tym bardziej dzisiaj, bo akurat go przypiliło. Poważną robotę miał umówioną dopiero na niedzielę, a żyć przecież z czegoś było trzeba. Właściwie to nie miał wyjścia. Musiał się zwlec rano, bo jego Kryśka zapowiedziała mu, że jak chce jeść, musi pracować, a pieniądze właśnie całkowicie się skończyły i nie ma ani grosza, żeby coś kupić na obiad. Rad nierad, wstał wcześniej rano, mimo że od wczorajszej popijawy w barze U Okonia jeszcze we łbie mu huczało. Ogolił się dokładnie, ubrał najlepsze spodnie, białą koszulę przyozdobił świeżo wykrochmalonym, sztywnym

kołnierzykiem, pod którym przypiął czarną krawatkę na gumce. Jej zbyt szeroką i już trochę niemodną dolną część ukrył pod elegancką wiśniową kamizelką. Na to przyszła jeszcze popielata marynarka w pepitkę, a na sam wierzch porządny czarny płaszcz z bielskiej wełny.

Trzeba przyznać, że Tolek miał gust i potrafił się ubrać ze smakiem, mimo że nie zamawiał ubrań u krawca. Nie kupował też gotowych kompletów. Każdy element jego garderoby wpadł w jego ręce przypadkiem. Podczas włamań, w których Grubiński się specjalizował, on i jego ludzie brali wszystko, co tylko dało się wynieść z obrabianych mieszkań. No i nic dziwnego, że zanim ponieśli towar do pasera, sami dla siebie wybierali co lepsze sztuki. W ten sposób Tolek skompletował cały zestaw eleganckiej garderoby, która dawała całkiem miłą dla oka perspektywę, a człowiek nieobyty mógł go wziąć nawet za bogacza.

Dziś nie założył jak co dzień kaszkietu, w którym najbardziej lubił chodzić po mieście, ale elegancki bowler, taki na specjalne okazje. Tolek znał się na ludziach i wiedział dobrze, że taki kapelusz zawsze robi wrażenie na bambrze chodzącym w maciejówce. Od jakiegoś kwadransa stał w bramie kamienicy Pod Daszkim, nazywanej tak z racji ozdobnego dachu przykrywającego wejście prowadzące do kiosku z gazetami i tytoniami. Oparty o ścianę uważnie obserwował pewnego wąsatego bambra, ubranego w wojskowy szynel, który sprzedawał kury prosto ze swojego wozu. Chłop ustawił się naprzeciwko, tuż obok ratuszowych podcieni. Co chwila wyciągał ptaki z klatek i pokazywał je kupującym babom. Tym, które tego chciały, podawał żywe ptaki, a jeśli która miała życzenie, uśmiercał kurę na miejscu, sprawnie skręcając kark jednym zdecydowanym ruchem. Tolek zauważył, że chłop czyni to bez najmniejszych emocji, tak jakby dłubał w nosie. To mu się nie spodobało. Nie był co prawda jakoś szczególnie wrażliwy i nieraz już zdarzyło mu się pokieraszować jakiegoś gościa czy to za pomocą pięści, czy przy użyciu noża, ale to byli przecież ludzie, którym się należało. Tak uważał. Zwierzęcia nigdy by nie skrzywdził i psa nawet by nie kopnął. A już żeby tak ukręcić łeb kurczakowi? Co to, to nie. Dlatego ten chłop, który robił to beznamyślnie, wyraźnie mu się nie spodobał. A skoro tak to z czystym sumieniem można było takiego typu oskubać. Trzeba się było tylko umiejętnie do niego zabrać, bo wyglądał na cwanego. No, ale przecież stara prawda mówi, że nie ma takiego cwanego, co by się na niego nie znalazł kto cwańszy, pomyślał Tolek i uśmiechnął się pod wąsem. Spojrzał na wóz z kurami. Było tam jeszcze może z tuzin ptaków. Czyli miał przynajmniej pół godziny, zanim gospodarz sprzeda cały swój towar. Postanowił więc pójść wypić jakieś piwo, żeby nie tracić czasu po próżnicy. Kawałek dalej przy narożniku dochodzącej do rynku Woźnej kłębił się, mimo wczesnej pory, tłum podochoconych mężczyzn. Stali przed wejściem do winiarni Goldenringa z kuflami w dłoniach i popijali piwo. Nie żeby w środku nie było miejsca. Tam przy szerokich ławach zawsze było gdzie usiąść, szczególnie rano. Jednak chłopci woleli wyjść na zewnątrz, by z oddali doglądać swojego rozłożonego na rynkowym bruku interesu.

Tolek już chciał ruszyć w tamtym kierunku, tym bardziej, że zdawało mu się,

iż dostrzegł w tym tłumie popijających jednego z braci Kaźmierczaków, czyli kumpla z pracy, który przeciskając się między zwalistymi sylwetkami gospodarzy, wszedł do środka. Przynajmniej będzie z kim pogadać, pomyślał Grubiński, spoglądając jeszcze raz na „swojego” frajera od kur. Naraz dostrzegł młodego chłopaka w lichym paltociku i czapce cyklistówce naciągniętej na oczy. Młodzieniec z rękami w kieszeni stał za wozem z kurami i przyglądał się chłopu, który właśnie wyciągał z klatki trzepoczącą skrzydłami ofiarę wskazaną przed chwilą przez grubą gospodynię ubraną w bufiastą, bamberską suknię. Mężczyzna wsadził sobie kurę pod pachę i chwycił ptaka za łeb. Ten moment wykorzystał chłopak. Podbiegł w jego kierunku, pchnął go lekko, tak że bamber się zachwiał, a kura wyleciała mu spod pachy. Nim zrozumiał, co się dzieje, młodzieniec wsadził mu szybko rękę do kieszeni szynela i zaraz ją wyciągnął. Gospodarz tymczasem, nie zauważywszy tego nawet, pognął za kurą, która trzepocząc skrzydłami i głośno gdacząc, pobiegła w tłum. Ludzie zatrzymywali się, robiąc miejsce ptakowi i chłopu, a któryś z przechodniów nawet rzucił się przed siebie, by zatrzymać uciekającą kurę. Bezskutecznie. Dopiero gdy dobiegła do ściany kamienicy, w której na parterze mieściła się apteka Pod Białym Orłem, zdezorientowana na chwilę przystanęła. Wtedy mężczyzna, który w biegu zdjął już swój szynel, rzucił go na ptaka. Po chwili wracał zadowolony z wyrywającą się spod pachy kurą. Bamberka czekała cierpliwie na swój towar. Ale ta scena już nie interesowała Tolka. On patrzył w ślad za tym cwany młodziem, który stał się sprawcą całego zamieszania, a teraz pośpiesznie oddalał się podcieniami w kierunku nowego ratusza. Grubiński przeciął mu drogę i stanął za zdobnym filarem akurat w momencie, gdy młodzieniec znalazł się na jego wysokości. Gdy był już przy nim, Tolek wyciągnął rękę i strącił mu kaszkiet z głowy, spod którego wysypała się nieco za długa, widać dawno niestrzyżona, ruda czupryna. Zdziwiony chłopak odwrócił się ku niespodziewanemu napastnikowi, zaciskając dłonie w pięści.

- Dawaj bejmy, szczone – warknął Tolek.
- Jakie bejmy? – odpowiedział bezczelnie rudzielec.
- Te, co żeś zjuchcił temu bambrowi.
- Ja? – zdziwił się, robiąc przy tym minę niewiniątka.
- Dawaj bejmy, bo jak nie, to ci zaraz przefasonuję ryfę tak, że cię mamusia przez rok nie rozpozna.
- Odczep się pan. – Ruszył, próbując wyminąć Grubińskiego, ale ten był szybszy. Chwycił go za kołnierz i pchnął na filar.
- Nie po to szpycam przez godzinę na frajera od kur, żeby mi jakaś łachudra obrabiała gościa. Bejmy są moje i już. Dawaj wszystko, pókim dobry.
- Nie brałem nic... – Chłopak próbował się jeszcze bronić, ale przewaga była po stronie starszego.
- Oddawaj, pókim dobry!

Rudzielec przyciśnięty do słupa w końcu wypuścił z sykiem powietrze i spuścił harde dotąd spojrzenie w dół. Tolek wiedział już, że wygrał, choć nie czuł się z tym dobrze. W końcu gówniarz uczciwie ukradł pieniądze i zrobił to

w inteligentny sposób. Pech chciał, że obrobił klienta, którego Tolek sobie upatrzył, i dlatego ten musiał teraz postawić na swoim i odebrać pieniądze. Bo w końcu to jemu były bardziej potrzebne. Kryśka musiała mieć za co kupić jedzenie, a on potrzebował na tytoń i piwo. Nie mógł więc czekać i nawet jeśli czuł przez skórę, że to, co robi, jest jakieś niehonorowe, to i tak nie miał wyjścia. Ale z drugiej strony...

– Wywracaj kieszenie – ponaglił rudzielca.

Ten włożył brudną dłoń do prawej kieszeni i wydobył grubą portmonetkę. Tolek chwycił ją, otworzył i wysypał na dłoń sporą garść monet. Z zadowoleniem zauważył, że przeważały złotówki i dwuzłotówki. Była też jedna piątka. Słowem obłowił się jak bankier.

Popatrzył na chłopaka. Ten jak zahipnotyzowany spoglądał na monety, oblizując przy tym spierzchnięte wargi. Teraz dopiero Tolek przyjrzał mu się uważniej. Skądś go znał. Musiał to być jakiś tutejszy wywijas ze Starego Miasta, bo inaczej skąd miałby znać tę piegowatą facjatę.

– Jak się nazywasz? – zapytał przyjaznym tonem. Nie uszło to uwagi chłopaka. Ośmielony spojrział swoimi zielonymi oczyma prosto w twarz Tolka.

– Zenuś jestem.

– Jaki Zenuś?

– Brodziak z Woźnej.

– A, już wiem. – Skojarzył natychmiast nazwisko z opuchniętą, zapijaczoną gębą Antka Brodziaka, który z zawodu był rybakiem, a z zamiłowania moczymordą i awanturnikiem. To musiał być jeden z jego dzieciaków. – Wystaw łapę – polecił.

– Co?

– No dawaj łapę. Nie chcesz swojej doli?

Zenuś w mig zrozumiał. Wyciągnął dłoń do przodu, a Tolek odliczył mu równe dziesięć złotych. Potem odwrócił się bez słowa i ruszył w kierunku knajpy. Był z siebie zadowolony. Dobrze mu się zaczął ten dzień. Zenuś Brodziak jeszcze przez chwilę patrzył w ślad za nim, by zaraz ruszyć do domu. Matka czekała na pieniądze, bo dzieciaki od wczoraj nic nie jadły.

– Złodzieje! Jezus Maria, złodzieje! Ukradli pieniądze! – rozległ się rozpaczliwy krzyk okradzonego gospodarza, ale co to mogło obchodzić Tolka. Grunt, że on miał w kieszeni gotówkę, a bamber jeszcze dość kur na sprzedaż. A temu rudzielcowi to trzeba będzie odpowiednio podziękować przy nadarzającej się okazji. A taka prędzej czy później się trafi. Tego Tolek był pewien, jak tego, że w pacierzu na koniec jest „ament”.

Godzina 8.30 rano

Komisarz Antoni Fischer, ostrzyżony na krótko blondyn z równo przyciętym wąsem pod nosem, solidnej budowy, dobrze umięśniony, barczysty trzydziestoczterolatek, ubrany w porządny granatowy garnitur z bielskiej wełny,

spod którego wyczierała bordowa, lekko połyskliwa kamizelka, spojrzął na kubek z gorącą kawą. Na blacie jego biurka postawił go przed chwilą posterunkowy Gugąła. Chłopak pełnił dziś dyżur na drugim piętrze prezydium policji, a do jego obowiązków należało między innymi parzenie kawy dla panów oficerów, jeśliby któryś sobie tego zażyczył. Fischer, którego od rana bolała głowa, machnął tylko ręką na posterunkowego, gdy przechodził pięć minut temu obok jego dyżurki, kierując się do swojego pokoju. Ten natychmiast poderwał się ze swojego taboretu, wyprężył się na znak szacunku dla szarży, a gdy oficer się oddalił, podszedł do spirytusowej maszynki i postawił na niej aluminiowy czajnik. Nie musiał pytać, jaką kawę zaparzyć. Był dość bystrym młodym człowiekiem i natychmiast potrafił odczytać z twarzy Fischera symptomy męki spowodowanej przedawkowaniem mocnych trunków. Zresztą nawet gdyby nie był uzdolnionym fizjonomistą, zapach, jaki zostawił za sobą komisarz, niezbyt dobrze zamaskowany nadmiarem wody kolońskiej, mówił sam za siebie. Zaparzył mocną kawę i dolał do niej odrobinę spirytusu. Taka mieszanka zawsze stawała na nogi.

Teraz Fischer siedział w swoim biurowym fotelu, wpatrując się w parujący napój. Czekał, by kawa nieco ostygła, bo aluminiowy kubek był zbyt gorący, żeby przytknąć go do warg. Taka nieostrożność skończyłaby się na pewno poparzeniem ust. Już dawno postulował, aby zakupiono dla oficerów zwykłe porcelanowe filiżanki, ale jego prośby nie spotkały się jak dotąd z życzliwym przyjęciem przez zwierzchność. – Po co kupować – powiedział mu oficer intendentury Waliszewski – skoro mamy w magazynie całkiem dobre kubki aluminiowe jeszcze z niemieckiego demobilu. Jak się zużyją, to się wtedy zakupi co lepszego. – No tak, oszczędności na każdym kroku, myślał Fischer, spoglądając złym okiem na swój kubek. Jak się zużyją. Tylko ciekawe, kiedy taki kubek może się zużyć? Przecież to cholerstwo jeszcze za dwadzieścia lat będzie wyglądać jak nowe. Trzeba będzie znowu przynieść jakąś filiżankę z domu. Tylko nie taką ładną jak ostatnio. Pół roku temu zabrał do pracy piękną filiżankę pomalowaną w kolorowe kwiatki. Cieszył się nią przez jakieś dwa dni, do chwili kiedy zniknęła. Podoficer dyżurny zapytany o naczynie nie miał zielonego pojęcia, gdzie się podziewa, i znów musiał nalać mu kawy do kubka. Trzeba kupić taką najtańszą, bez ozdób, to może nikt się na nią nie połakomi, zastanawiał się komisarz cały czas wpatrzony w prosty, metalowy kubek – taki sam, z którego pił codziennie kawę zbożową w okopach Francji podczas wielkiej wojny, gdy jako młody podporucznik walczył za cesarza i Niemcy z Francuzami. Postanowił więc, że gdy pójdzie do miasta, zajrzy do jakiegoś magazynu z porcelaną i wybierze coś niedrogię, na co nie połasi się żaden z jego policyjnych kolegów. Swoją drogą to niesłychane, myślał, że w policji tak mało ma się uważania dla cudzej własności. Kiedyś to było całkiem nie do pomyślenia, żeby ktoś przywłaszczył sobie czyjąś rzecz. Bałagan zaczął się robić w poznańskim prezydium policji, gdy pojawili się tutaj nowi pracownicy. Spora ich grupa została oddelegowana z Warszawy latem tego roku wkrótce po majowym przewrocie, kiedy to Piłsudski zaczął robić swoje porządki.

Nie było tajemnicą, że Poznańskie opowiedziało się po stronie legalnej władzy, a wielkopolskie pułki wystąpiły przeciwko rebelii. No i teraz w ramach odwetu w wojsku trwała wymiana kadr. Do Poznania przrzucano wiernych marszałkowi oficerów i zastępowano nimi tych, którzy nie poparli zamachu. Najgorsze było jednak to, że dowódcami i sztabowcami czyniono ludzi nieprzygotowanych do pełnienia tych odpowiedzialnych funkcji, pośpiesznie awansowanych, niekiedy nawet o dwa stopnie, którzy posiadali jedną, niezwykle ważną cechę – byli piłsudczykami. Starzy, którzy się nie sprawdzili, byli przenoszeni na niższe stanowiska do odległych garnizonów na wschodzie albo zmuszano ich do odejścia z wojska. W policji co prawda ta fala zmian nie była tak wielka, ale i tutaj pojawiły się nowe osoby bez doświadczenia w służbie, przeniesione wprost z wojska. Takiego właśnie zastępcę otrzymał w prezencie komisarz Fischer miesiąc temu. Podporucznik kawalerii, a obecnie młodszy aspirant Walenty Oskierko, już na pierwszy rzut oka robił całkiem dobre wrażenie, zauważył niechętnie Fischer. Grzeczny, dobrze wychowany młody człowiek, który chyba bardzo poważnie wziął sobie do serca fakt, że od tej chwili nie jest już wojskowym, ale policjantem, i dlatego zapewne chciał się jak najmocniej przyłożyć do nowej pracy. I to właśnie najbardziej irytowało Fischera. Rozumiał, że do pracy trzeba się przykładać, bo tak go wychowano w jego porządnej poznańskiej rodzinie, ale po jaką cholere tyle pytać? Zamiast siedzieć cicho i uczyć się, podglądając szefa przy pracy, Oskierko ciągle się czegoś chciał dowiedzieć. A przy tym stale go gdzieś nosiło i wszędzie go było pełno.

Oficer spojrzął w prawo na puste biurko aspiranta. Nie było go jeszcze w pracy, co było całkiem dziwne. Powinien tu siedzieć już od siódmej rano i przygotować dla Fischera protokół zatrzymania włamywacza na gorącym uczynku, którego stróż kamienicy na Kwiatowej chwycił za kołnierz, obtłukł mu głowę i odstawił wprost w ręce policyjnego patrolu. Sprawa była prosta, więc komisarz oddał ją warszawiakowi, żeby ten czymś konkretnym się zajął i zniknął mu z oczu. Zniknął wczoraj i do dzisiaj go nie było. Może i dobrze, pomyślał Fischer. Przynajmniej miał spokój. Mógł w ciszy napić się kawy i przejrzeć poranną gazetę.

Sięgnął po kubek i ostrożnie wypił pierwszy łyk. Ciepła, wzmocniona kawa spłynęła do gardła. Zadowolony otworzył szufladę i sięgnął po paczkę egipskich. Zazwyczaj palił fajkę, ale na razie nie chciało mu się jej nabijać. Papieros był szybszy.

Zapaliwszy, przyciągnął przed siebie gazetę i rozłożył ją na blacie. Rzucił okiem na tytuł na pierwszej stronie. „Kurier Poznański” w swoim porannym wydaniu donosił... że nic się nie dzieje. Żadnego bijącego po oczach tytułu, tylko jakieś informacje o pracach sejmowych nad ustawami samorządowymi, które mają być uchwalone do końca roku. Pisano też o stanowisku rządu wobec rolnictwa, no, ale przecież to nie mogło zainteresować Fischera. Prawdziwie interesujące kwestie były na ostatniej stronie. Do niedawna jeszcze zaczynał lekturę gazety od zamieszczonych tam informacji sportowych. Jednak od

jakiegoś czasu te zeszyły na drugi plan. Teraz najważniejszy dla komisarza był program radiowy. Spojrzał w dół strony i zaczął powoli czytać, czego wieczorem będzie można posłuchać poprzez jego nowe radio. Nowoczesny, czterolampowy odbiornik reakcyjny, model 4LE, produkowany przez Polskie Towarzystwo Radjotechniczne, kupił zaledwie tydzień temu, wydając nań prawdziwy majątek. Zapłacił 317 złotych, czyli niemal całą swoją miesięczną pensję. Ale co tam, opłaciło się. Dźwięk, jaki oferował ten odbiornik, był niemal krystalicznie czysty, a poza tym można było na nim bez problemu słuchać nie tylko Warszawy, ale także rozgłośni w Berlinie, a nawet Londynie. Według tego, co pisali dziś w programie radiowym, o pół do dziewiątej wieczorem będą z Warszawy dawać koncert symfoniczny albo kameralny. Nie wiedzieć dlaczego nie potrafili napisać konkretnie, tak jak na przykład Anglicy, że Londyn będzie dziś dawał dwadzieścia po dziewiątej koncert solistów, w którym będzie można usłyszeć poloneza As-dur. No, ale z drugiej strony co się dziwić. W końcu Anglicy mieli swoje radio już od kilku lat, a u nas warszawska rozgłośnia dopiero całkiem niedawno zaczęła swoją działalność, więc te nieścisłości w programie można było im jeszcze wybaczyć. Jak się rozwiną, to będzie zapewne całkiem inaczej. A co dopiero jak uruchomi się wreszcie stację w Poznaniu. Tu będzie porządek. No, ale na to na razie się nie zносиło. Mówiło się co prawda, że może już w przyszłym roku, ale jak będzie naprawdę, to się dopiero okaże. W każdym razie Fischer jako lokalny patriota jednego był pewien – poznańskie radio na pewno będzie najlepsze w Polsce.

Drzwi do pokoju otworzyły się i do środka wkroczył wesoły jak skowronek aspirant. Oficer podszedł do biurka, za którym siedział Fischer, zatrzymał się w przepisowej odległości trzech kroków i strzeliwszy obcasami, zasalutował do daszka czapki.

– Podporucznik Oskierko Walenty, znaczy się aspirant Oskierko, melduje się na służbie, panie komisarzu.

Fischer spojrział na niego znad gazety, którą złożywszy starannie, położył na blacie.

– Pan aspirant nieco zasnął, jak mi się zdaje – stwierdził, spoglądając na tarczę swojego zegarka, który wydobyl z kieszeni kamizelki. Fischer chodził do pracy ubrany po cywilnemu. Jako szarży przysługiwał mu taki przywilej. Oskierko też mógł chodzić w garniturze, ale jak na razie chyba nie potrafił zrezygnować z munduru, który trzeba przyznać, całkiem dobrze na nim leżał.

– Kiedy ja, panie komisarzu, od rana w terenie – stwierdził aspirant. – Już o piątej rano byłem przy wezwaniu.

Komisarz spojrział na niego uważniej.

– To ściągnij pan ten płaszcz, bo zaraz się pan zgrzejesz, zapocisz i jeszcze jaką hiszpankę pan dostaniesz.

– Tak jest! – Oskierko zasalutował, odwrócił się jak na paradzie i sprężystym krokiem podszedł do wieszaka, który stał tuż obok drzwi.

– A co żeś pan robił w terenie od rana? – rzucił od niechcenia Fischer.

– Melduję, panie komisarzu... – przerwał, zdejmując płaszcz – ...że znaleźli

truposza... znaczy zabitego truposza.

– Że co? – Teraz komisarz naprawdę się zainteresował.

– Zimny trup – stwierdził Oskierko, siadając na lichym krześle naprzeciw biurka swojego szefa. Wszystkie meble w tym pokoju były kiepskiej jakości. Biurka, szafy na dokumenty, a nawet niewielki stolik kawowy z dwoma fotelami, przy którym nikt nigdy nie pił kawy, zrobione były ze zwykłego, sosnowego drewna, okleinowanego orzechem. Ten orzech miał dodawać im dostojeństwa i powagi, jednak nie trzeba było być specjalistą od stolarki meblowej, żeby natychmiast zauważyć kiepską jakość wykonania. Meble odziedziczone zostały przez poznańską policję w spadku od pruskiej i stanowiły całkowite zaprzeczenie niemieckiej solidności.

Fischer wpatrywał się w podwładnego w milczeniu. Czekał, aż ten przejdzie do rzeczy.

– No więc wezwali mnie z samego rana, żeby przypadkiem nie facygować pana komisarza. O piątej już był u mnie dyżurny. I zameldował, że mam się szybko zbierać, bo w mieszkaniu przy ulicy... – Wyciągnął z kieszeni na piersi swój niewielki, czarny notes, przewrócił kilka kartek, by po chwili odczytać: – Ulica Święty Marcin czterdzieści osiem znaleźli trupa niejakiego mecenasa Witeckiego.

– Jak pan powiedział?

– Święty Marcin... – Oskierko jeszcze raz przeczytał nazwę ulicy. Od niedawna mieszkał w Poznaniu, więc jeszcze dobrze nie znał miasta. – To tu całkiem niedaleko, ale że ja mieszkam, jak pan komisarz wie, na Jeźycach, to przysłali po mnie tego podoficera dorożką...

– Powtórz pan to nazwisko – przerwał mu wyraźnie zirytowany Fischer.

– Witecki... mecenas Witecki Olgierd...

– Jasna cholera! – wykrzyknął komisarz. – Witecki nie żyje. Jak to możliwe?

Oskierko spojrzał uważnie na swojego przełożonego.

– Pan go znał?

– A kto w Poznaniu nie zna mecenasa Witeckiego. Każdy, kto jest stąd, dobrze wie, kto to jest... – Spojrzenia obu policjantów spotkały się. Oczywiście Oskierko jako nowy poznaniak nie mógł mieć zielonego pojęcia, kim był mecenas Witecki – prawnik znany z wielu wystąpień przed poznańskim sądem, obrońca wdów i sierot, jak o nim mówiono, bo często brał się za obronę spraw beznadziejnych ludzi, których nie stać było na adwokata.

– Jak zginął? – zapytał w końcu rzeczowo Fischer.

– Postrzał, panie komisarzu.

– Bandycki napad?

– Nie sądzę. Mieszkanie nie wygląda na splądrowane.

– Świadców jacyś?

– Jak na tę chwilę, nikogo nie znaleźliśmy. W ogóle nikt niczego nie słyszał. A przecież strzał pistoletowy to nie pierdnięcie... – Przerwał, bo poczuł, że ostatnia uwaga jest raczej nie na miejscu. Ale Fischer nie zwrócił uwagi na ten nietakt. Poderwał się z fotela.

– Idziemy – polecił i zaraz podszedł do wieszaka, by sięgnąć po swoje palto. Oskierko ruszył za nim. Szybko ubrał się i otworzył drzwi, podczas gdy komisarz męczył się jeszcze z zawiązywaniem szalika. W końcu założył swój ulubiony kapelusz z szerokim rondem, przypominający fasonem te z filmów o Dzikim Zachodzie. Skończywszy, zrobił krok w kierunku wyjścia, jednak przystanął na chwilę, o czymś sobie przypomniawszy. Zawrócił na pięcie i podszedł do biurka. Chwycił kubek z kawą i dopił do końca jednym łykiem. Kawa już wystygła, jednak miała w sobie tę zbawienną dawkę energii spirytusowej, która teraz była policjantowi bardzo potrzebna. Musiał mieć przecież czysty i sprawny umysł, a wiadomo, że nic tak nie rozjaśnia myśli, jak niewielka dawka alkoholu od rana.

Godzina 9.15 rano

– Helena, przecież wiesz, że ja nie nadaję się do takiego życia.

– Teraz się nie nadajesz? A wcześniej to się nadawałeś niby?

– Nigdy nie mówiłem, że...

– Nigdy nie mówiłem? Słów ci w gębie teraz braknie, a wcześniej to żeś tyle potrafił powiedzieć. Ciągłe żeś ino gadał i gadał. O tym, jak wszyscy ludzie będą szczęśliwi. I co, oni wszyscy będą szczęśliwi, tylko my nie możemy?

Marian Pytel wziął z cukiernicy w palce nieforemny kawałek cukru, włożył go do ust i popił herbatą. Poczuł, jak słodycz rozplywa mu się po języku. Całkiem przyjemna słodycz. I byłoby mu jeszcze słodko na duszy, gdyby nie ta cholerna baba. Czy one wszystkie zawsze muszą się czepiać? Przecież wiedziała od samego początku, jak to z nim jest. Już dawno wyjaśnił jej, że nie wolno mu się z nikim wiązać, żeby nie zostawiać po sobie rodziny, gdyby coś się kiedyś stało. To była kwestia odpowiedzialności. Na rodziny mogli sobie pozwolić normalni, zwykli ludzie. On był kimś innym. Swoją pracę i całą swoją przyszłość poświęcał dla tych zwyczajnych ludzi. Choć oni nawet o tym nie wiedzieli, a większość z nich, gdyby mogła, zapewne przeszkodziłaby mu w realizacji jego zamierzeń. Głupcy nie rozumieli, o co toczy się gra. I nie pojmowali też, że to ich szare życie może być zupełnie inne. Może nabrać prawdziwej wartości i wielkiego sensu. Trzeba im tylko pokazać, że może być lepiej. Nawet wbrew ich woli. Później się przekonają, że on i jemu podobni się nie mylili. Ale na to jeszcze przyjdzie pora. Teraz trzeba powoli robić swoje... Tylko jak to robić, kiedy ktoś taki jak ona rzuca mu kłody pod nogi. Tak dalej być nie może. Trzeba to w końcu raz na zawsze rozwiązać i uwolnić się od tej głupiej baby. Najprościej byłoby wstać i wyjść. Trzasnąć drzwiami i więcej się nie pokazać. Łatwo to powiedzieć, ale trudniej zrobić. Bo jeśli wyjdzie z tego pokoju, to gdzie się podzieje. Nie miał w mieście swojego kąta. Mieszkał u niej już pół roku i nawet się do tego przyzwyczaił. Najlepiej byłoby więc odczekać jeszcze chwilę, przeczaić się, a potem, jak już będzie po wszystkim, zakończyć ten idiotyczny związek.

- Wiedziałaś od samego początku, jaki jestem.
- Niby wiedziałam, ale nie wiedziałam, dokąd zajdą sprawy.

Stała przy oknie wpatrzona w przestrzeń przed sobą. Przestrzeni nie było za dużo, bo naprzeciw ich okna była ściana oficyny sąsiedniej kamienicy. Cały widok stanowiły więc czerwone, nieotynkowane cegły. Trzy piętra niżej rozciągało się niewielkie, brudne podwórko, na którym latem suszyło się pranie i ganiały umorusane dzieciaki. Teraz było całkiem puste. Pomyślał, że gdyby tak otworzyć okno i wypchnąć ją na zewnątrz, to jego problemy by się definitywnie skończyły...

Co za bzdury, Marian przestraszył się tej myśli. Przecież nie jestem jakimś mordercą. Jestem uczciwym człowiekiem. Nie jej wina, że chce sobie ułożyć jakoś życie. Można to przecież zrozumieć, w końcu każda kobieta potrzebuje silnej, męskiej ręki. Ale on jej tego nie może dać. Może kiedyś, za parę lat, jak się wszystko dookoła zmieni. Ale na razie najważniejsza była „sprawa”, a nie prywatne kwestie. Gdyby nie to, co przeżył wcześniej, może byłby zwyczajnym zjadaczem chleba, pracowałby w jakiejś fabryce i najważniejsza byłaby dla niego, tak jak dla niej, rodzina. Ale on podjął decyzję, która zmieniła całe jego życie. Wiedział, że musi być konsekwentny i wbrew wszystkiemu podążać raz obraną ścieżką.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się lekko.

- Wytrzymaj jeszcze trochę. Potem wszystko się zmieni.
- Kiedy? – zapytała stanowczo.
- Niedługo, być może bardzo niedługo.

Dziwne, pomyślał. Wtedy on też powiedział mu, że to już niedługo potrwa. Ale mijał rok za rokiem i nic się nie działo. A wtedy w dwudziestym roku rzeczywiście mogło wszystko się zmienić błyskawicznie, gdyby tylko Armia Czerwona rozgromiła białych Polaków pod Warszawą. Wtedy rewolucja socjalistyczna przelałaby się przez tę pańską Polskę i bolszewicy z Rosji uściskałiby dłonie niemieckich robotników. Wtedy była wielka szansa na to, że ogień rewolucji rozpali całą Europę i wkrótce na zgliszczach dawnych kapitalistycznych krajów zrodzi się jedna wielka republika europejskich rad.

Wtedy się nie udało, ale to nie znaczy, że i teraz się nie uda. Trzeba tylko mieć wiarę. Tak mówił mu człowiek, który uratował go przed śmiercią i otworzył mu oczy na wielką sprawę. Przedtem nie miał o niej zielonego pojęcia. Wtedy, gdy po raz pierwszy się spotkali, on był jeszcze jak dziecko, które niczego nie wie o świecie. Właściwie był nikim. Był „białopolakiem”. Do tego rannym „białopolakiem”, pozostawionym przez swoich kolegów na pewną śmierć.

Leżał obok kupy gnoju z przestrzelonymi nogami i raną w okolicy obojczyka. Był całkowicie otępiały z bólu. Dzień wcześniej miał jeszcze nadzieję, że jakoś uda mu się wyratować. Nie był w końcu sam. Wraz z nim uciekało na zachód czterech żołnierzy z jego oddziału, który wycofywał się z Kijowa. Byli głodni i wyczerpani, ale dzierżyli w dłoniach swoje karabiny. Wszyscy byli przekonani, że jakoś wywiną się śmierci i dotrą do swoich, mimo że nie dowodził nimi żaden

oficer. W końcu gdzieś musiała ustalić się jakaś linia obrony. Próżno jednak szukali polskich oddziałów. Natrafiali tylko na takich rozbitków jak oni, którzy uciekali przed prąca naprzód falą bolszewików. Ostatniego wieczora dotarli do jakiegoś niewielkiego przysiółka. W kilku nędznych chłopskich chatach nie znaleźli żywego ducha. Nie mieli jednak siły iść dalej. Postanowili, że spędzą tam noc. I pewnie wszystko by się udało, gdyby nie przypadek.

Nim zapadł zmrok, rozbiegli się po zagrodach w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Szybko jednak okazało się, że gospodarze zabrali ze sobą wszystko, co tylko się dało zabrać, więc nie znaleźli niczego poza kilkoma garściami ziarna. Zrezygnowani i głodni wracali do chałupy, którą wybrali sobie na nocleg. I dopiero tu dopisało im szczęście. To Marian zauważył, że klepisko tuż przy ogromnym piecu chlebowym ma nieco inny kolor od tego w reszcie izby. Tamto było brudne i osmalone, a to koło pieca jakby jaśniejsze. Dźgnął więc miejsce bagnietem i okazało się, że ostrze weszło nadspodziewanie łatwo, by zaraz natrafić na coś twardszego. Cała piątka natychmiast rzuciła się do kopania. Po kilku minutach udało się im dokopać do wieka drewnianej skrzyni. Gdy otworzyli ją, okazało się, że trafili na prawdziwy skarb. W skrzyni były kartofle. Niedużo, może pół worka, ale to i tak była ilość, której nie daliby rady za jednym razem. Niewiele się zastanawiając, rozpalili ogień w piecu i ustawili na nim garnek wypełniony po brzegi ziemniakami. Godzinę później, po kartoflanej uczcie, zalegli tam, gdzie kto mógł. Nikt nie pomyślał nawet, żeby wystawić jakąś wartę. Na szczęście noc minęła spokojnie. Nareszcie mogli wypocząć i nabrać sił.

Obudził się pierwszy. Miał pełen pęcherz, więc nie było rady. Musiał wstać. Zwlókł się ze sterty siana, którą usypali wczoraj na polepie, żeby wygodniej było spać, a potem na bosaka, żeby nie hałasować, wyszedł z chałupy. Czerwcowy poranek zapowiadał pogodny dzień. Zadowolony wciągnął w nozdrza rześki haust powietrza, rozglądając się jednocześnie wokół. Nic go nie zaniepokoiło. Było zupełnie cicho, a słyhać było tylko ptasie trele dochodzące z pobliskiego sadu. Szkoda, że to dopiero czerwiec, bo gdyby było trochę później, to z tych jabłonek mieliby pociechę. Na szczęście znaleźli ziemniaki i dzięki temu najedzeni będą mogli ruszyć na poszukiwanie swoich. Pewnie już niedaleko te nasze linie muszą być, zastanawiał się, sikając na pobieloną ścianę domu. Jeszcze kilka godzin marszu i będą uratowani.

Z wnętrza chałupy dobiegło głośnie ziewanie. Któryś z kolegów budził się, oznajmiając wszystkim pozostałym, że czas wstawać. Zaraz trzeba będzie ugotować resztę ziemniaków, żeby można było zabrać je na drogę. Dzięki temu dotrą do swoich w całkiem dobrej kondycji. Uśmiechnął się pod nosem, myśląc o swoich kompanach. Od początku trzymali się razem i we wszystkim sobie pomagali. Pochodzili w końcu z jednego miasta. Także i teraz w tym najtrudniejszym czasie razem wyrwali się z okrażenia, dosłownie wyrabując sobie drogę bagnietami. Po kilku dniach i nocach marszu byli coraz bardziej zmęczeni, ale i zniechęceni. Poza tym zwyczajnie bali się bolszewików. Nikt nie miał ochoty sprawdzić na własnej skórze, czy opowieści o okrutnym

traktowaniu przez nich jeńców są prawdziwe.

Rzenie konia? Czy mu się wydawało, czy rzeczywiście gdzieś zza sadu dobiegł do jego uszu koński odgłos? Odwrócił się w tamtą stronę, uważnie wpatrując się w gąszcz drzew pokrytych soczysto zielonymi, młodymi liśćmi. Nie, chyba się tylko zdawało, pomyślał, uważnie lustrując pnie i nierówne sztachety płotu za nimi.

Coś się poruszyło. Jakieś zwierzę, a może to tylko wiatr trącił gałązki i białe kwiaty bzu tuż za ogrodzeniem. Za jego plecami rozległ się głośny śmiech. Koledzy budzili się w doskonałych humorach. Ile to mogą zdziałać pełne brzuchy i świadomość, że najgorsze już minęło.

Pierwszy strzał, który rozorał poranną ciszę, odłupał kawał drewna ze ściany tuż za jego głową. Śmiech dochodzący z wnętrza chaty urwał się gwałtownie, a on, zamiast uciekać, stał jak sparaliżowany, wpatrując się w kwiecistą kępę bzu. Zza niej wychynął łeb bolszewika w szpiczastej czapie ozdobionej na czole czerwoną gwiazdą. Bojec zmierzył go spojrzeniem i szczerząc zęby w uśmiechu, wycelował jeszcze raz, lecz zanim zdążył pociągnąć za spust, strzały dochodzące zza stodoły zagrzmiały donośną kanonadą. Poczłł potężne uderzenie gdzieś w okolicach piesi, które rzuciło go swym impetem na białą ścianę domu. Widział jeszcze kątem oka, jak z drzwi chałupy wychylają się mausery jego kolegów i odpowiadają ogniem.

Ktoś pochylił się nad nim.

– Jeszcze żyje. – Usłyszał znajomy głos.

– Zostaw go, do cholery! Już po nim.

– Pomóżcie – próbował krzyknąć, ale jego głos nie miał najmniejszej szansy przebić się przez kanonadę wystrzałów.

– Zrywamy się stąd! – zawołał ktoś inny.

– A co z Marianem?

– Już po nim.

– Nie zostawiajcie mnie... – wyjącał coraz słabszym głosem.

– Nic nie poradzimy, musisz nam odpuścić... – powiedział następny, a on natychmiast rozpoznał głos swojego kumpla z podwórka, którego nazywano Oczko.

– Spieprzamy! On już jest trup! Zostaw go, bo wszyscy zginiemy! – ponaglił go Mały.

Przez chwilę słyszał jeszcze karabinową palbę, a potem zauważył, że wokół robi się ciemno. Nie czuł strachu, a tylko zdziwienie. Przecież dopiero co wstał świt. Ale najważniejsze, że był najedzony. Wszystko dzięki tym ziemniakom, które znaleźli pod polepą.

Usłyszał jeszcze jakiś głos należący do kogoś obcego, kto mówił w niezrozumiałym języku. Zapadał się w ciemność coraz głębiej. Już nikogo nie było słycać.

Upił jeszcze łyk herbaty, wpatrując się w twarz kobiety. Uśmiechnął się do niej, ale jej twarz pozostała dalej nieruchoma.

– Muszę teraz iść – powiedział, wstając z krzesła. – Jak wrócę, to pogadamy jeszcze... – dodał, jednak bez przekonania. Wcale nie chciało mu się z nią gadać. A poza tym nie był jeszcze pewny, czy w ogóle tu wróci.

Godzina 9.30 rano

Mecenas Olgierd Witecki był eleganckim człowiekiem. Świadczył o tym choćby modny tużurek w kolorze sepii z haftowanymi na świetlistym desenie motywami roślinnymi w kolorze zgniłej zieleni. Fischer przyglądał się temu wdzianku, myśląc, że jeszcze nigdy w życiu nie założył w domu czegoś takiego. Bo w ogóle nie miał w swojej szafie takiej, co tu dużo gadać, nieco fanaberyjnej części garderoby. Nawet nigdy nie pomyślał, żeby sobie coś takiego sprawić. Bo i po co? Jeszcze rok temu, gdy wracał z pracy, zdejmował marynarkę i koszulę i po domu chodził w podkoszulku. W końcu mieszkał sam w swoim wielkim, trzypokojowym mieszkaniu i nikt nie musiał go oglądać. A jeśli czasami zdarzało się, że ktoś zapukał do drzwi, narzucał na siebie zwyczajny, nieco już znoszony szlafrok. Teraz, gdy się ustatkował i ożenił, nie zdejmował koszuli aż do wieczora, ale tużurka sobie nie sprawił. Patrząc na mecenasa rozpartego w fotelu za biurkiem, pomyślał, że w jego wypadku takie wdzianko było na miejscu, zwłaszcza jeśli przyjmowało się w domu jakiegoś niezbyt oficjalnego gościa. Kogoś, z kim nie załatwiał się interesów, a było się z nim w pewnej zażyłości. Bo to, że Witecki podejmował gościa, było pewne jak dwa i dwa równa się cztery. O tym, że ktoś tu był, świadczyły dwa kryształowe kieliszki, ustawione z dwóch stron biurka, oraz litrowa butelka zwykłej, można by nawet powiedzieć podłej, poznańskiej wódki Machandel z wytwórni Likwowin. To była wódka o lekko jałowcowym posmaku, którą raczyli się dorożkarze i robotnicy, a nie znani prawnicy. Gdyby na stole stała butelka koniaku albo chociaż żołądkowej gorzkiej, Fischer ten widok uznałby za całkiem normalny, ale ta kiepska czyściocha była tu najwyraźniej nie na miejscu. Podobnie jak nie na miejscu była dziura w czole mecenasa.

– Strzał niemalże z przyłożenia – stwierdził doktor Tchórzewski, pochylając się nad siedzącym na własnym fotelu właścicielem mieszkania. Lekarz znał się na rzeczy, był bowiem wojskowym łapiduchem. Fischer poznał go podczas wojny bolszewickiej, obaj służyli w jednym pułku. Doktor widział już więc niejedną ranę postrzałową, dlatego w wypadkach, w których policja miała do czynienia z morderstwami z użyciem broni palnej, wzywało się na miejsce właśnie jego. Nie miał daleko, ponieważ pracował na co dzień w szpitalu wojskowym przy ulicy Libelta. Zanim więc Fischer poszedł do mieszkania zastrzelonego adwokata, kazał posłać któregoś z policjantów na służbie po specjalistę od ran postrzałowych.

– No widzę przecież – mruknął komisarz. – Powiedz mi jednakowoż, kiedy strzelano?

Doktor wzruszył ramionami.

- Czy myślisz, że ja jestem Pytią z Didymy?
- Nie wymagam od ciebie informacji co do minuty, jednakże...
- Jednakże na chwilę obecną dałbym mu jakieś siedem, osiem godzin.

Fischer wyciągnął z kieszeni kamizelki srebrny zegarek na łańcuszku. Otworzył kopertę i spojrzął na cyferblat. Szedł trzeci kwadrans na dziesiątą. Szybko przeliczył w głowie te siedem godzin wstecz.

- Koło drugiej...

- Dokładnie powiem ci, jak już go dokładnie obejrzę w mojej pracowni. Ale równie dobrze, na moje oko, mogła być to nawet i pierwsza.

- Tak czy owak środek nocy – stwierdził komisarz. – To oznacza, że w kamienicy o tej porze musi być cicho jak makiem zasiał, więc odgłos wystrzału niesie się, jakby kto walnął z armaty – powiedziawszy to, Fischer spojrzął na otwarty szeroko lufcik okna, z którego rozciągał się widok na rząd kamienic po drugiej stronie ulicy. Podszedł tam i spojrzął w dół. Naprzeciwko parkowało kilka dorożek. Konie stały spokojnie z workami obrokowymi założonymi na łby. Policjant dobrze wiedział, co to znaczy. Żaden z nocnych dryndziarzy nie czekał już na klientów. Właściciele tych wozów skończyli na dzisiaj robotę, zaopatrzyli konie, przykryli ich grzbiety derkami i poszli się napić do Probierni Wódki J. Kujawy. Była to najpopularniejsza poznańska knajpa, w której codziennie spotykali się ci, co na co dzień zajmowali się dryndziarskim interesem.

- Panie Oskierko, chodź pan tutaj – zawołał, nie odwróciwszy się nawet za siebie. Wiedział, że aspirant z notesem w ręce cały czas siedzi na fotelu tuż przy drzwiach, gotowy zapisać każdą ważną uwagę swojego szefa. Po chwili aspirant był już przy oknie.

- Widzisz pan te dryndy?

- Oczywiście, panie komisarzu. Mówi pan o dorożkach?

Fischer odwrócił się na sekundę i spojrzął na podwładnego, marszcząc brwi.

- Mówię o dryndach.

- Tak jest.

- Pójdiesz pan na dół do knajpy i dowiesz się, kto stał za szynkwasem dziś w nocy. Powiedzmy, od północy do rana.

- Od północy do rana – powtórzył Oskierko i szybko zapisał dane w notesie.

- A jak już się pan tego dowiesz, ustalisz pan, gdzie mieszka bufetowy z nocnej zmiany, a potem pójdziesz pan go rozpytać o to, kto pił tu dziś w nocy.

- Tak jest. Rozumiem, panie komisarzu. Rozchodzi się o to, czy któryś z sałaciarzy nie słyszał strzału, a może i co widział...

- Jakich sałaciarzy? – zdumiał się Fischer.

- No tych, co jeżdżą dorożkami – wyjaśnił Oskierko.

- O, pan aspirant z Warszawy – zauważył doktor Tchórzewski. – W stolicy jeżdżą dorożkarze w zielonych szynelach, to i sałaciarze na nich mówią ludzie.

- Tak jest! – potwierdził zadowolony Oskierko.

- Tutaj jednak niech pan rozmawia z dryndziarzami, bo o sałacie to oni nigdy nie słyszeli.

Komisarz odwrócił się od okna, bo usłyszał ruch za plecami. Fotograf Maliszewski wnosił właśnie swój aparat na trójnożnym statywie. Jego atelier znajdowało się niedaleko budynku dyrekcji policji, bo na placu Wolności. Ta bliskość sprawiała, że policja niekiedy korzystała z jego usług. Fischer nie przepadał za tym człowiekiem i po cichu liczył, że przyślą mu na miejsce zbrodni kogoś innego. Nie przysłali, więc na widok łysej pięćdziesięciolatki o szurzej twarzy zaklął cicho pod nosem.

– Niech będzie pochwalony – rzucił od drzwi fotograf i zaraz przystanął, dostrzegłszy powód, dla którego go tu wezwano. – Jezus Maria, mecenas Witecki, jak Boga kocham. Taki człowiek, taki dobry katolik. Kto jego zabił, panie komisarzu kochany? Jak nic, Żydy. Kto to widział, żeby takiego dobrego człowieka zabijać jak psa. To wszystko żydowski spisek. Oni nas wszystkich panie wymordują. Bo dla nich prawdziwi Polacy i katolicy będą zawsze przeszkodą, żeby objąć władzę nad światem...

– Panie Maliszewski, weź się pan za swoją robotę, a nie za gadanie – rzucił niechętnym tonem Fischer.

– Już się biorę, panie komisarzu szanowny. Już się biorę, ino że mnie cholera jaka bierze, jak widzę, co te Żydy wyprawiają. Żeby takiego zacnego katolickiego adwokata o narodowych przekonaniach odstrzelić jak jakiego bolszewika? Świat się kończy.

– A pan skąd wiesz, że to robota żydowska? – zapytał doktor Tchórzewski.

– Jak to skąd? – zdziwił się fotograf, który właśnie rozstawiał swój sprzęt na wprost biurka, za którym siedział nieboszczyk. – No a komu mogło na tym zależeć, żeby zabić prawdziwego Polaka? Tylko Żydom. Oni, panie, mordowanie katolików mają we krwi. Od zawsze tak jest. Pana Jezusa to niby kto zabił?

– Rzymianie – stwierdził lekarz, lekko się uśmiechając.

– Rzymianie to też Żydy. Oni wszyscy siebie warci, panie. Całe szczęście, że u nas w Poznaniu tego żydostwa niewiele się już uchowało. Wyjechali, chwała Bogu, z Niemcami zaraz po wojnie. Swój do swego ciągnie, panie szanowny. I dobrze, że wyjechali, tak jak ten Kantorowicz, co wódkę robił po to, żeby rozpijać prawdziwych Polaków. Prawdziwych katolików!

Fischer chciał coś powiedzieć, ale gdy dostrzegł błyski rozbawienia w oczach lekarza, machnął tylko ręką. Bo i co tu było komentować? Na głupotę jeszcze nie wynaleziono lekarstwa.

Odwrócił się do okna i spojrzał na ulicę. Oskierko stał z notesem w dłoni przed dorożkarzem odzianym w wojskowy szynel. Poniemieckie płaszcze można było dostać niemal wszędzie i – co ważne – niewiele trzeba było za nie płacić. Magazyny wojskowe wyprzedawały je na potęgę, bo armii do niczego nie były już przydatne. W końcu Wojsko Polskie miało od dawna własne, porządne mundury i z tymi przejętymi od Niemców trzeba było coś zrobić. Nic więc dziwnego, że wielu poznaniaków kupowało te szynele czy portki mundurowe, bo były mocne i trwałe, więc mogły służyć nowym właścicielom jeszcze całe lata.

Młody policjant zamknął notes i schowawszy go do kieszeni, ruszył w kierunku drzwi knajpy. Fischer odwrócił się. Doktor założył już swoje grube

palto z futrzanym kołnierzem, czarny melonik wcisnął na głowę, a na dłonie wciągał eleganckie rękawiczki ze skóry.

– Nic tu po mnie – stwierdził, spoglądając na komisarza. – Zaraz przyślę tu karetkę ze szpitala. Niech ktoś podejdzie jutro do mnie, to wystawię raport z oględzin zwłok. Sekcji nie zamierzam robić, bo przyczyna jasna. A kulę masz w ścianie za fotelem.

– Jasne jak słońce. Mord żydowski! Rytualny, można by nawet powiedzieć... – podchwycił natychmiast fotograf, ale zamilkł raptownie pod piorunującym spojrzeniem policjanta.

– Koło południa najlepiej kogo przysłać. – Lekarz wyciągnął dłoń, a Fischer ją uściskał. Stojący w drzwiach podoficer przepuścił doktora, salutując regulaminowo, choć zupełnie niepotrzebnie, bo Tchórzewski nie był w mundurze.

Komisarz rozejrzał się po gabinecie, w końcu podszedł do solidnego fotela obitego zieloną tkaniną i usiadł na nim. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że cały czas ma na głowie kapelusz. Wchodząc do mieszkania, rozpiął palto i rozwiązał szal, ale o nakryciu głowy zupełnie zapomniał. Teraz zdjął je z głowy, położył na kolanach, odruchowo przyglądał grzywkę ciemnych włosów i przesunął ją palcami na lewą stronę, tak jak zwykł to czynić, czesząc się grzebieniem. Ale nie było w tym geście nic z kokieterii. Gładził tak włosy zawsze w chwili, gdy zaczynał skupiać myśli. Na niewielkim, owalnym stoliku tuż obok fotela stała mosiężna popielnica w kształcie łabędzia. Obok leżało pudełko zapalek. To przypomniało mu, że od rana właściwie jeszcze nie palił. Bo czy można uznać za palenie tego jednego papierosa? On przecież nie był zwykłym, nałogowym pożeraczem tytoniowego dymu, ale wytrawnym smakoszem, który palił na co dzień fajkę, a papierosów używał tylko w szczególnych przypadkach. Teraz, siedząc w gabinecie należącym do zamordowanego adwokata, wiedział, że nie musi się nigdzie śpieszyć. Sięgnął więc do wewnętrznej kieszeni palta i wydobyl z niej niewielki woreczek, w którym przechowywał tytoń, oraz swoją ulubioną wiśniową fajkę z mocno już zużytym ustnikiem. Sprawnie nabił cybuch tytoniem i zapalił zapałką pożyczoną od mecenasa. Chybaby się nie obraził? – pomyślał, odkładając pudełko na stolik. Jego uwagę przykuło na moment czasopismo leżącego na blacie. „Rycerz Niepokalanej”, przeczytał i zaraz stracił zainteresowanie, pomyślawszy o czymś, co wydało mu się arcyzabawne.

– A Matka Boska to królowa Polski, prawda, panie Maliszewski?

Fotograf zajęty kadrowaniem obrazu, obrócił się zdumiony. Przez chwilę patrzył na Fischera, wietrząc w tym pytaniu jakiś podstęp, ale niczego nie udało mu się dojrzeć w poważnej twarzy policjanta. Wzruszył więc ramionami.

– Cóż za pytanie, panie komisarzu. Oczywiście, że to nasza królowa.

– I nie napawa pana odrazą, że na tym królewskim tronie zasiada Żydówka?

– Przepraszam, że jak pan powiedział? – Maliszewski zamrugał nerwowo oczyma.

– Królowa Polski to Żydówka, Izraelitka, starozakonna...

– Co też pan wygaduje? Przecież nasza najświętsza panienska jest Polką, to jak może być Żydówką...

– Maria albo lepiej – Miriam z Nazaretu. Nie wie pan, gdzie jest ten Nazaret?

– No wiadomo przecież, że na Wschodzie... Znaczy się gdzieś na Podolu chyba? – Maliszewski nigdy nie był na Wschodzie, nie licząc pewnej wyprawy do Wrześni, dlatego wydawało mu się, że Podole, za którym zaraz był Krym, to już wschodni kraniec świata.

– Nie, panie, nie na Podolu. W Ziemi Świętej.

– To jeszcze kawałek za Podolem?

– Ładny kawałek.

– No proszę, to ja myślałem, że na Podolu, a to znaczy się, że jeszcze dalej. Wielka ta nasza Rzeczpospolita. Ale kiedyś cały ten Wschód wyrwiemy z bolszewickich łap i Ziemia Święta będzie znów nasza.

– A co pan zrobisz z Żydami, co w tej Ziemi Świętej zamieszkują?

– Jak to co? Przepędzi się tę hałastrę. Można ich wywieźć na przykład do Afryki. A oni, panie, to tak nienawidzą prawdziwych katolików...

Fischer bezradnie pokręcił głową. Jego spojrzenie znów padło na „Rycerza Niepokalanej”. Wziął gazetę do ręki. *Żydowska krucjata przeciw polskim katolikom*, przeczytał tytuł artykułu i naraz poczuł suchość w gardle. Wstał z fotela, podszedł do biurka, za którym siedział mecenas z dziurą w głowie, chwycił w dłoń butelkę wódki i pociągnął solidny łyk. Od razu poczuł się lepiej. I nic go nie obchodziło, że fotograf z dezaprobatą pokręcił głową.

Godzina 10.15 przed południem

Anastazy Olkiewicz spojrzał z niedowierzaniem na swoją matkę. Kobieta siedziała naprzeciw niego przy kuchennym stole, ocierając łzy skrajem fartucha. Ale nie były to łzy radości na widok wracającego po latach do domu syna. Te popłynęły już godzinę temu, gdy Anastazy stanął w progu mieszkania mieszczącego się w oficynie kamienicy numer 30 przy ulicy Mostowej. Matka płakała teraz, opowiadając o tym, co wydarzyło się trzy dni temu tuż po sąsiedzku na Garbarach. Wtedy to pomocnik właściciela zakładu pogrzebowego, Alojzego Kaczmarkiewicza, znalazł swojego pryncypała martwego. Pech chciał, że ów Kaczmarkiewicz był rodzonym bratem Pelagii Olkiewicz, matki Anastazego.

– Powiadam ci, miał dziurę w samym środku czoła.

– Od czego ta dziura? – zapytał rzeczowo Anastazy, w którym natychmiast obudził się uśpiony jakiś czas temu, jeszcze na Zamojszczyźnie, policjant.

– A bo ja to wiem? Nie widziałam jej, bo pomocnicy Alojza go na fest wyszykowali, tak że w trumnie to ani śladu dziury nie było widać, a wczoraj to my jego pochowali i już nikt onego nie zobaczy z dziurą czy bez niej. Ino powiadali, że jak go znaleźli, to ta dziura w czole była. A od czego, to policja nic nie gadała, że to niby nie moja sprawa, żeby się dopytywać. Ale wiara mówiła,

że to taka dziura od rewolweru była. I co on, biedaczek, zrobił, żeby go z dziurą wew czole przed świętego Pietra posyłać? Przecie on był łagodny jak baranek, co nikogo by w życiu nie skrzywdził, nawet jakby na kogo miał cholere, to co najwyżej w mordę by przylał, ale żeby zaraz onego zabijać. To się nie godzi. Mój mały brachol, wojnę przeżył szczęśliwie i teraz go zabili...

– A kto z policji mamusię przepytywał o wujka Alojza? – Anastazy poczuł, że jest w swoim żywiole. Ledwie przyjechał do Poznania, a tu mu się już pcha w ręce sprawa kryminalna. I to nie byle jaka, bo rodzinna, którą on musi wyjaśnić należycie. Nie oczywiście po linii policyjnej, bo przy takiej, gdzie on jest krewnym ofiary, to by mu pracować nie pozwolili. Ale na razie w policji to on jest na urlopie i do nowej pracy jeszcze się nie przyjął. Chciał co prawda od razu już dziś polecieć do dyrekcji policji, żeby ukłonić się swojemu dawnemu dowódcy Fischerowi, no, ale skoro tyle lat się nie widzieli, to te kilka dni może jeszcze poczekać. On tymczasem, zanim zgłosi się do pracy, powęszy tu i tam, a kto wie, może mu się poszczęści i w dniu, w którym stanie przed obliczem komisarza, powie zaraz po powitaniu, że ma ze sobą niespodziankę.

– Chwileczka, panie komisarzu szanowny, ale ja to z pustymi rencami przychodzić nie zamierzam i żeby od razu wszyscy wiedzieli, że stary Olkiewicz nie jest glapami futrowany, tom tu przyprowadził jednego szuszwola, co on kilka dni temu odstrzelił głowę mojemu wujkowi, któren był właścicielem zakładu pogrzebowego...

Uśmiechnął się do tych myśli, bo zaraz wyobraził sobie zdziwioną minę komisarza i to, jak poklepuje go po ramieniu i mówi jak dawniej:

– Będą z was ludzie, Olkiewicz, bylebyście tylko bardziej się przykładali do roboty, a nie ciągle myśleli o dupie Maryni.

Zaraz, zaraz, przypomniał sobie o czymś, ale nie mógł sobie przypomnieć, o czym sobie przypominał. Coś mu wskoczyło do głowy i siedziało tam, rozsiadłszy się wygodnie jak u siebie, ale co to było? Zmarszczył czoło i zaczął myśleć bardzo intensywnie, a matka, widząc jego srogą minę, wzięła ją za oznakę rozpaczki po stracie bliskiej osoby i znowu zaszlochała. Anastazy, jak zwykle podczas intensywnego skupienia, nigdzie nie doszedł, bo w samym środku głowy miał niewidzialną kotarę, która myśli zatrzymywała i nie pozwalała im dalej płynąć swobodnie. Odkrył ją już w szkole powszechnej, kiedy ze zdziwieniem zauważył, że pojawia się ona na lekcjach rachunków, kiedy próbował bezskutecznie podzielić przez siebie jakieś dwie liczby. Wtedy zawsze wynik, do którego dochodził podczas liczenia, przenikał przez tę barierę, a ścigające go myśli rozbijały się o nią jak bańki mydlane i nigdy żadnej z nich nie dane było pochwycić właściwych liczb. Podobnie bywało później, gdy uczył się jakichś rzeczy na pamięć, na przykład nazw rzek czy miast. Co ciekawe, z liczeniem pieniędzy nie miał najmniejszego kłopotu. Może to dlatego, że nigdy nie miał do czynienia z wielkimi sumami, a tego, co musiał policzyć, zawsze było tyle co kot napłakał.

– Ja tam nie wiem, który to był szkieł. Oni przecie w mundurach wszystkie równe. Choć tego, co to ze mną gadał na sam koniec, to ja z gęby znam.

A z nazwiska to będzie jakoś tak jak ptak, znaczy Bocian albo Sikora... Nie, zaraz, on jest Wróbel.

Anastazy już tego nie usłyszał, bo nagle doznał olśnienia. Wszystko za sprawą pieniędzy, o których sobie przypomniał. Chodziło przecież o ten zakład pogrzebowy po wuju.

– A co, mamusia, jest z tym zakładem? – zapytał ostrożnie.

– Jak co jest? – zdziwiła się matka.

– No warsztat stolarski z salą, co się w niej trumny na sprzedaż pokazuje. Wuj był właścicielem, to niby kto to teraz prowadzi?

– Jak kto? – Pelagia wzruszyła ramionami. – Nikt nie prowadzi, bo niby kto by to robił, jak onego zabrakło.

– Nikt, mówi mamusia.

– No nikt. No bo kto? Przecież nie twoja siostra, bo za młoda, a zresztą gdzieby tam panienska miała zakład prowadzić. Może jak męża jakiego adekwatnego znajdzie, to kto wie. Ale na razie to my wszystko zakluczyły. Bo może i trzeba będzie sprzedać...

– Sprzedać zakład? A po co?

– No bo na co komu zakład, co jest nieczynny? A biedaczek to nawet żony nie miał, coby wdowa mogła się tym zająć. To i teraz wszystko na mojej głowie. I co ja mam z tym wszystkim począć?

Anastazy poderwał się z krzesła i złożony ręce za sobą, szybkim, sprężystym krokiem zaczął przemierzać kuchnię to w jedną, to w drugą stronę. Po chwili zatrzymał się przed matką.

– A może tak ja bym się zajął tym interesem? – stwierdził raczej niż zapytał.

– Anastazy, bójże się Boga. Przecie tyś jest na państwowej posadzie. Kto to widział, żeby szkieł brał się za pogrzebową robotę. To nie uchodzi.

– Taka okazja, mamusia, może się nie nadarzyć już więcej. Bo może ja właśnie po to wróciłem się z tej poniewierki, żeby schedę po wuju przejąć? Interesa robić!

– Ady ty nie masz głowy do interesów.

– Kto tam wie, do czego się głowa nada, jak jest okazja. Mój jeden koleżka, co my byli razem we wojsku, też nie miał głowy do interesów, a po wojnie księdzem został.

– To co inne. – Olkiewiczowa machnęła ręką, wstała od stołu i podeszła do kredensu. Otworzywszy jedną z szafek, wydobyła puszkę po herbacie, jeszcze w wojennych czasów, z pięknym obrazkiem przedstawiającym jakąś jasnowłosą królową trzymającą w dłoniach tarczę i miecz. Napis na puszcze głosił „Gott strafe England”. Anastazy, który przed wojną chodził do niemieckiej szkoły, znał niemiecki i dlatego wiedział, że groźba ukarania Anglii się nie spełniła. Nie wiedział tylko, co to wszystko wspólnego ma z herbatą.

– Ja to herbaty, mamusia, nie chcę. Napity już jestem po tej kawie. – Wskazał ręką na opróżniony przez siebie porcelanowy, biały kubek.

– Łe, to nie o herbatę się rozchodzi.

Zdjęła dekielek i włożyła dłoń do puszeki.

– Idzie o klucze od zakładu wuja.
– To mamusia ma klucze?
– A kto ma mieć? Jak policja już wszystko przejrzała w środku, to mi kazali zakluczyć. No to i mam klucze. A drugie też miałam od zawsze, bo wuja kazał mi tam raz na jakiś czas wszystko ogarnąć, to się chodziło sprzątać. Nie powiem, nawet nieźle mi płacił za te wypomóżki... A teraz...

Znów otarła łzę skrajem fartucha.

– Masz, idź se tam szpynij. Może jaka myśl cię najdzie, synek, co z tym wszystkim począc, bo do interesu to ty się nie nadajesz, bo żeś nie jest robotny. A na szkiele w sam raz, bo wiadomo, że w policji człowiek się nie urobi, a swoje zarobi.

Anastazy wziął od matki pęk kilku kluczy z drewnianą tabliczką, na której ktoś ładnymi literami napisał: „Antryjka”.

– To ja się ino tam przelecę – stwierdził, chowając klucze do kieszeni marynarki.

– Ino żebyś gdzie nie łaził za długo, bo jak Elusia wróci z miasta, to obiad będzie.

– Nie zasiedzę się, niech się mamusia nie martwi. – Ucałował kobietę w dłoń i zaraz wyszedł z mieszkania, zabierając po drodze palto z wieszaka. Ogromnie ciekaw był tego warsztatu, do którego ostatni raz zaglądał ładnych kilka lat temu, zanim ze swoim pułkiem wyruszył na wojnę bolszewicką. Wtedy z wujem na pożegnanie wychylili butelkę wódki, zagryzając pierwszorzędną, suszoną kiełbasą. Na wspomnienie tej kiełbasy poczuł, że zaczyna się robić głodny. Pomyślał nawet, że może lepiej byłoby zawrócić do domu i coś jeszcze przegryźć przed obiadem, ale był już na podwórku i na myśl o tym, że ma wracać na trzecie piętro, natychmiast odechciało mu się jedzenia.

Wyszedł na ulicę i rozejrzył się wokół, zadowolony, że znów oddycha poznańskim powietrzem. Jak zwykle na Mostowej niewiele się działo. Minął go, podzwaniając pustymi flaszками, wóz z browaru Huggera, jadący od strony Chwaliszewa. Wąsaty woźnica nawet na niego nie spojrzał, poganiając batem lichą chabetę, która wlokła się noga za nogą. Po drugiej stronie kilku małych wywijasów z kijami w dłoniach, głośno krzycząc, goniło rudego psa, który uciekał, aż się kurzyło, z podwiniętym ogonem. Anastazy uśmiechnął się pod nosem. Nic tu się nie zmieniło od czasu, gdy stąd wyjeżdżał. Ten sam kościół przy Grobli i te same kamienice na Mostowej, no może tylko trochę bardziej odrapane. Wydobył z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego, a potem dziarskim krokiem ruszył w kierunku mostu Chwaliszewskiego. Tuż za nim zaczynała się ulica Wielka. Z niej do warsztatu, który został po wuju, były już dwa kroki. Naraz zatrzymał się, spojrzawszy na drugą stronę ulicy. Odrapane drzwi niezbyt zachęcały przechodniów do wejścia, ale szyld nad nimi – przedstawiający srebrną rybę na patelni i napis: „U Okonia”, a pod nim mniejszymi literami: „Wyszynk wódek i likierów” – sugerował, że można tu dobrze zjeść i wypić.

U Okonia zawsze było świeże piwo, pomyślał i niewiele się zastanawiając,

przeszedł na drugą stronę. Nie zawadzi sprawdzić, czy piwo w Poznaniu smakuje tak jak dawniej. A wuja się nie pogniewa, że się trochę spóźnię do niego w odwiedzin. W końcu jemu i tak jest już wszystko jedno.

Rozdział II

Godzina 11.05 przed południem

– Panie starszy, daj pan jeszcze małąkę. – Grubiński podniósł do góry dwa palce i wskazał nimi na swój stolik. Dwaj jego towarzysze, bracia Kaźmierczakowie, z uznaniem pokiwali głowami. Stojący za solidnym kontuarem z dębowego drewna barman odwrócił się za siebie i zdjął z półki butelkę z czerwoną nalepką. Oderwał zalakowany kapsel i sprawnie wyłuskał ze środka niewielki korek.

– Więc sprawa jest taka... – Tolek nachylił się nieco w kierunku swoich kompanów, żeby głos się za mocno nie roznosił. Uczynił to z zawodowej ostrożności, bo i tak nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby ich podsłuchać. Spotkali się w knajpie Rzeźniczej przy Grochowych Łąkach, a tak zapełniała się po brzegi dopiero koło południa, gdy z położonej niedaleko miejskiej rzeźni wychodzili pracownicy, którzy od świtu zajmowali się szlachtowaniem wieprzków. Poranny ubój właśnie się kończył, a do roboty brali się rzeźnicy, którzy ubite sztuki sprawiali i dzielili na części. Teraz więc w knajpie siedziało zaledwie kilku bezrobotnych, liczących na to, że za chwilę uda się im wejść w bliższą komitywę z pracownikami rzeźni i być może dowiedzą się, czy w najbliższym czasie będą tam przyjmować do roboty. Tolka Grubińskiego i jego dwóch kompanów kompletnie to nie obchodziło. Byli stworzeni do wyższych celów, dlatego nie parali się żadnym ze zwykłych, przyziemnych zajęć. Oni lubili dobrze zarobić, byle tylko się nie narobić. A do tego jeszcze pociągało ich ryzyko i nieodzowny w ich fachu dreszczyk emocji.

– Kamienica jest na Rybakach. Na drugim kiju jest mieszkanie należące do jakiegoś profesora, czy cholera wie kogo, ale grunt, że bogato tam jak w jakim pałacu. Wchodzimy normalnie jakby nigdy nic przez bramę.

– A kto niby nas wpuści? – Zainteresował się natychmiast najstarszy z braci, trzydziestoletni Walek. Bo Kaźmierczaków było trzech, ale najmłodszego z nich, osiemnastoletniego Krystka, starsi bracia nie dopuszczali na razie do knajpianej konfidencji, wychodząc ze słusznego założenia, że gówniarz ma jeszcze czas na wódkę. Pić mu nie pozwalali, ale na ciekawe roboty już zabierali ze sobą, żeby się od najmłodszych lat uczył fachu. Najczęściej młody stał na świecy i pilnował, żeby pracujących starszych braci nikt nie nakrył.

– Mam sztamę ze stróżem – stwierdził zadowolony Tolek, upijając odrobinę piwa z solidnego, szklanego kufla. Nim odłożył naczynie, bufetowy przyniósł na

stół butelkę czystej. Chwycił ją najstarszy z Kaźmierczaków i zaraz rozlał wódkę do kieliszków. Wszyscy trzej mężczyźni wypili bez słowa.

– A klucze będą czy wchodzimy na breszkę? – zainteresował się średni brat, dwa lata młodszy od Walka Leon.

– No coś ty. – Grubiński spojrział na niego jak na wariata. – No przecie gadam ci, że to porządna kamienica. Nie będziemy łamać drzwi jak jakie szuszwale. Jakbyśmy je wyłamali, to ktoś, kto by akuratnie przechodził po schodach, mógłby te połamane drzwi zobaczyć i narobić rabanu. A tak my wchodzimy kurtularnie jako tragarze od mebli. Państwo wyjechali, ale zamówili szafę, co ją trzeba wniesić do góry. No to się wniesie, a potem do chaty, raz-dwa i będzie po robocie.

– Znaczy się, cieć się sprawdził – stwierdził z uznaniem Walek.

– Da nam klucz, a my wchodzimy jak paniska.

– A w środku co? Nikogo nie będzie? – Leon był ostrożny w robocie, więc wołał sprawdzić wszystkie szczegóły.

– Właściciele wyjeżdżają na wieś na kilka dni. Nie ma siły, żeby się wrócili. Wszystko obgadane od początku do końca. Robota szybka, łatwa i przyjemna, a potem można se iść do Opery na ten przykład. Grubiński uśmiechnął się pod swoim starannie ułożonym i podwiniętym z dwóch stron czarnym wąsem.

– Do Opery? – Najstarszy Kaźmierczak był najwyraźniej zdumiony. – A po jaką cholere do Opery?

Tolek wzruszył ramionami.

– Ja w ostatnią niedzielę wzięłem Kryśkę pod mankiet i dalej do Teatru Wielkiego.

– Byłeś w Operze? – Leon spojrział na kompana z niedowierzaniem. Zawsze chciał tam iść, bo wiele słyszał o tym, co też ciekawego można w takim teatrze zobaczyć, ale jakoś jeszcze mu się dotąd nie udało tam trafić. Bardzo był jednak ciekaw tych kolorowych strojów i tych śpiewów.

– No byłem – stwierdził Tolek, ale jakoś tak bez entuzjazmu.

– No i jak było? – zapytał Walek, który też nigdy nie widział operowego spektaklu. Grubiński wzruszył tylko ramionami.

– No gadaj – ponaglił go zniecierpliwiony Leon.

– Kryśce się podobało nawet – wyjaśnił, ale dostrzegłszy, że obaj koledzy patrzą na niego z wyraźnym napięciem na twarzach, zaczął tłumaczyć.

– Śpiewają dość głośno, a i orkiestra, co jest schowana pod podłogą w takiej dziurze, gra tak, jakbyście orkiestrę wojskową na ulicy widzieli. A jak już na tych trąbach zaczęli grać, tom się nawet bał, że Kryśka nie strzyma i zacznie od tego rabanu rodzić, bo brzuch to miała już wielki jak bęben. Ale ona zrobiła tylko wielkie oczy i gapiła się, jakby kto na nią urok rzucił...

– Na orkiestrę? – przerwał mu zaintrygowany Leon.

– Gdzie tam na orkiestrę. Przeciem gadał, że orkiestry nie widać, bo w dziurze siedzi ukryta.

– A po cholere w tej dziurze? – Leon chciał wiedzieć wszystko.

– No diabli ich wiedzą. Może po to, żeby nie zasłaniali tego, co się tam na tej

scenie działa.

– Na scenie? – Walek też najwyraźniej zainteresował się tą zastanawiającą dziurą, w której chowali się muzycy.

– To tam, gdzie jest to przedstawienie. Orkiestra siedzi schowana i gra przez cały czas, a nad nimi wiara w takich kolorowych uniformach lata to w jedną, to w drugą stronę...

– Tańczą? – Leon już się domyślał, w czym rzecz. Jak była orkiestra, to musieli przecież tańczyć.

– Ni cholery! – Grubiński machnął ręką. – Też se myślałem, że jak orkiestra, to będą tańczyć, ale oni ino łazili wte i wewte i najlepsze, słuchajcie, to było to, że oni zamiast do siebie gadać, tak jak w teatrze, to do siebie śpiewali.

Obaj Kaźmierczakowie spojrzeli na Tolka, jakby patrzyli na człowieka chorego na umyśle.

– Jak śpiewali? – bąknął Walek

– No normalnie, nie gadali ze sobą, ino śpiewali.

– Tej, ani mi nie godej. Nie może być! – Leon zaśmiał się zdumiony.

– No tak jakbyśmy se tu przy stole siedzieli i zamiast gadać do siebie, tobyśmy do siebie śpiewali.

– Łe tej, to nic dziwnego w tym nie ma. – Walek machnął ręką, bo już zrozumiał, w czym rzecz. Przecież i jemu zdarzało się nieraz zaśpiewać jakąś piosenkę, szczególnie gdy miał dobry humor po kilku głębszych. – Jak se człowiek wypije, to i śpiewa. – Pokiwał głową ze zrozumieniem. – Musieli być napici.

– W życiu – zaprzeczył Tolek. – Nikt się nawet nie zachwiał ani razu. I to nie sami faceci śpiewali, ale i kobitki piszczwały, jakby je kto ze skóry obdzierał. Powiadam wam, wiaruchna, że czegoś takiego jeszcze, jak żyję, nie widział.

– To niemożliwe, musieli być nachlani. Kto śpiewa na trzeźwo? – Najstarszy Kaźmierczak wiedział swoje. W końcu już niejedno widział w swoim życiu, ale żeby ktoś śpiewał bez wódki, to się nie mieściło w głowie. – I o czym były te piosenki?

– A cholera ich wie. – Tolek wzruszył ramionami. – Po zagranicznemu śpiewali. Ani nie po polsku, ani po niemiecku, ino jakoś tak zupełnie inaczej, bo ni cholery nie dało się zrozumieć. Ale najlepsze jest to, że tym wszystkim, co tam siedzieli i słuchali, to im się to tak bardzo podobało, że co chwilę klaskali z uciechy, tak jakby walkę zapaśniczą w cyrku oglądali. Nawet moja Kryśka klaskała, bo gada, że to takie piękne było...

– Ludzie to głupie są. – Walek sięgnął po butelkę i rozlał wódkę do kieliszków. Wszyscy natychmiast chwycili je w dłonie i wypili. W tej chwili drzwi od knajpy otworzyły się i do środka wkroczył najmłodszy z trójki braci. Ubrany był w marynarską, dwurzędową kurtkę, pod szyją zawiązaną miał kanarkową apaszkę, a na głowie wciśniętą nieco zbyt dużą cyklistówkę w czarno-zieloną kratę. Zrobiwszy krok do przodu, przystanął i obrzucił wnętrzem uważnym spojrzeniem. Zobaczywszy swoich, uśmiechnął się od ucha do ucha i ruszył w kierunku ich stolika. Barman, gdy spostrzegł, że dosiada się do porządnym

klientów, natychmiast chwycił kufel, napełnił go piwem i ruszył jego śladem. Postawił kufel przed chłopakiem, który już rozsiadał się na wolnym krześle.

– Przynieś pan jeszcze ćwiarteczkę i trzy piwa – zaordynował Tolek.

– Się robi, panie mistrzu – odpowiedział z szacunkiem, bo jakże nie szanować gości, którzy płacą bez gadania i piją tak, jakby dopiero co odebrali tygodniówkę.

– A ty co się tak kielczysz? – mruknął Walek na widok uśmiechniętej gęby młodego.

– Ja? – Krystek udał zdziwienie, choć dobrze wiedział, z jakiego powodu jest zadowolony.

– No gadaj zaraz – ponaglił go Leon.

– Dajcie mu spokój, przecie widać, że szczon zziajany jest – wziął go w obronę Tolek. – Łyknij se piwa i gadaj, z czym żeś tu wleciał.

Obaj starsi bracia spojrzeli najpierw na pełny kufel, a potem na Krystka. Wódki mu pić nie pozwalali, ale na piwo od czasu do czasu mogli się zgodzić. Chłopak uśmiechnął się do nich, nie dostrzegając w ich oczach sprzeciwu, chwycił kufel i pociągnął spory łyk, a potem zwyczajem starszych otarł usta wierzchem dłoni. Zupełnie niepotrzebnie, bo nie miał wąsów, na których mogłaby osiąść piana. Gdy odstawił kufel, sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej kapciuch z tytoniem. Wszyscy trzej poczekali cierpliwie, aż chłopak skręci sobie papierosa, a Leon nawet mu przypalił, żeby było szybciej. Wreszcie, gdy wypuścił pierwszy haust dymu, zwrócił się bezpośrednio do Grubińskiego:

– Mecenasa Witecki wyciągnął kopyta – powiedział z wyraźną nutą zadowolenia w głosie i znów sięgnął po piwo.

– Co? – Tolek aż zaniemówił z wrażenia.

– A to, co żeście słyszeli. Witecki nie żyje.

– Niby jak? Cholera go wzięna i zadusiła – domyślił się Walek. Na to Krystek uśmiechnął się coraz bardziej radosny i zadowolony z wrażenia, jakie jego informacja zrobiła na pozostałych.

– Cholera już dawno jego powinna udusić, ale jak ona nie umiała się za onego wziąć, to w końcu jakiś uczciwy człowiek się za to chycił i gnoja odstrzelił.

Przez chwilę przy stoliku zapanowała kompletna cisza. Dwaj starsi Kaźmierczakowie, a także i Grubiński, musieli przetrwać tę wstrząsającą informację. Dwa lata temu, gdy dwóch braci Kaźmierczaków wpadło na gorącym uczynku podczas włamania, Tolek natychmiast wysupłał wszystkie oszczędności i pobiegł do Witeckiego, który był znany z tego, że broni prostych ludzi. Witecki przyjął pieniądze, ale w obronie nie kiwnął nawet palcem w bucie. Pieniądzy też nie oddał, więc Tolek nie miał wyjścia, musiał przekupić sędziego. Z tym nie było większego problemu i sędzia zgodził się za odpowiednią kwotę wypuścić obu przestępców. A mecenasa Witecki mógł spokojnie liczyć czas do chwili, gdy Grubiński się na nim zemści. Niestety Tolek nie zdążył.

– Widzi mi się, że jest sprawiedliwość na tym świecie – stwierdził Grubiński, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Prawda – poparł go Walek. Trzeba by wypić jego zdrowie! – zaproponował

– Nieboszczyka? – Krystek Kaźmierczak był najwyraźniej zdziwiony.
– Głupiś, szczyłu – ofuknął go Leon, rozlewając wódkę do kieliszków. – Zdrowie wypijem, ale tego sprawiedliwego, co tego ścierwola odstrzelił.
– Prawda. – Tolek Grubiński pokiwał głową z uznaniem. – Żeby jego żaden szkieł nie przyskrzypił. – Wzniósł kieliszek w górę.
– Łe, przy takiej okazji to może i ja bym co wypić? – zapytał z nadzieją w głosie Krystek. Leon tylko się uśmiechnął, a Walek, spojrzawszy najpierw na flaszkę, a potem na młodego, odpowiedział łagodnie, ale stanowczo:
– Widziołeś go, gżuba zdalasiałego? Jeszcze ci dundel pod klubrem dobrze nie uschnął a już cię do gorzoły ciągnie?
Krystek spuścił wzrok. Widział, że z Walkiem nie ma żartów. Na picie wódki będzie musiał jeszcze trochę poczekać.

Godzina 11.50 przed południem

Ledwie komisarz Fischer zdążył wejść do swojego pokoju w dyrekcji policji, natychmiast rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – zawołał, siadając za biurkiem.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł aspirant Mayer, młody, może dwudziestopięcioletni policjant, który niedawno zaczął służbę i natychmiast trafił do biura komendanta, nie liznąwszy nawet prawdziwej policyjnej roboty. Chłopak pełnił rolę nieformalnego adiutanta dowódcy, a tak naprawdę szef traktował go jak swojego własnego gońca.

Aspirant podszedł do biurka, stanął na baczność i zameldował:

– Panie komisarzu, aspirant Mayer Stanisław z poleceniem od pana komendanta.

– Spocznijcie, Mayer. – Komisarz uśmiechnął się nieznacznie, jednocześnie pocierając wierzchem dłoni czubek nosa. Przez moment, gdy w pokoju zapadła cisza, zastanawiał się, czego może chcieć od niego sam komendant. Czyżby już zdążył się dowiedzieć o zastrzelonym adwokacie? Oczywiście było to możliwe, ale przecież nie przejąłby się tym tak bardzo, aby wzywać swojego podwładnego na dywanik.

– Jakim poleceniem? – zapytał.

– Z poleceniem, żeby pan komisarz zechciał się pofatygować na dół, bo jest pilnie potrzebny.

– Teraz?

– Tak jest. Pan komendant życzy sobie teraz. Już dwa razy dzisiaj posyłał mnie po pana komisarza.

– No dobrze. A nie mówił, w jakiej sprawie? Może jakie akta będą potrzebne?

– Nic nie mówił, panie komisarzu.

– Dobrze, możecie się odmeldować. Powiedzcie panu komendantowi, że już idę.

Aspirant strzelił obcasami swoich wyglancowanych jak na paradę oficerek

i odwróciwszy się, wyszedł z pokoju sprężystym krokiem.

Ułan, cholera! Fischer patrzył jeszcze przez chwilę w ślad za nim, a potem wolno zwlókł się z fotela. Czego stary może chcieć? – zapytał sam siebie, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Niezbyt często gościł w gabinecie samego komendanta, bo najwyższy szarżą policjant w tym budynku niezbyt interesował się sprawami kryminalnymi. To, co go naprawdę pasjonowało i czemu poświęcał całą swoją energię, była polityka. Fischer miał wrażenie, że jego szef czeka tylko na moment, kiedy będzie mógł wykazać się jakimś spektakularnym działaniem, które zauważą przełożeni w Warszawie i dzięki temu otworzą się przed nim bramy raj, czyli trafi na poważne stanowisko w Komendzie Głównej Policji Państwowej. Ale jak na razie nie działo się w Poznaniu nic takiego, co mogłoby zwrócić uwagę szefów na komendanta Woronieckiego. Gdyby choć jakie niepokoje, które dałoby się spacyfikować przez prężnie działającą policję. Nic z tych rzeczy. Po tym, jak po majowym zamachu wojska garnizonu poznańskiego, które opowiedziały się po stronie rządowej przeciw Piłsudskiemu, wróciły z Warszawy do swoich koszar, witane na ulicy przez wiwatujące na ich cześć tłumy poznaniaków, byli tacy, którzy uważali, że w Poznaniu może coś się wydarzyć, wybuchnąć jak beczka prochu, pod którą ktoś iskrę podłożył. Mówiono nawet, że Poznańskie może dokonać puczu i pod osłoną swoich pułków wypowiedzieć posłuszeństwo Piłsudskiemu. Nic jednak z tego się nie spełniło. Żołnierze wrócili do swoich obowiązków, a Poznaniacy do pracy. Próżno więc byłoby teraz liczyć na cud. No i komendant miał raczej marne szanse, żeby się wyróżnić. W takim razie, myślał Fischer, schodząc po szerokich, marmurowych schodach ze swojego trzeciego piętra na drugie, Woroniecki chce zapewne pogadać o zabitym mecenasie. Tylko skąd tak szybko się o tym dowiedział. Przecież nie mógł mu o tym zameldować żaden z podoficerów, którzy byli tam na miejscu, bo żaden nie dostałby się do komendanta. No chyba że ten jego nowy podwładny Oskierko. Ale aspirant poszedł szukać bufetowego, który dziś w nocy obsługiwał dorożkarzy w knajpie na Świętym Marcinie. Fischer spotkał go, gdy wychodził z mieszkania adwokata. Wtedy Oskierko zameldował mu, że ustalił nazwisko barmana i jego adres i zgodnie z poleceniem zaraz idzie go obudzić, bo zapewne odsypia nockę. Powiedział jeszcze, że ten delikwent mieszka na Wildzie. Fischer pokazał mu nawet kierunek, bo aspirant nie miał pojęcia, że najlepiej tam pójść ulicą Ratajczaka, dokładnie w przeciwnym kierunku jak dyrekcja policji. Więc ten nie mógł raczej wrócić i poinformować o wszystkim komendanta.

Był coraz bardziej zirytowany. Nawet nie zauważył, kiedy dotarł do dwuskrzydłowych drzwi, które prowadziły do sekretariatu najważniejszego poznańskiego policjanta. Zapukał dwa razy i nie czekając na zaproszenie, wkroczył do środka. Sekretarka i maszynistka, pani Jadwiga Mrowińska, siedziała za wielkim, sekretarskim biurkiem na wprost. Na widok Fischera uśmiechnęła się. Zнали się od ładnych kilku lat, bo pracowała tutaj od chwili, kiedy w Poznaniu powstała polska policja. Była więc świadkiem, gdy w dwudziestym pierwszym roku Antoniego Fischera przyjmował do służby jej

poprzedni szef.

– Dzień dobry, pani Jadwigo. – Ukłonił się i ucałował wyciągniętą do niego dłoń. Kobieta uśmiechnęła się zadowolona.

– Pan komendant właśnie jest sam w swoim gabinecie i już czeka na pana komisarza.

– Dziękuję. – Ukłonił się jeszcze raz i ruszył do drzwi gabinetu. Zapukawszy, odczekał chwilę i wszedł do środka.

Wielki jak kłoda drzewa komendant Zbigniew Woroniecki poderwał się z fotela stojącego za solidnym, dębowym biurkiem. Na blacie biurka nie było nic, co mogłoby świadczyć o tym, że wejście podwładnego przerwało Woronieckiemu pracę. Żadnych teczek z aktami czy nawet gazety. Fischer pomyślał, że komendant rozmyślał nad jakąś ważną kwestią w oczekiwaniu na niego i nie miał w związku z tym głowy, żeby czymkolwiek się zajmować. To zaczynało wyglądać poważnie.

– Panie Antoni szanowny! – zawołał na widok Fischera, który słysząc swoje imię zamiast stopnia służbowego, stał się natychmiast czujny. Komendant miał jakiś problem, który zapewne on będzie musiał rozwiązać.

– Melduję się na rozkaz – wyrzucił z siebie regulaminową formułkę, ale jako że nie był w mundurze, a swoim zwyczajem w garniturze, nie stanął na baczność. Komendant tymczasem podszedł do niego i uściskał mu rękę, biorąc ją w swoje obie, wielkie jak bochny chleba dłonie.

– Dajże pan spokój z tym meldowaniem. To nie plac apelowy. Tutaj nie musimy tak oficjalnie, panie Antoni drogi.

Byłem szanowny, teraz drogi... Zaczyna się robić coraz bardziej interesująco. Czego chce ten szczywany lis?

– Zapraszam do stołu, bo mamy do obgadania pewien ważny problem. – Komendant wskazał okrągły stolik kawowy, przy którym ustawiono cztery krzesła wyściełane miękką tapicerką. Był to mebel, przy którym przyjmował specjalnych gości. Fischer, który już kilka razy miał okazję być w tym gabinecie, zazwyczaj siadał na krzesle na wprost biurka przełożonego. Teraz po raz pierwszy potraktowano go jak jakąś ważną fiszę.

Fischer usiadł na wskazanym krześle. Tymczasem komendant wrócił do swojego biurka, nachylił się i z szafki pod blatem wyciągnął butelkę koniaku.

– Martell – powiedział, wskazując na flaszkę. – Lubi pan martella, panie Antoni?

– Owszem – stwierdził zgodnie z prawdą Fischer, który pił tylko ten koniak.

– Bo ja, uważasz pan, tego martella to tak sobie, ale uważasz pan, akuratnie niczego innego pod ręką nie mam. Bo ja to wolę zwykłą, naszą czystą wódkę. Na ten przykład to wolę baczewskiego. Baczewski, jak dobrze schłodzony, to ja panie mogę zawsze, oczywiście w odpowiednich okolicznościach. A dziś jak na złość jest okoliczność, a o baczewskim ja jakoś nie pomyślał.

– A cóż to za okoliczność się zdarzyła? – zainteresował się komisarz.

– Pan, panie Antoni, to w gorącej wodzie kąpany, a mówią, że Poznaniacy znani są ze swojej cierpliwości jak nikt inny w Polsce.

Komendant podszedł do stolika z dwoma kieliszkami. Nie miał koniakówek, ale zwykle stakany do wódki z rżniętego, grubego szkła. Fischer nie był jednak szczególnie przeczulony na punkcie sposobu picia koniaku. Najbardziej smakował mu ze zwykłego, blaszanego kubka, tak jak ten, który pił podczas wojny. Wtedy po raz pierwszy w życiu spróbował martella i ten smak został już na zawsze. Butelkę zdobycznego koniaku postawił mu jego przyjaciel, podporucznik Carl Aschmutat, wdzięczny za ocalenie życia. Fischer, gdy się dowiedział od powracających na własne pozycje żołnierzy, że ranny Carl został we wrogich okopach, wrócił po niego, odnalazł go, wydobył spod zwalów ziemi i drewna i na własnych plecach zaciągnął do swoich. A wszystko pod wrogim ostrzałem. Za ten czyn otrzymał pierwszy Żelazny Krzyż. W sumie miał dwa takie odznaczenia, ale teraz głupio było się nimi chwalić. Na swoim galowym mundurze nosił baretki polskich odznaczeń: Krzyża Walecznych i Virtuti Militari. Ale one nie miały nic wspólnego z martellem.

Woroniecki podsunął mu napełniony kieliszek.

– No to, panie Antoni, że tak powiem, za zdrowie nasze wypijmy. – Chwycił swój i stuknąwszy w krawędź kieliszka Fischera, wychylił koniak jak wódkę. Komisarzowi nie pozostało nic innego, jak pójść w ślady przełożonego, choć zdawał sobie sprawę, że takie chłanie koniaku to prawdziwe świętokradztwo. Wypił i odstawił szkło na blat stolika.

– A okazja jest nie byle jaka, bo powiedzieć by można nawet, że świąteczna, choć święta dopiero za miesiąc. – Zadowolony z siebie komendant klepnął się w udo. Całe szczęście że nie siedzi bliżej, bo pewnie klepnąłby mnie, pomyślał Fischer, który nie znosił zbytniego spoufalania się z ludźmi.

– Cóż to za okazja?

– Szczególna. To, co teraz powiem, panie Antoni, objęte jest całkowitą, absolutną tajemnicą – powiedziawszy to, spojrzał mu prosto w oczy, jakby chciał podkreślić powagę sytuacji. – Nic nie może wyjść poza ściany tego pokoju – powiedział, akcentując wyraźnie każde słowo.

– Oczywiście. – Fischer skinął głową.

– Tajemnica wojskowa – dodał Woroniecki.

– Rozumiem.

– Wie pan, że marszałek bardzo ceni sobie Poznaniaków?

– Tak? – zdziwił się, bo uważał że jest zupełnie inaczej.

– Oczywiście, że tak jest. Bardzo ceni, szczególnie za daninę krwi, jaką wylali podczas powstania, walcząc o przyłączenie tych prastarych ziem do macierzy. Ale także za to wszystko, co poznańskie pułki zrobiły podczas wojny z bolszewikami. Pan walczył na wojnie, panie Antoni, nieprawdaż?

– Owszem.

– Czyli ceni również pana osobiście.

Fischer chrząknął, zamiast odpowiedzieć. Nigdy by nie wpadł na to, że Piłsudski docenia jego wkład w wojnę z bolszewikami. Komendant chwycił butelkę koniaku i ponownie napełnił kieliszki.

– I w związku z tym – ciągnął dalej – chciałem panu powierzyć pewną bardzo

ważną informację. Otóż w otoczeniu marszałka rozważa się możliwość wizyty w naszym mieście. Rozumie pan, chodzi o to, żeby przekonać Poznaniaków, że panu marszałkowi bardzo zależy na tym, żeby skończyć z tym niepotrzebnym, głupim gadaniem o nieprzychylnym traktowaniu przez niego naszego regionu. Marszałek miałby przyjechać do nas z wizytą już niedługo, bo dwudziestego siódmego grudnia, w rocznicę wybuchu powstania. Myślę, że to byłby piękny gest ze strony pana Piłsudskiego. Zgadza się pan ze mną? Rektor uniwersytetu ma wystosować specjalny list zapraszający marszałka do Poznania, żeby wszyscy widzieli, że to nie jest jakaś inicjatywa władz, ale że to środowiska naukowe, a nawet można by powiedzieć, że dalekie od obozu moralnego uzdrowienia, zapraszają.

Fischer skinął głową. Na razie nie miał na ten temat zdania. Zresztą sam uważał że Piłsudski miał w dupie Poznań i Wielkopolskę, a kiedy trzeba było się ruszyć, gdy Poznaniacy chwycili za broń, nie zrobił nic, by powstańcom pomóc. Tak zresztą uważała większość Poznaniaków i dlatego tutaj popierało się legalny rząd, a nie rebeliantów marszałka.

– A czy mógłbym w takim razie zapytać, dlaczego wtajemnicza mnie pan w kwestię przyjazdu pana Piłsudskiego do Poznania?

– Jak to, nie rozumie pan?

– Przyznam, że nie.

– No, panie Antoni szanowny, toż to przecież całkowicie jasne. Pan jako doświadczony policjant, do tego jeszcze z wojskową, chwalebna przeszłością, z mojego polecenia zajmie się zabezpieczeniem tej wizyty. Chodzi o kwestie bezpieczeństwa, zwłaszcza ze strony potencjalnych zagrożeń... Jakby to ująć? Nieprzychylnego potraktowania osoby pana marszałka ze strony elementów politycznie dalekich od tych wartości, które prezentuje pan Piłsudski.

Fischer uśmiechnął się, bo wreszcie pojął, o co chodzi Woronieckiemu.

– Myśli pan, że w Poznaniu może się znaleźć jakiś naśladowca Eligiusza Niewiadomskiego?

– Dobrze pan to ujął. Właśnie w tym rzecz, żeby być czujnym i dobrze rozpoznać zagrożenia.

– Panie komendancie, oczywiście zrobię wszystko, żeby zabezpieczyć tę wizytę, choć moim zdaniem to przede wszystkim zadanie dla kontrwywiadu. Jednak myślę, że ostrożność jest zbyt daleko posunięta. Tu jest Poznań. Tu się nie strzela do politycznych przeciwników. Władzy nie trzeba kochać, ale trzeba ją szanować, i Poznaniacy dobrze to wiedzą. Jednak aby mieć czyste sumienie, posłucham, co się mówi wśród radykalnych endeków. Mam wśród nich kilku znajomych.

– Ale pan chyba nie należy do endecji? – Komendant spojrział na niego badawczo. Fischer uśmiechnął się.

– Nie jestem endekiem i nie jestem piłsudczykiem. Ja, panie komendancie, jestem realistą i legalistą.

– No to w takim razie wypijmy za ten pański realizm.

Obaj policjanci podnieśli swoje kieliszki. Znów wychylili koniak jak wódkę.

Bez przyjemności, za to z zapalem.

Godzina 12.10 po południu

– Przepraszam bardzo...

– Ni ma za co przeproszać. Nic mi nie zrobił.

– Kto nie zrobił?

– No łyn.

– Jaki łyn?

– No łyn sam, znaczy się szkief.

– Szkief? Nic nie rozumiem. Rozejrzał się wokół, szukając jakiegoś rozbitego szkła. Nigdzie ani śladu.

– Szyba się rozbiła? – zapytał.

– Jako szyba?

– Szklana, znaczy ze szkła.

– Szkieła, powiodałam.

– Szkła – poprawił.

– Znaczy się szkief nie nosz, ino galicyjok. – Kobieta w końcu zorientowała się i obrzuciła młodego policjanta badawczym spojrzeniem.

– Nic nie rozumiem – stwierdził z pewnym zniecierpliwieniem Oskierko, ale jako że był dobrze wychowany, postanowił jeszcze raz spróbować i znów wypytać kobietę. Ta siedziała na niewielkim taborecie przed wejściem do nędznej, dwupiętrowej kamienicy, korzystając zapewne z jednego z ostatnich w tym roku ciepłych dni. Listopad był wyjątkowo ciepły, jak rzadko kiedy.

– Pani tu mieszka? – zapytał grzecznie.

– Pani? – zdziwiła się. – Tu żadno pani nie mieszko.

– Aha. – Policjant zrozumiał swój błąd i zaraz się poprawił. – Mieszkacie tu?

– Wew łoficynie na trzecim kiju.

Spojrzał na kobietę badawczo. Była stara i pomarszczona. Mogła mieć z sześćdziesiąt lat. Ubrana była w bufiastą, czarną suknię, na ramiona miała nałożony gruby, wełniany kubrak, a na głowie zieloną chustę, zawiązaną pod brodą. Z nią raczej się nie dogadam, bo musi być niespełna rozumu, skoro bredzi o jakiś kiju, pomyślał i spojrzał w głąb korytarza prowadzącego na klatkę schodową i zapewne na podwórko.

– To ja już pójde – powiedział, uśmiechając się do kobiety, a ta odpowiedziała mu równie miłym uśmiechem, który odsłonił poważne braki w górnym i dolnym uzębieniu.

– Niech idzie, ino niech uwažo na kejtra, co tam lota se luzem po podwórku, bo może chapnąć za girę.

Wzruszył ramionami, bo znowu nic nie zrozumiał. Niby mówiła po polsku, ale jakby jakimś innym językiem. Dziwny ten Poznań, przyszło mu na myśl. A niby wcale nie tak daleko od jego rodzinnego Kalisza. No, ale prawda jest taka, że to zupełnie inny świat.

Wspiął się po trzech schodkach i ruszył korytarzykiem wyłożonym skrzypiącymi, starymi deskami, w który śmierdziało kiszoną kapustą i kocimi szczynami. Gdy wyszedł na podwórko, z wyraźną ulgą wciągnął w płuca powietrze. Wcale nie było rześkie. Tu też wszystko śmierdziało jakąś stęchlizną. Już chciał iść dalej, żeby się rozejrzeć uważniej i zapukać do pierwszych lepszych drzwi, ale naraz dostrzegł, że lepiej by było, gdyby się nie ruszał z miejsca. Jakieś pięć metrów od niego w głębi podwórka stał zjeżony czarny kundel z obnażonymi zębami. Pies wpatrywał się w niego uważnie swoimi lekko zmrużonymi oczyma, a z jego gardła wydobywał się jakiś chrapliwy bulgot. Oskierko poczuł, że po plecach zaczyna spływać mu pot. Z psami nie ma żartów. To bydle może doskoczyć do nogi i porwać nogawkę. Albo jeszcze gorzej – poharatać skórę. Wiedział jednak, że musi coś zrobić, bo przecież nie będzie tak tu stał jak dupa wołowa.

– A pójdziesz ty! – krzyknął, a pies zawarczał głośniej, ale nie ruszył się nawet o centymetr i nadal wpatrywał się złowrogo w policjanta.

Może by gnoja zastrzelić? – pomyślał aspirant Oskierko, spoglądając na kaburę z pistoletem przypiętą do pasa. W końcu, jakby na to nie patrzeć, byłby to strzał oddany w obronie własnej, bo pies najwyraźniej próbuje zaatakować policjanta na służbie, a wiadomo, że takiego funkcjonariusza tknąć nie wolno. Tylko skąd takie głupie bydle ma to wiedzieć? Pies jest głupi i może trzeba by było mu przemówić do tego durnego łba, zamiast wsadzać mu weń kulkę?

Policjant zdjął prawą rękawiczkę, pochylił się nieco, pocierając palec wskazujący o kciuk, i zaczął cmokać głośno, próbując w ten sposób oszukać zwierzę. Nic z tego. Pies najwyraźniej wcale nie był głupi. Warknął groźnie i zrobił krok naprzód. Oskierko cofnął się odruchowo.

– Dobry piesek, dobry, no przepuść pana policjanta, bo pan nie ma czasu... – Spróbował innej taktyki, ale i ta nie zmieniła wrogiego nastawienia zwierzaka. Ten nadal obnażał kły i bulgotał złowrogo. Oskierko poczuł się jak w pułapce. Ruszy do przodu, pies się na niego rzuci, cofnie się, a on za nim. Pistolet! To jedyne wyjście.

Naraz drzwi oficyny z prawej strony otworzyły się i na podwórko wyszedł może dziesięcioletni chłopak w półkożuszkę przepasanym wojskowym paskiem i czapce z daszkiem złamanym na samym środku. Dzieciak spojrzął na psa, potem na policjanta i uśmiechnął się od ucha do ucha. Bez żadnej obawy podszedł do zwierzaka, kopnął go w tyłek, a groźna dotąd bestia, podkuliwszy ogon, uciekła w najdalszy kąt podwórka.

– Ale mi ciągnij stąd, Burek! – zawołał jeszcze za nim i zaraz odwrócił się do policjanta.

– Łyn ino tak straszy, ale jak kto ruszy na niego, to zaraz mo fyfry w galotach. Bojący jest jak szkieber.

Aspirant nieco zmieszany faktem, że chłopak musiał wybawiać go z opresji, chrząknął, potem zakaszłał tak na wszelki wypadek i robiąc groźną minę, wyciągnął z kieszeni notes. Zajrzawszy do niego, odnalazł nazwisko człowieka, którego szukał.

– A mieszka tutaj niejaki Faferek Eugeniusz? – zapytał poważnym, jak mu się zdawało, a nawet urzędowym tonem.

– Mieszko, ale śpi – odpowiedział natychmiast chłopak.

– Znasz go?

– Co mam nie znać, jak to jest mój tatko.

– Aha, to prowadź do ojca, bo muszę się z nim rozmówić.

– Ale tatko śpi, bo mo tytę.

– Co ma? – Znów nie zrozumiał.

– Tytę – powtórzył chłopak. – Znaczy, sprawioł se śrubę i zaległ jak klofta. Jest nie do gadanio.

Coś zaświtało w policyjnej głowie. Chłopak mówił co prawda w narzeczu suahili, ale coś tam się dało zrozumieć. Chyba chodziło mu o to, że ojciec się zmęczył i teraz śpi. Swoją drogą dobrze by było zaopatrzyć się w jakiś słownik polsko-poznański, żeby się nieco poduczyć tych obcych słów, skoro mam tu pracować z tymi ludźmi, pomyślał policjant.

– Prowadź do domu, już ja se z nim pogadam.

Chłopak wzruszył ramionami, a potem wskazał głową wejście do klatki schodowej. Po chwili byli już na pierwszym piętrze. Otworzył drzwi prowadzące do kuchni. Oskierko myślał, że znajdzie się w jakimś zagraconym, śmierdzącym pomieszczeniu, tymczasem kuchnia po prostu błyszczała. Podłoga była świeżo wymyta i wypastowana, stół pod oknem przykryty świeżym, białym obrusem, na którym próżno by szukać najmniejszego okruszka. Podobny porządek panował na lśniącym kredensie. Na lewo od drzwi stał porządny piec na metalowych nogach z czterema paleniskami. Na jednym z nich gotowały się kartofle, od których po kuchni roznosił się smakowity zapach.

– Mamusia poszła do składu po sprawunki – wyjaśnił młody gospodarz. – A tatko śpi tam. – Wskazał drzwi prowadzące z kuchni do pokoju. – Może se pan tam iść, ale ja nie wchodzę, bo tatko zakazał budzić. Może pan oficer sam se da radę.

– Jakoś chyba sobie poradzę. – Oskierko poklepał młodzieńca po ramieniu, nacisnął klamkę i wszedł do sypialni. Od razu poczuł unoszący się w powietrzu ten jedyny w swoim rodzaju smród, którego nie można pomylić z niczym innym. Chrapiący na łóżku delikwent był najwyraźniej kompletnie upity. W pokoju panował półmrok, bo zasłony były zaciągnięte. Aspirant podszedł więc do okna i odciągnął je, wpuszczając do środka dzieńne światło. Otworzył jeszcze jedno skrzydło, by wpuścić nieco powietrza. Poalkoholowy smród natychmiast się ulotnił.

– Co jest, do cholery? – jęknął Faferek, który leżał na łóżku w kalesonach i koszulce. Oskierko zauważył, że marynarka i spodnie powieszzone były starannie na oparciu krzesła.

– Pobudka, panie Faferek! – powiedział głośno i wyraźnie policjant. Mężczyzna otworzył oczy i spojrzał na intruza dość mętnym wzrokiem.

– Jak Boga kocham, nic nie ukradłem – rzucił na wszelki wypadek, żeby od razu wyjaśnić wszelkie wątpliwości co do swojej winy.

– To się jeszcze okaże, panie szanowny. No dalej, budź się pan, bo ja nie mam czasu na pogaduszki.

– Nie? – zdziwił się przebudzony gospodarz. Spuścił nogi i usiadł na łożku. Mógł mieć najwyżej trzydzieści pięć lat. Okrągłą twarz z łysiejącym czołem ozdabiał równo przycięty wąs à la Charlie Chaplin. Potarł zaspane oczy, by po chwili nieco bardziej przytomnym spojrzeniem obrzucić intruza.

– A tak w ogóle to o co się rozchodzi, panie oficerze? – zapytał, gdy w końcu powrócił do rzeczywistości.

– Chciałem wam zadać kilka pytań – wyjaśnił Oskierko, siadając na krześle, które stało przy okrągłym stole na środku pokoju. Widać pełnił on nie tylko rolę sypialni, ale także salonu.

– Wacuś! – zawołał nagle Faferek. Drzwi odtworzyły się i w progu stanął chłopak.

– A piwo żeś przyniósł? – zapytał na jego widok ojciec.

– No pewnie, tatko.

– To dawaj.

Po chwili Wacuś wrócił z żeliwną kanką w ręce i szklanką w drugiej. Ojciec uśmiechnął się do niego a zanim odebrał wszystko od syna, poczochnął mu grzywkę.

– Dobry z ciebie szczonek – stwierdził, a potem wziął kankę i upił porządny łyk. – Uff – sapnął zadowolony. – Tegom potrzebowałem – wyjaśnił, patrząc na policjanta. – To w czym ja władzy szanownej mogę dopomóc?

– Pan żeś pracował w nocy w barze?

– Jak najbardziej. Trzeba na rodzinę zarobić, żeby chłopak w podartych porach nie latał i żeby poruty nie było.

– A nie słyszał pan czego dziwnego w nocy?

– Panie oficerze, jak tyle słyszę ciągle, że kto by tam spamiętał?

– A pamięta pan, kto był w barze w nocy tak między północą a drugą godziną.

– A niby o co tak w ogólności się rozchodzi?

– A o to, co powiedziałem. Pamięta pan, kto był w nocy w barze?

Faferek podrapał się po łysym czole i zmarszczywszy brwi, zaczął intensywnie myśleć.

– No był Macuła, Stefaniak, Stasiak, Hibner i jeszcze ten, no, Walendziak... i więcej nikogo. Sama dryndziarska wiara.

– A ktoś inny?

– No było nad ranem dwóch literatów, znaczy się pisarzy czy poetów, co to wylądowali u nas, żeby się jeszcze dopić. Jeden to się nazywa Kosidowski, czy jakoś tak, a drugi to ja nie wiem, ale oni to przyszli tak o czwartej na klina.

– I nikogo innego nie było?

Barman milczał przez chwilę wpatrzony w swoje bose stopy.

– No był jeszcze jeden, tak coś na drugą było. Jak my usłyszeli ten huk, tak jakby kto strzelił, że Stefaniak nawet powiedział, że ktoś z pistoletu wypalił, to się inni śmiali z niego, że to jego chabeta pierdzi tak głośno, że mu się ze strzelaniem myli, ale mnie się widzi, że to po prawdzie ktoś gruchnął

z pistoletu, bo to jak człowiek na wojnie był, to wie, co pierdnięcie, a co strzał. A potem na wódkę przyszedł taki jeden gość, co się nazywa Grubiński Anatol. Ja jego znam, bo on jest z tych, co to na jumę chodzą i roboty się nie boją.

– Na jumę?

– No lepkie łapy, znaczy się złodziej. Jego tu wszyscy znają, panie kapitanie. A pan go nie zna?

– Ja tu od niedawna w Poznaniu – wyjaśnił oficer. – Jeszcze wszystkich złodziei nie udało się zaznajomić.

– No to zaczyna pan, że tak powiem, z górnej półki, bo o Grubińskim wszyscy wiedzą, że włamywacz, ale jeszcze ani dnia w pudle nie siedział. To artysta w swoim fachu. Nikt jego nigdy nie złapał.

– Nie ma takiego cwaniaka, na którego nie znalazłby się kto lepszy – zauważył Oskierko, zapisując starannie nazwisko włamywacza do swojego notesu. Aspirant był wyraźnie zadowolony z efektów swojego śledztwa. Miał już podejrzanego. Bo skoro ktoś był zawodowym złodziejem, to przecież mógł być i mordercą.

Tymczasem Faferek uśmiechnął się pod swoim niewielkim wąsem. Policjant wcale nie wyglądał mu na cwane. Cwany to był on, a ten szczył w policyjnym mundurze to był zwyczajny żółtodziób. Sięgnął po kankę stojącą na podłodze i wypił kolejny, porządny łyk świeżego piwa z browaru Huggera, najlepszego piwa w Poznaniu.

Godzina 1.10 po południu

Anastazy Olkiewicz przeżegnał się odruchowo na widok trumny, ale zaraz się zreflektował, że uczynił to zupełnie niepotrzebnie, bo ta, mimo że kompletna i przykryta wiekiem, nie zawierała wewnątrz normalnej trumiennej zawartości. Dopiero czekała na swojego właściciela, który miał w niej złożyć swoją doczesną powłokę. Na razie jednak nie zanosilo się na to, że ten piękny, dębowy przedmiot trafi w dobre ręce. Skrzynia stała i czekała na to, co przyniesie los, podobnie jak cały ten opuszczony warsztat, biuro i sala ekspozycyjna z wielką wystawową witryną. Olkiewicz najpierw dokładnie obejrzał trumnę na wystawie, potem zaszedł do warsztatu, jednak tam nic go szczególnie nie zainteresowało. Nie czuł żadnego powołania do dłubania w drewnie. Nie lubił młotków, pił i dłut od czasu, kiedy jako ośmioletni dzieciak mało nie uciął sobie palca, konstruując przemyślny schowek na swoje skarby pod podłogą. Schowka nie zbudował, ale blizna na wskazującym palcu pozostała do dzisiaj. Dlatego teraz, chodząc po warsztacie, na wszelki wypadek nawet nie dotykał ostrych, stolarskich narzędzi. Z uznaniem jednak zauważył, że w niewielkim magazynie na zapleczu stolarni zmagazynowany jest spory zapas desek. Wuj musiał być człowiekiem zapobiegliwym i widać, że kupował materiał do produkcji na zapas.

Po przejrzeniu wszystkiego Anastazy na koniec poszedł do biura. Tam od razu rzuciła mu się w oczy krwawa plama na ścianie. Od razu domyślił się, że jego

krewniak musiał siedzieć na krześle przy biurku w momencie, gdy ktoś palnął mu w głowę. Zaciekawiony podszedł bliżej i zaczął przyglądać się krwawemu śladowi. Pochylił się nad plamą, by z pewnym obrzydzeniem dotknąć otworu po kuli. Macając to miejsce, uświadomił sobie, że w ten sposób dotyka chwili, w której umarł jego wuj. Jako stary żołnierz wiedział dobrze, że kiedy pocisk pistoletowy przebija czaszkę, ołów zagłębia się również w twardej, ceglanej ścianie, która jest dla kuli przeszkodą nie do pokonania. Obcując ze śmiercią, poczuł ciarki na plecach. Ten sam człowiek, którego znał od zawsze, z którym chodził w dawnych latach na ryby nad Wartę, ten, u którego w warsztacie wypijał pierwsze w swoim życiu piwo i palił pierwszego papierosa w tajemnicy przed matką, został zamordowany. Wuj Alojzy Kaczmarkiewicz był dla Anastazego najbliższym mężczyzną po tym, jak ojciec osierocił go, gdy miał cztery lata, dostawszy się po pijanemu pod koła rozpędzonej dorożki. To wuj był dla niego ojcem, którego każdy dorastający chłopak tak bardzo potrzebuje. Sam nie założył nigdy rodziny i być może dlatego niespełnione uczucia ojcowskie przelał na syna swojej siostry. I teraz gdy jego „przybrany” syn wrócił wreszcie do domu, pozostawił po sobie ostatni ślad – dziurę w ścianie kantoru, ostatni zapis swojej ziemskiej ścieżki.

Olkiewicz wcisnął palec w otwór.

– Dziewiątka – powiedział do siebie, fachowo oceniając rozmiar otworu. Ktoś go zastrzelił z lugera, stwierdził i zaczął paznokciem rozdrapywać osypujący się stary tynk. Po chwili gdy wygrzebał już wszystko, co dało się wygrzebać, przyłożył oko do otworu. Niczego jednak nie dostrzegł. Wtedy wpadł na prosty pomysł. Wydobył z kieszeni pudełko zapalek, zapalił jedną i przyłożył do dziury. Na końcu otworu dojrzał srebrzysty refleks.

– Jesteś tu, cholero jedna! – powiedział sam do siebie zadowolony. Natychmiast rozejrzał się wokół, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby mu w jakiś sposób pomóc wygrzebać znalezisko z otworu. Kilka stalówek w szklanym pojemniku i oprawki do nich w metalowym pudełku były w tym wypadku kompletnie bezużyteczne. Wyszedł więc z biura i poszedł do warsztatu. Nie minęła nawet minuta, gdy odnalazł to, co mogło mu się przydać – dłuto i drewniany młotek. Co prawda dłuto stolarskie nie było tak twarde jak murarski podbijak, ale na bezrybiu i rak ryba. Zabrał narzędzia ze sobą i wrócił na miejsce zbrodni. Przyłożywszy dłuto do otworu, zaczął delikatnie uderzać młotkiem w trzonek. Tynk wykruszył się bardzo szybko, ale za chwilę natrafił na cegłę. Anastazy zaczął pracować coraz bardziej intensywnie. W końcu czerwona, ceglana materia zaczęła się kruszyć i...

Cegła pękła. Jeszcze kilka uderzeń młotka i w końcu dotarł do metalu. Podłubał jeszcze dłutem, które wyraźnie się stępiło, ale wreszcie jego działania przyniosły skutek. Otarł pot z łysiejącego czoła i wykonał kilka ostatnich ruchów ostrzem. Spłaszczony nabój wysunął się z dziury. Policjant wziął go ostrożnie w palce. Podmuchał na niego, pozbywając się resztek ceglanego pyłu.

I takie małe gówno zabiło wuję, przeleciała mu przez głowę myśl, ale zaraz o niej zapomniał, szukając czegoś, w co można było owo znalezisko zawinać. Na

podłodze pod biurkiem leżała jakaś pomięta kartka. Podniósł ją, rozwinął i położył na niej wydłubany pocisk. Pozawijał kartkę, tworząc z niej opakowanie, a potem włożył do kieszeni swojego paltka. Rozejrzał się jeszcze wokół, jakby chcąc sprawdzić, czy niczego nie przegapił, ale nie wiedząc, co też mogłoby mu umknąć, wziął z blatu biurka kapelusz i nałożył go na głowę...

– Ręce do góry! – Usłyszał polecenie wydane ostrym tonem. Olkiewicz dobrze wiedział, że jeśli ktoś każe podnieść ręce, to znaczy, że z dużą dozą prawdopodobieństwa ma w dłoni pistolet. Może to ten sam człowiek, który zabił wuja i wrócił na miejsce zbrodni? Komisarz Maciejewski z Lublina powiedział jakiś czas temu, że morderca zawsze wraca w miejsce, w którym popełnił przestępstwo, więc może ten właśnie wrócił? Nie było co niepotrzebnie ryzykować. Na razie trzeba było podnieść łapy, tym bardziej że jeśli facet jest uzbrojony, to w razie oporu może przecież strzelić. Co innego gdyby i on miał przy sobie broń. Gdyby był w mundurze, to miałby w kaburze pistolet, ale na nieszczęście był w tej chwili zwykłym cywilem.

– Co tu robisz, łachudro? – zapytał głos, który jak na razie nie miał jeszcze ludzkiej postaci.

– A gównie cię to obchodzi – warknął hardo Anastazy i natychmiast przestraszył się tego tonu, który mógł przecież rozsierdzić bandytę. Ale nie rozsierdził, bo pytający nie strzelił, tylko odezwał się nieco pojednawczym tonem.

– Obchodzi, bo powinno obchodzić.

Olkiewicz odwrócił się powoli, bo zdało mu się, że skądś zna ten głos. W otwartych drzwiach do biura stał policjant z pistoletem w dłoni. Lufa wymierzona była wprost w Olkiewiczowy brzuch.

– Schowaj tę pukawkę, szuszwolu, bo jeszcze się przypadkiem postrzelisz – rzucił Olkiewicz, rozpoznawszy przeciwnika.

– Jak Boga kocham, Olkiewicz, ty draniu! – zawołał posterunkowy Szczepan Wróbel na widok starego kumpla. – A ja już żem myślał, że to jaki złodziej wlaź tu, żeby zjuchcić co z zamkniętego zakładu.

Schował pistolet do kabury i podszedł do Olkiewicza. Mężczyźni padli sobie w ramiona. Znali się od zawsze, bo mieszkali niedaleko siebie. Wróbel był dużo starszy od Olkiewicza. Gdy Anastazy ruszył na wojnę bolszewicką, Wróbel już był w policji, ale i tak armia wyciągnęła po niego swoją łapę. Poszedł na front niewiele później. Po wojnie Wróbel wrócił do Poznania i do policyjnej roboty, a Olkiewicz został policjantem na Zamojszczyźnie. Okazało się jednak, że to Anastazy w policji zrobił większą karierę. Wróbel bowiem był jak dotąd tylko posterunkowym, podczas gdy jego przyjaciel dosłużył się stopnia przodownika.

– Tyle lat w policji, a tyś tylko posterunkowy – stwierdził Anastazy, spoglądając na dystynkcje na rękawach kolegi.

– No wiesz, awanse dają, ale nie zawsze tym, co na nie zasługują.

– Wiem, wiem, ale niektórzy mają poważne zasługi i dosługują się przodownika.

– Czyli kto? – Wróbel spojrzał na niego uważnie.

– A niby co ty se myślisz, że ja na Zamojszczyźnie to pyry sadziłem? Też jestem policjant i do służby w Poznaniu jestem odkomenderowany. Niedługo też w mundurze będę chodził, a takie łachudry ja ty będą mi się meldować: „Na rozkaz, panie przodowniku!” – Na koniec zaśmiał się głośno, a Wróbel mu zawtórował, przykładając jednocześnie dwa palce do daszka swojej czapki.

– No i kto by się tego spodziewał, że z takiego papudroka wyrośnie przodownik?

– Ja już na froncie bolszewickim miałem starszego sierżanta. I wcale nie za gotowanie grochówki, ale za porządną robotę z karabinem w łapie, że tak powiem – stwierdził z dumą Olkiewicz.

– A teraz, jak żeś wrócił, to akuratnie musiałeś trafić na chwilę, jak ktoś twojego wuja odstrzelił...

Anastazy spojrział na krwawą plamę na ścianie.

– A co wiadomo o tym? – Wskazał dziurę, z której przed chwilą wydłubał pocisk. Wróbel bezradnie rozłożył ręce.

– Nic... w zasadzie.

– Czyli że jak?

– Zasadniczo to nic, bo śledztwo jakoś nie idzie do przodu. Nikt nic nie widział i nikt nic nie wie. Ja tu byłem, jak jego żeśmy znaleźli. To znaczy się ja i taki szczon jeden, co u twojego wuja pracował. On przyszedł do roboty, ale mu nikt nie otworzył, a potem się okazało, że brama od ulicy wcale nie była zamknięta, no to żeśmy we dwóch weszli i żeśmy nieboraka znaleźli z dziurą w czole. Zabity na śmierć był, ale broni żadnej nie było, to i wiadomo od razu, że to nie żadne samobójstwo, ino zabójstwo, znaczy się morderstwo. Ale kto jego zabił, to na razie nie wiadomo. Naczalstwo przejęło śledztwo i wszystko idzie urzędowym torem.

Olkiewicz znał dobrze to określenie. Jak coś szło w policji urzędowym torem, to znaczy, że nie szło wcale.

– Teczka jest założona, zeznania sąsiadów spisane i tyle – wyjaśnił jeszcze dla porządku Wróbel.

– Widzę, jak to jest robione. – Anastazy wskazał na dziurę w ścianie. Nawet nikt nie wydłubał pocisku.

– A po co wydłubywać? – zdziwił się policjant. – No przecie wiadomo, że zastrzelony z dziewiątki. Od razu na oko to widać, z czego dostał w czapę.

– Bo po kuli można rozpoznać, z jakiego pistoletu jest wystrzelona – pochwalił się swoją wiedzą Olkiewicz, który czytał na ten temat artykuł w jakiejś policyjnej gazecie. W jakiej, nie wiedział, bo czytał przypadkowo tylko kawałek, natrafiwszy na tekst w policyjnym wychodku, gdzie któryś z jego podkomendnych pociął na równe kawałki kilka gazet i nabił je na gwóźdź, żeby było czym podcierać policyjne tyłki. No i Anastazy, siedząc na desce, dla zabicia czasu, zanim użył gazety, najpierw ją przeczytał z jednej, potem z drugiej strony, a tam mówiono właśnie o śladach, które zostawia na kuli każdy pistolet i karabin. Teraz ten nawyk czytania przed podarciem procentował.

– A kto prowadzi to śledztwo? – zapytał Olkiewicz przyjaciela. Ten znów

bezradnie wzruszył ramionami.

– Ludzi to ja rozpytywałem, ale śledztwo dostał aspirant Kwaśniewski. Taki młody szczon, co dopiero w policji od pół roku jest. Założył teczkę, wpiął moje raporty przesłuchań i tyle. Nawet tu na miejsce się nie pofatygował. Nawet se dziś pomyślałem, jak zobaczyłem te drzwi uchylone do zakładu, że to on może tu przyszedł coś zobaczyć, ale potem, jak tu już wszedłem, to się okazało że to nie on, ino kto inny, tom se pomyślał, że złodziej. Ale tu i tak nic do ukradzenia nie ma, bo twoja mamusia wszystko, co cenne, zabrała do domu.

– I bardzo dobrze, bo jeszcze by kto mógł co ukraść. – Olkiewicz siadł na fotelu, na którym zginął jego wuj. – I żadnych podejrzeń nie masz? – zapytał Wróbla, który zajął miejsce naprzeciwko na krześle dla interesantów. Posterunkowy zdjął czapkę i położył ją na blacie biurka. Przez chwilę zbierał myśli, podkręcając swojego rudego wąsa. W końcu sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej chusteczkę do nosa. Rozwinął ją i ze środka wydobyl jakiś niewielki przedmiot.

– Wrogów to on nie miał, bo dobry człowiek z niego był. Sam zresztą wiesz... Nikt nic nie powie na niego złego. To i nie wiadomo, czemu ktoś go zabił. Jak ja tu przyszedłem na to miejsce, to się trochę rozejrzałem w środku i znalazłem to. Nie wiem, czy to coś może pomóc, ale nie oddałem tego do śledztwa, bo pewnie ten Kwaśniewski by to gdzie wyrzucił. A dla ciebie to będzie pamiątka.

Przesunął blaszkę po stole w kierunku Olkiewicza. Ten tylko spojrzął na nią, by od razu stwierdzić, z czym ma do czynienia. To był prostokątny, wykonany z blachy cynkowej, kapsel legitymacyjny, przez żołnierzy nazywany nieśmiertelnikiem. Podczas wojny bolszewickiej polscy żołnierze nosili takie blaszki na szyi, żeby w razie śmierci można było każdego poległego zidentyfikować. Kapsel składał się z dwóch części: wyprofilowanej blaszki z podniesionymi do góry brzegami i prostej, która wsuwała się w tę pierwszą jak szuflada w biurko. Wewnątrz żołnierze wkładali kartki z nazwiskiem, datą urodzenia i służbowym przydziałem. Bardziej zapobiegliwi na nieśmiertelniku ryli gwoździem albo nożem swoje personalia. Wuj należał do tych zapobiegliwych. Na blaszce kapsla widniało starannie wryte imię i nazwisko: „Alojzy Kaczmarkiewicz 61pp”.

Godzina 2.20 po południu

– To nie jest żadna propozycja, ale polecenie z samej centrali, rozumiecie? – oświadczył mężczyzna w okularach, który kazał nazywać siebie Profesorem. Ale Marian wiedział, że nie jest to żaden uczoney. Tacy, co to uczą innych, wystawiają się zupełnie inaczej niż przeciętni ludzie. A ten gadał jak zwykły robotnik. No może nie całkiem zwyczajny, ale taki, który czyta gazety i dzięki temu zna więcej mądrych słów niż inni. Marian też czytał, ale zapamiętywanie tych słów przychodziło mu z pewnym trudem. Jakoś nigdy nie miał specjalnych chęci do nauki, więc swoją edukację skończył na trzech klasach

powszechniaka. Umiał pisać i rachować i to mu jak dotąd w zupełności wystarczało. Ale miał w sobie jeszcze sporo sprytu, który bardzo mu się przydawał, tak jak choćby i teraz.

– Ale przecież to jest prawie niewykonalne – stwierdził, zapalając papierosa.

Obaj mężczyźni siedzieli w bufecie na dworcu kolejowym. Spotkali się tutaj, bo Profesor nie był stąd. Przejeżdżał tylko przez Poznań w drodze z Berlina do Warszawy. W Poznaniu miał przesiadkę i trzy godziny oczekiwania na warszawski pociąg. Kilka dni temu, gdy już miał pewność, kiedy będzie wracał, wysłał do Mariana depezę z informacją o godzinie spotkania. No i Marian musiał się na nie stawić. W końcu takie wezwanie było jak rozkaz. Nie miał żadnego wyboru. Choć gdyby wiedział, czego od niego chcą i oczekują, dwa razy by się zastanowił, czy w ogóle się tu pojawiać. No i teraz poczuł, że wdepnął w niezłą kabałę. Bo czym innym jest przecież bycie zwykłym agitatorem i działaczem, a czym innym spiskowcem.

– Nie ma rzeczy niewykonalnych. Są tylko słabi ludzie, którzy niektórym wyzwaniom nie potrafią sprostać.

– Do wypełnienia takiej misji potrzeba kilku osób. Ktoś musi opracować plan, potrzebne są bardzo szczegółowe dane, no i jeszcze potrzeba na to pieniędzy.

– O to się nie martwicie. W centrali już o wszystkim pomyśleli. A co do ludzi...

– Okularnik sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i po chwili wydobył z niej niewielką karteczkę.

– Tu macie adres. Zgłosicie się do towarzysza Tomasza. On zajmie się stroną organizacyjną.

– Kto to jest?

– Nieważne. Ważne, że zna się na robocie jak mało kto. On już wie o wszystkim i pracuje nad szczegółami. Wie też, że do niego się zgłosicie.

– Kiedy mam się z nim spotkać?

– Jak najszybciej. Czasu już nie zostało zbyt dużo, więc trzeba dopracować każdy detal.

Marian zdjął porcelanowy kapsel z butelki i nalał sobie piwa do szklanki. Chłodny płyn spłynął do gardła, przyjemnie je podrażniając. Lubił piwo, ale nie pił zbyt często, bo wolał w każdej sytuacji mieć jasno w głowie. Tego wymagała od niego partyjna praca. Musiał zawsze być czujny i uważać na to, co dzieje się wokół niego.

– A broń? Skąd mam wziąć broń?

Profesor uśmiechnął się i znów sięgnął do kieszeni. Tym razem wyjął z niej niebieską kopertę.

– Tu są pieniądze. Pistolet musicie sobie sami załatwić. Ale z tego, co wiem, nie będzie to specjalnie trudne. Na targowiskach można dostać wszystko.

Nonszalanckim ruchem chwycił kopertę i schował ją w kieszeni płaszcza. Specjalnie zapytał o ten pistolet. Broń można było kupić, ale trzeba mieć na to fundusze, a z tymi ostatnio było u niego krucho. Centrala płaciła mu bardzo nieregularnie. Teraz te pieniądze, które dostał, przeznaczy na coś zupełnie innego, bo broń miał już od jakiegoś czasu. Ale Profesor nie musi o tym

wiedzieć. Nie miał zamiaru wtajemniczać go we wszystkie swoje sprawy. Bo i po co? Dobrze wiedział, że o pewnych rzeczach nie warto mówić. A jak trzeba, łąć nawet w żywe oczy. Przekonał się o tym już nieraz, a kłamstwo uratowało mu życie. Wtedy gdy leżał ranny w ukraińskim przysiółku, też skłamał.

– *On jeszcze żyw* – powiedział ktoś po rosyjsku. Otworzył oczy i dojrzał pochylającą się nad nim wąsatą gębę.

– *Nu dawaj, Sjergiej, ubij jowo* – powiedział ktoś inny, kogo nie mógł dostrzec.

– *Mołczaj, Griszka. Ja charaszo znaju, szto nada sdjełat. U niewo charoszyje sapogi* – powiedział wąsacz i uśmiechnął się do niego, a potem poczuł, jak rozwiązuje mu sznurowadła i zdejmuje buty.

– *Nu, pan, uże pora pomirjat* – stwierdził krasnoarmiejec, wyciągając z kieszeni długi nóż.

– Ja nie pan, ja robotnik – powiedział, patrząc Ruskowi prosto w oczy. – Ja polski komunista – skłamał.

– Jesteś komunistą? – zapytał ktoś czystą polszczyzną, ale z wyraźną wschodnią intonacją.

– Tak. Dlatego do was nie strzelałem – skłamał, wymyślając na poczekaniu wytłumaczenie dla swojej biernej postawy w czasie ataku.

Wąsacz cofnął dłoń uzbrojoną w nóż. Pochylił się za to nad nim jakiś inny mężczyzna. Jego twarz była starannie ogolona, a na głowie miał założony bandaż.

– Jak się nazywasz? – zapytał, uśmiechając się zachęcająco.

– Marian Pytel.

– Skąd jesteś, Pytel?

– Z Poznania.

– To w Poznaniu są komuniści?

– Wszędzie są – stwierdził, przypominając sobie, że nawet znał jednego takiego. Mieszkał dwie kamienice od niego na Łazarzu. Wszyscy o nim mówili, że jest komunistą, ale wtedy przed wojną nikt nie wiedział, o co z tym komunizmem chodzi. Dopiero teraz zrozumiał, czym jest. Był cholernym, śmiertelnym zagrożeniem dla wszystkich normalnych ludzi.

– *Tawariszcz, komisar, nam uże para...*

– *Won, swołocz!* – warknął tym razem po rosyjsku mężczyzna.

– A ty nie kłamiesz mnie czasem? – zapytał, patrząc mu uważnie w oczy.

– Nie kłamię – zełgał i jakoś całkiem łatwo mu to przyszło.

– Jeszcze sobie pogadamy, Marian – powiedział towarzysz i wyprostował się.

– *Bieritje jowo* – krzyknął i Pytel zaraz poczuł, jak jakieś ręce unoszą go ostrożnie w górę. Po chwili leżał w wymoszczonym słomą wozie. I to już było wszystko, co zapamiętał z tego dnia. Ocknął się dwa dni później na łóżku w jakiejś chłopskiej chacie. Rany miał opatrzone i chyba wszystko musiało się dobrze goić, bo nie czuł żadnego przykrego zapachu.

Uniósł ostrożnie głowę, by rozejrzeć się dookoła. Na taborecie przy piecu siedziała jakaś starsza kobieta w zwyczajnej, ciemnej chłopskiej sukni i w białej

chustce na głowie.

– Wody – wyjęczał z trudem. Ona spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Wstała z miejsca i podreptała w stronę drzwi. Tam dostrzegł drewniany cebrzyk. Nachyliła się do niego i wyciągnęła zeń drewnianą chochlę. Podeszła z wodą i przyłożyła mu nabierkę do ust. Wypił łapczywie, połowę rozlewając na koszulę.

– Gdzie ja jestem? – zapytał, ugasiwszy pragnienie.

– U nas – odpowiedziała.

– A wojsko tu jest?

– *Wojsko uszło, tje pier tolko bolszewiki.*

Wróciła na swój taboret zmęczona tymi wyjaśnieniami. Usiadłszy, zastygła z rękoma złożonymi na kolanach.

Gdy znów się ocknął, dostrzegł pochylającą się nad sobą twarz mężczyzny z obandażowaną głową.

– No, żyjesz. – Uśmiechnął się zadowolony.

– Gdzie jestem? – zapytał.

– Jakieś czterdzieści wiorst od przysiółka, gdzieśmy cię znaleźli. Idziemy do przodu, że aż miło patrzeć, jak panowie przed nami uciekają. Jeszcze trochę i zajmiemy Warszawę, a potem i twój Poznań.

– Poznań? – zdziwił się, wyobraziwszy sobie tę brudną bolszewicką hałastę na poznańskich ulicach.

– I Poznań, a dalej już za Polską Niemcy. Tam towarzysze niemieccy już czekają na nas. Razem z Niemcami będziemy prawdziwą potęgą. Ruszemy dalej do Francji i Hiszpanii. Cała Europa wkrótce będzie bolszewicka.

– Czy to się może udać? – zapytał, chyba raczej sam siebie, ale mężczyzna mu zaraz odpowiedział, coraz bardziej podniecony wizją, jaką roztaczał przed swoim jeńcem.

– Oczywiście, że tak. W nas jest ogromna siła, a wszystko dzięki idei, która nas łączy. Na gruzach starego świata wzniesiemy nowy gmach wolności i równości dla wszystkich ludzi.

– A co z tymi, którzy tego nie będą chcieli?

– Kto nie jest z nami, jest przeciw nam. A tych, co są przeciw, trzeba zlikwidować.

– Pan jest Polakiem?

– Oczywiście. Nazywam się Winnicki i pochodzę z Białegostoku.

– I walczy pan z Polakami.

– Nie z Polakami, ale z głupcami. Ci, którzy z nami walczą, powinni zrozumieć, że nie idziemy tu, żeby zabrać im ziemię i fabryki, ale by im je oddać. Ziemia i fabryki powinny należeć nie do jakichś właścicieli, ale do ludzi pracy. Chyba to rozumiesz, skoro mówisz, że jesteś komunistą.

Pokiwał głową, by potwierdzić. Winnicki chyba wyczuł w tym skwapliwym potwierdzeniu jakieś łgarstwo, bo uśmiechnął się i zaraz pogroził mu palcem.

– Ja wiem, żeś ty tylko tak gadał o tym komunizmie, żeby cię tam ci moi *bojcy* nie zaszlachtowali. Ale ja ci powiadam, że jeszcze zrobimy z ciebie prawdziwego

bolszewika, tak jak ze wszystkich rozsądnych Polaków. Czy tego chcą, czy nie, będą bolszewikami i będą kochać naszą władzę i dziękować, że wyzwoliliśmy ich od panów wyzyskiwaczy i jeszcze od tych wszystkich Żydów i ich banków.

Poklepał go po ramieniu i wstał z przystawionego do łóżka taboretu.

– I z tobą też tak będzie, towarzyszu Marianie Pytel. Czy chcesz, czy nie chcesz, i tak będziesz bolszewikiem. Przekonasz się.

– Po co ja wam jestem potrzeby?

– Ktoś musi w tej nowej Polsce wprowadzać nowe porządki. Ktoś taki jak ty nam się przyda. Przydasz się rewolucji.

Przydawał się niezbyt mocno. Jakiś czas temu wrócił do Poznania, ale niczego ważnego nie robił. Miał normalnie żyć i pracować, ale oprócz tego musiał zająć się partyjną robotą, czyli przede wszystkim agitacją bolszewicką. Kiepsko to niestety szło, bo ludzie niechętnie nadstawiali ucha na tę wschodnią propagandę. Szczególnie tu w Poznaniu byli bolszewizmowi niechętni, mimo że nie zaznali tak jak Polacy ze wschodu dobrodziejstw rewolucji. Poznaniacy w większości opowiadali się za endecją i nie przepadali nawet za socjalistami. Nie miał więc kogo przekonywać, ale swoją robotę wykonywał rzetelnie, tak jak go tego nauczono na kursach w Moskwie. Rozkładał bolszewickie ulotki, które dostarczano mu z Warszawy i Berlina, i na tym właściwie kończyła się jego rola. Do dzisiaj. Do chwili spotkania z Profesorem, który zlecił mu zupełnie nowe zadanie.

– A co tu dają dobrego do jedzenia? Bo na samym piwie to ja do Warszawy nie dojadę – zapytał przybysz.

– Ten bufet w całym Poznaniu znany jest z tego, że podają tu świetną kaszanę na gorąco.

– Kaszanę? A cóż to jest takiego?

– Czarna kiełbasa.

– To chyba niezbyt wykwintne danie?

– Ale za to jakie smaczne. – Pytel, który nienawidził kaszanki, uśmiechnął się. Miał nadzieję, że Profesorowi również nie będzie smakować. Ale niech zamawia i jak będzie jadł, trzeba mu będzie opowiedzieć, jak to czarne paskudztwo się robi.

Godzina 7.30 wieczorem

Aspirant Oskierko stał w bramie kamienicy przy ulicy Mostowej i spokojnie palił papierosa. Był ubrany po cywilnemu, więc nikt nie zwracał na niego uwagi. Tym bardziej, że w płaszczu przypominającym wojskowy szynel i czapce cyklistówce wyglądał jak jeden z tutejszych. To przebranie wzięt z policyjnego magazynu, bo gdyby się ubrał w swoje cywilne rzeczy, pasowałby tutaj jak kwiatek do kożucha. Na szczęście poradził się wywiadowcy. Tajniak Jan Pocięcha, którego przydzielił mu Fischer do pomocy w śledztwie, otaksował

aspiranta uważnym spojrzeniem, a potem, uśmiechając się, stwierdził, że na takiego człowieka o średnim wzroście i średniej budowie coś się w magazynie powinno znaleźć. Oskierko zrobił wielkie oczy, bo nie miał dotąd pojęcia, że w dyrekcji policji jest jakiś magazyn. Był, i to pełen najróżniejszych strojów. Mieścił się w podziemiach budynku w jednym z pomieszczeń, które kiedyś było aresztancką celą. W środku wisiała może setka najróżniejszych płaszczy i kurtek. Były też marynarki, spodnie, buty i różne nakrycia głowy, od szapokłaków, przez meloniki i kapelusze do robociarskich czapek.

– Za Niemca też tu siedzieli zatrzymani – wyjaśnił Pocięcha, który natychmiast po wejściu zajął się przeglądaniem ubrań. – Teraz jest ich trochę mniej, bo trzyma się ludzi po komisariatach, a tu ino największych bandziorów i dlatego z niektórych cel zrobiło się graciarnie.

– A te ubrania to skąd? – zapytał Oskierko, rozglądając się wokół, ale jak na razie jego spojrzenie nie natrafiło na nic godnego uwagi.

– Różnie. Najczęściej to z depozytów aresztanckich, jak się który przekręci w pudle, to jego lompę trafiają do nas.

– I ktoś z nich korzysta?

– Czasami. Ot, choćby jak dziś pan aspirant. O, ten będzie dobry. – Ucieszył się, zdejmując z wieszaka workowaty szynel. Oficer zmarszczył nos, bo płaszcz nie pachniał zbyt pięknie.

– Naftaliną mocno sprawiony, żeby go mole nie zżarły. Ale da się przeżyć. No niech pan aspirant założy.

Oskierko przymierzył. Płaszcz był nieco zbyt obszerny, ale pasował całkiem nieźle.

– Do tego jeszcze jakąś lujówkę i będzie fertig.

– Co takiego?

– No czapkę. Bo to z gołą głową nie wypada po dworze łązić.

Po chwili znaleźli odpowiednią cyklistówkę. Do tego wszystkiego wywiadowca dobrał jeszcze chłopskie buty z cholewami i czarne portki.

No i teraz Oskierko, stojąc w bramie, wyglądał jak prawdziwy chłop.

– Tylko ta gęba ogolona za mocno – stwierdził z dezaprobatą wywiadowca. Oficer zrobił się czerwony na twarzy, chrząknął zakłopotany i podniósł kołnierz, który choć trochę przysłaniał gołe policzki. Pocięcha nie mógł wiedzieć, że trafił właśnie w najczulszy punkt aspiranta, któremu zarost na twarzy rósł zdecydowanie zbyt kiepsko. Żeby dodać sobie powagi, Oskierko włożył w usta papierosa i palił powoli i z namaszczeniem, uważając, by nie wciągnąć dymu do płuc i nie zakrzusić się. Na co dzień nie palił papierosów, a smród dymu tytoniowego sprawiał, że robiło mu się niedobrze. Teraz jednak, stojąc na tym punkcie obserwacyjnym, postanowił całą siłą swojej woli zwalczyć słabość. Tkwił tak już w tej bramie od godziny i czekał, co się wydarzy. Wcześniej do mieszkania na trzecim piętrze poszedł Pocięcha, udając handlarza tytoniem. Otworzyła mu młoda, może dwudziestopięcioletnia kobieta z trzymającym się jej spódnicy trzyletnim brzdącem. Wywiadowca zapytał, czy mąż w domu, bo ma

po okazyjnej cenie doskonały tytoń. Pokręciła głową, stwierdziwszy, że może będzie za godzinę, i kazała mu przyjść później, bo na pewno kupią, skoro ma tańszy niż w sklepie. Policjant zadowolony pożegnał się i zszedł na dół. Przeszedł na drugą stronę ulicy, uważając, by nie wdepnąć w końskie łajno, które wielkimi plackami pokrywało bruk.

– I co? – zapytał zniecierpliwiony Oskierko.

– Nie ma go w domu, tak jakem se myślał. O tej porze to pewnie załatwia coś gdzie na mieście, ale jego kobieta powiedziała, że wróci za niedługo.

– Pewni jesteście, że to on tu właśnie mieszka?

– Panie aspirancie, co byłby ze mnie za wywiadowca, jak ja bym nie wiedział, gdzie w Poznaniu mieszkają złodzieje. Ja jego znam już od szczonego, jak jeszcze przed wojną chodził juchcić jabłka z sadów. – Pociecha rzeczywiście dobrze obeznany był z całym poznańskim półświatkiem. W policji bowiem pracował już od ponad dwudziestu lat, swoją karierę wywiadowcy zaczynając jeszcze za pruskich czasów. Zdążył w tym czasie poznać wszystkie poznańskie zakamarki i zaułki, ale przede wszystkim znał ludzi. Gdy więc Oskierko zapytał go o niejakiego Grubińskiego Anatola, ten tylko uśmiechnął się pod wąsem, bo nawet nie musiał sprawdzać w swoich policyjnych notesach, co to za figura. Znał go doskonale, choć nigdy nie udało mu się jeszcze wsadzić go za kratki.

– To niezły cwaniak jest z tego Grubińskiego. Wszyscy w Poznaniu wiedzą, że robi mieszkania na wytrych, ale jeszcze go nikt nie złapał na gorącym uczynku, a po włamaniu nigdy nie ma u niego nic z kradzieży. Zawsze jest czysty, bo umie myśleć – stwierdził z pewną nutą szacunku w głosie.

– No to się przekonamy, co powie teraz – odparł pewny swego Oskierko, który był przekonany, że ten cały Grubiński musiał maczać swoje przestępcze paluchy w morderstwie mecenasa Witeckiego. Przecież nie mógł to być przypadek, że człowiek, o którym wszyscy wiedzieli, że żyje z łamania prawa, zupełnie bez powodu znajduje się w pobliżu miejsca zbrodni krótko po tym, jak do niej doszło. Aspirant stojąc tak w bramie i wpatrując się w wywiadowcę przechadzającego się po drugiej stronie ulicy, zastanawiał się, jakie też robi wrażenie na komisarzu Fischerze, gdy przyprowadzi mu mordercę skutego kajdankami do ich wspólnego pokoju. Już układał sobie w myślach tę scenę.

Wejdzie do biura, a siedzący za swoim biurkiem Fischer przeniesie na niego spojrzenie znad krawędzi gazety i pewnie zapyta, gdzie to się podziewał ostatnio, a on odpowie, że sprawy śledztwa pochłonęły go całkowicie i że przemierzył miasto wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu podejrzanego o morderstwo. Na co Fischer zapewne się uśmiechnie pod wąsem i wygłosi którąś ze swoich sentencji typu: „Chodzi o to, panie Oskierko, żeby się nie nachodzić, ale żeby dojść w odpowiednie miejsce w odpowiednim czasie”. Otóż on, aspirant Oskierko znalazł się właśnie o właściwym czasie we właściwym miejscu. Naraz dostrzegł, że Pociecha wchodzi do bramy i znika wewnątrz. To miał być dla niego sygnał, że poszukiwany nadchodzi. Po chwili dostrzegł dość elegancko odzianego jegomościa w czarnym płaszczu i kapeluszu na głowie, który zbliżał się dość szybkim krokiem od strony mostu Chwaliszewskiego.

Oskierko niby to od niechcienia oderwał się od ściany, którą podpierał już od dość dawna, a potem wolnym krokiem przeszedł na drugą stronę, akurat gdy nadchodzący elegant był już na wysokości bramy. Gdy tylko w niej zniknął, aspirant wsunął się w ciemną przestrzeń za nim.

– Panie Grubiński, chwileczka – rozległ się głos wywiadowcy.

– O co się rozchodzi? – zapytał mężczyzna.

– Pan jesteście Anatol Grubiński?

– Ja, a bo co?

– A bo policja chciała szanownego pana zaprosić na rozmowę.

– Jaką rozmowę, nie mam czasu na ksiuty. – Spróbował wyminąć Pocięchę, ale ten rozłożywszy ręce, zagroził mu drogę.

– Pan pójdzie z nami, panie Grubiński – odezwał się zza jego pleców młody policjant. Tolek odwrócił się natychmiast. Obrzucił Oskierkę uważnym spojrzeniem, a potem stwierdziwszy zapewne, że z gołowąsem nie ma co gadać, spojrzał wyzywająco na starszego wywiadowcę.

– A można się dowiedzieć, o co tak w szczególności się rozchodzi, bo se nie przypominam, żebym ja miał jaką sprawę do policji.

– Dowiesz się wszystkiego na miejscu – rzucił Pocięcha, sięgając jednocześnie do kieszeni swojej kurtki po kajdanki.

– Kiedy ja nic nie zrobiłem – próbował iść w zaparte Tolek.

– To się dopiero okaże, panie Grubiński – oświadczył aspirant, zbliżając się do zatrzymanego. – Lepiej żebyś sobie dobrze przypomniał, co robiłeś wczoraj w nocy u mecenasa Witeckiego.

– Coś się wam chyba w głowach pochachmęciło! – warknął Tolek.

– Dawaj grzecznie rączki! – Pocięcha zrobił krok w jego kierunku, by założyć mu kajdanki. W tym momencie Grubiński szybkim prostym ciosem zdzielił policjanta w szczękę. Ten nie zdążył zrobić uniku i impet uderzenia powalił go na ziemię. Nim Oskierko zorientował się, co się dzieje, otrzymał cios z czoła prosto w nos. Krzyknął z bólu, który – miał wrażenie – rozerwał mu całą czaszkę, i padł na schody prowadzące na górę. Tymczasem Pocięcha spróbował się podnieść i wydobyć z kieszeni służbowy pistolet. Nie zdążył, bo Grubiński był szybszy. Widząc, co się święci, kopnął policjanta w ramię, a broń wyleciała z uzbrojonej ręki. Potem chwycił leżące na posadzce bramy kajdanki, szybko zaplął je na przegubie wywiadowcy i pociągnął go za sobą. Przecisnął drugą obręcz kajdanek przez pierwszą tralkę schodów i z drugiej strony spiął nią rękę aspiranta z rozbitym nosem, który cały czas nie wiedział, co się wokół niego dzieje.

– Zwariowałeś, Grubiński, odczep nas, bo nie wyjdiesz ty z mamra...

– A co ty sobie myślisz, łachudro? – Tolek zbliżył ku niemu swoją twarz, tak że Pocięcha poczuł kwaśny odór przetrawionego piwa zmieszany z tytoniem. – Myślisz, że dam się byle szkiełom w coś zrobić? Niedoczekanie twoje.

Wyjął z kieszeni policjanta klucz do kajdanek, a pistolet, który mu wypadł, kopnął na środek przejścia w bramie, tak żeby żaden z nich nie mógł go dosięgnąć. Nie wziął go nawet do ręki. Wiedział, że gdyby dotknął rewolweru,

mogliby mu dołożyć za napad z bronią na funkcjonariuszy. Nic z tego, za cwany był na takich szuszwoli.

– No to, panowie, że tak się wyrażę, pardonsik, alem nie miał innego wyjścia, jak wyklepać wam michy. Wpadnijcie jeszcze kiedy na piwo, jak już tego mordercę mecenasa dopadniecie, bo Tolek Grubiński nie da się zrobić jak małe dziecko. A teraz panowie wybaczą, ale mam bardzo ważne i niecierpiące zwłoki sprawy na mieście.

Odwrócił się na pięcie i jak gdyby nigdy nic wyszedł z bramy, pogwizdując zadowolony.

– Jeszcze cię dopadnę, Grubiński! – zawołał za nim Pociecha.

– Co? – odezwał się odzyskujący powoli jasność umysłu po nokautującym ciosie aspirant Oskierko.

– Melduję, panie aspirancie, że gnojek uciekł.

– Kto?

– No Grubiński.

– Aha. A jaki Grubiński?

– No ten, co uciekł.

– Aha. Jaki Grubiński, do cholery? Nos mnie boli.

– Do wesela się zagoi.

– Jakiego wesela?

Wywiadowca policyjny Pociecha machnął ręką. Co tam tłumaczyć mu o weselach. Trzeba pomyśleć, jak tu się wywinąć, żeby nie było poruty, i szybko się oswobodzić z tych kajdanek, bo za chwilę ktoś tu wlezie i zobaczy, a później cała wiara na Chwaliszewie będzie się śmiała, że on, stary szkieł, dał się zrobić jak dziecko.

Spojrzał kątem oka w stronę bramy. W wejściu stał może dziesięcioletni, umorusany chłopak, który uważnie mu się przyglądał.

– No co tak stoisz? Zmiataj stąd.

– Chłopaki! – krzyknął brudas. – Wiaruchna, chodźta tu szybko wszyscy. Tu dwóch zakutych w obrączki siedzi. Chodźta, ino migiem!

Już po chwili w bramie zaroilo się od miejscowych szczonów. Nim dwaj policjanci zdołali się uwolnić z kajdanek, o ich nieszczęśliwym przypadku gadała już cała Mostowa.

Rozdział III

Piątek, 19 listopada

Godzina 8.15 rano

Najpierw do pokoju wpadła jak burza jakaś niska, okrągła i rumiana kobieta w futrze i kapeluszu przypominającym hełm, okraszony kilkoma piórkami nad czołem. Odepchnęła tarasującego jej przejście posterunkowego, a dostrzegłszy Fischera siedzącego za biurkiem z fajką w zębach i pochylonego nad porannym numerem „Kuriera Poznańskiego”, wyciągnęła dłoń w oskarżycielskim geście w jego kierunku.

– To pan!

– Ja? – zdołał tylko wyjąkać komisarz, składając natychmiast gazetę.

– To pan! – zawołała po raz drugi, tym razem nieco głośniejszym głosem, podeszła do biurka i usiadła na krześle dla interesantów na wprost policjanta.

– Ale o co się rozchodzi? – zapytał, przyglądając się z ciekawością zdyszanej kobiecie. Mogła mieć około pięćdziesiątki. Oddychała ciężko, zapewne zmęczona pokonywaniem schodów i do tego jeszcze walką z posterunkowym. Ten stał w drzwiach, nie bardzo wiedząc, co teraz ma zrobić.

– No co tak stoisz? – warknął na niego Fischer. – Widzisz, że pani spragniona. Przynieś no szybko szklankę wody.

Po chwili intruzka, wypiwszy wodę podaną przez policjanta, odstawiła pustą szklankę na blat biurka. Jej oddech nieco się wyrównał, ale komisarz był przekonany, że gdyby zbadać jej puls, równy byłby pulsowi zapaśnika, który właśnie skończył wyczerpujący pojedynek. Na szczęście nie musiał przeprowadzać takiego badania. Pomyślał o tym z ulgą, spojrzawszy ukradkiem na jej pulchne ręce. Ona zaś, wbijając mordercze spojrzenie w oficera, znów przystąpiła do ataku.

– Czy my, panie oficerze, żyjemy w jakiejś dzikiej dżungli amazońskiej? – zapytała oskarżycielskim tonem.

– Bynajmniej – odparł zapytany, odkładając jednocześnie fajkę do kryształowej popielnicy.

– No właśnie tak mnie się zdawało. To w takim razie dlaczego policja nasza w Poznaniu, przyzna pan, w cywilizowanym europejskim mieście, stosuje standardy zapożyczone wprost od dzikich Murzynów?

– Pani wybaczy, ale nie bardzo rozumiem.

- Nie rozumie pan?
- Nie. Może zechce pani wyjaśnić, w czym rzecz.
- A zechcę, bo co mam nie zechcieć. Przecież po to tu przyszedłam. Inaczej po co bym się miała tu na górę tarabanić. Bo jeszcze nikt mnie tak nie potraktował...
- Jej ramionami targnął spazm. Zaraz spuściła wzrok... - Jeszcze nigdy nikt...
- Przerwała, by wyciągnąć z niewielkiej torebki białą, wyszywaną chustkę i potarła nią oczy. Fischer od razu dojrzał fałsz w tym przedstawieniu. Ani jedna łza nie zmoczyła tego skrawka materiału.
- Może więc przejdźmy do rzeczy - zaproponował nieco zniecierpliwiony.
- Ano pewno, że przejdźmy. Po to tu jestem, żeby przejść do rzeczy... Jeszcze nigdy nikt mnie tak nie...
- Teraz już komisarz nie wytrzymał i natarł na nią, niemniej jednak nie podniósł głosu.
- Niechże pani wreszcie powie, o co się rozchodzi, i przestanie mi tu odgrywać skrzywdzoną istotę. Proszę powiedzieć, kto pani jest.
- Jestem Pelagia Klockowska, żona kupca kolonialnego.
- Bardzo mi przyjemnie, komisarz Antoni Fischer. Czemu zawdzięczam pani obecność?
- Moją tu obecność zawdzięcza pan temu, że policja w Poznaniu zachowuje się arogancko, nie potrafiąc uszanować biednej kobiety w żałobie po utracie bliskiej osoby.
- Czy może to pani wyjaśnić nieco dokładniej? Bo jak dotąd, nie wiem, kogo mam ukarać za aroganckie zachowanie.
- Spojrzała na niego zdumiona.
- No widzę, że chociaż pan Niemiec, to potrafi pan...
- Nie jestem Niemcem, szanowna pani. - Fischer uśmiechnął się złowieszczo, ale pani Klockowska nie dostrzegła błysku w jego oczach.
- Nie? - zdziwiła się. - A przecież nazwisko ma pan takie niemieckie. Nawet sobie w pierwszej chwili pomyślałam, że to dziwne, że Niemca zostawili w naszej policji...
- Jesteśmy, zdaje się, w Poznaniu, a tu, jak pani zapewne wie, dużo nazwisk niemieckich można znaleźć. Rozumiem, że pani nie jest z Poznania.
- Jak to nie? Mieszkam tu jeszcze od przed wojny. Jednakowoż urodzona w Kaliszu, to niby jak w Poznaniu, bo całkiem niedaleko...
- Przejdźmy więc do rzeczy. - Kolejny raz wszedł jej w słowo, bo nie chciało mu się tłumaczyć, gdzie kończy się Poznańskie, a zaczyna Kongresówka. - Proszę więc wreszcie powiedzieć, o co pani się rozchodzi?
- No jak to o co, o mojego biednego brata, świętej pamięci mecenasa Olgierda Witeckiego.
- To pani brat?
- Naturalnie, że brat. Rodzony brat, ale znacznie starszy, co zapewne pan już zdążył dostrzec.
- Oczywiście. - Skinął głową, choć w tym wypadku wydawało mu się raczej, że było akurat całkowicie odwrotnie.

– I w związku z tym przyszedłam, żeby po pierwsze primo zapytać, jak długo jeszcze morderca mojego brata będzie kalał swoimi żydowskimi, brudnymi buciorami naszą chrześcijańską, poznańską ziemię?

– O, widzę, że pani wie, kto pozbawił życia pana mecenasa.

– Oczywiście. Mój brat został zamordowany, zdradziecko zamordowany, przez żydowską zarazę, którą już dawno trzeba by stąd gdzie wywieźć, żeby się dobrym chrześcijanom na oczy nie pokazywali.

– A skąd pani szanowna ma taką wiedzę?

– Jaka? – zdziwiła się, bo przecież nie dzieliła się z nim żadną wiedzą, a jedynie pewnymi faktami, które nie mogły w żaden sposób być inne.

– O tym, kto zabił pani brata.

– No jak skąd? Przecież wszyscy tak mówią.

– Jacy wszyscy?

Wzruszyła ramionami coraz bardziej wzburzona.

– No wszyscy, pan fotograf, wielce szanowany fotograf pan Maliszewski sam mi o tym opowiedział, gdy przyszedł do mnie z tą hiobową wieścią i powtórzył, co sam pan komisarz powiedział na miejscu zbrodni, że to żydowska robota.

Fischer chwycił blat biurka i gwałtownie nachylił się w kierunku Klockowskiej, a ta przestraszona cofnęła się jak najdalej. Coś się w nim zagotowało i najchętniej strzeliłby tego tłustego babsztyla w papę, ale na szczęście dla niej był człowiekiem dobrze wychowanym i nie stosował wobec kobiet niegodnych metod. Patrząc na nią, przez chwilę żałował, że nie siedzi przed nim mężczyzna. On już by dał mu szkołę. Niestety, nic nie mógł na to poradzić... Jak to nic? Oczywiście, że mógł. Mierząc ją paskudnym spojrzeniem, wstał z fotela i podszedł do drzwi, cały czas obserwowany przez kobietę, która tak naprawdę nie zrozumiała, dlaczego ten Niemiec podający się za Polaka tak się zdenerwował. No przecież nie powiedziała niczego złego. Wszystko, co mówiła, było zgodne z prawdą, tak jak jej powiedział ten fotograf. Przecież nie mógł się zdenerwować o jakichś żydłaków. No chyba że sam był... Kto go tam wie. Nazwisko wcale nie polskie, więc może to Żyd niemiecki, a nie Niemiec.

„Żydowski” policjant tymczasem otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz.

– Posterunkowy! – zawołał głośno i zaraz na korytarzu dało się słyszeć szybkie kroki uderzające podkutymi butami o kamienną posadzkę.

– Na rozkaz, panie komisarzu!

– Pani wychodzi, odprowadźcie ją na dół.

– Tak jest!

– Nigdzie nie wychodzę! – Obruszyła się żona kupca kolonialnego.

– Myli się pani. Ja już skończyłem. Mam ważne sprawy na głowie – warknął Fischer.

– A ja tu właśnie przyszedłam w ważnej sprawie i ani myślę wyjść z niczym.

– Jakie sprawy?

– Otóż ci pańscy policjanci nie chcieli mnie wpuścić do mieszkania mojego świętej pamięci brata. A ja muszę tam wejść, żeby zrobić porządki. O mój Boże, mój mały braciszek nie żyje, a jego dusza błąka się gdzieś w zaświatach... –

lamentując, naraz przypomniała sobie, że przydałaby się chusteczka. Wydobyła ją znów z torebki, ale komisarz nie dał się nabrać na taką tandetną sztuczkę. Jego serce było twarde jak brukowy kamień z poznańskiego rynku.

– Wejdzie pani, jak się zakończy śledztwo, a na razie mieszkanie jest zapieczętowane i nikt nie ma tam wstępu.

– To oburzające. Jak pan mnie traktuje? Ja się poskarżę do samej dyrekcji policji. Ja napiszę pismo...

W tym momencie w drzwiach do pokoju pojawił się aspirant Oskierko, który z przetrąconym i zalepionym plastrami, opuchniętym nosem wyglądał, jakby właśnie zszedł z boksterskiego ringu. Fischer, spojrzawszy na niego, mało nie wybuchnął śmiechem, ale zaraz się powstrzymał, robiąc na powrót groźną minę.

– Jak pani chce, ale ja już nie mam czasu na rozmowy. Panie Oskierko, daj pan szanownej pani Klockowskiej kałamarz, pióro i jaką kartkę, bo pani chce napisać pismo do samego komendanta.

Oskierko skinął głową i ruszył do swojego biurka po pisarskie akcesoria. Gdy podszedł z nimi do Klockowskiej, ta cofnęła się gwałtownie na jego widok. Trzeba przyznać, że można było się przestraszyć tej obitej facjaty.

– A jak już pani wszystko napisze, weźmie pan od pani zeznanie na okoliczność, co robiła w nocy, kiedy doszło do morderstwa.

– Jak to? – Kobieta zrobiła wielkie oczy. Na jej twarzy można było dostrzec autentyczne przerażenie. Fischer tego nie widział, bo był cały czas przy drzwiach, szykując się do wyjścia, ale natychmiast dostrzegł to Oskierko, który jakimś nadzwyczajnym, szóstym zmysłem wyczuł, że jego przełożony nie przepada za tą panią.

– To może najpierw spisujemy zeznanie? – zaproponował, obdarzając Klockowską szpetnym, krzywym uśmiechem. Ta zakryła usta dłonią i poderwała się z miejsca.

– To tak się tu traktuje kobietę w żałobie? Ja nie do dyrekcji, ale do gazety pójdę. Wszystko opiszę. Wszystko powiem.

– Proszę pani, a zeznanie? – zawołał za nią Oskierko, który doskonale wszedł w swoją rolę.

Klockowska odepchnęła Fischera, który blokował wyjście. Przepchnęła się między nim a posterunkowym i wybiegła na korytarz z chyżością, o jaką trudno było posądzać ją wcześniej.

– Jeszcze tu wróć! – zawołała i już jej nie było.

Komisarz otarł pot z czoła kraciastą chusteczką, skinął głową mundurowemu i zamknawszy wreszcie drzwi, podszedł do swojego biurka. Tu zaraz chwycił swoją starą wiśniową fajkę, podpałił tytoń i zasiadł w fotelu.

– Co to było? – zapytał Oskierko.

– To? – Fischer wskazał na drzwi. – To, panie Oskierko, była prawdziwa hekxa.

– Kto? – Nie zrozumiał aspirant.

– Heksa, czyli czarownica, Baba Jaga, taka jak z baśni braci Grimm, co

chciała zeżreć Jasia i Małgosię. Ta tutaj chciała pożreć mnie żywcem. Ale dość o niej. Powiedz pan lepiej, kto panu klukę rozkwasił.

Oskierko natychmiast zorientował się, że ta kluka to po poznańsku nos. Dotknął go ostrożnie czubkiem palca wskazującego, jakby chciał sprawdzić, czy jeszcze jest na miejscu, a potem spuściwszy spojrzenie w dół, powiedział:

– Wczoraj wieczorem chciałem zatrzymać podejrzanego o zamordowanie mecenasa Witeckiego.

– O, i jak widzę, się nie udało. A kogóż to pan chciał zatrzymać, jeśli można wiedzieć?

– Takiego złodzieja, który tej nocy, kiedy to doszło do morderstwa, widziany był w pobliżu. On się nazywa... – Oskierko wydobył z kieszeni palta swój notes i znalazłszy odpowiednią kartkę, przeczytał dokładnie: – On nazywa się Anatol Grubiński.

W tym momencie w biurze zapadła cisza. Aspirant pomyślał więc, że nazwisko podejrzanego wywarło piorunujące wrażenie na Fischerze. Dlatego spojrzał na niego gotów do wyjaśniania szczegółów. Takiego widoku jednak się nie spodziewał. Fischer oparł czoło na lewej dłoni, a prawą położył na ustach. Jego ramiona poruszały się rytmicznie, jakby oficerem wstrząsał szloch. Oskierko aż otworzył usta ze zdumienia, bo jeszcze nigdy w życiu nie widział płaczącego wyższego oficera policji. I pewnie długo nie zobaczy, bo Fischer nie płakał. On dosłownie dławił się ze śmiechu, wyobrażając sobie, jak ten żółtodziób Oskierko próbuje nieporadnie zatrzymać Tolka Grubińskiego.

Godzina 9.30 rano

Marian Pytel wyskoczył ze zwalniającego bieg zielonego tramwaju, który wjeżdżał właśnie na Rynek Wildecki. Nie chciało mu się dojeżdżać do samego przystanku, bo wtedy musiałby się cofać kilkadziesiąt metrów. Tutaj był w odpowiednim miejscu, żeby pójść w ulicę Strumykową, która odchodziła od targowego placu. O tej porze jak zwykle było tu tłoczno, bo na rynku wśród przekupek oferujących warzywa i owoce uwijały się całe rzesze kupujących kobiet z całej Wilidy. Pytel lubił to miejsce, bo urodził się i wychował właśnie w tej dzielnicy, o parę kroków stąd w nędznej suterynie oficyny doklejonej do pięknej secesyjnej kamienicy, przy ulicy... Spojrzał w tamtym kierunku, ale nie miał czasu na odwiedzanie starych kątów. Zresztą, nawet jakby się czas znalazł, to nie było po co tam chodzić. Matka zmarła kilka lat temu, a rodzeństwo rozeszło się po świecie. Pewnie znalazłby się ktoś jeszcze ze starych sąsiadów, ale wolał im się nie pokazywać na oczy. Po co ktoś miałby go sobie przypomnieć. Większość z nich pewnie wiedziała, że zaginął podczas wojny bolszewickiej, a zaginiony na tym froncie zazwyczaj oznaczało, że taki człowiek raczej już do domu nie wróci. Nie było potrzeby wyprowadzania ich z błędu. Im mniej ludzi wie, że żyje, tym lepiej. Przez te lata zmienił się na twarzy, bo zapuścił brodę, wąsy, a i włosy na głowie miał dłuższe, niż

nakazywałyby dobry smak. Do tego jeszcze przy oczach pojawiły się zmarszczki. Niewiele więc zostało z wyglądu młodego człowieka, który obcięty na łyso z ogoloną gębą w mundurze szeregowego piechoty opuszczał swoje rodzinne miasto. Teraz był trzydziestopięcioletnim, postawnym mężczyzną, który utykał lekko na prawą nogę. Bolszewickiemu lekarzowi, mimo że wykonał doskonałą robotę, nie udało się we frontowych warunkach idealnie poskładać przestrelonej kości piszczelowej, więc teraz nie poruszał się tak sprawnie, jakby chciał. No, ale na to już nic nie mógł poradzić. Był jednak na tyle sprawny, że bez problemu mógł sobie pozwolić na skok z jadącego wolno tramwaju. Musiał jednak pamiętać, by skacząc, opaść na lewą, a nie na prawą nogę.

– Panie, panie, ćmiki za pół darmo. – Chudy jak szczapa młodzieniec w czapce z daszkiem i zawieszoną na szyi, opartą na piersi półteczką, podtrzymującą paczki papierosów i pudełko zapalek, zastąpił mu drogę.

Pytel szybko w myślach przeliczył, ile ma w kieszeni drobnych. Stać go było oczywiście nawet na kilka paczek egipskich, ale żeby je kupić, musiałyby wyciągnąć schowaną za rozdartą podszewką płaszcz kopertę, którą wczoraj dostał od Profesora. Jednak taką operację natychmiast mógłby zauważyć któryś z miejscowych złodziei. A tego, że ci byli właśnie w pracy na rynku, był pewien. Wiedział dobrze, że tam, gdzie są sprzedający i kupujący, zawsze pojawiają się amatorzy łatwego zarobku.

– Daj dziesiątkę egipskich – rzucił, namacawszy w kieszeni dwudziestogroszówkę. I jeszcze pudełko zapalek.

– Już się robi szanownemu panu. Dziesiątka i zapaleczki.

Chłopak szybko odliczył dziesięć sztuk i zawinął je w kawałek gazety, tworząc dobrze zapakowany rulon. Podał Pytłowi towar, a on natychmiast wydobył z tej nietypowej paczki jednego papierosa i zaraz go zapalił. Poczawszy przyjemne drażnienie w gardle, zadowolony ruszył w głąb ulicy Strumykowej, mijając narożną kamienicę z czerwonej cegły, która wypełniała przestrzeń pomiędzy solidnymi belkami, tworząc w ten sposób tak zwany mur pruski. Spojrzał w prawo, gdzie do ściany budynku przykleiła się niewielka kapliczka. Dwie kobiety w chustkach na głowie, ubrane w grube swetry i okutane czarnymi chustami, klęczały przed figurką Matki Boskiej, modląc się żarliwie. Odruchowo przeżegnał się, przechodząc obok, ale zaraz potem roześmiał się w głos. Przecież był całkowicie niewierzący, mimo że wychował się w katolickiej rodzinie. Wychowanie to jedno, a wiedza, która mu otworzyła oczy, to drugie. Tylko jeszcze te durne nawyki z młodości tkwiły w nim mocno.

Podążając szybkim krokiem, spojrzał na numer wiszący nad bramą kamienicy. Zaraz zorientował się, że ten, którego szuka, musi mieszkać po przeciwnej stronie. Ale tam nie było żadnego budynku, tylko mur z bramą prowadzącą do jakichś niewielkich warsztatów i magazynów. Przed wojną, kiedy jeszcze jako dzieciak penetrował z kolegami wszystkie okoliczne zakamarki, bywał i tutaj. Wiedział, że za tym murem jest skład opałowy Olszewskiego, magazyn wódek i likierów Grygiera, warsztat ślusarski Bednarka

i jeszcze kilka innych równie interesujących miejsc. Ciekaw był, czy gdyby przekroczył tę bramę, znów znalazłby się w dawnym świecie? Jednak nie miał najmniejszego zamiaru tego sprawdzać. Trzeba było szybko odnaleźć Tomasza, załatwić z nim sprawę i wracać. Tylko dokąd? Do Heleny? Przecież ona nie da mu żyć. Odkąd ubzdurzyła sobie, że go kocha, natychmiast się zmieniła. Zaczęła snuć plany na przyszłość, mówić o dzieciach. Mimo że on już dawno jej oświadczył, że nie może sobie pozwolić na założenie rodziny. Był zbyt odpowiedzialnym człowiekiem, żeby się z kimś wiązać na stałe poprzez małżeństwo. Zresztą ślub w kościele w jego przypadku w ogóle nie wchodził w rachubę. Powiedział jej o wszystkim, kiedy się poznali, twierdząc, że może zaakceptować tylko luźny związek, i ona na to przystała. Ale teraz wszystko się zmieniło. I co miał robić? Mógł od niej odejść i wynająć gdzieś jakie lokum. Tyle że to będzie bardziej kosztowne życie niż z nią, bo trzeba będzie jeść po knajpach, a mieszkając u niej, miał wszystko podane pod gębę. Nie miał więc wyjścia, musiał spróbować to wszystko jeszcze jakoś przeciągnąć, przynajmniej przez kilka najbliższych tygodni, a potem... Potem to się zobaczy. Pewnie będzie musiał zniknąć z Poznania. Może powinien wyjechać za granicę, do Anglii albo Szwajcarii, żeby przeczekać najgorętszy czas. Na szczęście nie był to żaden problem. Miał paszport i mógł jechać, gdzie mu się tylko podobało, ale najpierw trzeba było do końca załatwić sprawę.

Mur oddzielający magazyny i warsztaty skończył się i zaczęła się ściana narożnikowej kamienicy. Dom miał trzy piętra, ale Pytel nie musiał się wspinać na górę. Nie lubił schodów, bo o ile na płaskiej przestrzeni radził sobie całkiem dobrze z chodzeniem, o tyle schody zawsze stanowiły pewien problem. Przy pokonywaniu każdego stopnia ból w nodze stawał się nieznośny. Zatrzymał się przed bramą do budynku i wydobył z kieszeni kartkę, którą dał mu Profesor. Powinien był zgodnie z zasadami konspiracji nauczyć się na pamięć tego, co zapisano na świstku, i natychmiast go spalić. Ale pamięć miał słabą, szczególnie do liczb, więc zachował notatkę, by zniszczyć później, gdy już będzie dobrze znać drogę i tego gościa, którego miał odnaleźć. Spojrzał w głąb bramy. Wewnątrz dostrzegł stróża w czapce z daszkiem i w wojskowym płaszczu. Ciec stał oparty o miotłę, wpatrując się w podwórko. Pewnie musiało tam dziać się coś ciekawego, znacznie ciekawszego od zwykłego ulicznego ruchu.

– Nie bij jej, Antoś, bo się spocisz! – krzyknął stróż i zaśmiał się głośno. Potem wydobył z kieszeni małą butelczynę, pociągnął łyk i zakorkowawszy, schował z powrotem. Z podwórka niosły się jakieś krzyki i piski, a po chwili przez bramę przebiegła może dziesięcioletnia dziewczynka w płaszczyku i bez czapki. Długie, rude włosy miała potargane. Ominawszy zgrabnie stróża, zatrzymała się przy wyjściu na chodnik, odwróciła za siebie i wzięwszy się pod boki, zawołała piskliwym głosem:

– *A szlag zol dich trefen, du meszuge kapoc! Kisz mir in toches!* – Przyłożyła dłoń do nosa i poruszała szybko palcami, jakby grała na trąbce.

Stróż ruszył w jej kierunku, ale dziewczynka przebiegła ulicę i zniknęła za węgłem narożnej kamienicy.

– A przyleż mi ino tu jeszcze, ty żydowski pomioście. Już ja ci pokażę! – zawołał za nią i pogroził kułakiem nie wiadomo komu. Dostrzegłszy Pytla, opuścił rękę i obrzucił go niechętnym spojrzeniem. Przybysz nie zrobił na nim zbyt dobrego wrażenia. Szczególnie te długie, czarne włosy wyłazające spod daszka melonika. Kto wie, może to też Żyd? Pomyślał cięć, patrząc na niego podejrzliwie.

– Co to ona powiedziała, bo nie wiem? – zapytał podchwytliwie Mariana. Ten uśmiechnął się, bo nie trzeba było znać jidysz, żeby zrozumieć.

– Że możecie ją pocałować w dupę i jeszcze coś o tym, co macie między nogami.

– A to małe ścierwo! – warknął stróż, spoglądając w głąb ulicy, jakby się spodziewał, że mała gdzieś się tam pojawi. Zaraz jednak popatrzył uważnie na Pytla.

– A pan to niby skąd wie, co ona po żydowsku gada? Pewnie też Żyd! – powiedziawszy to, splunął pod nogi i roztań plwocinę butem.

– Ja Polak, ale jidysz jest jak niemiecki. Nietrudno zrozumieć. Tu wszyscy rozumieją po niemiecku...

– Ja tam nie rozumiem – przerwał mu opryskliwie stróż i znowu splunął. – Ja rozumiem się po polsku. Bo w Polsce to się gada po polsku, nie? Tak jak Pan Bóg przykazał! A te Żydy to największa zaraza. Przylezie taka na podwórek i chce śpiewać za piniendze! Jakem wyjeżdżał na stałe od nas z miasta Łodzi, to se myślał, że tu Żydów już nie obaczę, ale gdzie tam. Wszędzie to barachło się pcha... A pan to niby czego to szuka?

Marian spojrzał jeszcze raz na kartkę.

– Pan Latała to tu mieszka?

Stróż złapał się za sumiastego wąsa i podkręcił go do góry.

– Mieszka albo i nie. Zależnie, kto się zapytuje i w jakiej sprawie...

– A wy co, jesteście lokajem jaśniepana?

– Czegój?

– Gównno to was obchodzi, kto i po co. Gadać mi tu zaraz, mieszka, czy nie mieszka! – krzyknął wyprowadzony z równowagi Pytel. Szybko się jednak opanował, zobaczywszy, że jego rozmówca aż skulił się w sobie pod wpływem wrzasków. Widać w tej Łodzi nieraz musiał odebrać po pysku od stójkowego. – Ja tu jestem od zadawania pytań, a wy od odpowiadania jak kozia dupa od pierdzenia! – wykrzyknął jeszcze raz bardzo zadowolony z tego, jak dotąd pewna mina stróża żydożercy zmieniła się w potulną mordę głodnego psa. Psa bez czapki, bo zdjął ją, schyliwszy głowę.

– Pan Latała to będzie wew swoim zakładzie, o tam, o. – Wskazał palcem szyld nad wejściem do zakładu zegarmistrzowskiego. Pytel spojrzał za siebie. Przed chwilą przeszedł obok warsztatu i nawet przeczytał ten szyld oznajmiający, że mieści się tu zegarmistrz oraz naprawa zegarków i zegarów. Nie doczytał jednak tego, co napisano małymi literkami: „Mistrz zegarmistrzostwa Latała Tomasz”.

– Jak się nazywacie? – rzucił jeszcze na wszelki wypadek, choć nie miał pojęcia, na jaki.

– Nowak Konstanty.

– Słuchajcie więc, Nowak, ja tu jeszcze mogę zająć za jakiś czas, a wy na wszystko miejcie oko. Rozumiemy się? – Klepnął ciecica w ramię i ruszył do warsztatu.

– Tak jest, *wasze błagorodje!* – odpowiedział Nowak i mało brakowało, aby zasalutował. Nie zrobił tego, bo swoją maciejówkę trzymał w prawej ręce, a czapkę raczej trudno by było oddać salut. Gdy mężczyzna w meloniku, według dozorca zapewne policyjny wywiadowca, zniknął w warsztacie zegarmistrza, stróż wrócił do bramy, nacisnął czapkę na łeb i sięgnął do kieszeni po butelkę. Odkorkowawszy, pociągnął niewielki łyceczek i znów ją schował. Musiał oszczędzać, bo dużo już nie zostało, a do szynku za rogiem jak na razie nie chciało mu się pójść po następną. W końcu jednak będzie musiał. Innego wyjścia nie ma. Przecież nie może cały dzień pracować o suchym pysku. Tym bardziej, że miał pieniądze. Zanim chłopaki z podwórka dorwali tę małą Żydówkę, on najpierw zabrał jej całe dwa złote, czyli to wszystko, co za piosenkę zrzucili jej z okna hojni lokatorzy. Jak przylezie tu jeszcze kiedy, trzeba będzie ją wpuścić. Musiał przyznać, że ładnie nawet śpiewa. Ale nie na tyle ładnie, żeby się z nią dzielić pieniędzmi.

Godzina 11.45 przed południem

– A ci się jak zdaje, kto to mógł zrobić? – zapytał posterunkowy Szczepan Wróbel, patrząc w kufel piwa, który stał przed nim na stole. Policjant był dziś w cywilu, więc bez obawy mógł raczyć się piwem przed południem. Tym bardziej, że sprawa, którą musieli obgadać we dwóch, wymagała zwilżenia gardła, jak to „gardłowa” sprawa. Dlatego spotkali się w barze U Okonia. Obaj mieli tu blisko. Dla Olkiewicza były to dosłownie trzy kroki, ale i Wróbel, który mieszkał na Wielkiej, też nie miał daleko.

– Niby to ja skąd mam wiedzieć? – Anastazy wzruszył ramionami. – Przecie mnie tu nie było.

– No to jasne jak klara, że cię nie było, ale chyba wiesz, z kim się wuja twój zadawał.

– Cholera jego wie. Mamusia będzie wiedzieć lepiej. No przecież wiesz, że ja tu ostatni raz byłem w dwudziestym roku, to będzie już sześć lat, jak my się oba nie widzieli. W przeddzień odjazdu to my nawet wypili i wuja powiadał, żebym uważał, żeby mi nikt na wojnie łba nie odstrzelił, bo jemu by było głupio dla mnie trumienkę rychtować... A teraz, proszę bardzo, to ja dla niego...

– No przecie on już pochowany. – Trzeźwo zauważył Wróbel, choć całkiem trzeźwy nie był, bo pił właśnie, podobnie jak jego kompan, trzecie piwo.

– Ja tak ino gadam, że los się z nas naśmiewa. Bo jak ja jechałem na wojnę, to wuja Alojz powiadał, że on by się w życiu na wojaczkę już nie wybrał, bo za stary jest. No a tu proszę, ledwie ja pojechałem, już za dwa miesiące on szedł w kamasze.

Posterunkowy w cywilu uśmiechnął się, przypomniawszy sobie lato

dwudziestego roku. Bo co Anastazy mógł wiedzieć o tym, co tu się wtedy działo.

– Gadało się wtedy, że lepiej zatrzymać ich na Wiśle, żeby czasem tu do nas nie przyjeźli. To i każdy, kto giwerę umiał w łapie utrzymać, szedł do woja. Wiara na wieść o tym, że bolszewik idzie na Warszawę, garnęła się do armii jak pszczoły do miodu. Nawet ja poszedłem się zapisać. – Dopił swoje piwo i odwrócił się w kierunku szynkwasu, za którym stał wielki jak kłoda Feliksiak, właściciel knajpy. Barman zajęty był polerowaniem wymytych do czysta kuflów z grubego szkła. Robił to powoli i metodycznie za pomocą lnianej ściereczki, a wyglancowane w ten sposób naczynia stawiał do góry dnem na półce za swoimi plecami. Miał niewiele roboty, bo gości było zaledwie kilku. O tej porze jeszcze się raczej nie piło. Piwna biesiada zaczynała się dopiero późnym popołudniem, a kończyła zazwyczaj nad ranem. No chyba że ktoś miał wolny dzień, jak obaj policjanci, albo był bezrobotny, jak trzech amatorów piwa siedzących przy stoliku tuż przy drzwiach. Ci przychodzili tutaj w oczekiwaniu na robotę przy rozładunku barek z piaskiem, które przyływały do miasta co jakiś czas, by dostarczyć wydobywany z dna rzeki materiał niezbędny do budowy nowych domów. A tych ostatnimi czasy stawiało się całkiem sporo, nawet teraz w listopadzie, bo budowlancy wykorzystywali sprzyjającą pogodę, zanim mróz i śnieg uniemożliwią robotę. Dlatego silni mężczyźni od rozładunku mogli tu sporo zarobić. Większość z nich czekała na nabrzeżu koło mostu Chwaliszewskiego. Pijacy woleli polować na okazję przy kuflu. Od rana przychodzili tu również ci, którzy mieli pieniądze i czas, bo najczęściej pracowali nocą, tak jak dwaj bracia Kaźmierczakowie. Ci sęczyli piwo, czekając na swojego kompana Grubińskiego, ale mimo że już dawno minęła godzina, o której mieli się spotkać, Tolek nie nadchodził.

– Panie ober, daj no pan jeszcze dwa grodzisze! – zaordynował Wróbel.

– Się robi dla szanownego pana majstra. – Feliksiak chwycił dwa kufla i podszedł do kranu z piwem. Mówił do Wróbla na znak szacunku: „panie majster”, choć dobrze wiedział, że ten jest policjantem. Jednak wiedział też doskonale, że w knajpie nie powinno się do funkcjonariusza na służbie zwracać: „panie posterunkowy”, żeby pozostali klienci nie czuli się skrępowani faktem, że piją w towarzystwie szkieła.

– Ale tak ja se myślę – Wróbel zamoczył wąsy w świeżo nalanym piwie – że twój wujka to musiał mieć jakiegoś wroga.

– Pewnie, że miał – odparł Anastazy, chwytając za kufel. – Cała armia bolszewicka była mu nieprzyjacielem.

– Nie o tym gadam – zachnął się posterunkowy. – Takiego on musiał mieć, co by chciał jemu zrobić krzywdę. Trzeba by szukać takich, co to mieli z nim interesy na ten przykład.

– Że niby co masz na myśli? – zainteresował się Olkiewicz.

– A no tak se myślę, że jak kto robi interesy, to ma i takich, co to mu są winni bejmy. Trzeba by sprawdzić w jego księgach rachunkowych. Są tam jakie w jego kantorku?

– Pewnie, że są, ale kto by się na tym wyznał. Ja nawet tam zajrzałem, ale

tam ino liczby różne nawypisywane i nic nie idzie się rozeznąć. – Anastazy nigdy nie przepadał za liczeniem, więc równo zapisane rzędkie cyfr natychmiast wywołały u niego odruch całkowitego i słusznego obrzydzenia. Nie miał więc najmniejszych możliwości rozeznania się w rachunkach. Zresztą i tak uważał, że w tych kwitach i tak niczego ciekawego się nie znajdzie. Był przekonany, że jeśli ma do czegoś dojść, to tylko poprzez rozmowy z ludźmi. Już więc chciał coś powiedzieć na temat wrodzonego kretynizmu tych wszystkich policjantów, którzy prawdy szukają nie na ulicy, ale w papierach i aktach, jednak dostrzegłszy dziwne napięcie na twarzy kolegi, wyjaśnił:

– Wszystkie te księgi moja mamusia wzięła do chaty, żeby z kantoru kto nie ukradł.

– To się im przyjrzyj. Może co znajdziesz, kogoś, co jemu nie oddał pieniędzy. Taki ślad może gdzieś zaprowadzić.

– Czy ja tam wiem?

Anastazy zrobił mądrą minę, marszcząc łysiejące lekko czoło, jakby doskonale wiedział, o czym mówi jego kompan. Ale i tak nie rozumiał, co w tych papierach może być takiego ważnego. Wtem drzwi do lokalu otworzyły się i stanął w nich dobry znajomy Olkiewicza – kolega, z którym w młodości chodził do szkoły i nawet przez te kilka lat sześcioletniej edukacji siedzieli razem w jednej, ostatniej ławce.

– Tolek, jak pragnę zdrowia! – zawołał na jego widok Anastazy, zrywając się z krzesła. Podszedł do zdziwionego Grubińskiego i porwał go w ramiona. Dopiero wtedy złodziej rozpoznał dawnego kumpla.

– Niech cie dźwi ścisną, Anastazy, stara łachudro, gdzieżeś się podziewał przez te lata?

– Łe tam. – Olkiewicz machnął ręką. – Dużo by gadać. Chodź ino do stołu, to se piwko wypijemy i się nagałdamy za wszystkie czasy – powiedziawszy to, wskazał ręką kierunek. Grubiński natychmiast rozpoznał Wróbla. W końcu to był miejscowy policjant, a obowiązkiem każdego szanującego się przestępcy było znać policjantów ze swojej okolicy.

– Ale widzę, że masz towarzystwo, a i ja mam tam swoich kumpli. Nie chciałbym przeszkadzać.

– No coś ty, brachu! – Anastazy klepnął dawnego druha z rozmachem w plecy. – To nie żadne towarzystwo, ino Wróbel Szczepan z ulicy Wielkiej. No przecie musisz go znać.

Nie czekając na potwierdzenie, chwycił Tolka za rękaw płaszcza i pociągnął w stronę swojego stolika.

– A to jest właśnie Tolek Grubiński, co my razem do budy chodzili – przedstawił gościa Wróblowi. Ten uśmiechnął się krzywo pod swoim wielkim wąsem. Jemu tego faceta nie trzeba było przedstawiać.

Olkiewicz uradowany ze spotkania nie dostrzegł kwaśnej miny policjanta. Zresztą zaraz po zaprezentowaniu gościa odwrócił się w stronę baru.

– Panie Feliksiak, daj no pan jeszcze trzy piwa i pół literka białej. Trzeba uczcić spotkanie po latach, nie?

– Się robi ekspresowo, panie kierowniku! – Kelner nazwał go kierownikiem bo jeszcze nie wiedział, jak się do Olkiewicza zwracać. Kierownik natomiast był na tyle neutralny i jednocześnie dostojny, że nikt tak nazwany nie miał prawa się o ten tytuł obrazić.

– Siadajże wreszcie, ściągnij ten mantel i gadaj, co tam u ciebie.

Tolek zdjął kapelusz, potem płaszcz i szalik i powiesił wszystko na przytwierdzony do ściany wieszak. Poprawił marynarkę, usiadł naprzeciw Wróbla, który cały czas patrzył na niego spode łba.

Feliksiak tymczasem postawił na stole wódkę, kieliszki i piwo. Olkiewicz natychmiast zabrał się za rozlewanie.

– Bo wiesz ty, Szczepan, że my się chyba od wojny nie widzieli. Co myślisz, Tolek, od wojny to będzie?

– Tak mi się zdaje – potwierdził Grubiński.

– No to gadaj, co porabiałeś przez ten czas, bo ja, uważasz, na wojnie byłem, znaczy się nie tej wielkiej, bo to wcześniej, ale potem i w powstaniu, potem na tej bolszewickiej, a po niej na jakiś czas na Zamojszczyźnie się ostałem. A ty żeś był w powstaniu?

Tolek chwycił kufel i upił spory łyk. No był w powstaniu tak jak każdy porządny chłop, ale kariery tam nie zrobił i dlatego wstydził się tych swoich powstańczych kolei. Miał zwyczajnie pecha.

– Jak wróciłem z wojny w stopniu obergefrajtra, tom zdjął mundur i se myślałem, że już nigdy go nie włożę. No, ale jak się zaczęły te wszystkie niemieckie przemarsze z pochodniami, a do Poznania przyjechał Paderewski i nasi zaczęli na mundury przypinać polskie kokardy, tom se pomyślał, że co to ja glapami futrowany? Znów założyłem mundur i dalej do naszej straży. I jak się wszystko zaczęło, to ja nawet jednego strzału nie oddałem tam pod prezydium policji. Dostałem postrzał w bebechy i pół roku się kurowałem potem w szpitalu. Tylem się nawojowałem.

– No to masz więcej szczęście niż rozumu – podsumował radośnie Olkiewicz. – A potem co żeś robił?

– A potem to różnie bywało...

– A potem to pan Anatol Grubiński zajął się juchtą – wszedł mu w słowo Wróbel.

Olkiewicz przez chwilę patrzył z niedowierzaniem to na Wróbla, to na Grubińskiego, by w końcu wybuchnąć gromkim śmiechem.

– No to żeśmy się ładnie dobrali – stwierdził, unosząc w górę swój kieliszek. – Dwóch szkiełów pije ze złodziejem. A co tam, świat się od tego nie zawali – stwierdził zadowolony, bo nagle przyszło mu do głowy, że stary kumpel może być niezwykle użyteczny w jego prywatnym śledztwie.

Godzina 1.05 po południu

– Ja tam w nic się wtrącać nie lubię, bo pan mnie zna, szanowny panie

doktorze, ale to mi najwyraźniej brzydko pachnie.

– Morderstwo ma to do siebie, że zazwyczaj pachnie niezbyt ładnie – odpowiedział doktor Dąbrowski, unosząc głowę znad swojego biurka zastawionego całymi stertami książek filozoficznych. Bo doktor Dąbrowski nie był lekarzem, jakby mógł pomyśleć kto naiwny, odczytując skrót „dr” na jego bilecie wizytowym. Ów człowiek był doskonale znanym w środowisku poznańskim naukowcem. Bynajmniej jednak nie z powodu swoich prac i osiągnięć naukowych. Na tym polu doktor nie zaszedł zbyt daleko, bo poprzestał jedynie na dysertacji doktorskiej. Cóż, wrócono mu co prawda jakiś czas temu wielką karierę, ale jak sam mówił, jakże człowiek czynu może poświęcać się nauce, gdy dookoła tyle ważnych rzeczy się dzieje. Gdy tyle było do zrobienia dla ludzi, dla Polaków, dla narodu, który się właśnie odradzał i nie bardzo wiedział, w którą stronę pozełgować, pchany wiatrem historii. Bo co też ten naród mógł wiedzieć, gdy w swojej masie był niewykształcony i ciemny. Nie znając własnej historii, nie potrafił dokonywać najprostszych wyborów. Dlatego potrzebni byli przewodnicy, ludzie wyedukowani, którzy potrafiliby ująć w silne dłonie ster tego wstrząsanego falami okrętu. Doktor Dąbrowski uważał się za takiego sternika.

– Ma pan całkowitą rację, drogi panie doktorze – potwierdził to celne spostrzeżenie Maliszewski. – Jednakowoż mnie się rozchodzi o to, że to, co czuje mój nos w tej kwestii, ma zapach nie tylko prochu strzelniczego, ale do tego wszystkiego jeszcze grubej prowokacji politycznej.

Na gładko ogolonej twarzy pojawiło się coś, co tylko z dużą dozą dobrych chęci można by uznać za uśmiech. Filozof podniósł się ze swojego głębokiego, wyściełanego skórą fotela i złożywszy ręce z tyłu, podszedł do okna. Z jego pokoju na drugim piętrze budynku uniwersyteckiego przy Wałach Wazów nie było tak pięknego widoku, jaki rozciągał się z drugiej strony na park i Zamek Cesarski. Był naukowcem zbyt niskiego szczebla, żeby zasługiwać na pokój z reprezentacyjnej strony gmachu. Mógł co najwyżej popatrzeć na fasady języckich kamienic, co raz zasnuwane obłokami pary buchającej z kominów przejeżdżających w dole lokomotyw, które żelazna droga wiodła w kierunku Dworca Głównego.

– To przecież być może całkiem realne – stwierdził Dąbrowski, odwracając się od okna. Szczególnie teraz musimy być przygotowani na różnego rodzaju prowokacje. Oni już przecież wiedzą, że to u nas w Poznaniu, w tym prastarym, polskim bastionie myśli narodowej, kiełkuje idea zjednoczeniowa. To właśnie tutaj z grodu Przemysława już wkrótce popłynie ona w świat i zjednoczy cały polski prawicowy żywioł, a nasz Związek Ludowo-Narodowy przekształci się w twór jasny i piękny – Obóz Wielkiej Polski. Czyż to nie brzmi wspaniale?

– Nazwa jak werbel wzywający do boju! – Zachwycony Maliszewski aż uniósł się na swoim krześle, na którym siedział skromnie jednym półdupkiem.

– No, ale jak pan wiesz, na razie to sprawy tajne i o nich cisza. Ale mimo tej tajności oni już zapewne wiedzą i dlatego próbują za wszelką cenę nas powstrzymać. I tu masz pan rację. Zamordowanie mecenasa Witeckiego

odbieram jako wymierzoną w nas prowokację. Bo jakże można inaczej traktować ten strzał pozbawiający go życia. Jego właśnie, który naszej sprawie oddał wszystkie swoje siły i po nocach pisał nasz program. Jest co prawda oryginał tego programu ukryty przed niepowołanymi oczyma, tak aby mógł zostać ogłoszony na naszym zjeździe czwartego grudnia, ale obawiam się, że w mieszkaniu mecenasa mogły zachować się jeszcze jakieś notatki. I właśnie dlatego chciałem się z panem zobaczyć, drogi panie Wacławie.

Maliszewski uśmiechnął się szeroko. Widać było, że sprawa jest niesłychanie ważna, skoro doktor odezwał się do niego w tak familiarny sposób. Powstrzymał się jednak od zadania pytania, choć zżerała go ciekawość i gdyby dłużej pozostał w niepewności, strawiłaby go całkowicie. Na szczęście filozof nie zamierzał owijać w bawełnę i ruszył prosto za ciosem.

– Chodzi o to, że pan tam był na miejscu.

– Tak jest! – zapewnił gorliwie fotograf.

– A nie rzuciło się panu coś w oczy?

– Że niby co?

– No coś dziwnego, na ten przykład bałagan.

– Nic podobnego, mecenas był osobą na wskroś pedantyczną i wszystko miał poukładane, nawet na biurku, poukładane w najlepszym porządku.

– A papiery? – pytał dalej doktor.

– Papiery poskładane, jak się należy.

– Aha! Jak się należy – powtórzył Dąbrowski. Podeszedł do biurka i chwycił metalową kasetkę na papierosy. Zbliżył się z nią do fotografa, otworzył i podsunął w jego kierunku. Ten skwapliwie przyjął ofiarowanego papierosa. Obaj mężczyźni zapalili. Doktor nie odzywał się przez dłuższą chwilę, pozornie delektując się dymem, ale w rzeczywistości zastanawiał się nad czymś bardzo intensywnie. W końcu spojrzał na fotografa, zmarszczywszy brwi.

– Jesteś pan pewien, że nie było tam wewnątrz oznak... powiedzmy, nadzwyczajnego bałaganu?

– Absolutnie.

– Takiego, powiedzmy, jakby ktoś czegoś szukał. Że tak się wyrażę, jakby kto przeszukiwał mieszkanie.

– Absolutnie. Wszystko we właściwym porządku. Wszystko jest na zdjęciach. Proszę bardzo.

Wstał z krzesła i wydobyl z wewnętrznej kieszeni swojej marynarki szarą kopertę. Dąbrowski wyciągnął zeń plik fotografii powiększonych do rozmiarów widokówek. Oglądał każdą bardzo uważnie, nic nie mówiąc. W końcu jedno ze zdjęć zwróciło jego szczególną uwagę.

– Ta flaszka na stole to wódka, prawda?

– Tak jest. To wódka Machandel.

– Czyli jaka? To jakiś dobry alkohol?

– Ja tam alkoholu to za dużo nie piję, ale z tego, co wiem, to raczej kiepski gatunek dla dorożkarzy.

– I mecenas pił taką wódkę?

– Jak człowieka przyciśnie, to nie patrzy na marki. Musi się napić i tyle. Mus to mus.

– Dziwne.

– Tak samo sobie pomyślałem.

– A policja co o tym sądzi?

– Nic nie mówili, ale komisarz Fischer jest zdania, że mogli w tym mieszać palce Żydzi.

– Głupiec.

– Co proszę? – Maliszewski był szczerze zdumiony.

– Powiadam, że ten Fischer to idiota. Ale czego się można spodziewać po Niemcu?

– On jest Polak...

– Polak to się, szanowny panie, nazywa Dąbrowski albo Maliszewski, a ten Fischer to Niemiec jak nic. Powiadam panu, Niemiec. Ja Niemca zaraz wyczuję na odległość. Przecie Polak nie mówiłby, że to żydowska robota, bo i co Żydzi mieliby do zyskania, zabijając mecenasa? – Spojrzał na Maliszewskiego, ale nie zauważył tam jakiejś inteligentnej myśli, która mogła mu żłobić czoło. Fotograf najwyraźniej czekał na wyjaśnienie.

– Otóż powiem panu, co mogliby zyskać. Kompletnie nic, zero, nul. A wiadomo nie od dziś że *is fecit cui prodest*.

– Że co? – zdziwił się Maliszewski.

– Ten jest winien, komu to przyniosło korzyść.

– Że niby kto?

– Morderca musiał odnieść jakąś korzyść z tego morderstwa. Mecenas mógł się komuś narazić. Nawet opowiadał mi jakiś czas temu, że pewien bandyta, co się nazywa Grubiński, czy jakoś tak, odgrażał się, że mu gardło poderżnie, bo niby mecenas go oszukał w jakiejś sprawie, co miał ją ów bandzior przed sądem. Jak groził, to znaczy, że miał ochotę skrzywdzić mecenasa za swoje złodziejskie sprawki.

– Aha. – Fotograf ucieszył się, bo nareszcie pojął, w czym rzecz. – Znaczy się zabił i coś ukradł.

Doktor popatrzył na swojego gościa, ale zaraz doszedł do wniosku, że nie warto poświęcać czasu na oświecanie głupca.

– Musimy się tam dostać – powiedział stanowczo.

– Gdzie?

– Do mieszkania mecenasa.

– Nie da rady. – Fotograf pokręcił głową. – Wszystko opieczetowane przez policję.

– No to pieczęcie trzeba zdjąć.

– Ale to niemożliwe, szanowny panie doktorze. Znam się na tym. Nie od dziś się pracuje dla policji. Za takie złamanie pieczęci jest kara.

Doktor pokręcił głową, myśląc, że życie, w którym człowiek wyznaczony do przeprowadzania wielkich rzeczy musi stykać się z głupcami, jest wielce niesprawiedliwe. No, ale nie można tracić wiary. Jeszcze w tym wybranym przez

Boga narodzie zrobi się porządek, niestety przy pomocy użytecznych idiotów.

– Chodzi o to, żeby to zrobić zgodnie z prawem.

– Czyli jak?

– Pójdiesz pan do tego niemieckiego policjanta, no jak mu tam...?

– Fischer.

– No właśnie, do tego Niemca Fischera i powiesz mu pan, że część zdjęć się nie udała i musi pan zrobić jeszcze raz.

– Jak to się nie udała? – W głosie fotografa dało się słyszeć wyraźną nutę zawodowego oburzenia. Jakby się przyznał Fischerowi, że zdjęcia nie wyszły, byłby skończony na policji. Jego fotografie zawsze się udawały i na tym właśnie budował swoją markę solidnego fachowca.

– To wszystko dla dobra sprawy naszej. I pan musi się dla niej poświęcić, drogi panie Waławie. To jest, niestety, konieczne.

– Ale, kiedy ja tak powiem, to Fischer powie, że...

– A cóż pana obchodzi zdanie jakiegoś Niemca? Tu jest Polska, to my tu mamy prawa, a nie jakiś Niemiec czy Żyd. Jeszcze trochę i wszystkie te kundle, które zaśmiecają naszą narodową, zdrową polską tkankę, zostaną stąd przepędzone. Polska jest dla Polaków, a nie dla jakiegoś Fischera. Rozumie pan?

Maliszewski przełknął ślinę, poruszając przy tym wystającą grdyką. Opuścił głowę, przyglądając się czubkom swoich idealnie wyglansowanych butów. Zdaje się, że nie miał innego wyjścia, jak pójść do Fischera. A komisarz jest, co tu dużo mówić, człowiekiem naiwnym. Na pewno się zgodzi. tym bardziej że wszystko na miejscu już przejrzał. Powie mu, że musi obfotografować tę dziurę w ścianie i krwawy ślad. To się może przecież udać. Wtedy nie miał ze sobą odpowiedniego obiektywu do zbliżeń, tak mu powie, a teraz zrobi wszystko, jak się należy. Tymczasem doktor przeszuka mieszkanie, znajdzie papiery i tajemnica memoriału programowego nie rozniesie się po gazetach przed grudniowym zjazdem. To się może udać.

– Dobrze, pójdę do Fischera.

– Wiedziałem, że na pana można liczyć. Ot, co znaczy prawdziwy Polak i katolik. Takiej siły nie zmoże żaden obcy żywioł. Bo razem, panie Waławie, jesteśmy silni jak nikt inni. Razem, my, Polacy, to dopiero możemy pokazać Europie, kim jesteśmy, że z nami nie przelewki. I wkrótce im wszystkim udowodnimy, że z nami się trzeba liczyć i nikt, żaden inny kraj, nie będzie nam mówił, jaką politykę mamy prowadzić. Zobacz pan. Wspomni pan moje słowa.

Ale fotograf Maliszewski nie miał pojęcia, o które słowa się rozchodzi, zbyt zajęty układaniem w głowie planu przechytrzenia komisarza Fischera. Jednego był pewien. Na pewno wszystko uda mu się doskonale. W końcu wiadomym jest przecież powszechnie, że Polak, choćby najgłupszy, zawsze mądrzejszy jest od głupiego Niemca. Swoją drogą to ciekawe, że wcześniej nie rozszyfrował tego fałszywca ukrywającego się pod płaszczkiem prawdziwego Polaka. Trzeba na takich bardziej uważać w przyszłości. W końcu tu, w Poznaniu, mieście nadgranicznym, musi być więcej takich farbowanych lisów jak ten Fischer.

Godzina 1.20 po południu

Nie chciało mu się daleko chodzić, więc wybrał restaurację Kantorowicza na 27 Grudnia, dosłownie dwa kroki od dyrekcji policji. Za budynkiem skręcił w prawo, przeszedł kilkadziesiąt metrów i przeciął jezdnię, zeskakując z chodnika na bruk na wysokości bramy prowadzącej do ukrytego w podwórzu Teatru Polskiego. Ilekroć tędy przechodził, zawsze myślał o tym, że teatr, schowany teraz wstydliwie za frontem okazałej kamienicy, doskonale prezentowałby się, gdyby tego budynku przed nim nie było, a do drzwi gmachu wiodłaby szeroka aleja obsadzona drzewami. No, ale żeby do tego doprowadzić, trzeba byłoby tę secesyjną kamienicę wyburzyć, a na takie marnotrawstwo nie mogła zgodzić się racjonalna i dobrze poukładana poznańska dusza komisarza. Trudno, Prusacy nie pozwolili zbudować polskiego teatru przy ulicy, no to już zawsze będziemy tu chodzić na spektakle przez bramę i podwórko na wieczną pamiątkę tamtych czasów. Bo w Poznaniu się nie burzyło, ale budowało i przekształcało. Choćby taki Zamek Cesarski, który powstał tu po to, by Jego Cesarska Mość, w razie gdyby się mu zachciało odwiedzić Poznań, mógł sobie spędzać czas w swojej własnej rezydencji. Przed wojną cesarz jednak nigdy tu nie przyjechał, no a po wojnie nie było w nowej Polsce żadnej koronowanej głowy, która by z mocy prawa przejęła schedę po cesarzu. Przejęło więc ją państwo i miasto. Na początku, zaraz po przyłączeniu Poznańskiego do macierzy, podniosły się głosy, by ten symbol pruskiej dominacji, największy i najokazalszy budynek w mieście, wyburzyć i na tym miejscu postawić... No właśnie, co postawić i przede wszystkim za co – z tym pomysłodawcy wyburzenia mieli już poważny problem. A budynek stał w środku miasta dalej i kuśił swoimi rozległymi pomieszczeniami. Nic więc dziwnego, że zaraz zaczęły się tu lokować różne instytucje wraz z Ministerstwem byłej Dzielnicy Pruskiej. Oczywiście wszystko tymczasowo. Ale wiadomo nie od dziś, że tymczasowość w Polsce najlepiej się trzyma, więc i urzędy w zamku okrzepły, a z czasem jakoś coraz mniej było głosów o wyburzaniu. Nie to, co w stolicy. Tam ze spadkiem po zaborcy poradzono sobie bardzo szybko. Ogromny sobór św. Aleksandra Newskiego rozebrano i dzięki temu stolica miała teraz piękny, wielki i pusty plac, a stołeczni kamieniarze zapasy marmuru na najbliższe sto lat.

Zatrzymał się przed wejściem do restauracji Kantorowicza. Pchnął przeszklone drzwi i od razu skierował się do szatni, w której zostawił swoje palto i kapelusz. Miał nadzieję, że nie spotka tu nikogo znajomego, bo nie miał najmniejszej ochoty na jakieś niepotrzebne pogaduszki. Chciał sobie wszystko poukładać w głowie po rozmowie przeprowadzonej wczoraj z szefem. A było o czym myśleć. Nade wszystko lubił to robić przy dobrym jedzeniu, a u Kantorowicza dawano jeść tak dobrze, jak rzadko gdzie. Podawano tu wysmienite krakowskie kiełbaski z rusztu, wątróbkę, nerki i mózdzek na grzance oraz specjalność szefa kuchni – sznyצל wiedeński z dwoma jajkami,

który zajmował niemal cały talerz, podawany na bukietach jarzyn. Dziś od rana Fischer ułożył sobie w głowie to specjalne menu. Postanowił zacząć od zawieszistej zupy, którą tu nazywano kremem grzybowym z borowików i to całkiem świeżych, nie suszonych, bo u Kantorowicza podawano się świeże borowiki przez cały rok. Wszystko dzięki specjalnemu urządzeniu, które zainstalowano w podziemiach restauracji. Mechanizm ów, sprowadzony z Niemiec, potrafił utrzymywać w swoim wnętrzu produkty włożone tam latem czy jesienią w temperaturze poniżej zera stopni. Była to lodówka zmrażająca nie dzięki bryłom lodu wsadzonym do środka, ale wytwarzająca chłód dzięki elektryczności.

Do tej kremowej zupy postanowił zamówić ów słynny wiedeński sznycel, a do niego pieczone ziemniaki na modłę belgijską, nazywane frytkami. Myśląc o wyśmienitym jedzeniu, ruszył w kierunku reprezentacyjnej sali. W drzwiach do lokalu powitał go kierownik sali Ludwiczak. Mężczyzna w swoim czarnym fraku i białej koszuli, z czarną muszką zapiętą pod świeżo wykrochmalonym kołnierzykiem, jak zwykle prezentował się nienagannie. Czarne włosy zaczesywał do tyłu i układał, używając brylantyny, a na swój równo przycięty wąs nie stosował ani odrobiny pomady, choć już pojawiały się na nim siwe włosy. Widać, że nie był osobą próżną, ale dbającą starannie o swój wizerunek. Fischer zaczął przychodzić tu na śniadania dopiero po tym, gdy zaczął pracę w policji po zakończeniu wojny bolszewickiej, ale wiedział, że Ludwiczak był tu od zawsze. Mówiono, że zaczynał pracę jako młody praktykant na stanowisku pomocnika kelnera. Musiał być niezły w swoim fachu, skoro od kilku ładnych lat zawiadywał całą kelnerską obsługą lokalu.

– Moje uszanowanie dla pana komisarza. – Ukłonił się, ale niezbyt głęboko. W tym ukłonie widać było autentyczny szacunek dla gościa, a nie zwykłą, kelnerską służalczość. – Pan kapitan Jażdżewski już czeka na pana komisarza przy pańskim stoliku.

Fischer spojrzał zdziwiony na kelnera, ale nie dał po sobie poznać, że nie spodziewał się Jażdżewskiego. Za to Jażdżewski najwyraźniej spodziewał się jego. No, ale nie trzeba było być oficerem wywiadu, żeby znając choć trochę Fischera, nie wiedzieć o jego codziennych nawykach. Tymczasem kapitan znał i Fischera i był jednocześnie oficerem Dwójki. Nic więc dziwnego, że chcąc się z nim spotkać nieoficjalnie, wybrał właśnie restaurację, w której komisarz zazwyczaj jadał obiady.

Dojrzał go już z daleka. Jażdżewski ubrany po cywilnemu siedział przy stoliku ustawionym tuż przy wielkim oknie, z którego rozpościerał się widok na ulicę. Trzymał w dłoniach gazetę i wydawał się pochłonięty lekturą. Ale komisarz dobrze wiedział, że czytając, musiał od czasu do czasu przerzucać spojrzenie na uliczny zgiełk. Zapewne więc już dawno dostrzegł Fischera, który przed momentem przeciął ulicę dokładnie z punktu naprzeciwko. Sięgnąwszy więc po gazetę, udawał, że to, co dzieje się na zewnątrz, nic a nic go nie obchodzi.

Policjant podeszedł go stołu i chrząknął znacząco. Jażdżewski spojrzał znad krawędzi gazety i w sposób niemalże doskonały udał zaskoczenie.

– O! Kogóż to ja widzę? Sam pan komisarz!

– Ależ niespodzianka! – Fischer też udał zdziwienie.

Wojskowy, odłożywszy gazetę na stół, poderwał się z krzesła, wyciągając jednocześnie rękę w kierunku policjanta. Ten uściśnął ją, lekko się uśmiechając. Zdażył już zauważyć, że na stoliku nie było nic prócz gazety i paczki papierosów. Jażdżewski więc nie złożył jeszcze zamówienia, najwyraźniej czekając z podjęciem decyzji do czasu przyścia Fischera. Zapewne liczył na to, że komisarz pojawi się tu dzisiaj, choć nie miał stuprocentowej pewności, więc nie zamawiał, ale czekał. W tym spostrzeżeniu upewnił go ubrany w białą koszulę i czarne spodnie młody pomocnik kelnera, który podszedł do stołu z dwoma kartami dań w ręce. Gdy obaj goście usiedli, podał im menu, kłaniając się uprzejmie.

– Czy szanowni panowie winszują sobie coś do picia na sam początek? Pozwolę sobie polecić świeżutkiego grodzisza od Huggera. Dziś rano dowiezione, a pan Kaczmarek w bufecie ledwo co odszpuntował beczkę.

– Daj pan więc dwa huggery – polecił Fischer, spoglądając jednocześnie na Jażdżewskiego. Ten skinął głową na znak aprobaty. Kelner oddalił się natychmiast.

Fischer, rozsiadłszy się na krześle, sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej woreczek z fajką o wiśniowym cybuchu i pogryzionym do granic możliwości ustniku. Już dawno powinien był ten ustnik zmienić, ale szkoda mu było tego starego. Fajkę dostał od ojca w dniu, w którym wyjeżdżał na wojnę, i towarzyszyła mu ona we francuskich okopach, podczas walk powstania wielkopolskiego i później na froncie bolszewickim. I dlatego właśnie trudno mu było rozstać się z tym ustnikiem, który zagryzał za każdym razem, gdy prowadził swoich ludzi do ataku.

Powoli i metodycznie nabił fajkę tytoniem i w końcu zapalił. Jażdżewski czekał z rozpoczęciem konwersacji do tej właśnie chwili. Gdy Fischer zaciągnął się dymem, kapitan spojrzął na ulicę.

– W zeszłym roku o tej porze padał już śnieg.

Policjant również popatrzył przez szybę.

– Spóźnia nam się zima, to prawda. A co tam w prasie piszą? – Fischer wskazał na złożony na stole „Kurier Poznański”.

– W Sejmie jakoś dziwnie kłótnie ustały – stwierdził z uśmiechem Jażdżewski. Jako zdeklarowanemu piłsudczykowi bardzo podobały mu się porządki, o których mówiło się, że to sanacyjne uzdrowienie narodu. Rzeczywiście, po przewrocie majowym swary i przepychanki w parlamencie ustały, bo krzewiciele nowych porządków nie mieli przecież powodu kłócić się sami ze sobą. Opozycja była całkowicie zmarginalizowana i kto by się tam spierał z taką nic nie znaczącą parlamentarną mniejszością. – Idą nowe porządki, panie komisarzu, i teraz to widać dobrze, że opłacało się chwycić w ręce miotłę i wymieść te wszystkie brudy.

– Nic bardziej nie cieszy policjanta, jak porządek panujący w kraju – stwierdził Fischer, który daleki był od chwalenia porządków, które zaczynały się

od łamania prawa. Ale na to nic przecież nie mógł poradzić, skoro to prawo łamali w sposób świadomy i celowy rządzący. On wychodził z założenia, że musi robić swoje najlepiej, jak potrafi.

– Nawet nie wie pan, jak się cieszę z tych pańskich słów, drogi panie Antoni. – Jażdżewski wyglądał na autentycznie uradowanego. – Potrzebni nam są tacy ludzie jak pan, w swojej pracy i działaniach skrupulatni i jednocześnie bezkompromisowi w walce z przestępczością.

– Bardzo pan kapitan łaskaw dla mnie.

– No cóż, przecież nie od dzisiaj się znamy.

Rzeczywiście, ich dobra znajomość trwała już dwa lata, kiedy to Fischer został poproszony o pomoc w rozwiązaniu zagadki pewnego niezbyt przyjemnego wydarzenia, które miało miejsce w koszarach przy Bukowskiej. Wówczas to okazało się, że z kasy ogniotrwałej zniknęły dokumenty wywiadowcze wraz ze sporą sumą pieniędzy, ale co najgorsze zniknął wraz z tym wszystkim pewien odpowiedzialny za kasę oficer. Fischer wówczas oddał nieocenione wprost usługi Jażdżewskiemu i Dwójce, którą on reprezentował, a co za tym idzie, całej wywiadowczej robocie prowadzonej przez dwójkarzy na polsko-niemieckim pograniczu. Jak się teraz domyślał, ta współpraca miała się rozwijać, bo przecież Jażdżewski nie fatygowałby się na spotkanie z nim tylko dlatego, że chciał pogadać o dawnych czasach i o pogodzie. Przesłanie zawarte w przypomnieniu starej znajomości Fischer rozszyfrował bez trudu.

– Więc w czym mogę pomóc tym razem? – zapytał wprost kapitana. Ten uśmiechnął się zadowolony, że nie będzie musiał owijać w bawełnę. Cenił tę konkretność i bezpośredniość Fischera w sprawach ważnych i służbowych. Nim jednak przeszli do konkretów, kelner postawił przed nimi dwie smukłe szklanki z piwem.

– Czy pozwolą panowie przyjąć zamówienie? – zapytał.

Fischer zamówił więc swojego kotleta i krem grzybowy, a Jażdżewski poprosił o to samo, zdając się na dobry gust i trafny wybór swojego kolegi. Gdy kelner odszedł, wojskowy rozejrzał się, omiatając spojrzeniem klientelę restauracji. Nikt nie wydał mu się podejrzany, a poza tym inni goście nie siedzieli na tyle blisko, by móc wyłowić cokolwiek z ich rozmowy. Na wszelki wypadek jednak nachylił się nieco nad stołem, skracając dystans o połowę.

– Naczelnik może wkrótce odwiedzić Poznań. Dlatego musimy zrobić wszystko, żeby zapewnić mu całkowicie bezpieczny pobyt. Rozumie pan przecież, że ten przyjazd do Poznania, do tej jaskini endeckości, to jak wejście do paszczy lwa. Oni to mogą potraktować jak rzucenie im rękawicy i mogą na to odpowiedzieć w sposób... powiedziałbym, historyczny. Dlatego o wizycie nie upubliczni się żadnych informacji. Wizyta odbędzie się niejako z zaskoczenia, dlatego nie mogę jeszcze zdradzić jej daty. O tym na razie w zasadzie nikt jeszcze nic nie wie.

Fischer uśmiechnął się. Od początku, gdy tylko wszedł do restauracji, wydawało mu się, że wie, o czym oficer wywiadu będzie chciał z nim rozmawiać. I jak zwykle nie pomylił się. Ci dwójkarze byli tacy przewidywalni.

Godzina 5.30 wieczorem

Aspirant Oskierko wiedział, że popełnił błąd, ale zdawał sobie również sprawę, że kwestią policyjnego honoru powinno być jego naprawienie. A droga do tego celu była jasna i prosta. Trzeba było tylko tego Grubińskiego postawić przed obliczem komisarza Fischera. Wprawdzie szef nie powiedział tego otwarcie, ale Oskierko domyślił się, że o to mu właśnie chodziło. W końcu, gdy tam w biurze Fischer przestał się śmiać i gdy otarł już zażawione oczy swoją kraciastą chusteczką, spojrział przez biurko na swojego podwładnego, a potem, pogroziwszy mu palcem, powiedział:

– Uważaj pan na tego Grubińskiego, bo on nie z takimi dawał sobie już radę. Tolek to nie jest jakiś pierwszy lepszy szuszwol.

Nic więcej nie powiedział, a jemu zwyczajnie głupio było pytać, co komisarz miał na myśli, mówiąc: „nie z takimi”. Nie z takimi, znaczy że z jakimiś poważnymi bandziorami miał już do czynienia i sobie poradził. No tak, ale to wszystko byli bandyci, a on, przodownik Oskierko, był przecież policjantem, do tego jeszcze z frontowym doświadczeniem. Prawda, że to doświadczenie było niezbyt wielkie, choć znaczące, bo zdążył wziąć udział, jako świeżo upieczony podporucznik IV Brygady Kawalerii, w kontrataku wyprowadzonym znad rzeki Wieprz, który w konsekwencji przyniósł odepchnięcie bolszewików od stolicy. Oskierko uczestniczył w kilku szarżach, a raz nawet najprawdopodobniej pozbawił życia uciekającego bolszewika. Prawdopodobnie, bo bojec dostał szablą po łbie i padł na ziemię, ale czy zginął, tego podporucznik nie wiedział, bo czasu na sprawdzanie nie było. Na szczęście dla niego piękne cięcie dostrzegł szarżujący obok rotmistrz Krzyżanowski, który po bitwie wystąpił z wnioskiem o nadanie dzielnemu podporucznikowi Krzyża Walecznych. Tak się szczęśliwie złożyło, że po wiktorii warszawskiej dowództwo sypało orderami jak z rękawa, więc i Oskierko dostał zaszczytne wyróżnienie, choć tak naprawdę nie bardzo wiedział za co. Jednak fakt, że wyróżnił się na froncie, sprawił, że już po zakończeniu wojny zaproponowano mu pozostanie w wojsku, a po majowym przewrocie wysłano go do pracy w policji na trudnym poznańskim odcinku, w miejsce, w którym nieszczególnie przepadano za ludźmi „od Piłsudskiego”. Fakt, było w tej delegacji drugie dno, ale on nie bardzo lubił to rozpamiętywać i wolałby o tym „dnie” zapomnieć. Dość że w nowym miejscu Oskierko postanowił, iż pokaże poznaniakom, co jest wart, wykonując jak najlepiej swoje policyjne obowiązki. No i robił, co mógł, ale nie zawsze wszystko wychodziło tak, jakby tego chciał. Tak jak to nieudane aresztowanie podejrzanego. Dlatego teraz postawił sobie za punkt honoru, że dopadnie niegodziwca, który go ośmieszył, i skutego kajdanami rzuci pod nogi komisarza Fischera. Na szczęście nie był w tym pragnieniu odosobniony. Wywiadowca Jan Pocięcha, którego Grubiński przykuł do balustrady schodów, też pałał rządzą zemsty. Tym bardziej, że był człowiekiem znanym w okolicach Chwaliszewa i dlatego jedyne,

co teraz mógł zrobić, po tym jak został w tak spektakularny sposób ośmieszony, to okrutnie pomścić tę zniewagę.

– A jak go tu nie będzie? – zapytał aspirant. Rzucił pytanie przed siebie, nie widząc twarzy swojego towarzysza. Słyszał tylko, że jest dwa kroki przed nim, bo stare, drewniane schody trzeszczały niemiłosiernie. Wchodzili na drugie piętro brudnej i śmierdzącej oficyny, należącej do równie zaniedbanej kamienicy przy ulicy Bóznicznej. Oczywiście na klatce nie było światła, więc trzeba było iść po omacku, trzymając się poręczy i cały czas uważając na nogi, żeby nie zrobić fałszywego kroku i nie runąć w dół.

– Będzie czy nie będzie... Jedno jest pewne, że tu się dowiemy, gdzie będzie.

– Jest pan pewny?

– Pewny to ja jestem, że kiedyś trzeba będzie wyciągnąć giry na sztywno. Ale jeszcze nie teraz. Teraz to nam trzeba wyrównać rachunku z tym szuszwolem. Racha to święta rzecz!

– Co? Jaka racha? – zapytał Oskierko.

Zemsta po naszymu – rzucił Pocięcha i zapukał do drzwi.

Nie było odzewu, więc wywiadowca załomotał jeszcze raz, tym razem znacznie głośniej. I wtedy coś za drzwiami się ruszyło. Przez moment słychać było człapiące kroki, a po chwili rozległ się dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Strumień bladego światła wypełził na zewnątrz.

– O mój Boże jedyny, toż to kochany pan Janeczek. – Aspirant jeszcze nie dostrzegł kobiety, a już wyobraził sobie, jak ona może wyglądać. – Prosz bardzo do środka, prosz bardzo.

– Cicho, do cholery. Ja tu jestem incognito – wysyczał Pocięcha.

– A to całkowicie co inne. To pomyłka! Nikogo z policji tu nie ma!

Gdy drzwi otworzyły się na całą szerokość, Oskierko doszedł do wniosku, że jednak są rzeczy na niebie i ziemi, których nie sposób sobie wyobrazić. Kobieta mogła mieć jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu, a ważyć musiała chyba przynajmniej koło setki. Ubrana była w różowy szlafrok obszyty jakimś pierzastym wspomnieniem po niegdyś żywym ptaku. Szlafrok nie był szczególnie mocno związany złotym sznurem, jakiego używa się do zaciągania zasłon, dzięki temu można było dostrzec potężne uda i wielkie jak kwietne donice piersi, które z trudem utrzymywał w jako takim porządku mocno ściśnięty i powiązany gorset. Słowem kobieta wyglądała jak żywa, ogromnych rozmiarów, solidnie powiązana szynka. Szeroki uśmiech, którym gospodyni powitała Pocięchę, sprawił, że pod Oskierką ugięły się nogi. Ta karykatura Wenus miała tylko kilka zębów na górze, a i te, które pozostały w gębie, były czarne. Aspirant pomyślał, że wyglądają jakby były spalone, i przez moment nawet przeszło mu przez głowę, że to monstrum w chwilach wielkiego wzburzenia zije ogniem z paszczy. Tym razem jednak policjanci mieli szczęście. Ogień nie wypalił im oczu. Babsko cofnęło się w drzwiach, robiąc im przejście. Pocięcha natychmiast wkroczył w czeluść smoczej jamy, a Oskierko, chcąc nie chcąc, musiał zrobić to samo.

Wywiadowca, który zapewne dobrze znał to miejsce, od razu przemierzył długi korytarz i wszedł do – jak się okazało – całkiem przestronnego i nawet czystego pokoju. W salonie stała szeroka sofa i kilka foteli. W kącie tuż przy oknie paliła się lampa, której ostre światło tłumił czerwony abażur, nadając tym samym całemu pomieszczeniu nieco dyskretnego wyglądu. Wielka gospodyni minęła o głowę niższego Pocięchę i zaraz opadła na miękki, pluszowy fotel. Założywszy nogę na nogę, wzięła w dłonie japoński wachlarz i rozpostarłszy go, przyłożyła sobie do ust. Całe szczęście, pomyślał aspirant, bo patrzenie na te czarne zęby może człowiekowi odebrać wszystkie chęci do życia. Jego uwagę natychmiast przykuł czerwony pantofelek założony na bosą stopę gospodyni. Był tak wielki, że gdyby nim spróbować zabić muchę łązącą po ścianie, na pewno można by było wybić nim solidną dziurę do sąsiadów.

– Co też pana Janeczka sprowadza w moje skromne progi? – zapytała, wpatrując się wcale nie w wywiadowcę, ale w aspiranta. Ten natychmiast spuścił wzrok, bo kto wie, może taka baba i urok potrafiła rzucić na człowieka.

– To jest pan aspirant Oskierko – wyjaśnił Pocięcha, dostrzegłszy taksujące spojrzenie kobiety.

– Bardzo pięknych ma policja aspirantów – stwierdziła i zaraz wybuchła gromkim jak odgłos wystrzału artyleryjskiego śmiechem. – Bardzo apetycznych.

Oskierko zadrżał na samą myśl, że mógłby się znaleźć między zębami tej harpii.

– Nie czas na ksiuty, madame Coco. Sprawa jest pilna i raczej dyskretna – przerwał jej zniecierpliwionym tonem Pocięcha.

– Jak dyskretna, to wiadomo przecie w całym Poznaniu, że z dyskrecji słynie mój salon. Jacqueline! – Armata znów wystrzeliła, aż zadrżały szyby. Natychmiast w drzwiach pojawiła się dziewczyna o kruczoczarnych włosach, obciętych modnie na pazia, ubrana w krótki, ażurowy, czerwony szlafroczek, przez który widać było wszystkie krągłości jej ciała.

– Tak, madame.

– Panowie się napiją – zaordynowała.

– A czego?

– Jak czego? Nie widzisz, głupia, że to goście poważni i stateczni. Dawaj tu butelkę baczewskiego i trzy kieliszki.

Oskierko chciał zaprotestować. Przecież był na służbie, ale nie potrafił wydobyć z siebie głosu pod wpływem spojrzenia madame Coco. Po chwili trzymał już w dłoni napełniony po brzegi przez Jacqueline wcale nie kieliszek, ale wielki, szklany stakan z rżniętego szkła.

– No to zdrowie! – huknęła kokota i natychmiast pochłonęła całą zawartość. Oskierko dojrzał kątem oka, że i Pocięcha wypił do dna. Co więc miał robić? Nie mógł przecież pozwolić, żeby pomyślano sobie o nim, starym frontowcu, że nie potrafi pić wódki. Przechylił po kawaleryjsku i naraz poczuł, że oczy wychodzą mu na wierzch. Mało brakowało, a padłby trupem na tej salonowej kanapie, ale jakoś udało mu się powstrzymać zadławienie. Z przerażeniem zauważył, że dziewczyna idzie w jego kierunku z butelką w dłoni. Tym razem postanowił być

twardy i już chciał coś powiedzieć, ale zdołał tylko otworzyć usta, bo żaden dźwięk nie wydobył się z jego krtani. Na szczęście Pociecha osadził dziewczynę w miejscu, wyciągając w jej kierunku wyprostowaną dłoń.

– Najpierw interesa, królowo złota, a potem przyjemności – powiedział, uśmiechając się do gospodyni. Ta pokiwała głową na znak, że całkowicie podziela jego zdanie.

– To o co w szczególności się rozchodzi? – zapytała, wkładając do długiej, szklanej lufki papierosa. Wywiadowca podszedł do niej natychmiast i podał ogień. Zaciągnęła się głęboko dymem i wypuściła wielki kłęb nosem, nie otwierając ust.

– Rozchodzi się o to, szanowna i droga, że szukamy jednego podejrzanego gnojka, co to nam uciekł i zapadł się pod ziemię.

– A jak on ma na nazwisko albo jak jego wołają?

– Anatol Grubiński.

Przez chwilę w pokoju zrobiło się kompletnie cicho. Madame Coco przez chwilę patrzyła to na jednego, to na drugiego policjanta i nagle zaczęła rechotać śmiechem przypominającym rzenie starej chabety, w przerwach wciągając ogromne hausty powietrza nosem. Oskierko zdążył pomyśleć nawet, że to chyba jakaś epidemia tego śmiechu, którą wywołuje samo nazwisko tego obwiesia. Tyle że jemu wcale do śmiechu nie było. Naraz kobieta przerwała i cisza, która znów zapadła, przywiodła mu na myśl moment, w którym na froncie urywał się gwałtownie ostrzał artylerii i za chwilę miał nastąpić atak piechoty.

– Chcecie aresztować Tolka Grubińskiego? – spytała z niedowierzaniem, zapominając o swoim wachlarzu.

– Co chcemy, to nie jest ważne. Istotne, żeby jego odnaleźć – wyjaśnił rzeczowo Pociecha. – Ale mogę tylko powiedzieć, że my do niego sprawę honorową mamy i dlatego prędzej się ten gnojek może cmentarza niż więzienia spodziewać.

– No, jak taka sprawa, to w takim razie mogę popytać tu i tam.

– I o to się rozchodzi. – Wywiadowca ucieszył się. Oskierko też chciał dodać coś od siebie, żeby nie wyjść na kompletnego nieudacznika, ale jakoś mu się słowa nie bardzo chciały ułożyć w głowie. Tymczasem podeszła do niego rozneglizowana czarnulka z butelką baczewskiego w dłoniach i znów napełniła szklankę. Tym razem młody oficer, nie czekając na słowa zachęty, wypił i naraz poczuł, że wódka wpłynęła do jego gardła znacznie łatwiej niż za pierwszym razem.

– A panna Mimi jest dziś na miejscu? – Usłyszał naraz pytanie Pociechy.

– Oczywiście, że jest, a bo co?

– Bo chciałbym ją na okoliczność przepytąć.

– Jak na okoliczność służbową, to, ma się rozumieć, można – odpowiedziała madame Coco.

Po chwili Oskierko zorientował się, że jest w pokoju sam, no prawie sam. Madame i Pociecha gdzieś zniknęli. Została tylko panna Jacqueline. Znów naląła mu wódki, a on, chcąc pokazać, jaki z niego chwyt, wypił, nawet nie

mrugnawszy okiem.

– Madame Coco powiedziała, że chciałby mnie pan oficer przesłuchać na okoliczność.

– Co? – Oskierko zdziwił się niepomieranie, bo nikogo nie chciał przesłuchiwać, tym bardziej, że nic nie wiedział o żadnej okoliczności. Nie zdążył jednak odpowiedzieć. Dziewczyna chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. Wstał i podążył za nią jak zaczarowany. W sumie to nawet chyba lubił przesłuchiwać piękne brunetki o semickich rysach, tylko jak dotąd o tym nie wiedział. Teraz jednak miał się przekonać o tym po raz pierwszy w swojej jakże krótkiej policyjnej karierze.

Gdy obaj policjanci zniknęli w pokojach z damami, madame Coco poszła do kuchni, w której pracowała jej posługaczka, emerytowana pani do towarzystwa, znana dobrze w przedwojennym poznańskim mondzie jako piękna Antoinette, od kilku ładnych lat nazywana już zwyczajnie Antoniną.

– Niech no Antonina idzie do baru U Okonia na Mostową. Wie, gdzie to jest?

– Co mam nie wiedzieć?

– Niech tam znajdzie Tolka Grubińskiego, a jakby go nie było, to któregoś z braci Kaźmierczaków. Zna ich?

– Co mam nie znać?

– To niech im powie, że bawi u nas dwóch szkiełów, a jeden z nich, co się nazywa Pociecha, ma ochotę obedrzeć pana Tolka ze skóry. I że jeszcze przynajmniej ze dwie, trzy godzinki u nas zabawią. Więc jakby se chcieli z nimi pogadać, to niech poczekają w bramie.

Rozdział IV

Sobota, 20 listopada

Godzina 4.10 rano

Obudziło go zimno przenikające całe ciało, a do tego jeszcze ohydny smród. Dookoła śmierdziało tak, jakby siedział w jakimś paskudnym, obskurnym wychodku. A może rzeczywiście leżał w sraczu? Tego nie wiedział na pewno, bo nie miał pojęcia, gdzie jest. Mimo że otworzył oczy, nie mógł niczego dojrzeć. Dookoła panowały egipskie ciemności.

– Gdzie ja jestem? – powiedział cicho sam do siebie.

– W dupie! W czarnej dupie! – odpowiedział mu jakiś zachrypnięty kobiecy głos. I wtedy Oskierko zrozumiał nagle, co się stało. Najwyraźniej umarł i dostał się do czyścica. Bo na pewno nie był w niebie. Tam przecież było jasno i musiało pachnieć fiołkami, a tutaj, szkoda gadać. Smród kloaczny wbijał się w nos i wiercił w głowie, która była obolała od tego fetoru i od czegoś jeszcze. Na dodatek język miał skołowaciały i chyba napuchnięty, nie wiedzieć czemu. Na to był jednak ratunek. Wystarczył łyk wody. Chyba w czyścicu mają wodę, bo w końcu to nie piekło, żeby przeżywać piekielne męki pragnienia.

– Wody – jęknął.

– Wody? – Ze zdziwieniem odpowiedział zachrypnięty głos. Pewnie to też dusza, która nie dostała się do nieba i już ma kłopoty z mówieniem od tej suchości w ustach. – Widzieliście go, eleganta z Mosiny, wody mu się zachciewa. Jak się chce pić, to niech se idzie do Warty. Daleko ni ma.

– Jak do Warty? – zdziwił się aspirant. – To tutaj jest rzeka?

– A gdzie by miała być. Pewnie, że jest. Zawsze była, to gdzie by miała być, jak nie tu.

– To gdzie ja jestem?

– Ha, ha, ha! – Roześmiał się babski głos, ale policjantowi wcale nie było do śmiechu. – Już przecie mu gadała, że w dupie. Gorszego miejsca w całym Poznaniu ni ma. W Wesołym Miasteczku jesteś, kochaniutki!

– W Poznaniu? To ja żyję?

– A co masz nie żyć, chłopczyku. Pewnie, że żyjesz. I możesz podziękować starej Grzelakowej, że żyjesz, boby cię tu wywijasy do gołej dupy oskubały. Alem ich pognała. Mają respekt, szczuny.

– Jakiej Grzelakowej?

– No mi przecie. Ja jest Klara Grzelakowa. Nic, ty nieboraku, nie pamiętasz?
– Chyba nie bardzo...

Naraz gdzieś niedaleko rozległ się śpiew. Śpiewał jakiś mężczyzna zachrypniętym, a do tego bełkotliwym głosem.

*Jedzie pociąg, jedzie
po żelaznych szynach,
a ja se pojeżdżę
po ładnych dziewczynach.
Chujowe wesele,
chujowo muzyko,
dziwki już pijane,
chuj po stole bryko.*

Śpiew się urwał i w tej samej chwili zrobiło się nieco jaśniej. Oskierko ze zdumieniem zauważył, że do pomieszczenia, w którym się znajdował, wpłynęła stróżka światła. Śpiewak przemieszczał się na zewnątrz z jakąś świecą albo lampą naftową. Nagle przystanął, a mrugający blask, wpływający przez szpary między deskami, oświetlił kawałek tego lokum. Oskierko zdumiony dostrzegł, że leży na jakimś paskudnym barłogu. Naprzeciwko na podobnym legowisku spoczywała jego rozmówczyni, przykryta po sam czubek nosa czymś, co kiedyś mogło być wojskowym kocem.

– Grzelokowo, jesteście?

– A idźże stąd, Kubiak, ale już!

– Grzelokowo, a nie poruchalibyście się trochę? – odezwał się zza ściany właściciel światła.

– A idźże, do cholery! – warknęła kobieta spod koca. – Ruchania mu się zachciewa, a gołą dupą świeci. Mosz bejmy?

– Ady ni mom, ale jutro mom mieć.

– To przyjdź jutro. Bez bejmów ruchania nie będzie.

– Ale mom flaszkę. – Nie dawał za wygraną amant zza drzwi.

– W dupie mom twoją flaszkę. Przynieś bejmy i flaszkę, to se poruchasz.

– A żeby cię pokrećiło, kurwo jedna! – warknął zawiedziony absztyfikant.

– Ciąg stąd, łachudro, bo siekierką przez łeb przejadę.

– Pierdol się sama! – warknął na odchodnym i wydawało się że już znika, bo światło się nieco odsunęło. Zaraz jednak okazało się, że adorator Grzelakowej postanowił się zemścić. Oskierko usłyszał, a zaraz potem poczuł ostrą woń moczu. Facet lał na drzwi. Tego już było dość gospodyni. Zerwała się z pośłania, chwyciła jakąś laskę, otworzyła gwałtownie drzwi, a w nich ukazał się brodaty mężczyzna z opuszczonymi portkami i z przyrodzeniem w ręce. Na widok kobiety chciał podciągnąć portki, ale nie zdążył. Zdołał jedynie odwrócić się do Grzelakowej tyłem. Ta, wiele się nie zastanawiając, trzasnęła go z rozmachem w gołe pośladki.

– Jezusie! – krzyknął Kubiak.

– A masz, ty kutasie pierdolony! – Zdziałała go po raz drugi i śpiewak opadł na kolana. Wtedy, już chyba tylko dla porządku, trzasnęła go laską w łeb. Ten cios sprawił, że amant poderwał się na równe nogi z niesłychaną prędkością i chwyciwszy opadające portki w garść, pobiegł w ciemność.

– Jeszcze tu wrócę, szantrapo cholerna – krzyknął i już go nie było. – I tak dupę złoję, że se popamiętasz! – zawołał jeszcze z oddali, a potem zrobiło się cicho.

– A wróc, gnoju, to ci tak mordę obiję, że cię policja wsadzi do puszek za straszenie ryjem dzieci! – krzyknęła za nim i wybuchła głośnym śmiechem.

– Widzioł żeś go, mały? – Odwróciła się i spojrzała na Oskierkę, który nie miał zielonego pojęcia, jak się zachować. W ogóle coraz mniej rozumiał z tego, co tu się wokół niego działo. To wszystko wyglądało jak sen jakiegoś szaleńca. Co on właściwie robi w tym paskudnym miejscu? I kim jest to szpetne babsko?

– I lampkę ostawił i jeszcze flaszka po onym się ostała. No i dobrze. Chciało ci się pić, to i mosz! – Wróciła do środka z lampą naftową w jednej i flaszka jakiejś mętnej wody w drugiej ręce. Teraz dopiero aspirant mógł przyjrzeć się kobiecie, której postać z mroku wydobyło światło lampy. Dobiała pewnie pięćdziesiątki. Twarz miała okrągłą, a pod oczyma sine worki, świadczące o niezbyt higienicznym trybie życia. Włosów nie było widać, bo przykrywała je czarna chustka zawiązana pod szyją. Miała na sobie gruby kubrak, narzucony na czarną, długą suknię. Wyglądała więc jak normalna handlarka z targu. Jednak w oczach jej widać było jakieś dziwne błyski, świadczące o bystrości umysłu.

Spoglądając na Oskierkę, uśmiechnęła się zadowolona, ukazując przy okazji pokaźne braki w uzębieniu.

– Chlapij se, kochanieńki.

– Nie, ja chyba nie dam rady...

– Co nie dasz? Taki ładny szczun jak ty da se radę ze wszystkim – stwierdziła, siadając na jego posłaniu. – No dalej, bierz i pij! – nakazała, wrywając zębami korek z butelki. Nie było to trudne, bo nie był mocno wbity. Właściciel flaszki już ją lekko napoczął po drodze. Policjant usiadł na swoim posłaniu, wziął butelkę do ręki, przytknął ją do ust i pociągnął niewielki łyk. Na tyle był jednak duży, że oczy wyszły mu na wierzch i dech mu zaparło.

– Co to jest? – zapytał po chwili, gdy już mógł coś powiedzieć.

– Szpi ryt, złociutki. Najprawdziwszy szpi ryt. Dawaj no, zobaczę, czy aby nie za słaby.

Przechyliła flaszkę i wypła. Otarła wierzchem dłoni usta i zaśmiała się głośno.

– Dobre to, cholera, dobre jak diabli. No masz, pij jeszcze.

– Ale ja...

– Żadne „ale”, pij, robaczku, bo się zaraz wkurwię! Takie delicje mu podtykają pod sznupe, a on kręci kluką.

Wypił i się zakrztusił. Baba klepnęła go w plecy.

– No, już ci chyba, gołąbeczku, wystarczy. – Zabrała flaszkę i znów wypła.

– Ja już muszę iść – stwierdził, próbując wyplątać nogi spod koca.

– A dokąd ty chcesz iść? – zainteresowała się Grzelakowa, przyglądając się flaszcze pod światło.

– No do domu.

– Widzicie go, państwo, do domu. A jak chcesz tam pójść bez trzewików? A na dworze mróz chycił. Jak nic se giry odmrożisz, jeśli się z tego Wesołego Miasteczka wyleziesz. Ino że coś mi się widzi, że po ćmoku nie dasz rady.

– Jakiego miasteczka?

– A co ty nie wiesz, co to w Poznaniu jest Wesołe Miasteczko?

Policjant pokręcił głową.

– To te budy z desek i blachy, co to stoją nad rzeką między mostami, a w nich się gnieździ całe to miejscowe szuszwolstwo, co to ni mo gdzie mieszkać. Bida z nyndzą.

– A pani...

– Ja tu se mieszkam jak królowa we własnym apartymencie.

Przez chwilę patrzył na kobietę zdumiony, a potem szarpnął koc. Nogi miał ubrane w spodnie, ale butów ani skarpet rzeczywiście nie było widać.

– Gdzie są moje buty?

– Tam gdzieś je zezuł. A mnie niby skąd to wiedzieć.

Znów wypięła, a potem zaśmiała się, nie wiedzieć dlaczego. Oskierko pomyślał, że śmieje się z niego. No bo niby z kogo. Przecież wyglądał jak jakieś półtora nieszczęście bez tych butów. Miał na sobie spodnie i dziwny, śmierzący sweter. Brakowało za to szynela, który wziął z policyjnego depozytu. Zaraz, zaraz, coś mu zaczęło świtać w głowie. Przypomniał sobie tę sprawę z nieudanym zatrzymaniem przestępcy, a potem wieczorną wyprawę do tej dziwnej kobiety z wywiadowcą Pocięchą. No a później... Pamiętał jeszcze, że pił wódkę i że zabiera go gdzieś ze sobą ta piękna, czarnowłosa dziewczyna, a potem... Później tylko jakieś niewyraźne wspomnienia. Stoi oparty o mur, a Pocięcha tłumaczy mu, że ma nigdzie nie odchodzić, nie ruszać się z tego miejsca, a on tymczasem wezwie dryndę. Ale chyba Pocięcha za długo z tą dryndą zwlekał, bo nie przypominał sobie, żeby gdzieś jechał dorożką. Za to pamiętał bardzo wyraźnie, jak stoi nad brzegiem rzeki i obserwuje w zachwycie odbijające się w ciemnej toni gwiazdy. I wtedy ktoś pojawia się obok niego, ktoś go przewraca na ziemię, zdzierają z niego szynel i te wysokie buty z cholewami, a potem jakiś kobiecy krzyk i kompletna cisza.

– Ukradli mi buty i szynel – powiedział chyba raczej sam do siebie niż do Grzelakowej.

– To u nas nad rzeką w tych budach to same barachło mieszka. Takich wywijasów, co zjuchcą wszystko, co ino się da, to na pęczki jest. Jak się tu na miasteczko wchodzi, to trzeba mieć ze sobą jakiegoś knypa ostrego, żeby się obronić. A jak ktoś opity, to i łatwo takiego gościa obrobią na cacy. Jakbym ich nie przegoniła, toby jeszcze wzieni ci te pory i cwyr.

Podawała mu butelkę, a on niemal bezwiednie wypił solidną dawkę. Tym razem się nie zakrzusił. Spirytus spłynął do gardła jakoś tak bezboleśnie. Poczul za

to, że kręci mu się w głowie.

– No łyknij se jeszcze, złociutki. Jutro jakieś trzewiki się dla ciebie znajdzie. A teraz se łyknij i się nic nie martw. Grzelakowa się tobą zajmie jak małym kejtrem. Tak żeś biedny i chudzieńki, ale gębę masz przyjemną. – Pogładziła go po twarzy, przysuwając się bliżej. – No masz, pij, chłopaczk. Grzelakowa nie da ci zrobić krzywdy.

Pił, a ona głaskała go po policzku. Czuł się dobrze, nawet bardzo dobrze, tylko myśli jakieś nieskładne przelatywały mu przez głowę, a żadna nie chciała na dłużej zostać i okrzepnąć, by stworzyć harmonijny obraz tego, co dzieje się dookoła. Oddał butelkę i opadł na plecy. Ciepło rozlewało mu się po brzuchu, a w podbrzuszu pojawiło się jakieś przyjemne mrowienie. Takie jak wczoraj, gdy ta czarnulka rozpiniała mu guziki rozporoka i gdy jej mała dłoń dotykała i delikatnie gładziła jego przyrodzenie.

– Ty se leż, malutki chłoptysiu, a Klara się tobą zajmie i będzie ci jak w niebie.

Po chwili rzeczywiście poczuł fale rozkoszy, która porywa go ze sobą. Pomyślał jeszcze, że powinien częściej zachodzić do tej małej Żydóweczki, bo dziewczyna potrafi robić takie rzeczy, o których wcześniej nigdy nawet nie pomyślał. Grzelakowa tymczasem, znana w całej dzielnicy prostytutka w stanie spoczynku, nazywana nawet kiedyś złotoustą Klarcją, mlaskała i sapała, przypominając sobie dawne piękne czasy, kiedy to całe tabuny młodych gimnazjalistów przychodziły specjalnie do niej na ciągnięcie pałki. Wtedy robiła to zawodowo i za pieniądze, a dziś dla własnej przyjemności.

Godzina 7.30 rano

Fotograf Maliszewski był z siebie dumny. Dumę odczuwał z powodu wprowadzenia w życie wymyślonego przez siebie chytrego planu, który pozwalał mu na wykonanie polecenia wydanego przez doktora Dąbrowskiego. Jego plan był niezwykle prosty i dlatego tak błyskotliwy właśnie. Mimo że doktor kazał mu iść do Niemca Fischera z prośbą o pozwolenie wejścia na miejsce zbrodni, Maliszewski postanowił, że zrobi to zupełnie inaczej. Gdy wczoraj wychodził ze spotkania z doktorem, był przepełniony energią, która pchała go do działania. Jednak tej siły wystarczyło tylko na krótki odcinek drogi dzielącej gmachy uniwersytetu i dyrekcji policji. Z samego początku szedł tam zdeterminowany, układając sobie w głowie, co powie Fischerowi. Im bardziej jednak to porządkował, tym bardziej czuł się niepewnie. Najpierw wyobraził sobie, że wejdzie do gabinetu policjanta i od niechcienia powie, że musi jeszcze raz zrobić fotografię miejsca, w którym zamordowano mecenasa. I wtedy Fischer siedzący w jego głowie spojrzał na niego, unosząc tę swoją gęstą brew w wyrazie zdumienia, a potem przemówił swoim twardym głosem: „No i co, panie Maliszewski, nie poradził pan sobie z takim prostym zadaniem. Co z pana za fotograf? Chyba tylko od fotografowania gołych dup niemowlaków w swoim atelier?”.

No, nie, tak by Fischer nie powiedział, próbował przekonywać sam siebie Maliszewski. Komisarz by się zdziwił i powiedział, że jak sobie raz nie poradził ze zdjęciami, to wyśle tam kogo innego... No właśnie, a jakby powiedział, to on, znany poznański fotograf, który miał swoje atelier na samym placu Wolności w pasażu prowadzącym do najpiękniejszego poznańskiego kina... byłyby całkowicie skończony. Bo przecież Poznań to w końcu niewielkie miasto, w którym wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. I gdyby tylko Fischer zameldował wyżej, że Maliszewski spartaczył robotę i nie chce mieć go już za fotografa podczas oględzin, to musiałyby się chyba wyprowadzić. Bo kto by chciał przyjść do zakładu, siedzieć i pozować na tle tak lubianego przez mieszkańców Poznania landszaftu z ręcznie namalowaną altaną w parku, mając wiedzę, że Maliszewskiemu nie wychodzą ważne zdjęcia? Oczywiście nikt by już do niego nie przyszedł i ludzie zaczęliby omijać jego studio szerokim łukiem, a fotografować by się chodzili do tego Niemca Mayera, co ma swoją firmę na Młyńskiej, albo do tego Żyda Goldsteina z ulicy Św. Marcin. A on, jedyny prawdziwy katolik w tej obcej menażerii, mógłby spokojnie zamykać swoje studio i przenosić się na prowincję, gdzieś do Szamotuł, a może i jeszcze dalej do Wronek. A niewykluczone, że i tam zła sława popłynęłaby za nim z Poznania. Nie, do takiego skandalu za nic nie mógł dopuścić. Za nic nie może spotkać się z Fischerem i przyznać się do swojej niefachowości.

Zatrzymał się na wysokości obszernych schodów prowadzących do Opery i spozjrzał w głąb ulicy Fredry. Od budynku, w którym urzędował Fischer, dzielił go dystans może kilometra...

Nie, za nic w świecie tam nie pójdzie i nie spotka się z tym wstrętnym Szwabem, który zapragnął go ośmieszyć przed całym światem. Zrobi to zupełnie inaczej.

Dziś rano, mimo soboty, wstał już o szóstej rano. Szybko ogolił się i ubrał, a potem nie zjadłszy nawet śniadania, pognął w kierunku dyrekcji policji. Godzina była wczesna, więc miał nadzieję, że jego plan się uda. Warunek był jeden. Nie mógł trafić na żadnego z oficerów. Mógłby być z nimi kłopot, bo oficerowie mają to do siebie, że lubią zadawać niewygodne pytania. Inaczej było z podoficerami w policji. Ci byli od słuchania poleceń, a nie od gadania. Dlatego właśnie, wchodząc do komendy, układał sobie w głowie polecenie.

Siedzący za marmurowym kontuarem na prawo od drzwi posterunkowy wyglądał tak, jakby się właśnie obudził. Niby coś tam poprawiał dłonią przy swoim sumiastym wąsie, ale Maliszewski dobrze wiedział, że w godny sposób próbuje ukryć ziewnięcie. Natychmiast podszedł do policjanta.

– Jestem Maliszewski, fotograf policyjny – skłamał, bo oficjalnie takim fotografem nigdy nie był. Współpracował tylko z policją od czasu do czasu. Jednak tego zapewne ten gamoniowaty posterunkowy nie mógł wiedzieć. Żeby jeszcze dokładniej wyjaśnić podoficerowi, z kim ma do czynienia, wydobyl z kieszeni swoją legitymację, która potwierdzała, że jest zawodowym fotografem. Machnął papierem przed oczyma szkieła i zaraz schował go do kieszeni. –

W związku z tym muszę się dostać do mieszkania na ulicy Św. Marcin, gdzie dokonano zbrodni. Proszę o wydanie mi kluczy, które musicie mieć w depozycie.

– Ja? – zdziwił się posterunkowy.

– A kto, szach perski? Oczywiście chodzi o te klucze, co oddał do depozytu komisarz Fischer.

– Ino że ja...

– Co, chcecie poczekać na polecenie komisarza?

– Melduję, że komisarza ni ma.

– No to chyba oczywiste, że jeszcze śpi. Może pójdziecie go do domu obudzić i zapytać o te klucze?

– Ino że ja...

– Dobra, posterunkowy, ja nie mam czasu, bo mam tam pilne zadanie fotograficzne na miejscu. Dawajcie te klucze raz-dwa, bo ja nie będę tu tracił czasu. Mam swoją robotę do wykonania.

Policjant podrapał się po nosie, a potem pochylił się, znikając z oczu fotografa za wielkim kontuarem. Po chwili pojawił się ponownie z drewnianą kasetką w dłoniach. Otworzył ją niewielkim kluczykiem. Maliszewski zabrał mu skrzynkę z rąk i otworzywszy, zajrzał do środka. Było tak kilka pojedynczych i może ze dwa pęki kluczy. Wszystkie miały przyczepione drewniane tabliczki na sznurku, a na nich kopiającym ołówkiem starannie wykaligrafowane adresy i nazwiska. To należące do nieboszczyka mecenasa wypisano na klapce doczepionej do pęku czterech kluczy.

– O, to są te. – Maliszewski autentycznie się ucieszył. – Zabieram je na jakąś godzinę, a potem oddam.

Policjant potwierdził skinieniem głowy, bo i co miał zrobić? Skoro to była sprawa z samym komisarzem Fischerem, wolał nie ryzykować, bo przecież wszyscy tu doskonale wiedzieli, że z nim nie ma żartów.

Fotograf z kluczami w kieszeni wyszedł szybko z budynku policji. Na ulicy zatrzymał się i chustką otarł łysiejące czoło, które spocilo się mocno pod kapeluszem. Nie ze strachu oczywiście, ale z powodu wysokiej temperatury panującej w środku. Wcisnął kapelusz ponownie na głowę i ruszył ulicą Ratajczaka, by dojść do Świętego Marcina. Postanowił, że wejdzie do mieszkania i stamtąd zadzwoni do doktora.

Pięć minut później był już w na miejscu. Mecenas, jak to na poważnego prawnika przystało, miał w swoim mieszkaniu telefon. Nowoczesny aparat ze słuchawką i mikrofonem zainstalowanym w wygodnej ręczce z czarnego ebonitu stał na niewielkim stoliku w gabinecie. Maliszewski wydobył z kieszeni palta notes i wykręcił na tarczy czterocyfrowy numer. Chwilę trwało, zanim po drugiej stronie odezwał się doktor. Po głosie dało się natychmiast rozpoznać, że telefon wyrwał go z głębokiego snu.

– Dąbrowski, kto mówi?

– Dzień dobry, tu Maliszewski się kłania.

– Kto?

– Maliszewski, fotograf... Byłem wczoraj u pana doktora i był pan tak uprzejmy powierzyć mi pewną delikatną misję.

– A no tak – przypomniał sobie naukowiec. – I co z tą misją?

– Wszystko w jak najlepszym porządku, to znaczy się, że ja właśnie jestem na miejscu.

– Na jakim miejscu?

– No w tym miejscu, w którym miałem się znaleźć.

– Czyli gdzie?

– No... – Przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób wyjaśnić gdzie jest, nie używając adresu i nazwiska adwokata. W końcu taką rozmowę mógł ktoś podsłuchać na centrali telefonicznej. – Jestem tu, gdzie robiłem te fotografie, które się nie udały.

– W mieszkaniu mecenasa? – Dąbrowski był najwyraźniej zdumiony.

– No właśnie – potwierdził Maliszewski.

– A co pan tam robi?

– No jak to co? Ja dzwonię, żeby pan doktor tu przyszedł.

– Teraz?

– Tak, jak najszybciej.

Przez chwilę na łączach zapanowała kompletna cisza.

– Halo, jest pan tam? – Maliszewski w końcu nie wytrzymał.

– Jestem. Ale teraz nie mogę przyjść. Może po południu...

– Nie! – krzyknął do słuchawki zdenerwowany fotograf. – Teraz musi pan przyjść, bo za godzinę muszę oddać klucze. Za godzinę je trzeba zanieść na policję.

– Nie mogę teraz – wyjaśnił cierpliwie Dąbrowski. – Ale skoro pan tam jest, to niech pan wszystko przeszuka i znajdzie to, co trzeba.

– Ja?

– No przecież wie pan, o co chodzi. Niech pan to znajdzie i po południu przyniesie do mnie. To powinno być w takiej niebieskiej teczce. Poradzi pan sobie.

– Nie wiem...

– Da pan sobie radę. Liczę na pana. Powodzenia...

Dąbrowski przerwał połączenie, więc Maliszewski odłożył słuchawkę na widełki. No i co teraz robić? zastanawiał się, rozglądając się dookoła. Jego spojrzenie zatrzymało się na trzydrzwiowej, przeszklonej biblioteczce. Z daleka widać było, że półki zastawione są tomami prawniczych leksykonów. Podeszedł do szafy. Na szczęście klucz tkwił w drzwiach. Otworzył pierwsze skrzydło. Poza książkami nie było tam niczego interesującego. Zabrał się więc za środkowe drzwi, które zrobione były z litego drewna. Te jednak były zamknięte na klucz, a ten od sąsiednich drzwi nie pasował. Przez chwilę stał, bezradnie patrząc na przeszkodę nie do pokonania. Przecież nie był włamywaczem i nie miał pojęcia, w jaki sposób poradzić sobie z zamknięciem. Gdyby miał jakiś solidny śrubokręt, mógłby wyłamać zamek. Ale nie miał ze sobą żadnych narzędzi. Zupełnie odruchowo włożył dłoń do kieszeni płaszcza. Natrafił tam jednak tylko

na pęk kluczy... Zaraz, klucze, wyciągnął je szybko i przyjrzał się im dokładnie. Jeden z nich był znacznie mniejszy od pozostałych. Wsunął go w dziurkę i okazało się, że to właśnie ten, którego potrzebował. To znaczy, że tu musiały być schowane wszystkie ważne dla adwokata papiery, skoro klucz nosił przy sobie wraz z kluczami do drzwi od mieszkania. Otworzył szafkę. Niebieska teczka leżała na samym wierzchu. Zajrzał do środka. Wewnątrz znajdowało się kilkadziesiąt kartek papieru kancelaryjnego zapisanych drobnym, kaligraficznym pismem. Wystarczyło tylko rzucić okiem, by przekonać się, że jest to dokument dotyczący kwestii narodowych.

Zadowolony zawiązał teczkę dwoma tasiemkami. Już chciał zamknąć szafkę, ale wrodzona ciekawość wzięła górę. Zaczął przeglądać inne teuczki. Wszędzie jakieś notatki. Nie miał czasu na dokładne czytanie. Chwycił naręcz papierów i poszedł z nimi w kierunku biurka. Ułożył je starannie w równy stos na blacie, a potem otworzył szufladę. Od razu znalazł to, czego szukał. Pęczek sznurka pakowego na szczęście był tak pokaźny, że bez problemów mógł obwiązać nim starannie pakunek. Jednak najpierw owinął wszystko gazetą, którą również wydobył z biurka. Po chwili porządnie obwiązana paczka była gotowa do transportu. Zadowolony z siebie fotograf ruszył w kierunku drzwi. Nie zdołał jednak wyjść na klatkę schodową. Przejście zagroziła mu bowiem gruba kobieta w palcie przyozdobionym lisim kołnierzem i w kapeluszu przypominającym do złudzenia wojskowy hełm.

– Jezus Maria, złodziej! – zawołała tak głośno, że Maliszewski aż cały skulił się w sobie, bo zdało mu się, że pod wpływem tego gromkiego wołania ściany mieszkania rozsypią się jak mury Jerycha. A zaraz potem kobieta ruszyła jak taran w jego kierunku i dopadłszy go, powaliła jednym prawym sierpowym wyprowadzonym prosto w szczękę.

Godzina 8.30 rano

Umówili się rano, bo jak przekonywał Pytel, to najlepsza pora, żeby dokładnie omówić wszystkie niezwykle skomplikowane kwestie. Nie mogli tego zrobić wczoraj w zakładzie zegarmistrza, bo do warsztatu stale ktoś przychodził. I wcale nie w sprawie naprawy zegarków. Zegarmistrz oczywiście naprawiał zegary i zegarki, ale główną część jego działalności stanowiła lichwa. Udzielał więc pożyczek pod zastaw i jak sam tłumaczył Pytłowi, gdy na chwilę wyszli przed zakład, żeby zapalić i odetchnąć rześkim powietrzem, to właśnie na sprzedaży zastawionych i nieodebranych przedmiotów robiło się najlepszy interes.

– Ludzie tu są biedni jak kościelne myszy – mówił zegarmistrz i lichwiarz w jednej osobie, Tomasz Latała. – Teraz to ja tę całą miejscową biedotę znam, jak nawet ich ksiądz proboszcz nie zna. Bo oni to mi wszystkie swoje tajemnice przynoszą. Wszystko powiedzą, więcej niż na spowiedzi.

– Ale to chyba trochę nie po leninowsku biedaków pozbawiać resztek dobytku.

Latała przyłożył palec wskazujący do ust i rozejrzał się dookoła. Nikogo na szczęście nie było w pobliżu.

– Czy wyście oszaleli? Ani słowa o bolszewikach czy Leninie. Każdy może przecie to usłyszeć. Chcecie, żeby nas obu wsadzili? Mnie na razie nieśpieszno za kratę. Mamy jeszcze coś do wykonania.

No i właśnie w tej sprawie spotkali się dziś rano w mieszkaniu należącym do Latały. Znajdowało się na piętrze tej samej kamienicy co warsztat. Gdy Pytel wszedł do środka, natychmiast uderzyła go atmosfera iście wojskowego porządku. W kuchni, do której wchodziło się wprost z niewielkiego korytarzyka, nie widać było śladów jakiegokolwiek kuchennej działalności. Na piecu, w którym palił się ogień, nie stał żaden garnek, na stole nie widać było talerzy, a na blacie niewielkiego kredensu próżno było szukać nawet okruszka chleba. Gospodarz najwyraźniej jadał poza domem. Pod ścianą stało łóżko starannie pościelone i przykryte ciężkim, szarym kocem.

Zegarmistrz wskazał mu jedno z dwóch pomalowanych na biało krzeseł. Gość zdjął więc swój gruby płaszcz i przewiesiwszy go przez oparcie, usiadł.

Latała podszedł do kredensu i wyciągnął butelkę wódki i dwie szklanki. Nie spytał nawet, czy Pytel ma ochotę na picie. Założył zapewne, że to kwestia niepodlegająca dyskusji. Rozlał alkohol do szklanek i podszedł do stołu.

– No to za spotkanie i za naszą sprawę. – Wzniósł oszczędny toast i opróżnił szklankę do połowy. Pytel ledwie umoczył usta. Wolał jednak o ważnych sprawach rozmawiać na trzeźwo.

– Wczoraj żeś pytał, czy to po bolszewicku słuszne, że zarabiam na biednych – przypomniał gospodarz, wyciągnąwszy z kieszeni kapciuch z tytoniem. Otworzył go i wskazał na gościa. – Często się.

Pytel wydobył z woreczka bibułkę, nasypał nań porcję tytoniu i sprawnie skręcił. Widać było, że obaj mają w tym wprawę.

– Dobry tytoń? – zapytał Latała.

– Całkiem niczego sobie.

– A widzisz, ten tytoń jest wyprodukowany przez firmę należącą do kapitalisty. Każdy, kto chce zapalić dobrego skręta, musi zapłacić za tytoń i taki burżuj na tym zarabia. Ci wszyscy ludzie, co u mnie zastawiają swoje rzeczy, też kupują tytoń od burżujów, chleb od nich kupują i przyodziewek, i jeszcze wódkę. Wszystkie pieniądze, które zarobią, wydają na swoje potrzeby i napychają w ten sposób burżujskie kieszenie. Idą tam wszystkie te pieniądze, które dostaną ode mnie, a ja sprzedaję ten ich marny dobytek drożej i mam potem kasę, żeby oni mogli znowu coś u mnie zastawić i później kupić ten tytoń i co tam jeszcze. Więc tak naprawdę to ja im tylko pomagam. I to jest po bolszewicku. Bo bolszewicy widzą biedę i niedolę i chcą tym najbiedniejszym proletariuszom pomagać. Ale na razie tu w tym kraju niewiele możemy zrobić dla nich. Bo jak ja bym im rozdawał pieniądze, to oni by pomyśleli, że jestem wariat. To im nie rozdaje, tylko wspomagam pożyczkami. I oni mówią, że ja jestem święty człowiek, bo zawsze znajduję dla nich jakiś grosz za to, co przynoszą.

– Ale my powinniśmy ich przekonywać dobrym przykładem, pokazywać, że coś może się dla nich zmienić na lepsze. – Pytel nie był przekonany do tej argumentacji.

– A ty co myślisz sobie, że o czym ja z nimi rozmawiam, jak im dam pieniądze. Toć przecie ja im objaśniam, jak ten świat kapitalistyczny jest zbudowany. Mówię im, że są biedni nie dlatego, że są głupi, ale dlatego, że ci, co trzymają kapitał, ich okradają. Gdyby każdy biedak miał pracę i gdyby fabryki należały do nich, to oni by nie byli biedni, tylko mieliby wszystko, co im potrzebne.

– Wierzą w to? – zdziwił się.

– Jakbym ja im Biblię czytał, tak wierzą. Ale nie ma w nich żarliwej wiary w to, że może się coś zmienić. Dlatego dla takich ludzi to my musimy coś zrobić. Musimy przynieść im wolność i równość na naszych bagnietach. Wtedy dopiero zobaczą, jak piękne może być życie.

– To prawie jakbyś był ich księdzem.

– I to właśnie jest najgorsze dla nich. Ci księża, którzy ich otumaniąją religią. Bo Polacy to taki głupi naród, że co niedzielę dają się oszukiwać w kościele. Słuchają tych bredni o lepszym życiu po śmierci i święcie w to wierzą. I jeszcze ostatnie pieniądze na tacę rzucają. Z tym trzeba będzie jak najszybciej skończyć i zabrać im te kościoły, a księży, tych oszustów, się w pierwszej kolejności postawi pod ścianę. Religia to samo zło, które karmi ludzi bajkami o przyszłym raju, a my chcemy im ten raj urządzić tu na ziemi.

Zegarmistrz kaznodzieja dopił resztkę wódki ze swojej szklanki. Pytel znów upił tylko odrobinę, więc gospodarz dołał tylko sobie.

– Ale żeby ten raj im przygotować, musimy najpierw zrobić swoje.

– Czyli że jak?

– Wybrali ciebie, bo ponoć nie ma w tobie strachu i nie boisz się trudnych zadań.

– Nie boję się. – Pokiwał głową.

Wtedy też się nie bał. Nie miał innego wyjścia. Musiał pokazać, że nie ma w nim strachu. Doskonale rozumiał, że musi im to udowodnić. Musi pokazać Winnickiemu, że można mu zaufać. Na początku, wtedy tam w tej opuszczonej zagrodzie, skłamał, że jest komunistą, i czuł, że ten czerwony komisarz Winnicki do końca mu nie wierzy. Dlatego musiał pokazać, że niczego się nie boi i robi, co trzeba, gdy od niego tego zażądają. Zresztą, czy w ogóle miał inne wyjście? Chciał przeżyć i to się liczyło przede wszystkim. A w sytuacji, kiedy miał do wyboru życie swoje albo cudze, w naturalny sposób wybierał własne. Tak było i wtedy, kiedy już po wszystkim strzały na całym froncie zamilkły. Czuł się coraz lepiej i z nadzieją myślał, że skoro wojna się skończyła, a gdzieś tam na północy w Rydze podpisano traktat pokojowy, to będzie mógł wrócić do domu. Tak mu zresztą obiecał komisarz.

– Wrócisz do swojego Poznania, wrócisz, zobaczysz, ale i tam w Poznaniu będziemy cię potrzebować.

Wzruszył ramionami. Niech sobie gada, co chce. Co mu mogą zrobić, jak go

już odeślą do Polski? Przecież tam mu mogą naskakać. Powie im, że jak najbardziej będzie dalej na ich rozkazy, ale gdy już się wyrwie, to już go nigdy więcej nie zobaczą.

Tego dnia wcześniej rano zbudził go Winnicki i kazał natychmiast wstawać. Kwaterowali w jakiejś wiejskiej chacie na Białorusi, dwadzieścia kilometrów od linii rozdzielającej obie armie. Dzień wcześniej komisarz popił zdrowo z kilkoma oficerami ze swojego oddziału, więc Pytel bardzo zdziwił się, że jest już na nogach i do tego wygląda na całkiem trzeźwego.

– No teraz ty pokażesz mi, czy można na ciebie liczyć. – Klepnął go w ramię i uśmiechnął się zadowolony. – Dalej, wstawaj i wychodź przed chałupę!

Włożył więc buty na nogi, chwycił drewnianą laskę, którą wystrugał specjalnie dla niego stary Wasyl, chłop spod Jekatierynburga, który opiekował się nim na rozkaz komisarza i z którym żył się mocno przez ten czas, kiedy ranny Polak dołączył do ich oddziału. Dzięki tej solidnej podpórce mógł jako tako chodzić, nie nadwyrężając zbytnio zranionej nogi, w której kości dopiero się pozrastały. Założył koszulę zapinaną z boku, po rusku, a potem nasunął na głowę swoją rogatywkę pozbawioną orzełka. Gdy wyszedł na zewnątrz, poczuł, że chce mu się sikać, i zaczął rozglądać się, gdzie by tu pójść na stronę, ale zaraz zapomniał o potrzebie, dostrzegłszy coś dziwnego, co działo się na majdanie. Już świtało, więc przed chałupą zrobiło się widno. Spojrzał przed siebie i dostrzegł pięć postaci w białych koszulach klęczących w trawie jakies dwadzieścia metrów od domu. Zaciekawiony ruszył w tamtym kierunku.

– No dalej, panie Pytel! – zawołał wesołym głosem komisarz Winnicki. – Mało brakowało, a spóźniłby się pan na przedstawienie, a to przecież pan gra w nim główną rolę.

Bolszewicki politruk siedział na taborecie, a obok niego stało pięciu żołnierzy z karabinami w dłoniach. Otwory ich luf mierzyły w klęczących ludzi. Gdy podszedł bliżej, zrozumiał, z czym ma tu do czynienia. Ci klęczący z opuszczonymi głowami i z rękami spętanymi z tyłu, ubrani w białe koszule, byli polskimi żołnierzami. Jeńcami wziętymi do niewoli kilkanaście dni temu, jeszcze przed zawieszeniem broni. Jego bolszewicki opiekunowie zazwyczaj nie brali jeńców, dlatego zdziwił się, że tych nie rozstrzelano zaraz po schwytaniu. Widział tylko, że załadowano ich na wóz i dokądś odwieziono. Musieli więc trzymać ich w tej właśnie wsi. Ale przecież wojna się już zakończyła. Obie strony będą wymieniać jeńców. Po co więc ich zabijać? To było kompletnie pozbawione sensu. A może ten cholerny Winnicki chce tylko zażartować sobie z niego i z tych żołnierzy. Może chce sprawdzić, czy w takiej sytuacji będzie po jego czy ich stronie. Pieprzyć go! Już jest po wojnie przecież.

– Nie możecie ich rozstrzelać – powiedział stanowczo. Winnicki uniósł jedną brew do góry, wyrażając w teatralny sposób zdziwienie.

– A dlaczegóż to? – zapytał zdumionym tonem.

– Bo już jest po wojnie. Wojna się skończyła. Oni mogą wrócić do domu, tak samo jak jeńcy z tamtej strony.

– Coś takiego! – odpowiedział drwiąco Winnicki. – A któż nam tego zabroni?

– Nikt wam niczego nie może zabronić, ale to są jeńcy, a wojna się skończyła.
– Słyszeliście, towarzysze? – Komisarz spojrział na ponurych czerwonoarmistów z karabinami w dłoniach. – Pan Pytel mówi, że wojna się skończyła i nie możemy zabijać jaśniepanów!

Sołdaci wybuchnęli gromkim śmiechem.

– Otóż ja ci powiem, co my możemy, panie towarzyszu Pytel, i niech to będzie dla ciebie lekcja bolszewickiego wychowania. My możemy wszystko. To, że teraz podpisaliśmy jakiś traktat z Polską, jeszcze nic nie znaczy. Za rok, może dwa, a może za pięć ruszymy znów na zachód, bo robotnicy całej Europy czekają na wyzwolenie z jarzma kapitalistów. I takich białych panów, jak ci, będziemy tłuc, tak jak oni tłukli kaczki na polowaniach. A wiesz ty czemu? Bo oni nigdy nie przejdą na naszą stronę i jak im nawet darować życie, zawsze będą przeciw nam. Dlatego ich trzeba rozgniewać jak pluskwy, bo to nie są ludzie, to jest ludzki gnój, który nadaje się tylko do użyźniania naszych pól. Ot, co trzeba z nimi robić!

Nim Pytel zorientował się, co się dzieje, Winnicki podszedł szybko do klęczącego najbliżej, może czterdziestoletniego żołnierza i z odległości pół metra wypalił mu w głowę ze swojego naganta. Potylicą eksplodowała. Martwe ciało osunęło się bezwładnie na ziemię.

– Rozumiesz teraz, Pytel? Oni są nam do niczego nieprzydatni. Oni zawsze będą naszymi wrogami – mówiąc to, wskazywał lufą pistoletu na pozostałych czterech. Trzej starsi mieli spuszczone głowy. Jeden z nich mówił coś, poruszając bezgłośnie ustami, tak jakby się modlił, czekając na śmierć, pogodziwszy się z tym, że ona musi nastąpić. Czwarty, może dwudziestoletni, trzymał głowę wysoko, można powiedzieć hardo. Młodzi są głupi, przeleciało Pytłowi przez głowę zupełnie nie wiedzieć czemu. Winnicki podszedł do niego i wcisnął mu rewolwer w rękę.

– A teraz ty będziesz jak Pan Bóg. Zabij trzech, a jeden przeżyje. Nie zabijesz żadnego, ja zastrzelę wszystkich. Wybieraj!

Zostawił go samego i uśmiechając się szeroko do swoich żołnierzy, którzy rozbawieni patrzyli na tę scenę, usiadł znowu na taborecie. – No, panie towarzyszu Pytel, liczę do dziesięciu. Chcesz uratować jednego? – zapytał głośno, wsadzając papierosa w usta.

I Pytel uratował jednego żołnierza. Zrobił to z pełnym przekonaniem, że tak trzeba. Dzięki niemu ten młody ułan przeżył.

– Nie ma we mnie strachu – powiedział, patrząc w oczy zegarmistrza lichwiarza. Ten uśmiechnął się zadowolony.

– To w takim razie plan mamy taki...

Godzina 9.15 rano

– Już po dziewiątej! – zawołała Ursula, stając w drzwiach sypialni. – Śniadanie

zahaz podadzą – dodała jeszcze i zniknęła w korytarzu. Żona Fischera była Niemką i mimo że nauczyła się całkiem dobrze mówić po polsku, cały czas miała kłopot z dźwięcznym „r”.

Antoni otworzył oczy. W sypialni było jasno, choć na dworze pogoda nie była zbyt przyjemna. Słońce skryło się za nabrzmiałymi chmurami zapowiadającymi deszcz, a kto wie, może i pierwszy w tym roku śnieg. Przy takiej pogodzie dobrze było wyleżeć się w ciepłym łóżku, przykrywszy się po sam czubek nosa puchową pierzyną. Nie chciało mu się wstawać, jednak obowiązki wzywały. Musiał iść do pracy, choć wcale nie miał na to ochoty. Wolałby tę sobotę spędzić przy boku żony i małego synka. No, ale na to przyjdzie czas w niedzielę. Dziś jeszcze musiał pozałatwiać wszystkie kwestie papierkowe dotyczące śledztwa w sprawie zabójstwa mecenasa i przeczytać raporty z rozmów, które z lokatorami kamienicy przeprowadzili policyjni wywiadowcy. Pewnie też trzeba będzie pogadać z tym nadgorliwym Oskierką, który aż palił się do roboty i kto wie, czy aby czegoś nie nabroił...

Powoli podniósł się z łóżka. Usłyszał, że ktoś puka do frontowych drzwi, więc trochę się zdziwił. O tej porze nie spodziewał się żadnych gości. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie przychodzi rano z wizytą. Dostawcy i handlarze pukali do drzwi kuchennych i tam sprawy z nimi załatwiała kucharka Gertruda albo żona. Drzwi frontowe były dla gości i interesantów. Tyle że on interesantów nie przyjmował w domu jak jakiś adwokat. Wciągając kalessony, już właściwie zapomniał o tym nieproszonym gościu, pewny, że Ursula poradziła sobie z natrętem doskonale. Nic z tego. Sprawa musiała być poważniejsza, niż podejrzewał. Żona stanęła znów w drzwiach, marszcząc brwi, najwyraźniej niezbyt zadowolona.

– Przyszedł do ciebie policjant – poinformowała go z wyrzutem. Widać było, że ta wizyta była jej nie w smak. Od dawna już utarło się, że komisarz w sobotni rano je śniadanie z rodziną i nieco później idzie do pracy. Tymczasem dzisiaj praca przysłała do niego.

– To powiedz mu, moja droga, że przyjdę do biura za jakąś godzinę i niech mi głowy nie zawraca.

– Już mu mówiłam. – Pokręciła głową. – Nie chce iść i się zapięcha, że musi z tobą rozmawiać.

– Już ja jemu pokażę, gdzie raki zimują. – Założył koszulę, a potem wciągnął na siebie szlafrok. Już ja jemu pokażę...

– Nic ty jemu nie pokażesz, bo to jest Okoń – wyjaśniła z pełnym przekonaniem i oczywiście miała całkowitą rację. Z przodownikiem Okoniem łączyły Fischera szczególne relacje. Znali się jeszcze z powstania wielkopolskiego, a później wojny bolszewickiej, kiedy to Okoń służył w oddziale dowodzonym przez Fischera. Mimo że dzieliła ich różnica szarż, to jednak ten czas spędzony wspólnie w okopach, kiedy jedli z jednego kotła i gryzły ich te same wszy, połączył ich węzłem wzajemnego zaufania, szacunku, a pewnie i przyjaźni. Nie było więc mowy, żeby Antoni Fischer mógł zrugać przodownika. Skoro ten przyszedł do swojego szefa w sobotę rano, dobrze wiedząc, że ten

przeznacza poranek na rodzinne śniadanie, to znaczyło, że musiało się wydarzyć coś niezwykłego.

– No tak, jak to jest Okoń, to zmienia postać rzeczy. Poproś go, kochana, do gabinetu, a ja tymczasem doprowadzę się do porządku.

Ursula uśmiechnęła się lekko i skinęła głową. Komisarz tymczasem porzucił na dobre myśl, że może gościa powitać w negliżu i wyrzucić go z domu na zbity pysk. Zdjął więc szlafrok i szybko włożył spodnie, koszulę i kamizelkę. Nie zwracał sobie jednak głowy zakładaniem kołnierzyka. W końcu Okoń to nie był żaden obcy.

Gdy po kilku minutach Fischer wkroczył do swojego gabinetu, posterunkowy natychmiast poderwał się z krzesła, które stało na wprost solidnego dębowego biurka.

– Melduję się, panie komisarzu! – wyskandował po wojskowemu, jednak nie za głośno. To nie były przecież koszary. W Okoniu cały czas siedział jednak żołnierz z krwi i kości. Jeszcze niedawno, trzy lata temu, służył w wojsku, gdzie był zawodowym sierżantem. Jednak gdy los, a właściwie policyjne śledztwo, którym kierował Fischer, postawiło Okonia na drodze swojego dawnego dowódcy, obaj doszli do przekonania, że chyba już czas wyjść z koszar. No i Okoń został przeniesiony, za poręczeniem Fischera, do Policji Państwowej, zamieniając zielony mundur piechociarza na bardziej elegancki – granatowy uniform policjanta. Stał teraz przed swoim szefem w tym mundurze, więc sprawa, z którą przyszedł, była jak najbardziej służbowa.

Fischer uściśnął mu rękę, a potem opadł na fotel za biurkiem.

– No i z czym przychodzisz? – zapytał, dostrzegając strapioną minę podoficera.
– I nie stój jak kołek, tylko siadaj – mówiąc to, wskazał krzesło.

Okoń usiadł skromnie na brzegu, na znak szacunku do oficera. Rozsiadanie się przed wyższym rangą nie było wskazane, choć takich zachowań nie regulowały żadne przepisy.

– Melduję, panie komisarzu, że mamy awanturę w mieszkaniu tego adwokata, co jego zastrzelili...

– Mecenasa Witeckiego?

– Jak najbardziej, o niego się rozchodzi.

– Jaką awanturę?

– Jakaś kobieta, która podaje się za siostrę tego Witeckiego, zatrzymała tam na gorącym uczynku włamywacza.

– To dupa nie włamywacz, jak dał się babie pochwyć na włamaniu... – rzucił Fischer, zaraz jednak przypomniał sobie, jak wygląda ta dama. Z nią nawet jemu nie było łatwo, a co dopiero jakiemuś złodziejowi.

– Ona tego włamywacza powaliła na ziemię, pobiła i jak zlecieli się ludzie z tej kamienicy, no to zaraz nas na miejsce wezwali. No i mamy teraz tego, co się tam włamał, u siebie, a ta baba siedzi i czeka na korytarzu pod pana pokojem i grozi, że nigdzie nie pójdzie, póki się z panem komisarzem nie rozmówi.

– To natrętne babsko.

– Tak jest! – Okoń, który od godziny miał z nią nieprzyjemność obcować,

całkowicie zgadzał się ze swoim szefem. Właściwie to można powiedzieć, że zrobiła na nim tak wielkie wrażenie, że gdy dyżurny aspirant Wielichowski kazał mu lecieć po Fischera, przyjął to z prawdziwą ulgą. Pobiegł ochoczo, zostawiając babę samą na korytarzu.

– A ten złodziej, to co to za jeden? Mamy coś na niego w kartotece?

– Melduję, że w kartotece nienotowany, ale kto on jest, to ja wiem i pan komisarz też jego zna.

Przez chwilę przez głowę przeleciała mu myśl o Tolku Grubińskim, którego nazwisko otarło się o tę historię z morderstwem za sprawą aspiranta Oskierki. No, ale przecież Tolek nie dałby się złapać jakiemuś babsztyłowi. Za cwany był na to, żeby w ogóle dać się złapać policji, a co dopiero kobiecie.

– Jak się nazywa ten włamywacz?

– No bo to wcale nie jest włamywacz normalny...

– Rozumiem, nienormalny włamywacz.

– Nienormalny, bo to jest ten fotograf Maliszewski.

Fischer popatrzył na Okonia jak na wariata. Wiele bzdur już słyszał, ale żeby fotograf włamywał się do mieszkania zabitego mecenasa? To był przecież jakiś kompletny idiotyzm. Jednak z drugiej strony Okoń nie był szaleńcem.

– Maliszewski miałby się włamywać do mieszkania? – powiedział raczej sam do siebie.

– Dokładniej to on się nie włamał. Odkluczył se drzwi i wlaźł do środka, a klucze wziął z depozytu policyjnego – wytłumaczył przodownik. Coś gadał o tym, że musiał jeszcze coś tam sprawdzić, ale jakoś tak kręcił, to go wsadziliśmy do aresztu na wszelki wypadek.

– I słusznie żeście zrobili. – Komisarz poderwał się z fotela i podszedł do okna. Spojrzał na pozbawione liści drzewa rosnące po drugiej stronie ulicy Matejki za ogrodzeniem ogrodu botanicznego, który w tym roku władze miejskie przemianowały na park Prezydenta Wilsona. Chmury powyżej drzewnych koron nadal były nabrzmiące i szare. W każdej chwili mogła rozpocząć się jesienne ulewa.

– Trzeba by złapać dorożkę – stwierdził Fischer, który już był myślami w swoim biurze. Chciał jak najszybciej pogadać z Maliszewskim, bo w tej całej sprawie coś najwyraźniej śmierdziało.

– Drynda czeka na dole. – Okoń również poderwał się na równe nogi.

– Ale bez śniadania nigdzie nie pójdziecie – odezwała się Ursula, która nagle pojawiła się w drzwiach do gabinetu. Nie zamknęli ich, więc zapewne słyszała całą rozmowę dwóch policjantów i postanowiła wkroczyć do akcji.

– Ależ moja droga, sprawy nas wzywają. – Fischer spojrział na żonę z czułością, o jaką trudno by było na pierwszy rzut oka podejrzewać tego atletycznie zbudowanego mężczyznę.

– Sphawy mogą poczekać – zdecydowała. – Śniadanie już na stole. Pan Okoń też z nami zje – powiedziała to takim tonem, że nie było nad czym dyskutować. To ona rządziła w tym domu. Fischer nie miał w tej kwestii wiele do powiedzenia i właściwie zgadzał się na to bez szemrania.

Na wszystko się zgadzał od chwili, kiedy tylko ją poznał. Stało się to dwa lata temu w Schneidemühl. Był wtedy w odwiedzinach u swojego przyjaciela Carla, który w tym leżącym nad granicą polsko-niemiecką mieście pracował w miejscowej policji. Po południu wraz z Carlem i jego żoną Anną wybrali się na spacer po mieście. W końcu zatrzymali się na tarasie restauracji Goldener Löwe przy Neuer Markt.

– Bardzo przyjemne popołudnie – zauważył Fischer, rozglądając się ciekawie po rynkowym placu, w którego centralnym punkcie stał niezbyt wielki kościół otoczony kasztanowcami. Przed pomnikiem zapewne cesarza Wilhelma, jednak nie był tego pewien, bo figura była postawiona zbyt daleko, straż pełniły dwie żelazne armaty. Obok nich przechadzali się mieszkańcy, bo i co innego można było robić w to leniwe, niedzielne popołudnie. Spojrzenie policjanta zatrzymało się na pięknej kobiecie ubranej w długą, białą suknię i kremowy płaszcz. Szła spacerowym krokiem od strony kościoła. Na głowie miała słomkowy kapelusz przyozdobiony bukietem kwiatków, a na szyi jedwabną, pomarańczową apaszkę. Anna też spojrzała w tamtym kierunku i zaraz poderwała się z krzesła, machając dłonią.

– O, jest Ursula! – zawołała radosnym głosem. Ursula, tutaj! – Kobieta dostrzegła ją i również pomachała w kierunku swojej przyjaciółki. Ursula Scholz podeszła, właściwie podpłynęła do stolika, roztaczając wokół siebie zapach konwaliowych perfum. Fischer patrzył na nią jak zahipnotyzowany, a ona uśmiechnęła się do niego, zupełnie tak jak teraz.

– Idziemy – rzucił w stronę Okonia, który nie bardzo wiedział, jak się powinien zachować. Mimo że znali się od dawna, nie miał dotąd okazji jeść śniadania z komisarzem w jego domu. Jednak był na tyle bystry, żeby natychmiast wyczuć, z kim lepiej nie zadzierać. No trudno, zje kolejne śniadanie i może dzięki temu zaoszczędzi, bo nie będzie musiał kupować obiadu.

Godzina 12.00 w południe

Anastazy Olkiewicz otarł ukradkiem łzę, która wypłynęła mu z lewego oka i już chciała spłynąć po starannie ogolonym policzku, jednak dłoń wruszonego policjanta w cywilu była szybsza. Zaraz też rozejrzał się wokół, czy aby ktoś nie dostrzegł tej jego chwili słabości. Bo ten stary wiarus autentycznie był wruszony widokiem, którego nie miał okazji oglądać przez ostatnich sześć lat. Nieraz przechodził tędy w dawnych czasach i właściwie nie zwracał na to większej uwagi. Ot, były tam w górze na ratuszowej wieży dwa trykające się kozły i na co tu patrzeć, skoro to widok zwyczajny. Dziś jednak, przechodząc przez Stary Rynek akurat w samo południe, zadarł głowę w górę, a potem przystanął i patrzył jak zahipnotyzowany. Drzwiczki na górze otworzyły się i dwa dawno niewidziane koziołki zaczęły powoli wyjeżdżać ze swojej stajenki na

wieży. No i wtedy Olkiewicz poczuł wilgoć w oczach. Na szczęście otarcia łyzy nikt nie dostrzegł, bo wszyscy, którzy stali przed wejściem do ratusza, głowy mieli zadarte do góry. Nie, nie wszyscy. Jeden gówniarz z rudą czupryną spoglądał w zupełnie innym kierunku. Jak zaczarowany gapił się w kieszeń pewnego jegomościa, ubranego w porządny, czarny płaszcz, z melonikiem na głowie. Stał za tym mężczyzną dość blisko i patrzył. Olkiewicz znał ten stan, w który wprowadzają się doliniarze na moment przed akcją. Stoją i czekają na odpowiedni moment, obserwując swoją ofiarę jak jadowita żmija chwilę przed atakiem. Anastazy, cały czas mając na oku chłopaka, przesunął się nieco do tyłu, odszedł kilka kroków w kierunku ulicy Woźnej i zaraz zawrócił, by znaleźć się za jego plecami. Gdy był już jakiś metr od niego, gówniarz zaatakował, wykorzystując najprostsza, niezbyt wyrafinowaną technikę, polegającą na odwróceniu uwagi osoby okradanej. Lewą ręką pchnął go w lewy bok. Mężczyzna natychmiast się odwrócił, sprawdzając, kto też go popchnął i dlaczego, ale rudzielec wykonał dokładnie taki sam półobrót i jednocześnie włożył mu dłoń do kieszeni. Atak był błyskawiczny, bo ręka zaraz wynurzyła się z płaszcza, a okradany delikwent ani nikogo nie zauważył, ani niczego nie poczuł. Chłopak był już metr od niego z prawej strony. Powoli zaczął się wycofywać, robiąc krok do tyłu, ale zaraz przystanął, natrafiwszy na przeszkodę w postaci Olkiewiczowego brzucha.

– No i dupa zbita – stwierdził policjant, łapiąc go jednocześnie za ucho.

– Puszczaj pan – krzyknął rudzielec, a w odpowiedzi Olkiewicz jeszcze mocniej nakręcił mu małżowinę. Okrzyki i zamieszanie spowodowały, że ludzie dotąd oglądający przedstawienie z koziołkami w roli głównej zaczęli się odwracać.

– Łaaa! Boli!

– A pewnie, że boli, co ma nie boleć. Musi boleć, jak się kogo za ucho ciągnie.

– Co pan robi temu biednemu dziecku! – krzyknęła jakaś elegancko odziana pulchna kobieta, wyciągając w kierunku Olkiewicza dłoń w czarnej rękawiczce z wysuniętym oskarżycielsko wskazującym palcem.

– Biedne dziecko? – Anastazy zrobił zdziwioną minę. – To nie żadne biedne dziecko, ino najnormalniejszy na świecie złodziej. Pokaż no, szcunie, co żeś zjuchcił?

– Nic nie zjuchciłem.

– Nie? No to się zaraz przekonamy. Panie szanowny, panie w meloniku, tak, do pana gadam. Niech ino pan sprawdzi, czy masz pan wszystko w kieszeniach. Ten zaraz włożył dłoń do prawej kieszeni.

– Portfelik z pieniędzmi! – zawołał wystraszony. – Gdzie mój portfelik?

– Jak gdzie, w jego kieszeni. – Olkiewicz wskazał na łobuziaka, który zrobił minę najniewinniejszego dziecka na świecie.

– Nic nie kradłem! – zawołał i jeszcze raz spróbował się wyrwać, ale Anastazy trzymał mocno.

– Policja, trzeba policję zawołać! – wykrzyknął okradziony w meloniku.

– Policja już tu jest – odpowiedział mu Olkiewicz, robiąc przy tym poważną, służbową minę. – A portfel to on ma w kieszeni.

– Nic nie mam! – Rudzielec szedł dalej w zaparte, ale policjant znał dobrze takich typków, więc wcale go to zaprzeczanie nie obeszło. Wsadził mu dłoń do kieszeni lichego palta i zaraz ją wyjął. Nic nie miał w ręce. Jak to, pomyślał gorączkowo, przecież widział, jak wkłada portfel do kieszeni... Spojrzał w dół. Jeden but chłopaka był jakby nieco uniesiony nad powierzchnią bruku. Wszystko było więc jasne. Złodziejaszek wyciągnął swój łup z kieszeni, rzucił na ziemię i przydepnął. Ale to nie był dobry sposób na oszukanie szczwanego lisa.

Cały czas trzymając go za ucho, wziął w garść kołnierz jego palta i pociągnął do siebie. Chłopak zrobił krok do tyłu.

– I co tam mamy na dole? – zawołał Anastazy.

– Mój portfelik! – krzyknął okradziony jegomość, wskazując na coś, co wyraźnie odróżniało się od połyskujących granitowych brukowców. Podbiegł zaraz w to miejsce, nachylił się i podniósł przedmiot.

– To jest mój portfelik! – Uradowany uniósł go w górę, tak by wszyscy mogli zobaczyć. Coraz większy tłum, który jak zwykle w takich wypadkach zbierał się natychmiast ściągany ciekawością i chęcią przeżycia czegoś niezwykłego, zafalował, a ponad głowami przeszedł szmer podziwu, który zmienił się szybko w wyraz oburzenia. Wiadomo, że nikt nie lubi złodziei, którzy okradają spokojnych ludzi z ich ciężko zapracowanych pieniędzy.

– Trzeba mu spuścić wpierdol! – Jakiś osiłek w kaszkiecie wskazał palcem rudzielca.

– Obwiesić by złodzieja jednego! – poparła go jakaś przekupka w czarnej chuście na głowie.

– Zaraz się jaki postronek znajdzie – wołał wozak z batem w dłoni.

– Ludzie, tak nie można! – próbował powstrzymać emocje tłumu młody ksiądz, który zatrzymał się, widząc zamieszanie. – Trzeba go najpierw wypowiadać!

– Dawać go pod pręgierz!

– Szykować stryczek. Ma kto jaki sznur?

– Ale najpierw mu dupę skopać, żeby se zapamiętał!

Olkiewicz, widząc, że sytuacja jest coraz bardziej napięta, puścił kołnierz zatrzymanego, sięgnął szybko do kieszeni i wyjął z niej swój policyjny gwizdek. Włożył go do ust i zadał całą mocą swoich płuc. Przeszywający, wibrujący dźwięk rozniósł się nad rozgrzawanymi głowami.

– Łapy precz od zatrzymanego! Zaaresztowany jest przez policję!

– A gdzie tu policja, panie ładny? – rzucił mu buńczucznie w twarz ten w kaszkiecie, który już brał się do bicia.

– Ja jestem policja! – krzyknął Anastazy. – Zaraz mi się rozejść, bo wszystkich wsadzę do aresztu!

– Wypierdalać mi stąd, jak pan policjant każe! – Koło policjanta i zatrzymanego stanął jakiś elegant w szykownym bowlerze na głowie. Olkiewicz spojrzał na niego z wdzięcznością i zaraz dostrzegł, że ten, który przyszedł mu z pomocą, to jego dobry znajomy.

– Wypierdalać, bo jak się wnerwie, to zaraz będzie tu tako gemela, jakiej ten

rynek dawno nie widział.

Chyba nie musiał już więcej wyjaśniać. Większość z tych, którzy na chłopaku chcieli dochodzić sprawiedliwości, dobrze znała Tolka Grubińskiego. Ludzie wiedzieli, że z tym facetem nie ma co zadzierać, bo to się zwyczajnie nikomu nie opłaca, a awanturujący się może w szybkim tempie trafić do szpitala z dziurą pod żebrem. Tłum rozszedł się tak szybko, jak się zebrał, a może nawet jeszcze szybciej.

Tolek wziął się pod boki i stanąwszy naprzeciw chłopaka, spojrzał na niego z góry.

– Oj, nie mosz ty szczęścia, szczonie.

Rudzielec nic nie odpowiedział. Było widać, że jest mu głupio. Miał na swoim koncie już drugą wpadkę w ciągu kilku dni, a obu był świadkiem ten Grubiński, człowiek znany w okolicy jako najlepszy juchciarz.

– Co z nim chcesz zrobić? – spytał Olkiewicza. Ten wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, co miałby zrobić z chłopakiem. Wcale się nad tym nie zastanawiał. Gdy zobaczył, że młodzieniec zabiera się za kieszeń, zadziałał instynktownie jak prawdziwy myśliwski pies. Wiedział, że musi go złapać, no i złapał. A wiedział stąd, że doskonale znał ten sposób okradania frajerów. Sam w młodości robił takie rzeczy i gdyby nie wojna, to całkiem możliwe, że teraz byłby kompanem Tolka w złodziejskim fachu, bo do pracy fizycznej nigdy nie miał specjalnego ciągu. Dlatego służba w policji była dla niego jak najbardziej naturalnym zajęciem. Bo w końcu jaka to różnica, czy jest się złodziejem, czy się złodziei wsadza. I w jednym, i drugim fachu potrzebny jest ten sam spryt i podobna wiedza.

– A bo ja wiem? Na marnowanie życia w areszcie jeszcze za młody jest. – Dopiero teraz przyjrzał się uważniej rudej czuprynie i piegowatej twarzy chłopaka. Mógł mieć najwyżej piętnaście, góra szesnaście lat.

– Jak się nazywasz? – zapytał, puszczając wreszcie nadwyrężone ucho.

– Zenuś.

– Jaki Zenuś?

– To syn Antka Brodziaka, tego rybaka, co mieszka na Woźnej – wyjaśnił Tolek.

– Łe, to ja twojego starego znam. – Olkiewicz przypominał sobie wiecznie pijanego Brodziaka. Mając takiego ojca, nic dziwnego, że syn musiał starać się jakoś zarobić na życie. Przez chwilę nawet zrobiło mu się głupio, że go złapał na gorącym uczynku. Gdyby wiedział, kim jest, może powstrzymałby się od interwencji. No, ale z drugiej strony policyjna natura okazała się szybsza od trzeźwej kalkulacji.

– Idziemy! – Wskazał na róg starego ratusza, tam gdzie zaczynały się podcienie prowadzące do nowej siedziby władz miasta zbudowanej z czerwonej cegły.

Tolek musiał zrozumieć, w czym rzecz, w przeciwieństwie do młodego, który miał ochotę ulotnić się, korzystając z nadarzającej się okazji. Jednak fakt, że ten okrągły policjant puścił jego ucho, wcale nie oznaczał, że będzie mu dane

uciec.

– Idź, chłopoku, spokojnie i nie próbuj brykać. – Grubiński szepnął mu do ucha, a gdy Zenuś spojrział na niego, Tolek uśmiechnął się szeroko. Minęli miejsce, w którym niedawno chłopak musiał podzielić się swoim złodziejskim łupem ze starym złodziejem, aż doszli do łukowatej bramy prowadzącej w niewielką, przecinającą wewnętrzną zabudowę rynku, uliczkę Kurza Noga. Jak zwykle stało tu kilka dorożek oczekujących na śpieszących się interesantów, którzy po załatwieniu swoich urzędowych spraw w nowej siedzibie magistratu zapragnęli udać się w komfortowych warunkach gdzieś dalej do miasta. Tu policjant się zatrzymał, odwrócił się do rudzielca i zrobiwszy srogą minę, popatrzył groźnie na początkującego złodziejaszka.

– Masz szczęście, chłopcze, że ja jestem ze Starego Miasta i że się wychowałem na Mostowej i znam tu wszystkich, także i tego tu pana Anatola, a także i twojego starego takoz. I w związku z zaistniałą sytuacją złodziejską nie będę pisał protokółów, ani nic inne – To, czego najbardziej w policyjnej robocie nie lubił Olkiewicz, to pisanie czegokolwiek. O ile czytanie jeszcze jakoś mu szło, o tyle z pisaniem miał ciągły problem, bo gdy tylko siadał do pisania, zdania, które zamierzał napisać, jakoś z trudem składały mu się w głowie, a te napisane w żaden sposób nie pasowały do tych obmyślonych. Ostatnie pismo, jakie wyszło spod jego pióra, czyli list adresowany do komisarza Fischera w sprawie posady, pisał i przepisywał niemal przez cztery dni, a gdy już wysłał ostateczną, doskonałą wersję i tak okazało się po ponownym przeczytaniu brudnopisu, że wiele by można w nim zmienić. Dlatego teraz nie zamierzał pisać jakichś wyjaśnień dotyczących zatrzymania, tym bardziej że jako policjant bez aktualnego przydziału służbowego musiałby dokładnie wyjaśnić wszelkie okoliczności zaistniałego zdarzenia i jeszcze uzasadnić swoją, w zasadzie nieumocowaną urzędowo, interwencję. To było dla niego zbyt wiele, dlatego wpadł na doskonały w swojej prostocie pomysł.

– Do każdej roboty, którą się wykonuje, trzeba się przykładać odpowiednio – ciągnął dalej Olkiewicz. – Jak żeś jest szkiełem, musisz tak robić, żebyś zawsze umiał w ciżbie wypatrzeć takiego szuszwola jak ty, co się szykuje do juchty. A jak się zajmujesz juchtą, to musisz tak robić, żeby cię nawet najlepszy szkieł nie nakrył. I wew związku z tym ja ciebie temu tu panu Anatolowi w dobre ręce oddaję, żeby jak mają być z ciebie ludzie, żebyś się od niego fachu wyuczył tak, znaczy się od najlepszego, żeby ciebie w robocie żaden szkieł nie nakrył. I jeszcze żebyś wiedział, że to robię przez wzgląd na twoją szanowną mamusię, a nie przez twojego starego, któren jest papudrok i łachudra, bo ja jego dobrze znam. A twoja mamusia szanowna to dobra kibitka i kłaniaj się jej od Anastazego Olkiewicza. A teraz zmiataj, bo my jeszcze z panem Anatolem mamy kwestie do obgadania!

Powiedziawszy to, trzepnął oszołomionego chłopaka w ucho, a Brodziak był na tyle mądry, żeby o nic nie pytać, tylko ulotnić się jak najszybciej. Grubiński uśmiechnął się do Olkiewicza i zaraz klepnął go w ramię.

– Jesteś szkieł, ale równiacha.

- A co ty se, Tolek, myślisz, że jak kto idzie do policji, to zaraz zostaje świnia.
- Jakbym se tak myślał, to wcale bym z tobą nie gadał. I dlatego tu jestem, tak jak żeśmy się umawiali.
- Masz co dla mnie?
- A co ty se myślisz, że jak kto jest złodziejem, to już nie pomoże staremu kumplowi. Pewnie, że mam. Rozpytałem tu i tam i wiaruchna coś mi tam sprzedała w wiadomej sprawie.
- Co, tak mniej więcej?
- A to, że trzeba by się było przejść w jedno miejsce... - powiedział Tolek z tajemniczą miną. Anastazy dobrze znał ten wyraz twarzy. Zapowiadał kłopoty.

Godzina 12.30 po południu

Fotograf Maliszewski był wściekły, zdruzgotany i przestraszony jednocześnie. Jeszcze kilka godzin temu był przekonany, że jego plan całkowicie się powiedzie i całe przedsięwzięcie zakończy się spektakularnym sukcesem, a tymczasem to cholerne babsko pokrzyżowały wszystkie jego zamiary, a co gorsza wpędziło go w poważne kłopoty. Bo o tym, że ma kłopoty, przekonał się przed chwilą, kiedy to zajrzał do jego celi strażnik. Zajrzał całkiem rutynowo. Otworzywszy drzwi, rzucił ponure spojrzenie do środka, omiół nim siedzącego na pryczy Maliszewskiego i drugiego delikwenta w czapce cyklistówce na głowie, który z podkulonymi nogami zajmował miejsce vis-à-vis.

- Jak kto chce palić, to podpalę - rzucił, wyciągając zapałki i potrząsając nimi na wypadek, gdyby do tych zakutych aresztanckich łbów nie dotarł sens jego wypowiedzi. Maliszewski poderwał się na równe nogi, wydobywając jednocześnie papierosa z paczki.

- Ja bym zapalił.

Klawisz zapalił zapałkę i podał mu ogień.

- A tak w ogóle to kiedy mnie wezwać? - zapytał fotograf.

- Wezną, jak wezną - wyjaśnił policjant. - Jak góra zdecyduje, to wezną. A jak nie zdecyduje, to nie wezną i szlus.

- A komisarz Fischer to już jest?

- A gównu cię to obchodzi, zasrańcu. - Strażnik miał widać głęboko w nosie, kim był stojący przed nim człowiek, mimo że ubranie aresztanta sugerowałoby, że to nie byle kto. Jednak dla niego każdy, kto tu trafiał, musiał być złodziejem lub bandytą, bo uczciwi ludzie przecież nie lądowali w areszcie.

- Tylko bez tych wyzwisk proszę - zdenerwował się fotograf. - Ja się poskarżę!

- Jak przypierdolę, to się poskarżysz świętemu Pietrowi! - Klawisz podsunął mu pod nos wielką pięść, pomachał nią, a widząc, że kułak zrobił na aresztancie odpowiednie wrażenie, zaśmiał się zadowolony i wyszedł.

- Co za łajdak! - Oburzony Maliszewski spojrzął na współwięźnia, ale nie znalazł w nim zrozumienia. Mężczyzna patrzył cały czas w jeden punkt na przeciwległej ścianie. Wyglądał na kompletnie nieobecnego. Był młody, może

najwyżej dwudziestopięcioletni, o twarzy pozbawionej zarostu i brudnej, do tego z podbitym okiem i opuchniętym nosem. Na sobie miał jakiś szarobury sweter i czarne spodnie. Stopy miał gołe i uwalane błotem. Przekrwionymi oczyma spoglądał na ścianę. Maliszewski przyjrzał mu się uważnie. Było coś osobliwego w tym więźniu, coś, czego fotograf nie potrafił zdefiniować. Miał nawet przez chwilę wrażenie, że gdzieś już go kiedyś widział, tylko za nic nie potrafił go umiejscowić w jakimś konkretnym otoczeniu. Może to któryś z żebraków spod kościoła Świętego Marcina, do którego Maliszewski chodził w każdą niedzielę, a czasami nawet częściej. Tyle że ci żebracy spod kościelnego muru byli zazwyczaj starzy albo kalecy, a ten tutaj wyglądał całkiem zdrowo. Mógłby się wziąć do jakiej uczciwej roboty i zarobić na lepsze życie i na porządniejszy przyodzieżek.

Fotograf wrócił na swoją pryczę i zajął miejsce dokładnie na wprost młodzieńca.

– A wy za co siedzicie? – zapytał, zaciągając się papierosem.

– Ja? – zdziwił się, chyba tym, że w ogóle ktoś go o coś pyta.

– No wy. Bo ja to przez oczywiste nieporozumienie. Tak w ogóle to ja jestem współpracownikiem policji. Jako fotograf zawodowy robię najlepsze zdjęcia w Poznaniu i dlategoż policja nader często korzysta z moich usług. Jakby pan kiedy potrzebował dobrego zdjęcia do legitymacji, to polecam moje atelier, które mieści się przy placu Wolności. Wie pan, gdzie to jest?

– Nie wiem.

– Pan nie z Poznania.

– Nie.

– A skąd, jeśli można wiedzieć?

– Z Warszawy.

– Och, Warszawa, stolica, inny świat. Byłem kiedyś w Warszawie. Piękne miasto, panie. A pan tu za pracą przyjechał? – Maliszewski był coraz bardziej zainteresowany współwięźniem. W końcu był to ktoś z innego, wielkiego świata. Co tam, że brudny i w łachmanach. Twarz miał jednak inteligentną, zauważył, przypatrując mu się uważnie.

– Za pracą – potwierdził oberwaniec.

– Tu u nas pracy pod dostatkiem, byle się tylko kto chciał brać do roboty. Słyszałem, że przyjmują na barkach do rozładunku. W tym roku, panie, sezon dłuższy, bo zima się spóźnia i można towary rzeką wozić. A pan żeś na barkach próbował co znaleźć?

Warszawiak pokręcił głową.

– A za co pana zamknęli? Bo mnie, uważasz pan, przez horrendalną pomyłkę.

– Nie wiem za co.

– Aha. No tak bywa. Ale jak śledczy weźmie pana w obroty, to zaraz powiedzą za co. Jak ja bym się tylko ze śledczym spotkał, to zaraz wyjdzie, że to wszystko nieporozumienie, panie. Grube nieporozumienie. Jeszcze się z tego wszyscy będziemy śmiać – przekonywał Maliszewski, choć na razie wcale nie było mu do śmiechu. Wstał ze swojej pryczy i podszedł do kibla stojącego na lewo od drzwi.

Podniósł pokrywkę i wrzucił do wiadra niedopałek papierosa, po czym przemierzył niewielką celę zaledwie pięcioma krokami i spojrzał przez zakratowane okno. Aresztanckie cele znajdowały się w piwnicy, więc widok z nich był niezbyt ciekawy. Można było dostrzec tylko mur oficyny odchodzącej od kamienicy, która przylegała do policyjnego gmachu.

– Tam dalej jest Teatr Polski. – Wskazał ręką na ceglana ścianę. – Za tym murem. Wiem to dobrze, bo robiłem tam nieraz fotosy na zamówienie. Wie pan, takie zdjęcia z aktorami i aktorkami, co się je później wkleja do gabloty, w której jest plakat ze spektaklu. A pan to w ogóle był kiedy w teatrze?

– Byłem – potwierdził współwięzień.

– Tu co prawda nie Warszawa, tu nie ma takich gwiazd jak w stolicy, ale nasi aktorzy też niczego sobie. A Żydów to już w ogóle w Teatrze Polskim nie znajdziesz. A pan to chyba nie Żyd?

– Nie.

– To bardzo dobrze, bo ja jako prawdziwy Polak i katolik to z żydostwem bym nie chciał siedzieć w jednej celi. Zresztą i tak zaraz stąd wyjdę.

Chłopak nie zdążył odpowiedzieć. Klapka judasza przesunęła się ze zgrzytem i strażnicze oko zajrzało do środka. Po chwili obaj aresztanci usłyszeli dźwięk wydawany przez klucz obracający się w zamku i drzwi się otworzyły. Maliszewski był przekonany, że stanie w nich ten sam gburowaty strażnik. Zamiast niego zobaczył innego gbura, tego samego przodownika, który zakuł go w kajdanki i wsadził do aresztu.

– O, wreszcie pan sobie o mnie przypomniał. To skandal, żeby porządnego obywatela wsadzać za kratki i przetrzymywać bez powodów. Ja się poskarżę samemu komisarzowi Fischerowi. To niebywały skandal, panie... – przerwał nagle, bo za przodownikiem do celi wszedł sam Fischer. Komisarz zmierzył Maliszewskiego przeszywającym spojrzeniem kobry spoglądającej na swoją ofiarę.

– Mam nadzieję, panie Maliszewski, że ma pan jakieś rozsądne wytłumaczenie tego, coś pan robił w tym mieszkaniu...

– Panie komisarzu, aspirant Oskierko melduje się – odezwał się ktoś zza pleców Maliszewskiego. Ten natychmiast odwrócił głowę. Obdartus bez butów stał na środku celi i spoglądał pośpiesznie na swoje brudne nogi.

Fischer zrobił krok do przodu, odsunął na bok fotografa i stanął przed Oskierką. Przez chwilę patrzył na niego, jakby się chciał upewnić, że rzeczywiście ma do czynienia ze swoim podwładnym. Gdy w końcu stwierdził, że ten widok to nie jest jakaś halucynacja, wziął się pod boki i zapytał ostro:

– Pan mnie zdumiewa, Oskierko. Pański zapał do pracy wywiadowczej jest wprost niewiarygodny. Ale na przyszłość niech pan będzie tak miły i informuje mnie o swoich planach wywiadowczych, bo my do inwigilacji aresztantów tu w Poznaniu wykorzystujemy innych zatrzymanych, którzy są naszymi konfidentami. Oficerom przydzielamy bardziej odpowiedzialne zadania.

– Tak jest!

– Idziemy na górę, panie Oskierko.

– A co ze mną, szanowny panie komisarzu? – Maliszewski stanął mu na drodze.

– Pan sobie tu jeszcze trochę poczeka i przemyśli wszystko raz jeszcze.

Komisarz wyszedł szybko z celi, za nim podążył przodownik, a policyjny szereg zamykał przebrany za łachmaniarza aspirant. Drzwi zamknęły się z trzaskiem i fotograf pozostał sam na sam ze swoimi niezbyt wesołymi myślami. Teraz już całkowicie był pewien, że jest z nim kiepsko. Bo przecież policja nie zamykałaby go do celi razem z kapusiem i to jeszcze kapusiem aspirantem, gdyby jego sprawy nie uważano za bardzo poważną. Może więc trzeba będzie pójść z nimi na jakąś formę współpracy i przyznać się do wszystkiego?

Rozdział V

Niedziela, 21 listopada

Godzina 5.20 rano

Bezrobotny, zredukowany kancelista Jan Opieniek stał na moście Chwaliszewskim i patrzył w ciemny nurt przepływającej poniżej rzeki. Warta o tej porze roku była bura i niezbyt przyjemna, a jej ponure wody nie zachęcały do kąpieli. Ale były kancelista wcale nie zamierzał się kąpać. Owszem, wiedział, że za chwilę jego rozgrzane ciało zetknie się z chłodną rzeczną wilgocią, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Myślał o tym chłodzie wodnym jako o prawdziwym wybawieniu od trawiącej jego duszę gorączki mąk piekielnych, która to paliła go od środka już od kilku dni. Dokładnie to od poprzedniego czwartku, kiedy stanąwszy rano przed ułamanym na wpół lustrem, dostrzegł, że jego twarz przykryta niechlujnym zarostem zmieniła się nie do poznania i teraz wygląda jak cień tego dumnego niegdyś urzędnika magistratu, który golił się starannie każdego ranka przed wyjściem do pracy. Jednak kiedy dowiedział się od naczelnika Urbanka, że już do biura nazajutrz ma nie przychodzić, bo jego posada zostaje zlikwidowana, przestał używać brzytwy, oddając się całkowitemu fizjonomicznemu zatraceniu na skutek zaniedbania wynikającego z nadużywania alkoholu. Bo duchowe zatracenie przyszło od razu po rozmowie z naczelnikiem. Jego dobrze poukładany urzędniczy świat runął i nie było nadziei na odbudowanie. Owszem, ze swoimi kancelaryjnymi umiejętnościami mógł szukać czegoś gdzieś na prowincji, w urzędach powiatowych czy gminnych albo nawet w administracji jakichś dóbr ziemskich. Tam zawsze człowiek wykształcony i biegły w buchalterii mógł liczyć na posadę. Ale czy on, urzędnik wielkich umiejętności i jeszcze większych aspiracji, mógł wybrać karierę w Szamotułach czy w Środzie Wielkopolskiej wśród niewykształconych i niedouczonej głupców? Otóż nie. To nie było zajęcie dla niego, człowieka wielkich możliwości. Dlatego Jan Opieniek postanowił zgasić ogień trawiący jego duszę i ciało w sposób spektakularny, by nie powiedzieć – wręcz widowiskowy, a przedstawienie, które obmyślił, miało dać nauczkę temu zasranemu Urbanowi. Miało być dla niego policzkiem wymierzonym z precyzją godną wyborowego strzelca. Odtąd ów Urbanek, wstając co rano i spoglądając w lustro, miał zalewać się rzewnymi łzami, rwać włosy z głowy i myśleć o tym, jaką krzywdę wyrządził temu biednemu

młodzieńcowi, który tak świetnie się zapowiadał i którego karierę przerwał w brutalny sposób jednym, bezwzględny słowem „redukcja”.

Opieniek rozejrzał się dookoła, ale niczego niezwykłego nie zauważył. Wszystko na moście wyglądało tak jak zawsze. Przy narożnej kamienicy po drugiej stronie, tam gdzie zaczynała się ulica Wielka, przechadzały się w tę i z powrotem dwie młode kurwy. Kilku przechodniów przemierzało most, idąc w kierunku Rynku Starego Miasta, a kilku innych zmierzało w stronę Chwaliszewa. Przez most ciągnęła lora ze skrzynkami piwa i za nią dorożka z dorożkarzem, który od niechcienia poganiał batem gniadego wałacha. Nic nadzwyczajnego, pomyślał kancelista w rozpaczy i sięgnął za pazuchę. Miał tam jeszcze schowaną małąkę z wódką, z której dotąd wypił tylko jeden niezbyt wielki łyk. Wydobył więc ją, upił trochę i schował do kieszeni. Schowawszy, roześmiał się głośno, ale nikt nie zwrócił uwagi na ten śmiech. Kogo by obchodził podpity facet z nieogoloną gębą. Bo Opieniek był rzeczywiście podpity. Właściwie to był pijany i to nie od dzisiaj, ale od kilku dni. Dokładnie od momentu, w którym wyszedł z urzędu i poszedł do knajpy zamiast do swojego jednoizbowego mieszkania bez wygód. Od tej chwili pił cały czas i obmyślał zemstę na naczelniku, który wylał go na zbitą mordę. Początkowo rozważał zaczajenie się w jakimś zaułku na Urbanka i obicie mu mordy. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej mu się ten pomysł podobał. Postanowił więc, że nie tylko go obije, ale na koniec wsadzi mu jeszcze nóż w brzuch albo gardło i w ten sposób niegodziwiec zakończy swoje marne życie. Tylko co dalej? Zabije drania i po kres swoich dni będzie ten ciężar nosić na swoich barkach? Każdego następnego dnia będzie myślał o tym, że zabił co prawda złego, ale jednak człowieka. A później na sądzie ostatecznym zapytają go o dobre i złe uczynki i te wszystkie dobre przeważą ten jeden zły. A to oznacza, że zostanie potępiony na wieki przez ten jeden niegodny czyn pozbawienia życia kanalii. Nie, to nie jest dobre rozwiązanie, przekonywał sam siebie. Tę sprawę trzeba załatwić zupełnie inaczej. Nie może być tak, że to on – niewinny i czysty kancelista – ma przez to bydlę znosić katusze przez resztę życia. Trzeba by tak zrobić, żeby cierpiał ten, który wyrządził mu krzywdę. A jak to zrobić? Zastanawiał się dość długo, choć rozwiązanie znajdowało się bardzo blisko, w zasięgu ręki. Myśl ta pojawiała się niemal od razu, ale niesprecyzowana krążyła gdzieś wokół głowy przepędzana przez alkoholowe opary. W końcu dziś rano stała się wyraźna i klarowna. To jest najlepsze rozwiązanie, uznał, wstając z łóżka. Szybko siadł przy stole, wziął kartkę papieru i napisał długi list, wyjaśniając swoją motywację. Skończywszy, przeczytał go jeszcze raz, uśmiechając się pod nosem z ukontentowania. Szczególnie spodobało mu się ostatnie zdanie podsumowujące całość:

... nikt więc mej śmierci nie jest winien, jak tylko ów jeden niegodziwiec, łotr i kanalia, co to nie doceniwszy mych starań i poświęceń, wygnał mnie na poniewierkę i sromotę i w ten sposób sam jeden zerwał swą brudną starczą łapą kwiat życia młodzieńczego, którego dopiero co zakwitł i nigdy już nie zdola przekwitnąć, choć mógł rosnąć na chwałę naszej ukochanej, dopiero co

odrodzonej Ojczyzny. Bądź więc przeklęty na wieki. Ty wstrętna kreaturo, Urbanku Władystawie, boś jest przyczyną całej tej nieszczęsnej tragedii!

Przypomniawszy sobie, co napisał, roześmiał się głośno.

Zaciekawiona tym jego śmiechem młoda prostytutka w kapeluszu przyozdobionym kwiatami i w lekkim palcie z kołnierzem z królika podeszła bliżej i oparłszy się o balustradę mostu, stanęła, przyglądając mu się badawczo. Widać oględziny musiały przebiec pomyślnie, bo po chwili uśmiechnęła się i zapytała:

– Zamiast tak stać na zimnie, może by się poprzytulać? No co, pójdziemy? Będzie milutko.

– Dla mnie już nic nie będzie milutko. Wszystko się skończyło...

– Chyba nie chcesz skoczyć do rzeki?

– Zrobię, co mi się spodoba.

– Głupiś. Po co skakać, jak się można poprzytulać i na koniku pojeździć.

– Nie mam konika.

– Każdy chłop ma. No chyba żeś ty nie chłop.

– Co za różnica.

Sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej flaszkę. Pociągnął z niej łyk, a potem spojrzawszy na dziewczynę, podał jej butelkę.

– Masz, wypij za moją duszę.

Nie musiał jej namawiać. Była przemarznięta po całej nocy bezowocnego wyczekiwania na klienta.

– Dobra wódka – stwierdziła, ocierając wilgotne usta wierzchem dłoni.

– Oddaj flaszkę.

– Kiedy ona już pusta całkowicie.

– Zaraz będzie pełna.

Wyciągnął z kieszeni na piersi kartkę z listem pożegnalnym, zwinął ją w wąski rulon, a potem wcisnął do butelki. Zamknawszy ją korkiem, schował swoją wiadomość do kieszeni palta.

– Po co to wszystko? – Dziewczyna była wyraźnie zaintrygowana.

– Jak po co? Wyłowią moje ciało, to po liście się dowiedzą, kto się utopił i czemu.

– Aha. Rozumim. To mądre.

– Tak myślisz?

– Jasne. Jak moją znajomą Zośkę zadźgali na moście dwa lata temu, to znaleźli ją dopiero na wiosnę, a ryby to już jej oczy i język wyżarły i nie było wiadomo, czy to ona, czy nie ona. Dopiero po sukience ją się dało rozpoznać, choć do końca nie wiedzieli, czy to aby na pewno ona. A tak jak już ci te ryby wszystko zeżrą, to po liście z flaszki da się rozpoznać i na grobie napiszą nazwisko i imię.

– A czemu zaraz ryby mają mi co wyżerać? – Tego wyżerania nie wziął pod uwagę. Trochę tak głupio, żeby jaka ryba...

– Najgorsze to są te, no jak im tam, takie długie jak węże...

– Węgorz – podrzucił nazwę. Bardzo lubił wędzonego węgorza z zimną wódeczką.

– Bo taki węgoszcz to wszędzie wlicie. Przez oko do głowy, a przez gardło to i do flaków dojdzie. Z niej to chyba pięć węgoszczy wyciągnęli, a wszystkie obżarte tymi flakami jak świnie.

– Naprawdę?

– Wiem, co gadam. Taki jeden policjant mi powiadał. Takie były spasionie. Ale nikt ich nie chciał jeść i wyrzucili je z powrotem do Warty.

Opieniek zbladł, a potem poszarzał na twarzy. Poczuł, że robi mu się niedobrze. Wychylił więc głowę ponad barierkę i otworzywszy szeroko usta, wypuścił do rzeki całą zawartość żołądka. Dziewczyna, sądząc, że próbuje skoczyć, szybko złapała go za rękaw. Jednak zupełnie niepotrzebnie. Były kancelista nie miał najmniejszego zamiaru stać się karmą dla węgorzy.

– Ty, nie skacz! – krzyknęła mu do ucha.

– Tam... – Wskazał ręką w dół.

– Woda zimna jak lód, nie skacz, proszę cię!

– Nie, nie skaczę, rzygam przecie. Ale tam jest ktoś...

– Kto?

– A skąd ja mogę wiedzieć kto? Jakiś utopiec się pod mostem zaczepił i pływa.

– To może jeszcze żyje.

– Nie, sama zobacz.

Ostrożnie wyrzała za barierkę.

– O Jezusie! Gębę ma pod wodą, to utopiony! A ty gdzie leziesz? Jeszcze się utopisz.

– Pilnuj płaszcza! – Zdjął go i podał dziewczynie. – Nic mi nie będzie. Trzeba go wyciągnąć. Wołaj ludzi – polecił. – Jak ci na imię? – zapytał jeszcze.

– Stasia. A ci jak jest?

– Janek jestem. Wołaj, Stasia, ludzi! – Przelazł na drugą stronę poręczy, po czym zwinnie jak małpa zszedł w dół po kamiennym cokole mostu na niewielki podest wystający ponad nurt. Po chwili przy nim było już dwóch innych przechodniów zaalarmowanych krzykiem dziewczyny, a od nabrzeża odbijała rybacka łódka.

I w ten oto sposób zaginiony dwa dni temu policyjny wywiadowca odnalazł się zupełnie przypadkowo. Niestety nie było to szczęśliwe odnalezienie. Przynajmniej nie dla Pociechy, bo dla zredukowanego kancelisty Opienka jak najbardziej. W końcu znalazł pociechę w swoim strapieniu w postaci Stasi, dwudziestoletniej, początkującej prostytutki z Buku, która w Poznaniu zamierzała zrobić karierę aktorską, ale jej się nie udało. Udało jej się za to znaleźć miłość swojego życia i to całkiem niespodziewanie. Miłość, o której już dawno przestała marzyć. Ale wiadomo przecież, że kobiety kochają bohaterów i zakochują się w nich znacznie szybciej niż w przypadkowych przechodniach.

Godzina 5.30 rano

Otworzył oczy, ale niczego nie zobaczył. Dopiero po chwili, gdy wzrok przyzwyczaił się już do ciemności, zaczął odróżniać pewne szczegóły, takie jak zarys jakiejś szafy i chyba okno. Tak, to musiało być okno, bo widać było przez nie lekko połyskującą poświatę. To znaczy, że był w jakimś pomieszczeniu zapewne od strony podwórka, które było ciemne jak studnia. Tylko co to, do cholery, za podwórko?

Wyciągnął rękę w bok i namacał ścianę. Drugą ręką chciał dotknąć brzucha, ale mu się nie udało, bo na przeszkodzie stanęło coś puszystego i miękkiego. No tak, to musiała być pierzyna. Leżał w jakimś łóżku i – co ciekawe – jeszcze do tego rozebrany. Nie miał na sobie marynarki i spodni, ale był w kalesonach i koszulce. To znaczy że przed spaniem kulturalnie się rozebrał, położył na pościeli i przykrył pierzyną. Wszystko więc było w jak najlepszym porządku, tyle że nie w porządku było to, że nie miał pojęcia, gdzie jest. Przez chwilę zastanawiał się nad możliwościami, ale nic nie przychodziło mu na myśl. Pomacał z drugiej strony łóżka i odetchnął z ulgą. Nikt nie spał obok niego, a to znaczyło, że nie poszedł na kurwy. Całe szczęście, bo inaczej co by pomyślała sobie o nim panna Klementyna? No w sumie nicby nie pomyślała, boby jej o tym nie powiedział. Ale z drugiej strony, jak on miałby żyć ze świadomością, że tu pannie głowę zawraca, a na kurwy łązi. Na szczęście nie polazł. Nawet nie miał takiego zamiaru. Ale jakie miał plany wczoraj? No spotkał się z Grubińskim...

Zaczął powoli sobie przypominać całe wczorajsze popołudnie, godzina po godzinie. O ile z początkiem było dobrze, o tyle im później, tym mniej pamiętał, bo chyba źle rozpoczęli te wczorajsze poszukiwania. Ale wtedy wydawało im się, że sposób jest jak najbardziej skuteczny. No więc Tolek powiedział mu wtedy pod ratuszem, że ma pewne wieści i że muszą udać się w pewne miejsce. Pewne miejsce położone było całkiem niedaleko, bo na ulicy Wielkiej. Schodkami w dół wchodziło się do winiarni Krafta. Olkiewicz był tu ostatnim razem jeszcze przed wojną, ale gdy wszedł do środka, okazało się, że wewnątrz nic się nie zmieniło prócz jednego szczegółu. Wiszący nad barem obraz przedstawiający cesarza zamieniono na fotografię naczelnika Piłsudskiego.

Obaj przybysze zamówili po piwie i zasiedli za szeroką ławą naprzeciwko siebie. W knajpie było dość głośno, bo wszystkie stoliki i ławy były wypełnione po brzegi. Ich miejsce było puste, bo właściciel Kraft na widok Tolka natychmiast przegonił sześciu biesiadników, a ci, widząc, dla kogo robią miejsce, nawet nie podnieśli rwetesu. Zmełli tylko przekleństwa pod nosem, ale nie za głośno, żeby czasem Grubiński nie zauważył. Ale on i tak dostrzegł ich niechętną postawę, tyle że niechęć murarzy mógł mieć głęboko w nosie. To nie byli ludzie z jego świata, ale zwykli durnie, dla których Tolek nie miał krzty szacunku, biedacy, którzy przepijali ciężko zarobione pieniądze zamiast odnieść je jak Bóg przykazał istotom znacznie rozsądniejszym, czyli własnym żonom. Bo Tolek wszystko, co zarobił, oddawał swojej Kryśce, wiedząc, że ta zrobi z pieniędzy lepszy użytek, niżby on sam je zagospodarował.

- Sprawa jest taka – odezwał się Tolek, gdy Anastazy przypalił mu papierosa.
- Twój wuja to był porzundny człowiek, choć pederasta.
- Co? – Olkiewicz mało nie zakrztusił się piwem.
- To, co gadam. Facet lubił chłopców.
- Ale teraz pierdoły opowiadasz. – Anastazy wydał wargi, bo rewelacje kumpla najwyraźniej pochodziły wprost z księżyca. Co tam ten Tolek mógł wiedzieć, jak on znał swojego wuja od zawsze. Nie chodził na panienki, to prawda, ale dlatego że zawsze był zapracowany. Siedział w swoim warsztacie i nadzorował tych swoich umięśnionych stolarzy, którzy spoceni heblowali deski i zbijali je w trumny...
- Naraz stanął mu w oczach obraz wuja, który siedział za stolarskim stołem w warsztacie i patrzył na stolarzy z uśmiechem na twarzy, popijając zimne piwo z aluminiowej kanki. Nie, to jakaś kompletna bzdura...
- Ile miał lat twój wuja? – zapytał rzeczowo Tolek.
- Anastazy spojrział na swoje palce i zaczął szybko zaginać te od prawej dłoni.
- Trzydzieści siedem – stwierdził uradowany, gdy doliczył się wreszcie, że jak kto jest młodszy o dziesięć lat od jego mamusi, która ma teraz czterdzieści siedem, to nie może mu nijak inaczej wyjść, jak tylko dziesięć lat mniej.
- I nie dziwne ci było, że taki rzemiecha nie ma żony i dzieci?
- Nie miał czasu... – rzucił szybko, ale coraz mniej pewnie.
- Bo pedryle się nie żenią, no chyba że dla przykrywki. Wuja nie musiał, bo i po co mu żona, jak on miał własny, dochodowy interes. Na jaką cholere mu jakaś baba łażąca po domu i jeszcze zaglądnąca w rachunki.
- Nie, to nie możliwe. – Anastazy pokręcił głową, ale jakoś tak niezbyt pewnie. Ci spoceni młodzi stolarze i on patrzący na nich i oblizujący wargi. A myślał, że to oblizywanie to od piwa, które pił małymi łydkami...
- Tu niedaleko na Żydowskiej mieszka stolarz. Nazywa się Walczak. Pracował u twojego wuja przez dwa lata, a może i nawet dłużej. Ponoć ostatnio tylko łąził po mieście w całkiem dobrze ubrany, pił se piwo i jadł w knajpach. Wiara często widziała ich razem. Powiadają, że patrzyli se w oczy jak gruchające gołąbki.
- A żeby jego, cholernika, pokręciło! – Olkiewiczem wstrząsnął dreszcz słusznego, całkiem męskiego obrzydzenia. Splunął pod stół, a potem wypił solidny łyk, by splukać niesmak.
- Ponoć od czasu, jak twój wuja został zabity, nikt tego faceta nie widział na ulicy.
- Schował się, szczur jeden! Ino gdzie go szukać?
- Stróż z kamienicy, co ma on w niej pokój na poddaszu, powiada, że siedzi tam cały czas i że mu gorzołę ze sklepu jakieś szczony donoszą. Znaczy się zapija smutki.
- Już ja jemu zapiję. Oderwę mu tego grzesznego kutasa.
- Grzesznego? Nie wiedziałem, Anastazy, żeś jest taki religijny. Sodomita to też człowiek – stwierdził Tolek, lekko się uśmiechając. Jego sodomia nie gorszyła w żaden sposób. Nic go nie obchodziło, to kto w jaką dziurę lubi

wkładać swój interes. Byleby nie była to jego własna dziura.

Posiedzieli w knajpie jeszcze trochę, czekając na Krystka Kaźmierczaka, który miał sprawdzić, czy aby na pewno ten gość jest w domu. Nim wypili do końca ćwiartkę czystej, młody wywiadowca przybiegł z dobrą nowiną. Stolarz był u siebie. Spał na łóżku, nie zamknawszy nawet drzwi do mieszkania. No to poszli z nim pogadać.

– Ty jesteś Walczak Eustachy – zapytał Olkiewicz, pochylając się nad śmierdzącym przetrwoną wodą, nieogolonym facetem. Ten, nad wyraz zdziwiony, otworzył oczy.

– Spierdalaj! – warknął i zamknął je z powrotem, ale zaraz otworzył ponownie, bo coś mu się nie zgadzało w tym jego pijackim śnie. – A ty co tu robisz? – zapytał wyglupiony. Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy Olkiewicz trzepnął go otwartą dłonią w ucho. Nie za mocno, można by powiedzieć, że nawet delikatnie.

– Co jest, kurwa?! – krzyknął Walczak i poderwał się z posłania.

– Tak to się wita gości? – rzucił Anastazy szyderczym tonem i odszedł od łóżka. Na samym środku pokoju stał okrągły stół, przy którym gospodarz postawił dwa krzesła. Oba zavalone były ciuchami, więc Olkiewicz zrzucił na podłogę leżące tam portki i usiadł. Grubiński tymczasem pozornie niezainteresowany tym, co rozgrywa się w mieszkaniu, stał oparty o framugę drzwi, dając gospodarzowi wyraźnie do zrozumienia, że raczej nie uda mu się opuścić swojego tego lokalu przed zakończeniem rozmowy.

– Czego chcecie? – zapytał, patrząc na dwóch intruzów spode łba.

– No, teraz lepiej – stwierdził uśmiechnięty od ucha do ucha Olkiewicz. – Wpadliśmy do ciebie trochę pogadać.

– To miłe z waszej strony. Bardzo lubię przyjacielskie pogawędki.

– Widział żeś go? – Anastazy spojrzał na kolegę. – Wesoły z niego gość.

– Mogę mu pierdolnąć, żeby było śmieszniej – zaferował Tolek.

– Na to zawsze się znajdzie czas. Jak będzie łągał, to mu spuścimy lanie.

– Nie lepiej od razu, żeby mu się wszystko we łbie poukładało?

– Czy ja wiem? Jak żeśmy przesłuchiwali pojmanych bolszewików na wojnie, to żeby lepiej gadali, zawsze się ich najpierw prało. A jak który kręcił, to wystarczyło takiemu chamowi przestrzelić kolano i już gadał jak najęty. – Oślupiały stolarz z przerażeniem dostrzegł, że ten niewielki, łysiejący facet raczej nie żartuje. Wyciągnął bowiem z kieszeni rewolwer.

– Jezus Maria, czego wy chcecie?

– Jak to czego? Prawdy – rzucił Olkiewicz i wymierzył broń w kierunku Walczaka.

– Strzel go w to kolano, bo nie będziemy tu przecież tkwić przez cały dzień. Robota czeka – ponaglił go Grubiński.

– A ty wiesz, że jak się z tej zabawki trafi w kolano, to człowiek postrzelony już nigdy nie zatańczy? – Anastazy spojrzał na lufę pistoletu, a potem w oczy przerażonego stolarza. Po jego spojrzeniu poznał, że ten jest gotowy powiedzieć

wszystko, co wie.

– Po co trafiać, kiedy ja wszystko powiem, co chcecie, a nawet więcej powiem, ino że nie wiem co...

– Czemu zabiłeś właściciela zakładu pogrzebowego Kaczmarkiewicza?

Stolarz aż otworzył gębę ze zdumienia. Widać, że takiego pytania się nie spodziewał.

– Ja miałbym go zabić? Nigdy w życiu!

– Miałeś do niego złość? – pytał dalej Olkiewicz.

– Nieprawda!

– Kłóciliście się ostatnio. Ludzie słyszeli – rzucił Grubiński, który nic o żadnej kłótni nie słyszał, ale wiedział, że zawsze warto spróbować. W końcu na przesłuchiwaniu znał się jak mało kto. Policja przesłuchiwała go już przynajmniej ze sto razy, więc śledcze techniki znał doskonale.

– To nie tak, jak myślicie – zaprzeczył gwałtownie stolarz i ukrył twarz w dłoniach. – Ja mu tylko mówiłem wtedy, to było dzień przed jego śmiercią, że nie powinien się z nikim innym spotykać. A on mnie wtedy wyśmiał i powiedział, że to spotkanie ma zupełnie inny charakter i że bym dał mu spokój. Bo ja...

– Jakie spotkanie, do cholery?

– Słyszałem, jak on się umawia przez telefon z jakimś człowiekiem. Ten facet miał przyjść wieczorem, jak już warsztat będzie zamknięty. Powiedział, że powspominają sobie stare czasy. No to powiedziałem mu, że wszystko słyszałem i że źle robi...

– Nie powiedział, kto to ma do niego przyjść?

– Powiedział, że jestem głupi i nic nie rozumiem i że mam mu dać spokój, bo on będzie się spotykał, z kim tylko chce.

– I dlatego go zabiłeś? Ktoś cię widział, jak wychodziłeś wieczorem z warsztatu – rzucił Tolek, prawdziwy mistrz blefu.

– Nie, to on go zabił – zaprzeczył gorączkowo

– Kto?

– Ten, z którym się spotkał wieczorem.

– Skąd wiesz?

– Bo tam byłem. Najpierw poszedłem sobie, ale później wróciłem, żeby zobaczyć, co to za jeden ten, co ma się z nim spotkać. Stałem w bramie naprzeciwko, widziałem, jak facet wchodzi i później szybko wychodzi. No to jak on sobie już poszedł, to ja poszedłem do warsztatu. Drzwi były otwarte, to weszłem tam, żeby powiedzieć Alojzemu, znaczy się panu Kaczmarkiewiczowi, że wszystko widziałem i że z nami będzie koniec, ale jak weszłem tam, to Alojzy już nie żył. To stamtąd uciekłem. Przestraszyłem się i uciekłem.

Znów ukrył twarz w dłoniach. Jego ramionami wstrząsnął spazm. Stolarz płakał jak dziecko.

Olkiewicz całą tę rozmowę pamiętał bardzo dokładnie. Nadal jednak nie wiedział, gdzie jest teraz. Przypomniawszy sobie, że po wyjściu od stolarza, który

chyba mówił prawdę, poszli z Tolkiem na wódkę. Podczas picia omówili bardzo dokładnie wszystkie szczegóły przesłuchania i doszli do wniosku, że Walczak raczej ich nie okłamał. Powiedział jeszcze, jak wyglądał ten, który odwiedził wieczorem wuja. Tyle że ludzi tak wyglądających były całe setki. Nadal więc nie mieli żadnego konkretnego. Później Tolek zostawił Anastazego samego i ten pamiętał jeszcze, że postanowił posiedzieć jeszcze trochę. No i posiedział, ale jak długo, tego nie pamiętał. Nie pamiętał niczego więcej. Dalej w jego pamięci była czarna dziura.

Naraz usłyszał jakiś ruch dochodzący zza drzwi. Ktoś tam chodził w sąsiednim pomieszczeniu. Cholera wie kto. Trzeba to sprawdzić, pomyślał Anastazy, siadając na łóżku. Za drzwiami zapaliło się światło i świetlna smuga wsunęła się przez szparę, oświetlając nieco pokój, w którym się znajdował. Dostrzegł krzesło stojące obok łóżka. Na jego oparciu ktoś starannie przewiesił spodnie, a na nich marynarkę. Anastazy od razu rozpoznał swoje własne ubranie. Natychmiast włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Portfel był na miejscu. Nie został więc okradziony. W drugiej kieszeni był rewolwer. Odetchnął z ulgą. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Nie w porządku było tylko to, że nadal nie wiedział, gdzie jest. I wtedy drzwi do pokoju otworzyły się, a Anastazy zamarł w kompletnym przerażeniu...

Godzina 8.30 rano

– Tylko czemu, do cholery ciężkiej, nic ja o tym nie wiedziałem wcześniej?

– Ja melduję, że ci z komisariatu na Garbarach dopiero wczoraj przekazali nam akta sprawy – zameldował po poznańsku Okoń, robiąc przy tym nieszczęśliwą minę. „Ja melduję” było typową kalką, czyli prostym tłumaczeniem z niemieckiego, bo w armii pruskiej mówiono „Ich melde”, więc Polacy służący niegdyś w niemieckich mundurach podczas powstania wielkopolskiego, gdy nie opracowano jeszcze polskich regulaminów, przynosili niemieckie zwyczaje do poznańskiej armii. Okoń był najwyraźniej przywiązany do tradycji, a Fischerowi kompletnie to nie przeszkadzało, więc tolerował stary sposób meldowania, co nie zawsze podobało się oficerom, którzy przybyli do Wielkopolski z Kongresówki.

Okoń miał minę zbitego psa. Wiedział, że całkowicie zawałił sprawę. Trzeba było pójść od razu do komisarza Fischera i zameldować mu o wszystkim. Tymczasem on pozwolił, by Olkiewicz sam zabrał się do wyjaśniania tego morderstwa. Ale co najgorsze – i o to Okoń miał do siebie największe pretensje – to fakt, że był tak głupi, że niczego nie skojarzył. A przecież powinien, bo nie trzeba było być specjalnie inteligentnym policjantem, żeby zrozumieć, że obie sprawy łączą się ze sobą.

– Naprawdę nie skojarzyłeś niczego? Przecież podobieństwa są ewidentne. Jak można było ich nie połączyć?

Okoń stał wyprostowany w przepisowej odległości trzech metrów od biurka

przełożonego i wpatrywał się w czubki swoich wyglancowanych jak na paradę wysokich butów. Fischer oczywiście miał całkowitą rację. Jak można było być takim idiotą?

– Melduję, że jestem idiotą.

– Jesteś, to prawda, a gdzie ten drugi cymbał?

– No i tu jest właśnie problem, panie komisarzu. Bo on zniknął.

– Jak to zniknął?

– Melduję, że żeśmy się umówili już wczoraj, że wieczorem się spotkamy, a on mi powie, co i jak ustalił, a potem jakby co będziemy się meldować u pana komisarza. No i nie przyszedł wieczorem, tom poszedł do niego do domu, ale jego mama to powiedziała, że Anastazy jeszcze nie wrócił. Tom se pomyślał – zapomniał, że żeśmy się mieli spiknąć, ale rano na wszelki wypadek zaszłem do niego, a pani Olkiewiczowa powiada, że nie wrócił na noc. No to mnie się widzi, a ja jego dobrze znam, że to do niego niepodobne.

– Może u jakiej panny zabarłoczył.

– Jest taka jedna panna, bardzo porządna, co ma Klementyna na imię, ale ja nie wiem, gdzie ta panna mieszka. Ale ja się na takich znam i wiem dobrze, że to nie taka, co by od razu wpuściła do swojego domu człowieka na noc. To taka, co to wpuści do łóżka dopiero po ślubie. A i Olkiewicz nie z tych, co by się pannie narzucał i pchał się do niej na siłę. Z tego, co mi powiadał, to on o niej całkiem poważnie myśli.

– No to jak na razie nic nie wiemy oprócz tego, że ten kiepski Sherlock Holmes gdzieś zniknął.

– Że niby kto?

Fischer spojrzał na pocziwą twarz Okonia i uśmiechnął się pod wąsem.

– Znaczą detektyw.

– Aha. – Podoficer rozumiał znaczenie słowa „detektyw”, ale nie znał żadnego detektywa i nie wiedział nic o jego zaginięciu. – To co robić, panie komisarzu?

– Na razie chyba nic. Olkiewicz jest cwany i kuty na cztery nogi i jak go znam, to z każdej opresji potrafi się wywinąć.

Okoń pokiwał głową. To prawda. Ten człowiek był obdarzony wprost nieprawdopodobnym szczęściem. Pamiętał, że podczas odwrotu spod Kijowa Anastazy nagle któregoś dnia zniknął wraz z kilkoma ludźmi, wysłany przez Fischera na rozpoznanie przeprawy. Chodziło o to, by dowiedzieć się, czy most, ku któremu kieruje się ich oddział, jest cały i czy da się po nim przejechać z taborami. Porucznik, a dziś komisarz, posłał Olkiewicza i pięciu ludzi przodem, a sam z resztą oddziału czekał ukryty w lesie. Naraz z oddali do ich uszu doleciały dźwięki gwałtownej strzelaniny i wybuchy granatów. Fischer zareagował natychmiast, sądząc, że niewielki oddział Olkiewicza natrafił na wroga w pobliżu mostu. Posłał więc mu na odsiecz Okonia z kilkunastoma żołnierzami wsparcia. Gdy po kwadransie Okoń ze swoimi ludźmi dotarł do mostu, okazało się, że przeprawa jest niebroniona, a dokładniej już wolna. Na moście i drodze prowadzącej do niego sierżant Okoń naliczył ponad dwadzieścia trupów bolszewickich żołnierzy. Większość zginęła od kul i odłamków granatów,

jednak kilku z nich miało na łbach piękne rany po cięciach szablą. Wszystko wskazywało więc na to, że Olkiewicz, zamiast rozglądać się, uderzył sześćosobową szarżą na bolszewicką czujkę. Wykorzystując moment zaskoczenia, przejechał po nich jak taran, odstrzeliwując i obrzucając granatami, a tych, którzy przeżyli, wykończył, tnąc z siodła. Zachował się jak wariat, Okoń fachowo ocenił robotę przyjaciela, ale w ten sposób udroził pozostałym przeprawę. Ludzie sierżanta dokładnie przejrzeni całe pobojowisko, dobili dwóch rannych bolszewików, bo nie był to czas na branie jeńców, a dowódca, odebrawszy meldunek, że miejsce jest całkowicie bezpieczne, wystrzelił raketnicę, informując Fischera, że przeprawa wolna.

– Sierżancie! – zawołał porucznik na widok Okonia siedzącego na koniu na skraju drogi prowadzącej do mostu. Podoficer podjechał do dowódcy i uśmiechnięty od ucha do ucha zasalutował ruską, zdobyczną szablą. Fischer też się uśmiechnął na widok tej kawaleryjskiej etykiety. Obaj, tak zresztą jak i cały ich oddział, byli piechociarzami, ale podczas odwrotu natrafili na bolszewicki oddział koniuchów pilnujących może setki koni. Bolszewików wystrzelali, ale koni szkoda było zostawiać. Dlatego Fischer podjął decyzję, że jego ludzie będą wycofywać się jak kawaleria, w siodłach. Większość z nich to byli poznańscy chłopcy, więc dla nich jazda była czymś zwyczajnym. Gorzej było z mieszczuchami. Oni musieli się dopiero uczyć jazdy podczas marszu, tak jak Anastazy. Jednak chyba się nauczył, skoro pierwsza w jego życiu szarża przyniosła taki skutek.

– A gdzie jest Olkiewicz? – zapytał Fischer, spoglądając na pobojowisko.

– Ja melduję, panie poruczniku, że cholera go wie.

– Jakież straty?

– Żadnych, ino Ruskie porżnięte jak barany. Przejechał im po łbach i gdzieś poleciał.

– Na drugi brzeg?

– Ady tam. – Sierżant wskazał palcem na prawo. – Zostali się tutaj, na tym brzegu. Musiał pognać za tymi, co uciekli na koniach, tam w las. Jak ja jego znam, to chciał wszystkich wytłuc, żeby się czerwone gnoje nie zwiedziały, że my tu na ten most idziemy.

– A to cholernik. Do raportu go postawię.

Okoń znał swojego dowódcę jeszcze z czasów powstania i dobrze wiedział, że w tym gniewie więcej było troski o człowieka niż rzeczywistej złości. Dlatego uśmiechnął się znowu i zasalutowawszy ruską, zdobyczną szablą, powiedział:

– Ja melduję, panie poruczniku, że onemu nie raport, a blaszka się należy.

I dostał blaszkę. Krzyż Walecznych przypinał Olkiewiczowi sam wódz naczelny Piłsudski pięć miesięcy po tym, jak w Rydze polska delegacja podpisała ten haniebny traktat, w którym po raz pierwszy w dziejach wojen strona przegrana uzyskiwała więcej, niżby mogła oczekiwać, a wojska zwycięzców wycofywały się z wielkim poświęceniem zdobytej ziemi. Najpierw jednak Olkiewicz wrócił do oddziału... po dwóch dniach. Uśmiechnięty od ucha do ucha zameldował się Fischerowi.

- Gdzie żeście się do cholery podziewali, sierżancie?
- A no trochę żeśmy się zagalopowali tam przy tym moście, panie poruczniku, a jak żeśmy wrócili, was już nie było, a most był obsadzony przez Ruskich. Tyle że za dużo ich było, żeby jeszcze raz po nich się przejechać, no to żeśmy musieli iść w górę rzeki szukać innej przeprawy i tak jakoś zleciało.
- A co z ludźmi? Jakież straty?
- Bez strat własnych, panie poruczniku, plus pięćdziesięciu trzech.
- Co?
- No, znaczy się, że podgarnęli my jeszcze trochę naszych piechociarzy, ino że koni dla nich nie było, to i nam trochę zeszło na marsz, bo trzeba było wolniej jechać, żeby te łachudry nadażyły za nami. Bo jak kto na girach drałuje, to za koniem nie nadaży...

Fischer uśmiechnął się do tych wspomnień. Prawda, że Olkiewicz radził sobie w trudnych sytuacjach jak mało kto, więc nie było się co nim przejmować. Za to pochylić się trzeba nad tym jego prywatnym śledztwem, bo fakt, że jego wuj został zabity w ten sam sposób co mecenas, mógł świadczyć tylko o jednym – ktoś w ten sposób załatwia swoje porachunki i raczej było mało prawdopodobne, że obu morderstw nie łączy osoba sprawcy. Spojrzał na niezbyt grubą teczkę z aktami sprawy zabójstwa Kaczmarkiewicza, która dziś rano trafiła na jego biurko. Ktoś, kto prowadził ją w komisariacie na Wielkich Garbarach, widać doszedł do przekonania, że nie da się jej rozwiązać i jako nierozwiązywalna została przekazana wyżej do niego właśnie. Tylko przypadek sprawił, że dziś się dowiedział o wszystkim. Przyszedł do pracy w niedzielę, zlitowawszy się nad tym durniem, fotografem Maliszewskim, który siedział zamknięty w celi. Zamierzał go szybko przesłuchać i wypuścić, a tu tymczasem natoczył się Okoń z wieściami o swoim kumplu Olkiewiczu.

Przeniósł spojrzenie z teczki na stojącego ciągle trzy metry od biurka Okonia.

- Znajdź tego cymbała Olkiewicza i meldujcie się jutro z rana u mnie.
- Tak jest, znajdę go!
- A teraz idź do aresztu i wypuść tego Maliszewskiego.
- Tak jest, ale bez przesłuchania?

Fischer doszedł do wniosku, że nie będzie się już dziś zajmować tym człowiekiem. Za to jutro jak najbardziej.

Sięgnął do szuflady i wydobył kartkę papieru kancelaryjnego. Złożył ją starannie na pół, a potem jeszcze raz i nożykiem do papieru oderwał równo, tnąc po krawędzi jedną czwartą arkusza. Nie było potrzeby marnować całej kartki na jedno zdanie, bo reszta mogła się jeszcze przydać. Wziął do ręki ołówek i szybko napisał:

Zwolnić z aresztu zatrzymanego Maliszewskiego Wacława, fotografa – natychmiast!

Podpisał się i podał kartkę z rozkazem Okoniowi.

- Powiedz mu jeszcze, tak w tajemnicy – tu mrugnął znacząco do podoficera – że komisarz jest na niego wściekły tak dalece, że rozważa oskarżyć go

o włamanie z kradzieżą, i lepiej dla niego by było, żeby poszukał sobie jakiego dobrego adwokata, no chyba że woli jutro rano stawić się przed komisarzem i powiedzieć mu wszystko jak na świętej spowiedzi, to może wtedy uda się tego straszego Fischera jakoś udobruchać.

Okoń uśmiechnął się pod wąsem, bo natychmiast zrozumiał intencje szefa. Każdy policjant dobrze wiedział, że dobrze jest mieć swojego informatora w każdym środowisku.

Przodownik już chciał wyjść, jednak zderzył się w drzwiach z dyżurnym podoficerem, który zdyszany wpadł do pokoju. To, z czym przychodził, a właściwie przybiegł, musiało mieć dużą wagę, dlatego Okoń zamiast wyjść, zaciekawiony pozostał przy drzwiach.

- Panie komisarzu, melduję że Pociecha nie żyje!
- Co? Jak?
- Wyłowili go z wody przy moście Chwaliszewskim.
- Pociecha się utopił? - zapytał z niedowierzaniem Fischer.
- Nie! - Dyżurny pokręcił głową. - Zaszlachtowany nożem!
- Kurwa mać! - zaklął komisarz, który nigdy nie używał wulgarnych słów. - Znajdźcie mi Oskierkę.
- Kiedy pana aspiranta nie ma w pracy.
- Wyciągnijcie go z łóżka i niech się tu u mnie stawia najszybciej, jak się da! Albo nie, niech lepiej od razu pędzi do komisariatu na Garbarach.

Godzina 9.30 rano

Aspirant Oskierko miał dziś ciężki poranek. Zamierzał spędzić dzień w łóżku, żeby wreszcie wypocząć po trudach śledztwa. Zbudził się już o ósmej i wtedy podjął decyzję, że nie wstanie. Bo i nie miał się do czego śpieszyć. W pracy miał wolne, bo szczęśliwie nie przydzielono mu niedzielnej służby. Właściwie to chciał też przemyśleć całe swoje dotychczasowe życie i to wielkie pasmo niepowodzeń, które spotkało go w ciągu ostatnich dni. Niepowodzeń, a w zasadzie zawodowych porażek. Najpierw to nieszczęsne, nieudane aresztowanie Grubińskiego, skończone rozkwaszonym nosem, a potem nocna wyprawa do burdelu do najlepiej poinformowanej burdelmamy w mieście, zakończona przebudzeniem w śmierdzącej norze z podbitym okiem, a potem zatrzymaniem przez policję.

To wszystko, co przydarzyło mu się tej nocy, było kompletnie niewiarygodne, jak sen jakiegoś chorego umysłu. Bo tak naprawdę to wcale nie wiedział do końca, co się wtedy zdarzyło i jakim cudem trafił do tych lepianek nad brzegiem Warty. Pamięć tamtych wydarzeń była dziurawa jak szwajcarski ser. Zachował w niej tylko kilka nieprawdopodobnych obrazków. Najpierw jakaś awantura nad wodą, potem przebudzenie w diabelskiej norze u boku śmierdzącej baby, później nocne odwiedziny jakiegoś potwora i w końcu ucieczka stamtąd oraz powrót do realnego świata, którego przejawem materialnym byli dwaj policjanci.

Ci zatrzymali go pod zarzutem włóczęgostwa, kompletnie głusi na racjonalne argumenty. Trzeba przyznać, że zachowali się jednak całkiem przyzwoicie, gdy powiedział im, że jest aspirantem policji. Mogli go przecież wsadzić do aresztu na Garbarach, ale przekonał ich, że jeśli już mają go puszkować, to niech go wiozą do aresztu w dyrekcji policji.

No i podsumowaniem tego pasma nieszczęść była rozmowa z komisarzem Fischerem, który zażądał wyjaśnień. Oskierko wyglądający jak półtora nieszczęścia stał przed biurkiem przełożonego ze spuszczoną głową, wpatrując się w za duże trzewiki, które Fischer kazał przynieść dla niego z policyjnego magazynu.

– No i co masz pan do powiedzenia, szanowny panie Oskierko? – zapytał komisarz z wyraźną nutą sarkazmu w głosie.

– Wydaje mi się, panie komisarzu, że powinienem się podać do dymisji.

– Do dymisji? A to dlaczego?

– Ponieważ wykazałem się głupotą, której niczym tłumaczyć się nie da.

– No tak, z tym mogę się zgodzić, ale o tym, czy pan powinien z policji odejść, decydował będę ja, a nie pan. Zrozumiano?

– Tak jest, panie komisarzu. – Oskierko pokiwał głową, choć nie bardzo rozumiał, o co komisarzowi chodzi. Przecież po tej nocnej eskapadzie powinien go wylać na zbity pysk. W policji muszą pracować fachowcy, a nie dyletanci, a on wykazał się właśnie wyjątkową amatorszczyzną.

– Powiem panu, dlaczego dymisji nie przyjmę. Otóż to byłoby najłatwiejsze rozwiązanie, tyle że co by pan zrobił, jak ja bym się na dymisję zgodził? Myśli pan, że mógłby spokojnie wrócić do swojego pułku i na powrót zostać zawodowym żołnierzem. Otóż nie. Z dymisją w papierach pańscy koledzy kawalerzyści w życiu by pana nie przyjęli do siebie. No więc musiałyby pan poszukać jakiego zajęcia zgodnego z pańskimi umiejętnościami. A co pan umie? Pisać, czytać i siec szablą z konia. Komu takie umiejętności się przydadzą w dzisiejszych czasach? Powiem panu komu. N i k o m u. Może więc znalazłby pan gdzie zatrudnienie na prowincji i został pisarzem w jakiej gminie. Taką by pan zrobił karierę. No chyba że wybrałby pan inne, honorowe rozwiązanie i strzelił sobie w łeb.

– Myślałem już o tym, panie komisarzu.

– Bo pan jesteś dureń, panie Oskierko. Honor rzecz ważna, ale nie najważniejsza.

– Jak to, przecie honor to sprawa podstawowa, to te imponderabilia, o których mówił naczelnik.

– Honor, panie Oskierko, to w dzisiejszych czasach, gdy budujemy nasz kraj i spajamy te rozerwane części w jedną całość, to nie umierać honorowo, ale budować, wznosić, pracować u podstaw. A do tego nijak się mieć będzie pański przestrelony honorowy łeb. Dlatego dymisji nie przyjmuję, a w poniedziałek stawisz się pan do pracy i zajmiesz się pan tym, co panu wskażę. I żadnych więcej samodzielnych śledztw. Zrozumiano?

– Tak jest, panie komisarzu!

Oskierko wrócił więc do swojej niewielkiej kawalerki, wynajmowanej w kamienicy na Grottgera, i po dokładnym umyciu się runął na łóżko. Teraz obudziwszy się, zaczął analizę sytuacyjną, ale nie doszedł do żadnych konkretnych wniosków prócz jednego. Musiał przyznać, że ten Fischer zachował się wobec niego całkiem przyzwoicie. I na tej konstatacji musiał przerwać swoje przemyślenia, bo naraz ktoś zaczął łomotać do drzwi. Nie pukać, ale łomotać właśnie. Zdziwiony, wciągnął na siebie szlafrok i poszedł do niewielkiego przedpokoju. Zdjął łańcuch i otworzył drzwi. Na progu stał przodownik Okoń, a obok stróż Kubiak w odświętnym stroju. Widać szykował się do niedzielnej mszy, więc musiał wyglądać porządnie. Okoń nigdy nie był w mieszkaniu Oskierki, znał tylko numer domu, więc musiał skorzystać z pomocy ciecica, który z radością wcielił się w rolę przewodnika. W końcu nie co dzień trafiała się taka okazja jak wizyta policjanta na służbie z rozkazami dla tego młodego oficera, który wczoraj wrócił do domu w stroju łachmaniarza, do tego jeszcze z obitą głową. Zapewne, domyślał się stróż, już się rozniosło w policji, że ten Oskierko albo zwariował, albo jeszcze co gorszego, więc przysłali podoficera z dyrekcji policji, żeby sprawdził, co się dzieje. W każdym razie co by się nie działo, warto było posłuchać, żeby potem mieć co ludziom opowiadać. Tym razem jednak z sensacji nic nie wyszło, bo młody oficer pokrzyżował jego plany.

– Wejdźcie, przodowniku! – polecił i ukłoniwszy się stróżowi, zamknął mu drzwi przed nosem.

– Co się dzieje? – zapytał, gdy byli już sami.

– Ja melduję, że z polecenia komisarza Fischera ma pan natychmiast się udać na komisariat przy Wielkich Garbarach.

– Przecież sam komisarz wczoraj powiedział, że mam siedzieć w domu i meldować się u niego dopiero w poniedziałek.

– Ino że zaszły te, no, jak im tam, no okoliczności.

– Jakie okoliczności? Mówcie jaśniej.

– Ano takie okoliczności, że posterunkowy Pocięcha jest zabity.

– Jak to...? – Tylko tyle zdołał wykrztusić Oskierko.

– A tak, że jego wyciągli z Warty pod mostem Chwaliszewskim.

– Utopił się – domyślił się oficer. Okoń pokręcił głową.

– Knypkim ktoś jego przejechał.

– Czym?

– Znaczący się nożem.

– Mój Boże, nożem, powiadacie. I co teraz?

– Teraz na dole czeka drynda, a pan aspirant niech się oblikom.

– Co?

– No gadom, żeby pan aspirant pory i jupkę nałożył, bo przecie w szlafroku nie da rady jechać.

Pół godziny później dorożka, która przywiozła dwóch policjantów, zatrzymała się przed wejściem do okazałego, trzypiętrowego budynku z czerwonej cegły, który samym swym wyglądem nakazywał wzbudzać szacunek dla policyjnej

władzy. Za niemieckich czasów mieścił się tu arsenał miejski, a po powstaniu utworzono tu komisariat policji. Stojący przed drzwiami szeregowy zasalutował służbiście i zaraz pociągnął za klamkę, żeby starsi stopniem mogli wejść do środka. Okoń szedł przodem, bo doskonale znał to miejsce w odróżnieniu od Oskierki, który nie zdołał jeszcze poznać wszystkich miejscowych policyjnych kątów.

– Tędy, panie aspirancie. – Przodownik wskazał schody prowadzące w dół.

W komisariatach raczej nie przechowywano zwłok zamordowanych ludzi. W tym wypadku jednak było inaczej. Pocięcha był tutejszy. Mimo że od jakiegoś czasu miejscem jego pracy była dyrekcja policji, to swoją robotę zaczynał tutaj. Policjanci, którzy przybyli wezwani na miejsce, gdzie znaleziono jego zwłoki, od razu rozpoznali swojego dawnego kolegę. Nie zastanawiając się wiele, wsadzili ciało do dorożki i zawieźli do siebie. Tu ułożyli je na pryczy w jeden z cel. Z kolejnych pięciu natychmiast wyrzucono wszystkich bezdomnych i podejrzanych o włóczęgostwo. Potrzebne było miejsce dla tych, których zeznania mogły się przydać w pojmaniu sprawcy.

– Mamy już prawie setkę podejrzanych – powiedział z dumą posterunkowy dyżurujący przy aresztanckich celach. – A jak się chłopaki uwiną, to do wieczora będzie jeszcze więcej.

– To gdzie ich trzymać będziecie? – zapytał Okoń.

– Jak gdzie, no przecie w celach – wyjaśnił ze spokojem dyżurny i otworzył pierwszą z brzegu. Fala smrodu, potu zmieszanego z wyziewami alkoholowymi i tytoniowym dymem, uderzyła w policyjne nozdrza. Oskierko aż cofnął się, bo mało nie zemdlął od tego fetoru. Od razu przypomniał sobie oblepiający wszystko wilgotny smród w tej norze, w której spędził noc wraz z Grzelakową. Poczul, że robi mu się niedobrze. Na dwóch podoficerach te więzienne zapachy nie zrobiły najmniejszego wrażenia.

Okoń z ciekawością zajrzał do celi. Na powierzchni może pięciu metrów kwadratowych stłoczono kilkunastu zatrzymanych. Ludzie siedzieli na dwóch pryczach, na podłodze, a niektórzy stali, opierając się o ściany pomalowane zieloną olejnica.

– Jakby se który co przypomniał w sprawie zabicia policjanta, to lepiej niech gada po dobremu – rzucił, biorąc się pod boki i robiąc przy tym groźną służbową minę. Nie było odpowiedzi, no chyba że za odpowiedź wziąć niechętnie spojrzenia zatrzymanych.

– Jeszcze trochę i zmiękną gnoje. – Posterunkowy zatrzasnął drzwi. – Ino trzeba ich trochę potrzymać tutaj, to znajdzie się jakiś, co będzie chciał wyjść szybciej.

Teraz otworzył drzwi do celi naprzeciwko. Ta była całkowicie pusta. Na pryczy z prawej leżały przemoczone zwłoki Pocięchy. Podłoga pod pryczą była mokra i woda cały czas kapała z góry, powiększając plamę. Oskierko natychmiast dostrzegł, że wywiadowca był ubrany dokładnie tak samo, jak w chwili kiedy widzieli się po raz ostatni. To znaczy, że po tej feralnej nocy nie wrócił już do domu. Musiał więc zginąć wtedy, gdy Oskierko leżał w tym brudnym barłogu

kompletnie pijany. To moja wina, pomyślał policjant i momentalnie przez głowę przeleciała mu myśl, że być może pomysł z palnięciem sobie w łeb nie był wcale taki głupi. Nie miał jednak czasu na dalsze rozmyślanie. Do celi wszedł komisarz Fischer.

– Lekarz już go widział? – rzucił przed siebie pytanie.

– Melduję, że był. – Klawisz zasalutował, stając na baczność. – Powiadał, że raport z obględzin będzie za godzinę, ale kazał powiedzieć panowi komisarzowi, że dwa dziabnięcia pod żebra i jedno w szyję zainkasował biedaczek.

– Dobra, nie ma czasu na pierdoły. – Komisarz popatrzył na swoich ludzi. – Na pierwszym piętrze przygotowane są już trzy pokoje do przesłuchiwania. – Jak się nazywacie, posterunkowy?

– Ja się nazywam Antczak Grzegorz.

– Słuchajcie, Antczak, uważnie, przesłuchania na górze prowadzę ja, aspirant Oskierko i wasz aspirant Kwaśniewski. Weźcie se kogo do pomocy i będziecie podprowadzać na przesłuchania po kolei tych zatrzymanych. Macie tu na dole jakie wolne pomieszczenie?

– Melduję, że tak jest! Jest kanciapa na ściery i miotły.

– Duża ta kanciapa?

– Wystarczająca, panie komisarzu. – Posterunkowy natychmiast domyślił się, do czego ma być użyte dodatkowe pomieszczenie.

– W takim razie Okoń instaluje się w tej kanciapie.

– Tak jest! – Przodownik strzelił obcasami, uśmiechając się zadowolony. Przez chwilę już się bał, że Fischer każe mu przesłuchiwać tych obesrańców, ale na szczęście komisarz wiedział, jak wykorzystać jego fachowe umiejętności.

– Jak z którymś będziemy mieć jakie wątpliwości, to prowadzicie go do tej kanciapy, gdzie czeka już pan przodownik Okoń.

– Się rozumi. – Antczak szybko pokiwał głową.

– I jeszcze jedno, Okoń – przypomniał sobie o czymś oficer. – Lej tak, żeby za dużo śladów nie było.

– Spokojna głowa, panie komisarzu.

Godzina 10.15 przed południem

– Dlaczego się wyprowadzasz? – zapytała Helena. – Już mnie nie kochasz?

– No przecież ci już mówiłem, że wszystko to nie jest tak, jak myślisz. To bardzo skomplikowane. Rozchodzi się o to, że mam bardzo ważną rzecz do zrobienia i nie może być tak, żeby po tym wszystkim, gdyby poszło coś nie tak, policja dotarła tu za mną do ciebie. Wiesz, oni mają takie swoje metody, że mogą człowieka znaleźć szybciej, niż byś pomyślała. Więc ja nie mogę ciebie narażać. Ale to niedługo potrwa. Jak wszystko się skończy, zabiorę cię stąd i wyjedziemy razem.

– Dokąd wyjedziemy?

– Jeszcze nie wiem, ale coś obmyślę. Obiecuję, że coś wymyślę, tak żebyśmy

mogli być razem.

– A co z moją pracą?

Wzruszył ramionami. Kobiety zawsze czepiały się szczegółów. Co go mogła obchodzić jakaś praca? Nawet o tym nie pomyślał. Postanowił, że po wszystkim zabierze ją ze sobą, ale praca... To były zupełnie nieistotne kwestie, które nie powinny zaprzętać mu głowy. Zwłaszcza teraz, gdy poczuł jakimś szóstym zmysłem, że atmosfera wokół niego robi się nieco gęstsza. Z zagrożenia zdał sobie sprawę wczoraj, choć powinien już je rozpoznać po pierwszym sygnale trzy tygodnie temu. Wybrał się wtedy na Stary Rynek, żeby w sklepie konfekcyjnym kupić sobie nową bieliznę, bo stara nie nadawała się już nawet do cerowania, tak była znoszona. Wszedł do magazynu, który nosił dumne nazwę Jarmarku Światowego, ale w rzeczywistości zagranicznych towarów było tam niewiele, za to w polskiej konfekcji można było przebierać. On nie szukał niczego specjalnego, nie mówiąc już o wytwornych towarach. Potrzeba mu było mocnej bielizny, która wytrzyma najdłużej, jak się da. Sprzedawca rozłożył przed nim na ladzie kilka sztuk, a on sprawdzał dokładnie ich jakość, naciągając lekko na szwach. W końcu dokonał wyboru i już chciał, by mu towar zapakowano, gdy nagle poczuł na sobie czyjeś spojrzenie. Patrzył na niego niezbyt wysoki, szczupły mężczyzna w okularach i z niewielką bródką, ubrany w porządne, granatowe palto z szerokim kołnierzem obszytym futrem i w czarnym meloniku. To był jego dawny kolega, na którego mówili Oczko. Poznał go od razu. Tu nie mogło być żadnej pomyłki. Znał tego człowieka od dawna, ale nie miał najmniejszej ochoty się z nim spotykać. Tamten wbijał w niego spojrzenie, pewnie zastanawiając się, czy to aby na pewno on. Był krótkowidzem, więc musiał się uważnie przyjrzeć, żeby mieć pewność. Nie zdążył. Pytel odłożył powoli wybrane przez siebie kalesony i odwróciwszy się plecami do obserwatora, ruszył szybko w kierunku drzwi. Po chwili wmieszał się w tłum na rynku, a ten, którego zobaczył w sklepie, wyszedł za nim i przez chwilę jeszcze lustrował kłębiącą się na placu ciżbę ludzką. On, ukryty za filarem podcienia pomiędzy starym a nowym ratuszem, przyglądał mu się uważnie. To na pewno był on. Jego dawny kolega z wojska. Człowiek, którego nie miał najmniejszej ochoty spotykać. Jeden z tych, dla którego Pytel od dawna był martwy i lepiej, żeby tak już pozostało. Nie chciał widzieć żadnego z tych ludzi, którzy wtedy zostawili go na pewną śmierć, mimo że wcześniej deklarowali sobie wieczną przyjaźń, a nawet zaprzysięgli wzajemnie, że o tym, co się stało, nie dowie się nikt inny. Tajemnica miała należeć tylko do nich.

– Tak nie może być – stwierdził kapral, najstarszy stopniem z całej piątki.

– Że niby jak? – zapytał Pytel, bo nie bardzo rozumiał, o co mu chodzi. Przecież wszystko było jak dotąd w najlepszym porządku. No, może nie do końca wszystko, ale przecież taka była wojna, a na wojnie zdarzają się ofiary. A zresztą ten pop był sam sobie winny. Gdyby się im nie przeciwstawił, nic by mu się nie stało.

To było drugiego dnia odwrotu, kiedy zostali odcięci od swojej jednostki.

Wioska, do której weszli, była kompletnie spalona. Wszędzie walały się ciała polskich żołnierzy i bolszewików. Widać, że nasi zacięcie się bronili, osłaniając odwrót swoich towarzyszy, jednak musieli ustąpić przeważającemu przeciwnikowi. Nie oddali łatwo skóry, o czym świadczyły dziesiątki trupów zabitych bojów, podczas gdy naszych leżało zaledwie kilkunastu. Kilku znaleźli pod ścianą spalonej stodoły. Musieli się dać wziąć żywcem i tu ich natychmiast rozstrzelano. Bolszewicy nie brali jeńców. Zresztą nasi też. Wśród postrzelanych Ruskich natrafili na kilku ciężko rannych. Nie okazali im krztyny litości i natychmiast skrócili ich męki bagnietami, żeby niepotrzebną strzelaniną nie zwrócić na siebie uwagi. W końcu bolszewicy mogli być niedaleko.

Obmacawszy trupy w poszukiwaniu jedzenia i tytoniu, postanowili iść dalej w kierunku lasu, który zieleńiał na horyzoncie jakieś dwa kilometry przed nimi za pustą przestrzenią pól i łąk. Ruszyli więc niezwłocznie w tamtym kierunku, obławowani zdobyczą. Po jakiejś godzinie szybkiego marszu wreszcie udało im się dosięgnąć skraju lasu. Gdy tylko zanurzyli się w leśną zieleń, natychmiast padli zmęczeni na trawę w młodniku. Leżeli tak przez dłuższy czas bez słowa, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami, jak ryby dopiero co wyciągnięte z wody na brzeg. I wtedy do ich uszu dobiegło parskanie konia. Jak na komendę podnieśli się wszyscy, rozglądając dookoła. Parskanie się powtórzyło. Dobiegało z gęstwiny na prawo od ich leży. W milczeniu zaprawieni w walce żołnierze zdjęli z ramion plecaki i rzucili je na trawę. Kaprał wskazał kierunek i powoli, ostrożnie ruszył do przodu. Za nim poszli trzej pozostali. Pytel jak zwykle zamykał grupę, bardziej zainteresowany tym, czy ktoś nie podąża za nimi. Po pięciu minutach skradania i przeciskania się przez leśny gąszcz wkroczyli na niewielką polanę. Na jej środku stał chłopski, drabiniasty wóz, do którego zaprzężona była jabłkowita kobyła. Stała, spokojnie skubiąc trawę. Na wozie widać było jakieś tobołki, ale ani śladu człowieka. Znaleźli go, podszedłszy bliżej. Pop leżał w trawie z szeroko otwartymi oczyma. Miał dwie rany postrzałowe, jedną na wysokości podbrzusza, a drugą gdzieś koło obojczyka. Beznadziejna sprawa, ocenili natychmiast i nie musieli nawet tego głośno wypowiadać. Znali się w końcu na postrzałowych ranach, pop żył jeszcze, ale ciągnął resztką sił.

– Chłopaki, patrzcie! – zawołał Mały, który wcale nie był mały. Był wielki jak kłoda drewna i najsilniejszy z nich wszystkich. Przewali go tak dla żartu. Założył na głowę wyciągnięty spośród rzeczy przewożonych wozem lśniący szapoklak.

– Wyglądasz jak właściciel zakładu pogrzebowego – zażartował Pytel, który jakoś nie dorobił się przezwiska.

– Właściciele zakładów pogrzebowych takich nie noszą. Noszą je tylko woźnice od karawanów i jak kto sobie zażyczy, to jeszcze żałobnicy, co niosą wieńce – wyjaśnił fachowo Oczko, który najlepiej z nich wszystkich potrafił grać w karty, a oczko było jego ulubioną grą.

– Trzeba by jeszcze przeszukać, bo może coś tam jest na tym wozie ciekawego. Po cholere miałoby wpaść w łapy tej bolszewickiej hołoty. – Jak zwykle Student

miał rację. On zawsze stał twardo na dwóch nogach. Może dlatego, że był z nich wszystkich najlepiej wykształcony. Przed wojną zdał maturę i zapisał się nawet na uniwersytet w Berlinie, ale nie zdążył rozpocząć studiów, bo wielka wojna pokrzyżowała mu plany. Zdjął okulary w cienkich, metalowych oprawkach i przetarł je chusteczką do nosa.

– Ino szybko! – ponaglił swoich kompanów kapral. – Diabli wiedzą, gdzie komunisty mogą się czaić. Sprawdzajta i znikamy migiem.

Czterej szeregowcy rzucili się natychmiast do plądrowania tobołków. Naraz Mały krzyknął:

– Jezus Maria!

– Co jest? – Głowy pozostałych natychmiast pochyliły się w jego stronę. Wielki żołnierz trzymał w dłoniach otwarty worek, taki w jaki sypie się obrok dla koni. Zajrzeli do środka i oniemieli. Worek wypełniony był kosztownościami. Złote pięciorublówki, drogie kamienie, srebrne łańcuchy...

– Boże święty, ile tego jest? – pytał chyba sam siebie Oczko, który w swoim życiu tylko raz widział złotą „świnkę”, ale nigdy nie miał takiej monety na własność.

– Miliony, powiadam wam, miliony – ocenił fachowo Student, choć nigdy nie miał do czynienia z takim bogactwem.

– Za to by można kupić nawet auto albo kamienicę w mieście – rzucił kapral.

Tylko Pytel nic nie powiedział. Stał wpatrzony w popa, który uniósł rękę w górę, próbując przywołać go do siebie. Podszedł do niego jak zahipnotyzowany i uklęknął. Duchowny wbił w niego spojrzenie swoich czarnych oczu.

– *Nielzja teho brać. Eto zołoto nie moje ani wasze. Ono należyt do Boha.*

– Chłopaki, pop gada, że to złoto należy do Boga, że nie wolno go brać.

– Kto gada? – Mały spojrział na Pytla z niedowierzaniem.

– No ten ksiądz.

– Niech se gada – zaśmiał się student. – Co, może nam nie pozwoli zabrać? Niech no spróbuje.

– Pierdolony klecha – warknął Oczko. – Sam ukradł a teraz nam broni? Jemu na nic się nie przyda już to bogactwo.

– No co tak stoisz jak kutas? Pierdolnij go kolbą w łeb, to przestanie gadać – polecił kapral.

– Jak to? – zdziwił się Pytel. – Księdza tak zatłuc jak psa? Przecie to sługa boży.

– Jaki sługa boży? – Mały spojrział na niego z politowaniem. – On nie żaden ksiądz, ino pop. Ruski pop, a nie nasz ksiądz. Boisz się, to się nastap, ja jego załatwię.

Cała piątka obstąpiła leżącego popa. Ten, uniósłszy nieco głowę, patrzył na nich hardym spojrzeniem, w którym nie widać było lęku. W końcu wyciągnął prawą dłoń w górę, zrobił w powietrzu znak krzyża i rzucił im prosto w twarz:

– *Budte priaklaty na... wsiegda...*

Nie dokończył, bo Mały wbił mu bagnet w gardło, a Oczko drugi prosto

w serce.

– Jak wszyscy, to wszyscy! – zawyrokował kapral i dźgnął księdza swoim bagnetem. Potem zrobił to jeszcze Student. Tylko Pytel stał, zastygłszy jak słup soli. Zabijał dotąd wrogów bez zmruczenia oka, co więcej – dobijał też rannych bolszewików, bo w ten sposób odpłacał im za to, co oni robili z naszymi jeńcami. Bez żadnego zastanowienia zakłuł swoim bagnetem ruskiego żołdaka zaledwie pół godziny temu w tej spalonej wiosce. Ale żeby tak niewinnego księdza?

– No dalej, wszyscy po równo – przywołał go do porządku Mały, klepnawszy w ramię. Popatrzył na twarze swoich kompanów. Widać w nich było determinację. Chcieli, żeby wina rozłożyła się na wszystkich pięciu... A może i na czterech, jeśli nie podoła. Czekali cierpliwie. W końcu ten ksiądz i tak już nie żyje...

Uniósł swojego mausera i szybkim, zdecydowanym ruchem przekłuł bagnetem księży bok. Dłoń popa drgnęła i naraz zacisnęła się w pięść.

– Jeszcze żył? – zdziwił się Student.

– Niektórych to po pięć albo sześć razy trzeba kłuć, żeby wyzionęli ducha, tak się trzymają życia – stwierdził kapral. – No dobra, chłopaki, zwijamy się stąd. Bierzemy worek i do lasu.

– Trzeba by podzielić, byle sprawiedliwie. – Oczko czuł się już jak zamożny posiadacz jednej piątej skarbu.

– Zwariowałeś. – Kapral dobrze wiedział, co robić. – Musimy to zakopać, a potem wrócimy i wszystko zabierzemy. Jak będziemy się tak szybko wycofywać, to nie dość że plecak ze złotem, ale jeszcze i portki pogubisz. Trzeba zakopać.

– Kapral ma rację – poparł go Student, który analizował sprawę najbardziej racjonalnie ze wszystkich.

– Zakopiem, a potem wrócim – zgodził się z nimi Mały.

Pytłowi było wszystko jedno. Stał jeszcze przez chwilę wpatrzony w ranę, którą zadał księdzu, i naraz przyszło mu do głowy, że przypomina ona tę z rzeźby przedstawiającej Chrystusa na krzyżu z jego kościoła przy Rynku Wildeckim.

Helena patrzyła na niego tymi swoimi wielkimi, czarnymi oczyma. Wzdrygnął się, bo naraz skojarzyły mu się z oczyma popa, którego zadźgali wtedy na polanie. Wydawało mu się, że zamknął już całkowicie ten rozdział swojego życia, i nawet myślał, że to przypadkowe spotkanie niczego nie zmieni. Tamten zobaczył go w sklepie, ale pewnie uznał, że to przywidzenie. Przecież oni widzieli, że zaległ tam pod tymi schodami ciężko ranny, a wiadomo, że bolszewicy nie brali jeńców, tym bardziej ciężko rannych. Myślał więc, że nikt się nim nie będzie interesował. Aż do wczoraj tak myślał. Do chwili gdy przeciskając się przez tłum na Starym Rynku, dostrzegł kogoś, kto idzie za nim. Dostrzegł za późno, bo dopiero w bramie domu, w którym było mieszkanie Heleny. Wszedł na podest klatki schodowej między pierwszym a drugim piętrem

i ostrożnie wyjrzał na ulicę. Ten, który go śledził, stał w bramie naprzeciwko i palił papierosa. Patrzył w górę. Pytel zaklął pod nosem. Przez chwilę stał nieruchomo, zastanawiając się, co robić. Było jedno wyjście. Musiał zaraz wyjść z tej bramy, pójść gdziekolwiek, ciągnąc za sobą ogon, i w sprzyjających okolicznościach zgubić faceta. Może ten uzna wtedy, że on był tu tylko w interesach. Tak też zrobił. Śledzący stracił go z oczu gdzieś w okolicy placu Wielkopolskiego. Nie potrafił śledzić fachowo, a to oznaczało, że nie był policjantem. Przynajmniej to było pocieszające. Okazało się jednak, że facet był uparty. Gdy dziś rano wyjrzał przez okno, mężczyzna stał dokładnie w tym samym miejscu co wczoraj. Oparty o skrzydło bramy palił papierosa. Trzeba było więc zacząć działać.

– Muszę gdzieś się zamelinować na kilka dni, a potem wrócę po ciebie. Tam, dokąd pojedziemy, zawsze znajdzie się robota dla kogoś takiego jak ty – powiedział, a potem podszedł do niej i objął ją mocno. Ufnie przyłgnęła do niego całym ciałem. I wtedy złapał ją z całych sił za gardło. Dosięgnęła palcami jego lewego policzka, próbując rozpaczliwe walczyć o życie, ale nie na wiele się to zdało. Był od niej znacznie silniejszy. W jej czarnych oczach pojawiło się przerażenie. Zupełnie inaczej jak u tego popa, zdążył jeszcze pomyśleć, nim zwiotczałe ciało kobiety opadło na podłogę w kałużę moczu, który spłynął jej po nogach.

Godzina 6.30 wieczorem

Tolek nie widział powodu, dla którego miałby przekładać nagraną już robotę. W końcu wszystko było dopięte na ostatni guzik i dlatego jakieś tam zamieszanie z próbą aresztowania i obiciem policyjnej mordy nie powinno w żaden sposób mieszać mu w interesach. To musiało się prędzej czy później wyjaśnić, bo przecież ten młody szkieł z tym drugim durniem nie mieli żadnych podstaw do tego, żeby go zatrzymać. Niedługo więc złapią mordercę tego papugi i sprawa się wyjaśni. A za obicie szkieła nie wsadzą go przecież do pierdła. W najgorszym wypadku trzeba będzie swój honor złodziejski zawiesić na kołku i pójść do starego znajomego, komisarza Fischera, żeby odwołał swoje gończe psy. Na razie jednak trzeba robić swoje i brać się do roboty, myślał, stojąc w bramie domu przy Rybakach i obserwując uważnie narożną kamienicę pod drugiej stronie ulicy. Widział, jak czteroosobowa rodzina kupca pakuje się do dryndy i odjeżdża przez Kwiatową w kierunku Półwiejskiej.

Odwrócił się za siebie. Trójka braci Kaźmierczaków stała w bramie, spokojnie paląc papierosy. Czekali cierpliwie, dobrze wiedząc, że Tolek ma wszystko dobrze zaplanowane.

Po drugiej stronie ulicy dostrzegł jakiś ruch. Pod bramę podjechała platforma firmy przeprowadzonej. Do wozaka podszedł stróż ubrany w ciepły, chłopski kozuch i czarny kapelusz. Przez chwilę obaj mężczyźni rozmawiali. W końcu wozak zaczepił lejce o wajchę hamulca i zeskokczył na chodnik. Stróż tymczasem

stanął na brukowanej jezdni, wsadził dwa palce do ust i zagwizdał głośno. Grubiński skinął na swoich kompanów. Kaźmierczakowie rzucili niedopałki pod nogi i cała czwórka wyszła z bramy. Bracia zauważyli, że Tolek zmierza w kierunku stróża. Nie mieli wyjścia. Też podeszli.

– ... na drugie piętro, to i dużo roboty nie ma. – Wąsaty stróż wskazał na wóz, na którym leżała solidna, trzydrzwiowa szafa.

– Bez pasów nie da rady. – Grubiński pokręcił głową.

– Są pasy! – zawołał woźnica. – Są porządne pasy, ino ludzi do wnoszenia nie ma. Przy sobocie nie chcą robić, tom se pomyślał, że tutaj się znajdzie kilku silnych, co się nie boją szybkiej roboty i parę złotych zarobią.

– A niby ile będzie na głowę? – zapytał Tolek, patrząc na wozaka. – Bo nas, panie ładny, jest czterech.

– Na pół literka dla każdego się znajdzie. Dobry piniądz letką ręką zarobiony.

– Za pół litra to se szukajcie frajerów gdzie indziej – stwierdził Tolek. – Idziemy, wiaruchna, bo tu nas chcą na lewe sanki przewieźć.

– Spokojnie, panowie. Robota letka, łatwa i przyjemna! – próbował ich powstrzymać stróż, który udawał zainteresowanego, bo i jemu wozak obiecał parę groszy.

– Niech będzie moja strata – stwierdził woźnica. – Na literka daję i tyle mogę. Więcej nie mam.

– No to co, za litra na łeb robimy? – Tolek odwrócił się do swoich kompanów. Ci pokiwali głowami, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Nosić ciężarów im się nie chciało, ale z drugiej strony flaszka wódki piechotą nie chodzi.

– No dobra – stwierdził Grubiński. – Bierzemy szafę i raz-dwa na górę.

Najpierw ostrożnie zsunęli mebel na chodnik, potem podłożyli pasy pod grube nogi szafy, a w końcu, założywszy taśmy na ramiona, dźwignęli ją w górę. Była ciężka, ale w końcu było ich czterech, a wszyscy byli silnymi mężczyznami. Na szczęście dla nich schody wiodące na górę były szerokie, więc nie musieli przeciskać się na podeście półpiętra. Po kwadransie szafa stanęła w mieszkaniu. Stróż zabrał od nich pasy i ruszył na dół. Oni zostali sami w wielkim, pustym i pełnym bogactw mieszkaniu. Mieszkanie składało się z pięciu pokoi, kuchni, słuźbówki i łazienki. Było więc co przetrząsać. Szybko rozbiegli się po pokojach i każdy na własną rękę zaczął upychać wszystko, co się tylko dało, do swoich złodziejskich worków. Cała akcja zajęła im zaledwie godzinę. W końcu Tolek zarządził zakończenie roboty. Wraz z dwoma starszymi Kaźmierczakami z pełnymi workami wyszli przez kuchnię na boczne schody. Najmłodszy z braci miał wyjść głównymi drzwiami, ale przedtem musiał gwoździem porysować zamki, żeby było widać na pierwszy rzut oka, że mieszkanie zostało obrobione przez nieznaną się na złodziejskim fachu szmacciarzy.

Po chwili trójka złodziei była już na ulicy. Stanęli w bramie kamienicy naprzeciwko, czekając na młodego. Jakies dziesięć minut później głównymi drzwiami wyszedł zadowolony i uśmiechnięty od ucha do ucha Krystek z workiem na ramieniu. Tolek klepnął młodego w plecy. Ten zadowolony

uśmiechnął się szeroko.

– Jeszczem z tej kuchni flaszkę wina zabrał, żeby na zmarnowanie nie poszła – powiedział, wsadzając rękę do swojego worka i wydobywając z niej butelkę z zielonego szkła z białą nalepką.

– B o r d e a u x – odczytał powoli, oddzielając litery.

– Jakoś tak jak burdel, ino po zagranicznemu – stwierdził Walek.

– Jak burdel, to znaczy że francuskie, bo wiadomo, że burdele to wymyślili Francuzi – wyjaśnił tę zawiłą kwestię z miną prawdziwego znawcy Tolek. – No dobra, młody, wołaj dryndziarza i spadamy do chaty – polecił. Krystek bez ociągania wręczył butelkę najstarszemu z braci, worek położył na ziemi i wyszedł z bramy. Walek przez chwilę przyglądał się flaszcze, a potem spojrzał wymownie na swoich dwóch kompanów.

– Po cholere nosić?

Nic nie odpowiedzieli, ale po minach widać było, że zgadzają się całkowicie z racjonalnym argumentem. Nie było więc na co czekać. Złapał butelkę za szyjkę, obrócił ją do góry dnem i uderzył kilka razy dłonią w denko. Pod wpływem uderzeń korek wysunął się na tyle, że można go było chwycić. Złapał go zębami i ostrożnie wyciągnął. Otwartą butelkę podał najpierw Tolkowi. Ten pociągnął spory łyk, a upiwszy mniej więcej jedną trzecią, oddał flaszkę Kaźmierczakom. Ci błyskawicznie załatwili resztę wina akurat w chwili, gdy zajechała dorożka. Krystek gwizdnął głośno na palcach. Złodzieje wyszli szybko z bramy i załadowali się do dryndy. Buda była podniesiona, więc nie było ich widać z chodnika. Jednak oni widzieli wszystko, co działo się na ulicy. A teraz właśnie zaczynało się dziać. Pod kamienicę, z której niedawno wyszli, podjechała kolejna dorożka. Ze środka wyskoczył policjant. Podoficer rozejrzał się dookoła i jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Tolka. Grubiński natychmiast go rozpoznał. Był to posterunkowy Wróbel, z którym wczoraj pił wódkę w towarzystwie swojego szkolnego kolegi Olkiewicza. Dlatego jako człowiek dobrze wychowany zdjął z głowy kaszkiet i ukłonił się szkiełowi. Ten przyłożył dwa palce do daszka swojej czapki, a potem, odwróciwszy się do ulicy plecami, ruszył w kierunku bramy, w której stał stróż będący w zмовie z bandą Grubińskiego. Ciec, zdjawszy czapkę, kłaniał się nisko policjantowi, coś mu jednocześnie objaśniając.

– Jedziemy! – Tolek klepnął w ramię dryndziarza, a ten strzelił z bata nad końskim grzbietem.

Rozdział VI

Poniedziałek, 22 listopada

Godzina 8.20 rano

Anastazy Olkiewicz był chory. Nie miał jakichś wyraźnych objawów choroby, jak katar, kaszel czy nawet gorączka. On czuł wszechogarniającą niemoc i kompletny brak chęci do życia. Bo wczoraj życie się definitywnie dla niego skończyło. Jednym głupim posunięciem zaprzepaścił wszystkie swoje plany i dlatego miał wielki żal do siebie, że jest takim nieprawdopodobnym idiotą. Bo jak można zniszczyć wszystko w ciągu zaledwie jednego popołudnia czy wieczoru. A już był tak blisko osiągnięcia pełni szczęścia. Śledztwo, które prowadził, zbliżało się w błyskawicznym tempie do rozwiązania zagadki śmierci wuja, a do tego panna Klementyna była mu najwyraźniej przychylną, dlatego snuł już plany na przyszłość i myślał o założeniu rodziny... Ale wszystko zepsuł kompletnie i nieodwołalnie.

Przekonał się o tym wczoraj, gdy obudził się w tym obcym pokoju przykryty po sam czubek nosa pierzyną i rozebrany do gaci. Gdy tak leżąc, zastanawiał się, co się też mogło stać, bo nic kompletnie nie pamiętał, nagle otworzyły się drzwi. Przez moment pomyślał, że do pokoju wejdzie zaraz jakiś zbir z nożem albo pistoletem w ręce i położy kres jego nędznemu żywotowi. W końcu morderca wuja mógł już się dowiedzieć, że on jest na jego tropie i lada chwila go dopadnie. Zadrżał na myśl, że to już koniec, ale nie zamierzał łatwo oddać swojej skóry. Chciał bronić się do upadłego. Miał przecież w ręce swojego naganta, którego wy dobył przed chwilą z kieszeni marynarki. Jak tylko zbir się zbliży, strzeli do niego spod kołdry, a potem poprawi jeszcze, wstając błyskawicznie na równe nogi...

Jakież było jego zdumienie, gdy w drzwiach zamiast bandyty zobaczył kobietę. I to nie była jaką. Światło wpadające z sąsiedniego pomieszczenia oświetliło jej sylwetkę i kawałek twarzy. Serce Anastazego zadrżało. Przecież to nie żaden bandzior, lecz panna Klementyna we własnej osobie! Tylko co ona tu robi? Czyżby ją też porwano? Już chciał krzyknąć, żeby podbiegła szybko do niego, a on zasłoni ją własnym ciałem i pistoletem.

– I co tam z nim jest? – Dobiegł do niego kobiecy głos zza drzwi.

– Śpi jeszcze, mamusiu. Niech się wyśpi, bo taki zmęczony był wczoraj, że się ledwie na nogach trzymał.

- No to po co tam włączysz? Dej mu spokój, córca. Niech się biedaczek wyśpi.
- Ino chciałam zobaczyć, czy czego mu nie potrzeba.
- Jakby mu było co trzeba, toby przecie powiedział. Zawrzyj te drzwi. Trzeba nam się do kościoła zbierać.

Drzwi zamknęły się i w pokoju na powrót zrobiło się ciemno. Olkiewicz przez chwilę nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Czy to aby na pewno nie był sen? Przecież tam w drzwiach stała panna Klementyna. A to oznaczało, że był u niej w domu. I jeszcze ten drugi kobiecy głos. Mówiła do niej „mamusia”. A to znaczy, że panna Klementyna miała jakąś matkę i ta zakazała jej przeszkadzać śpiącemu. Bardzo to miłe z jej strony, tylko po jaką cholere zakazała. Przecież w normalnej rodzinie taka mamusia kazałaby wywalić śpiącego w domu obcego faceta na zbity ryj i jeszcze powinna wezwać policję. A ona tymczasem kazała jej zamknąć drzwi. O co tu, do licha, chodzi? Nic kompletnie nie rozumiał, ale przede wszystkim nie miał pojęcia, jak się tu znalazł. Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to to, że upił się i zamiast iść do domu wybrał się w odwiedziny do panny Klementyny. Przyszedł kompletnie pijany i musiał w którymś momencie zasnąć. Toż to kompletna kompromitacja. Zamiast zachować się jak poważny kawaler ubiegający się o rękę panny, poszedł do niej kompletnie upity i w ten oto sposób sam podeptał swoje marzenia o przyszłym szczęśliwym i rodzinnym życiu. Trzeba było teraz jakoś wyjść z twarzą z tej kompromitującej sytuacji. Postanowił więc, że wstanie, ubierze się, pójdzie do tego pokoju za ścianą, grzecznie przeprosi i ucieknie gdzie pieprz rośnie, by nigdy więcej się tu nie pojawić. Tylko że trochę tak głupio ni z tego, ni z owego wyjść i przeproszać, bo nawet do końca nie wie, za co przeproszać powinien. Próbował sobie cokolwiek przypomnieć, co też zrobił albo powiedział, ale wszystkie wspomnienia wczorajszego wieczora wpadły w czarną otchłań i w żaden sposób nie dało się ich stamtąd wydobyć.

Leżał tak przez dłuższy czas, zastanawiając się nad wszystkimi aspektami sprawy, by w końcu podjąć męską decyzję. Wstał, ubrał się szybko i wkroczył do pokoju za ścianą. Pomieszczenie było puste. Światło poranka wpadające do środka zdążyło je już oświetlić na tyle, by mógł się zorientować, że jest to pokój dzienny pełniący rolę salonu. Na środku stał okrągły stół z czterema krzesłami, na prawo była niewielka leżanka, a na lewo solidny kredens. Na wprost drzwi prowadzące zapewne do kuchni. Podeszedł do nich i nacisnął klamkę. Otworzyły się. Wkroczył do środka i odetchnął z ulgą. Tu też nie było nikogo. Kobiety najprawdopodobniej poszły na poranną mszę. No i to poniekąd rozwiązywało jego problem. Nie będzie musiał za nic przeproszać. Wyjdzie sobie jak gdyby nigdy nic i więcej tu nie wróci...

Jego spojrzenie przykuł stół kuchenny, na którego blacie stał wazon z kwiatami. Dwanaście czerwonych róż, policzył szybko. Ktoś dał pannie Klementynie róże. Ciekawe kto? – zastanawiał się. To mogło oznaczać, że ktoś ma nadzieję na jej względy i do tego jeszcze bezczelnie obsypuje ją kwiatami. Ciekawe, co to za kanalia? I to jeszcze jaki z tego absztyfikanta blagier pozujący na bogacza. Żeby kupować dwanaście róż. On by kupił co najwyżej trzy i by

całkowicie wystarczyło, bo przecież pieniądze nie są po to, żeby nimi szastać na prawo i lewo.

Podszedł do stołu i sprawdził, czy przy bukiecie nie ma czasem jakiejś karteczki. Była. Przeczytał, co tam napisano, i aż zadrżał ze złości.

Dwanaście róż, każda na jeden miesiąc w roku, to symbol mojej miłości i oddania, co trwać będą nie rok, ale na zawsze.

Bez podpisu. Bandyta nawet się nie podpisał. Co za łobuz jeden. Jak ja bym go dopadł, to ja już bym mu dał te dwanaście róż. Przecież to on sam wymyślił niedawno, że da jej dwanaście róż po jednej na cały rok jako symbol wiecznej miłości. Odżałuje już te pieniądze i kupi, żeby zrobić na pannie wrażenie. Przeczytał kiedyś w jakimś opowiadaniu, co je zamieszczono w gazecie, że jeden hrabia tak właśnie zrobił, dając hrabinie róże, gdy prosił ją o rękę, i Anastazemu bardzo się to spodobało. Dlatego postanowił, że zachowa się tak samo, przychodząc do wybranki swojego serca. Ale okazało się, że jakiś niegodziwiec ubiegł go i jeszcze w niecny sposób wykorzystał jego pomysł. Widać musiał czytać tę samą co on gazetę. No cóż, trudno. Niech ona bierze innego, a on się wycofa z godnością. Co najwyżej wyśledzi go i mordę obje...

Klucz tkwił w drzwiach. Otworzył je więc i przekręcił od zewnątrz, a klucz starannie schował pod wycieraczką. Wyszedł pośpiesznie z kamienicy i ruszył w kierunku swojej ulicy. Z Woźnej na Mostową były dosłownie dwa kroki. Minał zamknięty na głucho zakład wuja, przeciął gwarną o tej porze nawet w niedzielny poranek ulicę Wielkie Garbary i po chwili był już na Mostowej. Po drugiej stronie przy skrzyżowaniu z Groblą stał niewielki kościółek Wszystkich Świętych. Słysząc było dochodząca stamtąd muzykę organową. Pomyślał, że panna Klementyna musi chodzić tu właśnie, bo to najbliżej jej domu. Anastazy też należał do tej parafii. Przez moment zastanawiał się, czy aby nie wejść tam na chwilę i nie przeprosić Boga za swoje paskudne grzechy, jednak spojrzawszy w prawo, dostrzegł drzwi piwiarni U Okonia. Błyskawicznie podjął decyzję. Zimne piwo to było to, czego teraz potrzebował. Wszedł do środka i obrzucił ciemne pomieszczenie spojrzeniem. Wewnątrz było dość tłoczno. Większość klientów stanowili odświętnie ubrani mężczyźni, którzy zostawiwszy swoje małżonki pogrążone w modlitwie na mszy, sami wymknęli się z kościoła, by przepłukać gardła. Pili szybko, by zdążyć wrócić przed zakończeniem nabożeństwa.

Przecisnął się przez tę ludzką, katolicką ciżbę i podszedł do bufetu. Skinął na barmana i kazał sobie nalać piwa. Po chwili z kuflem w dłoni siedział już przy niewielkim stoliku przykrytym ceratowym obrusem. Zdążył zaledwie wypić jeden łyk, gdy nagle zorientował się, że ktoś się do niego przysiadł. Już chciał huknąć na gościa, żeby dał mu spokój, bo nie potrzebował teraz żadnego towarzystwa, ale gdy spojrzął na twarz intruza, zrozumiał, że sprawa jest ważna. Eustachy Walczak, stolarz, który był kochankiem jego stryja, przysiadł na krześle naprzeciwko.

– Widziałem go – powiedział, nawet się nie przywitawszy.

– Kogo? – zapytał Anastazy, który był ciągle jeszcze myślami przy swoich

kłopotach z wybranką serca.

– No tego, co był wtedy u Alojzego w zakładzie.

– No przecie żeś już gadał, żeś go widział. Na co mi taka nowina?

Walczak przygładził swoją krótko ostrzyżoną czuprynę. W ogóle wyglądał jakoś porządniej, od chwili gdy Olkiewicz widział go po raz ostatni. Ogolił się i ostrzygł. A poza tym nie śmierdział wódmą tak jak wcześniej. Widać było, że wziął się za siebie.

– Ja jego widziałem wczoraj i zaraz poszedłem za nim.

Anastazy zrobił wielkie oczy. Natychmiast pojał, w czym rzecz. Miał na widelcu mordercę. Teraz trzeba było zacząć działać niezwykle delikatnie.

– Gdzie żeś go widział?

– Na Starym go szpynałem. Nic się nie zmienił. Wyglądał tak samo jak wtedy, jak wylaził od Alojza z warsztatu. Tak samo był ubrany i nawet ten sam kapelusz. Poszedłem za nim i doszedłem aż do Woźnej pod dwunastym. On tam poszedł do tej kamienicy, posiedział ze dwie godziny i jak wylaził, to poszedłem za nim, alem go zgubił, jak wlaził na plac Wielkopolski, bo tam taki tłum na tym targowisku... No, alem se wtedy pomyślał, że teraz trzeba wrócić na Woźną. Ino żem chciał z panem się dogadać, żeby było wiadomo, co i jak...

– Dobrześ zrobił – pochwalił go Olkiewicz. – Weź no se idź do baru i zamów piwo na moją kreskę i wróć się tu nazad. Zaraz se wszystko obgadamy i pomyślimy, co dalej robić.

Gdy Walczak wrócił, Olkiewicz podał mu kartkę z wyraźnie wykaligrafowanym imieniem i nazwiskiem oraz stopniem służbowym i przydziałem.

– Jakby co, to dzwoń do dyrekcji policji do mojego kumpla. On ci pomoże go pochwyć, bo ja jeszcze nie jestem na służbie, a aresztować gnoja musi policjant. Rozumiesz?

– Co mam nie rozumieć. Nawet już na pamięć umiem, że to jest przewodnik Okoń Władysław.

– Przodownik.

– Niech mu będzie nawet aspiryn. Grunt, że się ma łeb, żeby nazwiska spaamiętać, co nie?

Po południu Anastazy poszedł chwiejnym krokiem do domu, a jego nowy „wywiadowca” Walczak na swój posterunek na Woźnej. Gdy Olkiewicz wszedł do mieszkania, matka natychmiast przekazała mu, że szukał go Okoń, ale on machnął tylko ręką i poszedł do łóżka położyć się na chwilę. Przespał całe popołudnie i noc, a w poniedziałek rano, przypomniawszy sobie o całej tej nieszczęsnej sprawie z panną Klementyną, doszedł do przekonania, że życie właściwie dla niego się skończyło. Dodatkowo jeszcze poczuł się bardzo słabo i w związku z tą niemocą, która ogarnęła całe jego ciało, w zasadzie nie opłacało mu się wstawać, bo stwierdził, że i tak pewnie niezadługo umrze. Całe szczęście, że w warsztacie po wuju została jeszcze jedna elegancka trumna, więc jego pogrzeb będzie prawie całkowicie bez kosztów, myślał tak, leżąc w łóżku z otwartymi oczyma, ze spojrzeniem wbitym w nieco już poszarzały od starości sufit.

Naraz uświadomił sobie, że ktoś jest w kuchni, która była tuż za ścianą sypialni. I ktoś tam w tej kuchni gada z jego matką. Pewnie jakaś sąsiadka musiała do niej przyjść na pogaduchy, bo siostra w tym czasie powinna być w pracy w składzie kolonialnym na placu Wielkopolskim. Coś mu jednak nie pasowało w głosie rozmówczyni. Jakby go znał dobrze, a jednocześnie nie potrafił dopasować do twarzy.

– I on mi nic nie powiedział? To ja jego zaraz zabiję, chłelernika jednego! – Ten podniesiony głos rozpoznał natychmiast. Matka była najwyraźniej poirytowana.

– Pewnie dopiero dziś chciał powiedzieć. – Teraz już wiedział, kim była ta druga osoba. Serce mu zadrżało. Panna Klementyna przyszła matce poskarżyć się, jakim niegodziwcem jest Anastazy. No trudno, trzeba będzie sobie palnąć w łeb. Życie się całkowicie i nieodwracalnie skończyło...

– A czemu ty, niegodziwcu jeden... – Olkiewiczowa stała w otwartych drzwiach do sypialni i patrzyła na niego z wyrzutem – czemuś mi nic nie powiedział, że żeś poprosił tę pannę o rękę i że dziś macie iść dawać na zapowiedzi. – Ty łajdaku jeden, żeby się matka ostatnia dowiadywała!

– A która jest godzina? – Spróbował chytrze zmienić temat, żeby odwrócić uwagę od problemu, którego nie potrafił na razie ogarnąć.

– Godzina jest tak późna, że twoja narzeczona przyszła, tak jak żeście się ugadali, a ty się wylegujesz w wyrku. Wstawaj wreszcie i zaraz mi do kościoła lecieć. Ino żebyś się ogolił, bo wyglądasz jak półtora nieszczęścia z tą zarośniętą gębą, że wstyd się ludziom pokazać, bo poruty se narobisz. I w ogóle to chyba powinien żeś pójść do lekarza, bo coś z tobą jest nie tak, że po jednym kieliszku ajerkoniaku żeś się obalił, że cię przyszła żona z teściową musiały do wyra przed ślubem zaciągnąć. A może więcej tego ajerkoniaku żeś wypił?

– Ino jeden kielonek – potwierdziła zgodnie z prawdą panna Klementyna.

Tak oto Anastazy Olkiewicz dowiedział się, że już nie jest wolnym człowiekiem. I musiał przyznać, że właściwie wcale mu to nie przeszkadzało. Do tego wyjaśniła się sprawa jego słabości. Nienawidził ajerkoniaku.

Godzina 8.25 rano

Fotograf Maliszewski miał dziś dziwny sen. Śniło mu się, że jest na jakimś wiejskim weselu, ale nie na jednym z tych, na których bywał od czasu do czasu gdzieś w okolicy Poznania. Zapraszali go nań zamożni wieśniacy do udokumentowania uroczystości jednym zdjęciem zbiorowym, na którym prócz młodej pary uwiecznia się wszystkich biesiadników. To wesele z jego snu było zupełnie inne, jakieś bardziej kolorowe, bo kobiety w tej wiejskiej chałupie ubrane były w jakieś kwieciste suknie. Chciał jedną poprosić do tańca, a ona uśmiechnęła się do niego promiennie i odpowiedziała coś w języku, którego nie zrozumiał.

Obudził się złany zimnym potem, bo nagle uświadomił sobie, że ten język to jakaś wschodnia mowa. Najpewniej rosyjska. A to oznaczało, jeśli takie sny

można uznawać za prorocze, że był na weselu gdzieś w Rosji, najpewniej na Syberii. Nigdy tam nie był, ale widział kiedyś w jakimś piśmie zdjęcia stamtąd i rozpoznał w swoim śnie te kolorowe stroje ruskich chłopek. Tak, ten sen na pewno rozgrywał się w bolszewickim kraju.

– Matko Boska, królowo Polski, ratuj dobrego Polaka i katolika przed zesłaniem – zaczął modlić się żarliwie, padłszy na kolana przy łóżku, wpatrując się przy tym w wiszący na ścianie obraz przedstawiający Czarną Madonnę z Jasnej Góry. Swoją drogą ciekawe, czemu ta Madonna jest czarna, jakby była Murzynką, a nie Polką. Przecie Polacy nie są tacy ciemni. Może temu, co ją malował, zabrakło białej farby i miał tylko brązową, więc zrobił, jak umiał. Albo ta twarz pociemniała ze starości, bo oryginalny obraz był bardzo stary. To mogło być wytłumaczenie tego stanu rzeczy, bo Matka Boska – Polka z krwi i z urodzenia – nie była przecież Żydówką, tak jak sugerował ten łotr Fischer. Bo gdyby była, to przecież nie zrozumiałaby słowa z polskich modlitw, a wiadomo, że ich słuchała i co ważniejsze wysłuchiwała, bo ludzie mówili o tym, ile to cudów przy tym obrazie się zdarzyło. Więc i dzisiaj powinna wysłuchać jego modlitwy i sprawić, by sen o wschodzie się nie ziścił.

Teraz, siedząc przed pokojem komisarza Fischera, powtarzał jak mantrę już chyba pięćdziesiątą zdrowaśkę, tak na wszelki wypadek, żeby Matka Boska przekonała się, jaki z niego prawdziwy, nie udawany katolik, co to odwołuje się do jej najczystszej serca dopiero w chwilach strachu i lęku. Nic z tych rzeczy. On modlił się żarliwie codziennie i co niedziela chodził do kościoła. A teraz może i w tygodniu zacznie chodzić, byleby tylko nie dać się wywieźć do Rosji w zesłańczej kibitce.

– Co pan tam mamrocze pod nosem? – Komisarz Fischer stanął przed nim, spoglądając z góry.

– Ja tak tylko sobie powtarzam dla zabicia czasu...

– Że niby co?

– Modłę się, żeby czymś się zająć w oczekiwaniu na pana komisarza.

– A to i dobrze, że się pan modlisz, bo w pańskiej sytuacji modlitwa się może przydać. Chodź pan ze mną – powiedziawszy to, Fischer ruszył do swojego biura. Maliszewski poszedł za nim ze spuszczoną głową, jakby kroczył na szafot.

Komisarz powiesił płaszcz i kapelusz na wieszaku. Nie zaproponował jednak tego samego fotografowi. Wskazał mu krzesło, a sam zasiadł za swoim biurkiem. Otworzył szufladę i wyjął z niej woreczek z fajką i tytoniem. Powoli zabrał się za nabijanie, obserwując coraz bardziej pocącego się Maliszewskiego. W pokoju, jak i w całym budynku było bardzo ciepło, bo przedwojenny piec centralnego ogrzewania nie miał odpowiedniej regulacji, stąd kaloryfery, jedne z pierwszych takich urządzeń w Poznaniu, nagrzewały się niemiłosiernie.

Maliszewski wyciągnął z kieszeni palta chusteczkę i otarł nią zroszone potem czoło. Fischer tymczasem zapalił fajkę i z lubością wciągnął w płuca pierwszy haust dymu.

– No i co tam, panie Maliszewski, słyhać w polityce?

– Że co? – zdziwił się zapytany, bo nie przypuszczał, że Fischer będzie miał ochotę na pogawędkę.

– No co tam u narodowców się wyrabia?

– Nic się nie wyrabia. Normalna partyjna robota i tyle.

– Normalna? Przygotowywanie kongresu to chyba nie jest normalna sprawa.

Teraz Maliszewski zdziwił się jeszcze bardziej. Przecież dotąd o tym wydarzeniu, które przejdzie niewątpliwie do historii ruchu narodowego, ale i historii Polski, wiedziało niewielu ludzi. Sprawa była tajna, bo organizatorzy obawiali się, że siły sanacyjne będą chciały w jakiś sposób pokrzyżować im plany i doprowadzić do zerwania obrad albo w ogóle nie pozwolą delegatom się zebrać. A tu proszę, policja już o wszystkim wiedziała. Trzeba będzie zaraz dać znać doktorowi Dąbrowskiemu, że Fischer się zdradził ze swoją wiedzą...

– I nie trzeba, żebyś pan od razu leciał do Dąbrowskiego i mu meldował, że już o kongresie się mówi. – Fischer cmoknął kilka razy, bo fajka mu nieco przygasła. Niby zajęty całkowicie tą czynnością patrzył jednak spode łba na Maliszewskiego, obserwując jego reakcję. Ten był tak dalece zdumiony, że dolna szczeka mu opadła, a usta rozszerzyły się, jakby chciał za chwilę ziewnąć.

– Że niby po co do Dąbrowskiego? Jakiego Dąbrowskiego?

– Niech pan nie będzie naiwny jak dziecko, panie Maliszewski. Co to myślisz pan, że ja nie wiem, po co żeś pan do mieszkania mecenasa chodził. Przejrzałem sobie te papiery, które chciałeś pan stamtąd wynieść, i powiem szczerze, że całkiem mi przypadł do gustu szczególnie jeden. Ten, w którym mecenas Witecki pisze o przyszłości polskiego ruchu narodowego. Całkiem ciekawy artykuł. Ciekawe, co by było, gdyby jeszcze przed kongresem taki artykuł wypuściła jakaś gazeta. No może nie cały, ale fragmenty z obszernym omówieniem.

– To niemożliwe. Nie zrobi pan tego!

– A dlaczego by nie?

– Bo to by było zwykłe łajdactwo. To jest dokument partyjny.

– A co mnie to może obchodzić, panie Maliszewski. Partyjny, niepartyjny, dość że w policyjne ręce wpadł jako dowód w sprawie włamania.

– Nie było żadnego włamania! – zawołał fotograf i aż poderwał się z krzesła.

– Tylko spokojnie, bo się pan spocisz. A prawda, czemu to nie zdejmie pan palta? Przecie tu u nas dość ciepło, a my sobie jeszcze trochę pogawędzimy.

Wzburzony Maliszewski opadł na krzesło i jeszcze przez moment siedział zamyślony. Wiedział, że wpadł w tarapaty. Nie dość, że został włamywaczem, to jeszcze nie wywiązał się z partyjnego zadania, a pismo, po które wybrał się do mieszkania mecenas, mogło za chwilę znaleźć się w brudnych łapskach jakiegoś żydowskiego dziennikarza. Nie wiedział, że już się znalazło. Gdy tylko Fischer zapoznał się z dokumentem, natychmiast zadzwonił do redakcji „Dziennika Poznańskiego” i kazał się łączyć ze swoim znajomym, redaktorem Walerym Tomczakiem. Ten, usłyszawszy o rewelacjach komisarza, natychmiast przybiegł na policję. Fischer posadził go do maszyny do pisania i pozwolił mu przepisać co ciekawsze fragmenty. Oryginału nie pozwolił zabrać ze sobą.

I dobrze zrobił, bo wiedział, że ten papier jeszcze mu się przyda. Rozmowa z dziennikarzem też się przydała. Bo Fischer nie był przedstawicielem instytucji dobroczynnej, która pomagałaby pismakom w znajdowaniu ciekawych tematów. Dobił z redaktorem targu. Sprzedał mu to pismo w zamian za informacje.

Tomczak nie od dziś zajmował się zbieraniem informacji o działających w Poznaniu narodowcach. Można powiedzieć, że był chodzącą kopalnią wiedzy na ich temat. I to on powiedział komisarzowi, że w Poznaniu ma być zorganizowany zjazd narodowców, na którym najprawdopodobniej zostanie powołana jakaś zupełnie nowa organizacja. Szczegółów Fischer dowiedział się z memoriału napisanego przez zabitego prawnika. Tomczak zdradził mu również, że Maliszewski działał na zlecenie Dąbrowskiego. Dowiedział się o tym od jednego ze znajomych doktora, który pochwalił się przy brydżowym stoliku, że ma swojego człowieka w policji i ten przyniesie mu wszystkie ważne papiery, które znajdowały się w mieszkaniu mecenasa Witeckiego. No i dzięki tej informacji Fischer bez trudu połączył fakty.

W końcu Maliszewski wstał, podszedł do wieszaka i powiesił na nim swoje palto i kapelusz, który dotąd przez cały czas miętosił w rękach. Gdy wrócił na miejsce, ujrzał uśmiechniętego od ucha do ucha Fischera.

– No i co, szanowny panie Maliszewski. Nie lepiej tak?

– Lepiej – mruknął fotograf.

– No to zaraz będzie jeszcze lepiej, jak pan zaczniesz ze mną współpracować.

– Że niby jak?

– No najnormalniej w świecie. Będziesz pan przekazywał mi informacje. Tak samo jak pan przekazywałeś je dotąd doktorowi Dąbrowskiemu.

– Ja przekazywałem? To oburzające!

– Nie zgrywaj pan przede mną świętej Cecylii. Niech pan słucho uważnie, co mam do zaproponowania, a później wyrazisz pan swoją opinię.

Wzburzony Maliszewski nic nie odpowiedział, więc Fischer znów przypalił fajkę, która zgasła, wypuścił kłęb dymu i zaczął powoli omawiać swoją propozycję.

– Możesz pan odmówić, a ja wtedy wdrożę wstrzymane przeze mnie śledztwo w sprawie włamania do mieszkania nieboszczyka. I tutaj sprawa jest prosta, bo żeś pan został złapany na gorącym uczynku, na co są świadkowie. A to oznacza, że pójdziesz pan jak nic siedzieć na jakieś dwa lata. Dwa lata we Wronkach to nie będą wywczasy w Juracie, szanowny panie. Ale te Wronki to jeszcze nic, bo jak już te dwa lata pan odsiedzisz i wyjdiesz, to dopiero zacznie się piekło. Bo atelier w Poznaniu na placu Wolności przepadło. Zainstaluje się tam jakiś niemiecki fotograf, bo wiadomo że Niemcy w fotografii są prawdziwymi mistrzami... Albo nie, ja przypilnuję osobiście, żeby to atelier, co po panu zostanie, wzięł fotograf Żyd.

– Boże, nie! – jęknął Maliszewski, którego dusza właśnie została wysłana na chwilę do piekieł, na sam dół w ten dziewiąty krąg diabelskich czeluści, gdzie siedzieli najwięksi grzesznicy. I za co to wszystko? Za umiłowanie narodu

wybranego, na którego czele stoi i stać będzie na wieki Królowa Polski, Matka Boska Przenajświętsza.

I właśnie Matka Boska przemówiła do niego w sposób jasny i klarowny, tyle że niespodziewany, bo jej słowa lejące w serce otuchę i wiarę wypłynęły w cudowny sposób z ust siedzącego przed nim niemieckiego diabła:

– Ale jest dla pana ratunek!

– Jaki?

– Będiesz pan współpracował z policją, a jak tak będzie, to te pańskie występki się wykreśli na amen.

– Będę. Tak mi dopomóż Bóg.

– Boga chyba nie musimy w to mieszać, panie Maliszewski – zachnął się Fischer. Fotograf wiedział jednak swoje. Czuł że to, co powiedział komisarz, to nie były słowa tego Szwaba, ale boski przekaz. – Choć Pan Bóg na szczęście dobrze widzi wszystko – ciągnął policjant – i waży nasze uczynki, a teraz widzi zapewne, żeś pan mądrze postąpił. I ja dlatego, jako skromny robotnik w winnicy pańskiej, mogę pana oto nagrodzić, natychmiast oddając panu rękopis memoriału, który napisał mecenas Witecki. Możesz pan go zanieść temu Dąbrowskiemu, tłumacząc, że udało się go schować przed policją.

– Naprawdę pan to zrobi?

– Z największą przyjemnością. Jako zapowiedź naszej przyszłej, dobrej współpracy.

Fischer otworzył szufladę biurka i wyjął z niej kilka kartek spiętych kancelaryjnym spinaczem. Położył je na blacie biurka i przesunął palcem w kierunku fotografa.

– Oto ów dokument.

Maliszewski spojrzał w górę i podziękował ciemnonolicyj Madonnie z Częstochowy, że ta dokonała dzisiaj kolejnego cudu i uratowała jego skromną osobę, żarliwego obrońcę wiary katolickiej i narodowej dumy.

Godzina 11.30 przed południem

– Przeżyje?

– Jak Bóg da, to przeżyje.

– Ale gadać może?

– Może, ale jak go pan będzie męczyć za bardzo, to diabli go wezmą raz-dwa. On powinien jak najwięcej odpoczywać. Taka rana w brzuchu to nie byle co. Może się wdać zakażenie.

– Mnie pan doktor o ranach nie musi uczyć. Trochę się ich w życiu widziało – stwierdził przodownik Okoń, drapiąc się po łysiejącej głowie. Był co prawda na służbie, ale do rannego jakoś mu nie wypadało z czapką na głowie przychodzić, przeto zdjął ją, gdy tylko felczer wpuścił go do izolatki. Wezwanie do szpitala garnizonowego dostał pół godziny temu i natychmiast pobiegł na ulicę Libelta. Z budynku dyrekcji policji miał stąd dwa kroki, więc zjawił się najszybciej, jak

się dało. Dyżurny sanitariusz poinformował go, że na oddziale chirurgii leży jeden delikwent, który ma poważną ranę kłutą brzucha i za chwilę może wyciągnąć kopyta, ale że jest w przytomności, dlatego rozpytuje się o przodownika Okonia z policji, bo ma mu do przekazania sprawę kryminalną niecierpiącą zwłoki. Gdy Okoń usłyszał nazwisko rannego, nic mu ono nie powiedziało, dopiero gdy dzwoniący powołał się na Olkiewicza, wiedział od razu, że nie ma chwili do stracenia. Szkoda tylko, że Olkiewicza nie było w pobliżu, ale nie miał zamiaru tracić czasu na jego poszukiwania.

– A czemu do was go przywieźli, a nie do miejskiego na Strusia?

– A jakbyś pan miał ranę kłutą, to wolałbyś, żeby cię szyli wojskowi czy cywile? – Felczer popatrzył na policjanta z politowaniem.

– No ma się rozumieć, że wojskowi.

– To i masz pan odpowiedź. Jak się zdarzy postrzał czy cięcie, to zaraz do nas odsyłają, bo my w takich ranach najlepsi.

Mimo że rozmawiali niezbyt głośno, to ich słowa musiały w końcu dotrzeć do świadomości rannego. Zwalisty, dobrze umięśniony stolarz otworzył oczy i spojrzał w ich kierunku.

– Panie policjancie – przywołał do siebie Okonia, a ten podszedł natychmiast. Usiadł na metalowym, pomalowanym na biało taborecie i pochylił się, tak żeby łatwiej mu było zrozumieć, co mężczyzna ma mu do powiedzenia.

– Chciałeś się ze mną widzieć.

– Tak, bo ja...

– Kto cię tak urządził? – Policjant wskazał na zabandażowany brzuch.

– To on.

– Co za on?

– Ten, co był wtedy w nocy w biurze.

Przez chwilę Okoń zastanawiał się, czy czasami facetowi przez ten dziurawy brzuch nie wyciekł cały rozum, bo najwyraźniej gadał od rzeczy.

– W jakim biurze, do cholery?

– No w zakładzie pogrzebowym. Powiadałem wtedy panu Olkiewiczowi, jak był u mnie, że ja wtedy wieczorem, jak Kaczmarkiewicza zabili, że ja się wróciłem i czekałem, żeby zobaczyć, z kim on się spotykał, bo ja Walczak jestem, stolarz, co tam pracował. No i wyszedł stamtąd taki jeden, a ja poszedłem pogadać z szefem, ale szef był już nieżywy, to uciekłem. A tego, co go zabił, to ja nie wiem, jak on się nazywa, ale go zapamiętałem. No i w sobotę on mi się nawinął, na rynku, znaczy się Starym Rynku, wszedł mi w drogę, tom za nim poszedłem. I on zaszedł na Woźną pod dwunastym, ale zaraz wyszedł i poszedłem za nim, ale na Wielkopolskim mi się zgubił. Tom wrócił wieczorem na Woźną i czekałem całą noc, i rano on znów wyszedł. Poszedłem za nim aż na Święty Marcin, gdzie on wlaźł do bramy. To wlaźłem za nim i tam w tej bramie mnie dziabnął, skurwysyn. Jużem myślał, że jest po mnie, bo mi się ciemność zrobiła w głowie, ale jakoś Pan Bóg nie pozwolił mnie jeszcze zabrać do siebie.

– Jak wyglądał ten człowiek? – zapytał rzeczowo przodownik.

– Nijak, znaczy się tak zwyczajnie. Lat to może trzydzieści albo czterdzieści.

Ode mnie to może o głowę niższy. Włosy miał czarne i takie długie, pysk ogolony, znaczy się nie miał brody ni wąsów, i na głowie taki mały kapelusz, znaczy się jak melonik trochę, ino rondo jakby większe. A na policzku to miał jeszcze pręgi czerwone, jakby go kot podrapał.

Okoń wyjął z kieszeni notes i szybko zapisał wszystkie dane na temat podejrzanego. Do tego jeszcze upewnił się, czy aby na pewno dom na Woźnej był pod numerem dwunastym.

– Tak jest. Dwunasty. Ja dobrze pamiętam i liczyć też umiem – wyrzucił z siebie żarliwym tonem stolarz Walczak i zaraz jęknął z bólu. Okoń spojrzał za siebie, tam gdzie w drzwiach cały czas czekał felczer. Ten podszedł szybko do rannego mężczyzny.

– Koniec gadania – rzucił ostro. Walczak zamknął oczy, a policjant wstał z taboretu.

– Już skończone – stwierdził.

– Zaraz się nam pacjent skończy.

– Pić. – Walczak jęknął znowu.

– Jak ja bym ci, chłopie, dał pić, to woda by ci się rozlała po bebechach i już by było po tobie. Tyle ino mogę dla ciebie zrobić. – Wziął do ręki szmatkę i zamoczył ją w kubku, który stał na stoliku obok łóżka. Tą wilgotną tkaniną otarł spierzchnięte usta pacjenta. Okoń tymczasem wycofał się po cichu z izolatki. Nie było co czekać, aż łapiduch wyjdzie z pomieszczenia, i żegnać się z nim. Musiał działać jak najszybciej. Doszedł bowiem do wniosku, że morderca musiał być przekonany, że śledzący go Walczak wyzionął ducha, bo inaczej nie zostawiłby go w tej bramie. A to mogło oznaczać, że poczuł się bezpieczny, czyli nie było powodu, żeby zmieniać swoje lokum. Trzeba było więc niezwłocznie udać się na Woźną. Wyszedł ze szpitala i ruszył w kierunku dyrekcji policji. Dotarł tam w pięć minut i natychmiast pobiegł na górę meldować się Fischerowi. Ten na szczęście był w swoim pokoju.

– A ty gdzieżeś się podziewał? – zapytał wchodzącego Okonia. Nawet nie zwrócił uwagi na to, że przodownik nie zapukał do drzwi, tylko wlaźł do środka jak do miejskiego wychodka. Widać było, że czymś jest mocno zaaferowany. Okoń spojrzał na biurko szefa, na którym rozłożone były spisane protokoły wczorajszych przesłuchań świadków zatrzymanych w sprawie śmierci Pocięchy.

– Trzeba by na Garbary jechać, bo trzech zeznało to samo. Ludzie widzieli jakichś dwóch facetów, co szli za Pocięchą. Rozpytam się o nich dokładniej. Nawet wiem, kogo pytać. Myślę, że Tolek Grubiński w tej sprawie będzie miał coś do powiedzenia...

– Ja melduję, panie komisarzu – wszedł mu w słowo Okoń, że nam trzeba w pierw iść na Woźną pod dwunasty.

– A niby to czemu? – Fischer spojrzał na niego niezadowolony, że mu przerwał.

– Bo ten Grubiński to se może chwilę zaczekać, ale ja wracam ze szpitala, gdzie leży sprawiony nożem pomocnik tego zabitego Kaczmarkiewicza, co to był wujem Olkiewicza. No i on dostał nożem w bebechy od faceta, co jego

przyuważył, jak wychodził w tę noc, jak było to morderstwo, z zakładu pogrzebowego. Zdybał go na ulicy i poszedł za nim na Woźną pod dwunasty. A później ten facet go przyuważył i chciał zabić, ale na szczęście nieborak przeżył i wszystko mi powiedział. To ja se myślę, że możemy onego tam nakryć.

Fischer wstał z za biurka. Szybko poskładał rozłożone na blacie zeznania w jeden równy stos i włożył kartki do szarej teczki zawiązywanej tasiemkami. Komisarz nie znosił bałaganu na swoim biurku i lubił, gdy wszystko było dokładnie posegregowane i poukładane.

– Masz rację. Grubiński może jeszcze chwilę zaczekać.

Godzina 11.50 przed południem

Oskierko wstał z za biurka i podszedł do okna. Otworzył je szeroko, by wpuścić do pokoju trochę świeżego powietrza. Jego ostatni klient, którego właśnie skończył przesłuchiwać, śmierdział tak niemiłosiernie, że policjant mało się nie udusił z tego smrodu. Do przepytania została mu tylko jeszcze jedna osoba, więc chciał sprawę załatwić szybko, a potem zamierzał pójść do jakiegoś baru na śniadanie. Bo rano nie zdążył nic zjeść i teraz czuł, że kiszki zaczynają mu grać marsza.

Drzwi do pokoju przesłuchań otworzyły się i do środka wkroczył drugi z przesłuchujących, aspirant Kwaśniewski. Uśmiechnięty od ucha do ucha był najwyraźniej zadowolony z efektów swojej pracy.

– No i jak tam u szanownego kolegi? Jakies efekty się udało osiągnąć – zapytał, wkładając papierosa do ust. – O, przepraszam, może kolega zapali?

Oskierko właściwie nie palił, ale pomyślał sobie, że w zasadzie to wcale nie zaszkodzi nadymić trochę w tym pokoju, by szybciej przegonić smród.

Kwaśniewski podsunął mu paczkę egipskich i zaraz podał też ogień.

– Coś tu śmierdzi – zauważył ze zdumieniem.

– To mój ostatni delikwent, śmierdział, jakby go kto wykąpał w gnojówce.

– Ta, śmierdzieli mieliśmy tu szczególnie dużo ostatnio. Ale tak to jest, jak ci nasi szeregowcy łapią każdego, kogo da się chwycić, żeby wykazać się skutecznością działania, a później my musimy się z tym całym szambem użerać. A coś tam panu koledze udało się wyciągnąć z tych ludzi?

– No przyznać muszę, że niewiele, niestety. A jak u pana?

– A ja, owszem, przyznać muszę, że coś tam niby się dowiedziałem.

– Co takiego? – zainteresował się Oskierko.

– Jest jeden, co to widział Pocięchę, jak w nocy stał na ulicy, znaczy na Garbarach, i był z nim jeszcze jeden gość, nie najlepiej ubrany. I oni obaj byli kompletnie pijani. Ten młodszy nawet bardziej, bo ten Pocięcha próbował postawić go do pionu pod ścianą kamienicy, a tamten był tak nachlany, że po tej ścianie zjeżdżał co chwila. Myślę więc sobie, że mamy już przynajmniej jakiś punkt zaczepienia. To może być kluczowe dla tej sprawy.

– Tak pan myśli? – spytał Oskierko niezbyt pewnym głosem. Że też musiał ich

ktoś zauważyć na tej ulicy nocą. On zupełnie tego nie pamiętał, ale domyślał się, że ten nie najlepiej ubrany gość to musiał być on sam. Na szczęście nie wiedział o tym Kwaśniewski, bo byłby wstyd ogromny. Oskierko doszedł do przekonania, że całe zło, jakie się wzięło tej nocy i przyczepiło do niego, pochodziło od alkoholu. Dlatego postanowił w myślach, że nigdy więcej nie weźmie tego świństwa do ust. No chyba że wino albo piwo w niewielkich ilościach, bo z mocnych trunków zrezygnuje całkowicie i nieodwołalnie.

– Oczywiście, że tak myślę. Trzeba znaleźć tego człowieka, który był tam wtedy z Pocięchą, i sprawę mamy rozwiązana.

– Czy aby na pewno?

– Jak najbardziej. Przecież on musi wiedzieć, co działo się później.

Aspirant pokiwał głową na znak, że zgadza się z tokiem rozumowania Kwaśniewskiego. Jednak dobrze wiedział, że nawet gdyby Kwaśniewski dotarł do tego osobnika, który stał pijany z Pocięchą na ulicy, to i tak ów człowiek nie powiedziałby mu niczego interesującego, bo żadnej wiedzy nie posiadał. Pamięć tamtych wydarzeń całkowicie rozplynęła się w alkoholowych oparach i nic nie wskazywało na to, że jest jakaś szansa, żeby się nagle wyostrzyła. No chyba że znalazłoby się coś lub ktoś, kto mógłby tę pamięć wzmocnić.

– To ja już pójdę, panie kolego, bo chciałem jeszcze protokoły pouzupełnić, a pan, zdaje się, masz jeszcze jedną osobę do przesłuchania.

– Zgadza się. Jest jeszcze jeden delikwent.

– Nie delikwent, he, he, ale delikwentka! – stwierdził zadowolony Kwaśniewski. – Tylko uważaj pan, bo to osoba wielce urokliwa i żebyś się pan czasem nie zakochał.

– No co też kolega... – obruszył się Oskierko, gdy tymczasem Kwaśniewski z szelmowskim uśmiechem opuszczał pokój.

– Też mi żarciki – mruknął do siebie aspirant, po czym wstał zza biurka, podszedł do drzwi i otworzył je.

– Dawać następnego! – zawołał w głąb korytarza. Tam na ławce pod ścianą powinien siedzieć posterunkowy, który doprowadzał aresztowanych na przesłuchanie. Natychmiast do uszu Oskierki doleciały dźwięki jakiegoś zamieszania. Widać policjant, usłyszawszy polecenie, wziął się do poganiania zatrzymanego, a może Kwaśniewski mówił prawdę i rzeczywiście była to zatrzymana...

Aspirant wrócił za biurko i rozłożył przed sobą pusty arkusz karty przesłuchania. Usłyszał jakiś ruch przed sobą, ale nie podniósł wzroku znad blatu biurka, zajęty wpisywaniem daty dziennej i godziny rozpoczęcia rozmowy z zatrzymanym.

– Nazwisko, imię, imię ojca i data urodzenia! – rzucił suchym, urzędniczym tonem.

– Grzelakowo Klara, córka Klemensa, urodzona wew tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku w maju, znaczy się pierwszego maja w Poznaniu.

Zdumiony Oskierko natychmiast rozpoznał ten głos. Spojrzał na babę, która przysiadła skromnie na brzegu taboretu. Ubrana była w gruby płaszcz

nieokreślonego ciemnego koloru i kapelusz ozdobiony niegdyś pewnie kolorowymi, a dziś wypłowiałymi piórami.

– Grzelakowa? – zapytał ostrożnie, bo kompletnie nie wiedział, o co zapytać.

– Grzelakowo pod Bogiem, panie oficyjerze kochany. – Na znak, że mówi całą prawdę, uderzyła się w pierś – Jezusie Nazareński, toż to mój chłopaczek piękny! – zawołała, gdy naraz w przesłuchującym rozpoznała swojego niedawnego gościa. Dopiero teraz spojrzała mu w twarz, bo wcześniej głowę miała spuszczoną, onieśmielona majestatem władzy bijącej od oficera w mundurze. Podniósłszy wzrok, natychmiast rozpoznała nocnego gościa z podbitym okiem i opuchniętym nosem. – Toć przecie jo jest, Grzelakowo, co ci życie uratowała i na dodatek jeszcze przenocowała i jeszcze ci...

– Ciszej, do licha! – syknął na nią. – Ciszej, bo jeszcze kto usłyszy.

– A niby to czemu cicho? Co to, dobrzy ludzie nie mają wiedzieć, że Klarcia jest dobrym człowiekiem, co się litościwie jak ten samarytanin pochylila nad potrzebującym?

– A po co kto ma wiedzieć? Tu jest urząd policyjny i to jest przesłuchanie na okoliczność, czy żeście czego podejrzanego nie widzieli wtedy w nocy.

– No jakże nie widziałam. Wszystkom widziałam, jak te łobuzy przysły nad rzekę, żeby pana oficyjera pobić i ograbić, bo gdyby nie ja, toby nie tylko płaszcz i buty zabrały, psie krwie jedne, ale i wszystko, a kto wie, może nawet życie by odebrały, bo co to dla takich drani za sztuka dziabnąć knypkiem, żeby świadka po swojej robocie nie zostawić.

– Znacie ich?

– Kogo?

– No tych, co tam wtedy w nocy napadli na mnie.

– Tych szczonów? No pewnie, że znam. Każdy ich przecie zna. To wywijasy takie, że szkoda gadać. Nikomu te cholery nie przepuszczą.

– A jakieś nazwiska mają?

– Łe, no pewnie, że mają. Co mają nie mieć. Ten blondynek taki, pan oficyjer pamięta, co to przywalił panu w buźkę i co po nim ma pan jeszcze to ślipie opuchnięte, to on się nazywa Krystek Kaźmierczok, najmłodszy z tych braci, co to juchtą się zajmują, same rojbry, panie kochany, a ten drugi, co to pana kopnął, jak żeś pan już leżał, to on się nazywa Zenuś Brodziak, taki rudzielec jak jego ojciec, moczymorda jedna, co jest rybakiem, ale ryby łowi ino wtedy, jak mu się bejmy skończą i nie ma na gorzołę, to i synek musi sam na robotę chodzić.

Oskierko szybko zapisał oba nazwiska w karcie protokołu.

– A gdzie ich można znaleźć?

– Wszędzie latają. – Pomachała ręką, jakby się odganiała od natrętnej muchy.

– Ino gdzie który mieszko, to ja ci dokładnie nie powiem. Gdzieś tu w tym fyrtlu.

– Jakim fyrtlu?

– No tutej, to będzie gdzieś wedle Starego Rynku. Trzeba by się miejscowych szkiełów spytać. Oni tę łobuzerkę dobrze znają, to powiedzą, gdzie który wywijas mieszko. Ale jak pan oficyjer chce swoje trzewiki i te jupkę odzyskać, to

ni mo co czasu po próżnicy wytracać. Oni jak komu co wezną, to zaraz opędzają, bo trzymać w chacie to nie ma po co.

Aspirant wzruszył ramionami. Przecież nie będzie jej tłumaczył, że wcale nie interesują go ukradzione buty.

– A słyszeliście, że ktoś wtedy tej nocy zabił wywiadowcę policyjnego?

– Com miała nie słyszeć. Wiara cały czas o tym gado.

– I co ludzie mówią?

– Że jak kto głupi po nocy się włóczy, to nietrudno po łbie oberwać, bo taki gość to aż się prosi o oskubanie.

– Ale kto mógł to zrobić?

– A bo to ja wiem? Każdy mógł.

– Każdy, czyli kto?

– No każdy, powiadom, ale dokładnie kto, to nie wiem.

– A ci dwaj złodzieje?

– Chłelera ich wie. Może i oni, a może i nie oni. Szukaj wiatru w polu.

– No dobra, Grzelakowo. Wszystko już napisałem i pytań więcej nie mam do was.

– Znaczą się, że ja se mogę już iść?

– Możecie, tylko tu mi protokół podpiszcie.

– A po co podpisywać?

– Żeby było urzędowo, musi być podpis.

– No jak urzędowo, to chyba trzeba.

– Trzeba – potwierdził aspirant i odwrócił kartkę w jej stronę. Kobieta podeszła, chwyciła ołówek i pochyliła się nad blatem.

– Niby to gdzie?

– Tutaj, gdzie ptaszek.

– Aha. – Pokiwała głową, a potem z namaszczeniem napisała swoje nazwisko, co dość mocno zdziwiło Oskierkę, bo był przekonany, że zamiast podpisu postawi trzy krzyżyki. Okazało się jednak, że stara prostytutka potrafi pisać i czytać.

– A jak tam twój ptaszek, ptaszku?

– Że co?

– No twoja pałeczka. – Klarcia uśmiechnęła się szeroko, ukazując zaledwie kilka zębów. – Może ci go trochę possać, co, chłopczyku?

– A idźże, do cholery ciężkiej! – Oskierko poczuł obrzydzenie na samą myśl o tej propozycji bezzębnej staruchy.

– Złotousta Klarcia ponoć umie to robić jak nikt inny, ha, ha, ha! – zaśmiał się aspirant Kwaśniewski, który pojawił się w drzwiach nie wiadomo kiedy. – Nie chcesz pan, kolego, spróbować, to nie wiesz, co tracisz.

– Precz mi stąd! – Oskierko zerwał się z krzesła i wskazał Grzelakowej drzwi. Ta zaśmiała się głośno, a potem powoli i z godnością wypłynęła z pokoju jak statek parowy, fukając i postękując.

– A ty byś nie chciał, chłopczyku? – zatrzymała się na moment przy Kwaśniewskim.

- Spieprzaj, wiédźmo – mruknał policjant i wypchnął ją za drzwi.
 - Przyszedłem na chwilę do kolegi, bo dzwoniłi z dyrekcji, że komisarz Fischer każe panu niezwłocznie udać się na ulicę Woźną pod numer dwunasty.
- Oskierko pokiwał głową. Jak trzeba, to trzeba, rozkaz jest rozkazem, tylko szkoda, że śniadanie przepadnie. No chyba że gdzieś po drodze wejdzie do jakiego rzeźnika, poprosi o gruby plaster salcesonu i bułkę. I to był zdecydowanie dobry pomysł.
- A tu po drodze jest jaki rzeźnik? – zapytał Kwaśniewskiego.
 - A co kolega chce tę babę nożem rzeźnickim? Nie prościej ją zwyczajnie zastrzelić?

Godzina 12.30 po południu

Maliszewski musiał stwierdzić, że nie nadawał się na szpiega. Za dużo nerwów go to kosztowało. Podśluchiwanie samo w sobie było przyjemne, ale nie podśluchiwanie takiej rozmowy jak ta, której świadkiem stał się zupełnie przypadkowo i można powiedzieć, że nawet mimo woli. Ale gdy już się tak stało, nie miał innego wyjścia. Musiał stać jak trusia i słuchać, żeby się nie zdradzić przypadkiem, że jest tu ukryty. A wszystko przez tę cholerną ciekawość. Gdyby nie był taki wścibski, to teraz nie musiałby się bać. Bo bał się coraz bardziej, od kiedy usłyszał, o czym jest mowa. Umówił się z doktorem Dąbrowskim w jego uniwersyteckim gabinecie. Przyszedł jednak nieco wcześniej, bo nie mógł już się doczekać rozmowy i tego, jak Dąbrowski zareaguje, gdy zobaczy, że udało mu się odzyskać rękopis mecenasa. Zapukał więc do drzwi, ale okazało się, że nikt nie prosi go do środka. Na wszelki wypadek nacisnął więc klamkę i drzwi ustąpiły. Zajrzał, jednak wewnątrz nikogo nie było. Wtedy pomyślał, że nie będzie w tym niczego niewłaściwego, gdy wejdzie do gabinetu i usiądzie na krześle, oczekując na gospodarza. Jak postanowił, tak zrobił natychmiast, niewiele zastanawiając się nad konsekwencjami swojego kroku. Po chwili usłyszał jakiś ruch w sąsiednim pokoju. Wiedział, że za ścianą jest niewielki gabinecik, w którym Dąbrowski przyjmował niektórych oficjalnych gości. Pokój, do którego wszedł Maliszewski, i ów gabinet łączyły drzwi. Teraz co prawda zamknięte, lecz najwyraźniej nie były zbyt szczelne, bo usłyszał wyraźnie, że ktoś tam wchodzi z korytarza. Od razu zorientował się, że byli to dwaj mężczyźni. Początkowo więc jako człowiek dobrze wychowany chciał natychmiast wyjść, żeby nie stać się świadkiem rozmowy, ale gdy usłyszał, o czym mówią, ciekawość zwyciężyła. Podszedł cicho do drzwi i przyłożył do nich ucho.

- Może i nie jesteśmy ideologicznie zbyt zbliżeni do siebie, jednak wiele nas łączy – mówił doktor Dąbrowski, bo jego rozpoznał natychmiast. Nie znał natomiast tego drugiego głosu.
- Na przykład niechęć do obecnej władzy?
- Oczywiście. Przecież to jasne jak słońce, że ten Piłsudski to jest największy

szkodnik, jaki się pojawił w najnowszej historii Polski. On nie dość, że szkodził zawsze, to szkodzi i teraz. Te jego sojusze z Austro-Węgrami i Niemcami to przecież kompletny idiotyzm. Przecież każdy rozsądny polityk w tym kraju wie, że tylko oparcie się na Rosji daje Polsce polityczny pożytek. I nie ma większego znaczenia, czy to Rosja carska czy bolszewicka. Bolszewicy to wszak Rosjanie, a Rosjanie to Słowianie, tak jak i my. W naszych żyłach pulsuje przecież ta sama słowiańska krew.

- Bolszewicy to nie tylko Rosjanie – wszedł mu w słowo rozmówca.
- No tak, owszem, pan przecież jest Polak.
- Wielu nas, Polaków, jest w partii bolszewickiej, i wielu zajmuje tam ważne miejsca, jak choćby zmarły w tym roku i nieodżałowany towarzysz Feliks Dzierżyński.
- Tak, słyszałem o nim. To on stworzył policję polityczną...
- Która położyła wielkie zasługi w obronie rewolucji.
- Mówią, że zapisała się też niechlubną kartą.
- Rewolucja wymaga ofiar. Nie słyszałem jeszcze o udanej rewolucji, która by nie musiała zniszczyć swoich przeciwników.
- No właśnie, przeciwnicy. Tu dochodzimy do celu naszego spotkania. Jeśli przeciwników mamy wspólnych, to i mamy wspólne pole do działania.
- Ten Piłsudski poczyną sobie coraz bezczelniej.
- To prawda – zgodził się ze swoim rozmówcą Dąbrowski.
- Ten zamach to przecież coś niewyobrażalnego w dzisiejszym cywilizowanym świecie. Gdybyśmy to my byli u władzy, świat wyglądałby całkiem inaczej. No i stosunki między naszymi krajami... W końcu to przedstawiciele naszej Narodowej Demokracji pokazali najlepiej podczas rozmów w Rydze, że z rozsądnymi Polakami da się rozmawiać i negocjować traktaty. Wasi negocjatorzy byli chyba zadowoleni ze współpracy z naszą delegacją.
- Sądząc po efektach, jakie uzyskały obie strony w tych negocjacjach, tu chyba wszyscy byli zadowoleni.
- Jak najbardziej. To przecież nasz niesiony od dawna postulat, żeby Polska stała się państwem narodowym. Nam nie są potrzebni w kraju Ukraińcy czy Białorusini, tak jak chciał tego Piłsudski. Mamy teraz połowę Białorusi i Ukrainy, ale z niehistorycznym żywiołem tych krain sobie poradzimy. Oni muszą się prędzej czy później spolszczyć. Nie mają wyjścia, bo w końcu to nasza polska kultura jest tam na wschodzie dominująca.
- Powiedział pan, że Piłsudski chciał inaczej to wszystko przeprowadzić.
- Oczywiście, wiem z dobrego źródła, że chciał wpływać na negocjacje i doprowadzić do odsunięcia od przewodnictwa delegacji pana Jana Dąbskiego, i realizować swoje mrzonki o jakichś federacjach z Litwą i Ukrainą, ale na szczęście mu się nie udało. Cóż to byłoby za dziwaczny twór ta federacja...
- A teraz Piłsudski rośnie w siłę – zauważył bolszewik.
- Dlatego jesteśmy przekonani, że nadszedł czas na działanie. On przecież może doprowadzić do nowej wojny, żeby te swoje wielonarodowe fantasmagorie wcielić w życie. A my się na to nie możemy zgodzić. Dlatego myślę, że czas

powiedzieć głośno „nie” i skończyć z tym raz na zawsze. Tym bardziej, że czas ku temu jest dogodny, bo my jako opozycja rośniemy w siłę i w tajemnicy mogę panu zdradzić, że już niedługo tu w Poznaniu dojdzie do historycznego wydarzenia. Otóż rozbita i rozczłonkowana narodowa prawica połączy się w jedną wielką organizację, która ma przyjąć nazwę Obóz Wielkiej Polski, a wielkim oboźnym tego ruchu zostanie nasz Roman Dmowski. Ten obóz jako wielka opozycyjna siła zrobi wszystko, by odebrać władzę Piłsudskiemu i jego wojskowym poplecznikom. To wielkie dzieło musi się powieść. I co pan o tym powie?

– No cóż, dla nas pan Dmowski jest rękoiemą dobrych stosunków z bolszewicką Rosją. A przecież wiadomo, że na niczym nam tak bardzo nie zależy, jak na dobrosąsiedzkich i poprawnych stosunkach z waszym krajem. Nam nie potrzeba nowych wojen.

– I w tym się całkowicie zgadzamy. – Ucieszył się Dąbrowski. – Mamy więc wspólne cele i wspólnego wroga, który, jak nam donoszą nasi ludzie w Warszawie, może na dniach przyjechać do Poznania.

– Dlatego potrzebna nam jest wiedza o tym, kiedy nastąpi ta wizyta i jaki będzie jej program.

– Trzymają to w wielkiej tajemnicy, ale my mamy swoje sposoby.

– Musimy być zatem w stałym kontakcie i reagować na bieżąco. Mój człowiek jest gotowy do działania. Uderzymy mocno i zdecydowanie. Wy tylko musicie zrobić wszystko, by tego człowieka można było postawić jak najbliżej Piłsudskiego.

– To nie będzie trudne. Jednym z punktów wizyty ma być koncert w auli uniwersyteckiej. Zresztą oficjalną notę z zaproszeniem Piłsudskiego do Poznania ma wysłać rektor naszej uczelni. W tej sytuacji nie widzę najmniejszego problemu, żeby można było waszego człowieka wprowadzić do auli. Nie wiem tylko, jak go wyprowadzić.

– O to się proszę nie martwić.

– Jak to? A jak jego przy tym złapią?

– Niech go łapią, choć raczej bym się skłaniał ku temu, że po zastrzeleniu naczelnika jego ludzie rozsieją zamachowca na strzępy. Jeśli nie, to ja będę blisko przy nim i jako oburzony obywatel zastrzelę drania. Policja znajdzie przy nim niemieckie dokumenty i autentyczny niemiecki paszport. Wszystko więc pójdzie na konto Niemców, a wy, o ile wiem, nie przepadacie za Niemcami, więc nie powinno to dla was być jakimś problemem. Najważniejsze, że nikt tego zamachu nie powiąże ani z nami, ani z wami...

Przerażony tym, co usłyszał, Maliszewski przez chwilę stał jak zamurowany. Czuł, jak pot ścieka mu po karku i plecach, jednak wcale się tym nie przejmował. Był tak wystraszony, że kompletnie się pogubił. Wiedział tylko, że musi stąd uciekać jak najszybciej, bo gdyby ci dwaj tam za drzwiami dowiedzieli się, że on słyszał cokolwiek z tej rozmowy, już byłoby po nim.

Gdy pierwszy szok minął, zaczął ostrożnie, najciszej jak się dało, wycofywać się w kierunku drzwi od gabinetu prowadzących na korytarz, modląc się cały

czas, żeby nie wydały z siebie żadnego dźwięku podczas otwierania. Ostrożnie nacisnęła klamkę, a ta jęknęła cicho, podczas gdy jemu zdawało się, że jęczy jak Piekarski na mękach. Szczęśliwie nie zaskrzyphiały zawiasy. Wyszedł na korytarz i zaraz ruszył na prawo, żeby tylko nie przechodzić koło tych drugich drzwi prowadzących do saloniku, w którym jego partyjny przełożony knuł spisek przeciwko głowie państwa. Niezależnie od tego, co Maliszewski sądził o Piłsudskim, a musiał przyznać, że nie przepadał za tym litewskim niedźwiedziem, to jednak był to wódz naczelny z czasów wojny i obecny naczelnik kraju, a planowanie zamachu na kogoś takiego nie mieściło się w systemie wartości fotografa.

Najszybciej, jak potrafił, zbiegł schodami na dół, a potem, przemierzywszy wielkie foyer, ozdobne w żółtobrązowe marmury, wyszedł na zewnątrz. Chłodny powiew wiatru otrzeźwił go na tyle, że zaczął jeszcze raz analizować całą sytuację. Zamach na Piłsudskiego tu w Poznaniu, zorganizowany wspólnie przez bolszewików i polskich narodowców, to było coś nieprawdopodobnego. A mimo całego tego starannego planowania, jeśli coś by nie wyszło, to ruch narodowy pozostanie pogrzebany na wieki. A co z Obozem Wielkiej Polski? Przecież ludzie Piłsudskiego zaraz zrobią z nich wszystkich zamachowców i morderców. Nie można do tego dopuścić i zniszczyć dobrego imienia Polaków katolików!

Otworzył wielkie, masywne drzwi, by wrócić do holu. Po chwili biegł schodami ponownie na trzecie piętro, tam gdzie mieścił się gabinet Dąbrowskiego. Nie zamierzał jednak iść do tego pokoju. Co to, to nie. Plan, który zaczął mgliście tworzyć mu się w głowie, opierał się na bardzo prostym pomysle. Najpierw niech stamtąd wyjdzie ten facet, a potem się zobaczy, co i jak.

Wszedł do ubikacji i stanął za lekko uchylonymi drzwiami. Mógł w ten sposób obserwować niemal cały korytarz, ale przede wszystkim drzwi do gabinetu Dąbrowskiego. Nie minął nawet kwadrans, gdy otworzyły się i ze środka wyszedł jakiś niepozorny człowiek o okrągłej twarzy pozbawionej zarostu, przyozdobionej za to okularami w rogowej oprawce. Mężczyzna, krocząc drobnym kroczkiem przez korytarz, zakładał starannie szalik, a potem włożył na głowę czapkę z daszkiem. Minął drzwi od ubikacji, nawet nie spojrzawszy w ich kierunku. Po chwili stukot obcasów o drewniane schody wskazał jasno, że bolszewik jest już spory kawałek od niego. Poczekał jeszcze chwilę i w końcu ruszył szybko. Nie słyszał już kroków mężczyzny, a to oznaczało, że gość jest na rozłożystych marmurowych schodach poniżej, które wyłożono dywanowym chodnikiem. Szedł za nim, trzymając ostrożny dystans.

Po chwili śledzony i śledzący byli już na placu przed budynkiem uniwersytetu. Bolszewik kierował się w stronę ulicy Święty Marcin. Maliszewski podążał cały czas jego śladem, zastanawiając się, co właściwie chce w ten sposób osiągnąć. Nie miał pojęcia. Widział jednak, że robi to, co powinien był robić. Człowiek w czapce z daszkiem szedł szybkim krokiem, nie obejrzawszy się ani razu za siebie. Widać było, że nie wyczuwa żadnego niebezpieczeństwa. Mijał przechodniów, kilka razy zatrzymał się przy witrynach sklepowych,

z zaciekawieniem oglądając wystawione tam produkty, na co Maliszewski reagował natychmiast, zatrzymując się i udając, że i jego zainteresowały wystawy.

W końcu przemierzili całą ulicę. Na placu Świętokrzyskim mężczyzna zatrzymał się przy budce z gazetami i papierosami stojącej obok neogotyckiej bryły szaletu miejskiego. Maliszewski podszedł bliżej i zaczął przeglądać pisma wyłożone na zewnętrznej półce kiosku. Tamten kupił paczkę papierosów Tosca bez ustnika i „Kurier Poznański”. Gdy od strony Starego Rynku nadjechał tramwaj jadący przez Półwiejską w kierunku Wildy, wsiadł do niego. Maliszewski odczekał do momentu, aż motorniczy dał dzwonkiem znak do odjazdu i wskoczył do środka w chwili, gdy koła pojazdu zaczęły się już wolno toczyć. Postanowił, że będzie śledził tego faceta aż do samego końca, to znaczy, aż ten doprowadzi go do jakiegoś konkretnego miejsca. Tym bardziej że mężczyzna był najwyraźniej kompletnym ignorantem, bo śledziło się go nadzwyczaj łatwo. Maliszewski musiał w duchu przyznać, że to w zasadzie wcale nie trudne, a jednocześnie ciekawe i dość ekscytujące zajęcie.

Godzina 1.15 po południu

– A ty jak się nazywasz? – Fischer zapytał piegowatego, może szesnastoletniego rudzielca, który stał na klatce schodowej i z zaciekawieniem spoglądał do środka mieszkania.

– Zenuś – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– A na nazwisko to jak masz?

– Brodziak, znaczy się Zenuś Brodziak. Ja tam od podwórka mieszkam, znaczy się w oficynie. A ją to nożem czy z pistoletu załatwił? – Chłopak wskazał drzwi do mieszkania Heleny Mikulanki, która leżała bez życia na podłodze w kuchni. Gdy wraz z przodownikiem Okoniem przyjechali na miejsce pod adres na Szewskiej, który podał im ten zraniony nożem Walczak, w bramie już kotłował się tłum ciekawskich chłopaków z całej okolicy. Był też policjant w mundurze, postawny mężczyzna z wielkim, bulwiastym nosem i czarnymi jak smoła, wypomadowanymi wąsami. Policjant jak lew bronił dostępu na schody chłopakom, którzy kręcili się w bramie jak żywe srebro. Widać było już na pierwszy rzut oka, że przegrywa swoją walkę. Dostrzegłszy przodownika w mundurze i nieumundurowanego mężczyznę obok, natychmiast wyczuł, że ma do czynienia z kimś ważnym.

– Posterunkowy Kończak melduje się na rozkaz. – Staął na baczność i zaszalutował do daszka czapki. Ten moment nieuwagi wykorzystał szczupły blondynek, który prześlizgnął się obok poręczy i pognął schodami na górę. Policjant nie wytrzymał i krzyknął za uciekinierem.

– Giry ci z dupy powyrywam, ty szczone chłelerny! – Zaraz jednak zorientował się że przed oficerem krzyczeć nie wypada, więc znów stanął na baczność.

– Co się tu dzieje, do cholery? – warknął Okoń.

– Melduję, że mamy nieżywą kobitę w mieszkaniu, a te szczony się naprzykrzają, bo se chcą szpycnąć na truposzkę.

– Meldujcie nie mnie, ale komisarzowi Fischerowi – upomniał go Okoń, więc policjant z jeszcze większym szacunkiem spojrzął na tego dobrze ubranego, postawnego mężczyznę w płaszczu z kołnierzem karakułowym i w kapeluszu z fantazyjnie podwiniętym do góry rondem, przypominającym te z filmów o kowbojach, tylko znacznie bardziej eleganckim.

– Melduję, panie komisarzu, że w mieszkaniu na górze leży kobita i nie żyje.

– Co jej się stało?

Posterunkowy wyruszył bezradnie ramionami.

– A bo ja wiem, panie komisarzu. Nieżywa jest, to nie żyje, bo umarła.

– Zabili ją! – zawołał jakiś chłopak z grupki tych stojących cały czas w bramie, którzy naraz stracili chęć do wciskania się na schody, dochodząc zapewne do przekonania, że warto przyjrzeć się tym nowym policjantom.

– Kto ją zabił? – Fischer odwrócił się do chłopaków.

– Jak kto? Bandyty – stwierdził chłopak w zbyt obszernym kapeluszu.

– A widzieliście tych bandytów? – pytał dalej komisarz.

Wszyscy jak na komendę pokręcili głowami. Nawet jak który co widział, to i tak za nic nie przyznałby przed innymi, że pomoże policjantom. Tu na Starym Mieście wiara z policją nie współpracowała. No chyba że w zaciszu policyjnych pokoi przesłuchań i nie przy świadkach.

– Jak nic nie wiedzą, to, Okoń, wyrzucie mi całe to towarzystwo na ulicę. A potem przychodźcie na górę.

– Tak jest! Dawaj pałkę! – Przodownik krzyknął do posterunkowego. Wystarczyło jednak, że ten zaczął odczepiać pałkę od swojej torby raportowej, by brama opróżniła się samoistnie. Widać łobuziaki wyczuły, że z tym nowo przybyłym policjantem żartów nie będzie i dupy mogą za chwilę być sine.

Na schodach śmierdziało kiszoną kapustą i gotowanymi kartoflami. Nic dziwnego, przecież to była pora obiadu. Fischer pomyślał, że czas już najwyższy na jedzenie. Trzeba się więc szybko z tą sprawą uporać i iść do restauracji. Na razie jednak, żeby odwrócić uwagę od buzujących soków żołądkowych, wyciągnął kapciuch z tytoniem, szybko nabił fajkę i podpaliwszy ją, wspiał się na drugie piętro. Nie musiał szukać mieszkania. W otwartych drzwiach na prawo od schodów stał kolejny policjant. Pół piętra wyżej na stopniach schodów siedziało natomiast dwóch chłopaków, ten blondyn, który przebiegł pod ramieniem policjanta na dole, i jeszcze jeden, rudzielec o beczelnym wyrazie twarzy, mówiącym, że jakby co, to policjant może go pocałować, gdzie tylko sobie zażyczy.

– Jestem komisarz Fischer – przedstawił się posterunkowemu, który natychmiast wyprężył się jak struna.

– Wróbel, posterunkowy, melduje się na rozkaz.

– A, znam was, Wróbel – przypomniał sobie Fischer. – Kto was wezwał tutaj? – zapytał komisarz.

– A ten tu, rudy szczyl.

– On znalazł zwłoki?
– Powiadał, że to on.
– No to nie pozwólcie mu nawiać, bo muszę sobie z nim pogadać.
– Nigdzie nie ucieknie, panie komisarzu. Wlazł na górę i tam siedzi, ale jakby chciał dać dyla, to tylko tędy. – Wskazał podest piętra obok drzwi do mieszkania. – Jak go dorwę, to mu ucho nakręcę i...
– Za mocno mu nie kręćcie. – Fischer spojrział na wielkie łapska Wróbla, które mogły pochwycić ucho gówniarza jak prawdziwe imadło.
– Nie trzeba nic robić. Ja nigdzie nie uciekam – odezwał się tuż za plecami komisarza. Fischer odwrócił się. Rudzielec stał na schodach jakiś metr od niego. – Jak pan komisarz chce pogadać, to czemu nie. Ja tu będę se czekał. – Pokazał na stopień, na którym stał, i zaraz usiadł na nim, potwierdzając swoje intencje.
Fischer z uznaniem pokręcił głową i sprawdził od razu, czy ma w kieszeni jakieś drobne, bo w co jak w co, ale w bezinteresowne intencje łobuziaka za nic nie wierzył.
– Czekaj tu, aż wrócę – rzucił za siebie i ruszył w głąb mieszkania. Na prawo od niewielkiego korytarzyka była kuchnia. Po lewej otwarte szeroko drzwi wpuszczające światło musiały prowadzić do pokoju dziennego, którego okna wychodziły na ulicę Szewską. Komisarz wkroczył do kuchni, w której miast jedzeniem śmierdziało moczem. Natychmiast zatrzymał się zdumiony. Pod oknem na podłodze leżały zwłoki kobiety. Nad nimi pochylał się mężczyzna w policyjnym mundurze. Jeszcze nie dostrzegł jego twarzy, a już wiedział, kto to jest.
– No proszę, jak szanowny pan aspirant Oskierko przykłada się do roboty. Gratuluję, jest pan na miejscu wcześniej niż ja. Choć wcale nie wiem, czy to właściwe miejsce.
Młody policjant natychmiast poderwał się na równe nogi.
– Melduję posłusznie, że ruszyłem tu zaraz, jak otrzymałem informację, że pan komisarz mnie wzywa do tego domu. A tak się szczęśliwie złożyło, że wezwanie do trupa dostali też policjanci z patrolu komisariatu na Garbarach, więc zabrałem się z nimi dorożką, żeby było szybciej.
– Dryndą, panie Oskierko, dryndą.
– Tak jest, dryndą. A tak w ogóle, to dlaczego pan komisarz powiada, że nie wiadomo, czy to właściwe miejsce? Przecie wszystko się zgadza, i adres, i trup.
– Niby tak, adres w porządku, ale do trupa to ja pana nie wołałem.
– A do czego?
– Nie mam pojęcia – stwierdził Fischer i minąwszy aspiranta, podszedł do ciała i uklęknął na podłodze, na której widać było jeszcze zasychającą plamę moczu.
Kobieta miała około dwudziestu pięciu lat. Nie była najpiękniejsza, choć miała regularne rysy. Przekonał się o tym, zsuwając jej czarne włosy pokrywające twarz i szyję. Natychmiast dostrzegł krwawe wybroczyny.
– Coś pan ustalił? – rzucił, nie spuszczając wzroku z szyi zamordowanej.

– Dopiero co wszedłem tutaj, ale z tego, co zdołałem zauważyć, panie komisarzu, to nie ma tu podłoża erotycznego.

– A po czym pan to wnioskuje?

– Ma na nogach grube pończochy i majtki, a to znaczy, że nikt się do niej nie dobierał.

– Słuszne spostrzeżenie, panie Oskierko. A przyczyna śmierci według pana?

– Nie widać krwi, a więc ani postrzał, ani nóż, za to pod włosami na szyi widziałem jakieś plamy. Jednak nie chciałem ruszać niczego przed przyjazdem pana komisarza.

– O! – zdziwił się Fischer, który poczuł się zaskoczony. – Zdaje się, że jeszcze będą z pana ludzie, panie Oskierko. Ma pan rację. Są odciski na szyi, wygląda więc to na uduszenie... Niech pan włączy światło!

Aspirant szybko podszedł do drzwi i przekręcił włącznik. Żarówka pod sufitem rozbłysła. Światło nie było zbyt mocne, jednak na tyle jasne, by Fischer mógł przyjrzeć się dokładnie temu, co go zainteresowało. Najpierw uderzyła go jasna skóra na jej dłoniach. Znał takie ręce. Kobieta zawodowo zajmowała się albo praniem albo była pielęgniarką pracującą jako pomoc chirurgiczna, która myje ręce kilkanaście razy dziennie. Uniósł prawą dłoń kobiety, a potem za pomocą wydobytego z kieszeni szkła powiększającego zaczął uważnie przyglądać się opuszkom jej palców i paznokciom.

– Chodź pan tu bliżej, panie Oskierko.

Policjant natychmiast wykonał polecenie swojego szefa i schylił się na tyle, by móc uważnie przyjrzeć się wyciągniętej w górę ręce nieboszczki.

– Co pan widzisz?

– Zaczerwienienie jakieś pod paznokciami.

– To skóra zdrapana z pyska tego, co ją zabił – wyjaśnił Fischer. – To znaczy, panie aspirancie, że wszyscy policjanci w Poznaniu szukają faceta, który ma podrapaną mordę. A pan niech przeszuka dokładnie to mieszkanie, bo ja muszę porozmawiać z jednym gościem.

Wyszedł na klatkę schodową. Rudzielec siedział tam, gdzie go zostawił. Gdy Zenuś Brodziak już mu się przedstawił, Fischer spojrzał na niego, marszcząc brwi, a potem pogroził mu palcem.

– Tylko żebyś mi tu nie kręcił.

– A co mam kręcić. Jak człowiek chce coś zarobić, to musi gadać po prawdzie.

– Bystrzacha z ciebie. – Fischer uśmiechnął się, zadowolony z faktu, że dobrze go ocenił już na pierwszy rzut oka.

– Ktoś z nią mieszkał?

– Taki jeden dochodzący. Długie włosy, ze trzydzieści pięć lat, długi szynel, czarny i taki melonik trochę pozaginany, jakby go kto pod głowę na noc kładł.

– A jak się nazywał?

– Diabli jego wiedzą. Ona powiadała, że to jej narzeczony i że ślub wezną, ale on nie wyglądał na takiego do ślubu.

– A na co wyglądał?

– Na łachudrę, panie komisarzu.

– A po co żeś ty tam włąził do tego mieszkania?
Zenuś podrapał się po rudej czuprynie.

– Jakem włąził dziś rano tu po schodach, tom zobaczył, że drzwi się nie domkły, tom zapukał, żeby powiedzieć, że niezakluczone. Bo to, wie pan, na złodzieja to trzeba cholernie uważać.

– No i co dalej?

– Nikt nic nie wołał ze środka, to weszłem, a ona leżała. Sprawdziłem, że zimna, no to poleciałem zaraz na komisariat, że mamy tu trupa. No i tyle.

W drzwiach pojawił się aspirant Oskierko.

– Niczego nie znalazłem, panie komisarzu. Nie ma tu nic ciekawego – zameldowałem, a Zenuś aż zadrżał na jego widok. Natychmiast spuścił wzrok w dół i wbił spojrzenie w swoje schodzone trzewiki.

– No dobra, to ja jeszcze sam rzucę okiem, panie Oskierko, a pan niech leci do dyrekcji, żeby rozpisać list gończy za sprawcą.

– Jak to list? Przecież nie mamy jego fotografii.

– Ten chłopak panu powie, jak on wyglądał. No, Zenuś, powiedz panu aspirantowi to, co żeś mnie o nim powiadał.

– Dycha! – rzucił chłopak.

– Co?

– Dziesiątaka i dostaniecie panowie jego fotografię.

Fischer spojrzał zdumiony to na Zenusia, to na Oskierkę.

– Może mu pasem złoić dupę, panie komisarzu – zaoferował się posterunkowy Wróbel. Fischer powstrzymał go ręką.

– Masz zdjęcie? – zapytał, biorąc się pod boki.

– Mam.

– Rąbnałeś z mieszkania?

– Znalazłem.

– A niechże cię jasny gwint! Dobra, masz dziesiątkę i dawaj fotografię.

Zenuś odebrał z ręki dwie pięciozłotowe monety i szybko schował je do kieszeni spodni. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wydobył kartonik ze zdjęciem. Fischer natychmiast rozpoznał na nim zabitą kobietę. Stała ubrana odświętnie w białą suknię i biały kapelusz na tle przedstawiającym jakiś rajski ogród. Obok niej przeżył się mężczyzna w ciemnym garniturze i jasnej kamizelce. Włosy miał rzeczywiście zbyt długie, jakby nieco zaniedbane.

Fischer przez chwilę wpatrywał się w twarz na fotografii, a potem przywołał do siebie posterunkowego Wróbla.

– Znacie tego tutaj?

Policjant wziął do ręki fotografię. Fischer natychmiast zauważył, że dłonie policjanta drży. Widać musi niezłe żłopać piwsko albo gorzołę, albo jedno i drugie, pomyślał komisarz. Wróbel tymczasem oddał mu zdjęcie.

– Pierwszy raz go widzę, panie komisarzu.

– No trudno, panie Oskierko, bierz pan zdjęcie i niech pan spisz wszystko, co ten młodzieniec mówił o tym człowieku, znaczy się wzrost, jak się nosił...

Spojrzał w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stał Zenuś, ale po

chłopaku nie było już śladu. Wykorzystał chwilę, kiedy wszyscy zainteresowani byli zdjęciem przestępcy, i zniknął jak kamfora. Niezwykle cenna umiejętność w złodziejskim fachu, pomyślał Fischer i zostawiwszy na korytarzu dwóch mundurowych, wrócił do mieszkania, żeby jeszcze raz obejrzeć je dokładnie. Zawsze bowiem istniała taka możliwość, że Oskierko coś przegapił, a Fischer był pod tym względem niezwykle skrupulatny. Przynajmniej tak mu się zdawało.

Rozdział VII

Godzina 1.20 po południu

Zielony tramwaj zwolnił nieco, wjeżdżając z Wildy na Rynek Wildecki, który jak zwykle o tej porze był bardzo zatłoczony. Szybka jazda mogła się skończyć zderzeniem z jakimś konnym wozem albo automobilem. Do tego jeszcze wszędzie uwijali się przechodnie, którzy przecinali ulicę prowadzącą do rynku w każdym z możliwych miejsc. Motorniczy musiał więc mieć oczy dookoła głowy i szczególnie uważać, wjeżdżając na ten obszerny targowy plac, bo ludzie schodzili z torowiska dopiero w chwili, gdy rozlegał się głośny dźwięk tramwajowego dzwonka.

Maliszewski, który siedział w środkowej części wagonu, cały czas pilnie obserwował mężczyznę, za którym szedł od uniwersytetu. Ten siedział kilka miejsc przed nim i najspokojniej w świecie czytał gazetę. Naraz, gdy tramwaj zbliżał się do przystanku, obiekt jego obserwacji złożył gazetę na czworo, wcisnął ją do kieszeni płaszcza i wstał. Fotograf również podniósł się ze swojego krzeselka. Po chwili obaj wyszli na chodnik wraz z całym potokiem ludzi, którzy wylali się z tramwaju i natychmiast wpłynęli między targowe stragany.

Facet w czapce zapalił papierosa i nieśpiesznym krokiem ruszył w kierunku budynku z czerwonej cegły, wzmacnianej poczerniałymi ze starości drewnianymi belkami. Maliszewski niby to studiował zawieszony na słupie przystanku rozkład jazdy, jednak cały czas zerkał na mężczyznę. Gdy ten zniknął za węglem, natychmiast ruszył za nim. Przy narożnikowej kapliczce przystanął na moment i ostrożnie wyjrzał. Nigdy nie był w tym miejscu Poznania, więc nie miał nawet pojęcia, jaka to ulica. Zauważył, że okolica nie jest zbyt ciekawa. Po prawej stronie rząd niezbyt wysokich, bo trzy- lub czteropiętrowych czynszówek. Po lewej parterowe składy i bramy prowadzące na place, na których można było się zaopatrzyć w węgiel, drewno albo materiały budowlane.

Mężczyzna, którego śledził, szedł właśnie tą składową stroną ulicy. Fotograf poczekał jeszcze chwilę, a potem mocniej wcisnąwszy na głowę kapelusz i postawiwszy na sztorc kołnierz płaszcza, ruszył swoją stroną drogi. Po chwili dostrzegł, że ten w czapce zatrzymuje się przed witryną ostatniej i jedynej z tej strony kamienicy. Przez chwilę stał tak, grzebiąc w kieszeni. Zaraz jednak wydobył z niej pęk kluczy, otworzył nimi drzwi i po chwili zniknął w środku.

Maliszewski stał po drugiej stronie, nie wiedząc, co ma teraz zrobić. Dotarł za

mężczyzną do jakiegoś sklepu i w zasadzie powinien się wycofać. Wiedział już, gdzie ten bolszewik mieszka czy może pracuje, i to powinno mu wystarczyć. Mając taką wiedzę, mógł z niej zrobić ważny użytek. Tylko jaki? Czy powiedzieć o tym Dąbrowskiemu i przyznać, że wszystko słyszał? Mógłby doktorowi zagrozić, że wie o wszystkim i to wykorzysta, no chyba że doktor sprawi podczas zbliżającego się zjazdu nowej partii, że on w nowych strukturach zajmie jakieś poważne, liczące się miejsce. Zawsze przecież o czymś takim marzył. Chciał należeć do władz ruchu narodowego, ale z jakichś powodów nigdy nie dano mu takiej szansy. No, ale gdyby ten Dąbrowski się dowiedział, że z nim, Maliszewskim, nie wolno w ten sposób postępować i należy go traktować poważnie, bo on przecież jest poważnym człowiekiem, stworzonym do partyjnej roboty... No, ale z drugiej strony ten Fischer, który mu groził więzieniem. Obiecał mu przecież, że będzie go o wszystkim informował. A ta sprawa, o której się dowiedział, była na tyle poważna, że policja powinna o tym wiedzieć, żeby zapobiec zbrodni. Więc jeśli powie Fischerowi, to Dąbrowski zostanie niechybnie aresztowany, a on mógłby zająć jego miejsce. W końcu we wszystkie sprawy organizacyjne jest wtajemniczony, a do tego jeszcze zna treść memoriału...

Jest jeszcze trochę czasu, żeby podjąć decyzję, a teraz, pomyślał Maliszewski, trzeba jeszcze rzucić okiem na tę kamienicę naprzeciwko i dowiedzieć się, co to za sklep, w którym zniknął ten facet. Z bezpiecznej odległości oczywiście. Nawet nie przejdzie na drugą stronę ulicy. Przespaceruje sobie jak gdyby nigdy nic, popatrzy na witrynę i na narożniku skręci w prawo. Rozejrzał się. Nie dostrzegł niczego interesującego. Jakies dwadzieścia metrów przed nim trójka dzieciaków toczyła fajerkę po chodniku, hałasując przy tym niemiłosiernie. Za nim w odległości mnie więcej stu metrów przed bramą do jednej z kamienic stał jakiś niepozorny facet. Zapewne jakiś pijany obwieś, który zastanawiał się, czy ma wrócić do domu, czy może jeszcze wpaść gdzie na jednego.

Ruszył przed siebie nonszalanckim krokiem obojętnego spacerowicza, który nie zwraca większej uwagi na okolicę, pogrążony we własnych myślach. Przechodząc koło witryny, tylko przez moment rzucił na nią okiem. Dostrzegł szyld informujący, że tu właśnie znajduje się: „Zakład zegarmistrzowski – naprawa zegarków i zegarów”. A że wzrok miał całkiem dobry, udało mu się też odczytać nazwisko zegarmistrza napisane mniejszymi literami: „Latała Tomasz”.

– Więc pan bolszewik nazywa się Latała – powiedział sam do siebie. Naraz dostrzegł na półce za wystawową szybą sporych rozmiarów stojący zegar kominkowy. I wtedy, nie zastanawiając się wiele, pchnięty do działania jakimś niewytłumaczalnym impulsem, przeszedł na drugą stronę ulicy i stanął przed tym zegarem. Szybko rozpiął palto i z kieszeni kamizelki wyciągnął swój srebrny zegarek na łańcuszku. Otworzył kopertę, spojrzął na cyferblat, a potem na zegar stojący za szybą. Jego zegarek spóźniał się w stosunku do tego w zakładzie o całą minutę. Zrobił więc to, co ludzie przechodzący koło zegarmistrza zazwyczaj robią – ustawiają swoje zegarki, bo wiadomo, że w takich miejscach czas jest zawsze najbardziej akuratywny.

– A jeśli to zegar w zakładzie się spóźnia albo śpieszy? – odezwał się ktoś za jego plecami.

– Coś pan z byka spadł? U zegarmistrza czas zawsze jest... – Naraz odwrócił się szybko, bo dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że z kimś rozmawia. Przed nim stał ten sam człowiek, którego widział wcześniej, kawałek stąd pod bramą kamienicy, i którego wziął za jakiegoś pijaka. Jednak ten człowiek nie wyglądał na podpitego. Nie czuć było od niego alkoholu, za to w jego oczach widać było pewność i zdecydowanie. Maliszewski zwrócił jednak uwagę przede wszystkim na podrapaną lewą stronę twarzy mężczyzny. Jakaś baba chciała mu ślepią wydrapać, pomyślał z satysfakcją. Nie nacieszył się jednak długo tym odkryciem.

– A teraz odwrócisz się spokojnie i bez rozrabiania i grzecznie wejdiesz do zakładu zegarmistrza – powiedział kategorycznie mężczyzna, uśmiechając się lekko.

– Co ty gadasz?

– To, co słyszysz, koleś, wchodź, bo inaczej za chwilę będziesz miał dodatkową dziurę do srania w samym środku brzucha.

Maliszewski poczuł, jak coś wciska mu się w pępek. Spojrzał w dół i natychmiast cała krew odpłynęła mu do nóg, a po karku i plecach spłynęły stróżki potu. Nigdy nie był w wojsku i mało miał do czynienia z bronią, jednak to, co trzymał w dłoni ten facet, wyglądało na tyle groźnie, że fotograf wolał nie ryzykować. Jak prowadzony na ścięcie odwrócił się i popychany lekko przez napastnika otworzył drzwi prowadzące do środka.

Wewnątrz za ladą stał ten sam człowiek, za którym Maliszewski doszedł aż tutaj. Co ciekawe, uśmiechał się szeroko, jakby zobaczył co najmniej Rockefellera, który zamierza kupić cały jego sklep za podwójną cenę. Teraz ubrany był w sklepowy kitel czarnego koloru, z czarnymi zarękawkami do przytrzymywania mankietów, które mogłyby przeszkadzać w zegarmistrzowskiej pracy. Nie miał jednak w oku lupy powiększającej, niezbędnej przy precyzyjnej robocie, i to zdziwiło Maliszewskiego, który swojego zegarmistrza z ulicy Ratajczaka zawsze widywał z takim przyrządem w oku. Wyobraźnia podpowiadała mu więc, że każdy powinien wyglądać tak samo jak ten jego znajomy, zegarmistrz Bednarkiewicz.

– No proszę, a kogo my tu mamy? – zapytał radosnym tonem zegarmistrz Latała.

– Ciągnął się za wami aż od uniwersytetu – wyjaśnił ten z podrapaną gębą.

– A jakże, widziałem szanownego pana. Śledził mnie jak wytrawny agent Pinkertona. Kilka razy zatrzymałem się przed witrynami sklepowymi a on też zawsze przystawał i udawał, że coś tam ogląda. Zresztą zauważyłem go już na klatce schodowej na uniwersytecie.

– Nie wiem, o czym panowie mówicie, bo chyba nie o mnie – zaprotestował dość niemrawo Maliszewski. Wiedział bowiem, że jest na przegranej pozycji. Od razu musieli go namierzyć i śledzony zegarmistrz, i ten drugi, który widać szedł za nim. Ale skąd on mógł wiedzieć, że ten bolszewik będzie miał jakąś obstawę?

W ogóle to niepotrzebnie się pchał w tę całą hecę. Trzeba teraz tylko inteligentnie wszystkiemu zaprzeczać, bo gotowi jeszcze przez przypadek go zastrzelić. – Ja w ogóle nic nie wiem, o czym panowie tu mówicie. Ja jestem szanowany fotograf i całkowicie nie wiem, w czym rzecz.

– To gdzie masz pan swój aparat fotograficzny, jak żeś pan fotograf? – zażartował sobie ten z pistoletem w dłoni.

– Aparaty, drogi panie, to ja mam w swoim atelier na placu Wolności! – Miejsce, w którym mieściło się jego studio, wyakcentował szczególnie, żeby podkreślić, że mają do czynienia z nie byle kim. W końcu niewielu artystów stać było na taką lokalizację. Jego też nie było, ale że właścicielem kamienicy, w której podwórku znajdował się pusty, przestronny lokal, był zwolennik idei narodowych poszukujący najemcy o jedynie słusznych polsko-katolickich poglądach, więc obu stronom szybko udało się dojść do porozumienia i już od dwóch lat zakład Maliszewskiego mieścił się w tak prestiżowym miejscu.

– Zamknij drzwi – polecił zegarmistrz, na którym najwyraźniej ta lokalizacja nie zrobiła żadnego wrażenia. Facet z pistoletem wsunął go za pasek spodni, odwrócił się i przekręciwszy klucz w drzwiach, odwrócił zaraz kartkę z informacją, że zakład jest nieczynny. – A wielmożnego pana zapraszam na zaplecze. – Wskazał na drzwi przesłonięte ciemną kotarą.

– Ależ panowie! To jakaś horrendalna pomyłka!

– Nie pierdol, gnoju! – warknął mu do ucha uzbrojony bandyta.

– Ja protestuję! Ja jestem poważanym obywatelem! – próbował jeszcze walczyć Maliszewski, ale czuł, że sprawa jest beznadziejna. Na pewno go tam za kotarą obją i jeszcze zabiorą mu portfel. Na szczęście nie miał przy sobie dziś zbyt dużo gotówki. Ot, dziesięć złotych na wszelki wypadek, jakby mu się nagle zachciało jeść albo pić. Niech sobie biorą tego dziesiątaka, byleby butów nie zabrali, bo trzewiki miał prawie nowe, kupione zaledwie przed rokiem. Sztyblety z brązowej skóry prezentowały się bardzo godnie, szczególnie, gdy je dobrze wypastować. Na szczęście dziś rano w ogóle nie pomyślał o pastowaniu, tak że były ubłocone po tej przechadzce przez miasto. A że powietrze było przesycone wilgocią i na ulicach sporo kałuż...

– Właż, świnió! – Facet pchnął go w plecy, a Maliszewski poczuł, że nie ma co więcej protestować, bo pchnięcie najwyraźniej zadane było pistoletową lufą. Wolał nie ryzykować, bo słyszał już nieraz o pistoletach, które od czasu do czasu samoczynnie wypalają.

Weszli do niewielkiego pomieszczenia, które pełniło rolę magazynowo-warsztatową. Po lewej stronie stała szafa bez drzwi z półkami, na których ustawiono drewniane skrzyneczki różnych rozmiarów. Gospodarz przechowywał w nich zapewne części i narzędzia. Na wprost ustawiono szeroki, warsztatowy stół, na którym wałało się sporo różnych szpargałów, w tym sterta starych gazet. Nie było w tym pokoju okna, a słaba żarówka wisząca pod sufitem dawała niezbyt dużo światła. Gospodarz zapalił więc lampkę na statywie, zainstalowaną na stole.

– Siadaj pan! – Wskazał Maliszewskiemu krzesło stojące obok stołu. Fotograf

posłusznie wykonał polecenie. Bolszewik sam zasiadł na taborecie naprzeciwko, a zbir z pistoletem stanął w drzwiach na wypadek, gdyby ich gość spróbował zbyt wcześniej opuścić towarzystwo.

Był przekonany, że będą go bić, łamać palce a może i rękę. Jakież było jego zdziwienie, gdy zegarmistrz wyciągnął spod stołu litrową butelkę mętnej wódki, zatkaną korkiem z gazety. Natychmiast na blacie pojawiły się dwie szklanki z grubego szkła. Mężczyzna nalał wódki do obu i jedną podsunął Maliszewskiemu.

– Jak się pan nazywasz?

– Ma... Ma... Maliszewski.

– No to, panie Mamamaliszewski, wypijemy za spotkanie.

– Że co?

– Jak się Polacy spotykają, to spotkanie opijają, nieprawdaż?

– No, niby tak.

– To pij pan – rzucił przyjaznym tonem, a potem chwycił swoją szklankę i wypił do dna. Zachęcony Maliszewski też wypił, ale tylko niewielki łyk. On raczej mało pijał alkoholu. Piwo owszem, od czasu do czasu grodzisza do obiadu, ale wódkę bardzo rzadko, a właściwie wcale, więc wypicie całej szklanki na raz było dla niego osiągnięciem niemal olimpijskim.

– Oj, nie szanujesz nas, Maliszewski. Pij do dna! – warknął już znacznie mniej przyjaźnie zegarmistrz. I o dziwo, pod wpływem perswazji wypił wszystko. Prawda, mało się nie zakrztusił, ale wypił. I musiał przyznać, że poszło mu całkiem łatwo. Z przerażeniem jednak zauważył, że gospodarz ponownie napełnia szklanki. Wypicie drugiej okazało się jeszcze łatwiejsze, a trzecia weszła już całkiem gładko.

– No, to teraz, Maliszewski, powiesz nam, kto kazał ci mnie śledzić.

– Jak kto? – zdziwił się pijany fotograf. – No przecie wiadomo, że... – Tu zastanowił się chwilę i myśl, która mu przyszła do głowy, wydała mu się tak zabawna, że zaczął się głośno śmiać. – Przecie wiadomo, że śledzić mnie kazał doktor Dąbrowski!

Powiedziawszy to, znów się roześmiał, bo pomyślał sobie, że w ten sposób może sprawić Dąbrowskiemu szczególnego psikusa.

– A dlaczego kazał mnie śledzić? – pytał dalej zegarmistrz Latała.

– Wiadomo przecie, ha, ha, ha. Bo... kazał sprawdzić... czy nie pójdziecie, ha, ha, ha... prosto na policję.

– A powiedział, że niby czemu mam iść na policję? – zapytał zegarmistrz.

– Bo powiedział, żeś pan jest prowokator policyjny, co to chciał unieemo... umo...niemo... liwić przez prowokację nasz wielki zjazd narodowy.

Facet z podrapaną gębą i Latała, właściciel zakładu zegarmistrzowskiego, spojrzeli na siebie i pokiwali głowami. Doskonale rozumieli ostrożność swoich nowych partnerów, nie pojmowali tylko, czemu zabierają się do roboty w tak dyletancki sposób, do śledzenia wysyłając kompletnego idiotę.

Godzina 2.10 po południu

Anastazy Olkiewicz siedział na korytarzu przed gabinetem komisarza Fischera i spokojnie palił sobie papierosa. Spokojnie, bo nie musiał tak jak inni wezwani i oczekujący na rozmowę z policjantem denerwować się, jakie będą jej skutki. Wprawdzie zawsze pogawędka ze śledczym mogła zaprowadzić prosto do celu. On jednak dobrze wiedział, że w jego przypadku będzie zupełnie inaczej. Otóż zawieść może tylko do stabilizacji i szczęścia. Bo szczęście, które jak mu się jeszcze niedawno wydawało, definitywnie odwróciło się od niego, od rana miało rozpromienioną twarz panny Klementyny Bartoszek, a już niedługo Klementyny Olkiewicz.

Och, jakież ze mnie głupiec, analizował Anastazy, że mogłem se pomyśleć, że te kwiaty dostała od kogo innego, a nie ode mnie. Powoli zaczął sobie przypominać wydarzenia tej nocy. Co prawda nie wszystkie i nie po kolei, ale jednak zaczęły mu się układać w jakąś całość. No więc po wyjściu z knajpy poszedł jeszcze na Stary Rynek przewietrzyć łeb i tam natknął się na kwiaciarke sprzedającą róże. I te róże popchnęły go do działania. Poszedł do mieszkania przy Woźnej – znał adres, bo zapisał go sobie w notesie – a gdy został wpuszczony do środka, z galanterią ucałował dłonie matki i córki, a potem oświadczył wybrance swego serca, że jako człowiek poważny nie ma zamiaru tracić czasu na niepotrzebne ceregiele i pragnie stwierdzić, że zamierza się ubiegać o rękę panny, co przywitane zostało głośnym szlochom matki i córki. Na szczęście płacz brał się z radości, a nie z rozpacz, która to radość matka przyszłej panny młodej postanowiła przypiecztować toastem wzniesionym ajerkoniakiem. Przed wzniesieniem go ustalono, że rzeczywiście nie ma co czekać, skoro panna jest już w poważnym wieku trzydziestu lat, a kawaler też jest bliski starokawalerstwa jako trzydziestopięciolatek, dlatego nazajutrz trzeba dawać na zapowiedzi. Umówiono się więc, że następnego dnia rano Klementyna przyjedzie do niego do domu, by poznać przyszłą teściową i szwagierkę, a potem młodzi pójdą do kościoła porozmawiać z księdzem. No i później był ten toast ajerkoniakiem, po którym nieprzyzwyczajony do takich trunków organizm Olkiewicza odmówił posłuszeństwa i pogrążył jego duszę w otchłani niebytu.

Załatwianie spraw w kościele nie zajęło im zbyt dużo czasu. Tym bardziej, że panna Klementyna się śpieszyła. Szła na rozmowę o pracę do jednej pani mieszkającej na Jeźycach. Podobno to dobra oficerska rodzina, która szuka wykwalifikowanej pomocy, tłumaczyła Olkiewiczowi.

– A po diabła będzie Klementyna czyścić cudze brudy, jak za pół roku już będzie panią Olkiewiczową? – zapytał niby to żartem, bo tak naprawdę nie wiedział, co powiedzieć.

– No jak to? Przecie robotę trzeba mieć. Lepiej jest mieć dwie wypłaty, nie jedną!

– Zaraz, zaraz. – Przystanął na ulicy i odwrócił się ku narzeczonej. – To panna Klementyna myśli, że ja na rodzinę nie zarobię?

– Może i pan zarobi, ale na razie to nie widzę, żeby pan Anastazy w mundurze

policjanta chodził, ino w ancugu cywilnym.

– Bo ja, że tak powiem, właśnie dziś się wybieram do komisarza Fischera w sprawie roboty – skłamał na poczekaniu. Wybierał się, ale nie tam. Zamierzał się spotkać z Walczakiem, który był stolarzem u wuja, bo ten miał mu zdać raport o śledzonym przez siebie facecie. Chciał najpierw pochwytać mordercę i z takim efektownym prezentem meldować się na służbę u Fischera. Ale z drugiej strony można przecież było pójść wcześniej i po zameldowaniu się powiedzieć, że wie, kto zabił jego krewnego, a Walczak tego bydlaka na pewno by rozpoznał.

– No to jak dziś, to znaczy, że pan Anastazy już jakby był na służbie, bo wiadomo, że z policji nie da się wylecieć. To znaczy się na rodzinę zarobi. – Wsunęła mu dłoń pod ramię i ruszyli dalej, podążając w kierunku domu dziewczyny. – Ale zawsze mieć lepiej więcej niż mniej.

Pokiwał głową. To było zrozumiałe.

– Pensja policyjna jest całkiem godna. Ja na ten przykład miałem sto sześćdziesiąt złotych, a tu w Poznaniu może być jeszcze ze dwadzieścia więcej.

Spojrzał z ukosa na Klementynę, sprawdzając, jakie wrażenie robi na niej ta kwota, ale jakoś chyba nie zrobiła. Musiała już dawno się dowiedzieć, ile zarabia przodownik, bo inaczej zapewne zrobiłaby wielkie oczy.

– A zakład, co zostawił pański wuja? – zapytała. – Teraz to do pana Anastazego będzie należał.

Skąd ona wiedziała o tym warsztacie? Przecież jej o nim nic nie mówił. Nie żeby nie chciał, ale nie było okazji o tym gadać. No chyba... No tak, wtedy gdy pamięć mu nawaliła, gdy poszedł do niej z tymi kwiatami, mógł coś na ten temat chlapać.

– Takem se myślał, żeby się może zająć interesem po wuju...

– A zna się pan Anastazy na stolarce i trumnach.

– No, tak jakby... Ale się idzie nauczyć.

– To ja powiem, jak co będzie wyglądać. Pan Anastazy pójdzie dziś pogadać o robocie z tym swoim znajomym oficerem. A potem trzeba się będzie rozejrzeć za jakim dobrym stolarzem, co się na trumnach i robocie zna, i jemu zakład puścić w dzierżawę. Taka dzierżawa to może być jakie dwieście złotych na miesiąc bez żadnych kosztów. Do tego te sto osiemdziesiąt, co pan w policji zarobi, a i ja jeszcze na sprzątanu u ludzi z pięćdziesiąt przerobię. To razem będzie... czterysta trzydzieści. – Policzyła znacznie szybciej niż Olkiewicz. Boże, tyle pieniędzy, pomyślał. Co z tym majątkiem robić? Ale o to nie musiał się martwić, bo ona już to wiedziała.

– Na życie to nam wystarczy jakieś sto na miesiąc, a pozostałe pieniądze się odłoży, a jak się już uskłada jakieś dwa tysiące...

– Co? A na co nam tyle składać?

– Żeby piniądz nie leżał w banku, bo czasy niepewne, to trzeba go puścić w obieg.

Olkiewicz zatrzymał się i spojrzał na nią cielęcym wzrokiem. Kompletnie niczego nie rozumiał.

– Dobrego konia się kupi za jakie pięćset złotych, a dorożkę z uprzężą za tysiąc pięćset, no chyba że nową, to trzeba dać jakieś trzy tysiące, ale przechodzona też dobra jak na początek...

– Jaki początek? – jęknął Anastazy.

– Pieniądz musi na siebie zarabiać, więc trzeba kupować coś, co zarobi jeszcze więcej, a na dorożkarstwie zarobek stały i pewny.

– No przecie ja policjant, a nie dorożkarz.

– A kto mówi, że pan Anastazy ma jeździć?

– Panna Klementyna chce być woźnicą?

Pokręciła głową, a później roześmiała się głośno.

– My to będziemy właściciele, a na dorożce będzie jeździł ktoś, kto od nas konia i dryndę podnajmie.

Aż zaniemówił z wrażenia. On nigdy w życiu nie wpadłby na to, że w ogóle można coś takiego wymyślić.

– A skąd panna Klementyna tak wszystko wie o tych koniach i dorożkach? – zapytał jeszcze dla pewności.

– Stryjek, znaczy brachol mojego świętej pamięci tatusia, jest dryndziarz. On mi wszystko o tym interesie powiedział i jeszcze powiadał, że i dobrego, uczciwego dryndziarza polecić może jakby co...

Co za bestia z tej panny Klementyny, cieszył się w duchu Olkiewicz, siedząc na tym korytarzu w dyrekcji policji. Że też jemu się trafiła taka obrotna kobita, co to wszystkim się umie zająć. On by jeszcze przez pół roku się zastanawiał, co począć z tą schedą po wuju, a ona zaraz mu wszystko wytłumaczyła. A najlepsze w tym było to, że nie miał żadnych argumentów, żeby się jej przeciwstawić. Zresztą po co się przeciwstawiać, skoro ona przedstawiła klarowny plan na przyszłość. I teraz, realizując ten plan, siedział na ławce przed biurem Fischera odziany w kompletny, wyprany i odprasowany mundur przodownika policji z kołnierzem zapiętym na ostatni guzik pod szyją, żeby było godnie i służbowo. Miał też na głowie swoją czapkę, żeby było do czego salutować, gdyż co chwilę musiał się podrywać na równe nogi, gdy korytarzem przechodził jakiś oficer. A trzeba przyznać, że ruch na tym drugim piętrze był dość znaczny, więc wstawał z ławki przez pół godziny oczekiwania już chyba ze dwadzieścia razy. Salutował sprężyście jak na placu apelowym, ale żaden z przechodzących nie zwrócił na niego większej uwagi. Ot, zwykły przodownik siedzi i czeka na korytarzu. Normalna rzecz w policyjnym budynku. Gdy wchodził do środka z ulicy, też nikt nim specjalnie się nie zainteresował. Podszedł tylko do kontuaru, za którym siedział dyżurny posterunkowy, zapytał o numer pokoju Fischera, a gdy uzyskał odpowiedź, poszedł na górę nie niepokoiony przez nikogo. Sam mundur był najlepszą przepustką.

Znudzony oczekiwaniem sięgnął do kieszeni po kolejnego papierosa, włożył go do ust i już chciał odpalić, gdy naraz w głębi korytarza zauważył dwie sylwetki. Każdą z nich rozpoznałby od razu. Z lewej szedł szczupły, mierzący jakieś sto siedemdziesiąt centymetrów Okoń, a obok niego nieco wyższy i dobrze

umiężniony komisarz Fischer.

Podoficer coś tłumaczył dowódcy, gestykulując zamasyście długimi rękoma. Fischer szedł pochylony z nieodłączną fajką w ustach. Na ten widok Olkiewicz uśmiechnął się, bo natychmiast przypomniał mu się moment, kiedy pierwszy raz zobaczył tego postawnego oficera, wówczas porucznika piechoty, w niemieckim mundurze. Było to na samym początku powstania w Poznaniu, kiedy to Olkiewicza, Okonia i kilkudziesięciu innych ochotników, którzy zgłosili się do powstańczej komendy, przydzielono pod jego rozkazy i wysłano na dworzec kolejowy. Tam wkrótce okazało się, że na stację ma wjechać wojskowy pociąg ze Schneidemühl, wyładowany po brzegi wojskiem i pełen broni. Nie mieli najmniejszych szans w starciu z nadciągającymi siłami, a gdyby ci, którzy wjeżdżali na stację, dołączyli do Niemców broniących się w Poznaniu, los powstania mógłby się potoczyć zupełnie inaczej.

Fischer kazał rozstawić się swoim żołnierzom wzdłuż peronu z karabinami u nogi. Sam przechadzał się między nimi ze swoją fajką w zębach jak frontowy oficerski wyga tuż przed atakiem.

Gdy pociąg wtoczył się na dworzec, a w oknach pojawiły się zaciekawione twarze zaspanych żołnierzy, Fischer podszedł do najbliższego i zapytał o przełożonego. Ten wskazał mu pierwszy wagon. Poszedł więc tam spokojnym krokiem i po chwili zniknął w środku. Po dziesięciu minutach oczekiwania w napięciu porucznik wyszedł na peron z niemieckim dowódcą transportu. Ten nie wyglądał zbyt radośnie. Polak za to tryskał energią. Zawołał do siebie sześciu podoficerów, tymczasowych dowódców drużyn. To samo zrobił Niemiec. Polscy podoficerowie zaraz rozbiegli się do swoich żołnierzy, a ci na ich komendę oparli swoje karabiny o ścianę dworca. Niemieccy podoficerowie tymczasem zniknęli w swoich wagonach, a zaraz za nimi do pociągu weszli nieuzbrojeni Polacy. Po chwili zaczęli wyłaniać się, wynosząc na ramionach całe naręcze niemieckich karabinów. O dziwo, po chwili dołączyli do nich również Niemcy. Pół godziny później wojska powstańcze wzbogaciły się o pięćset karabinów Mauser i aż dwadzieścia karabinów maszynowych wraz z zapasem amunicji.

Tego dnia Fischer zdobył prawdziwy szacunek i uznanie wśród swoich żołnierzy, z którymi walczył w trakcie całego powstania, a później także podczas wojny bolszewickiej.

Gdy obaj policjanci zbliżyli się, Olkiewicz poderwał się na równe nogi i zasalutował.

– Przodownik Olkiewicz melduje swoje przybycie!

– Olkiewicz, ty stara pierdoło! – wykrzyknął Fischer na jego widok, a potem chwycił go w ramiona i ucałował z dubeltówki. – Gdzieś ty się, do cholery, podziewał? Okoń gadał, że zamiast przyjść się przywitać zajął żeś się własnym śledztwem.

– Ja melduję...

– Zaraz zameldujesz – przerwał mu i pchnął jednocześnie w stronę drzwi. –

Ale najpierw wchodzi do pokoju, ściąga mantel i siada, a potem opowiada, gdzieś się podziewał przez ten czas.

Fischer sam się rozebrał, otworzył szeroko okno, bo w pokoju było gorąco jak w palmiarni, a potem sięgnął do szafki pod biurkiem, wydobywając z niej butelkę martella i trzy szklanki.

– Spotkanie po latach trzeba uczcić – stwierdził i rozlał alkohol. Podoficerowie natychmiast sięgnęli po szkło.

– No to na pohybel bolszewikom! – wznosił toast Fischer.

– I wszystkim innym francom! – odpowiedzieli mu dwaj podoficerowie, po czym zgodnie cała trójka wypija.

– No i gadaj, co tam u ciebie? – Fischer usiadł za biurkiem i zabrał się za odpalanie dawno zgaszonej fajki.

– Ja tu względem, że do roboty w kwestii przeniesienia...

– To już postanowione. Twoje podanie, co przyszło do mnie, już podpisane, a rozkaz przyjęcia będzie, jak się stawisz na służbie.

– Właśnie się stawiam. Ale z wkupnem się stawiam. Bo że tak powiem, jakem nie przychodził tu... jakem przyjechał do Poznania, tom się zaraz zaczął rozglądać za tym, co to zabił mojego wuja Kaczmarkiewicza Alojzego, właściciela zakładu pogrzebowego, co się mieści przy Garbarach.

– Komisarz już wie o sprawie, bom mu zameldował – odezwał się Okoń.

– No to i lepiej. No to chciałem ino powiedzieć, że był u mnie pomocnik, co robił w zakładzie u mojego wuja, ten sam, o którym żeśmy gadali, jak on się nazywa... Zaraz, chyba...

– Walczak – przypomniał mu Okoń.

– No właśnie, Walczak. I ten Walczak mi powiada, że on wie, gdzie mieszka ten, co był u wuja w tę noc, co jego zabili, bo on go zobaczył, jak lał przez Stary Rynek, i tak go wysledził, że wie, gdzie on może mieszkać...

– Woźna dwanaście – stwierdził z uśmiechem Fischer. Olkiewicz spojrzał na niego jak uczeń, który nie może wyjść z podziwu, że nauczyciel zna całą tabliczkę mnożenia na pamięć.

– No dwanaście, znaczy się Woźna...

– Twój Walczak stał pod chatą całą noc i rano poszedł za tym gnojkiem, a ten sprawił go nożem – dorzucił Okoń. – Myślał, że Walczak wyzionął ducha, ale on jeszcze dycha. Rano wezwali mnie ze szpitala, bo chłop miał kartkę od ciebie z moim nazwiskiem i wszystko mi opowiedział. No to żeśmy się tam z panem komisarzem wybrali na miejsce i okazało się, że ten zbir mieszkał z jedną dziewczuchą. Ale ona już nam nic nie powie, bo udusił ją, gad jeden.

– No to trzeba jego szukać!

Fischer uśmiechnął się do Okonia, a potem spojrzał na Olkiewicza. – A co ty se myślisz, że my jesteśmy glapami futrowani? Nie dość, że mamy jego zdjęcie, to jeszcze wiemy, że ma gębę poraszplowaną, bo mu ta nieszczęsna dziewczyna, zanim umarła, pazurami oczy chciała wydrapać.

Komisarz chwycił butelkę i znów nalał koniaku. Wypili jak za dawnych czasów, choć wtedy nikt z nich nie myślał, że kiedyś pić będą ze sobą w tak

luksusowych warunkach i to z rżniętego szkła, a nie z aluminiowych, wojskowych kubków.

Godzina 2.50 po południu

– Przecież tego dobra jest za co najmniej pięć stówek, panie Jabłoński.

– Ja tego wszystkiego nie sprzedam potem za cztery, a pan, panie Tolek, nie opylisz za trzy. Czasy są ciężkie, ludzie biedne jak myszy kościelne, a pan chcesz, żebym ja panu płacił za wazony i widelce, a do tego jeszcze poduchy i kołdry pięćset złotych. A kto, panie Grubiński, dziś kupuje pozłacane świeczniki albo wazony na kwiatki. Ludzie kupują garnki, bo się mogą do gotowania pyrków przydać, a w wazonie nikt jeszcze niczego nie ugotował.

– Dobra, chłopaki, bierzemy towar! – Skinął na Krystka Kaźmierczaka i tego nowego pomocnika, Zenusia Brodziaka, którego powierzył jego opiece Olkiewicz. Po wczorajszym skoku musiał szybko opchnąć fanty, żeby czasami policja nie złapała ich z towarem pod łóżkiem, dlatego wziął chłopaków do noszenia za sobą pakunków. Bo przecie on sam nie będzie tego wszystkiego dźwigał na plecach. On był od prawdziwej roboty, a nie od fizycznej pracy. Chłopcy zaczęli z powrotem upychać wszystko do worków. Kupiec Jabłoński, który miał swój sklep na Wronieckiej, przełknął nerwowo ślinę. Tolek natychmiast to zauważył. W tym momencie już wiedział, że ugra, co będzie chciał, bo paser dostrzegł wśród tych klonkrów coś, co szczególnie przypadło mu do gustu. Chyba musieli zgarnąć jakiś drogocenny przedmiot. Ale Tolek miał zasadę. Sprzedawał wszystkie fanty hurtowo, bo na zabawę z detalami nie było czasu. Poza tym nie trzymał niczego, co pochodziło z kradzieży, w swoim domu. No może z wyjątkiem dobrych gatunkowo ciuchów. Tymi, które im pasowały, dzielił się z braćmi Kaźmierczakami od razu po robocie, a resztę łupów pakowali do worków, by następnego dnia Tolek mógł pójść je sprzedać. Z tym nie było większego kłopotu, bo w samym centrum Poznania było przynajmniej piętnaście sklepów handlujących starzyzną, czyli w praktyce sprzedających towar pochodzący z kradzieży. Wiedzieli o tym doskonale złodzieje, ale również policjanci. Gdy więc tylko była jakaś specjalna potrzeba odzyskania przedmiotu, który został skradziony, mogli go odnaleźć już w dwa, trzy dni po zgłoszeniu kradzieży. Zazwyczaj jednak nie bardzo im się chciało szukać, bo wtedy musieli wysłać kilkunastu mundurowych do penetrowania sklepowych zasobów, a wiadomo, że policjanci potrzebni byli przede wszystkim na ulicach dla zapewnienia porządku i spokoju.

Obaj pomocnicy Tolka pakowali spokojnie i bez pośpiechu, tak jak im to wcześniej nakazał. Chodziło o to, żeby kupiec mógł jeszcze raz spokojnie przyjrzeć się temu, co właśnie tracił.

– I po co te nerwy, panie Anatolu szanowny. Czy ja powiadałem, że nie chcę kupować? Chcę, ale wie pan, jakie czasy trudne. Ludzie pieniędzy nie mają. Za bezcen chcą dostać. A i u mnie nie najlepiej z forszą. Utarg niewielki, to i z czego

płacić dostawcom towaru.

Tolek uśmiechnął się pod wąsem. Znał tę śpiewkę o pustej kasie. Dlatego nigdy nie popełniał takiego błędu jak początkujący złodzieje i nie leciał z towarem do pasera zaraz po otwarciu jego kantoru. Wtedy rzeczywiście kasa świeciła pustakami, a niedoświadczeni mogli liczyć tylko na marne grosze. Ale teraz w poobiedniej porze sytuacja była zupełnie inna. Kupiec musiał już mieć pieniądze, więc Grubiński mógł się trochę potargować i odstawiać ten cyrk z chowaniem fantów.

– No dobra, panie Jabłoński. Zaczniemy jeszcze raz, ale z szacunkiem dla klienta proszę.

Na znak Tolka chłopaki poczeli wyciągać towar. Tym razem uczynili to w tempie błyskawicznym. Robili to tak szybko, że mało brakowało, a cwany złodziej nie zauważyłby błysku pożądania w oku Jabłońskiego w chwili, gdy Zenuś postawił na ladzie siedmioramienny, pozłacany świecznik.

– Oddam to panu wszystko za czterysta złotych, ale bez tego świecznika. Bo on tu przez pomyłkę się zaplątał. Wie pan, towar na zamówienie. Jeden starozakonny daje mi za niego aż trzy stówy. Podobno cenny okaz. Ponoć stary jak świat, jeszcze z czasów, jak Żydzi mieli swojego króla. Kiedy to mogło być? Chyba gdzieś za królowej Wandy, tej, co to nie chciała Niemca, a może tego króla, co jego zdżarły myszy. Jak on się nazywał? – wymyślał na poczekaniu Grubiński, cały czas obserwując minę handlarza. Od razu zauważył, że z tym świecznikiem trafił w dziesiątkę. Facetowi najwyraźniej bardzo na nim zależało.

– Za królowej Wandy to jeszcze Żydów na świecie nie było, panie Tolku szanowny. Tylko sami Polacy. I Niemcy, ma się rozumieć.

– Nie? To coś mi się musiało pochachmęcić. Ale że stary jest, to prawda najświętsza. Teraz już takich ciężkich grzmotów się nie robi.

– To ile pan chcesz za ten świecznik?

– Nie do sprzedania, panie Jabłoński. Przecie gadałem, że zamówiony. Klient by mi łeb urwał i jeszcze nasrał do środka.

– To powiesz pan, że go nie było. Ja daję cztery stówki.

– A za resztę gratów?

– Trzy.

– Łe, panie szanowny... Grubiński skrzywił się, jakby go bolały zęby. – Chłopaki!

– Dobra! Niech będzie moja krzywda.

– Że jak?

– Świecznik za cztery i reszta za cztery, razem osiemset.

– Klient mnie zabije za ten świecznik. A to porządny klient, panie Jabłoński. Bogaty tak, że mógłby mnie, pana z tym sklepem i jeszcze pół ulicy kupić, jakby mu się zachciało. I ja mam dla takiego Rockefellera narażać swoją uczciwą reputację? Osiemset pięćdziesiąt i ani grosza mniej.

Jabłoński założył ręce na piersiach i wydał wargi jak Benito Mussolini. Nadszedł krytyczny moment, który Tolek natychmiast wyczuł. Dalsze licytowanie nie miało sensu. Z Jabłońskiego nie da się niczego więcej wydusić.

– I co ja poradzę, że pana lubię, panie Jabłoński? Mam do pana słabość, wew związku z tym ręka. – Wyciągnął dłoń przed siebie, a kupiec natychmiast przyklepał transakcję. Minutę później złodzieje byli już na ulicy.

– To myśmy są już niepotrzebne? – zapytał z nadzieją w głosie Krystek Kaźmierczak, którego kieszeń stała się cięższa o całe dwadzieścia złotych. Dostał pieniądze za udział w robocie, ale nie tyle, co jego bracia, bo był dopiero terminujący. Ze starszymi Kaźmierczakami Tolek dzielił się po równo, mimo że w grupie mieli niższą od szefa pozycję, to jednak w związku z wiekiem i doświadczeniem należał im się większy szacunek niż młodemu.

– Dobra, zmiatajcie, szczoney, bo ja muszę iść się rozliczać z twoimi bracholami, a i jeszcze za ochronę muszę dać w łapę.

– Szacuneczek, panie Anatolu. – Zenuś, który stał się bogatszy o całe pięć złotych za godzinę roboty, był bardzo zadowolony. Teraz już myślał tylko o tym, żeby jak najszybciej polecieć do rzeźnika na Żydowskiej i kupić tam okrawków kiełbas i szynkę, do tego kilka bułek w piekarni i napchać brzuch tak, żeby czuć tę wyżerkę jeszcze przez kilka ładnych godzin. W końcu zarobił dziś ekstrapieniądze, a wiedział dobrze, że nie musi specjalnie oszczędzać, skoro wziął go pod swoje skrzydła sam pan Anatol.

Chłopaki pobiegli w kierunku Starego Rynku, a Tolek w przeciwną stronę. Po chwili przeciął Wielkie Garbary i w pięć minut był już w knajpie U Okonia. Gdy wszedł do środka, natychmiast zauważył dwie ponure gęby braci Kaźmierczaków, pochylone nad kuflami piwa. Skinął im głową na znak, że wszystko poszło gładko, ale nie podszedł do ich stolika. Po prawej stronie od drzwi czekał na niego inny współpracownik.

Posterunkowy Wróbel często w trakcie służby zachodził tutaj na kufelek, żeby przepłukać gardło. Teraz jego kufel był już prawie pusty, więc Tolek skinął na barmana, wyciągając dwa palce w górę. Zanim zdążył zdjąć swoje eleganckie palto i powiesić je na wieszaku, dwa piwa już stały na stole.

Nie uścisnęli sobie dłoni, bo jeszcze ktoś mógłby zobaczyć i rozeszłoby się po ludziach, że policjant i złodziej są w komitywie. Żaden z nich jednak tej znajomości nie opierał na wzajemnej sympatii. To, co między nimi było, to tylko czysty interes. Grubiński, gdy planował jakiś skok, natychmiast informował o miejscu, dacie i godzinie posterunkowego Wróbla, przynajmniej kilka dni przed akcją. Wróbel miał więc czas, by wziąć dyżur albo zamienić się z innym policjantem, by we właściwym czasie być w patrolu dyżurnym. Dzięki temu Grubiński i jego ludzie mieli zawsze sporo czasu na bezpieczną ucieczkę, tak jak ostatnio, kiedy to stróż z Kwiatowej zatelefonował po policję zaraz, jak tylko z domu wyszli włamywacze. Po spieniężeniu fantów Tolek zawsze uczciwie płacił Wróblowi, i to całkiem sporo, więc ten miał zawsze powody do zadowolenia.

– Ciekawym, kiedy wreszcie przyjdzie ta zima? – zagadnął policjant, ocierając piwną pianę z wąsów.

– Im później, tym lepiej, bo wiara na drewnie i węglu zaoszczędzi. Przy takiej pogodzie wystarczy, aby napalić i ciepło w chacie.

– Ale w knajpach mają kłopot, bo w lodowniach im się lód kończy. W zeszłym roku o tej porze było go tyle, że tani był jak barszcz. A teraz, szkoda gadać... A jak interesy idą? – zapytał w końcu policjant, przechodząc do konkretów.

– Kiepsko, panie szanowny, kiepsko. Wiara coraz biedniejsza, to i nie ma z kim interesów robić.

– No tak, prawda, że ludzie się nie bogacą, ale jak kto obrotny, to się wzbogacić może.

– I jak kto ma łeb na karku – potwierdził Tolek, jednocześnie sięgając do kieszeni, w której miał przygotowane banknoty dla policjanta, zapakowane w paczkę papierosów. Z pliku pieniędzy, który dostał od Jabłońskiego, natychmiast wydzielił dolę dla współpracownika. Przy takich skokach na porządne mieszkania stawka była stała i wynosiła pięćdziesiąt złotych.

Położył poznańskie platoniki na stole, ze środka wyciągnął papierosa, a paczkę podsunął Wróblowi. Ten również wyjął jednego, a resztę od niechcenia schował do kieszeni.

– Jaki kolejny interes się szykuje? – zapytał policjant. Tolek wzruszył ramionami. Bo niby skąd miał wiedzieć. Teraz po dobrym skoku trzeba trochę odpocząć i zająć się wydawaniem pieniędzy. Choć przy Kryśce nie było to takie proste. Ona twardą ręką trzymała rodzinną kasę. Zwłaszcza od chwili, kiedy trzy lata temu na świat przyszedł pierworodny syn Tolka, Stefek. W końcu dziecku trzeba dać wszystko, co najlepsze, powtarzała, a Tolek przez ostrożność się w tym wypadku całkowicie z nią zgadzał. Zresztą nie mógł przecież skąpić na swojego własnego dzieciaka, tak jak to robił jego ojciec, który myślał tylko o tym, żeby się gdzie nachlać. To dlatego Tolek już od najmłodszych lat musiał radzić sobie sam, podobnie jak ten szczon Zenuś. Dlatego bez gadania wziął go pod swoje skrzydła, żeby czasami chłopak się nie zmarnował i nie wykoleił, wchodząc w konszachty z jakimiś bandytami.

– Jak się pomyśli, to się coś wymyśli – stwierdził Grubiński, zanurzając usta w piwie.

– Bo jakby się nic nie wymyśliło, to jest zapotrzebowanie na jednego szuszwola.

– Znaczą się jak?

Wróbel sięgnął do kieszeni swojej mundurowej marynarki i wydobyl z niej zdjęcie, które rozłożył na blacie stołu, ostrożnie omijając kałuże rozlanego piwa.

– Co to jest za gość? – zainteresował się Tolek.

– To taka jedna gnida, co to zabiła dwóch ludzi z rewolweru. Zwykły bandzior. To on zastrzelił tego Kaczmarkiewicza, co miał zakład pogrzebowy na Garbarach, i jeszcze zabił także mecenasa Witeckiego, co mieszkał na Świętym Marcynie.

– Że tego gnoja Witeckiego strzelił, to i dobrze. Za to ja jemu bym jeszcze rękę uściskał, bo on mnie oszukał, wziął pieniądze za obronę Walko Kaźmierczaka, jak ten przypadkowo ciężko pobił jednego gościa, i palcem nie kiwnął, żeby jemu pomóc. Nic nie zrobił i bejmów nie oddał, to i pies jemu mordę lizał, ale za wuja Anastazego Olkiewicza to się jemu należy czapa jak nic.

- Znaczy się, dobrze my się rozumiemy. - Policjant ucieszył się. On się gdzieś w Poznaniu ukrywa. Trzeba jego znaleźć...
- My dla policji nie robimy. - Tolek zdecydowanie pokręcił głową.
- A kto powiedział, że dla policji? To prywatne zlecenie pewnej... hm... ważnej osobistości.
- Gadaj pan do kieszeni.
- Ta osobistość chce za niego zapłacić tysiąc złotych.
- Co? - Grubiński zdziwił się, bo za mokrą robotę nikt tyle w Poznaniu nie płacił. Tu już za setkę można było zamówić sobie dziabnięcie frajera. Ale ten widać był albo jakiś ważny, albo kogoś mocno przestraszył. Tolek co prawda nie specjalizował się w usuwaniu ludzi, ale takich pieniędzy nie warto było oddawać byle komu, tym bardziej, że dla niego i jego ludzi wyłuskanie kogoś w Poznaniu nie stanowiło większego problemu.
- No i ma się rozumieć, jeszcze zwrot kosztów, informatorów i takie tam.
- Jak on się nazywa?
- Marian Pytel. Kiedyś mieszkał w Poznaniu na Wildzie, ale to dawne dzieje. Teraz szukaj wiatru w polu.
- Nie ma takiego szuszwola, który by się w naszym mieście schował - stwierdził chełpliwie Tolek, wkładając fotografię do kieszeni swojej ulubionej, wiśniowej kamizelki. Dopił piwo, wstał i skinąwszy głową policjantowi, poszedł do stolika, przy którym siedzieli coraz bardziej zniecierpliwieni bracia Kaźmierczakowie. Oni też chcieli się w końcu napić, bo swoje kufle już dawno osuszyli, a w kieszeniach nie mieli już ani złotówki. Wszystkie pieniądze przepili dziś w nocy a conto dzisiejszej wypłaty.

Godzina 3.40 po południu

Fotograf Maliszewski siedział w swoim atelier i patrzył z niedowierzaniem w lustro. Jego twarz nie wyglądała za dobrze. Właściwie można było powiedzieć, że była w fatalnym stanie, przypominając do złudzenia befszytk tatarski. Podbite oczy, nos napuchnięty i bulwiasty jak ziemniak, a do tego jeszcze naderwane lewe ucho. Z taką niewyjąciową facjatą nie mógł się nikomu pokazać, dlatego siedział teraz w swoim zakładzie, oczywiście zamkniętym na klucz, żeby przypadkiem nie zobaczył go jakiś klient, który przyszedłby się sfotografować. Bo gdyby go kto w takim stanie ujrzał, zapewne uciekłby z wielkim krzykiem, drąc włosy z głowy. Nic dziwnego, wyglądał przecież jak trup na urlopie. Choć był z siebie dumny. Okazało się przecież, że jest człowiekiem przebiegłym, który potrafi wyprowadzić w pole najbardziej nawet bezwzględного przeciwnika. Dziś bowiem oszukał dwóch krwiożerczych bolszewików, którzy chcieli pozbawić go życia, a skończyło się wszystko zaledwie na posiniaczonej gębie i niesmaku w ustach po wypiciu solidnej dawki alkoholu. Musiał nawet przyznać, że ten bimber był gorszy od całego tego lania, które mu zgotowali. Bo bicie się skończyło i właściwie nic go już tak bardzo nie

bolało, a po wódce już trzy razy lądował na kolanach w ustępie, rzygając jak kot. Na szczęście zdawał sobie sprawę z tego, że i to w końcu minie, a wtedy.... Będzie musiał wyjść między ludzi, przejść plac Wolności i zameldować się u komisarza Fischera. Bo Maliszewski podjął dziś ostateczną decyzję. Wszystko, co wie, opowie policjantowi. Nie ma na co czekać. Trzeba zapobiec zamachowi, ale przede wszystkim trzeba się pomścić na tych dwóch bolszewickich gnojach, którzy go tak dotkliwie pobili. I za co go pobili? Za to, że powiedział im prawdę? No może nie do końca prawda była prawdziwa, ale wysoce prawdopodobna. Tak dalece, że w końcu mu uwierzyli.

- Co z nim zrobimy? - zapytał ten z podrapaną gębą.
 - No jak to co? Odstrzelimy mu łeb - stwierdził zegarmistrz.
 - Tutaj? Przecież jak tu go palniemy, to ci uświni całą pracownię.
 - Prawda, o tym nie pomyślałem. To trzeba by gdzieś go wywieźć za miasto i tam rąbnąć.
 - Za miasto? A jak go wywieziesz, dorożką czy automobilem?
 - Panowie, a po co mnie zabijać? - odezwał się w końcu Maliszewski, który już zaczynał trzeźwieć po tych wypitych przed chwilą trzech szklankach wódki. Właściwie to wytrzeźwiał momentalnie, gdy tylko zaczęli mówić o pozbawieniu go życia, i gorączkowo się zastanawiał, jak wyjść z tej opresji. Przez moment nawet chciał powiedzieć im, że ten pomysł ze śledzeniem to była wyłącznie jego inicjatywa. Już miał to na końcu języka, już chciał wykrzyknąć, że powie im całą prawdę i tylko prawdę jak na świętej spowiedzi i przysiąc może nawet na ten święty obrazek przedstawiający Matkę Boską Ostrobramską, którą zegarmistrz miał na ścianie tuż nad tym stołem do pracy. Ale wtedy przyszło otrzeźwienie w postaci silnego ciosu. Pięść bolszewika wylądowała na nosie Maliszewskiego i to ona wybiła mu ze łba głupie pomysły.
 - Panowie, jak Boga szczerze kocham, że powiedziałem wam prawdę.
 - A skąd możemy mieć taka pewność, panie Maliszewski?
 - Mogę przysiąc na obraz Matki Boskiej.
 - W dupie mamy twoją Matkę Boską.
- Kolejny cios podbił mu lewe oko. Maliszewski krzyknął głośno, ale nie zdążył dogłębnie poznać smaku bólu lewego oka, bo już bolało go podbite prawe.
- Jezus Maria, panowie, ja jestem niewinny. Ja w ruchu narodowym jestem ważną fiszą, dlatego mnie pan doktor Dąbrowski posłał za panem zegarmistrzem.
 - Fiszą, powiadasz? I dlatego cię posłał? Posyła się posłańca, panie Maliszewski, a nie fiszę.
- Uderzenie pięścią w ucho pozbawiło go na moment słuchu z lewej strony, więc nie usłyszał, co mówi drugi z oprawców, który go uderzył. Przyznać musiał jednak, że bił znacznie słabiej niż zegarmistrz. Ten chyba musiał się uczyć bicia na kursach dla bokserów.
- I wtedy bicie się skończyło. Zegarmistrz podszedł do stołu, na którym stała butelka wódki. Nalał sobie do szklanki i spojrzał na swojego więźnia.

– Chcesz się napić?

Maliszewski pokręcił głową. Nie miał ochoty upijać się w chwili, w której poczuł, że jest już zupełnie trzeźwy. Bolszewik wypił do dna, otarł usta, a potem się uśmiechnął.

– Więc mnie słuchaj, panie Maliszewski. Dzisiaj cię jeszcze nie zabijemy. Puścimy cię wolno.

– Bardzo rozsądnie. – Fotograf uśmiechnął się zadowolony.

– Nie przerywaj mi i słuchaj.

– Słucham.

– Pójdiesz do swojego szefa i powiesz jemu, że nie jesteśmy żadni prowokatorzy. Rozumiesz?

– Rozumiem – przytaknął skwapliwie.

– Bo jakbyśmy byli prowokatorzy, to ty byś już nie żył.

– To oczywiste – zgodził się z bolszewikiem.

– No to przekaz ode mnie ukłony panu Dąbrowskiemu.

– Mogę już iść?

– Jak najbardziej. – Zegarmistrz wskazał drzwi, a ten drugi odsunął się od nich, robiąc przejście. Maliszewski wstał, ale zaraz opadł z powrotem na krzesło, bo mu się w głowie zakręciło, więc obaj mężczyźni chwycili go pod pachy i szybko wyprowadzili na ulicę. Opartego plecami o mur kamienicy naprzeciwko zostawili i wrócili do zakładu. Maliszewski przez chwilę rozglądał się dookoła, nie wierząc własnemu szczęściu. Był wolny! Mógł iść, dokąd chce. Co więcej nie zabrali mu nawet tych dziesięciu złotych, które miał w portfelu. I dzięki temu, że miał przy sobie pieniądze, mógł dojechać do swojego atelier na placu Wolności dorożką, nie wystawiając swojej facjaty na widok publiczny i nie narażając się na śmieszność.

Siedząc w swojej pracowni przed lustrem, zastanawiał się, jak to dalej wszystko teraz rozegrać? Już podjął decyzję, że będzie współdziałał z Fischerem. Musiał się więc z nim zobaczyć jak najszybciej. To była teraz najważniejsza sprawa, bo mogło się okazać, że ci dwaj bolszewicy spotkają się z Dąbrowskim i poskarżą mu, że wysłał za zegarmistrzem swojego człowieka. Oczywiście Dąbrowski zaprzeczy, a oni mu albo uwierzą, albo nie. Istniała więc możliwość, że mu nie uwierzą i na tym się skończy. Ale jeśli oni powiedzą mu, że tym śledzącym człowiekiem był Maliszewski? Dąbrowski zgłupieje, bo nie będzie wiedział kompletnie, o co chodzi, i zażąda wyjaśnień od niego. I co mu wtedy powie? Że ot tak sobie postanowił pochodzić za człowiekiem, który właśnie wyszedł z jego gabinetu. Nie, to wszystko było zbyt pogmatwane i za trudne na jego skołataną głowę. Fischer to dla niego jedyny ratunek. Trzeba się spotkać z Fischerem.

Wstał z krzesła i poszedł do poczekalni studia, gdzie na biurku, przy którym przyjmował i zapisywał zlecenia, stał aparat telefoniczny. Na szczęście kazał sobie zainstalować telefon, jak tylko obejmował to miejsce. Porządny zakład fotograficzny musiał mieć kontakt ze światem i światowymi ludźmi.

Sprawdził w książce telefonicznej numer dyrekcji policji i po chwili wykręcił cztery cyfry. Nie czekał długo. Niemal natychmiast odezwał się głos po drugiej stronie. Niezbyt przyjemny głos.

- Policja Państwowa, słucham.
- Czy wypadkiem zastałem jeszcze komisarza, pana Fischera?
- Kto mówi?
- Fotograf policyjny Maliszewski.
- Wypadkiem jeszcze jest.
- Aha. To fenomenalnie. Poproszę mnie połączyć.
- Kiedy komisarz Fischer ma gościa z miasta.
- Aha. To trudno, proszę mnie połączyć pomimo gościa.
- Kiedy jak jest gość, to się nie łączy.

Przez chwilę na łączach zapadło milczenie. Maliszewski już chciał przerwać połączenie, by zadzwonić za jaki kwadrans, jak już Fischer nagada się z gościem, jednak nagle niespodziewanie wezbrała w nim tak wielka złość, że gdyby miał tego cymbała policyjnego, co to trzymał słuchawkę z drugiej strony, obok siebie, to rzuciłby się na niego i udusił gołymi rękoma. To on tu cierpi za ojczyznę, pobity przez bolszewików, a jakiś dureń nie może go połączyć z jedyną osobą, która może zaradzić wszelkiemu złu.

- Słuchajcie no, wy, posterunkowy.
- A skąd pan wie, że ja posterunkowy? – zdziwił się posterunkowy, który wiedział dobrze, że przez drut można przenosić głos, ale żeby do tego jeszcze obraz...
- Słuchaj, ty głąbie kapuściany, łącz zaraz z komisarzem Fischerem, bo mam meldunek w sprawie najwyższej wagi państwowej, a można by powiedzieć nawet, że wagi stanu. Więc łącz mnie, ćwoku, bo jak nie, to jutro już będziesz paradował bez munduru!
- Bez munduru to się nie da na służbie. Regulamin to regulamin – stwierdził filozoficznie posterunkowy i połączył, mimo że w gabinecie Fischera podejmowany był gość.

Godzina 3.45 po południu

Walenty Oskierko postanowił, że tym razem nie będzie wciągał w swoje nieformalne śledztwa żadnych ludzi. Cały czas truł się jeszcze tym, że wywiadowca Pociecha zginął przez niego, postanowił więc, że będzie pracował sam na własny rachunek. Przede wszystkim chodziło mu o to, żeby zrehabilitować się przed komisarzem Fischerem za te wszystkie swoje poprzednie wpadki. Dlatego gdy tylko wysłano go do zakładu fotograficznego, żeby zrobić sto powiększonych odbitek zdjęcia zabójcy tej młodej kobiety, zrodził się w jego głowie chytry plan. Gdy fotograf, który miał swoje studio na ulicy Ratajczaka, zapytał go, ile ma być tych odbitek i na kiedy, on odpowiedział bez wahania:

– Fotografie mają być na już, a odbitek ma być sto... i jedna.

Ta jedna była potrzeba jemu do realizacji prostego śledczego przedsięwzięcia. Okazało się jednak, że dla fotografa taka szybka realizacja jest nie do zrobienia.

– Sto jeden odbitek? Panie oficerze szanowny, na już to ja mogę panu zrobić trzy, może pięć, ale resztę na jutro, oczywiście jeśli będę pracował całą noc. Pan nie ma pojęcia, ile to roboty z wywoływaniem odbitek...

– To rób pan te pięć już, a resztę przynieś pan jutro do dyrekcji policji. Za pośpiech będzie ekstrawynagrodzenie – skłamał Oskierko. Nie miał pojęcia, ile się płaci fotografowi w takich sytuacjach, więc mógł mu teraz wszystko obiecać. A jak będzie miał pretensje, niech idzie do Fischera ze skargą. Najważniejsze, by mieć te kilka zdjęć. Zaniesie je na biurko komisarza, a jedno zachowa dla siebie. Oczywiście w całkowitej tajemnicy.

– To niech pan oficer przyjdzie za dwie godziny. Postaram się, żeby zdjęcia były gotowe.

– Jak za dwie godziny? Przecie pan mówił, że na teraz.

– Czy ja wyglądam na piekarza, a mój zakład na piekarnię?

Rzeczywiście nie wyglądał. Oskierko musiał pójść gdzieś przeczekać ten czas. Najbliżej było do Bazaru, bo tylko jakieś pięćdziesiąt metrów. Ale restauracja w hotelu Bazar nie była na jego kieszeń, więc poszedł w drugą stronę. Wiedział, że na rogu Świętego Marcina i Ratajczaka, na wprost tego niewielkiego kościółka, który właśnie jest remontowany, mieści się przyjemna knajpa podająca tanie obiady domowe złożone z dwóch dań z kompotem. Przynajmniej coś zje, zanim zacznie swoją nieformalną akcję, która – jak wierzył – musi przynieść całkowity sukces. Bo przecież nie może być inaczej, jeśli on będzie pierwszym policjantem w mieście, który w różnych miejscach będzie rozpytywał o człowieka z podrapaną gębą.

W restauracji zamówił sobie kapuśniak z kwaśnej kapusty, na drugie danie kotleta siekanego z ziemniakami i buraczkami, i oczywiście kompot. Dziś w menu był wiśniowy. Za to wszystko zapłacił zaledwie złotówkę i dziesięć groszy. Po obiedzie wziął sobie z wieszaka „Kurier Poznański” i z zainteresowaniem przeczytał artykuł z pierwszej strony zatytułowany: *Nowa struktura Imperium Brytyjskiego*, w którym donoszono, że nowa uchwała konferencji imperialnej prowadzi do zupełnego równouprawnienia dominiów z Wielką Brytanią, co w konsekwencji ma oznaczać, że każdy członek imperium jest samodzielnym państwem dobrowolnie zrzeszonym z Koroną Brytyjską. To znaczy, że dziś ostatecznie upada kolonializm, ucieszył się Oskierko, który zawsze był przeciwnikiem kolonializmu i niewolnictwa, bo te pojęcia były dla niego nierozdzielne. W końcu naczytał się w swoim młodym życiu sporo książek podróżniczych o wyprawach do dzikich krajów i sam nawet marzył, że kiedyś na taką wyprawę się zdobędzie, ale na razie najdalej w swoim życiu zawędrował na Podole podczas wojny bolszewickiej.

Artykuł o kwestii rozbrojenia Niemiec pomiął, bo Niemcy nie bardzo go interesowali. Natrafił za to na ciekawie zapowiadającą się notatkę pod tytułem: *Ci, którzy nie chcą umrzeć...* ale przekonał się, że to artykuł o Dmowskim

i Związku Ludowo-Narodowym, odechciało mu się czytać. Jako zdeklarowany admirator marszałka Piłsudskiego szczerze nienawidził narodowców. Dokładnie nie wiedział za co, ale był pewny, że to ludzie, który szkodzą Polsce, bo tak mówił marszałek. A skoro tak mówił, to znaczy, że tak było.

Spojrzał na zegarek. Minęły już dwie godziny, mógł więc iść po fotografie. Teraz szybko zanieś te kilka odbitek na biurko Fischera, a potem rozpocznij swoją samodzielną, ale przemyślaną w najdrobniejszych szczegółach akcję. Udowodni komisarzowi, że można na nim polegać. Jak na Zawiszy!

Godzina 3.50 po południu

– Ja doskonale rozumiem szanowną panią, że to dzięki pani w naszych rękach znalazł się złodziej, ale sama pani rozumie... – Fischer bezradnie rozłożył ręce.

– Nic nie rozumiem! Jestem jedyną spadkobierczynią mojego świętej pamięci brata... – przerwała, by przyłożyć do oczu chustkę. Oczywiście nie kręciła się w nich żadna łza. Chustka była potrzebna do wywarcia na komisarzu odpowiedniego wrażenia.

– Ależ, szanowna pani, nikt nie odmawia pani prawa do spadku...

– A pan to niby nie?

– Ja? Ja tylko prowadzę śledztwo mające na celu wyjaśnienie zagadki zamordowania pani brata.

– I w tym celu mieszkanie ma być cały czas zamknięte i opieczętowane?

– Tak jest. Aż nie skończymy czynności śledczych.

– A pan wie, ile w takim nieczynnym mieszkaniu zbiera się kurzu?

– Skąd niby mam wiedzieć? – Fischer już powoli zaczynał tracić cierpliwość. Chciał wreszcie skończyć na dziś pracę i iść do domu. Już prawie był w drzwiach, gdy do środka jak tank wtargnęło to babsko. Pani Pelagia Klockowska, żona kupca kolonialnego i rodzona siostra mecenasa Witeckiego, nie zdjawszy nawet palta, rozsiadła się na krześle przed biurkiem komisarza i stukając czubkiem parasolki w podłogę, zażądała natychmiastowego zdarcia plomb policyjnych na drzwiach do mieszkania. W zasadzie Fischer już mógł zadośćuczynić jej naleganiom i wtedy pozbyłby się kłopotu, ale nie robił tego z dwóch powodów. Po pierwsze, czuł, że nie powinien był tego robić, bo to miejsce może jeszcze w jakiś sposób przyczynić się do wyjaśnienia przyczyn śmierci mecenasa, a po wtóre, nie chciał wpuścić baby do mieszkania z czystej przekory. Im bardziej go atakowała, tym bardziej okopywał się na swoich pozycjach.

– Szanowna pani Pelagio, mogę się do pani tak zwracać? Proszę mi wierzyć, droga pani, że gdy tylko skończymy śledztwo, będzie pani wiedziała o tym pierwsza.

– Znaczący się jak znajdziecie tego Żyda?

– Jakiego Żyda?

– No tego, co zastrzelił mojego brata.

– Wolałbym nie ferować opinii na temat narodowości mordercy przed jego pochwyleniem.

– Phi! Też mi coś! Pan jesteś taki ostrożny, a przecież i tak wszyscy w Poznaniu powiadają, że to żydowski spisek. Że Żydy chcą powystrzelać znamienitych obywateli naszego miasta, żeby zająć ich miejsce. Na przykład na miejsce mojego brata w adwokaturze...

Potok słów wylewających się z ust pani Klockowskiej przerwał dzwonek telefonu stojącego na biurku. Fischer z wdzięcznością spojrział na aparat, który przychodził mu z odsieczą jak Wołodyjowski oblężonemu w chlewiku Zagłobie. Rozłożył więc bezradnie ręce, jakby chciał powiedzieć, że nic na siłę wyższą się nie poradzi, i podniósł słuchawkę.

– Fischer, słucham!

Przez chwilę w milczeniu wsłuchiwał się w głos po drugiej stronie linii, od czasu do czasu spoglądając na rozlewającą się na krześle postać w kapeluszu przypominającym swoim kształtem niemiecki stalhelm, który był modny podczas wielkiej wojny.

– Do ciężkiej cholery! Możesz pan powtórzyć jeszcze raz? – zawołał do słuchawki Fischer, natychmiast zapominając o obecności damy. Ta spojrzała na niego zdumiona, bo nie była przyzwyczajona, żeby ktoś przeklinał w jej obecności, oczywiście za wyjątkiem dorożkarzy, ale ci nie byli przecież ludźmi z towarzystwa. Pani Klockowska zastanawiała się nawet, czy ci wszyscy dorożkarze, węglarze i tragarze to aby na pewno ten sam ludzki gatunek, do którego ona należała, i z każdym dniem upewniała się w swoich sądach, że to absolutnie niemożliwe.

– Kur.. Kurczę pieczone!

Nie, ten gbur Fischer też nie może należeć do tego samego ludzkiego gatunku. To wszystko są małpy, które przybrały człowieczą postać dla niepoznaki. A Fischer to dodatkowo jeszcze Niemiec, to wiele tłumaczy...

Wstała z krzesła z godnością i nie skłoniwszy się nawet temu małpisonowi, wyszła, a właściwie wypłynęła z pokoju jak transatlantyk wychodzący z portu. Fischer zarejestrował ten stan rzeczy, ale nawet nie miał czasu ucieszyć się z tego faktu. Był już w zupełnie innym świecie.

– Poczekaj pan u siebie. Zaraz kogoś tam wyślę, z jaką kapotą, żebyś pan ludzi nie straszył.

Odłożył słuchawkę na widełki, a potem połączył się z dyżurnym. Szybko wydał mu polecenie, by wysłał policjanta na plac Wolności do atelier Maliszewskiego i żeby koniecznie ten wziął z magazynu jakiś obszerny kapelusz i płaszcz z kołnierzem, żeby fotograf mógł nierozpoznany przez kogokolwiek przemknąć do budynku dyrekcji policji. Na szczęście nie było daleko, więc najdalej za pół godziny powinien już tu być.

Wyciągnął z szuflady biurka woreczek z fajką, nabił ją starannie tytoniem i zapalił. Potem rozłożył przed sobą poranne wydanie „Kuriera Poznańskiego”. Rzucił okiem na tytuły z pierwszej strony informujące, że zmienia się struktura imperium brytyjskiego, inny donosił o sprawie rozbicia Niemiec. Już chciał

zagłębić się w kwestie niemieckie, bo Brytyjczycy nie bardzo go interesowali, gdy jego wzrok przykuł tytuł z prawej kolumny: *Ci, którzy nie chcą umrzeć...* Zaczął czytać, mając nadzieję na jakąś sensację, ale nic ciekawego tam nie znalazł poza krótką notatką dementującą enuncjację prasy pod egidą „sanacji moralnej”, która miała informować, że Roman Dmowski wystąpił ze Związku Ludowo-Narodowego. Tymczasem sam Dmowski zaprzeczał tym informacjom i twierdził, że wbrew zarzutom prasy przychylniej Piłsudskiemu jego organizacja ma się dobrze i wcale nie zamierza zniknąć z kart dziejów.

Nie zamierza zniknąć, bo zamierza się odrodzić jak Feniks z popiołów, pomyślał Fischer, który był jak dotąd jedną z nielicznych osób w kraju mających pełnię wiedzy o planach narodowców na najbliższy czas. Wszystko za sprawą memoriału, który leżał w jego szufladzie. Wkrótce jednak nadejdzie ten moment, kiedy plany narodowców w przeddzień kongresu powołującego Obóz Wielkiej Polski zostaną ujawnione za jego sprawą. I musiał przyznać, że miał z tego powodu sporą satysfakcję. Nie lubił tych narodowych bufonów, którzy wycierali sobie gęby hasłami o narodzie, dumie narodowej, patriotyzmie i rodzinie, a nienawidzili Żydów i wszystkich tych, którzy nie mówili po polsku. Fischer uważał, że duma narodowa to ersatz dla głupców, którzy nie mają nic innego, z czego mogliby być dumni, a patriotyzm jest dobry, gdy walczy się o swój kraj, zaś w czasie pokoju zastępuje go rzetelna praca. Bo umiłowania ojczyzny nie wykrzykuje się na ulicy, machając flagą, ale nosi się je w sercu.

Przejrzał gazetę do końca i złożony ją starannie na pół, włożył do swojej teczki – tej samej, w której nosił do pracy sznytki i różne niezbędne każdemu mężczyźnie w ciągu dnia przedmioty, jak scyzoryk czy zapasowe szelki. Zawsze zabierał gazety do domu, żeby mieć na rozpałkę w kuchni.

Spojrząwszy na krzesło, które jeszcze przed chwilą zajmowała Klockowska, uśmiechnął się zadowolony. Gdyby nie telefon, nigdy nie pozbyłby się tej natrętnej baby. Trzeba powiedzieć na dole w dyżurce, żeby gdy pojawi się następnym razem, mówili, że go nie ma w biurze. Ale czy to ją powstrzyma?

Godzina 4.30 po południu

Aspirant Oskierko biegł po schodach, żeby jak najszybciej zanieść właśnie przed chwilą odebrane zdjęcia. Stracił u fotografa pół godziny dodatkowo, bo ten nie wyrobił się na czas.

– Niech se pan siędzie, panie oficerze, bo zdjęcia jeszcze się suszą – powiedział fotograf, gdy Oskierko wkroczył do jego atelier.

– A długo tak będą się suszyć?

– Już niedługo. Zaraz będą, zaraz.

– To niech pan coś zrobi, bo ja...

– Aleś pan niecierpliwy, jakbyś pan był ułan, rach-ciach szablą przez łeb i po robocie. A tu się tak szybko nie da za nic w świecie. Fotografia ma swoje prawa...

Pół godziny później zapakował mu zdjęcia do szarej koperty, na wszelki wypadek przekładając każdą odbitkę bibułą, żeby się czasem emulsja nie starła. Oskierko trzymał więc ostrożnie tę kopertę, mając nadzieję, że nie uszkodzi fotografii. Szczególnie tej jednej, którą zamierzał zabrać ze sobą i ruszyć na poszukiwania.

Podszedł do drzwi gabinetu Fischera i już nachylał się, żeby wsunąć kopertę w szparę przy podłodze. Pewien był bowiem, że komisarz dawno jest w domu. Na wszelki wypadek jednak zapukał. Może tam w środku jest sprzątac, który wietrzy pokój i czyści popielniczkę? Lepiej byłoby przecież położyć kopertę na biurku, żeby się nie zawieruszyła. Musiał przyznać, że fotograf zrobił dobrą robotę. Całkiem zgrabnie wykadrował pysk przestępcy i co ciekawe zdjęcie było nad podziw wyraźne. To znaczy, że dało się z niego odczytać rysy twarzy, głębie oczodołów, a nawet zarys ust. Jeśli dodać do tego zadrapania na lewym policzku, nikt, kto widział tego człowieka, nie powinien mieć żadnych wątpliwości.

Zapukał energicznie do drzwi i już znów chciał się pochylić, by wsunąć kopertę, gdy zdziwiony usłyszał głos komisarza:

– Wejść!

No i wszedł.

Fischer tkwił za swoim biurkiem z nieodłączną fajką w zębach. Przed nim na krześle siedział jakiś człowiek, którego twarzy aspirant nie dostrzegł. Był tam jeszcze przodownik Okoń i drugi policjant również w stopniu przodownika. Tego Oskierko widział po raz pierwszy.

– O, jest i nasz detektyw Oskierko! – zawołał Fischer i wtedy człowiek siedzący tyłem do drzwi odwrócił się. Oskierko aż się wzdrygnął, bo ten wyglądał tak, jakby mu kto gębę obił tłuczkiem do kotletów schabowych.

– Aspirant Oskierko melduje się, panie komisarzu.

– I dobrze, że się pan meldujesz, bo zaraz bierzemy się do roboty. Masz pan tu jakieś cywilne ubranie?

– Nie mam, ale mam w domu. Mogę przynieść.

– Za późno będzie. Pójdiesz pan z tym tu przodownikiem Olkiewiczem do magazynu na dole i sobie coś tam wybierzecie. W każdym razie nie macie wyglądać elegancko, ale byle jak.

– Jeśli się rozchodzi o Olkiewicza – Okoń spojrzał na niego, przekrzywiając głowę – to z tym nie będzie problemu. – Anastazy mruknął coś pod nosem, ale Okoń nie zwrócił na to uwagi. – Gorzej z panem aspirantem, bo pan Oskierko nawet jak się przebierze za szuszwola, to będzie wyglądał jak przebrany.

– Prawda. – Fischer obrzucił oficera badawczym spojrzeniem. – Niech się pan Oskierko ubierze jak urzędnik albo ksiądz... Zresztą wszystko jedno, byle prawdziwie.

– Za pozwoleniem pana komisarza, czy wolno mi zapytać, co to za robota się szykuje? – Aspirant był nieco niepokieszony, że jego własny plan legł w gruzach, ale to przecież wcale nie oznaczało że nie da się go wykonać później, na przykład dziś w nocy albo jutro.

Fischer podpałił wygasłą fajkę i wskazał cybuchem na pobitego człowieka.

– Pan Maliszewski, współpracujący z nami fotograf... – Na dźwięk słowa „fotograf” Oskierko natychmiast przypomniał sobie człowieka, który robił zdjęcia na miejscu zamordowania tego prawnika. Spojrzał na pobitego uważniej, ale ten jakoś mało przypominał gadatliwego faceta, który morderstwo natychmiast przypisał żydowskiemu spiskowi.

– ... był świadkiem niezwykle interesującej rozmowy. Otóż pewien szanowany poznański obywatel wyznający narodowe poglądy spotkał się z pewną osobą mającą poglądy, można by powiedzieć, niezbyt lubiane w naszym kraju. Najprościej mówiąc, ten człowiek jest komunistą. I ci dwaj ludzie w tajemnicy i skrycie rozmawiali ni mniej, ni więcej, ale o przygotowaniach do zamachu na marszałka Piłsudskiego.

– I pan był świadkiem tej rozmowy? – zdziwił się aspirant, bo jakoś trudno mu było uwierzyć w taki nonsens. Bo kto by chciał w naszym kraju zabijać marszałka? Przecież jego wszyscy kochali. No może nie wszyscy, ale mówiło się, że nawet jego przeciwnicy polityczni mają do niego duży szacunek. A w ogóle w Polsce nie ma przecież tradycji królobójstwa. Prawda, ten Niewiadomski zabił prezydenta Narutowicza... Zaraz, zaraz, przecież Niewiadomski był również narodowcem. To się może zgadzać. Zabili prezydenta, teraz chcą zabić marszałka.

– Byłem świadkiem, ale mnie nie widziano – odezwał się z pewnym trudem Maliszewski.

– Panie komisarzu, Eligiusz Niewiadomski też był narodowcem! – Oskierko podzielił się swoim spostrzeżeniem.

– Słuszna uwaga. – Fischer uśmiechnął się lekko, wydymając wargi.

– Kończąc tę opowieść, szanowny panie aspirancie, dość będzie powiedzieć, że ten tu pan Maliszewski wykazał się niezwykle odwagą, bo podążył śladem tego bolszewika, który go doprowadził do pewnego miejsca na Wildzie. Wiemy więc, gdzie bolszewicka jaczejka ma swoją kryjówkę. W związku z tym wykurzymy ich dzisiaj z nory.

Zadowolony spojrzał po twarzach obecnych. Gęby Olkiewicza i Okonia niczego nie wyrażały. Wyglądali jak zawsze przed atakiem, czyli zupełnie normalnie. Oni na akcję chodzili jak chłop do roboty na pole. Wiedzieli, że trzeba zrobić swoje i niepotrzebnie nie ma co gadać. Na twarzy Oskierki za to malowało się święte oburzenie. Wiadomość o planowanym zamachu na jego idola zrobiła na nim wstrząsające wrażenie. Trzeba będzie na niego uważać, bo w swoim kawaleryjskim zapale może jeszcze narobić głupstw, pomyślał komisarz. Niczego natomiast nie można było odczytać z twarzy Maliszewskiego, bo pod tą opuchlizną prawie niczego nie było widać.

– No dobra, panowie, do magazynu. Okoń ma swój cywilny ubiór w szafie, a ja też się zaraz przyszykuję. Pan Maliszewski może już iść do domu. Dziś już nie będzie nam pan potrzebny. Natomiast jutro jak najbardziej. Przyda się pan w identyfikacji tych, których dziś dopadniemy. A, prawda, panie aspirancie, co pan tam masz w ręce za kopertę?

– Melduję, że to te fotografie, co je dałem do zrobienia odbitek. Całkiem dobrze wyszły.

– Pokaż pan.

– Oskierko podszedł do biurka i wydobył pięć zdjęć w formacie pocztówki.

– Olkiewicz, chodź no tu. To najprawdopodobniej jest ten człowiek, co zastrzelił... – Fischer już chciał powiedzieć: „wuja”, ale ugryzł się w język. Nie było potrzeby, żeby ten Maliszewski znał jakieś kwestie dotyczące zupełnie innego śledztwa. – On zastrzelił właściciela zakładu pogrzebowego na Garbarach.

Anastazy podszedł natychmiast i spojrzał na fotografię. Po chwili przypatrywania się wzruszył jednak ramionami. Ta twarz niczego mu nie mówiła. I w tym momencie wszyscy czterej policjanci pochyleni nad zdjęciami usłyszeli jęk. To zajęczał Maliszewski, który wiedziony czystą ciekawością też spojrzał na zdjęcie. Spojrzał i jęknął, bo dobrze znał tego człowieka. W zasadzie można by powiedzieć, że poznał go aż za dobrze.

– Co panu jest, panie Maliszewski? – zapytał Fischer, który pomyślał, że pobity fotograf poczuł się gorzej i jeszcze nie daj Boże zaraz tu zemdleje. Ten jednak wykrzywił wargi w daremnej próbie uśmiechu i wskazał palcem na fotografię.

– To jest ten bolszewik, co mnie pistoletem zatrzymał na ulicy przed zakładem zegarmistrza.

– Co? Jest pan pewny? – Fischer jeszcze raz popatrzył na gębę przestępcy, a potem znów na fotografa.

– A co pan myśli, że ja bym nie poznał faceta, którego pięść powąchałem własnym nosem?

Rozdział VIII

Wtorek, 23 listopada

Godzina 1.20 w nocy

Stróż Konstanty Nowak nienawidził ludzi, którzy łążą po nocy. Pół biedy, gdy łążą po ulicy, stukając podkutymi obcasami, ale byli też tacy, którzy hałasując butami, jeszcze do tego głośno gadali. Tych też dałoby się jeszcze jakoś znieść, bo oni mieli to do siebie, że przechodzili tylko pod oknem jego sypialni i po chwili znikali. Był jeszcze jeden rodzaj nocnych mącicieli, którzy pijani wracali do domu nocą i niekiedy nawet śpiewali przy tym świńskie piosenki. Nic nie mógł począć, gdy ci, wyśpiewując swoje, rozplýwali się w ciemnościach i nocnej ciszy. Ale niektórzy, a było ich całkiem sporo, stawali pod bramą jego kamienicy i walili w nią tak długo, aż Nowak nie zejdzie i nie otworzy. Tych, którym jako stróż musiał otwierać, nienawidził szczególnie i gdyby tylko mógł, kazałby ich natychmiast skuć, wsadzić do wagonu i wywieźć na Sybir. Cóż jednak począć, skoro z Poznania nikogo na Syberię się nie wywoziło. Nie to, co dawniej w Warszawie. No, ale dobre czasy, kiedy to buntowników wsadzano do kozy i wysyłano na wschód, dawno minęły, a teraz za wolnej Polski z takimi typami człowiek musiał sobie radzić sam, tak jak umiał. No więc Nowak radził sobie w najprostszy z możliwych sposobów. Schodził na dół i wołał: „kto tam”. Gdy mu odpowiadał któryś z lokatorów, otwierał bramę i pytał, czy ma pieniądze na wstępne. Jeśli nie miał, zaraz furtkę zamykał i delikwent musiał sobie radzić sam z noclegiem w krzakach. Szybko nauczył tych pijaków, że jak chcą wrócić do domu i spać w swoim łóżku, nie mogą przepijać wszystkiego co do grosza, ale kilka miedziaków zostawić dla niego. No i zostawiali, a dzięki temu majątek Konstantego Nowaka rósł bardzo szybko. W ciągu miesiąca na tym otwieraniu nocnym potrafił dodatkowo zarobić nawet i dziesięć złotych.

Dzisiejszej nocy usłyszał najpierw piosenkę wyśpiewywaną fałszywie pijackim sznapsbarytonem:

*Cycki twoje wytarmoszę
A dupsko wyklepie,
A jak zerzną ci kuciapkę
Się poczujesz lepiej*

Gdy pieśń ucichła, rozległo się łomotanie do bramy. Nowak zwał się z łóżka, przeklinając pod wąsem, bo oto trafił mu się najgorszy sort spacerowicza, nie dość, że nachlany, to jeszcze do tego śpiewak. Uśmiechnął się więc złowrogo i znów zaklął, ale jedynie dla porządku. Wiedział bowiem, że wstając, będzie mógł przykładowo gnoja ukarać. Zawsze będzie to na jutrzejsze palenie trochę pieniędzy.

Nie zakładał spodni. Nałożył na siebie tylko gruby szynel, zapiał go po samą szyję, na nogi wciągnął filcowe, ciepłe buty, a na głowę czapkę uszankę. Ubrawszy się, wyszedł na schody, które z jego niewielkiego mieszkania prowadziły wprost do bramy.

Walenie do drzwi rozległo się ponownie.

– A kogo tam cholera niesie? – krzyknął srogim głosem, żeby ten tam po drugiej stronie wiedział, że ma do czynienia z niezadowolonym stróżem.

– Ady to jo! – odpowiedział głos zza bramy, którego Nowak nie potrafił zidentyfikować i przypisać do odpowiedniego pijaka. Mężczyzna mówił zbyt bełkotliwie.

– Jaki ja?

– No jo! Łe no, oootwierej, bo się zaraz zleję w galoooty!

– Żebyś mi tu nie szczał, łobuzie jeden. Na ulicę do rynsztoka lać, a nie pod porządną bramą. Jak naszczasz, to sam to będziesz zlizywał, zasrańcu jeden!

– Oootwierej, booo...

– A ktoś ty jest?

– Jak kto? Ady to jo. Przeeeeeciem ci już powiooodała.

– Pieniądze masz?

– Co?

– Na wejściowe?

– Mom, otwierej.

– Ile masz?

– Ile chcesz?

– Złotówkę! – zażądał Nowak i aż sam się przestraszył tej kwoty. W końcu złotówka to nie w kij dmuchał. Pomyślał przez chwilę, że przelicytował. Te pijaki z jego kamienicy to nie byli przecież urzędnicy na posadzie, ale zwykłe łachudry, co to chwytają się każdej ciężkiej roboty. Za to obiad cały można było kupić...

– Mom, otwierej!

Nie było co czekać, aż frajer się rozmyśli. Chciał płacić, jego sprawa. Podszedł do drzwi osadzonych w bramie, włożył klucz do dziury i przekręcił dwa razy. Drewniana furta zaskrzypiała, a zawiasy, których stróż nie smarował, bo mu szkoda było oliwy, zajęczały i do środka ciemnej bramy wlało się trochę światła z ulicznej latarni. Przez moment Nowak wpatrywał się w to światło, bo nie zauważył w jego blasku żadnego człowieka. Po sekundzie jednak zorientował się, że ktoś tam jest. Nie dość że jest, to jeszcze wbija mu coś twardego w podbródek.

– Spróbuj ino jęknąć głośniej, a odstrzelę ci ten głupi łeb – powiedział ktoś,

kto był od stróża przynajmniej o głowę niższy i zapewne dlatego od razu go nie zauważył.

Jezus Maria! Bandyti. Zabiją ani chybi, przeleciała mu myśl przez głowę, ale zaraz odpłynęła, gdy odezwał się ten mały:

– Prowadź do swojej nory i nic się nie bój. Ja jestem z policji.

Zastygł jak słup soli i chwilę trwało, zanim dotarł do niego sens słów wypowiedzianych przez tego faceta. Poczł, że lufa pistoletu, która wbijała mu się w gardło, zniknęła. Popatrzył w dół. Intruz uśmiechnął się do niego.

– Dalej, ćwoku z Rataj! Nie ma czasu na ksiuty.

Posłusznie obrócił się i poszedł w kierunku swoich drzwi. Obaj wspięli się po schodkach i po chwili byli już w ciepłym, choć śmierdzącym potem i tytoniem przedpokoju mieszkania stróża. Weszli do kuchni, bo tam przynajmniej było na czym usiąść. W pokoju było tylko łóżko i jedno stare krzesło.

– Siadaj! – polecił policjant tonem nieznoszącym sprzeciwu, więc cieć usiadł posłusznie.

– Wyście są z policji?

– Zamknij mordę i odzywaj się tylko wtedy, gdy cię zapytam – odpowiedział mu bardzo niemiło i to go całkowicie upewniło, że to musi być szkieł. Bo jakby to był bandyta, to natychmiast dałby mu w papę. A gliniarze, wiadomo, biją tylko, jak ich się zdenerwuje. Postanowił więc, że nie będzie go wyprowadzać z równowagi. Nie miał powodów. Zawsze chętnie współpracował z władzą. Już od bardzo dawna, jeszcze przed wojną, współpracował z ruską Ochroną, informując tajniaków o wszystkim, o czym tylko chcieli być informowani, a nawet o czym nie chcieli. Najważniejsze, że płacili. Tu w Poznaniu, jak tylko objął posadę stróża w tym domu, poszedł na komisariat policji i powiedział, że jakby co, to on może o wszystkim władzę informować, jeśli władza tylko będzie chciała mu odpowiednio płacić. Zapłacili od razu. Dostał kopa w dupę i wylądował na ulicy. Wtedy nie chcieli, ale może teraz im się przyda.

– Ja wszystko powiem, co tylko chcecie powiem.

Otwarta dłoń gościa z głośnym plaśnięciem wylądowała na jego policzku.

– Gadałem ci już, że masz się odzywać tylko wtedy, jak cię kto zapyta.

Zacisnął usta i nic nie odpowiedział, żeby drugi raz nie zarobić po pysku.

– Jak się nazywasz? – zapytał policjant.

– Konstanty Nowak.

– Znasz niejakiego Latałę Tomasza? – pytał dalej.

– Przecie to pan zegarmistrz.

– Zgadza się. Gdzie mieszka?

– Na pierwszym piętrze nad zakładem.

– Z zakładu można wejść do mieszkania?

– Po schodkach można.

– Z zakładu jest wyjście na podwórko?

– Jest.

– A z podwórka na inne podwórko łatwo się dostać.

– Aby po szopkach. Trzeba ino na daszek wleźć i już.

– Latała jest w domu?
– Nie widział żem, żeby gdzie wylaził. On z tych niewychodzących. Do gospody to wcale nie chodzi. Dziwak taki.
– Ktoś jest u niego?
– Do niego przyjechał kuzyn, co to szuka roboty, to pewnie i jest.
Policjant wyciągnął fotografię i położył ją na stole przed stróżem. Nie musiał nawet pytać, bo Nowak natychmiast rozpoznał twarz.
– Ten sam, ino że teraz ma pysk podrapany, jakby się z jaką babą bił.
Olkiewicz uśmiechnął się zadowolony.
– Dawaj klucze – rozkazał, a stróż natychmiast podał mu cały pęk.
– Ino ten od bramy.
Stróż odczepił jeden i położył go przed policjantem.
– No to teraz se trochę poczekamy – stwierdził z uśmiechem. Nowak nic nie odpowiedział. Co go to wszystko mogło obchodzić. Grunt, że nikt nie zamierzał mu odstrzelić łba. Szkoda tylko tej obiecanej złotówki. Ale co tam, odbije sobie na innych pijakach wracających po nocy do domu. No chyba że ten tu siedzący przed nim policjant jest człowiekiem, co umie dotrzymać słowa i zapłaci mu, tak jak obiecał. Zdobył się więc na odwagę, bo szkoda mu było zarobku.
– Panie oficerze, a ja względem tej złotówki za wejściowe, chciałem się przypomnieć, bo...
Nie dokończył, bo ciężka łapa wylądowała na jego gębie. Widać ten policjant nie był honornym człowiekiem.

Godzina 1.25 w nocy

– W takim razie ja z Okoniem wchodzę do mieszkania, Olkiewicz pilnuje podwórka, a pan aspirant Oskierko rygluje dwa wejścia, czyli bramę i warsztat zegarmistrza. – Fischer błyskawicznie przeanalizował sytuację i natychmiast wydał rozkazy.
– A czy ja ewentualnie nie mógłbym z panem komisarzem do środka? Wie pan komisarz, tak stać na warcie to dla oficera...
Dowódca spojrzał na niego w taki sposób, że Oskierko natychmiast pożałował swojego pytania.
– Moje rozkazy nie podlegają dyskusji. Czy to jasne, panie aspirancie?
– Tak jest! – Młody oficer oblał się rumieńcem, ale na szczęście dla niego nikt tego nie zauważył, mimo że w pokoju, w którym siedzieli, było jasno. Naradę przed szturmem odbywali w jednej z kamienic po przeciwnej stronie ulicy, w mieszkaniu tutejszego stróża. Aby skorzystać z jego gościny, nie musieli uciekać się do podstępów. Podjechali tu dorożką, a Fischer podszedł do bramy, zapukał i po kilku minutach, gdy mamroczący pod nosem stróż mu otworzył, wyjaśnił, że potrzebują miejsca na bazę do akcji. Gospodarz nader chętnie udzielił im schronienia, tym bardziej, że za fatygę dostał od razu do łapy pięć złotych. Żona stróża natychmiast zaparzyła dla wszystkich kawy zbożowej

i poszła spać, upomniana jednakże przez Fischera, żeby nie próbowała wychodzić czasem do jakiej sąsiadki i opowiadać, co dzieje się u niej w domu.

– Jutro możecie se o tym gadać, ile dusza zapragnie, ale dziś w nocy cicho sza, bo to jest pod całkowitą tajemnicą przeprowadzana operacja policyjna. A jak kto parę z gęby puści, to bez litości wsadzę na miesiąc na Młyńską.

Stróżowa szybko pokiwała głową, choć widać było, że gdyby mogła, natychmiast poleciałaby do sąsiadki. No trudno, będzie musiała przeżyć jakoś tę noc, doczekać jutra i chwili, kiedy z dumą będzie mogła opowiadać, że policja właśnie ich mieszkanie wybrała na swój sztab.

– Pan, panie Oskierko, masz nader ważne, można by powiedzieć, kluczowe zadanie. Jeśli ktoś spróbuje nam się wymknąć, zatrzymujesz go pan, a jak będzie chciał uciekać, walisz pan z pistoletu po girach.

– Po czym?

– Po nogach – rzucił Okoń. Bardzo go bawił fakt, że ten wykształcony oficer nie rozumiał najprostszych słów, które znało nawet dziecko.

– Aha. Tak jest! – Zadowolony ze swojej kluczowej roli Oskierko zsalutował i dopiero po fakcie uświadomił sobie, że salutuje do kapelusza, a nie do daszka czapki. Ten Olkiewicz dobrał mu długi płaszcz z aksamitnym kołnierzem i nieco za duży kapelusz. Brakowało mu tylko teczki, by mógł wyglądać jak prawdziwy urzędnik. Znalazł nawet odpowiednią, ale Anastazy odradził mu zabieranie jej ze sobą, bo przecie który urzędnik chodzi po nocy z teką. Po nocy to się łązi z tytą, wyjaśnił aspirantowi, ale ten i tak nie zrozumiał, o co chodzi.

– Nikt nie ma prawa stąd uciec! – Fischer spojrzał twardo na Oskierkę, a potem na Okonia, ale temu nie trzeba było tłumaczyć takich oczywistości.

– Pan aspirant wychodzi pierwszy z bramy i idzie do końca ulicy. Potem skręca pan w prawo i za węglem ostatniej kamienicy przystaje pan, tak żeby nie było go widać. Przy tym nie może pan palić papierosa, stojąc tam na tym narożniku, bo żar papierosowy widać ze znacznej odległości. Stoi pan i czeka.

– Tak jest. Ale ja nie mam papierosów.

– To i dobrze. Przynajmniej nie będzie pana ciągnęło do palenia.

Oskierko wzruszył ramionami. Nawet jakby miał papierosy, i tak by go nie ciągnęło. Nie był palaczem nałogowym, a raczej towarzyskim, który palił tylko od czasu do czasu, raczej żeby pokazać, że potrafi, a nie, że lubi. Zresztą papierosy to był teraz dla niego najmniejszy kłopot. Prawdziwy problem stanowił pistolet, a raczej jego brak. Gdy przebierał się z munduru w cywilne ciuchy, odpiął pas z kaburą pistoletu i wszystko to zostawił w szafie w biurze. Dopiero podczas jazdy dorożką zorientował się, że czegoś mu brakuje. Początkowo myślał, że brak broni nie będzie żadną przeszkodą, ale teraz, kiedy dowiedział się, że ma blokować drogę ucieczki, poczuł się trochę nieswojo. Bo jak ma blokować, skoro nie ma czym. Postanowił więc, że jeśli przyznano mu tak odpowiedzialną rolę, nie może zawieść komisarza i w razie gdyby któryś z tych ludzi próbował uciekać, on zagrozi mu drogę własnym ciałem, nawet gdyby miał polec na polu chwały. Cóż, poświęci swoje młode życie dla marszałka. Lepiej by było co prawda poświęcić życie bandyty, ale zdaje się, że

nie miał większego wyboru. Cóż, *semper fidelis*, mawiali starożytni Rzymianie i on tę dewizę dziś wprowadzi w czyn.

– Jakies dwie minuty po panu aspirancie z bramy wychodzę ja z Okoniem – tłumaczył dalej plan akcji Fischer. Spojrzał na podoficera, ale ten nie miał żadnych pytań. Okoń był od roboty, a nie od wątpliwości. Według niego wątpliwości powinni rozstrzygać oficerowie, a podoficer powinien iść po wytyczonej dokładnie ścieżce. Na tyle znał Fischera, że wiedział doskonale, iż ta obrona przez niego bezbłędnie poprowadzi do celu. – Idziemy, trzymając się pod rękę, jak dwaj pijacy wracający z knajpy. Przy bramie przystajemy, wchodzimy po cichutku, bierzemy Olkiewicza, który ma pilnować podwórka, a my we dwóch na górę ze stróżem. Czy wszystko jasne, panowie?

Obaj policjanci pokiwali głowami.

– No to się bardzo cieszę. W takim razie...

– A może panowie policjanci se chlapną po kielichu? – zaproponował stojący cały czas w drzwiach chudy i wąsaty stróż.

– Jak się nazywacie? – zapytał Fischer.

– Wieczorek.

– To wy nie wiecie, Wieczorek, że policjant na służbie nie pije?

– Który nie pije? Bo nasi z Wildy to wszyscy piją – zdziwił się cieć, który znał miejscowych policjantów i dobrze wiedział, że do ulubionych zajęć stróżów prawa należy kontrola wszystkich okolicznych lokali z wyszynkiem.

Fischer roześmiał się głośno.

– Masz pan całkowitą rację. Jak my mamy udawać pijaków, to lepiej by było, jakbyśmy śmierdzieli gorzołą. Daj pan po kielichu na drogę.

Wieczorek natychmiast podszedł do białego kuchennego kredensu. Otworzył drzwiczki dolnej szafki i przez chwilę w niej grzebał, szperając między równymi rzędami weków z kompotami.

Po chwili na stole pojawiła się butelka mętnej wódki własnego wyrobu i wielkie kieliszki z grubego szkła. Gospodarz rozlał alkohol i zaraz policyjne dłonie chwyciły naczynia.

– No to, panowie, do roboty! – zakomenderował Fischer.

Wszyscy wstali, wypili wódkę i ruszyli przed siebie. Do narożnej kamienicy mieli zaledwie sto metrów kiepsko oświetlonej, za to wybrukowanej ulicy. Oskierko poszedł pierwszy. Dwaj pozostali odczekali jeszcze jakies dwie minuty, dając mu czas na zajęcie dogodnej pozycji. Gdy wyszli z bramy, okazało się, że na ulicy zrobiło się białło. Zaczął padać pierwszy śnieg.

Godzina 1.30 w nocy

Nic nie zapowiadało zmiany pogody. No może najwyżej ten wiatr, który zaczął wiać koło południa. Najpierw był lekki i orzeźwiający, tak jakby powietrzne prądy pchające fale zimna zaczęły najpierw wyganiać ciepło nagromadzone w wąwozach miejskich ulic. Ciepło, które zupełnie nie wiedzieć czemu w końcu

listopada jeszcze na dobre siedziało na poznańskich placach i podwórkach. Po północy wiatr, ciągle jeszcze lekki, wpadający między domy łagodnymi falami stał się już znacznie zimniejszy. Temperatura zaczęła gwałtownie spadać, ale nie była to jeszcze zapowiedź mrozu. Bo zima w tym roku nie spadała z nieba gwałtownym i silnym uderzeniem. Zaczęła łagodnie otulać miejski bruk i chodniki lekkim wiatrem, który przyniósł pierwszy śnieg. Płatki spadały z nieba, rozsypując się drobnym pyłem migającym w świetle latarni ulicznych i nielicznych o tej porze pojazdów, które swoimi kołami rozjeżdżały pierwszą warstwę białego dywanu, zostawiając na nim czarne, brzydkie ślady. Mniejsze, drobniejsze odciski, przypominające czarne pieczęcie, zostawiali też ludzie, ci nieliczni przechodnie, którzy gnani własnymi sprawami przemierzali ulice miasta.

Fotograf Maliszewski, stojąc na placu Gwarnym pod lampą elektryczną oświetlającą portal wielkiego budynku Banku Cukrownictwa wpatrywał się w wirujące w górze płatki śniegu. Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem, a niemal całą twarz przesłaniał wełniany, kraciasty szalik, tak że nikt nie mógł dostrzec jego obitej gęby.

Maliszewski stał tak, zadzierając głowę w górę, i podziwiał rozbłyski świetlnych refleksów. To piękne widowisko, które zafundowała mu natura, na chwilę odciągnęło jego uwagę od spraw najważniejszych, którymi żył od kilku dni. A te sprawy nie miały się wcale dobrze. Nie były co prawda tak zagmatwane, jak jeszcze kilka godzin wcześniej, ale i tak przyprawiały go o ból głowy. Oczywiście pod warunkiem, że ten ból nie brał się z bardziej prozaicznej przyczyny, jaką było lanie spuszczone mu przez dwóch bolszewików. I może właśnie te cięgi spowodowały, że Maliszewskiemu wszystko rozjaśniło się w głowie. Dzięki temu nabrał przekonania, że o ile policja jest w stanie poradzić sobie z jego oprawcami, o tyle resztę kwestii powinien załatwić on sam. Bo przecież nie przez przypadek Duch Święty, który kieruje wszelkimi działaniami narodu wybranego, jakim niewątpliwie jest polski naród, skierował go na tę drogę, by w spektaklu urządzonym przez Opatrzność on był tylko niemy widzem. Wręcz przeciwnie, przekonywał sam siebie Maliszewski, w tej rozgrywce dostałem do ręki wszystkie atuty, które mogą sprawić, że będę głównym rozgrywającym.

I dlatego fotograf, zamiast opatrywać swoje rany, postanowił wziąć się do roboty. Ruszył spod banku przed siebie, przecinając plac, który był całkowicie pusty o tej porze. Znalazłszy się po drugiej stronie, wkroczył na chodnik, który w tym miejscu zaczynał ulicę Fredry. Kamienica, do której się wybierał, znajdowała się dokładnie naprzeciwko strzelistej, neogotyckiej budowli ewangelickiego kościoła św. Pawła.

Maliszewski był w tej kamienicy tylko raz, choć wtedy liczył na to, że będzie tu stałym gościem. Miał nadzieję, że doktor Dąbrowski doceni jego starania i wszystkie działania dla dobra ruchu narodowego i wciągnie go do stałej współpracy na wyższym szczeblu, a to wkrótce przerodzi się w zażyłość, która pozwoli mu uczestniczyć także w życiu towarzyskim narodowego

establishmentu. Jednak Dąbrowski nie poznał się na nim, a z jego usług korzystał tylko w wyjątkowych sytuacjach. Ale Maliszewski był oddany sprawie, po cichu licząc, że w końcu ludzie się na nim poznają. Jak dotąd się jednak nie poznali... I tym gorzej dla nich. A najgorzej dla Dąbrowskiego, który go nie docenił. Będzie to musiał dzisiaj naprawić. Nie ma innego wyjścia.

Podszedł do bramy i już chciał załomotać w drzwi, żeby obudzić stróża. Miał dla niego przygotowane nawet dwa złote, bo swój plan obmyślił w każdym szczególe, nie zapominając o takich drobiazgach jak moneta dla ciecia.

No więc już zwinął dłoń w pięść, by zastukać w drewno, gdy nagle spostrzegł, że drzwi w bramie wcale nie są zamknięte. Były przywarte i wystarczyło je tylko pchnąć.

Pchnął i otworzyły się do środka, nie wywołując najmniejszego hałasu. Widać stróż, który się nimi opiekował, był dobrym fachowcem. Myśląc o nim z wdzięcznością, bo nie dość, że postarał się naoliwić drzwi, to jeszcze nie trzeba było mu płacić za otwarcie, ruszył w kierunku klatki schodowej. Schody w tej kamienicy były solidne i dobrze utrzymane. Dla wygody lokatorów wyłożono je chodnikiem, tak by ten tłumił kroki, które mogłyby przeszkadzać mieszkańcom. Bezszelestnie wspiał się na drugie piętro i po chwili stał już przed drzwiami prowadzącymi do mieszkania Dąbrowskiego, jeszcze raz rozważając wszystkie za i przeciw. Gdy w końcu wyszło mu, że nie ma innego wyjścia, jak tylko podjąć działanie, przeżegnał się szybko i zmówił trzy zdrowaśki za pomyślność przedsięwzięcia. Tak przygotowany chwycił za gałkę dzwonka i przekręcił ją szybko kilka razy. Potem, włożywszy dłonie do kieszenie, czekał na ruch za drzwiami. Oczywiście wyobraźni już widział Dąbrowskiego, jak zwleka się z łóżka, złorzeczając nocnemu gościowi. Szuka szlafroka, wkłada papcie i w końcu idzie do drzwi...

Nasłuchiwał bardzo uważnie, ale nikt się nie zbliżał. Zza drzwi nie dochodził najdrobniejszy szmer. To trochę zirytowało fotografa. To po to przychodził tu po nocy, żeby nikogo nie było? A gdzie umowa z Duchem Świętym, który miał go prowadzić? On przecież ze swojej strony dotrzymał warunków i mimo bóleści oraz wyczerpania przyszedł, a druga strona co?

Zadzwoił szybko jeszcze z pięć razy. Nic, cisza. Gdyby to nie był środek nocy, może przywaliłby tu jeszcze kułakiem, a może i by kopnął, ale w nocy to nie uchodzi, jak ludzie w swoich mieszkaniach śpią po trudach dnia.

No cóż, pomyślał Maliszewski, trzeba odejść z niczym...

Ze złości jeszcze szarpnął klamkę i drzwi się otworzyły. Zdumiał się, bo tego nie przewidział. Zdziwiony pchnął je lekko, ale i tu zamki były naoliwione pierwszorzędnie. Co było robić? Wszedł do środka.

Godzina 1.35 w nocy

Dwaj pijacy, podtrzymując się pod ramiona, szli środkiem ulicy. Jeden z nich, wyższy, ale za to chudszy, co chwila tracił równowagę, a ten drugi, bardziej

barczysty i krzepki, podtrzymawał go, niemal cudem chroniąc przed upadkiem. Musieli być pod mocnym gazem, bo ani nie śpiewali, ani nie krzyczeli, ale najzwyczajniej w świecie walczyli z przeciwnościami losu w postaci padającego śniegu. Po chwili wyglądali już jak zesłańcy idący na Sybir z rysunku Grotgera. Oskierko, który znał ten obraz z patriotycznych kart pocztowych, uśmiechnął się, wychwytyjąc natychmiast podobieństwo. Musiał przyznać, że obaj policjanci wyglądają nader autentycznie, wcielając się w rolę pijanych facetów wracających do domu.

Włożył rękę do kieszeni w poszukiwaniu znajomego kształtu, ale pistoletu tam nie było. Zgromił się w myślach za swoją głupotę. Gdyby choć miał szablę. Z szablą w dłoni czułby się bardzo dobrze, a komuś, kto by próbował ucieczki, mógłby przejechać po nogach albo nawet płazować po łbie. No, ale szable nie rosły na ulicach tak jak drzewa.

Spojrzał na jedno rosnące na skwerku naprzeciwko. Próżny trud, nie wlezie na nie, żeby ułamać gałąź. Może w tej bramie, do której właśnie dochodzą policjanci udający pijaków, znajdzie przynajmniej jakiś szpadel albo kij od miotły. Jakaś broń w końcu powinien mieć.

Fischer oparł o ścianę Okonia.

– Ciężki, cholera, jesteś. Musiałeś się tak chwiać? Mało żeś mnie tam na środku ulicy nie pociągnął i byśmy obaj leżeli.

– Przynajmniej było prawdziwie. – Okoń wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No dobra, bierzemy się do roboty! – Komisarz sięgnął do kieszeni i wydobył z niej swojego luga. Okoń nosił na służbie naganta, ponieważ uważał, że jest bardziej niezawodny niż niemiecka spluwa komisarza, a poza tym był prostszy w obsłudze. Fischer pozostawał jednak wierny pistoletowi, który miał ze sobą od chwili, gdy jako młody podporucznik poszedł na wojnę. Zdawał sobie sprawę z przewagi belgijskiego rewolweru, ale nic nie mógł poradzić na przyzwyczajenie. Tym bardziej że nie było konieczności zmieniania broni, bo jak dotąd Policja Państwowa nie miała jednolitego regulaminu określającego typ pistoletów czy karabinów, które powinny być używane przez funkcjonariuszy. Mówiło się nawet żartem, że policjant ma taką broń, jaką sobie przyniesie z domu na służbę. No to każdy z nich miał tę broń, z którą wrócił do domu po wojnie bolszewickiej.

Pierwszy poszedł Okoń. Otworzył furtkę, której Olkiewicz przezornie nie zamknął na klucz, żeby czasami jakiś autentyczny pijak nie narobił rabanu, nie mogąc dostać się do środka. Weszli najciszej, jak mogli, do bramy i po chwili byli już w mieszkaniu stróża Konstantego Nowaka.

Właściciel mieszkania na widok dwóch uzbrojonych facetów poderwał się na równe nogi.

– Siadaj se spokojnie i żeby cię w ogóle nie było słychać. – Olkiewicz szarpnął go za rękę i osadził na powrót na taborecie. – Melduję, panie komisarzu, że wszystko w jak najlepszym porządku, a z chaty można oknem na podwórko dać dyla albo przez sklep na ulicę, bo mieszkanie jest na pierwszym piętrze.

– Nikt nie wychodził z mieszkania?

– Ani żywy duch. Tu z tej kuchni słyhać wszystko, co się dzieje na schodach, to jakby kto szedł, toby się go usłyszało.

– Wszystko słyhać, że się nikt nie prześlizgnie – potwierdził Nowak.

– No to bierzemy się za nich – zarządził Fischer. – Anastazy, idziesz na podwórko i pilnujesz, żeby nikt nie uciekł z bramy na dwór i nie poleciał gdzie na sąsiednie podwórko. Oskierko pilnuje frontu, a my idziemy na górę. Wy idziecie z nami. – Wskazał na stróża.

– Ja? – zdziwił się cieć.

– Macie zapasowe klucze do tego mieszkania?

– Ma się rozumieć, wielmożny panie. Do każdego mam, na wszelaki wypadek.

– Jak wygląda to mieszkanie? – pytał dalej komisarz.

– Niby że jak?

– Korytarz, pokój kuchnia... – podpowiedział Okoń.

– Jakby pan tam był. Korytarz, pokój, kuchnia, wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Ale jaki jest rozkład, baranie? – Nie wytrzymał Olkiewicz, który już się zbierał, żeby go znów trzepnąć w mordę.

– A rozkład to jest taki, że jak się wejdzie do korytarza, to na lewo jest kuchnia, a potem tym samym korytarzykiem się idzie i jest pokój.

– To oni gdzie śpią? W jednym łóżku może? – zainteresował się Fischer.

– Broń Panie Boże. Przecie to dobry chrześcijanie, a nie żadne sadowity. Stary śpi w kuchni, bo tam jest taka mała leżanka, a młody, znaczy się zegarmistrz, ma w pokoju łóżko. Bo jakby w jednym łóżku spali, to ja bym zaraz wiedział. Ale oni nie z tych. Prawda, dziwni trochę, bo mało gadają i nie idzie z nimi pogawędzić, ale żeby tak facet z facetem, to nic z tych rzeczy.

– To prowadź pan, idziemy na górę – polecił komisarz.

Nowak wstał i z kredensu wziął latarnię naftową, wysunął knot i podpalił. Ruszył przodem, a policjanci podążyli za nim. Olkiewicz został na schodach, spoglądając w ślad za swoimi kolegami. Gdy zniknęli mu z pola widzenia, po cichu zszedł trzema kamiennymi schodkami do bramy. Na szczęście nie było tu kompletnie ciemno, bo przez szpary w deskach, z których zbudowano oba skrzydła furty, wpadało nieco światła z ulicy. Wszedł na podwórko i autentycznie się zdziwił. Całe było pokryte białym, puszystym śniegiem.

Godzina 1.40 w nocy

Gdzieś w głębi ciemnego korytarza paliło się światło. To mogło oznaczać tylko jedno – gospodarz był w domu, bo przecież nikt przytomny na umyśle nie zostawia zapalonego światła i nie wychodzi z domu. Zwłaszcza tu w Poznaniu było to nie do pomyślenia. A Maliszewski był typowym poznaniakiem, więc zdziwił się, że Dąbrowski jest w domu i nie reaguje na dzwonek. No chyba że zasnął na kanapie podczas czytania książki albo upił się i tym bardziej zasnął.

Maliszewski nie był grubianinem. Wręcz przeciwnie, uważał się za człowieka

dobrze wychowanego i dlatego nie miał zamiaru wchodzić do czyjegoś mieszkania jak nachalny wierzyciel, który pakuje się do środka, gdy tylko poczuje, że drzwi są otwarte. O, co to, to nie. On wszedł, bo przecież miał do załatwienia ważną sprawę.

– Dobry wieczór! – zawołał niezbyt głośno, jednak na tyle, by gospodarz mógł się przebudzić. Ale dalej w mieszkaniu było cicho. A przecież wiadomo, że jak człowiek się budzi pod wpływem wołania, to albo ziewnie, a jak nie daj Boże się przestraszy, to kubek po kawie wyleci mu z brzękiem na podłogę, a może i sam zleci z szezlonga, na którym zasnął. Bo Maliszewski, który był kiedyś w salonie, gdzie teraz paliło się światło, wiedział, że stoją tam trzy fotele i szezlong, a między nimi taki chiński stolik kawowy, na którym gospodyni doktora stawiała przed nim kawę w delikatnej jak papier chińskiej filiżance.

– To filiżanka przywieziona prosto z Chin – wyjaśnił Dąbrowski, widząc w oczach Maliszewskiego ciekawość pomieszana z zachwytem. Owszem, pijał kawę z porcelany miśnieńskiej albo diabli wiedzą jakiej jeszcze, ale żadna z nich nie była tak cienka. Wydało mu się, że gdyby ją upuścił, musiałyby się roztrzaskać na milion kawałków.

– Zauważył pan zapewne podobieństwo do fajansów holenderskich, które również zdobione są niebieskimi obrazami. Jednak te z holenderskiego miasta Delft to tak naprawdę imitacje prawdziwej porcelany z Chin.

– Tak? Coś takiego – zdziwił się Maliszewski, który nigdy nie słyszał o takim holenderskim mieście ani nawet o holenderskich fajansach.

– Proszę sobie wyobrazić, że porcelanę wynaleziono w Chinach już w siódmym wieku.

– Nieprawdopodobne!

– To wtedy nasi sarmaccy przodkowie przemierzali stepy Wschodu w poszukiwaniu dogodnego miejsca zamieszkania. A skoro stepy, to znaczy, że musieli mieć kontakty z wielką cywilizacją chińską. Niech pan pomyśli, Maliszewski, że Sarmaci tak jak my teraz mogli pić z chińskiej porcelany.

– Kawę?

Dąbrowski spojrzał na Maliszewskiego, a potem zmienił temat. Fotograf do dziś pamiętał, że nie wiedząc czemu nie odpowiedział mu wtedy na to jego pytanie. Może ono było zwyczajnie głupie? Może ci, no, jak im tam, Sarmaci, co przemierzali te stepy, pili tylko wodę. No tak, jak to są nasi przodkowie, to przecież nie mogli pić nic innego.

– Panie Dąbrowski, halo, halo! – zawołał ponownie, ale znów nikt mu nie odpowiedział. – Dobry wieczór!

Stał tak na korytarzu i nie wiedział, co teraz powinien być zrobić. Może najkorzystniej było się wycofać, wyjść i wrócić jutro. Ale jutro będzie tu u niego komisarz Fischer i cała sprawa się zakończy. Nie, tak być nie może. Pójdzie do pokoju, rozmówi się z nim, powie, co myśli o tym łajdactwie, które Dąbrowski przedsięwziął wraz z tymi niegodziwymi bolszewikami, a potem...

Włożył rękę do kieszeni i natychmiast poczuł się pewniej, gdy jego palce natrafiły na chłodną rękojeść jego niewielkiej, belgijskiej szóstki.

Na stos rzuciliśmy swój życia los, na stos, na stos... – zanucił pod nosem pieśń legionową, bo akurat żadna inna mu nie przychodziła do głowy, a potem ruszył szybkim krokiem w kierunku drzwi do oświetlonego pokoju. Natychmiast dostrzegł szeszlony, stolik japoński z dwiema filiżankami i rozrzuconą talią kart, tak jakby przed chwilą dwaj gracze skończyli partyjkę. Przypomniał sobie, że Dąbrowski uwielbiał grać w karty i często organizował u siebie karciane spotkania, na które jego jednak nigdy nie zaprosił.

Przy stoliku stały trzy głębokie fotele z obiciem w bordowe kwiaty na kremowym tle. Na jednym z nich, na tym dokładnie na wprost drzwi, siedział doktor. Patrzył na Maliszewskiego szeroko otwartymi oczyma.

Zastygł z przerażenia, zobaczywszy mój pistolet, pomyślał fotograf i dla spotęgowania wrażenia wysunął uzbrojoną rękę przed siebie.

– Wiem wszystko, panie Dąbrowski, o pana nieczystych sprawkach, o kontaktach z bolszewikami i o tym, że wspólnie chcecie zgładzić marszałka Piłsudskiego. Nie jestem zwolennikiem tego człowieka i jego moralnej sanacji, ale Polska to nie Francja, tu się nie zabija władców! Wasz czyn, jeśli się powiedzie i zamachowcy zostaną złapani, będzie dla naszego ruchu wyrokiem śmierci i wtedy w tym naszym nieszczęsnym kraju zatryumfuje żydostwo. A ja jako Polak i katolik nigdy na to nie pozwolę. Dlatego wybrałem tę drogę rozwiązania problemu, którą będzie usunięcie pana, któren jesteś jak kij wsadzony w szprychy naszej narodowej maszyny.

Dąbrowski nie poruszył się nawet.

– Co, nie chcesz pan nic powiedzieć przed śmiercią?

Nadal nic, ale Maliszewskiemu zdało się, że wargi Dąbrowskiego lekko się wygięły w drwiącym uśmiechu. To go rozsierdziło jeszcze bardziej.

– Pan się ze mnie śmiejesz? Zawsze się ze mnie naśmiewałeś. Nie doceniałeś mnie pan. A to właśnie ja odkryłem najgłębszą twoją tajemnicę zamachu na marszałka. Na szczęście pokrzyżowałem wasze zdradzieckie plany. Policja już wyłapuje tych bolszewickich siepaczy, a jutro rano ma zamiar pana aresztować i postawić przed sądem. Więc dla dobra narodowej sprawy nie dopuszczę do tego, aby...

Naraz poczuł, że ktoś łapie go od tyłu za gardło i ściska z całej mocy jedną ręką, a drugą próbuje odebrać pistolet. Naprężył wszystkie mięśnie, by wyrwać się napastnikowi, ale ten był od niego znacznie silniejszy. Poczuł, że słabnie i zaczyna zapadać się w ciemność. Nim jednak wpadł w bezkresną otchłań, zdążył jeszcze usłyszeć potężny huk wystrzału zwiokrotniony jakimś nieziemskim echem. Zdziwił się, że jego belgijka jest taka głośna. Ktoś coś powiedział tuż przy jego uchu, a potem nikogo już nie było słyhać.

Godzina 1.40 w nocy

Stróż Nowak odczepił od pęku kluczy ten właściwy i podał go Fischerowi. Ten obejrzał go uważnie w świetle latarni, którą trzymał w ręce Okoń, tak jakby chciał sprawdzić, czy to aby na pewno ten klucz. Potem przekręcił nim w powietrzu w prawo i w lewo, spoglądając pytająco na ciecia. Ten wzruszył ramionami i rozłożył bezradnie ręce, ale zaraz się uśmiechnął, bo zrozumiał, w czym rzecz, i pokazał prawą stronę. Fischer wiedział już więc, w która stronę otwiera się zamek. Nie był włamywaczem takim jak Tolek Grubiński, więc zamki umiał otwierać tylko kluczami i wołał się upewnić, w która stronę się trzeba przekręcić, żeby nie narobić niepotrzebnego hałasu

Znów na migi pokazał Nowakowi, że ma się cofnąć. Okoń podał mu lampę i wskazał miejsce, w którym powinien stanąć. Sam sięgnął po rewolwer i zastygł w bezruchu, przyglądając się temu, co robi komisarz. Ten przyklęknął przed drzwiami i ostrożnie włożył klucz w dziurkę, po czym bardzo powoli przekręcił go w prawo. Zamek wydał cichy klekot. Fischer nacisnął jeszcze mocniej i w końcu ustąpił. Zadowolony odwrócił głowę i uśmiechnął się do swojego podwładnego, a ten z uznaniem pokiwał głową. Oficer podniósł się, bezwiednie otrzepał kolana, po czym wyciągnął pistolet. Obaj policjanci byli gotowi do wejścia, skupiając spojrzenia na drzwiach. Żaden z nich nie zauważył, że stojący za nimi stróż próbował im na coś zwrócić uwagę. Nie udało mu się jednak. Chciał więc pociągnąć Okonia za rękę, ale ten ruszył już ku wejściu, bo Fischer akurat nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły powoli i stanęły, bo łańcuch zapięty od wewnątrz nie pozwolił im przesunąć się dalej.

– Łańcuch! – syknął Okoniowi do ucha Nowak.

– Kurwa! – warknął policjant i nie czekając ani sekundy, postąpił tak, jak uczono go w wojsku. Jeśli nie wiesz, co masz robić, atakuj!

Podniósł prawą nogę do góry i z wielkim impetem uderzył podeszwą buta w drzwi. Łańcuch zagrządzający im wejście wyrwał się z obejm i zadzwonił przeraźliwie. Ale żaden z policjantów nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Pchany impetem własnego kopnięcia Okoń wskoczył do środka i zatrzymał się przy otwartych drzwiach prowadzących do kuchni. Podążający za nim Fischer skoczył głębiej, mijając kuchnię, by jak najszybciej dopaść pokoju.

– Policja! – krzyknął Fischer. – Wychodzić z rękami w górze, bo inaczej będziemy strzelać!

– Policja! – powtórzył głośno Okoń. – Wychodzić, ale już!

– Panowie to policja, lepiej się zdawajcie. To ja mówię, Nowak Konstanty!

Strzał rozdarł nocną ciszę. Zanim huk dotarł do Okonia, ten zobaczył rozbłysk na prawo od drzwi. Natychmiast przyklęknął i pewnie to uratowało mu życie. Na szczęście dla siebie zarejestrował, z jakiego poziomu ktoś strzelał. Była to mniej więcej wysokość łóżka. Zaskoczyli więc bolszewików we śnie. Niewiele się zastanawiając, posłał w tamtym kierunku dwie kule i zaraz usłyszał czyjś krzyk, a potem jęk.

– Dostał żeś, skurwysynu? Rzucaj broń, bo strzelę jeszcze i będzie po tobie.

W odpowiedzi dostrzegł kolejny rozbłysk i usłyszał huk. Bolszewik nie zamierzał się tanio sprzedać.

– Wychodź z rękami do góry, a nic ci się nie stanie! – wołał z drugiego końca korytarza Fischer, ale nikt mu nie odpowiedział. Nikt też nie ostrzeliwał się z pokoju, przed którym stał. Na wszelki więc wypadek strzelił dwa razy w ciemność. Nie było żadnego odzewu. Za to u Okonia walka trwała w najlepsze. Zaraz po drugiej serii wystrzałów policjant usłyszał głuchy huk, jakby kto workiem kartofli cisnął o drewnianą podłogę, a potem głośny jęk. Okoń natychmiast domyślił się, że jego przeciwnik sturlał się z łóżka.

Na korytarzu rozbłysło światło. Przodownik spojrzął za siebie. W drzwiach stał stróż z przylepionym do ust głupim uśmiechem i dłonią na włączniku elektrycznym. Już chciał krzyknąć na niego, by natychmiast wyłączył, ale naraz spojrzął na ścianę na wprost drzwi od kuchni. Na wysokości twarzy przeciętnego wzrostu mężczyzny wisiało niewielkie lustro. Podniósł się i spojrzął na nie. Było w nim widać niemal całą kuchnię, ale przede wszystkim rozgrzebane łóżko. Pod nim dostrzegł gołe nogi.

– Okoń, co u ciebie? – zawołał z głębi mieszkania Fischer.

– Leży lebiega pod wyrkiem. Chyba gnoja trafiłem. A co u pana?

– U mnie pusto. W łóżku nie ma nikogo, tylko bety rozryte. Przed chwilą musiał tu jeszcze być.

– Może w szafie siedzi?

– Siedzisz w szafie? – zawołał Fischer, ale nikt nie odpowiedział. Na wszelki wypadek strzelił dwa razy w drzwi mebla. Na próżno. Włożył więc rękę i wymacawszy pokrętko elektryczne, włączył światło. Ostrożnie zajrzał do środka. Pokój był pusty. – U mnie nie ma nikogo! – stwierdził i wolnym krokiem, cały czas z pistoletem w dłoni, podszedł do miejsca, w którym stał Okoń. Ten wskazał mu lustro. Przez chwilę Fischer wpatrywał się w odbicie.

– Leży pod wyrem i nie chce wyjść – wyjaśnił podoficer.

– Ej, ty tam pod łóżkiem, wyłaź! – krzyknął Fischer.

– Spierdalaj! – odpowiedział bolszewik.

– Daję ci pół minuty na zastanowienie.

– Spierdalajcie, skurwysyny jedne!

– No dobra, sam żeś chciał.

Fischer spojrzął na Okonia, podniósł nogę i wskazał mu piętę. Przodownik natychmiast zrozumiał, w czym rzecz. Postrzał w to niezwykle wrażliwe miejsce jest bardzo bolesny. Małe były szanse, że facet z taką raną zachowa przytomność. Nie mieli więc innego wyjścia. Trzeba było go postrzelić i wyciągnąć spod łóżka, żeby zachować bandziora przy życiu. Chcieli go dopaść żywego.

Okoń zsunął się po ścianie, potem przyklęknął na jedno kolano, cały czas patrząc w lusterko, które na szczęście było powieszona jak ikona w ruskiej chacie – pod kątem w stosunku do płaszczyzny ściany.

Sprawdził bębenek naganta i uśmiechnął się szeroko do Fischera. Ten zmrużył oczy na znak, że może zacząć działać. Okoń wziął jeszcze jeden głęboki oddech, a potem błyskawicznie odwrócił się, wychylając się lekko zza framugi, i pociągnął za spust. Krzyk rannego urwał się gwałtownie.

– Załatwiony, panie komisarzu – stwierdził flegmatycznie przodownik, po czym wstał i dla potwierdzenia swoich słów wszedł do kuchni, jednak cały czas z pistoletem gotowym do strzału. Jak zaraz się okazało ta ostrożność tym razem była zupełnie niepotrzebna. Postrzelony bolszewik był nieprzytomny. Okoń wyciągnął go za nogę. Fischer, który wszedł za nim, pochylił się nad rannym.

– To nie ten, co żeśmy go szukali – stwierdził.

– To jest właśnie pan zegarmistrz Latała Tomasz – wyjaśnił cieć, który gnany ciekawością wsunął głowę do kuchni.

– Idźcie, człowieku, na korytarz i uspokójcie mieszkańców – polecił Okoń. – Powiedzcie im, że to policja robi porządki z bolszewikami, żeby se nie myśleli, że bandyci napadli dom.

– Oni wszyscy już wszystko wiedzą. Ja już żem im co trzeba objaśnił.

Za jego plecami zrobił się jakiś ruch. Pchnięty od tyłu stróż poleciał do przodu, a za nim do środka wpadli dwaj mundurowi policjanci. Obrzucili wewnątrz badawczym spojrzeniem, ale dostrzegłszy Fischera i Okonia pochylających się nad leżącym człowiekiem, natychmiast się uspokoiłi. Ten pierwszy podrapał się po policzku, uśmiechając się przy tym.

– Melduję, panie komisarzu, że jakby co, to my tu są.

– Wołał was kto? – mruknął Fischer, ale nie było w tym złości. Zanim wkroczył ze swoimi ludźmi na ulicę Strumykową, kazał pięciu mundurowym, których zabrał na akcję, zabezpieczyć dyskretnie wylot ulicy w kierunku Rynku Wildeckiego. Więc zabezpieczyli, siedząc cały czas w samochodzie.

– Jakeśmy usłyszeli strzelaninę, to zaraz żeśmy tu przylecieli.

– A aspirant Oskierko jest na dole? – zapytał Okoń.

– Melduję, że nigdzie go ni ma.

– To ja skoczę się rozejrzeć, panie komisarzu. – przodownik nie pytał o pozwolenie. Raczej stwierdził fakt. Nie czekając więc na zgodę przełożonego, wyszedł z kuchni. Fischer zajęty postrzelonym mężczyzną nie zwrócił nawet uwagi na ten akt niesubordynacji podkomendnego. Oprócz paskudnej rany pięty facet miał też postrzelone udo i okolice ramienia. Policjant musiał przyznać, że miał szczęście. Żadna z ran nie zagrażała życiu.

– Słuchajcie, posterunkowy – zwrócił się do policjanta stojącego w drzwiach. – Umiecie opatrywać rannego?

– Ja melduję, że umiem – odpowiedział policjant.

Fischer nie pytał dalej. Sam meldunek wystarczył, żeby mieć pewność, że ma do czynienia ze starym frontowcem, a na froncie każdy musiał mieć tę umiejętność.

– Weźcie to prześcieradło – wskazał na łóżko – i zróbcie, co trzeba, zanim go nie zabierze ambulans.

– Tak jest! – Posterunkowy zsalutował i zaraz podszedł do rannego. Fischer tymczasem zabrał jego pistolet, takiego samego naganta, jak nosili Okoń i Olkiewicz, i poszedł rozejrzeć się po mieszkaniu. Wrócił do pokoju, w którym przed chwilą szukał drugiego bolszewika. Na oparciu krzesła przy łóżku zobaczył równo przewieszane spodnie, a na nich rozłożoną marynarkę. Nigdzie

nie było widać butów.

Pomyszkował trochę po pomieszczeniu, ale nie znalazł niczego ciekawego. Wrócił więc na korytarz i wówczas na samym jego końcu dostrzegł kłapę w podłodze. Była podniesiona. To tędy zapewne wchodziło się do zakładu piętro niżej.

Nie zauważył tego zejścia wcześniej. To był błąd. Drugi bolszewik musiał z niego skorzystać i zejść na dół. Być może siedział jeszcze w tym zakładzie. Ale coś tu się nie zgadzało. Oskierko! Przecież wyjście blokował aspirant Oskierko. Gdyby tamten próbował wyjść na zewnątrz i uciec, Oskierko powinien był go dopaść, zatrzymać, a w najgorszym razie zastrzelić. Gdzie jest ten cholerny Oskierko? Policjanci meldowali, że nikogo nie ma przed budynkiem. Co się, u licha, dzieje?

– Panie komisarzy! – Usłyszał za sobą Okonia. Odwrócił się. Przodownik miał nieco strapioną minę.

– Co się stało?

– Nie ma go.

– Oskierki?

– Tak jest. Aspirant gdzieś zniknął. Sprawdziłem wszystko przed kamienicą, a na tym śniegu to idzie czytać jak w elementarzu i wszystko widać.

– Co widać, gadaj, do cholery!

– No widać, że ktoś wyszedł z tego zakładu zegarmistrza na dole, bo tak te ślady pokazują, i widać, że ktoś do niego podeszedł, no a potem oba se poszli razem.

Fischer spojrział na Okonia, jakby ten kompletnie zwariował. Ale podoficer wyglądał całkiem przytomnie. Na pewno nie majaczył.

– Jasna cholera, co tu się dzieje?

– Może Oskierko zaprowadził go za róg, żeby go kropnąć, panie komisarzy. On strasznie nie lubi bolszewików.

– Idziemy! – zakomenderował Fischer i niemal pobiegł przez korytarz, a później schodami w dół, roztrącając mieszkańców kamienicy, którzy żądni sensacji czekali na schodach na kolejną relację stróża. Ciec był w samym środku wydarzeń i właściwie wyrastał już na główną postać akcji.

W bramie stał Olkiewicz i spokojnie palił papierosa.

– Widziałeś Oskierkę? – rzucił Fischer.

– Oskierkę? – zdziwił się. – No przecie poszedł gdzieś z tym bolszewikiem. – Powiedział, że zaraz wraca.

– Jak powiedział?

– No jak strzelanina wybuchała na górze, to nic się nie działo, tom se pomyślał, że nikt i tak z tej strony nie wyleci, a raczej od ulicy przez warsztat, tom wyszedł tam na zewnątrz, a tam pan aspirant stał z takim jednym szuszwolem, co miał na gołe giry nałożone trzewiki i płaszcz, znaczy bez porów był, i pan Oskierko powiada, że ma zatrzymanego i że mam wracać na swoją pozycję, no tom się wrócił. A co, nie ma go?

Fischer nie słuchał już więcej. Wybiegł przez bramę na ulicę. Jeśli ten

cholerny Oskierko postanowił zlikwidować bolszewika, to następnym trupem będzie on sam, myślał gorączkowo. Zabiję idiotę, jak nic go zabiję!

Zatrzymał się przed wyjściem do zegarmistrza. Na śniegu widać było wyraźnie ślady butów kogoś, kto wychodził ze środka.

– O, tu wylazł. – Wskazał Okoń. – A tu dopadł jego Oskierko. – Pokazał kolejne ślady dwa metry dalej, gdzie śnieg był udeptany, a na ulicy, nie wiedzieć czemu i w ogóle skąd, leżała miotła z witek wiklinowych, osadzona na drewnianym stylisku. – Tak jakby se postali, pogadali i poszli se dalej. – Przodownik wskazał nieodległe skrzyżowanie, w którego kierunku wiodły podwójne ślady. Komisarz ruszył w tę stronę jak indiański tropiciel po śladach bladych twarzy. Szlak za ostatnią kamienicą na rogu Strumykowej i Prądyńskiego skręcał w prawo i urywał się w miejscu, gdzie świeży śnieg przecinał podwójny, równoległy tor wyznaczony przez koła jakiegoś wozu.

– Wsiadli do dorożki? – Okoń był nie mniej zdumiony od komisarza. Przecież tu nic się nie zgadzało. Po co Oskierko miał odjeżdżać gdzieś z bolszewikiem?

Fischer obejrzał się za siebie w głąb ulicy Strumykowej. Tam naprzeciw kamienicy zegarmistrza stała dorożka, którą niedawno przyjechali policjanci. Natychmiast podjął decyzję.

– Za nimi! – zawołał i pobiegł w kierunku dryndy. Okoń oczywiście pobiegł za nim, choć przez chwilę nie wiedział, dlaczego komisarz zamiast biec po śladach, chce gnać za nimi w zupełnie odwrotnym kierunku.

Godzina 2.05 w nocy

Oskierko nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje wokół niego. Jechał przez opustoszałe miasto dorożką, ale nie komfortowo, jak oficerowi przystało, ale związany i zakneblowany, a do tego jeszcze przykryty śmierdzącą derką po sam czubek głowy. Nie na tyle jednak, żeby nie widział, gdzie jest. Widział dobrze jakieś kamienice, niezbyt wysokie, bo zaledwie jedno- czy dwupiętrowe, więc miał pewność, że jest w Poznaniu, ale w jakiej jego części, nie miał zielonego pojęcia. Zresztą jakie to miało znaczenie, skoro przez ten krótki okres swojego pobytu w tym mieście poznał zaledwie kilka głównych ulic i okolice dyrekcji policji. Prawda, poznał jeszcze kawałek Garbar i Mostową, a do tego z bardzo bliska mógł się przyrzuć najbliższej dzielnicy Poznania, czyli nadrzecznym slumsom. A teraz przez własną głupotę miał okazję przyglądać się domom na jakichś peryferiach, na które uwożony był wbrew swojej woli. Ciekawe, zastanawiał się, co pomyśli sobie Fischer, kiedy nie zostanie go przed zakładem zegarmistrzowskim. Pewnie weźmie się pod boki swoim zwyczajem, rozejrzy się, a stwierdziwszy, że nie ma go nigdzie w pobliżu, powie do Okonia: „Ten Oskierko to się na policjanta zupełnie nie nadaje. Ciągle z nim kłopoty”. Okoń zaś pokiwa głową i stwierdzi: „Z tej Warszawki to przysyłają nam do roboty ludzi gorszego sortu, jakby u nas w Poznaniu mało było zdolnych podoficerów, co z nich można zrobić aspirantów w trymiga”. A potem zaklnie pod nosem

i splunie w śnieg.

Spojrzał na plecy woźnicy, a właściwie powożącego, bo woźnica przestał powozić dorożką już jakiś czas temu i musiał miejsca na koźle ustąpić temu draniowi. Zresztą nie tylko miejsca, ale i spodni, bo bolszewik był ubrany dość niekompletnie.

Gdy dwaj policjanci, Fischer i Okoń, wkroczyli do bramy kamienicy, Oskierko zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami opuścił miejsce, w którym dotąd czuwał, i podszedł pod budynek. Stał mniej więcej w połowie dystansu między bramą i wejściem do zakładu zegarmistrzowskiego. Stał i nasłuchiwał. Nic się nie działo. Przez cały czas zastanawiał się, w jaki sposób powinien się zachować, jeśli nagle przestępca wyjdzie na ulicę. Jednak nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy. Wiedziałyby, co zrobić, gdyby miał w dłoni jakąś broń albo choć kawał solidnego kija. No właśnie, może kij znalazłby się w bramie?

Ostrożnie wszedł do środka i rozejrzał się na boki, ale niewiele dostrzegł, bo wewnątrz nie paliło się żadne światło. Trochę jasności wpadało za to z ulicy. W tej smudze światła przesunął się najpierw w lewo, dochodząc do samej ściany, jednak na nic nie natrafił. No to spróbował w prawo i naraz ku swojej wielkiej radości namacał dłonią jakiś podłużny kształt. Był to trzonek od miotły. Zwyczajnej miotły z wikliny albo brzozowych witek, w których wiązkę wsadzono drewniany kij. To musiała być zapewne miotła należąca do stróża tej kamienicy, bo któż inny chowałby w tym miejscu coś takiego? No cóż, chyba się nie obrazi, że jego narzędzie codziennej pracy zostanie wykorzystane do walki z bolszewizmem

Wyszedł z miotłą przed budynek i oparł się o nią jak prawdziwy cieć. Teraz już znacznie spokojniej mógł czekać na to, co się wydarzy. Kilka minut później, gdy już zastanawiał się, czy aby nie zrobić z miotły użytku i nie odgarnąć trochę śniegu, bo od tego stania zrobiło mu się zimno, usłyszał, że ktoś cichcem wspina się po schodach. Nie jedna, ale przynajmniej dwie osoby. To znaczyło, że się zaczęło i jego towarzysze rozpoczynają atak. Nie było więc czasu na rozgrzewkę i zamiatanie. Stał się stokroć bardziej czujny. Postanowił, że teren, który mu powierzono, będzie przemierzał wojskowym, wartowniczym, ale cichym krokiem w tę i z powrotem, żeby czasami niczego nie przegapić. Przeszedł więc do zegarmistrza, obróciwszy się, wrócił do bramy i znów się odwrócił, by podejść do zakładu. Gdy był już w połowie dystansu, naraz stanął osłupiały. Drzwi od warsztatu otworzyły się i na zewnątrz wyszedł facet w kapeluszu przypominającym nieco melonik, ale o szerszym rondzie, w palcie i w butach założonych na gołe nogi. Wyglądał jak uciekinier z zakładu dla obłąkanych. Stał na ulicy, spojrzał w prawo, potem w lewo i wówczas ich spojrzenia się spotkały. Mężczyzna uśmiechnął się i wtedy Oskierko zauważył, że lewa strona jego twarzy jest podrapana. To był on, morderca kobiety i bolszewik w jednej osobie. Najniebezpieczniejszy człowiek, z jakim aspirant miał w swoim życiu do czynienia, choć na wojnie ciął z siodła niejednego

groźnego komunistę...

– Ma pan może co zapalić? – zapytał ni z tego, ni z owego bolszewik. Oskierko włożył rękę do kieszeni, ale i tak wiedział, że niczego tam nie znajdzie. Był przecież niepalący. Jednak znalazł. W lewej kieszeni były papierosy. Zdziwił się, bo przecież nigdy ich nie nosił, bo i po co. No tak, ale ten płaszcz, który miał na sobie, nie należał przecież do niego. Jego właścicielem był jakiś palacz. Wydobył więc paczkę i wyciągnął w kierunku bolszewika.

– Wie pan, w nocy się chce palić, a w domu nic człowieka nie ma, no to wyszedłem, żeby od kogo wziąć jednego... – zaczął z uśmiechem tłumaczyć facet z podrapaną facjatą.

Naraz do ich uszu doleciał jakiś łoskot dochodzący przez otwartą bramę z klatki schodowej. Oskierko spojrział w tamtym kierunku.

– Pewnie sąsiad znów bije żonę – wyjaśnił facet, biorąc papierosa. – A ogień pan masz?

– Nie mam – odrzekł aspirant. – Musiałem gdzie posiać zapałki.

– To ja skoczę do sąsiada naprzeciwko. – Wskazał głową narożną kamienicę. – On nie chodzi spać zbyt szybko.

W tym momencie rozległy się strzały. Mężczyzna popatrzył na aspiranta, a ten, nie tracąc zimnej krwi, wycelował mu prosto w pierś kijem od miotły.

– Ręce do góry! Policja Państwowa. Ani kroku, stać z rękami w górze!

Facet spojrział na kij, a potem na Oskierkę i uśmiechnął się szeroko. Nic sobie nie robiąc z ostrzeżeń policjanta, włożył prawą rękę do kieszeni i wyciągnął rewolwer. Oskierko jęknął rozpaczliwie. Gdyby miał ze sobą swój pistolet, już by było po bandycie, a tymczasem jest już po nim. Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... zaczął w myślach odmawiać modlitwę, czując, że za chwilę uda się na spotkanie ze Stwórcą

– Rzuć tę miotłę! – warknął bandyta.

Oskierko posłusznie rzucił.

– Teraz odwracaj się!

Odwrócił się bez zbędnego gadania i natychmiast poczuł, jak lufa pistoletu wbija mu się w kręgosłup.

– Ruszaj do przodu, ale szybko!

W tej chwili z bramy wyszedł przodownik Olkiewicz i zdziwiony spojrział na Oskierkę i obcego mężczyznę.

– Powiedz mu, żeby spierdalał – wysyczał aspirantowi do ucha bolszewik.

– Mam zatrzymanego. Zaraz z nim wrócę – rzucił Oskierko i obaj ruszyli przed siebie. Olkiewicz wzruszył tylko ramionami. Tych oficerów, zwłaszcza tych z Kongresówki, pomyślał, to normalny człowiek za cholere nie zrozumie.

Gdy tylko minęli narożną kamienicę, tę samą, przy której jeszcze niedawno Oskierko miał swój punkt obserwacyjny, nagle z lewej strony wyłoniła się dorożka ciągnięta przez szkapę wlokącą się noga za nogą. Woźnica z pochyloną głową najwyraźniej drzemał. Ma w końcu prawo, bo to przecież środek nocy, pomyślał ni stąd, ni zowąd policjant.

– Łap konia za uzdę! – warknął mu do ucha bolszewik. Oskierko chwycił bez

trudu. Dorożka stanęła i to natychmiast spowodowało, że woźnica się ocknął.

– Co jest, do cholery? – krzyknął i chwycił za bat osadzony w uchwycie przy koźle.

– Spokojnie, panie starszy – odezwał się bolszewik. – Kurs ekstra się szykuje do miasta.

– Łe jak kurs, to ni mo o czym gadać. Panowie wsiadają.

Oskierko został wepchnięty do tyłu, a zaraz za nim wtoczył się jego porywacz.

– To dokąd? – zapytał woźnica.

– A Półwiejska to pan wiesz, gdzie jest?

– Ady mi pan nie godej – odpowiedział głosem pełnym urażonej dumy. Strzelił batem nad końskim zadem i niemrawa kobyła natychmiast ożyła. Po chwili dorożka była już na ulicy Roboczej, jadąc wzdłuż ceglanego muru głównych zakładów kolejowych. Wtedy bolszewik kazał zatrzymać wóz.

– Co jest? – zdziwił się siedzący na koźle wąsacz, odwracając się do pasażerów.

– Ściągaj, chłopie, pory i ciąg w długą!

– Że co?

Porywacz wyciągnął w jego kierunku dłoń z pistoletem i ten argument był dla woźnicy wystarczający. Trzydzieści sekund później na koźle zostały tylko jego portki.

Oskierko, nabrawszy pewności, że facet nie dybie na jego życie, bo przecież gdyby chciał, mógł go dawno załatwić, postanowił spróbować negocjacji.

– Niech się pan zastanowi, po co pan ucieka. Przed policją nie da się uciec, a do tego jeszcze uprowadzenie funkcjonariusza to przecież... – nie dokończył, bo bolszewik zdzielił go w łeb kolbą rewolweru na tyle mocno, że aspirant natychmiast zapadł się w ciemnych otchłaniach.

Gdy się ocknął, zauważył, że cały czas jedzie dorożką, która mija jakieś domy, a on nie może się ruszać, bo ma skrępowane ręce i nogi, knebel w gębie, a do tego jeszcze jest przykryty grubą derką.

Zastanawiał się, jak długo już trwa ta podróż i dokąd też może go wywieźć ten zbir. Ale widok ścian mijanych domów niewiele mu mówił. No, poza jednym. Domy stawały się coraz mniejsze, a po jakimś czasie skończyła się szczelna ściana budynków, by ustąpić miejsca pojedynczym zabudowaniom. Wyglądało to tak, jakby z miasta wyjechali na wieś. Upewniło go w tym przekonaniu najpierw ujadanie pierwszego psa, do którego po chwili przyłączył się cały okoliczny chór.

Wywozi mnie za miasto, żeby mnie zastrzelić? – zapytywał sam siebie Oskierko. Zapytałby oczywiście tego bolszewika, który powoził, ale z zatkaną gębą się nie dało. Musiał czekać cierpliwie, co przyniesie los. W końcu wóz się zatrzymał. Mężczyzna zeskoczył z koźła i poszedł dokądś niedaleko, bo policjant słyszał łomotanie do drzwi i ich skrzypienie. Dwaj ludzie rozmawiali ze sobą, ale na tyle cicho, że nie dało się pojąć sensu ich rozmowy. W końcu jakaś ręka chwyciła aspiranta za kołnierz i wywlekła go z wozu. Kapelusz, który miał na głowie, zsunięto mu na oczy, tak by niczego nie mógł dostrzec, jednak zanim to

zrobiono, zauważył jednopiętrowy dom z cegły o czterech oknach od strony ulicy. Oskierko, stojąc już na drodze, poczuł, że spodnie zsuwają mu się z tyłka, więc chwycił je w garść i wówczas zrozumiał, że to, co krępowало mu ręce w przegubach, to był jego własny pasek. Nogi musiał mieć powiązane paskiem woźnicy, który zresztą teraz jego porywacz zdjął mu z kostek i dzięki temu mógł iść przed siebie prowadzony przez jakąś silną dłoń. Chwilę później zeszli schodami w dół do jakiegoś śmierdzącego pomieszczenia, w którym prócz kocich szczyn czuć było kiszoną kapustę. Posadzono go na klepisku pod ścianą i został sam. Od razu podniósł zasłaniający oczy kapelusz, żeby rozejrzeć się wokół, ale na nic się to zdało. W miejscu, w którym się znalazł, panowały kompletne ciemności.

Godzina 3.10 w nocy

Maliszewski otworzył oczy i ze zdziwieniem zauważył, że zamiast świetlistego anioła o płowych włosach, który powinien go witać w zaświatach, widzi nad sobą wielką gębę jakiegoś faceta.

– Ocknął się cholernik – warknęła gęba i fotograf natychmiast poczuł smród przetrawionego alkoholu. Skrzywił więc nos i chciał się nawet podrapać, ale gdy zaczął unosić jedną rękę, ze zdziwieniem zauważył, że i druga idzie w górę.

– Jak już się przebudził, to posadźcie go na krzesło – poleciał jakiś głos.

– Kiedy tu ni ma krzesła.

– To przynieście jakieś z innego pokoju.

Po chwili poczuł, jak czyjeś ręce unoszą go z łatwością w górę i sadzają na miękkim krzesle przyniesionym zapewne z jadalni. I gdy już go posadzono, ze zgrozą zobaczył, że Dąbrowski siedzi tak samo, jak siedział, gdy widział go po raz ostatni. Tym razem jednak coś się zmieniło. Posadzono go jakieś dwa metry od fotela, na którym siedział gospodarz. Zapalono też górne światło, bo gdy tu wchodził, paliła się tylko mała lampka stojąca na biurku. Dzięki temu górnemu oświetleniu mógł teraz uważnie przyjrzeć się twarzy doktora. Usta miał lekko rozchylone, oczy otwarte, a na czole widać było niewielką dziurę, z której wyciekła stróżka jakiegoś różowego płynu.

– Jezus Maria! – jęknął Maliszewski, bynajmniej nie dlatego, że przestraszył go widok trupa. W kompletne osłupienie wprowadził go fakt, że dziura w głowie filozofa do złudzenia przypominała tę, jaką widział kilka dni temu podczas fotografowania zwłok mecenasa Witeckiego. Tamten zginął od kuli, która poślana została w sam środek jego czoła, a podstawa czaszki i mózg rozprysły się na ścianie za jego plecami. Tu musiało być podobnie, jednak roztrzaskane tkanki nie rozprysły się, ale pozostały na miękkim oparciu wielkiego fotela. Fotograf był przekonany, że tak właśnie jest, dlatego niewiele zastanawiając się, wstał i chciał podejść do zabitego, by sprawdzić empirycznie swoją teorię. Jak szybko wstał, tak i szybko usiadł, przytrzymany wielką łapą, która opadła mu na ramię. Spojrzał na prawo, żeby zobaczyć, do kogo należy, i spostrzegł

wielkiego jak tur policjanta. Ten pogroził mu palcem i na wszelki wypadek ścisnął ramię. Więc Maliszewski wiedział już, że ma siedzieć na dupie i się nie ruszać.

– A kogo my tu mamy? – zapytał młody i przystojny aspirant policji, siadając naprzeciw Maliszewskiego na szezlongu. Niespecjalnie czekał odpowiedzi. Wydobył z kieszeni swojej mundurowej marynarki paczkę papierosów, wyciągnął z niej jednego i przypalił za pomocą benzynowej zapalniczki w kształcie karabinowego pocisku.

– No co, zaniemówiłeś? – zapytał, wypuszczając kłęb dymu nosem. – Kulturalni ludzie się sobie przedstawiają na dzień dobry, więc ci powiem, że ja jestem aspirant Bolesław Kwaśniewski, a ten sympatyczny posterunkowy nazywa się Wróbel, a jak nie będziesz chciał z nami gadać, to możesz być pewny, że pan Wróbel spuści ci taki łomot, że cię rodzona matka nie pozna, choć właściwie można by powiedzieć, że już może mieć trudności z rozpoznaniem syna, bo pysk masz sprawiony jak befsztyk tatarski. To pan Dąbrowski tak ci mordę obił? – zapytawszy, uśmiechnął się, ukazując dwa równe rzędy białych zębów.

– Nie – odpowiedział szybko zapytany. – Nazywam się Maliszewski, Wacław Maliszewski i jestem policyjnym fotografem, znaczy się współpracuję z policją. Możecie zapytać o to komisarza Fischera.

Oficer zrobił zdziwioną minę, ale po chwili uśmiech znów wrócił na jego usta.

– Policyjny fotograf? Coś takiego. Odkąd to policyjni fotografowie zabijają spokojnych i szanowanych naukowców?

– Ja nikogo nie zabiłem!

– No proszę, nikogo nie zabił. To ciekawe, jak to się stało, szanowny panie Maliszewski, że znaleziono pana leżącego na podłodze z pistoletem w dłoni w mieszkaniu zabitego pana Dąbrowskiego

– No bo ja, znaczy się, ktoś mnie zaatakował.

– Proszę, proszę, wchodzimy do mieszkania spokojnego człowieka w nocy, z pistoletem w dłoni, strzelamy, a potem nas ktoś atakuje i padamy bez przytomności. Całkiem ciekawa historia. Powiedziałbym nawet, że idealnie nadająca się do powieści o duchach i upiorach. Duch pana zaatakował? A może wyjaśnienie jest prostsze? Może pan zastrzelił gospodarza, a potem przerażony swym własnym czynem padł bez ducha na podłogę. Takie rzeczy się zdarzają, szczególnie wśród ludzi nienawykłych do widoku nieboszczyków.

– Ale to nie tak, ja go nie zabiłem.

– Nie? – zdziwił się policjant.

– Nie zabiłem!

– Coś takiego. A jak pan wytłumaczy, panie fotografie policyjny, że w pańskiej belgijskiej szóstce, którą znaleźliśmy obok pana na podłodze, brakuje jednego naboju?

Przez chwilę w pokoju zrobiło się cicho. Maliszewski zastanawiał się, co powinien odpowiedzieć. Ten człowiek był najwyraźniej przekonany o jego winie. Maliszewski też byłby przekonany, bo przecież pamiętał, że jego pistolet

wystrzelił. Ale gdy zobaczył dziurę w głowie Dąbrowskiego, natychmiast zrozumiał, w czym rzecz. Gdy tu przyszedł, filozof już nie żył. Ktoś musiał go zastrzelić chwilę wcześniej i nie zdążył jeszcze uciec. A on jak jakiś kompletny idiota zaczął ucinać sobie pogawędkę z trupem. Morderca wykorzystał sytuację, zaatakował go i pistolet wypalił. Tyle że nie mógł już zrobić krzywdy nieżywemu. Zresztą pewnie i tak nie trafił, a kula musiała tkwić gdzieś w fotelu albo w ścianie. W każdym razie jego przyjście było dla mordercy prawdziwym zrządzeniem losu, którego tylko kretyn by nie wykorzystał. Zostawiając go ogłuszonego na miejscu, i do tego jeszcze z bronią w ręce, dawał policji piękny prezent – durnia, który sam się wplątał w morderstwo.

Do oficera podszedł umundurowany policjant i przysłoniwszy ręką usta, szepnął mu parę słów do ucha.

– Fotograf już jest? Szybki z niego fachowiec. Ale powiedzcie mu, żeby jeszcze chwilę poczekał. Ja na razie muszę sobie jeszcze pogadać z innym fotografem.

– To wszystko jest nie tak, jak pan myśli, choć okoliczności wskazują zupełnie co innego.

– No proszę, panie Maliszewski, policyjny fotografie, niech pan mówi, zamieniam się w słuch.

– Jakby się pan dobrze rozejrzyał, to kula z mojego pistoletu tkwi gdzieś w ścianie albo w fotelu, ale na pewno nie w głowie zabitego.

– Więc przyznaje pan, że strzelał do Dąbrowskiego.

– Pistolet sam wypalił.

– No tak, wiadomo przecież, że każda broń prędzej czy później sama wypali.

– Pan żartuje sobie, a tu chodzi o poważną sprawę. O ujęcie mordercy.

– Szanowny panie, bądźmy poważni. Fakty są przeciwko panu. Interesuje mnie tylko jedna rzecz. Proszę powiedzieć dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego zabił pan tego poczciwego Dąbrowskiego?

– Nie zabiłem go.

– To może chociaż powie mi pan, w jaki cudowny sposób znalazł się w tym mieszkaniu w środku nocy z pistoletem w dłoni?

– Przyszedłem porozmawiać.

– Ach, to przecież zupełnie naturalne. Jeśli kulturalny człowiek przychodzi do drugiego kulturalnego człowieka, to na porę odwiedzin zawsze wybiera środek nocy i na wszelki wypadek zabiera ze sobą na rozmowę pistolet. Bo jak wiadomo pistolet może się przydać w trakcie rozmowy dwóch dżentelmenów. A tak *à propos*, czy pańska belgijska szóstka, zwana też dziecięcym pistoletem, jest bronią zarejestrowaną?

– Ależ oczywiście. Pistolet należy do mnie, a stosowne zezwolenie wydała policja.

– No więc skoro już ustaliliśmy, że przyszedł pan tu porozmawiać z gospodarzem z pistoletem w kieszeni, a efektem tego spotkania jest dziura w czaszce doktora Dąbrowskiego, to może w końcu przyzna się pan do winy, oszczędzając sobie i policji trudów kolejnych przesłuchań.

– Nie zabiłem go! To nie ja! Pan nic nie rozumie.

– No trudno. Widzę, że musi pan sobie wszystko poukładać w głowie, a na takie poukładanie, powiadam panu, najlepsza jest chwila refleksji i samotności w aresztanckiej celi. Posterunkowy, załóżcie panu policyjnemu fotografowi kajdanki i zaprowadźcie go do dyrekcji policji. Tam już czeka na niego wygodne łóżko. A ja niestety, panie Maliszewski, jeszcze nie mogę pójść spać. Muszę tu na miejscu wszystkiego przypilnować. Zresztą co ja będę panu dużo gadał, sam pan wie najlepiej jako policyjny fotograf. Muszę innemu fotografowi powiedzieć, co ma robić.

Posterunkowy Wróbel nałożył Maliszewskiemu kajdanki na przeguby rąk i poprowadził go w kierunku drzwi. Gdy wyszli na korytarz, aresztant dojrzał stojącego nieopodal, obładowanego sprzętem fotografa. Znał go dobrze i wiedział, że potrafi robić całkiem dobre zdjęcia, więc go nie lubił za wyśmienite fotografie i za coś jeszcze. Ten nielubiany fotograf na jego widok ukłonił się, witając go radosnym uśmiechem. Już nawet chciał powiedzieć coś na powitanie, ale wtedy dostrzegł kajdanki i uśmiech zamarł mu na ustach. A Maliszewskiemu wcale nie było do śmiechu. Nie dość, że wpakował się w tę całą aferę z morderstwem, to jeszcze spełnił się jeden z jego najczarniejszych snów, gdzie Polaka i dobrego katolika, doskonałego fachowca od fotografii, wypiera z rynku oślizgły żydowski fotograf, Moritz Goldstein z ulicy Święty Marcin.

Rozdział IX

Wtorek, 23 listopada

Godzina 10.30 przed południem

Kapitan Jażdżewski palił papierosa bez ustnika, osadzonego w szklanej lufce. Fischer zauważył, że była dość niezwykła, inna niż te, które można dostać w każdej budce z papierosami. Jażdżewski miał fikę nieprzezroczystą i do tego zabarwioną na wszystkie kolory tęczy, która raczej pasowałaby do odwiedzin w nocnym lokalu, a nie do urzędowej rozmowy w policyjnym biurze. Fischer spojrział na tę lufkę i uśmiechnął się pod nosem. Kapitan musiał to zauważyć, bo też popatrzył na ten nietypowy przedmiot, a potem zaśmiał się głośno.

– Co, nie bardzo pasuje do munduru? – Wskazał na nią palcem.

– A czy ja co mówię?

– Wystarczy, żeś pan spojrział wymownie.

– Ja tam nikogo nie oceniam po... fice do palenia. – Tym razem zaśmiał się Fischer.

– Byłem wczoraj na dancingu w Moulin Rouge na Kantaka. Właściwie to ciągle tam jestem myślami. A ta lufka to przez przypadek. Zdaje się, że zamieniliśmy się przez roztargnienie z pewną bardzo interesującą damą swoimi narzędziami tytoniowymi.

– Na dancingu w poniedziałek?

– Jak kto nie ma czasu w sobotę czy niedzielę, to musi w inny dzień nadrabiać zaległości.

– Pan na dancingu, a ja całą noc uganiałem się za przestępcami.

– Taka praca – podsumował Jażdżewski.

Fischer wreszcie uporał się z nabijaniem fajki, podpalił ją i wypuścił pierwszy kłęb aromatycznego dymu, który natychmiast wypłynął z gabinetu zassany przez prąd ciepłego powietrza wylatującego na zewnątrz przez otwarte szeroko okno. Mimo tego w pokoju było i tak gorąco, więc Jażdżewski pozwolił sobie na rozpięcie kołnierza pod szyją.

Gdy tylko Fischer przyszedł dziś do pracy, zaczął poszukiwania swojego znajomego z wojskowej Dwójki. Okazało się, że w koszarach przy Bukowskiej nikt go jeszcze dziś nie widział. Sprawa jednak była pilna, więc komisarz pozwolił sobie na niepokojenie znajomego w domu. Ten odebrał dopiero za

piątym razem.

– Na dzisiaj dość spania, kapitanie – rzucił do słuchawki poważnym tonem Fischer.

– A idź pan do cholery! – burknął Jażdżewski bliski przerwania połączenia. – Ja dopiero godzinę temu położyłem się do łóżka i nie wiem, co mnie podkusiło, żeby odebrać ten telefon. Mam dziś wolny dzień i zdaje mi się, że raczej jestem mało przytomny.

Jednak Fischer wiedział, co sprawi, że natychmiast dojdzie do siebie.

– Bolszewicka jacejka w Poznaniu przygotowująca zamach na marszałka. Jeden z bolszewików ranny jest w naszych rękach, drugi chwilowo uciekł. Wypij pan mocną kawę i zapraszam do siebie.

– O w mordę!

– Słusznie, kubek zimnej wody na głowę by się przydał. Czekam na pana kapitana.

Pół godziny później Jażdżewski siedział już w fotelu biurowym komisarza i palił papierosa w tęczowej lufce. Zjawił się tak szybko, bo jego apartament znajdował się dosłownie dwa kroki od dyrekcji policji przy placu Nowomiejskim.

– Kilka dni temu mój informator działający na co dzień w kręgach zbliżonych do władz Związku Ludowo-Narodowego przekazał mi informację, że pewien wysoko postawiony przedstawiciel tej partii kontaktuje się z bolszewikami.

– Jakimi bolszewikami? – Jażdżewski się zdziwił, bo nie bardzo mógł sobie takie kontakty wyobrazić. No może za pomocą poczty dyplomatycznej, bo jak inaczej.

– Z prawdziwymi bolszewickimi agentami, którzy działają na terenie naszego miasta.

– A to mów pan od razu, w czym rzecz. Komunistów w całej Polsce nie jest zbyt wielu, a już tu w Poznaniu to chyba jest ich jak na lekarstwo, a wiadomo, że każdy komunista to zdrajca i agent bolszewicki. To znaczy, że znów mamy w mieście jakąś komunistyczną jacejkę? Co im się raz łeb odrąbie, zaraz ten łeb odrasta – mówiąc to, myślał o wspólnej akcji swojego wydziału i Fischera sprzed dwóch lat, kiedy to razem udało im się zlikwidować bolszewicką grupę, która wykradła z wojskowego sejfu akta dotyczące polskiej agentury na pograniczu polsko-niemieckim. Dzięki pomocy komisarza papierów nie udało się wywieźć z kraju.

– No więc udało nam się namierzyć tych bolszewików. Dokładnie dwóch, którzy przygotowywali szczegóły zamachu i najprawdopodobniej sami mieli go dokonać podczas wizyty naczelnika w Poznaniu. Wczorajszej nocy podjęliśmy akcję i dopadliśmy ich w pewnym mieszkaniu na Wildzie...

Tu Fischer przerwał na chwilę, a Jażdżewski natychmiast zauważył, że coś poszło nie tak.

– Jednego raniliśmy podczas wymiany ognia. Na szczęście nie są to rany śmiertelne. Jest opatrzony i za jakiś czas dojdzie do siebie.

– Można z nim pogadać?

– Jeśli jest przytomny, to nie widzę przeciwwskazań. Mamy go tutaj na dole w celi. Natomiast co do drugiego, to niestety wymknął się nam... Ale mamy jego fotografię, więc myślę, że pochwycenie go to tylko kwestia godzin. Odbitki tego zdjęcia mają już wszystkie patrole policyjne.

– No to można by powiedzieć, że to połowiczny sukces – stwierdził kapitan. – Mamy jednego bolszewika, drugi gdzieś się ukrywa, więc wszystko wskazuje na to, że próba przeprowadzenia zamachu na marszałka się nie powiedzie, bo zamachowcy są w proszku. Pozostaje nam jeszcze jak najszybciej przymknąć tego działacza narodowców, o którym pan wspominał. Narodowcy i bolszewicy razem przeciwko nam... Kto by pomyślał, że nienawiść zaprowadzi ich do jakichś aliansów z tą czerwoną zarazą. No, ale do rzeczy. Jak nazywa się ten narodowiec, wysoko postawiony narodowiec?

– Niejaki Dąbrowski.

– Ten filozof?

– Ten sam – potwierdził Fischer z nieco skwaśniałą miną.

– No proszę, znam człowieka. Filozof i narodowy fanatyk. Nacjonalista pierwszej wody. Będzie trochę wrzawy, jak go aresztujemy, ale co tam się przejmować tymi głosami, trzeba go wsadzić i tyle!

– Niby trzeba, ale to będzie trudne.

Tym razem kapitan nie dostrzegł strapionej miny swojego policyjnego kolegi. Niesiony falą entuzjazmu już był myślami w chwili, gdy udaje mu się ogłosić światu, że narodowcy szykowali zamach na marszałka podczas jego wizyty w Poznaniu. Przecież to wstrząśnie całym tym ruchem. Kto wie, ilu jeszcze działaczy jest w tę sprawę zamieszanych. A może i sam Dmowski maczał w tym swoje paluchy? Nie, to chyba byłoby zbyt piękne...

– Co będzie trudne, drogi komisarzu? Wsadzenie Dąbrowskiego? Niech się pan nie martwi. Biorę to na siebie. Niech krzyczą sobie, ile chcą, ale my się nie przestraszymy...

– Będzie to trudne, ponieważ Dąbrowski nie żyje.

Tęczowa lufka z papierosem mało nie wypada z ust oficera, gdy ten ze zdziwienia otworzył szeroko usta. Na szczęście miał na tyle refleksu, żeby chwycić ją w ostatnim momencie.

– Jak to się stało?

Fischer wziął w dwa palce cienką szarą teczkę i przesunął ją na biurku w kierunku swojego gościa. W teczce na akta był jak dotąd tylko jeden dokument, raport spisany nad ranem przez aspiranta Kwaśniewskiego, opisujący domniemane okoliczności śmierci Dąbrowskiego, a także pierwsze wnioski dotyczące ujętego na miejscu sprawcy morderstwa. Jażdżewski pochylił się nad trzymaną w ręce kartką i przez chwilę studiował ją bardzo dokładnie. W końcu podniósł głowę znad tekstu i spojrzał na Fischera.

– Zacierają ślady! Jak nic wygląda mi to, szanowny panie komisarzu, na próbę zatarcie śladów. Sprawa się wysypała i teraz szybko komuniści próbują wszystkie ślady zatrzeć, a niepotrzebnych świadków zlikwidować. Dla mnie sprawa jest ewidentna. Ten pojmany na miejscu, no jak mu tam...

– Maliszewski – podrzucił nazwisko Fischer.

– No właśnie, Maliszewski, to zapewne kolejny drań z tej bolszewickiej jacejki, który tylko przez przypadek wpadł na miejscu zbrodni.

– Maliszewski nie jest komunistą, panie kapitanie. On jest narodowcem.

– Tak? – Jażdżewski nie dał się jednak zbić z tropu. – To znaczy, że po wpadce bolszewików narodowcy się przestraszyli i likwidują swoich, którzy byli zamieszani w przygotowanie zamachu. Weźmie się tego Maliszewskiego na przesłuchanie, to raz-dwa nam wszystko wyśpiewa.

– Oczywiście, że nam wyśpiewa. – Fischer pokiwał głową. – Opowie nam po kolei, jak było, bo, panie kapitanie, ten Maliszewski to jest właśnie ten mój konfident, który o zamachu wszystko mi powiedział. To od niego mieliśmy adres zamieszkania tego bolszewika, który leży teraz ranny w naszej celi.

– To znaczy, myśli pan, że to nie on zabił tego Dąbrowskiego?

– Myślę, że on tam poszedł sobie z nim pogadać i wdepnął prosto w gówno, przepraszam, w niezbyt przyjemną sytuację.

– Wiec jeśli nie on, to kto?

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć, a pomoc nam może właśnie Maliszewski. Zamierzałem go wezwać do siebie, więc jeśli pan będzie chciał w tej rozmowie uczestniczyć, to proszę bardzo.

– Oczywiście, że chcę. Jak najbardziej. Musimy w takim razie wdrożyć wspólne śledztwo. Oczywiście pod pańskim kierownictwem, panie komisarzy. Myślę, że moi przełożeni nie będą mieli nic przeciwko temu.

Fischer uśmiechnął się pod nosem. A co się mają nie zgodzić? Teraz, gdy w zasadzie jest już po sprawie i bolszewicy są w odwrocie, a złapanie tego drugiego jest kwestią godzin, dwójkarze byliby kompletnymi idiotami, gdyby chcieli rozpoczynać własne śledztwo. W ich papierach lepiej będzie wyglądał wspólny sukces kontrwywiadu i policji. Ale Fischer nie miał tego za złe Jażdżewskiemu. Lubił faceta, który był człowiekiem honorowym i zawsze można było na nim polegać. Niech więc będzie wspólny sukces, ale żeby do niego mogło dojść, jeszcze trzeba trochę pracy.

Ktoś zapukał do gabinetu i nie czekając na pozwolenie, otworzył drzwi. Do środka wkroczył Okoń. Podszedł do biurka Fischera i zsalutował, przykładając palce do daszka czapki.

– Ja melduję, panie komisarzy, że nigdzie go nie znaleźliśmy. W domu go nie było. Sprawdziłem razem ze stróżem w jego mieszkaniu i pościel nieruszona, znaczy się nie spał w swojej chacie.

Fischer pokiwał głową. To była ostatnia deska ratunku, której się uczepił. Miał nadzieję, że Oskierko jakoś się wyrwał wczoraj temu bolszewikowi i dotarł do domu, a teraz śpi w najlepsze, odsypiając noc pełną wrażeń. Niestety, nigdzie nie było po nim śladu. To znaczy, że aspirant najprawdopodobniej leży gdzieś w jakiejś bramie albo rowie przysypany śniegiem z przestreloną głową. Bo przecież nie było najmniejszego sensu, żeby uciekający bolszewik ciągnął go gdzieś ze sobą. Gdyby Fischer był na miejscu ściganego, zapewne tak by postąpił, żeby nie wlec za sobą niepotrzebnego balastu. Tylko tu rodziło się

pytanie, po jaką cholere ten facet w ogóle zabrał ze sobą aspiranta? Bo skoro tak zrobił, to znaczyło, że miał w tym jakiś cel. Tliła się więc iskierka nadziei. Biedny Oskierko, jak on, do cholery, dał się zaciągnąć do tej dorożki?

– Może by tak, panie komisarzu, rozesłać informację do komisariatów, że policjant zaginął w czasie służby? – zaproponował Okoń.

– Niech cię ręka boska broni! – zaproponował Fischer. – Chcesz temu młodemu człowiekowi złamać karierę? Przecież jakbyśmy rozesłali taką informację, to później cała policja w Poznaniu śmiałaby się z niego, że jego dowódca szukał go przez policję. Nie, musimy zdecydowanie sami to załatwić.

Godzina 11.10 przed południem

Przez szpary w drewnianych drzwiach do środka wpadało nieco światła, mógł więc się rozejrzeć. Siedział zamknięty w jakiejś murowanej piwniczce, która znajdowała się na podwórzu zagrody. Że była to wiejska zagroda, upewnił się już wcześniej rano, kiedy krowy w pobliskiej oborze zaczęły głośno dopominać się jedzenia albo dojenia. Nie znał się na krowach i w ogóle na gospodarstwie, więc nie wiedział do końca, czego chcą bydłeta, zdawał sobie za to dokładnie sprawę, czego on sam chce. Chciało mu się pić i sikać. O ile z tym drugim nie było problemów, bo wystarczyło, że podszedł do przeciwległej ściany i tam opróżnił pęcherz, o tyle z piciem sprawa przedstawiała się już znacznie gorzej. W piwniczce, w której go trzymano, nie było żadnych butelek z winem ani słoików z kompotem. Pomieszczenie było typowym składem warzywnym. Na prawo, za może metrowej wysokości ścianką z nieheblowanych desek, znajdowała się sterta ziemniaków, zapewne zapas zimowy dla całej gospodarskiej rodziny. Naprzeciwko kartofli stał rząd sześciu dębowych beczek. Zapach, który z nich dochodził, świadczył, że w pojemnikach kisi się kapusta i ogórki. Zresztą sprawdził to, gdy tylko zrobiło się nieco jaśniej. Bez trudu bowiem zdjął z przegubów swój pasek i założył go w szlufki spodni. No a gdy mu już nie spadały, podszedł bliżej. Jedna z beczek, ta, która stała najbliżej, miała dekiel nie do końca wciśnięty. Widać gospodyni brała z niej kapustę do codziennego użytku. Podniósł więc klapę i zajrzał do środka. Beczka była do połowy opróżniona. Nie sprawdzał jej zawartości tylko z czystej ciekawości. Prócz tego, że chciało mu się pić, poczuł jeszcze głód. Wszak od wczorajszego popołudnia nic nie jadł. Bez żadnych skrupułów zanurzył więc dłonie w kiszonce i wyciągnął garść aromatycznej kapusty. Musiał przyznać, że jeszcze nigdy mu tak nie smakowała. Zresztą zazwyczaj jadał kiszoną kapustę w postaci zasmażanej do kotleta z ziemniakami. Ta w formie nieprzerobionej była naprawdę doskonała i dlatego pochłonął na śniadanie solidną porcję.

Pokrzepiony wrócił na swoje miejsce, czyli barłóg w postaci starych, przegniłych worków po ziemniakach. Usiadł i zaczął wpatrywać się w drzwi prowadzące do piwniczki. Nie wyglądały na zbyt solidne. Gdyby się tak człowiek zaparł, mógłby je zapewne z łatwością wyważyć. Problem tylko w tym, że

mógłby to zrobić z zewnątrz, bo drzwi otwierały się do środka, a nie w drugą stronę. Pchanie ich na zewnątrz nie miało sensu, bo trzeba byłoby je ciągnąć. A za co tu ciągnąć, kiedy nie ma jak ich uchwycić?

Podszedł do drzwi i dokładnie je przebadał. Jedyne szansa, pomyślał, siadając bezradnie na kupie szmat, to będzie wtedy, gdy ktoś te cholerne drzwi otworzy z zewnątrz. Wtedy będzie można tego osobnika walnąć w łeb i uciekać. No pod warunkiem, że to będzie ktoś nieuzbrojony, bo uzbrojonego nie tak łatwo rozbroić. Przekonał się o tym zresztą dziś w nocy, gdy poleciał na tego bolszewika z kijem od miotły. Na nic zdała się jego bohaterska postawa i szarża w ułańskim stylu. Wobec argumentu siły w postaci pistoletu nawet największy bohater jest bezradny. W takich sytuacjach głupcy giną, a ludzie mądrzy obdarzeni rozwiniętą wyobraźnią potrafią zrobić wszystko, by przeżyć i stanąć znów do walki, gdy przyjdzie czas. Dlatego on postanowił przetrwać najgorsze i nie dać się zabić, po to by – gdy to będzie oczywiście możliwe – znów stanąć na placu boju. Tyle że na razie siedział w piwnicy zamknięty jak szczur. Musiał więc obmyślić jakiś sposób, by wrócić do policyjnych szeregów.

Wiedział, że kluczowy może być moment, w którym otworzą się drzwi i stanie oko w oko z ludźmi, którzy pozbawili go wolności. Wtedy dokona szybkiego przeglądu sytuacji i uderzy z całym impetem. No chyba że nie będzie szans na uderzenie. Wtedy będzie musiał doczekać kolejnej szansy. Postanowił się przygotować. Najpierw chciał jeszcze zbadać całą piwnicę. Nie była częścią podpiwniczenia domu, ale znajdowała się w obejściu. Sprawdził ściany, ale przez nie dało się przejść. Wszystkie były murowane z cegły i przechodziły płynnie w ceglane sklepienie.

Obszedł całą piwniczkę i nie znalazł żadnego miejsca, które mogłoby dawać nadzieję na ucieczkę. Jediną drogą wyjścia pozostawały więc drzwi. Ktoś musiał je tylko otworzyć.

Nim zdążył wrócić na swój barłóg, usłyszał jakiś ruch.

– Panie, jest pan tam? – zapytał ktoś niezbyt pewnie.

– Otwórzcie, to się przekonacie! – odpowiedział Oskierko.

– To się pan odsuń ode drzwi.

– A niby czemu mam się odsuwać?

– Bo jak się pan nie odsuniesz, to w łeb będę musiał przywalić. No chyba że pan nie chcesz jeść i pić, bo ja tu przyniesłem jedzenie i picie.

– No to się odsunę – stwierdził więzień, który postanowił najpierw się posilić, a później dopiero, nabrawszy sił, przeprowadzić frontalny atak.

Odszedł jakieś dwa metry od wejścia i czekał. Usłyszał szcęk klucza i dźwięk przesuwanego łańcucha. To znaczy, że jestem zamknięty solidnymi zabezpieczeniami, czyli wyłamać drzwi od środka się nie da. Trzeba będzie tego faceta zaskoczyć, walnąć w łeb i uciec. No, ale dopiero po śniadaniu.

Drzwi otworzyły się i w progu stanął mężczyzna może czterdziestoletni w grubym kożuchu i baraniej czapce na głowie. Obrzucił pomieszczenie uważnym spojrzeniem, a gdy już się przekonał, że więzień stoi w odpowiedniej odległości, ustawił w progu blaszaną bańkę, na której położył ćwiartkę chleba.

– To żebyście z głodu nie pomarli – stwierdził i już chciał zabrać się za zamykanie drzwi, gdy Oskierko postanowił użyć siły swych argumentów.

– A wiecie, że za porwanie policjanta to się idzie do więzienia nawet na dwadzieścia lat? – zapytał i natychmiast spojrzał na twarz chłopca, szukając w niej oznak jakiegoś skomplikowanego procesu myślowego. Oczywiście nie miał zielonego pojęcia, na ile się szło siedzieć za policyjny kidnaping, ale rzucił te dwadzieścia lat, żeby zrobić jak największe wrażenie na tym facecie.

– Ja tam nic nie wiem.

– Jak policja was złapie, to odsiedzicie swoje. No chyba że mnie wypuszczicie.

– Jak mam wypuścić, kiedy nie wolno.

– Dlaczego nie wolno?

– Bo mom zakazane was wypuszczać.

– A co to, jaki zakaz urzędowy czy jak?

– Nie urzędowy, ale jest zakaz wypuszczać, bo wypuścić można na wymianę.

– Co wy gadacie? Na jaką wymianę, do cholery?

– Ja tam nic nie wiem, ale wiem, że na wymianę i tyle...

– A kiedy ta wymiana ma się odbyć?

– Ja tam nic nie wiem, ale wiem, że jak odpowiedzą, to będzie.

– Kto odpowie?

– Ja tam nie wiem. Pewnie ci, co to mają odpowiedzieć chyba, nie?

– Kto?

– A co mnie tak, do cholery, pytacie? Co to ja wróżka jaka jestem? Mnie płacą za trzymanie w piwnicy, to trzymam. Zapłacą za wypuszczenie, to wypuszczę. Tyle mojej w tym głowy. Co inne to mnie wcale nie obchodzi.

– A gdzie ja w ogóle jestem?

– Jak gdzie? W piwnicy.

Aspirant chciał go bardziej pociągnąć za język, ale chłop uciął rozmowę.

– Jedzcie na zdrowie! – powiedział i zamknął za sobą drzwi. Oskierko znów znalazł się w półmroku. Teraz jednak zrobiło mu się znacznie jaśniej w głowie. Już wszystko zrozumiał. Porwano go, a nie zabito, po to, żeby go wymienić. Tylko ciekawe na co? Może na złoto? Może więc spokojnie sobie tu posiedzieć, zjeść chleba i popić wodą, a później się zobaczy, co z tego wszystkiego wyjdzie. Byle się tylko nie przeziębić, bo w tej piwnicy wcale nie było za ciepło. Na całe szczęście Olkiewicz wybrał mu całkiem ciepły, podbity kożuskiem płaszcz. Da się tu jakoś wytrzymać, byle nie za długo.

Godzina 2.00 po południu

Tolek lubił dobrze zjeść, więc nie zadowalał się byle czym. Na śniadanie wystarczyła mu sznytka chleba ze smalcem i kubek kawy zbożowej albo ciepłego mleka. Jadł w pośpiechu i zaraz wychodził załatwiać interesy. Ale na obiad zawsze starał się wrócić do domu, bo żaden kucharz w knajpie nie potrafił tak gotować jak jego Kryśka. Kobieta umiała zrobić najlepsze na świecie

kotlety siekane, a placki ziemniaczane w jej wykonaniu to już była prawdziwa poezja. Jednak ulubionym daniem Tolka były szare kluchy ze skwarkami z boczku, a do tego zasmażana kiszona kapusta. Takiego obiadu za nic w świecie by sobie nie odmówił, toteż dziś, załatwiwszy wszystkie sprawy dotyczące planów najbliższego skoku, pognął czym prędzej do domu. Już na schodach oficyny, która przylegała do pięknej kamienicy na rogu Mostowej i Grobli, poczuł ten jedyny i niepowtarzalny zapach smażonego boczku i kapusty i natychmiast ślina napłynęła mu do ust. Teraz dopiero zrozumiał, jak bardzo jest głodny. A może to dlatego, że Kryśka już rano powiedziała mu, czego ma się na ten obiad spodziewać, i gdy tylko poczuł pierwsze, niemrawe jeszcze ssanie w żołądku, natychmiast pomyślał o tych kluskach i w zasadzie nic innego go już nie obchodziło. Nawet to, co mówił mu jego informator Benas Korbol, którego nazywano tak z racji obfitego brzucha i niezbyt wielkiego wzrostu. Benas zarabiał u Tolka w ten sposób, że typował odpowiednie lokale do obrobienia w różnych częściach miasta, a jako że pracował w gazowni, do wszystkich mieszkań miał wstęp otwarty. Dlatego łatwo mu było przeprowadzać rozpoznania. Informacje o odpowiednim miejscu sprzedawał Grubińskiemu, a ten płacił mu, ale dopiero po udanej robocie. Dziś przed południem spotkali się U Okonia. Usiedli przy stoliku w samym kącie knajpy, żeby im nikt nie przeszkadzał, ale taka przezorność i tak była zbyteczna. Mało kto śmiałby niepokoić niepotrzebnie Tolka Grubińskiego, no chyba że jakiś obcy pijak, ale z takim zaraz poradziłby sobie barman. Wszyscy bowiem wiedzieli, że pan Anatol tutaj właśnie załatwia bardzo ważne interesy, a komuś takiemu przeszkadzać nie wolno.

– No więc chata jest na Grottgera, sześć pokoi z kuchnią i służbówką, wejście przez klatkę schodową gospodarczą dla dostawców. A wew środku same cuda. Powiadam ci, bom weszedł do środka, jak gospodarz, taki lekarz jeden, bo na drzwiach jest napisane „doktór”, to on nie miał przy sobie bejmów na zapłacenie rachunku za gaz, to kazał mnie czekać, a sam poszedł szukać, to ja z tego korytarzyka się rozejrzałem dokoła i powiadam ci, że będzie, co brać. Facet mieszka sam i ma jeszcze ino kucharkę, co jemu gotuje i też sprząta chatę. No to znaczy się, że jej w tym sprzątaniu można by dopomóc.

– A co ze stróżem?

– Nic ze stróżem. Stróż pilnuje obejścia, ale przede wszystkim głównej bramy i tej klatki schodowej, co po niej państwo lokatorstwo łążą, ale bocznej klatki to nikt nie pilnuje, bo i po co? Z niej ino do kuchni od tych mieszkań idzie się dostać.

– A w kuchni robią kucharki...

– Robią albo i nie. Kucharki też od czasu do czasu na targ muszą iść, żeby sprawunki porobić i mieć z czego obiady gotować.

– No to twój interes, żebyśmy wiedzieli, kiedy ta kucharka pójdzie na zakupy i ile na tym targu może siedzieć. Jak mieszka na Grottgera, to chodzi na Rynek Łazarski. To tam się idzie z piętnaście minut, a jak z powrotem ze sprawunkami to będzie drugie tyle. Sama na ten targ chodzi?

– Raz sama, a jak się trafi, to jakiegoś szczona z ulicy bierze, żeby jej w dźwiganiu pomógł. Ale nawet jak z chłopakiem idzie, to i tak na moje takie wyjście to nawet dwie godziny wolnej chaty do obrobienia. – Korbol zaśmiał się zadowolony, bo widać było, że rozpoznanie zrobił całkiem dobre, a więc Tolek raczej weźmie tę robotę, a skoro weźmie, to znaczy, że parę groszy wpadnie mu do kieszeni. Jaki ten Grubiński by nie był, to jedno mu trzeba przyznać, że zawsze uczciwie co do grosza rozlicza się z ludźmi.

– No dobra, Benas, ty tam wszystko sprawdzasz, co i jak, i w przyszłym tygodniu się widzimy. Jak będziesz już wszystko wiedział, to idziemy tam razem, żebym ja się mógł po okolicy rozejrzeć, ale widzi mi się, że robota jest do wzięcia.

Już Tolek chciał zamówić po kolejnym kieliszku wódki dla podlania dobrze rokującej transakcji, gdy drzwi do knajpy otworzyły się i do środka wleciał Walek, najstarszy z braci Kaźmierczaków. Grubiński spojrział na niego i od razu zrozumiał, że sprawa, z którą przyszedł, jest ważna. Machnął więc do niego ręką.

– No, panie Benek, to do przyszłego tygodnia, bo w chwili obecnej muszę coś pilnie załatwić – wyjaśnił, gdy Walek sadowił się już na krześle przy stoliku. Korbol jako człowiek interesu wiedział doskonale, że w pewnych rozmowach ludzie postronni nie powinni uczestniczyć, dlatego uścisnął podaną mu przez Tolka dłoń i zniknął natychmiast, oblizując się na myśl o wódce, której nie dane mu było wypić.

– Co się tak kielczysz? – zapytał Grubiński, widząc, jak Walek szczyrzy zęby w uśmiechu?

– Miało być zrobione, to jest, nie? Tym bardziej że za sprawę letką i przyjemną chcą jeszcze płacić, to ja nigdy nie powiem nie.

– I co się zrobiło? – Tolek był najwyraźniej zaintrygowany przemówieniem swojego kompana, który należał raczej do tych, którzy za dużo do powiedzenia nie mają.

– Zrobiło się tyle, że my dziś rano namierzyli tego Pytla z poraszplowanym pyskiem. Znaczą się, mozem jego chytać, kiedy będzie potrzeba.

– Wiadomo, gdzie się zamelinował?

– Na razie to jeszcze nie wiadomo, bo szczony namierzyły go w mieście.

– Jakie szczony?

– No mój brachol Krystek i ten jego koleżka, no jak mu tam, temu rudzielcowi... Zenuś, nie?

– No Zenuś. Gdzie go namierzyli?

– I to jest właśnie dziwne. Bo oni jego trafili na placu Wolności. I zaraz za nim poszli.

– A nie pomylili się? Na pewno to był ten, co my jego szukamy?

– Ten sam. Przecie Zenuś jego znał, bo on mieszkał w tej samej kamienicy na Woźnej. No to poszli za nim i doszli do dyrekcji policji.

– Co?

– No chłop wszedł do budynku policji, coś tam załatwił i zaraz wyszedł.

– Donosiciel?

– Diabli jego wiedzą, ale chłopak gadał, że ino na chwilunię tam weszedł. Potem Zenuś poleciał do nas, żeby powiedzieć, co się dzieje, a Krystek polazł za nim, znaczy się tym Pytlem. Diabli wiedzą, gdzie teraz oba są, ale Leon z Zenusiem polecili na miasto, żeby sprawdzić, co i jak. Może ich jeszcze znajdą. A jak nie, to młody se będzie musiał sam radzić.

Umówił się więc na popołudnie z Walkiem, a sam poszedł do domu na obiad. Kryśka postawiła przed nim parującą miskę pełną klusek okraszonych boczkami z dodatkiem zasmażanej kapusty. Naprzeciwko przy stole siedział jego trzyletni syn, który nie czekając na ojca, już zabrał się za jedzenie.

– Siadaj, Krychna, z nami – zawołał do żony, która jeszcze kręciła się koło westfalki.

– Już lecę, ino wodę na pranie nastawię, bo się tyle brudów nazbierało, że jak się dziś nie weznę, to se później nie poradzę.

– Tatusiu, a gdzie tatuś znalazł mamusię? – zapytał Stefek, który uwielbiał opowieści ojca.

– No jak gdzie? Przecież ci już to sto razy opowiadał.

– To niech tatuś powie jeszcze raz – poprosił chłopiec, robiąc błagalną minę

– No niech ci będzie. To było tak, że poszedłem kiedyś do kościoła, a tam w ławce modliły się siostrzyczki zakonne. I jak se popatrzyłem na taką jedną, to mi se pomyślało, że nie można jej zostawić na zmarnowanie w tym zakonie, ino ją trzeba zabrać do domu. To w nocy przeskoczyłem przez klasztorny mur i ją porwałem.

– Nie krzyczała, jak ją tatuś porywał?

– Zatkalem jej buzię, żeby nie krzyczała.

– Mamusia się nie bała?

– Nie – odpowiedziała Kryśka, ocierając łzy, które zaczęły płynąć jej po policzkach. – Kto by się tam czego bał przy tatusiu.

– Prawda, ja przy tatusiu się niczego nie boję – stwierdził Stefek. – I nie chciała mamusia później uciekać? – pytał dalej malec.

– A dokąd miałam uciekać? Na ulicę? – odpowiedziała raczej sama sobie. Bo prawda była nieco inna niż ta zawarta w opowieści Tolka. Poznał ją na ulicy właśnie, bo tam Kryśka, młoda dziewczyna, która do miasta przyjechała ze wsi za pracą, zarabiała na życie. Jedno w tej historii wszakże się zgadzało. Gdyby nie on, na zawsze zostałaby na tej ulicy, oddzielona od normalnego życia jak zakonnica za klasztornymi murami.

Godzina 2.30 po południu

Komisarz Fischer podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Wozy, dorożki i automobile już dawno rozjeździły pierwszy śnieg i teraz bruk pokrywała warstwa szaroburej brei. Na chodnikach było podobnie, więc ludzie stąpali

ostrożnie w obawie, aby nie wylądować w tym błocie na tyłku. W budynku naprzeciw dyrekcji policji, w którym kiedyś był niemiecki teatr, mieściła się modna kawiarnia o wdzięcznej nazwie Esplanada. O tej porze większość stolików musiała już być zajęta, choć gdyby tam poszedł, na pewno znalazłoby się miejsce dla niego. Od czasu do czasu wpadał tam na filiżankę aromatycznej kawy, ale dziś nie było na to czasu. Od chwili, kiedy tylko w jego biurze pojawił się kapitan Jażdżewski, obaj oficerowie intensywnie zajmowali się przesłuchiwaniem. Właśnie przed momentem wrócili z piwnicy, w której znajdowały się aresztanckie cele, po przesłuchaniu dwójki zatrzymanych.

– Z tego bolszewika to się niewiele da wycisnąć – stwierdził Jażdżewski, sadowiac się w fotelu.

– Twardy typ – zgodził się z kapitanem Fischer. Przez ponad godzinę próbowali cokolwiek wydusić z zatrzymanego zegarmistrza, ale ten unikał jakichkolwiek konkretów. Co więcej, jak rasowy przestępca szedł w zaparte.

– Dla mnie sprawa jest jasna i klarowna, panie Latała. – Fischer próbował wytłumaczyć zegarmistrzowi, w jakim ten znalazł się położeniu. – W czasie próby zatrzymania pan odpowiedziałeś policjantom ogniem, a to znaczy, że sąd może pana skazać na co najmniej dwadzieścia lat, a kto wie, czy nie na więcej.

– Mnie? – zdziwił się bolszewik. – A za co?

– Za próbę zabicia policjantów na służbie.

– Ale ja myślałem, że mnie napadli bandyci. Skąd ja mogłem wiedzieć, że to policjanci?

– Krzyczeliśmy, że policja!

– Każdy se może tak krzyczeć.

– Ale to, że strzelałeś do policjantów, to jeszcze nic wobec innego oskarżenia. – Tym razem spróbował przekonać zatrzymanego Jażdżewski. – Za bolszewicki terroryzm to się u nas idzie pod ścianę.

– Jaki terroryzm? Ja jestem prosty zegarmistrz.

– Niech pan nie udaje. Co pan sobie myślisz, że policja wpadła do pana w odwiedziny jak do zwykłego zegarmistrza, żeby sobie naregulować zegarki? – wtrącił Fischer. Zegarmistrz nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się drwiąco.

– Niestety, panie, albo właściwie powinienem powiedzieć, towarzyszu Latała, zeznania pewnego człowieka są dla was dalece niekorzystne – ciągnął dalej Jażdżewski. – Przygotowywanie zamachu na naczelnika Piłsudskiego to nie w kij dmuchał. I powiem wam jeszcze, że w tej sytuacji tylko szczere przyznanie się do winy i pomoc w ujęciu pozostałych zamachowców może wpłynąć jakoś na waszą sprawę. W każdym innym wypadku wasz los, towarzyszu Latała, wydaje mi się być przesądzony. To co, macie nam coś do powiedzenia?

– Tak.

– Co?

– Odpierdolicie się!

– Jak chcecie. – Fischer wstał z taboretu, choć widział, że Jażdżewski miałyby jeszcze ochotę pogadać z rannym aresztantem. Komisarz pokręcił tylko głową i wskazał na drzwi celi. Po chwili byli już w pokoju Fischera.

- Niech sobie wszystko przemyśli. On musi sobie zdać sprawę z całej beznadziejności swojego położenia – wyjaśnił policjant.
- Pan pewnie masz rację, ale moje przesłuchanie byłoby mniej subtelne.
- Drogi panie kapitanie, zęby zawsze jeszcze zdążymy mu wybić. Z naszej celi raczej nie ucieknie, więc będzie miał trochę czasu refleksję.
- A co z tym drugim?
- Myśli pan o fotografii Maliszewskim?
- No tak. Można mu wierzyć?
- Jak dotąd okazał się wiarygodnym źródłem informacji. Przecież to dzięki niemu ujęliśmy tego bolszewickiego typu.

O ile ranny bolszewik nie chciał rozmawiać, o tyle z Maliszewskim nie było najmniejszego kłopotu. Jemu usta się nie zamykały. Koniecznie chciał Fischerowi wyjaśnić, co wydarzyło się nocy w mieszkaniu Dąbrowskiego.

- Prawda, poszedłem tam z bronią i nie przeczę, że byłem bliski tego, żeby palnąć mu w łeb. No bo pan komisarz chyba rozumie, że dla mnie, jako człowieka o poglądach narodowych i z silnymi, ugruntowanymi przekonaniem katolickimi, człowiek, który swoją nierozważną i głupią decyzją mógł zniszczyć całą naszą narodową sprawę, był dla nas nieprawdopodobnym zagrożeniem. Ja chciałem tylko temu zapobiec. Przecież pan zdaje sobie sprawę, jaki skandal by wybuchł, gdyby ten Dąbrowski w przeddzień naszego zjazdu stanął przed sądem oskarżony o przygotowanie zamachu na Piłsudskiego. Dla mnie lepszy jest martwy doktor niż żywy i oskarżony.

- Pan myśli, że ta sprawa nie wyjdzie na jaw?

- Wyjdzie albo i nie wyjdzie. Jedno jest pewne, że nie ma pan w ręku tego, który to wszystko wymyślił. Wymknął się sprawiedliwości, ale niestety nie ja się do tego przyczyniłem.

- A kto w takim razie, panie Maliszewski, to zrobił? Kto zastrzelił Dąbrowskiego?

- Nie mam pojęcia. Podejrzewam, że ten sam, który próbował mnie zabić, ale nie zabił, bo podczas szamotaniny mój pistolet wypalił. Uciekł, zapewne przestraszywszy się huk. W końcu to był już drugi strzał tej nocy w tym mieszkaniu, więc sąsiedzi musieli zareagować. Zresztą zareagowali, bo ktoś w końcu wezwał policję. Jak się ocknąłem, to był przy mnie ten wielki policjant, co jego nazwisko wypadło mi z głowy, ale pan jego zna, panie komisarzu...

- Posterunkowy Wróbel. - Fischer przypomniał sobie zapis z raportu przygotowanego przez aspiranta Kwaśniewskiego, który opisał dokładnie okoliczności wejścia policji do mieszkania Dąbrowskiego. Pierwszy na miejscu był Wróbel. Maliszewskiego znalazł leżącego na podłodze bez przytomności z pistoletem, belgijską szóstkę w dłoni. Dla obu policjantów, tak dla Wróbla jak i sporządzającego raport Kwaśniewskiego, wina Maliszewskiego była bezsporna. Trup z dziurą w czaszce i facet z pistoletem w ręku leżący na podłodze to były fakty, które mówiły same za siebie. Jednak dla Fischera sprawa nie była tak oczywista. Bo skoro fotograf miałby być zabójcą, to dlaczego leżał na dywanie?

Morderca strzela i ucieka, a nie leży zemdlony na dywanie. To raczej mało prawdopodobne. Rozwiązanie mogło być tylko jedno i o tym komisarz był przekonany. Maliszewski wszedł do mieszkania krótko po tym, gdy prawdziwy morderca zabił Dąbrowskiego i nie zdążył jeszcze uciec. A kiedy fotograf już był w środku, rzucił się na niego, żeby go powalić i pozbawić przytomności, co mu się udało.

– I w ten oto sposób – Fischer tłumaczył swoją teorię Jażdżewskiemu – prawdziwy morderca pozostawił na miejscu zbrodni swojego zastępcę, który miał wziąć na siebie całą winę. Gdyby śledztwo prowadził taki na przykład aspirant Kwaśniewski, to zapewne nie przejąłby się żadnymi szczegółami i Maliszewski stanąłby przed sądem. Ale na szczęście dla niego to myśmy wzięli sprawy w swoje ręce i ten pobity i zmarnowany człowiek zamiast siedzieć w celi, leży sobie zapewne teraz w swoim własnym łóżku.

– Raczej pan, komisarzu, wziął w swoje ręce – poprawił go kapitan. – Ja tu tylko jestem statystą w pańskim przedstawieniu.

– Niech pan nie przesadza. – Fischer spojrział przez otwarte szeroko okno na budynek Esplanady.

– A wie pan, że ponoć trwają zabiegi o to, byśmy w Poznaniu mieli swoje własne radio?

– Coś tam mi się obilo o uszy.

– Powiadają, że jeśli powstanie tu rozgłośnia, to cała aparatura i studia mają być umieszczone tu w budynku Esplanady.

– Coś takiego... To zlikwidują kawiarnię? Szkoda, bo dobrą kawę tu dają.

Fischer już chciał wyjaśnić kapitanowi, że z tego, co słyszał, studia mają być ponad kawiarnią na wyższych piętrach, jednak nie zdążył, bo rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – zawołał głośno komisarz, bo po sposobie pukania wyczuł natychmiast, że za drzwiami stoi podoficer. Oficerowie pukali zdecydowanie ciszej.

Dyżurny wszedł do środka i zbliżył się do Fischera.

– Melduję, że jakiś człowiek zostawił to na portierni dla pana komisarza. Powiadał, że to sprawa bardzo pilna i żeby do rąk własnych niezwłocznie dawać – powiedziawszy to, wręczył oficerowi zwykłą, niebieską kopertę.

– Nie przedstawił się, nic nie powiedział?

– Powiedział ino, że sprawa życia i śmierci i że pan komisarz będzie zadowolony.

Policjant wydobyl białą kartkę wyrwaną z uczniowskiego brulionu i szybko przeleciał wzrokiem krótki tekst. Gdy skończył, zaklął pod nosem, a potem bez słowa podał kartkę Jażdżewskiemu.

Panie Komisarzu Fischer

Jeśli miłe jest panu życie aspiranta Oskierki, to z przyjemnością dokona pan wymiany. Proszę wypuścić Latałę Tomasza, zegarmistrza, co go żeście wczoraj aresztowali, a pana człowiek wróci cały i zdrowy. Jeśli go nie wypuścicie, marny

będzie los tego młodego policjanta, dlatego wypuście Latałę, a jak nie może chodzić z ran, to wsadźcie go do dorożki. Macie czas do północy, bo później będzie za późno.

Przyjacieli, co wam źle nie życzy.

– No i co robimy, panie komisarzu? – zapytał kapitan po przeczytaniu listu. Fischer wzruszył ramionami.

– A skąd ja mam wiedzieć? Daj pan zebrać myśli.

Machnięciem ręki odprawił dyżurnego i zasiadł w fotelu za swoim biurkiem. Przez chwilę spoglądał na drzwi, za którymi zniknął policjant, a w końcu sięgnął do szuflady, by wydobyć z niej tytoń i fajkę. Gdy wreszcie uporał się z nabiciem i podpaleniem, spojrzął na Jażdżewskiego, który cierpliwie czekał, siedząc w swoim fotelu.

– No więc, panie kapitanie, zrobimy to tak...

Godzina 3.15 po południu

Pytel obejrzał się za siebie jakoś tak od niechcienia, jakby sprawdzał, która bimba nadjeżdża od strony Zamku Cesarskiego, gdzie jeszcze do niedawna mieściło się Ministerstwo byłej Dzielnicy Pruskiej, a teraz zagnieździły się jakieś urzędy i redakcje pism. Żaden tramwaj w tej chwili nie jechał. Gdyby mężczyznę obserwował ktoś zupełnie przypadkowy, musiałby dojść do wniosku, że to zniecierpliwiony pasażer, który stoi na przystanku i czeka na podwózkę. Owszem, on chciał jechać, ale nie miał najmniejszego zamiaru wsiadać do pierwszego lepszego numeru. Postanowił, że przepuści przynajmniej trzy i wsiądzie do czwartego, który pojedzie w kierunku Starego Rynku, a później w Chwaliszewa i w końcu dotrze na Śródkę. Chciał się upewnić, że nikt go nie śledzi. Mógł co prawda pójść pieszo, ale tramwaj zawsze wydawał mu się pewniejszy, bo podczas jazdy można się było dokładnie przyjrzeć wszystkim pasażerom, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Wystarczyło tylko zająć miejsce na samym początku wagonu tyłem do kierunku jazdy. Wtedy miało się ogląd na całą bimbę. No oczywiście nie dało się obserwować wszystkich pasażerów, zwłaszcza wtedy gdy w wagonie było tłoczno. Jeśli jednak siedziało się w tramwaju przez co najmniej kilka przystanków, to była niemal stuprocentowa szansa, że zapamięta się wszystkich.

Przystanek na Świętym Marcinie należał do tych najruchliwszych w mieście, więc bimby zatrzymywały się tutaj co chwilę. Na czwarty tramwaj czekał zaledwie dwadzieścia minut. To wystarczyło, by zorientować się, że nikt spośród stojących w tym miejscu pasażerów nie sterczał tak długo jak on. Ci, którzy przyszli mniej więcej w tym samym czasie, już dawno odjechali. Śladu nie było też i po tych, którzy przyszli po nim. To oznaczało, że był bezpieczny. Nikt z dyrekcji policji nie ruszył za nim, bo policjanci w ogóle nie zorientowali się, z kim mają do czynienia. W końcu wszedł tam tylko na moment i oddał ten list.

Co prawda policjant, który pełnił dyżur, chciał zapisać jego dane, ale Pytel nie dał się przepytwać. Rzucił tylko, że komisarz Fischer będzie wiedział, o co chodzi, i już go nie było.

W sumie musiał przyznać, że mimo tego nocnego ataku policji i tak wyszedł z całej sprawy bez szwanku, a jeszcze z atutem w ręce w postaci zatrzymanego i więzionego przez siebie policjanta. A w pierwszej chwili chciał go zastrzelić. Wystarczył przecież jeden strzał w łeb i już byłoby po facecie, a on mógłby spokojnie zaszyć się pod miastem. Ale coś go tknęło, jakiś impuls, który sprawił, że postanowił go zabrać ze sobą. I jak się okazało – dobrze postąpił.

Przekonał się o tym, gdy jego płatny informator, podoficer intendencji pracujący w dyrekcji policji, przekazał mu informację, że jego ranny kompan siedzi, a właściwie leży, zamknięty w celi. Dziś rano zadzwonił do niego, by zapytać, jakie są skutki nocnej strzelaniny.

– Dzień dobry, ja w sprawie dostawy ziemniaków – rzucił hasło do słuchawki telefonicznej zainstalowanej w budce na Poczcie Głównej przy Alejach Marcinkowskiego.

– Dostawa była dziś w nocy z wniesieniem prosto do piwnicy. Dostaliśmy jeden worek, ale kiepskiej jakości. Miały być dwa, ale drugiego nie ma.

– To postaramy się coś dowieźć – rzucił jeszcze na koniec rozmowy i się rozłączył.

Worek kiepskiej jakości oznaczało, że mają zegarmistrza u siebie, ale nie jest z nim najlepiej. Cała nadzieja w tym, że nie został poważnie ranny. Gdyby go wtedy w nocy posłuchał, dziś nie byłoby najmniejszego problemu. Ale stary idiota nie chciał słuchać nikogo.

Gdy wtedy w nocy Pytel usłyszał jakieś dziwne rozmowy przy bramie, natychmiast poczuł, niemal podskórnie, niebezpieczeństwo. To nie były bełkotliwe pijackie gadki, ale jakby dwóch ludzi naradzało się szeptem. Zareagował niemalże rutynowo. Natychmiast chwycił w dłoń swój rewolwer, zarzucił na ramiona płaszcz i poszedł do zegarmistrza, który spał w kuchni. Obudził go i wskazał lufą pistoletu okno.

– Coś tam się dzieje – powiedział cicho.

– Ciągle coś się dzieje na ulicy – mruknął niezadowolony Latała, który najwyraźniej nic sobie nie robił z nocnych hałasów.

– Ale tam gadali jacyś ludzie.

– Mało to ludzi gada?

– Byli trzeźwi, a o tej porze trzeźwi ludzie to śpią w domach. Coś mi się widzi, że jest coś nie tak. Mam jakieś przeczucie.

– No dobra, weź podnieś klapę i zjeżdż ostrożnie do warsztatu. Jak kto się tam namawia albo co, to ze sklepu usłyszysz lepiej. Jakby było jakie niebezpieczeństwo, to wracaj tu i daj znać...

– A wy?

– Ja tu poczekam sobie – rzucił na odczepnego zegarmistrz, który myślał tylko o tym, by wrócić do spania. A ten młody niech sobie sprawdza swoje

podejrzenia. Jak mu się chce, to niech łązi na dół i do góry.

Po chwili Pytel był już w warsztacie. Stamtąd przeszedł do pierwszego sklepowego pomieszczenia, którego witryna wychodziła na ulicę. Nie dostrzegł nikogo, ale wiedziony jakimś szóstym zmysłem czekał i nasłuchiwał. Nic się nie działo, jednak tak na wszelki wypadek postanowił się upewnić. Przekreślił klucz, który tkwił w zamku od drzwi, otworzył je i wyszedł na ulicę. Zamierzał tylko rzucić okiem i wrócić. Nawet nie założył spodni, za to nie wiedząc czemu wcisnął na głowę kapelusz. Wyszedł na zaśnieżony chodnik i stanął jak wryty. Naprzeciw niego stał jakiś młody człowiek z miotłą w ręce. Na jego widok natychmiast wycelował kijem od miotły na wprost, jakby chciał wymierzyć w pierś z karabinu, ale o karabinie zapomniał.

– Ręce do góry! – zawołał miotlarz, a Pytel mało nie wybuchnął śmiechem, gdyby nie to, co jeszcze powiedział ten człowiek. – Policja Państwowa. Ani kroku, stać z rękami w górze!

Miał jednak rację, że te głosy to było coś nadzwyczajnego. Ale co teraz zrobić? Latała leżał w łóżku i pewnie właśnie zasypiał. Wiedział dobrze, że kazał mu iść sprawdzić ten dół tylko na odczepnego. Ale on miał jak zwykle przeczucie, które jeszcze nigdy go nie zawiodło. Tak jak wtedy w tej zagrodzie, gdy wyszedł na zewnątrz i spojrzał w kierunku sadu, a tam kryli się bolszewicy. A teraz po tych latach przeczucia zostały, tyle że role się zmieniły. To on był bolszewikiem, a ten młody, groteskowy policjant z miotłą w ręce „białopolakiem”. Wydobyl rewolwer z kieszeni i wycelował w policjanta. Ten na widok broni jęknął przestraszony.

– Rzuć tę miotłę! – poprosił grzecznie.

Chłopak zrobił to natychmiast.

– Ilu was jest? – zapytał.

– W środku jest trzech policjantów.

Marne szanse, pomyślał, analizując szybko możliwości przyjścia z pomocą swojemu towarzyszowi. On musi sobie poradzić sam. Każdy niech sobie radzi sam. Naraz z bramy wyszedł jakiś człowiek i spojrzał na nich zdziwiony.

– Powiedz mu coś, bo obu zastrzelę – syknął do ucha policjantowi.

– Spokojnie, zatrzymany jest zatrzymany i zaraz wracamy.

Naraz usłyszał parskanie konia. To od ulicy Prądyńskiego musiała nadjeżdżać dorożka. Prawdziwe zrzędzenie losu. Trzeba szybko do niej wsiąść i tego młodego się weźmie jako żywą tarczę, a później się go gdzie pozbędzie.

– Teraz odwracaj się. Ruszaj do przodu, ale szybko!

Policjant posłuchał i ruszył przed siebie. Po chwili obaj siedzieli już w dryndzie.

– Czego chcesz ode mnie? – zapytał chłopak.

– Kto dowodzi tą akcją?

– Jak to kto? Wiadomo, że komisarz Fischer.

– A ty kto jesteś?

– Aspirant Oskierko.

– A gdzie masz pistolet?

– Zostawiłem w biurze – wyjaśnił nieco zmieszany policjant. Pytel natomiast zrozumiał, że jak zwykle miał nieprawdopodobne szczęście. Gorzej z tym szczęściem było u dryndziarza, który tej nocy stracił nie tylko wóz z koniem, ale i swoje portki.

Gdy już pognął woźnicę, a młodego policjanta obezwładnił i związał paskami od spodni, spokojnie, nie śpiesząc się, popędził konia do przodu. Cały czas jednak oglądał się za siebie, czy aby policja nie rozpoczęła pościgu. Było to mało prawdopodobne, aby od razu połapali się, w czym rzecz i dlaczego zniknął ich człowiek. Musieliby jeszcze zorientować się, że odjechali dorożką, no i załatwiać jakiś pojazd do pościgu.

Całkowicie uspokoił się dopiero, gdy dorożka wyjechała na Wierzbicice. Na tej szerokiej ulicy mimo późnej pory śnieg był rozjeżdżany kołami automobili i wozów. Wiedział więc, że za chwilę zniknie po nich wszelki ślad. A mało prawdopodobne było, żeby policja w ciągu najbliższej godziny zarządziła obławę na dorożki w całym mieście. Miał więc wystarczająco dużo czasu, żeby spokojnie przejechać mostem św. Rocha na drugi brzeg Warty i dotrzeć do podpoznańskiej wsi Rataje, którą rok temu włączono do Poznania. Niby te Rataje stały się teraz miastem, ale zamieszkujące je od pokoleń rolnicze rodziny nie stały się z dnia na dzień mieszczuchami. Miasto przejęło administrację, ale nie miało żadnego wpływu na zmianę mentalności chłopów z Rataj czy Żegrza. Miejscowi mówili, że na Ratajach zawsze będzie wieś, no chyba że miasto odkupi od chłopów grunty i wybuduje na nich domy. Tylko kto chciałby mieszkać w kamienicy stojącej pośród pól?

To w tej miejskiej wsi mieszkał pewien znajomy Pytla. Nie był komunistą. Był człowiekiem, który dobrze umiał liczyć pieniądze. Więc gdy Pytel nocą podjechał pod jego zagrodę, nie trzeba było go specjalnie przekonywać, by przechował go przez jakiś czas wraz z człowiekiem, którego przywiózł ze sobą. W zamian za przysługę zaproponował mu konia i dorożkę. Chłop długo się zastanawiał. Koń wyglądał całkiem nieźle. Ciągnięty przez niego pojazd nieco gorzej, no, ale z doprowadzeniem wozu do użytku poradzi sobie przecież każdy człowiek, który ma dwie ręce i poukładane pod sufitem, rozwiął wszelkie wątpliwości Pytel.

Teraz wracał do gospodarstwa, w którym udzielono mu gościny. Musiał tam czekać, w razie gdyby policja postanowiła wypuścić zegarmistrza. Ten dobrze wiedział, dokąd ma przyjechać, bo gospodarstwo na Ratajach było ich alarmowym adresem.

Gdy pojawił się wreszcie czwarty z kolei tramwaj, Pytel rozejrzał się jeszcze wokół, ale nikogo podejrzanego nie zauważył. Razem z nim do wagonu wsiadło kilkoro niczym niewyróżniających się z tłumu ludzi. Obrzucił ich uważnym spojrzeniem, ale szybko przekonał się, że żaden z nich nie stanowi niebezpieczeństwa. Na wszelki wypadek w tramwaju zajął miejsce usytuowane tyłem do kierunku jazdy, bo było świetnym punktem obserwacyjnym. Mimo to nie zauważył jednak, że w chwili gdy tramwaj ruszył, na przedni pomost wagonu wskoczył młody chłopak. Pytel nie spostrzegł go, bo nie pomyślał

nawet, że ktoś może wsiąść do bimby przednim wejściem. W końcu to był Poznań. Tu wsiadało się z tyłu, a wysiadało z przodu wagonu.

Godzina 8.30 wieczorem

– Jesteś pewny, że to tutaj? – zapytał Tolek Grubiński, wpatrując się w ciemną bryłę typowego bamberskiego domu z czerwonej cegły z podwyższoną środkową częścią ściany szczytowej imitującej wieżyczkę o dwuspadowym dachu.

– Jak Bożię kocham. – Krystek uderzył się pięścią w pierś. Nie mógł się przecież pomylić. Nie po to jechał tramwajem za tym facetem przez pół Poznania, a później jeszcze szedł za nim kawał drogi, chowając się za przydrożnymi wierzbami, żeby się pomylić. Trafiliby do tego gospodarstwa z zawiązanymi oczyma. No może z jednym zawiązanym, bo drugie jednak mogłoby się przydać, choćby do obserwacji tej zagrody, pod którą doprowadził Tolka oraz dwóch swoich braci i jeszcze Zenusia Brodziaka, który uparł się, że musi uczestniczyć w akcji, skoro to on rozpoznał tego faceta z odrapaną mordą. Miał rację, musiał mu to przyznać Krystek. W końcu gdyby nie on, to wcale by nie wiedzieli, że mijają właśnie na ulicy tego gościa, którego kazał im odnaleźć Tolek.

Teraz wszyscy, za wyjątkiem Walka, który siedział na kozle ubrany w długi płaszcz woźnicy, siedzieli w zamkniętym i zadaszonym wozie do przewozu mebli i przez niewielkie okienko obserwowali dom, w którym według słów Krystka ukrywał się ten, którego poszukiwali. Wóz podprowadził Leon. Zobaczył na Garbarach wyładunek mebli, które prosto z magazynu przywieziono do jakiegoś mieszkania. Poobserwował chwilę tragarzy wnoszących szafy i łóżka, a gdy wóz już był pusty, najzwyczajniej w świecie podszedł do niego, wskoczył na kozła i pognął konia. Dzięki tej brawurowej akcji cała grupa mogła spokojnie, niezauważona przez nikogo, podjechać pod dom, w którym zniknął śledzony przez Krystka facet z odrapaną gębą.

– To co teraz robimy? – zapytał Walek, odwracając się za siebie i zaglądając do budy, tam gdzie siedzieli jego kompani.

– Trzeba żeby było tak, jakbyś się zgubił w tej wielkiej wsi. Idź no do tej zagrody na prawo najpierw i zapytaj o coś – poinstruował go Tolek.

– A o co się mam zapytać?

– Wszystko jedno. Zapytaj, która godzina.

– Ady ja wiem, która jest godzina, bo mam swój zegarek – powiedziawszy to poklepał się po kieszeni. Od ostatniego włamania był szczęśliwym posiadaczem szwajcarskiego zegarka kieszonkowego marki Omega. Od czasu gdy wpadł mu w ręce, Walek zaczął nawet ubierać kamizelkę, żeby było gdzie ten zegarek trzymać. Nie dość, że nosił, to jeszcze korzystał z kieszeni, wyciągając zegarek regularnie co kilka minut, by sprawdzić czas. Sprawdzał, ale i tak nie miał pojęcia, która jest, bo tak dokładnie to on na zegarku się nie znał. Owszem znał wszystkie cyfry i wiedział, że jak mała wskazówka jest na trójce, to jest godzina

trzecia albo przed trzecią, albo i po trzeciej. Wszystko zależało od tej większej wskazówki. Tyle że nie wiedział, czy po było, jak jest z lewej czy z prawej strony. Nie mógł jednak przyznać się do swojej niewiedzy przed Tolkiem i przed młodszymi braćmi, więc jeśli który pytał go o godzinę, wyciągał zegarek z kieszeni i podsuwał mu pod nos.

– Jak się znasz na zegarku, to se sam przeczytaj – mawiał i zaraz chował omegę do kieszonki kamizelki. Tylko Grubiński nie pytał, bo dobrze wiedział, że jego stary kumpel ma pewne trudności z precyzyjnym określeniem czasu.

– No dobra, to idź tam i zapytaj, czy mają pyry do sprzedania?

– A po cholere mi pyry?

– Dla niepoznaki.

– Aha. Trzeba było tak od razu.

Walek zszedł z kozła i poszedł w kierunku najbliższej zagrody. Położona była niemal naprzeciwko tej, którą wskazał im Krystek. Gdyby ktoś z okien tamtego domu patrzył teraz w tę stronę, dostrzegłby tylko ciemną sylwetkę konia i towarowego wozu. Zobaczyłby też pewnie woźnicę, który idzie do sąsiedniego domostwa, pewnie zapytać o drogę. O to właśnie chodziło Tolkowi, żeby w ten sposób uspić czujność gospodarza, u którego ukrywał się poszukiwany przez nich człowiek.

Pięć minut później Walek wrócił. Nie wdrapał się jednak na kozła, ale zaszedł wóz od tyłu. Otworzył drzwi i wrzucił do środka worek ziemniaków.

– Coś ty tu przytargał? – Tolek był najwyraźniej zdziwiony.

– No zapytałem, czy mają pyry na sprzedaż, to powiedzieli mi, że mają. Tom spytał za ile, a jak mi powiedzieli, to ja gadam, że za drogo, i spuścili cenę, to jak już spuścili, to nie miał wyjścia i trzeba było kupić.

– Pyrki się przydadzą w chacie – stwierdził Leon, który drzemał dotąd rozłożony na podłodze wozu. – Mamusia będzie zadowolona.

– A ci naprzeciwko to się nazywają Frombergi i oni pyrów nie mają, ale jabłka sprzedają. Tak mi ten bamber od pyrów powiadał.

– No to świetnie. – Ucieszył się Tolek. To podjedź tam koło tej chaty i pójdziesz spytać o jabłka.

– Mam zaś kupować?

– Możesz je nawet zjeść na miejscu. Bylebyś tylko zagadał tego gospodarza. A jak już zaczniecie gadać, to my se poradzimy. Co nie, chłopaki?

Wszyscy pokiwali głowami. Bo i dlaczego nie mieliby sobie poradzić. Sprawa wyglądała na prostą. Trzeba było tylko przyłożyć po łbie jednemu albo dwóm facetom, jednego związać i zabrać ze sobą do miasta. Nic nadzwyczajnego.

Dorożka podjechała od podwórza. Od ulicy lepiej było nie ryzykować, bo za dużo ludzi zobaczyłoby to niecodzienne widowisko. Dwaj umundurowani policjanci wynosili niezbyt wielkiego mężczyznę poowijanego od stóp do głów w bandażu. Człowiek ten jęczał i przeklinał na zmianę, a gdyby jego twarz była widoczna, zapewne malowałoby się na niej cierpienie. Ale nikt tego nie mógł dojrzeć, bo głowę spowijały opatrunki. W końcu obu policjantom udało się

ułożyć krzykacza na kanapie. Dorożkarz, który palił sobie spokojnie fajkę, stojąc obok kozła, z zaciekawieniem obserwował całą tę scenę. Słyszac jęki i krzyki wnoszonego do jego dryndy człowieka, nie ruszył się do pomocy. W końcu to nie była jego sprawa. On miał swoją robotę. Miał jechać tam, gdzie każą, odebrać zapłatę, a jak będą kazali, to będzie czekał na powrót. Taki to już fach dorożkarski, że człowiek jedzie i czeka na przemian. Ale żeby pomagać usadowić się jakiemuś gościowi, który jest pokiereszowany, tego nikt porządному dorożkarzowi nie może nakazać.

– No, już gotowe – powiedział, zwracając się do dryndziarza wyższy z policjantów.

– Dokąd niby ten kurs? – zapytał dorożkarz.

– A nam niby to skąd wiedzieć? Klient jedzie tam, gdzie chce.

– A co to za klient, taki połamany...

– Klient jest klient. Połamany czy w całości płaci chyba tak samo.

– Niby tak, ino żeby mi juchą siedzenia nie uślomprał.

– Opatrzony przez lekarza, to chyba może jechać.

– Jak dobrze opatrzony, to ni ma gadki.

Dorożkarz podszedł do swojej starej chabety i zdjął jej ze łba worek obrokowy. Zawiązał go dokładnie tasiemkami, żeby nic się po drodze nie wysypało, i wrzucił pod swoje siedzenie. Potem wskoczył na kozła i chwyciwszy lejce, odwrócił się do pasażera.

– Dokąd to sobie szanowny pan winszuje pojechać?

– Jedź na ulicę – warknął pasażer i zaraz zamknął oczy.

– Mnie tam wszystko jedno, gdzie jadę. Każą w prawo, jadę w prawo, jak w lewo, to pojedę w lewo. Mnie tam wszystko ganc pomada. Ale jakiś mniej więcej kierunek by się przydał, żeby se można było wyznaczyć drogę.

– Jedź i nie gadaj!

– Już jadę. Robi się. Co ma się nie robić. Drynda jest od tego, żeby jechać. Jak kto każe jechać, to się jedzie i tyle. Wszystko jedno, w którą stronę...

– Zamknij się, do cholery, i jedź!

– Przecie jadę. Mogę się zamknąć. Mnie tam ganc egal. Jadę i nic nie gadam, jak sobie klient życzy.

Fischer z okna klatki schodowej obserwował odjazd dorożki. Obok niego stał kapitan Jażdżewski z papierosem w zębach. Tę swoją kolorową lufkę schował do kieszeni, bo tu na korytarzu mógłby go jeszcze zobaczyć ktoś obcy i nie wiadomo co sobie pomyśleć o właścicielu tak ekstrawaganckiego przedmiotu. Nie pasował on do ubranego w elegancki garnitur przystojnego oficera. Sam papieros za to jak najbardziej.

– I co teraz, panie komisarzu? – zapytał Jażdżewski Fischera.

– Teraz pozostaje nam tylko czekać – odparł policjant.

– A może byśmy tak drugą dorożką pojechali za nimi?

– To nie byłby dobry pomysł. Ktoś może obserwować. Ten, kto pisał do nas list, ostrzegał, żeby wysłać zegarmistrza samego.

- No tak, ma pan rację, ale głupio tak siedzieć na tyłku i nic nie robić.
- Niech się pan nie przejmuj. Trzymamy rękę na pulsie. Wszystko jest przygotowane w najdrobniejszych szczegółach. Nie przegramy tej rozgrywki.
- Oby. - Jażdżewski nie wyglądał na przekonanego. Sprawa była bardzo poważna, a tymczasem on i Fischer siedzieli sobie w budynku policji i palili papierosy, zamiast z bronią w ręku walczyć z bolszewikami.
- Żeby nam się czas nie dłużył - komisarz uśmiechnął się do swojego wojskowego kolegi - zapraszam pana na kieliszek martella. W końcu mamy przed sobą jeszcze trochę oczekiwania, a nic tak dobrze nie robi w takich sytuacjach jak dobry koniak.
- Jażdżewski pokiwał głową.
- Jak człowiek nie może postrzelać, to co mu zostaje?
- Alkohol! - rzucił Fischer i roześmiał się głośno.

Walek Kaźmierczak stanął przy furtce. Od razu wyczuł jakiś ruch wewnątrz domu. Wiedział, że ci, co są w środku, jeszcze nie śpią, bo w jednym z okien widać było pomarańczową poświatę, jaką daje zapalona lampa naftowa. W wiejskich domach pod Poznaniem nie było jeszcze elektryczności, którą od dawna już mogli się cieszyć mieszkańcy centrum miasta. Nic też nie zapowiadało, że w najbliższym czasie te nowe dzielnice czeka elektryfikacja. A światło przydałoby się w domach, ale również na ulicach. Gdy zapadał zmrok, trudno było dostrzec cokolwiek. Mieszkańcy tego domu, chcąc się przekonać, kto niepokoi ich o tej porze, zapewne patrzyli na drogę przez okno, ale niewiele dawało się zobaczyć poza sylwetką konia i towarowym wozem. Pies przyczepiony łańcuchem do budy zwiertzył intruza i zaczął szczekać jak oszalały. Ktoś stanął za firanką i przez chwilę spoglądał na podejście do bramy. Zapewne widok człowieka nie wzbudził podejrzeń gospodarzy, bo po chwili drzwi otworzyły się, a w progu pojawił mężczyzna z okazałym, jasnym wąsem pod nosem. Na ramionach miał narzucony krótki, barani kożuszek.

- A czego tam? - zapytał nieprzyjaznym tonem, obrzucając Walka niezbyt przychylnym spojrzeniem.
- Ja z Poznania przyjechałem - wyjaśnił przybysz, wychylając głowę znad bramy.
- No i co z tego? Teraz tu wszędzie jest Poznań. Już my nie chłopy, ino miastowe, a nasza droga to już nie droga, ino ulica - wyjaśnił wąsacz, ale nie zatrzasnął drzwi i nie przerwał rozmowy, zapewne zaciekawiony, czego też może chcieć od niego ów człowiek.
- Trochę się zagubiłem na tych waszych wybojach.
- Jak kto nie zna drogi, to się łatwo idzie zgubić.
- A wasz sąsiad to mi powiadał, że u was można jabłek kupić. Bo ja od niego wzięłem już pyrki, to jak już tu człowiek się wtarał, to może z pustymi rękami nie wyjedzie.
- Jabłka są, czemu ma nie być, jak u nas największy sad we wsi. Jabłka i nawet gruszki są. Chcecie gruszek, to też sprzedam.

– Czy ja wiem? – Walek podrapał się po nieogolonej gębie. – Może by się i gruszek też wzięło. A słodkie są?

– U nas gruszki pierwsza klasa. Sama słodycz.

– No dobra, to pokażcie, co tam macie na sprzedaż.

– To poczekajcie chwilę, bo owoce to jam mam w składziku owocowym w kistach. Muszę z domu zabrać lampkę.

Zamknął drzwi, a Walek został sam przed bramą. Rozejrzał się wokół, ale niczego podejrzanego nie dostrzegł. To znaczy, że jego kompani potrafiliby się dobrze ukryć. Zanim poszedł do furtki, ustalili, że Leon i dwaj młodzieńcy przedostaną się na tyły gospodarstwa, żeby w razie czego odciąć drogę ucieczki. Co prawda Tolek nie spodziewał się, że mogą być tu jakieś większe kłopoty, ale wolał się zabezpieczyć na wszelki wypadek jak wytrawny dowódca frontowy. Chłopaki już musieli siedzieć, ukryci gdzieś za stodołą albo oborą, i obserwować, co działo się w obejściu. Tolek nie poszedł z nimi. On został od strony drogi, żeby ubezpieczać Walka. W chwili gdy jego kolega rozmawiał z gospodarzem, podkraść się do bramy i czekał sposobnego momentu, by wkroczyć do akcji.

Gospodarz wyszedł z latarnią w dłoni, podszedł do bramy i odciągnął skobel.

– Niech wchodzi. – Pokazał lampką kierunek. Pies aż bulgotał ze złości, wściekle ujadając. Na szczęście od ścieżki przy domu, którą prowadził bamber, było na tyle daleko, że nie miał najmniejszych szans capnąć zębami przechodzącego gościa. Widać musiał wyczuć jego złe intencje. Natomiast gospodarz niczego nie wyczuł oprócz zapachu pieniędzy za sprzedane jabłka i gruszki. Walek spojrzął za siebie, ale i tak wiedział, że jest dobrze. Brama nie została zamknięta, więc Tolek bez trudu mógł dostać się do środka. Zdobywali fortecę bez własnych strat i szło im coraz lepiej.

Podeszli do wielkiej, murowanej stodoły. Jednak nie wchodzili do środka główną bramą. Z boku po lewej stronie były niewielkie, drewniane drzwi prowadzące do składziku. Od razu można było poczuć, że to właśnie tu przechowuje się zerwane jesienią owoce. W powietrzu unosił się pomieszany zapach suchego siana i jabłek.

Gospodarz otworzył drzwi i wszedł do środka.

– Mamy jakubki, kosztele, grochówki, grafsztyunki i wilhelmy, a wy to jakie jabłka lubicie? – Podniósł latarnię, oświetlając równe rzędy drewnianych skrzynek ustawione pod ceglana ścianą, wysokością przewyższające dorosłego, postawnego mężczyznę.

– Ja tam się na jabłkach nie wyznaję. Dla kobity chciałem i dla dziecioków.

– No to w takim razie najlepsze by były grochówki, bo słodkie i mają dużo soku. Zaraz zdejmę kistę.

Postawił latarnię na podłodze i podszedł do skrzynek. Chwycił jedną i ściągnął z góry. Ze skrzynką w dłoniach zbliżył się do przeciwległej ściany, gdzie stał szeroki i długi stół zbity z prostych desek, który zapewne służył do segregowania owoców.

– Skosztujcie. Te, widzi mi się, będą dobre.

Walek podszedł do skrzynki wypełnionej jabłkami ułożonymi w aromatycznym sianie. Chwycił jedno i odgryzł spory kawałek. Rzeczywiście było wyborne. Gdyby miał dzieciaki, to na pewno sprawiłby im radość takimi jabłkami. Ale na razie nie miał ani żony, ani dzieci, miał za to robotę do wykonania.

- To ile będzie za skrzynkę?
- Pięć złotych.
- Ile?
- No powiedzmy, że cztery.
- To już lepiej.

Sięgnął do kieszeni i nim gospodarz zorientował się, w czym rzecz, wyciągnął z niej krótką, kauczukową pałkę. Błyskawicznie dzielił nią chłopca przez łeb, a ten zaraz padł na ziemię jak rażony gromem. Pochylił się nad nim, by sprawdzić, czy aby nie przyłożyć mu jeszcze raz, ale okazało się, że nie ma takiej potrzeby.

- No i co, pierdalnąłeś go? – zapytał Tolek, wpadając do magazynu.
- Ani zipnął.
- Ciekawe, kto nam teraz powie, kto tam jest w domu w środku?
- A po cholere mówić? Wchodzimy i się zobaczy.

Tolek pokiwał głową. Bo co miał zrobić? Starsi Kaźmierczakowie najpierw walili, a potem dopiero myśleli. Na szczęście dla nich ten najmłodszy Krystek był inny. Z niego jeszcze będą ludzie, bo o tych dwóch to szkoda gadać.

Pies cały czas czekał, jakby go obdzierano ze skóry. Taką w końcu miał robotę i najwyraźniej się do niej przykładał.

Dorożka przejechała most Rocha i gdy tylko znalazła się na wysokości kościoła, któremu patronował ten sam święty, co mostowi, pasażer wysunął głowę na zewnątrz. A gdy na poboczu dostrzegł sylwetkę człowieka w kapeluszu i szynelu z postawionym kołnierzem, klepnął dorożkarza w ramię.

- Stanij pan przy tamtym facecie.
- Co?
- No, stanij pan!
- Bierzemy jeszcze jednego pasażera?
- A co się tak dziwisz, człowieku. Nigdy żeś nikogo po drodze nie zabierał?
- No zabierałem. – Pociągnął lejce do siebie i koń widać dobrze wyuczony natychmiast zwolnił, a dorożka po chwili się zatrzymała.
- Myślałem, że już nie dojedziecie – burknął najwyraźniej zziębnięty facet, gramoląc się na kozła.
- Panie, do tyłu, tu jest służbowe miejsce.
- Nie do tyłu, bo mnie tu wygodnie.
- Że niby jak?
- Że niby ja biorę lejce, a szanowny pan zjeżdża stąd w podskokach.
- Że co?
- Rekwizycja. Spieprzaj, dziadu!

– To jest napad! Ja na policję zaraz pójdę! – Dorożkarz spróbował protestować, jednak pistolet w ręku nowego pasażera bardzo ostudził jego zapał.

– I o to się rozchodzi. Idź pan na policję i melduj, że dorożka odjechała bez woźnicy.

– Ale panowie, tak nie można. – Woźnica zmienił ton z agresywnego na błagalny. – Ja mam żonę i piątkę dziecioków! Jak mnie ich utrzymać bez kłynia?

– A czy ktoś chce ci, człowieku, konia zeżreć czy jak? Jutro będziesz miał swoją dryndę. Twój koń sam do domu umie trafić?

Woźnica wzruszył ramionami, bo cóż to było za pytanie? Wiadomo było, że każdy porządny dorożkarski koń umie trafić do własnej stajni. Większość dorożkarzy przekonała się o tym na własnej skórze, kiedy to zmęczeni wracali po kilku głębszych do domu.

– Wiadomo, że poradzi wrócić.

– No to my jego zaraz puścimy, jak już zajedziemy, gdzie chcemy zajechać.

– To po co jego puszczać, jak ja mogę z panami pojechać.

– Ile będziesz z nim gadał? – odezwał się ten zabandażowany z tylnej kanapy.

– Nie chce se iść, to strzel mu w łeb.

– Już mnie nie ma. Ale co będzie z zapłata?

– Policja ci już zapłaciła, łotrze jeden – warknął ranny – A teraz ciągnij stąd, bo ni ma czasu na ksiuty.

Dorożkarz zrobił zmartwioną minę, a potem lekko zeskoczył z kozła.

– Ino nie bijcie go batem! Siwek jest mądry i wszystko rozumi. Nie trzeba jego siłą!

Nowy pasażer, który wszedł właśnie w rolę woźnicy, skinął głową, a potem chwyciwszy lejce, delikatnie potrzasnął nimi. Koń natychmiast pojał, w czym rzecz, i bez zbędnych ceregieli ruszył przed siebie. Po chwili dorożka minęła kościół i skręciła w prawo. Właściciel dryndy stał jeszcze przez chwilę, wpatrując się w miejsce, w którym zniknął jego ruchomy dobytek, a potem ruszył biegiem. I wcale nie do miasta. On pobiegł z drugiej strony kościoła, bo wiedział, że wąska dróżka opasująca świątynię z prawej strony dobiega do szerokiego gościńca, po którym jechali teraz ci dwaj złodzieje jego dobytku. Przy odrobinie szczęścia powinien być na tym skrzyżowaniu w chwili, gdy będzie je mijać jego drynda. Nie pomylił się. Dwie minuty później zobaczył ich jadących drogą wiodącą przez Rataje w kierunku wsi Żegrze.

Rozdział X

Godzina 10.10 w nocy

Walek Kaźmierczak wysmarkał nos w palce, bo od tego jeżdżenia na zimnym powietrzu złapał katar. Tolek Grubiński natychmiast klepnął go lekko w kark, żeby się uspokoił. Zakatarzony spojrzał na niego zdziwiony. No przecież i tak ci, co siedzą w chacie, już wiedzą, że ktoś łązi po obejściu. Nie powinno ich niepokoić jakieś tam smarknięcie, pomyślał, ale już więcej nie czyścił nosa. Co tam, jak będzie lecieć to albo się obsmarka, albo pociągnie.

Obaj mężczyźni wyszli z magazynu owoców. Tolek zarzucił na ramiona kozuch gospodarza. Pies, który przestał szczekać, kiedy Walek z gospodarzem szli do magazynu, teraz zaczął warczeć. Coś wyraźnie go niepokoiło. Czuł zapach swojego pana, którym przesiąknięty był kozuch, ale pomieszany był z innym zapachem. Nie wiedział więc, czy szczekać, czy tylko wyrazić głośno swój niepokój. Właściciel owoców został na ziemi w miejscu, w którym pozbawił go przytomności Walek. Na wszelki wypadek wsadzili mu w usta jakąś szmatę, żeby nie krzyknął, gdyby przypadkiem się zbudził, a ręce i nogi związali solidnym sznurem znalezionym w magazynie. Teraz Tolek szedł przez podwórze w kierunku domu, a Walek dreptał obok. Wyglądało to z daleka tak, jakby postanowili na chwilę wejść do chaty, żeby rozmienić pieniądze albo napić się wódki po udanej transakcji.

Pies jednak zaszczekał. Na wszelki wypadek, bo nadal nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi.

Gdy podeszli do drzwi, Tolek zatrzymał się na chwilę i odwrócił za siebie. W ciemnościach niewiele mógł dostrzec, ale wiedział, że sam jest dobrze widoczny, bo trzymał w ręce latarkę naftową. Uniósł ją w górę i zaraz opuścił. Zrobił tak trzykrotnie, by ukryci w zakamarkach gospodarstwa jego ludzie wiedzieli, że właśnie zaczyna się najważniejsza część akcji.

Postawił w końcu lampkę na schodach i sięgnął do kieszeni. Wydobył z niej rewolwer, a Walek zrobił to samo. Tolek nacisnął klamkę i drzwi otworzyły się. Weszli do ciemnej sieni, z której można było przejść w głąb domu. Tolek wskazał ruchem głowy drzwi na wprost. Dwoje innych z prawej i lewej strony, jak w wielu podobnych budynkach, prowadzić musiały jedne do komórki, a drugie do piwnicy.

Położył dłoń na klamce i obejrzał się za siebie. Walek wyszczerzył zęby w uśmiechu. Obaj byli gotowi.

Drzwi pchnięte silną ręką z impetem otworzyły się i uderzyły z głośnym trzaskiem o jakiś mebel stojący za nimi. Obaj uzbrojeni napastnicy z rewolwerami w dłoniach wkroczyli do obszernej kuchni. Na lewo od drzwi był solidny, murowany piec kaflowy, pod którym palił się ogień wypełniający przyjemnym ciepłem całe pomieszczenie. Po prawej stronie stał pod ścianą duży, pomalowany na biało kredens, a za nim łóżko, niezbyt szerokie, takie w sam raz dla jednej osoby. Na wprost pod oknem zobaczyli biały stół, a przy nim kilka równie białych krzesel. Na blacie stołu stała gruba świeca osadzona w niewielkim metalowym świeczniku. W blasku tej świecy natychmiast dostrzegli mężczyznę w portkach i koszuli leżącego na łóżku, z rękami zwiniętymi pod głową. Na widok dwóch uzbrojonych facetów podniósł się gwałtownie, opierając na łokciach.

– To jest ten. – Tolek wskazał na leżącego, w którym natychmiast rozpoznał człowieka z fotografii, jaką pokazywał mu Wróbel.

– Na pewno? – Walek wołał się upewnić, zanim pociągnie za spust.

– Jak się nazywasz? – warknął Grubiński.

– A kto niby pyta? – rzucił hardo.

– Odpowiadaj, jak cię pytają.

– Wy z policji?

– Nie twój zasrany interes, zasrańcu. – Walek stracił w końcu cierpliwość, bo do cierpliwych ludzi nie należał, jednym susem dopadł do leżącego i zdzielił go pięścią w pysk. Nie za mocno, bo zazwyczaj bił prawą ręką, ale że miał ją zajętą rewolwerem, trzepnął go z lewej. Mimo to natychmiast dostrzec można było skutki tego ciosu, bo z rozciętej górnej wargi wypłynęła stróżka krwi.

– Odpowiadaj, jak cię grzecznie pytają – rzucił mu do ucha i odstąpił od łóżka, tak żeby Tolek też miał dostęp do pojmanego.

– Czego, do cholery, wy chcecie ode mnie?

– Najpierw odpowiedzi na pytania – stwierdził Grubiński, uśmiechając się.

– Łe Jezusie przenajświętszy, ludzie ratunku, bandyty mordują! – rozległ się za ich plecami przeraźliwy lamenty kobiety. Natychmiast odwrócili się za siebie. W drzwiach od drugiego pomieszczenia, zapewne sypialni, stała pulchna kobieta w szlafmocy na głowie i koszuli nocnej, na którą narzuciła wełnianą chustę.

– Idźcie spać, kobieto, bo my nie bandyty, ale po bandytę my przyszli – próbował wyjaśnić sytuację Tolek, ale najwyraźniej nie przekonał gospodyni.

– Jezus Maria, bandyci! Ludzie, ratunku!

Nie było rady. Walek musiał zareagować. Podeszedł więc do baby, zatkał jej usta dłonią i wepchnął do sypialni. I wtedy zrobiło się jeszcze większe zamieszanie, bo rozległ się głośny płacz kilku dzieciaków, które swoim nagłym wtargnięciem wystraszył napastnik.

– Ty się nazywasz Pytel? – zapytał Tolek, odwracając się do człowieka półleżącego na łóżku.

– A jak ja, to co?

– Jak ty, to znaczy się my nie musimy już dalej szukać.

– Jesteście policja?

Tolek uśmiechnął się pod wąsem. Czy którykolwiek policjant wyglądał tak elegancko jak on? Nie, to chyba niemożliwe. Przecież oni wszyscy to zwyczajne szuszwole, co nie mają żadnych lompów na przebranie i ciągle łążą tylko w mundurach. No może za wyjątkiem Fischera. Ten jego dawny znajomy potrafił ubierać się elegancko. Prawie tak jak on sam.

– Wstawaj, Pytel, przejdziemy się. – Wycelował lufę pistoletu w pierś mężczyzny.

– Dokąd?

– Zobaczysz za chwilę.

– Ino buty wzuję.

– Nie będą ci potrzebne – rzucił Grubiński, który natychmiast dostrzegł ostry błysk w oczach schwytanego. Widać był z niego bystry człowiek, bo natychmiast domyślił się, co ma się z nim stać.

Aspirant Oskierko obudził się nagle. Najpierw było ujadanie psa, ale to był całkowicie normalny wiejski odgłos. Potem pies umilkł i policjant usłyszał coś zupełnie innego. Tak jakby jakieś dziecko płakało. No tak, przecież to oczywiste, pomyślał, przeciągając się, że dzieciaki ryczą, jak coś im się nie podoba. Jest uwięziony w tym gospodarstwie chłopskim, a przecież nie od dziś wiadomo, że chłopci płodzą dzieci na potęgę, żeby mieć pomoc i wyrękę w gospodarstwie. Nie było w tym płaczu niczego niepokojącego. Dziwne za to było, że od dawna nikt tu do niego nie zaglądał. Namacał blaszany kubek, ale i tak nic z tego nie wynikało, bo wodę wypił już dawno. Gdy zdał sobie z tego faktu sprawę, poczuł, że naprawdę jest spragniony. No, ale co zrobić? Może zawołać? Tyle że ten typ, który go tu trzymał, pewnie siedział teraz w domu i pił wódkę, jak to chłopci mają w zwyczaju czynić wieczorami, bo przecież nic innego nie mają tacy rolnicy do roboty. A jego żona uspokaja teraz płaczące dziecko, więc nawet jakby zawołał, to i tak nikt by nie usłyszał. Musiał więc zdać się na łaskę i dobrą wolę swojego oprawcy, który mu albo przyniesie, albo i nie przyniesie czego do picia. Jakoś wytrzyma do rana, a jak będzie trzeba, to i dłużej. Ale jak już się stąd wydostanie, to dopiero pokaże temu prostakowi, gdzie raki zimują. Nadzieje go na swoją szablę jak kurę na rożen albo jak tego kapitana Zbierskiego...

Stała mu przed oczyma twarz tego bufona, który nie wiedzieć czemu doszedł do przekonania, bez żadnych powodów danych mu przez Oskierkę, że ten bałamuci jego żonę. A Oskierko był niewinny jak Dziewica Orleańska. Owszem, zatańczył z nią kilka razy na balu oficerskim, bo trzeba przyznać, że pani Zbierska była bardzo ładną i do tego jeszcze zgrabną kobietą. A później poszedł na spotkanie do Łazienek, gdy odebrał od niej liścik z zaproszeniem, ale w zasadzie to on się tam tylko bronił przed awansami pani kapitanowej. Miał jednak dość słabą silną wolę, dlatego uległ jej namowom i zgodził się na schadzki w swojej garsonierze, bo co miał zrobić, skoro ona tak bardzo

nalegała, a on nie potrafił odmówić pięknej kobiecie.

Nim jednak doszło do rendez-vous w jego mieszkaniu, o spotkaniu w parku Łazienkowskim dowiedział się, nie wiadomo skąd, mąż. Zbierski dostał ataku szału i zamiast wyładować złość na winnej całego zamieszania kobiecie, oczywiście winą obarczył Oskierkę. No i jak to bywa wśród ludzi honoru, wyzwiał podporucznika na szable. Nie wziął jednak pod uwagę, że ten był znakomitym szermierzem, którego ojciec już od najmłodszych lat uczył fechtunku.

Pojedynek nie trwał nawet pięciu minut, gdy po sparowaniu kilku wściekłych ataków kapitana, Oskierko wyprowadził prosty sztych, na który nadział się Zbierski. Gdyby go ciął przez rękę, nogę albo nawet dupę, o całej sprawie nikt by się nie dowiedział. Rana brzucha była jednak na tyle poważna, że niedoszły rogowacz trafił do szpitala, a jego pogromca przed oblicze dowódcy pułku.

Sprawa była honorowa, a obaj oficerowie zasłużeni i odznaczeni, więc nie można było ot tak zamieść jej pod dywan. Gdyby nie zasługi Oskierki, wyleciałby z wojska na zbity pysk, bo w armii nikt nie lubił młodych oficerów, którzy bałamuca żony kolegów. Został więc oficjalnie wyrzucony, ale nieoficjalnie dostał przyrzeczenie dowódcy, że gdy wszystko przycichnie, pozwoli mu wrócić. Tymczasem jednak ma się wykazać w policji w Poznaniu, bo tam potrzebowano młodych, zdolnych oficerów. No więc pojechał na to zesłanie, żeby się wykazać i osiągnąć jakiś spektakularny sukces, który pozwoli mu w glorii i chwale wrócić do Warszawy. Tymczasem jednak sukces śledczy okazał się jak dotąd pasmem porażek.

No i teraz oficer pracujący mozolnie nad zatarciem swoich win siedział zamknięty jak Zagłoba w chlewiku. Tyle że Zagłoba miał przynajmniej ze sobą swoją szablę. A on co miał? Gołe ręce.

Płacz dziecka nagle urwał się i znów zapadła kompletna cisza. Oparł się więc plecami o ścianę piwnicy i zaczął rozmyślać nad swoim nieszczęśliwym losem i przyszłością, która malowała się w coraz bardziej ciemnych barwach. Naraz pies znowu zaczął ujadać, a poprzez te chrapliwe szczeknięcia do jego uszu doleciały jakieś dziwne dźwięki. Tak jakby ktoś gdzieś niedaleko rozmawiał z kimś szeptem. Zaczął więc nasłuchiwać, ale nie udało mu się wychwycić czegoś konkretnego. Jednak był przekonany, że słyszy rozmowę. Podniósł się z barłogu i ostrożnie podszedł do drzwi. Noc była jasna i księżycowa, więc przez szpary przedostawała się do środka odrobina srebrnej poświaty. Stał przy deskach, przyłożywszy do nich ucho. Teraz głosy były już całkiem wyraźne.

– ...przecie Tolek gadał, żeby pilnować drzwi jakby co...

– Głupiś, Zenuś. Wcale Tolka nie znasz i mojego brachola Walka też. Jak oni tam weszli z gnatami, to już po robocie. Facet ani zipnął. Zaraz wyleżą i każą nam się pakować do wozu. To co, z pustymi łapami chcesz wracać?

– A bo ja wiem?

– Ale ja wiem, że jak się idzie na juchtę, to trzeba coś z takiej roboty przynieść.

– A co chcesz przynieść?
– Diabli wiedzą, ale zawsze coś się znajdzie w takiej komórce.
– A jak tam wejdiesz?
– Nic się, Zenuś, nie bój. Jeszcze żeś jest młody szczon, to się na robocie nie wyznajesz, ale taki zamek to możesz byle dinksem roztworzyć. Patrz się...

Oskierko usłyszał jakiś chrobot w zamku. Wystarczająco dużo już usłyszał, by wiedzieć, co się święci. Miał za drzwiami dwóch młodocianych włamywaczy, którzy chcieli okraść piwniczkę. W normalnych warunkach zatrzymałby ich i odstawił na najbliższy komisariat, ale te warunki były nadzwyczajne. Musiał zaatakować ich z zaskoczenia i uciec jak najszybciej. Innego wyjścia nie było.

Zardzewiały zamek jęknął i drzwi powoli zaczęły się otwierać do środka. Aspirant stał za nimi i czekał. Do piwnicy wsunęła się najpierw głowa w czapce, a potem za nią pojawiła się szczupła reszta chłopaka. Po chwili po schodkach zszedł drugi złodziej. Ten na dole wydobył zapałki i podpalił knot świeczki, którą przyniósł ze sobą.

– Łe, Krystek, tu nic nie ma! Ino jakieś beczki, pewnie od kapusty – jęknął ten drugi, wyraźnie zawiedzionym tonem.

– Jak nic nie ma? Ja jestem – zawołał zadowolony Oskierko, który był już na szczycie schodów. Obaj młodzieńcy natychmiast spojrzeli za siebie.

– Jak Boga kocham, Zenuś, to jest ten typek, co my jego nad Wartą chcieli ogolić, ale nas ta Grzelakowo pognała.

Zenuś też rozpoznał natychmiast człowieka. W końcu mógł mu się wcześniej dobrze przyjrzeć tam przed mieszkaniem zabitej sąsiadki. Wtedy facet go nie rozpoznał, ale on skojarzył gościa od razu. I teraz wiedział, że sprawa jest poważna, skoro ten oficer policji wytropił ich aż tutaj na tym wiejskim zadupiu.

– Panie oficerze, on bzdury gada – próbował się ratować, chcąc zyskać na czasie. Był przekonany, że zaraz z chaty wyjdą Tolek i Walek i przybiegną im z odsieczą. – My nigdy nie byli nad Wartą i nikogo nie napadali, a Grzelokowej to nawet nie znamy.

– Już ja wam dam, łobuzy cholerne! – zawołał Oskierko, nieco zdziwiony faktem, że jego wybawicielami byli złodzieje, z którymi już wcześniej miał przykrą okoliczność. – Ja wam teraz...

Nie dokończył, bo usłyszał jakieś głosy.

Zenuś odetchnął z ulgą. Byli uratowani. I wtedy rozległ się strzał...

Dorożka zajechała pod bramę gospodarstwa. Woźnica owinął lejce wokół dyszla i zeskoczył z kozła.

– Już jesteśmy?

– Niby gdzie? – zapytał pasażer, który uciał sobie drzemkę podczas jazdy.

– Jak gdzie? Na miejscu my są.

– I co teraz?

– Idziemy do chaty.

– Ano tak.

– Ino że ktoś tam przyjechał.

– Kto?

– Skąd ja niby mam to wiedzieć? Ktoś przyjechał, bo tu przy drodze stoi wóz meblowy.

– Jak wóz meblowy, to znaczy się, że meble jakieś kupili.

Woźnica podszedł do bramy i zajrzał na podwórkę. Nie dostrzegł tam żadnego ruchu. Za to z prawej strony, gdzie w ciemności majaczyła bryła dużej stodoły, dochodziło szczekanie psa. Zwierzę nie podbiegło do bramy, wyczuwszy intruza, a to mogło oznaczać tylko jedno – było na łańcuchu. Nie trzeba było się więc obawiać, że rzuci się do nogawek intruzów.

Przesunął się nieco w prawo i chwycił klamkę furtki osadzonej w bramie. Ustąpiła natychmiast. Mieli przed sobą wolną drogę.

– I jak tam? – zapytał pasażer, wolno gramoląc się z kanapy dorożki na ziemię.

– Nic nie widać. Kejter ino drze papę.

– Słyszę, słyszę. A co ma nie drzeć, jak on tu u siebie pilnuje. Wiadomo, bamber na swoim.

– Pomóc ci? – zapytał woźnica.

– Ady dam se radę. – Pasażer wyciągnął z kieszeni niewielki nóż i sprawnie zaczął rozcinać krępujące mu nogę bandażę. Po chwili pozbył się wszystkich opatrunków.

– Teraz wyglądasz o wiele lepiej. – Woźnica sięgnął do kieszeni, wydobyl z niej rewolwer i podał go koledze.

– Z gnatem w łapie człowiek od razu czuje się lepiej. – Ucieszył się wyzwolony z opatrunków mężczyzna i ruszył żwawo do przodu. Choć trzeba przyznać, że jego lewa noga nie bardzo nadążała za prawą. Szedł, kuśtykając, więc jego kompan złapał go pod ramię, żeby wspomóc go silnym ramieniem. Nie przyjął jednak pomocy. Odepchnął druha i kroczył dalej sam. Kompan podążył jego śladem. Zaraz dostrzegł, a może i wywąchał ich pies. Warknął ostrzegawczo, a gdy to nie przyniosło skutku, zaczął szczekać, tak jakby za chwilę miał obu intruzom rzucić się do gardeł.

– Może by go kropnąć? – zapytał ten niższy, do niedawna obandażowany.

– A za co? – zdziwił się ten drugi.

– No jak za co? Za darcie papy.

– Człowieka to można by kropnąć, bo wiadomo, że człowiek to głupie bydlę, ale że psa? Pies też człowiek. Niech se szczeka na zdrowie. W końcu od tego każdy kejter jest, żeby szczekać, jak mu kto włazi na podwórkę.

– Znaczy się nie odstrzelać?

– A wiesz ty, ile kosztuje jedna kula?

– Jedna kula? A skąd niby mam wiedzieć? Ja nie kupuję...

– Cicho, bo ktoś tam łązi?

– Gdzie? – Niższy rozejrzał się dookoła, ale niczego nie zauważył.

– No tam na podwórku, za domem.

Sforsowali furtkę w bramie i podeszli do narożnika budynku. Okoń wyjrzał zza węgła i zaraz cofnął głowę.

- Tam ktoś jest – wysyczał koledze do ucha.
- Gdzie? – Olkiewicz patrzył przed siebie, ale niczego nie mógł dostrzec.
- Tam. – Okoń wskazał ręką kierunek.
- Aha. A co tam robi?
- Stoi w drzwiach do piwniczki.
- No to trzeba się przyjrzeć, co to za jeden – powiedział Anastazy i ruszył przed siebie zdecydowanym krokiem. Okoń chciał go chwycić za rękę, ale nie zdążył, więc czy mu się to podobało, czy nie, musiał podążyć za kompanem.
- Co tu się dzieje? – zawołał idący z przodu, a ten, który stał w drzwiach piwniczki, odwrócił się. Nie zdążył jednak nic powiedzieć, bo naraz nocną ciszę rozdarł huk wystrzału. Przestraszony pies zawył i schował się do budy.

- Kto ci kazał mnie zastrzelić? – zapytał Pytel, siadając na posłaniu.
- A co za różnica? – odparł niechętnie Tolek.
- Jak już mam ginąć, to lepiej wiedzieć, za czyją sprawką. Bo ty chyba do mnie żadnej rachy nie masz?
- Nic nie mam. Nie moja sprawa.
- A czyja?
Tolek wzruszył ramionami, cały czas trzymając Pytla na muszce.
- A co mi tam, mogę ci tylko powiedzieć, że ktoś całkiem dobrze chce zapłacić za twój łeb. Za to żeś zabił dwóch ludzi, Kaczmarkiewicza, co miał zakład pogrzebowy, i mecenasa Witeckiego.
- Bzdury! Nikogo z nich nie zabiłem, chociaż miałbym za co. A ten, co zlecił zabicie, to kto?
- Nie znam człowieka. Dość że to ktoś bogaty. Ten, co do mnie przyszedł, pokazał zdjęcie twojej gęby i obiecał nagrodę.
- Kto to był?
- Nieważne.
- Ja wiem.
- Co wiesz?
- To był policjant. On się nazywa Wróbel. A ten, co kazał mnie wykończyć, to Dąbrowski.

Tolek spojrział na faceta ze zdziwieniem. Robotę rzeczywiście zlecił Wróbel, ale o żadnym Dąbrowskim nic nie słyszał. Ale w końcu to nie jego sprawa. To, że ten tu Pytel wiedział, kto na niego poluje, znaczyło tylko tyle, że oni wszyscy mieli ze sobą rachunki do wyrównania. Nie jego sprawa. On miał swoją robotę. Weźmie się tego człowieka do wozu, wywiezie za wieś i strzeli mu się w łeb. A potem zawiezie się go do Wróbla, żeby zobaczył, że robota wykonana. Trupa, jak zwykle w takich wypadkach obciążonego kamieniami, rzuci się do Warty i będzie po sprawie.

Spojrzał tamtemu prosto w oczy, ale nie dostrzegł w nich żadnej iskry. Wyglądało to tak, jakby jego jeniec pogodził się z losem. I wtedy Tolek uzmysłowił sobie, że całą tę rozmowę Pytel prowadził głosem kompletnie pozbawionym emocji. Nie pokrzykiwał, nie prosił, nie zapewniał, ale mówił

spokojnie, jak człowiek, którego ta sprawa kompletnie nie dotyczy. On wcale nie bał się tego, co miało nadejść. A może chodziło o to, że wcale nie zamierzał dać się zabić i miał już przygotowany własny plan?

– No dobra, nie ma co gadać. Zbieraj się, idziemy!

Drzwi od sypialni otworzyły się i ze środka wyszedł Walek.

– Już jest fertig – zameldował zadowolony.

– Chyba żeś ich tam nie podusił?

– Nigdy w życiu. Kazałem im ino zawrzeć japy, bo jak nie, to bolszewicy przyjdą i ich wszystkich wyrzną.

Tolek na sekundę odwrócił się w kierunku przyjaciela, ale ta sekunda wystarczyła. Pytel nagle zerwał się na równe nogi i z rozmachem kopnął Grubińskiego w brzuch. Pchnięty impetem kopniaka potoczył się do tyłu i uderzył plecami w Walka. Ten natychmiast stracił równowagę i obaj runęli na podłogę. Ich dotychczasowy więzień, nie zastanawiając się wiele, wykorzystał przewagę, jaką dał mu niespodziewany atak. Nie wiadomo skąd w jego ręce pojawił się rewolwer. Tolek, dostrzegłszy broń, sięgnął po leżącego na podłodze swojego naganta, który wypadł mu z dłoni podczas upadku. Nie zdażył. Strzał rozdarł powietrze, a kula wbiła się w klatkę piersiową Grubińskiego.

W tym momencie od drzwi prowadzących do sieni dało się słyszeć jakieś głośne krzyki. Droga ucieczki była odcięta. Trzeba więc znaleźć inną, ale najpierw jeszcze unieszkodliwić drugiego z napastników, który leżał przygnięciony ciałem kompana. Pytel wyciągnął w jego kierunku uzbrojoną dłoń i strzelił dwa razy. Mężczyzna jęknął i znieruchomiał.

Nie zamierzał kombinować i czekać na to, co się wydarzy. Tym bardziej że na podwórku byli kolejni bandyci. Jediną drogą ucieczki stanowiło okno. Chwycił więc w rękę swoje buty, przekręcił klamkę najpierw jednej, a potem drugiej okiennicy. Do środka wdarła się fala listopadowego chłodu. Nie miał jednak czasu na szukanie płaszcza. Wdrapał się na parapet i wyskoczył w ciemność.

Zaklął pod nosem, bo wylądował bosymi stopami w jakichś krzakach. Rozejrzał się szybko i nie zakładając butów, ruszył przed siebie, byle jak najdalej od tej chałupy. Uszedł jednak zaledwie pięć kroków, gdy nagle usłyszał czyjś głos.

– Stój i łapy do góry! – zawołał Leon Kaźmierczak, któremu Tolek wyznaczył posterunek przed domem od strony drogi. – Ani mi się rusz, bo łeb odstrzelę! – Leon spróbował nadać swojemu głosowi nieco więcej zdecydowania, ale uciekinier nie przestraszył się, wyczuwając momentalnie zdenerwowanie wartownika. Gdyby na dworze było jaśniej, Kaźmierczak zobaczyłby lekki uśmiech na twarzy Pytla, gdy ten zrozumiał, że chłopak nic mu nie jest w stanie zrobić. Podniósł szybko swój rewolwer i dwa razy pociągnął za spust. Jego przeciwnik padł na ziemię w brudny śnieg jak rażony gromem.

Pytel minął go i poszedł w prawo w kierunku bramy do gospodarstwa. Tam przed chwilą dostrzegł stojącą dorożkę. Zatrzymał się jednak, bo naraz usłyszał kroki dochodzące z drogi. Ktoś biegł w jego kierunku, ciężko dysząc, więc niemal odruchowo przykucnął. Biegacz tymczasem dopadł do dorożki i nie

zastanawiając się ani sekundy, wskoczył na kozła.

– No dalej, siwek, wio! – zawołał i ściągnął ku sobie lejce. Koń posłusznie ruszył w prawo, a dorożka potoczyła się za nim. Po chwili pojazd, zatoczywszy półokrąg, wjechał na bity trakt.

Pytel ruszył biegiem. Dogonił odjeżdżający wóz i jednym susem wskoczył do środka. Woźnica natychmiast odwrócił się, sądząc zapewne, że to jeden z tych, którzy porwali mu jego pojazd. Ale od razu zauważył, że to ktoś zupełnie inny.

– Czego? – warknął.

– Jak czego? Jedziesz pan do Poznania?

– Jadę!

– No to żebyś pan darmo nie jeździł, masz pan klienta. Tylko jedź pan trochę szybciej.

Dryndziarz wziął bat do ręki i strzelił nad końskim zadem, nie dotykając go nawet. Koń przeszedł w kłus. W końcu dorożkarzowi też się śpieszyło, bo wcale nie miał ochoty spotkać jeszcze raz tych dwóch uzbrojonych bandytów. Już lepszy był ten facet w samej koszuli i na bosaka niż ci dwaj.

Po chwili po dorożce nie było już śladu, a w powietrzu niósł się tylko oddalający się z każdą chwilą koński tętent, mieszający się z ujadaniem psów, które szczekając, odpowiadały swojemu towarzyszowi z gospodarstwa w oddali.

Zbyt długo był w wojsku, żeby nie wiedzieć, co to za huk. Ktoś strzelał z pistoletu. Odwrócony plecami do stojących w piwnicy chłopaków patrzył na dwóch nadbiegających mężczyzn. Było ciemno, więc nie od razu ich poznał. Dostrzegł za to połyskujące w blasku księżyca lufy ich pistoletów.

No to już po mnie, pomyślał i przez głowę przeleciało mu, że powinien właściwie się pomodlić. Zawsze modlił się do Najświętszej Pani przed walką. No, ale czy to, co teraz miało nastąpić, było walką w istocie? Podejdą i zastrzelą go jak psa, a on nic nie będzie mógł na to poradzić. No cóż, taki los mu widać pisany. Jak ma umierać, to trudno. Swoje już przeżył. Szkoda tylko, że nie udało mu się z panią kapitanową. Gdyby choć ją posiadał, słodziej by mu było teraz umierać z myślą o kwiecie jej ust rozchylających się specjalnie dla niego. Ci dwaj z bronią dopadli do niego, a wyższy odsunął niższego i zamiast strzelać, zsalutował do ronda kapelusza.

– Panie aspirancie, przodownik Okoń melduje się na rozkaz.

– Olkiewicz także samo, panie aspirancie – dodał niższy. – Ino że co, do cholery, pan tu robi?

– A wy co tu robicie? – zapytał, bo na razie nie chciał wdawać się w jakiegokolwiek wyjaśnienia. Zresztą nawet nie wiedział, co miałby im powiedzieć. Musiał sam sobie w głowie to wszystko poukładać...

Kolejny strzał dobiegł z domu. Wszyscy trzej jak na komendę spojrzeli w tamtym kierunku. Oskierko natychmiast przejął dowodzenie.

– Idziemy! – Wskazał na podwórze i pognał przodem, nie myśląc wcale o tym, że biegnie bez broni w miejsce, w którym ktoś strzela. Dwaj podoficerowie pobiegli za nim. Aspirant otworzył drzwi domu kopniakiem. Zupełnie

niepotrzebnie w nie kopał, bo i tak nie były domknięte. Efekt tego był więc taki, że poleciały do środka, odbiły się od ściany i wróciły jak bumerang do swojej poprzedniej pozycji, tyle że w tym miejscu był już Oskierko. Drewniane, dębowe skrzydło z rozmachem uderzyło oficera w czoło, pozbawiając go na chwilę przytomności. Okoń chwycił go pod pachy i usadowił pod ścianą, żeby spokojnie mógł dojść do siebie. Nie musiał specjalnie poświęcać mu uwagi, bo wiedział doskonale, że takie uderzenie jeszcze nikogo nie zabiło. Zostawili więc jęczącego Oskierkę i wtargnęli do kuchni.

Na podłodze dostrzegli dwa ciała. Olkiewicz natychmiast rozpoznał w mężczyźnie leżącym na wierzchu swojego starego kompana Tolka Grubińskiego. Uklęknął przy nim i ostrożnie przesunął leżącego, tak by zaległ obok tego drugiego. Obaj jęczeli cicho, a więc żyli. Z tym drugim już na pierwszy rzut oka widać było, że jest gorzej niż z Tolkiem. Jedna z kul urwała mu spory kawałek ucha, druga natomiast utkwiała w brzuchu. Grubiński miał postrzał z lewej strony klatki piersiowej w okolicy serca. Pocisk musiał chyba przejść czysto, nie zahaczając mięśnia i aorty, bo krwi było niewiele. Za to na ustach Tolka, którymi łąpczywie wciągał powietrze, co raz pojawiały się bąbelki krwawej piany.

– Dostał w płuco – stwierdził Olkiewicz.

– Wylize się. – Oceniał fachowo Okoń, rzucając tylko okiem na Grubińskiego. Zaraz przemierzył całą kuchnię i podszedł do okna. – Tędy nawiał. – Wskazał otwarte szeroko oba okienne skrzydła. – Wyjdę na dwór sprawdzić, czy gdzie się nie zaszył. – Anastazy pokiwał głową. Okoń wyszedł z kuchni.

– Trzymaj się, chłopie. – Próbował pocieszyć starego kumpla. – Zawieziemy cię do szpitala. Mamy dorożkę, to cię w trymiga odstawimy. Wylizesz się jak nic...

– Anastazy? – zdziwił się Grubiński.

– No jasne, że ja. Stary, nie gadaj za dużo, bo ci się pogorszy. Dostał żeś w płuco, ale ja widziałem już nie takie postrzały. Z tego da się wyjść, powiadam ja tobie...

– Co ty tu robisz? – zapytał z wyraźnym wysiłkiem Tolek.

– Jak co? Łapię przestępcę i bolszewika. To pewnie on cię tak urządził.

– Dałem się podejść...

– Dobra, stary, pogadamy se, jak ci się polepszy, i wtedy...

Tolek chwycił go za rękę.

– To on...

– Co?

– To on zastrzelił twojego wuja i jeszcze tego mecenasa pierdolonego...

– Co ty gadasz? We łbie ci się pomieszało czy jak? Przecież to bolszewicki szpieg, co my jego szukamy...

– Wiem, powiadał mi o tym ten posterunkowy Wróbel.

– Co? A on niby to skąd wie?

– Nie wiem, ale zapłacił, żebyśmy my jego odstrzelili. A to on nas... Jak on się czuje? – Wskazał głową na leżącego obok Walka.

– Jak się nie będzie za dużo ruszał, to może wyżyje.

Olkiewicz wstał z podłogi i poszedł do sieni. Tam Oskierko już niemal doszedł do siebie. Anastazy pomógł mu się podnieść. Przytrzymując go pod ramieniem, wprowadził do kuchni i posadził na jednym z krzeseł przy stole. Obrzucił pomieszczenie badawczym spojrzeniem. W kącie za drzwiami stała na stojaku emaliowana miska, nad nią na wieszaku leżał lniany ręcznik. Woda musiała być w dzbanku stojącym na podłodze. Podeszedł tam i obficie zmoczył ręcznik. Wróciwszy do oficera, podał mu kompres. Ten natychmiast przyłożył go do obolałego czoła.

– Co się właściwie stało, przodowniku? – zapytał, gdy wreszcie poczuł trochę ulgi.

– Ja melduję, żeś pan aspirant głową pierdalał w drzwi i tyle.

– Aha. – Pokiwał głową ze zrozumieniem, ale niezbyt mocno, bo w środku czuł jeszcze zamęt.

– Co tu się w ogóle dzieje. Kim są ci tutaj? – Wskazał na dwóch postrzelonych leżących na podłodze.

– A ci... to są, że tak powiem, nasi sojusznicy.

– Że jak?

– Ludzie, którzy chcieli nam pomóc, ale bolszewik ich postrzelił.

– To co z nim?

– Dał dyla. Ale dopadniem gnoja. W trymiga go dopadniem.

Do kuchni wrócił Okoń. Do środka wprowadził dwóch młodzieńców, którzy na widok rannych natychmiast rzucili się na podłogę.

– Co to za szczony? – zapytał Anastazy.

– Kręcili się po obejściu, tom ich tu przygnał.

– Coście za jedni?

– To jest mój brat Walek. – Krystek, klęcząc przy głowie brata, gładził go po włosach. Po policzkach spływały mu łzy. Zenuś tymczasem próbował jakoś pomóc Tolkowi, ale nie miał pojęcia, co powinien zrobić. Dostrzegł postrzał w płuco i pomyślał, że może trzeba by tę dziurę czymś zatkać. Wydobył z kieszeni chusteczkę, ale była zbyt brudna do zatykania ran. Pomyślał więc o swoim palcu wskazującym, ale on też nie bardzo się nadawał z powodu brudu za paznokciami, o którym jego mama mawiała, że niedługo będzie tam można sadzić rzepę.

– Zostawcie ich. Zaraz się ich zawiezie do szpitala wojskowego – odezwał się Olkiewicz – Tam wiedzą, jak się takimi ranami zająć.

– Tyle że nasza drynda wyparowała.

– Jak?

Okoń bezradnie rozłożył ręce.

– Była i ni ma. Może ten gnojek, co to my jego szukali, ją porwał? – Domyślił się policjant.

– Jest wóz od mebli – krzyknął Krystek.

– Ten, co stoi przy drodze? – Anastazy przypomniał sobie solidny, obszerny wóz do przewozu mebli.

– Umiesz powozić? – zapytał Krystka.

– Co mam nie umieć. Zaraz podjadę na podwórko. Chodź, Zenuś, otworzysz bramę.

Pomyślał, że przy okazji rozejrzy się za swoim bratem Leonem, który gdzieś się ukrywał przed domem. Powie mu, że są szkieły w środku i żeby zasuwiał do miasta piechty, bo oni pojedą do szpitala...

– No to podjeżdżajcie i zaraz ułożymy ich w wozie – polecił Okoń. – Pojadą na leżąco jak w pierwszej klasie pullmana.

Wychodząc, zderzyli się z kobietą w koszuli nocnej i szlafmocy na głowie, ale szybko ją ominęli i wybiegli na zewnątrz. Dotąd gospodyni siedziała w sypialni z czwórką drobiazgu jak mysz pod miotłą, ale podsłuchawszy pod drzwiami, o czym tu mówiono, nabrała odwagi i wyszła sprawdzić, jak wygląda jej kuchnia. Spojrzała na podłogę i aż otworzyła usta z wrażenia. Dwie wielkie plamy krwi obficie zmoczyły jej pięknie wypolerowane deski. Jeśli szybko nie zabiorą tych tu leżących, to ta krew gotowa jeszcze zaschnąć i robota będzie podwójna ze zmywaniem. – Że też ludzie niczego nie uszanują – jęknęła zrezygnowana – I jeszcze dodatkowo dadzą się tak postrzelać w porządnym, chrześcijańskim domu, i jeszcze wszystko posoką uślomprają. Kto to widział?

Środa, 24 listopada

Godzina 8.30 rano

– Pan to masz więcej szczęścia niż rozumu.

– Tak jest.

– O widzę, że się pan zgadzasz ze mną.

– Bezapelacyjnie – potwierdził Oskierko, wpatrując się w czubki swoich wyglancowanych i połyskujących oficerskich butów. Zgadzał się, bo to, co mówił Fischer, było całkowitą prawdą. Dopisało mu szczęście, bo kto inny pewnie już dawno leżałby w przydrożnym rowie z przestrzeloną czaszką. On tymczasem miał tylko podbite oko i wielkiego guza na czole. W tego guza właśnie wpatrywał się komisarz, na którego ustach pojawił się lekki uśmiech.

– A jakbyś pan do szarży na koniu się zabierał i nie miał w ręku szabli, to co by taka szarża za pożytek przyniosła?

– Żaden pożytek.

– No właśnie. To po jaką cholereżęś pan bez broni biegł do tej chałupy?

Oskierko wzruszył ramionami, nie bardzo wiedząc, co powinien był odpowiedzieć. Bo prawda była taka, że sam nie wiedział, po co tam pobiegł. Ruszył do tego domu, nie zastanawiając się nad tym, co robi. Pobiegł jak pies gończy, który poczuł lisi trop.

– Na szczęście nikomu z naszych nic się nie stało. Teraz musimy tylko jeszcze pochwytać tego, co pana porwał, bo z niego, jak się okazuje, to niezłe ziółko.

Olkiewicz i Okoń jeszcze w nocy stawili się przed Fischerem i zdali mu relację

z całego zajścia. Ucieczka bolszewika, którego mieli już prawie w garści, mocno zirytowała kapitana Jażdżewskiego. Liczył na to, że policyjna zasadzka przyniesie oczekiwany skutek, ale nikt przecież nie spodziewał się, że plany policjantom pokrzyżuje Tolek Grubiński, który znalazł się na miejscu i zepsuł precyzyjnie obmyśloną akcję.

– Jedyne pociecha w tym – mówił Jażdżewski, zwracając się do Fischera – że ten zegarmistrz wszystko nam wyznał i zamach na marszałka został udaremniony.

Zegarmistrz w końcu pękł, postraszony perspektywą wydalenia do Rosji. Fischer powiedział mu, że wyślą go do bolszewików, rozgłaszając dyskretnie, że zgodził się na współpracę z polską Dwójką i wydał swoich kompanów. Więc ten, mając przed sobą taką niezbyt ciekawą perspektywę, rzeczywiście zgodził się na współpracę, opowiadając o wszystkim i wydając prócz Pytla i jeszcze kilku innych swoich współpracowników. Jażdżewski zastanawiał się teraz, w jaki sposób powinien postąpić. Czy aresztować wszystkich od razu i ogłosić światu sukces, czy też posłużyć się zegarmistrzem Latałą jako odwróconym agentem, co pozwoliłoby mu kontrolować bolszewicką siatkę szpiegowską w Wielkopolsce. Te kwestie już jednak nie interesowały Fischera. Jego ludzie zrobili, co mogli. Co prawda nie pochwycili jeszcze sprawcy, ale przynajmniej byli przekonani, że wiedzą, kto zabił wuja Olkiewicza i mecenasa Witeckiego. A skoro Pytel zastrzelił tych dwóch, to może i również tego narodowca Dąbrowskiego? – zastanawiał się policjant.

– Wszyscy trzej zostali zabici strzałem w głowę – powiedział na głos komisarz, a Oskierko, który siedział na krześle przed jego biurkiem, spojrzał na szefa zdziwiony. Nie rozumiał, o jaki strzał w głowę chodzi, bo przecież ci, którzy leżeli na podłodze w domu za miastem, nie zostali zabici.

– Pozwolę sobie zauważyć, panie komisarzu, że ci trzej żyją.

– Co, jak żyją? Czyś pan zwariował?

– Żyje ten Grubiński i Kaźmierczak, co ich postrzelono w kuchni, a tego drugiego brata to my znaleźliśmy przy drodze, przed domem i on żyje również, mimo że został postrzelony.

– Ja nie o nich mówię, panie Oskierko, ale o tych, którzy zostali zabici najprawdopodobniej przez tego bolszewika. Wprawdzie Grubiński powiedział Olkiewiczowi, że ten człowiek do niczego się nie przyznał, ale wszystko wskazuje na niego.

– Tak? – Oskierko się zdziwił, bo według jego najlepszej wiedzy nic nie wskazywało na Pytla.

– Olkiewicz i Okoń potwierdzili, że Pytla widziano w dniu morderstwa, jak wychodził z zakładu pogrzebowego należącego do zamordowanego Alojzego Kaczmarkiewicza. Mamy na to świadka, którego zresztą bolszewik próbował zlikwidować.

– No to by świadczyć mogło o tym, że rzeczywiście zabił Kaczmarkiewicza, ale dwóch pozostałych? – Aspirant nie był wcale przekonany. – Przecież to może

być przypadek i tych pozostałych mógł zastrzelić ktoś inny.

– Panie Oskierko, młody pan jesteś i o robocie policyjnej niewiele wiesz. Jak pan myślisz, ile mamy w Poznaniu rocznie morderstw?

– Bo ja wiem, może z tysiąc...

Fischer uśmiechnął się szeroko, a potem stuknął lekko pięścią w stół.

– Tysiąc z małym ogonkiem. To, panie szanowny, statystyka zeszłoroczna dla całej Polski. U nas w Poznaniu nie jest ani lepiej, ani gorzej niż w innych dużych miastach i rocznie mamy tu zależnie od urodzaju ze trzydzieści do czterdziestu truposzy. A jak pan myślisz, czym się najczęściej ludzie zabijają?

Dla Oskierki odpowiedź na to pytanie była oczywista.

– No jak czym, bronią.

– Ale jaką?

– Pistoletem oczywiście.

– I tu się pan mylisz. Pistoletu w ubiegłym roku użyto w niecnym celu zaledwie trzy razy. W tym roku, zanim zastrzelono tych trzech, tylko raz na wiosnę mieliśmy wypadek użycia broni palnej. U nas, panie Oskierko, zabija się w mniej skomplikowany sposób: za pomocą noża kuchennego albo flaszki po wódce, albo w końcu własnych rąk, którymi bardzo skutecznie można kogoś zadusić. Tak więc te trzy morderstwa z użyciem pistoletu dla mnie nie są żadnym przypadkiem, ale serią, której autorem jest jeden człowiek. Wszystko więc wskazuje na Pytla. Nie mam jeszcze tylko motywu, który by ich wszystkich połączył. Czegoś, co by mogło stać się bezdyskusyjną przyczyną dokonania tych zbrodni. Bo co, panie Oskierko, może połączyć ze sobą czterech ludzi, którzy są z zupełnie innych środowisk, chodzili do różnych szkół i nie mieszkali na tej samej ulicy, więc nie mieli szans bliżej się poznać – zapytał, ale nie spodziewał się odpowiedzi. Właściwie to pytał sam siebie, a nie tego ułana Oskierkę, który być może w wojsku sprawował się doskonale, ale w policji... Spojrzał na swojego podwładnego, marszcząc brwi, bo jakaś myśl przeleciała mu przez głowę i zaraz uciekła. Co z tym Oskierką? Co łączy ludzi, którzy pochodzą z różnych środowisk? Wojsko?

– Oczywiście, że wojsko! – stwierdził pewnym głosem Oskierko, wypowiadając na głos myśl, która przyszła do głowy Fischerowi.

– Pan jesteś genialny, panie Oskierko! – wykrzyknął Fischer. Natychmiast otworzył szufladę i wydobyl z niej szarą teczkę. Obok położył kartkę z zeszytu i ołówek.

– Weź pan papier i pisz! – polecił, a Oskierko natychmiast podszedł do biurka szefa. Fischer tymczasem zaczął przeglądać akta w szarej teczce.

– Pisz pan: Alojzy Kaczmarkiewicz, rok urodzenia 1885...

– Tak jest! Zapisane.

– O jest tu ten drugi, mecenas Witecki Olgierd, rocznik 1885!

– Zapisałem.

– A trzeci... nazwisko Dąbrowski Stefan, urodzony w... 1885 roku. No i co, panie Oskierko, powie pan na to?

– Powołanie podczas wojny bolszewickiej – stwierdził bez namysłu.

Fischer zabrał kartkę aspirantowi i wpatrując się w nią z zadowoleniem, chwycił słuchawkę telefoniczną.

– No to teraz jeszcze ustalimy, gdzie nasi nieszczęśnicy służyli, i będziemy wiedzieć na ich temat znacznie więcej. – Czekaając na połączenie, do listy trzech zabitych dopisał jeszcze czwarte nazwisko – Mariana Pytla.

Godzina 10.30 przed południem.

Anastazy Olkiewicz przekręcił klucz w bramie prowadzącej na podwórze warsztatu należącego niegdyś do jego wuja, a teraz do niego. Dziś po nocnej służbie dostał od Fischera wolny dzień, więc postanowił przyjrzeć się z bliska sprawom własnej schedy. Papiery firmowe leżały na półce w kantorze wuja i Olkiewicz co prawda bardzo niechętnie, ale jednak doszedł do wniosku, że może warto na nie rzucić okiem.

Pchnął drzwi i wszedł w obszerny, sklepiony korytarz bramy, który prowadził na niewielkie podwórko. Stąd można było się dostać do warsztatu i kantoru, w którym urzędował wuj, a dalej do salonu, gdzie eksponowano gotowe trumny.

Jednak dzisiaj Olkiewicz nie zamierzał przyglądać się części gospodarczej pozostawionego przez krewnego majątku. Postanowił obejrzeć mieszkanie, które znajdowało się na pierwszym piętrze. Żeby się do niego dostać, trzeba było wspiąć się drewnianymi schodami prowadzącymi od strony podwórza. Ostatni raz wchodził tam przed swoim wyjazdem na front. Wtedy wuj Alojz śmiał się, że skoro Polska będzie miała takiego obrońcę, to bolszewicy na pewno zostaną z kraju przegnani. Sam na wojnę się nie szykował, bo – jak mówił – jest już za stary na wojaczkę i teraz czas na młodszych. Nie wiedział wtedy, że i po trzydziestolatków również wyciągnie swoją rękę komisja poborowa. Zdażył więc wziąć udział w zajęciu Kijowa. Po powrocie z wojny udało mu się postawić na nogi podupadający zakład.

Anastazy wspiął się na górę po całkiem nowych, drewnianych schodach, które w niczym nie przypominały tych dawnych, schodzonych do cna i jęczących jak potępieniec przy każdym kroku. Drzwi też były nowe, pomalowane na brązowy kolor olejną farbą. Otworzył je jednym kluczem i wszedł do środka. Od razu poczuł ciężki zaduch panujący wewnątrz. Nic dziwnego, bo od dawna nikt tu nie wietrzył pokoi. Od razu ruszył przed siebie, by dotrzeć do okien, które wychodziły na ulicę. Otworzył te w saloniku, czyli w pokoju, którego wuj w ogóle nie używał, bo korzystał tylko z dwóch pomieszczeń: sypialni i kuchni. Salon urządziła jeszcze babcia Olkiewiczowa, więc była tam stara komoda, okrągły stół, przy którym stało sześć krzeseł, duży piec z kaflami o sraczkowatym kolorze, na których wytłoczone były geometryczne wzory.

Odruchowo wyrztał przez okno w dół na ulicę. Ruch był tu jak zwykle spory, w jedną i drugą stronę ciągnęły wozy i dorożki, a nawet widać było kilka aut. Na chodnikach jak zwykle ludzki tłum wylewający się ze Starego Rynku i podążający w kierunku Chwaliszewa albo pobliskiego Sołacza czy odległej

Wildy. Wielkie Garbary to była w końcu jedna z najważniejszych arterii komunikacyjnych miasta. Przez chwilę przyglądał się ludziom na ulicy, ale mu się to w końcu znudziło. Postanowił więc, że przejrzy rzeczy, które zostały po wuju w komodzie. Co prawda matka przetrząsnęła już wszystko dokładnie, ale kto wie, czy czego ważnego nie przeoczyła. Odwrócił się i już miał podejść do komody, jednak nie zrobił ani kroku. W drzwiach do pokoju, tych samych, którymi przed chwilą wchodził, stał oparty o framugę mężczyzna w długim, sięgającym za kolana, nieco za dużym dla niego palcie. Na głowie miał czapkę maciejówkę z pękniętym daszkiem. Nie wyglądał na bogacza. Jedyne drogi przedmiot, jaki miał ze sobą, trzymał w dłoni. Był to rewolwer nagant. Anastazy spojrzał na twarz mężczyzny, ale niewiele mu powiedziała. Ot, podobny do nikogo jak wielu miejscowych papudroków. Choć do końca nie był pewien, czy już go kiedyś gdzieś nie widział.

– Jeśli się rozchodzi o bejmy, to nic nie mam – uprzedził bandytę, mając nadzieję, że ten, gdy dowie się, że ma do czynienia z gołodupcem, pójdzie szukać zysku gdzie indziej. Ale bandzior uśmiechnął się, a potem lufą wskazał krzesło.

– Pogadamy, siadaj – polecił, a Olkiewicz wolał posłuchać, bo nie zamierzał sprawdzać, jakby się prezentował z dodatkową dziurą w głowie.

– Ty jesteś Olkiewicz?

– No, jestem.

– A Alojzy to był twój wuja?

– No.

– I ty jesteś szkiełem?

– No jestem, a bo co? – warknął Anastazy, bo już go zaczęło irytować to przesłuchanie.

– I pewnie chciałbyś wiedzieć, kto i czemu zabił twój wuja.

– Jest w tej sprawie śledztwo, komisarz Fischer...

– Co mnie obchodzi jakiś komisarz. Ja przyszedłem tu do ciebie.

– Do mnie... A po co?

– Bo prawda się przyda tobie, żebyś tego, kto ich zabił, wsadził do więzienia.

– Jakich ich?

– Kaczmarkiewicza i Witeckiego.

– To kto ich zabił?

– Było nas pięciu kumpli z Poznania w naszej kompanii, znaczy się ja, twój wuja i jeszcze trzech innych. Zawsze żeśmy się trzymali razem. Nawet jak żeśmy uciekali spod Kijowa, gdy nas rozproszyli, myśmy w piątkę szli razem. Aż żeśmy natknęli się na jednego popa, co leżał ranny koło wozu, co nim uciekał przed bolszewikami. Na tym wozie miał worek ze złotymi monetami i innymi kosztownościami. Pewnie musiał to być majątek, który wywoził z jakiegoś kościoła albo klasztoru. Dość że to myśmy natrafili na te złoto, a ksiądz już umierał. No to żeśmy mu te skarby zabrali, żeby się nie zmarnowały. Ale żeśmy nie podzielili się tym złotem, bo z ciężarami nie było co uciekać. Dlatego żeśmy to wszystko zakopali w lesie, żeby po wojnie wrócić i rozdzielić po równo.

A nawet jakby kto zginął, to żeśmy przysięgli, że damy rodzinie. I pewnie udałoby nam się przedrzeć do naszych, gdyby nie pyry.

– Jakie pyry, do cholery? – Olkiewicz wreszcie się odezwał, bo mimo że opowieść tego człowieka go zainteresowała, to pyry do niej absolutnie nie pasowały.

– Znaleźliśmy w jednym domu worek kartofli i zaraz zaczęliśmy je gotować – wyjaśnił szybko bandyta. – Nikt nie pomyślał, że zapach jedzenia rozniesie się po okolicy i ściągnie nam na głowę Ruskich.

Mężczyzna, widząc w oczach Olkiewicza iskiereki autentycznego zaciekawienia, odłożył pistolet na blat stołu.

– A sprawdź w tym kredensie, czy aby nie ma tam jakiej flaszki. W gardle mi wyschło.

Olkiewicza nie trzeba było namawiać. Jemu też wyschło. Podszedł więc do szafy i wyciągnął karafkę z rżniętego szkła. Tę samą, z której jego wuj nalewał, gdy widzieli się po raz ostatni. Obok stały kieliszki, zabrał więc je ze sobą i rozstawiwszy na blacie stołu, szybko nalał do nich wódki. Mężczyzna sięgnął po kieliszek. Opróżnił go jednym łykiem i postawił na stół.

– Na czym to skończyłem?

– Na pyrach – odpowiedział Anastazy.

– Nad ranem wyszedłem z domu, żeby się wysikać, a tu w ogrodzie pełno Ruskich. Od razu dostałem dwa postrzały. Nawet nie miałem jak się odgryźć, bo mój karabin został w chałupie. Ale koledzy, gdy usłyszeli, że bolszewicy się zbliżają, ostrzelali się i zostawili mnie tam.

– Skurwysyny.

– Nie bardzo chyba.

– Jak nie bardzo?

– A co niby mieli zrobić? Pod ostrzałem mieli mnie nieść na plecach. Nie dali rady. Wszyscy by zginęli.

– Mogli choć próbować...

– Nie mogli. Nie mieli czasu, a ja już wyglądałem pewnie na trupa. Uciekli i tyle. A mnie dopadli bolszewicy.

– Ale żeś przeżył – zauważył Olkiewicz z lekką ironią w głosie. Coś było nie tak z tym facetem, skoro dopadli go Ruscy i nie dobili. Praktycznie nie zdarzało się, by bolszewicy brali naszych do niewoli, a już szczególnie takich, którzy nie mogli iść o własnych siłach. Rannych zakłuwali bagnetami na miejscu.

– To długa historia i nie czas na takie opowieści. Przeżyłem i tyle.

– Mało kto przeżyłby w takiej sytuacji.

– Mnie się udało. Nalej jeszcze. – Wskazał na karafkę. Olkiewicz nalał, a jego rozmówca natychmiast wypił. – Niedawno wróciłem do Poznania, ale nie miałam zamiaru się z żadnym z moich dawnych towarzyszy spotykać. Miałem swoje sprawy na głowie, ale Poznań to małe miasto, więc przez przypadek w sklepie galanteryjnym na Starym Rynku wpadłem na jednego z nich. Mówiliśmy na niego Oczko, bo był zawołanym karciarzem. Widziałem, że mnie rozpoznał, ale nie dałem mu szansy się upewnić. Wybiegłem ze sklepu i tyle

mnie widział. I on wtedy musiał wpaść na ten szatański pomysł.

– Jaki pomysł?

– Żeby ich wszystkich wykończyć, a winę zrzucić na mnie.

– Niby kogo? – Olkiewicz nie do końca jeszcze rozumiał, w czym rzecz. Właściwie to nic z tego wszystkiego nie rozumiał.

– Jak to kogo? Oczko był najbliżej z Małym. Oni się przyjaźnili jeszcze przed wojną. No więc gdy Oczko mnie zobaczył, wymyślił, że trzeba zlikwidować pozostałych, a ja idealnie nadam się na winnego, bo wróciłem, pałając żądzą zemsty za to, że mnie zostawili. Ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Wtedy postanowiłem pogadać z kapralem.

– Jakim kapralem?

– Twój wuja był naszym kapralem.

– Aha. – Anastazy się zdziwił, bo nie wiedział, że wuja Alojz dosłużył się takiego stopnia.

– Poszedłem do niego, ale okazało się, że było za późno. Kapral już nie żył. Niedługo po tym dowiedziałem się, że zastrzelony został też Student, czyli kolejny z naszej grupy, mecenas Witecki. Wtedy zrozumiałem, o co toczy się ta gra.

– A ten Oczko to co za jeden? – zapytał Olkiewicz, bo nie bardzo wiedział, o co zapytać.

– Oczko to niejaki Stefan Dąbrowski.

– Łe, ten Dąbrowski, to on też nie żyje.

Mężczyzna spojrział na Olkiewicza, a potem uśmiechnął się.

– To znaczy, że Mały postanowił zgarnąć całą pulę. Chytry z niego skurwysyn. Wyeliminował wszystkich i teraz będzie próbował zwalić wszystko na mnie. Nalej jeszcze.

Olkiewicz sięgnął po karafkę i rozlał wódkę do kieliszków. Pomyślał z żalem, że był ubrany po cywilnemu. Wychodząc z domu, postanowił, że mundur zostanie w szafie. Ale to oznaczało, że został tam również jego rewolwer. Gdyby go miał ze sobą, może udałoby mu się zatrzymać tego faceta. A tak wszystko wskazywało na to, że ten opowie mu historię do końca i sobie pójdzie. Ależ Fischer by się zdziwił, gdyby mu go przyprowadził. Olkiewicz, słuchając tej opowieści, choć nie można było o nim powiedzieć, że jest wulkanem intelektu, połączył ze sobą wszystkie dane i wyszło mu w ostatecznym rozrachunku, że skoro to jest facet, który był w warsztacie jego wuja w nocy, kiedy ten został zabity, to znaczy że jest tym człowiekiem, który udusił swoją kobietę, a potem pchnął nożem śledzącego go kochanka wuja. Czyli był tym samym bolszewickim agentem, na którego polowali dzisiejszej nocy we wsi Rataje.

– Mały, znaczy się kto? – zapytał Olkiewicz.

– Musisz go znać. Mały to jest twój znajomy...

Godzina 10.40 przed południem

Kapitan Jażdżewski wpadł do biura komisarza Fischera jak huragan. Nie zapukał nawet, tylko otworzywszy drzwi, stanął w nich z dłonią uniesioną w górę. Trzymał w niej jakąś zwiniętą w rulon kartkę. Pomachał nią, a potem wymierzył rulonem w kierunku siedzącego za biurkiem policjanta.

– Jest, znalazłem wszystko! – zawołał niezwykle zadowolony.

– Co pan znalazł? – zapytał Fischer, który co prawda poprosił telefonicznie Jażdżewskiego o pomoc w ustaleniu pewnych szczegółów dotyczących służby tych zabitych mężczyzn, ale nie wydawało mu się to aż tak pilnym zadaniem, by zmuszać znajomego oficera wywiadu do podejmowania natychmiastowych działań. Ten jednak najwyraźniej prośbę zrozumiał opacznie i natychmiast zabrał się do roboty.

– Co prawda 61 Pułk Piechoty stacjonuje od powojnia w Bydgoszczy, ale to, co dotyczy jego przedwojennych i wojennych kwestii, jest jeszcze u nas. A tak w ogóle skąd pan wiedział, że to chodzi właśnie o ten pułk?

Fischer uśmiechnął się pod nosem. Niekiedy człowiek zapamiętuje takie szczegóły, które nie wiadomo dlaczego zostają w głowie. On usłyszał podczas pierwszej rozmowy z Olkiewiczem, gdy ten meldował się u niego na służbę, że jego zamordowany wuj służył w wojsku podczas wojny bolszewickiej. Pokazał mu nawet nieśmiertelnik, który posterunkowy Wróbel znalazł na miejscu zbrodni. Wtedy Fischer wziął go do ręki i otworzywszy szufladkę, ze zdziwieniem zauważył, że zamiast karteczki z nazwiskiem na blaszce starannie wyryte było imię i nazwisko wuja, a także coś jeszcze. „61 pp” oznaczało, że był on żołnierzem 61 Pułku Piechoty. Więc gdy zadzwonił do Jażdżewskiego, pomyślał, że warto podać mu informację o pułku, żeby ten nie musiał przeszukiwać spisu wszystkich wielkopolskich jednostek skierowanych na front.

– Widziałem nieśmiertelnik jednego z tych ludzi.

– No tak, wpisywali tam numery swoich jednostek prócz nazwiska, ma się rozumieć. No, ale to nie jest najważniejsze, drogi panie Antoni.

– Fischer wskazał żołnierzowi miejsce przy stole. Sam wyciągnął z szuflady kapciuch z tytoniem i fajką, po czym podszedł również do stołu. Jażdżewski tymczasem rozwinął rulon i rozłożył na blacie.

– Mamy dwa rodzaje spisów, alfabetyczny i służbowy. W alfabetycznym znalazłem ich bez problemów. Widniały tam wszystkie cztery nazwiska, które mi pan podał.

– Więc jednak przeczucie mnie nie myliło względem tego Pytla.

– Tak jest, nie pomylił się pan. Powiedziałbym nawet, że to strzał w dziesiątkę. Tyle że nie do końca.

– Jak to? – Fischer się zdziwił. Jażdżewski tymczasem sięgnął po papierosa i zaraz go przypalił. Zapalenie fajki zajęło komisarzowi nieco dłużej. Gdy wreszcie policjant wypuścił nosem pierwszy kłęb dymu, Jażdżewski podjął przerwany wątek.

– Jak powiedziałem, mamy dwa rodzaje spisów. W alfabetycznym ich znalazłem, w służbowym, informującym o przydziałach do poszczególnych kompani, plutonów i drużyn, odnalazłem ich w jednej drużynie. I w tym

szczegółowym spisie znalazłem informację na temat tego właśnie Pytla. Okazuje się, panie komisarzu, że ów człowiek poległ podczas odwrotu spod Kijowa. No więc zacząłem szukać jeszcze głębiej w raportach pułkowych z tego okresu. I proszę sobie wyobrazić, że znalazłem odręczny raport kaprała Kaczmarkiewicza dotyczący szczegółów odwrotu jego przetrzebionej drużyny. Kaczmarkiewicz opisuje okoliczności śmierci swojego podkomendnego Pytla Mariana w chutorze Staryj Hutor. Pytel zginął na jego oczach, osłaniając ucieczkę pozostałych czterech kolegów.

– To by znaczyło tyle, panie majorze, że albo Kaczmarkiewicz się pomylił i Pytel w jakiś cudowny sposób przeżył, albo mamy tu kogoś, kto posługuje się nazwiskiem Pytla.

– Dokładnie tak samo pomyślałem. A panu jak się wydaje, jak jest w rzeczywistości?

Fischer zaciągnął się dymem i przez chwilę w milczeniu analizował informacje, których dostarczył mu oficer wywiadu.

– Jeśli wierzyć raportowi Kaczmarkiewicza to raczej na pewno Pytel zginął. Mamy tu jednak niby-Pytla, bolszewickiego agenta. Gdybyśmy mogli porównać jego zdjęcie z wojskowej książeczki z tym, które znaleźliśmy w mieszkaniu, gdzie się zamelinował, to mielibyśmy pewność.

– Ale nie mamy wojskowej fotografii – wszedł mu w słowo Jażdżewski. – Wtedy nikt nie robił tak dokładnej dokumentacji żołnierzy, jak to się dzieje dzisiaj.

– W tej sytuacji nie będziemy mieć pewności, dopóki go nie złapiemy. Jak już go będziemy mieli, to tak naprawdę będzie to sprawa drugorzędna, czy to nasz prawdziwy, cudem uratowany Pytel, czy też człowiek podstawiony na jego miejsce przez bolszewików. Jednak jeśli bolszewicy go podstawili, to zaczyna mi się na horyzoncie pojawiać motyw tych zabójstw.

– Jaki motyw?

– Fałszywy Pytel mógł chcieć usunąć tych wszystkich, którzy znali z wojska prawdziwego Pytla.

– Pod warunkiem oczywiście, że obawiałby się dekonspiracji. Ale obawiać by się mógł, gdyby podając się za Pytla, miał styczność ze swoimi dawnymi towarzyszami broni, a to raczej mało prawdopodobne. Przecież Pytel bolszewik poruszał się w zupełnie innych rejonach niż zamordowani.

– Nie do końca, panie majorze. Mógł się przecież zetknąć z naszym nieodżałowanym narodowcem doktorem Dąbrowskim. W końcu to Dąbrowski wraz ze swoim bolszewickim kumplem, zegarmistrzem Latałą, przygotowywał zamach, w którym miał uczestniczyć Pytel. Trzeba więc będzie zapytać tego Latałę, czy Pytel i Dąbrowski wiedzieli nawzajem o swoim istnieniu. Możemy to zresztą zaraz sprawdzić. Poślemy na dół naszego specjalistę od przesłuchań, przodownika Okonia.

Komisarz wstał z krzesła, podszedł do biurka i sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Przyślijcie mi tu Okonia! – polecił dyżurnemu i zaraz wrócił do stolika.

Minutę później podoficer meldował się w pokoju.

Fischer szybko wyjaśnił mu, w czym rzecz. Okoń obojętnie pokiwał głową.

Wiedział bowiem, że za chwilę przyniesie wszystkie potrzebne informacje. Już raz złamał Latałę, dlatego i teraz nie przewidywał z tym większych trudności. Bolszewik powie mu wszystko, o co tylko go zapyta.

– Tak jest, panie komisarzu. Zaraz się za niego zabiorę. Ino o co mam ja jego pytać?

– Zapytaj, czy ten jego kumpel Pytel widział się kiedykolwiek z doktorem Dąbrowskim.

– Z Dąbrowskim – powtórzył Okoń, by na pewno zapamiętać nazwisko.

– Zresztą, wiesz co, weź mi tę kartkę i zapytaj go jeszcze, czy jemu cokolwiek mówią te nazwiska.

Podniósł ze stołu kartkę Jażdżewskiego. – Można, kapitanie?

– Ależ oczywiście. – Wojskowy pokiwał głową.

Przodownik wziął ją do ręki i zaczął czytać krótką listę nazwisk.

– Kaczmarkiewicz to wuja Olkiewicza – zauważył natychmiast.

– No tak – potwierdził Fischer. – To są nazwiska ludzi, którzy razem z Kaczmarkiewiczem służyli w jednej drużynie.

– Dokładniej to ci wszyscy, którzy przeżyli odwrót spod Kijowa – poprawił go Jażdżewski – i którzy według raportu kaprala Kaczmarkiewicza byli świadkami śmierci swojego kolegi Pytla.

– Do jasnej cholery, a ten co tu robi? – zdziwił się Okoń.

– Kto? – Fischer spojrzał na niego zdziwiony.

– No ten – Okoń położył kartkę przed komisarzem i wskazał palcem ostatnie nazwisko z listy. Fischer odczytał je głośno, a potem zaklął pod nosem. Nagle wszystko zrozumiał i zdziwił się, że rozwiązanie było tak oczywiste, można by nawet powiedzieć, na wyciągnięcie ręki.

Godzina 10.50 przed południem

– Można by nawet powiedzieć, że twój dobry znajomy – odezwał się ktoś z tyłu. Olkiewicz natychmiast spojrzał w tamtym kierunku. W drzwiach prowadzących do salonu stał posterunkowy Szczepan Wróbel z lugerem w dłoni. Pytel zadrzał, gdy usłyszał ten głos. Nie wykonał jednak najmniejszego ruchu. Dłonie nadal trzymał na blacie stołu. Rewolwer leżał dokładnie przed nim. Nie wiedział, czy tamten nie mierzy mu prosto w czaszkę, więc wołał na razie nie ryzykować.

– Szczepan, a ty żeś skąd się tu wziął? – Olkiewicz najwyraźniej był zaskoczony.

– Zobaczyłem, że furтка w bramie jest otwarta, tom se pomyślał, że albo złodziej tu wlaźł, albo ty, to i ja wlaźłem. No i się okazuje, że nie złodziej, ale morderca przyszedł w odwiedzin. A ty wiesz, że morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni?

– Tak? Nie wiedziałem.

– No to teraz już wiesz – stwierdził zadowolony Wróbel i ruszył w głąb pokoju.

Gdy doszedł do stołu, przystanął. Popatrzył najpierw na Pytla, potem na

leżący przed nim rewolwer, a na koniec na karafkę z wódką.

– Popijacie sobie, jak dobrzy koledzy. Może i mnie dacie się napić?

– Czemu nie. – Olkiewicz wstał i poszedł do kredensu po trzeci kieliszek. Po chwili wrócił i natychmiast rozlał wódkę.

– No to co, za spotkanie wypijemy? – zaproponował posterunkowy.

– Może za dusze naszych kolegów? – odpowiedział mu Pytel.

– Czemu nie? Może być za kolegów. – Wróbel uśmiechnął się zadowolony. Podniósł kieliszek lewą ręką, cały czas w prawej trzymając pistolet. Ani przez sekundę nie spuszczał wzroku z Pytla. Ten spokojnie wypił i postawił swój kieliszek na blacie. Policjant też opróżnił swój. Tylko Olkiewicz się wyłamał. Jego szkło stało cały czas na stole.

– To co, opowiedziałeś swoją historyjkę temu tu Olkiewiczowi? – zapytał Wróbel Pytla.

– Oczywiście, że mu powiedziałem. Wszystko mu powiedziałem.

– A ty, Anastazy, mu uwierzyłeś?

– No wiesz, co mam nie wierzyć... Opowiedział wszystko bardzo, że tak powiem, dokładnie.

– I powiedział ci, kto zabił tych wszystkich ludzi?

– Właśnie miał gadać, jak żeś tu wszedł, znaczy się nie powiedział.

– No to powiedz mu w końcu – ponaglił Pytla – Bo Anastazy, mój stary kumpel, umrze z ciekawości.

– Tak zaraz to się nie umiera... – Olkiewicz spróbował zażartować, ale jakoś nikomu nie było do śmiechu.

– No dalej, gadaj! – Posterunkowy machnął pistoletem.

– Jak tam sobie chcesz. Tym, który zabił ich wszystkich, jest ten tu Szczepan Wróbel, na którego w wojsku wołali Mały.

Wróbel roześmiał się głośno, widząc zdumioną minę Olkiewicza.

– Chyba nie uwierzyłeś temu bandycie, co, Anastazy?

Olkiewicz wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, czy ten człowiek opowiedział mu wszystko zgodnie z prawdą. W końcu to był jakiś obcy facet i do tego jeszcze bolszewik, a Wróbel był swój, znany mu od zawsze. I co, ten Wróbel miałby mu zabić wuja? To się jakoś nie trzymało kupy. Może i opowieść była przekonująca, ale wątpliwości pojawiły się w momencie, kiedy pojawił się tu Wróbel...

– Nie wiesz, jak było naprawdę? To ja ci teraz powiem. Prawda była taka, że ten tu Pytel zdezerterował do bolszewików i teraz się po latach pojawił w Poznaniu, bo jest bolszewickim szpiegiem. A jak już się tu pojawił, to postanowił wszystkich starych kolegów, co razem z nim uciekali spod Kijowa, wytłuc, żeby go który nie zdradził. Wszystko przez to, że kolega Dąbrowski go zobaczył w mieście i go rozpoznał. No to on się wystraszył, że jest spalony, i dawaj zabijać po kolei wszystkich. Zastrzelił trzech, a następny miałem być ja. Ale mu się nie udało, bo wiedziałem, że prędzej czy później się na niego natknę. I oto, proszę bardzo, dziś moje modlitwy zostały wysłuchane. Morderca i bolszewicka świnia siedzi sobie przede mną i się głupio uśmiecha.

– Zaraz, zaraz, to kto w końcu ich zabił? – Olkiewicz miał mętlik w głowie. Wróbel spojrział na niego z politowaniem.

– Pomyśl przez chwilę, Anastazy. Przecież sprawa jest prosta. Bolszewicki sukinsyn boi się, że go mogą zdemaskować jego dawni koledzy z oddziału, z którego zdezerterował i...

– Zostawiliście mnie rannego – przerwał mu ostro Pytel.

– A co, może mieliśmy pod ostrzałem ryzykować życie i wracać po ciebie? Za nic się nie dało.

– Ważniejsze było złoto, żeby przeżyć i po nie wrócić.

– Jakie złoto? O co się rozchodzi? – Anastazy natychmiast się zainteresował.

– O to złoto, które żeśmy znaleźli podczas ucieczki spod Kijowa, co ci o nim już mówiłem. Widać Dąbrowski z Małym próbowali to wszystko przejąć tylko dla siebie. Dość że ci dwaj postanowili pozbyć się swoich kolegów i zabili ich wtedy, gdy pojawiłem się ja. Wymyślili zapewne, że skoro w cudowny sposób wróciłem, będzie na kogo zrzucić podejrzenie o morderstwa.

– To już teraz nieważne – burknął Wróbel.

– Czy on gada prawdę o tym złocie i tym Dąbrowskim? – zapytał Olkiewicz, któremu wszystko powoli zaczynało układać się w głowie.

– Pieprzy trzy po trzy. Ze strachu mu się we łbie pomieszało – zaprzeczył gwałtownie Wróbel.

– Nie mogę tylko zrozumieć – Pytel spojrział mu prosto w oczy – po co żeś ty, Mały, zabił Dąbrowskiego, skoro żeście wszystko we dwóch obmyślili...

– Lepiej mieć wszystko niż pół wszystkiego – stwierdził Anastazy, dla którego ta motywacja była całkiem naturalna.

– Jesteś zwykłym śmieciem, Mały – warknął Pytel.

– Jak ja jestem śmieciem, to ty kim jesteś?

– Twoim przeznaczeniem...

Nim Wróbel zdążył pojąć sens twych słów, bolszewik błyskawicznie stoczył się z krzesła na podłogę, zabierając z blatu swój rewolwer. Wróbel posłał w miejsce, w którym powinien być przeciwnik, dwie kule, ale popełnił błąd, bo strzelał sponad blatu stołu, nie widząc dokładnie celu. Tymczasem Pytel mógł z całym spokojem wymierzyć. Wystrzelił w kierunku policjanta dwa razy. Jego kule nie chybiły celu. Obie wbiły się w podbrzusze. Wróbel runął wraz z krzesłem do tyłu. Jego dawny kolega z wojska wstał i obszedł stół. Podeszedł do leżącego i kopniakiem wytrącił mu naganta z dłoni.

– No i już po tobie, ścierwo – powiedział cicho, nie na tyle jednak, by policjant nie mógł tego usłyszeć.

– Anastazy! – jęknął Wróbel. – Anastazy, ratuj. On mnie zabije...

Olkiewicz wielkimi oczyma patrzył na to wszystko, ale nie miał ochoty nic zrobić dla starego kolegi. Tym bardziej, że nie wiedział, co miałby zrobić. Sięgnął więc po karafkę i nalał wódki tylko do dwóch kieliszków. Zorientował się bowiem, że trzeci napełniłby zupełnie niepotrzebnie.

– Nikt ci już nie pomoże, gnoju.

– Litości, nie zabijaj mnie...

- A oni? Nasi koledzy, to co z nimi? Oni też błagali cię o litość?
- Możesz sobie zabrać cały skarb, ino mnie nie zabijaj.
- Ty, Mały, już nie żyjesz – warknął i pociągnął za spust.

Trzecia kula która wyleciała z lufy rewolweru Pytla wbiła się w sam środek czoła Wróbla.

Zabójca przez moment stał, patrząc w milczeniu na swoje dzieło, a po chwili podszedł do stołu i sięgnął po swój kieliszek. Jego krawędzią stuknął w kielich Olkiewicza.

- No i po sprawie. Teraz już wiesz, jak było naprawdę. - Wypił i odstawił naczynie na blat stołu.

- Wiem - potwierdził Olkiewicz.

Pytel podniósł z podłogi pistolet należący do Wróbla, otworzył magazynek i wysypał z niego na dłoń pozostałe kule, po czym schował je do kieszeni, a broń odłożył na stół.

- A tu masz narzędzie zbrodni, gdyby policja miała jakieś wątpliwości. Tą zabawką zabito wszystkich trzech...

- Wiesz, że i tak będziemy cię ścigać?

- Taka wasza psia rola. Ale przynajmniej nie za to, czego nie zrobiłem - stwierdził Pytel i wyszedł z pokoju, pozostawiając w nim Olkiewicza wraz z trupem posterunkowego. Anastazy siedział przez chwilę, wpatrując się w korytarzyk, a potem sięgnął po kieliszek. Teraz mógł się spokojnie napić wódki.

Piątek, 3 grudnia 1926

Godzina 2.10 po południu

Jako że był piątek, komisarz Antoni Fischer, specjalnie się nie zastanawiając, zamówił rybę. Kelner ukłonił się, przyjąwszy zamówienie, i ruszył na zaplecze je realizować. Po chwili wrócił z kuflem grodzisza i kieliszkiem wódki à la Sołtyga, czyli czystej zmieszanej z odrobiną czerwonego półsłodkiego wina i zaprawioną kwaskiem cytrynowym. Była to specjalność zakładu, czyli produkt własny właściciela lokalu i destylatora w jednej osobie. Restauracja U Sołtygi mieściła się dosłownie o dwa kroki od komendy policji, przy zbiegu Ratajczaka i placu Wolności, więc Fischer bywał tu częstym gościem. Szczególnie w dni takie jak ten dzisiejszy, gdy na dworze było chłodno, wietrznie i niezbyt przyjemnie. Przy takiej pogodzie nie miał najmniejszej ochoty na spacerowanie po mieście. Chciał tylko dobrze zjeść, wrócić do swojego biura i znów zagłębić się w aktach sprawy tajemniczego zniknięcia córki pewnego powszechnie znanego, podpoznańskiego ziemianina. Dziewczyna pojechała powozem do Poznania wraz z panią towarzyszącą na przedstawienie operowe i, jak się okazało po pierwszym antrakcie, nie wróciła już do swojej łóży. Co ciekawe, nikt nie miał pojęcia, co się z nią stało, mimo że przesłuchano już w tej sprawie większość

pracowników Opery, którzy zaklinali się, że w trakcie spektaklu nikt teatru nie opuścił, za wyjątkiem pewnego oficera, który nagle źle się poczuł i musiał natychmiast zaczerpnąć świeżego powietrza.

Zniknięcie to wyglądało rzeczywiście dość dziwnie, a sprawa miała charakter priorytetowy, gdyż ojciec panny miał specjalne względy u samego komendanta wojewódzkiego, który to nadał sprawie najwyższą rangę. Fischer zlecił ją natychmiast Oskierce, żeby ten mógł się nieco wykazać podczas szukania śladów. I aspirant wykazał się – od poprzedniej soboty przesłuchiwał wszystkich pracowników Opery, którzy tego wieczora pełnili dyżur w foyer, ale także osoby z towarzystwa, które zasiadały w sąsiednich łóżach. Wszystko to pięknie zapisał w protokołach, a teraz nad tymi papierami musiał siedzieć Fischer. Dlatego z ulgą stwierdziwszy, że dochodzi druga po południu, założył palto, szal i kapelusz i poszedł do Sołtygi.

O tej porze w restauracji było sporo ludzi i ci, którzy chcieli tu spożyć posiłek, musieli zamawiać stolik telefonicznie. Fischer nie musiał. Jako wyższy oficer policji korzystał z przywileju, jakim był specjalny stolik dla ważnych gości. Stolik ten miał pewną zaletę. Był nieco schowany we wnęce tuż przy oknie wychodzącym na budynek Esplanady przy placu Wolności, więc z obszernej sali był prawie niewidoczny. Dzięki temu można tu było spokojnie zjeść obiad, nie narażając się na ciekawskie spojrzenia innych gości, albo nie daj Boże na niechciane towarzystwo osób, które miałyby ochotę na dosiadanie się.

Podczas obiadu Fischer lubił skupić się na własnych myślach, a nie na próżnym gadaniu, dlatego unikał towarzystwa. Dziś był przekonany, że dane mu będzie w spokoju delektować się szczupakiem podanym z ziemniakami z wody i surówką z kiszzonej kapusty, marchwi i jabłek. Wiedział, że na taki specjał będzie musiał trochę poczekać, dlatego już zmierzając do stolika, zdjął z wieszaka drewniany uchwyt do gazety, nie sprawdzwszy nawet, którą z gazet wybrał. Tak naprawdę było mu to obojętne. Czytał na co dzień i „Kurier Poznański” o zabarwieniu narodowym, jak i „Dziennik Poznański”, który sprzyjał sanacji. Dopiero porównanie obu narracji pozwalało mu na wyrobienie własnego poglądu na rzeczywistość.

Spojrzał na tytuł. Okazało się że tym razem, czekając na rybę, przekona się, co w sanacyjnej trawie piszczy.

– Już pan czytał? – Kapitan Jażdżewski ubrany po cywilnemu stał przy jego stoliku uśmiechnięty od ucha do ucha i jednocześnie wskazywał palcem w płachtę gazety. – Aleśmy im dali w kość! A tego redaktora to trzeba by odznaczyć krzyżem za zasługi!

Uradowany kapitan usiadł naprzeciwko, nawet nie zapytawszy Fischera o zgodę. Widać było, że nawet o tym nie pomyślał, tak był uradowany tym, co wyczytał w gazecie.

Dopiero teraz Fischer spojrzał na wielki tytuł lewej kolumny: *Narodowcy zwierają szeregi*.

– Jeszcze nie czytałem – rzucił obojętnym tonem, choć podskórnie już wyczuł, w czym rzecz. Zupełnie zapomniał o tej swojej rozmowie z redaktorem

Tomczakiem. Redaktor jednak nie zapomniał, że czwartego grudnia ma się odbyć w Poznaniu zjazd założycielski tej nowej organizacji narodowców...

– To czytaj pan, bo to przecie wielka nasza wiktoria, jak pod Kircholmem, jak pod Rokitną!

– Wyrzuciliśmy bolszewików z Kijowa? – zadrwił policjant.

– No co też pan gada, panie Antoni? Myśmy im zagrali na nosie pięknie, tak pięknie, że piękniej już się nie da. W przeddzień tego ich zjazdu założycielskiego redaktor Tomczak publikuje artykuł, w którym ujawnia ich manifest założycielski. To przecie tak, jakby im ktoś prosto w mordę wyrznął. Już widzę, co tam się u nich, tych narodowców, musi teraz dziać. Pewnie już rusza śledztwo, kto wyniósł od nich te papiery. Swoją drogą trzeba będzie z redaktorem pogadać, bo oni jemu nie darują. Może trzeba go gdzieś ukryć...

– Nie przesadza pan? – Policjant spróbował zbagatelizować całą sprawę. Dając Tomczakowi dostęp do memoriału, wiedział, że publikacja w przeddzień zjazdu wywoła burzę, ale żeby miało to zagrażać bezpieczeństwo żurnalisty?

– A co pan myślisz? Oni jemu tego nie darują. Proszę spojrzeć, co oni tu piszą w tym memoriale. Przecież to ich program, który ujawniają ich zdeklarowani przeciwnicy. No i co oni tu piszą? Proszę bardzo: *Obóz Wielkiej Polski jest organizacją świadomych sił narodu, mających za zadanie uczynić go zdolnym do silnego ujęcia w swe ręce spraw swoich, sprawić, ażeby stał się on w pełnym tego słowa znaczeniu panem swoich losów* – tak jakbyśmy my tego wcześniej nie zrobili. To znaczy, że oni najwyraźniej chcą nas odsunąć od władzy. O, i proszę dalej, jakie mają cele, nie oni sami dla siebie, ale mają cele dla całego narodu: *Celem naszego narodu, w pojęciu Obozu Wielkiej Polski, jest stać się narodem wielkim, zarówno w życiu wewnętrznym państwa, jak w stosunkach międzynarodowych. Wielkim jest naród, który wysoko nosi sztandar swej wiary, swej cywilizacji i swej państwowości. Działalność Obozu zmierza do tego, ażeby Polacy sami czcili i nakazywali innym cześć dla swej wiary, dla cywilizacji polskiej i dla państwa polskiego.* – Rozumie pan, panie komisarzu, mamy sami czcić i nakazywać jeszcze innym. A w jaki sposób, ja się pytam, nakazywać? Jak ktoś nie czci, to może od razu go najechać i zmusić, żeby czcił? A tu jeszcze lepiej, panie szanowny, oni też o religii będą decydować, jak dojdą do władzy. Słuchaj pan: *Wiara narodu polskiego, religia rzymskokatolicka, musi zajmować stanowisko religii panującej, ściśle związanej z państwem i jego życiem, oraz stanowić podstawę wychowania młodych pokoleń. Przy zapewnionej ustawami państwowymi wolności sumienia – zorganizowany naród nie może tolerować, ażeby jego wiara była przedmiotem ataków lub doznała obrazy z czyjejkolwiek strony, ażeby religią frymarczono dla jakichkolwiek celów lub prowadzono zorganizowane akcje w celu rozkładu życia religijnego narodu...* – A co z prawosławnymi, co z protestantami? To już ich wiara się nie liczy, bo katolicka religia jest jedynie słuszna? I co pan na to wszystko powiesz?

Fischer wzruszył ramionami. Bo i co miał powiedzieć. Znał już ten memoriał od dawna i nie robił na nim żadnego wrażenia.

– Żeby to wszystko wprowadzić, panie kapitanie, najpierw oni muszą dojść do

władzy.

Jażdżewski uśmiechnął się zadowolony.

– No prawda, na to się na razie nie zanosi. Jak tak dalej pójdzie, to i za sto lat im się nie uda, bo poparcia to w narodzie wielkiego nie mają. No, ale uważać trzeba, więc dobrze że ten redaktor opublikował ten ich manifest. Trzeba z nim pogadać, pogratulować. Trzeba jednak mieć jaja, żeby się tak zachować i upowszechnić to ich pismo tuż przed zjazdem.

Fischer uśmiechnął się pod wąsem. Był z siebie zadowolony, jednak nie zamierzał zdradzać Jażdżewskiemu, kto stał za tą publikacją. Niech tam cała chwała spłynie na Tomczaka.

– A pan nic nie zamawia? – zapytał, gdy kelner postawił przed nim wielki talerz z aromatycznie pachnącym szczupakiem. Jażdżewski spojrzał na rybę, a potem na kelnera.

– Czy ja mam głowę do jedzenia dzisiaj? A zresztą, daj pan schabowego z kapustą i piwo.

– Już się robi, panie kapitanie. – Kelner ukłonił się i zniknął, a Jażdżewski nawet nie zwrócił uwagi na fakt, że mimo swojego cywilnego wyglądu i tak został rozpoznany przez obsługę lokalu.

– A jak tam wizyta marszałka? – przypomniał sobie Fischer. Jakoś ostatnio kwestia wizyty, która miałyby odbyć się już niebawem, bo dwudziestego siódmego grudnia w rocznicę wybuchu powstania wielkopolskiego, dziwnie przycichła.

– Jak to, nic pan nie wiesz?

– Że niby co?

– No jak? Wizyta odwołana.

– Przestraszył się zamachu? Przecie niebezpieczeństwa nie ma. Nikt się na niego nie szykuje, poza jakimiś babciami z parasolkami w dłoni.

– Nie, to nie tak. – Jażdżewski szybko pokręcił głową. – To przez ten list.

– Jaki list? Nic nie wiem o żadnym liście.

– List poszedł z Poznania do marszałka. Napisany przez rektora Uniwersytetu Poznańskiego, w którym było oficjalne zaproszenie. No i marszałek, jak dostał ten list na biurko, to mało go cholera nie trafiła. Tak mi powiadali koledzy, że zrobił się czerwony jak burak, a list podarł na drobne kawałki i do ognia rzucił.

– Ciekawe, co tam w tym liście było. Ale jak podarł i spalił, to pewnie się nigdy nie dowiemy.

Jażdżewski uśmiechnął się, a potem przybliżywszy się, wyjaśnił konfidencyjnym szeptem:

– Listy, te oficjalne do marszałka, są najpierw otwierane w jego sekretariacie. No i ten też był otwarty i przeczytany. Mówi się więc, że rektor w adresie napisał do marszałka i jaśnie oświeconego dyktatora Rzeczypospolitej...

Przez chwilę Fischer patrzył z niedowierzaniem na Jażdżewskiego, ale jego mina mówiła sama za siebie. Żołnierz był wstrząśnięty zachowaniem poznańskiego profesora. I dlatego komisarz nie wytrzymał. Najpierw zaśmiał się lekko, ale za nic nie potrafił się powstrzymać, więc po chwili jego tubalny

śmiech rozniósł się po sali. Pozostali goście odwrócili się w kierunku, z którego ów śmiech wypływał, ale stół był tak ustawiony we wnęce, że nikogo nie dało się dostrzec.

Epilog

Środa, 16 marca

Godzina 3.15 po południu

Tolek Grubiński spojrzął na swój piękny kieszonkowy zegarek Omega. Spoglądał na niego wcale nie dlatego, że chciał sprawdzić, która jest godzina. Czas nie był dla niego tak ważny jak sam zegarek, któremu lubił się przypatrywać, gdy tylko nadarzała się ku temu okazja. A ta zawsze przychodziła, gdy nie miał nic do roboty i nudził się tak jak teraz. W tej chwili czekał na wiadomości, których miał mu dostarczyć najmłodszy z braci Kaźmierczaków, Krystek.

Siedział w barze U Okonia przy Mostowej i powoli, niewielkimi łykami popijał piwo jasne pełne z browaru Huggera, mlaskając przy tym z zadowoleniem. Od czasu, gdy wyszedł ze szpitala, niewiele pił. Cały czas czuł się jeszcze zbyt słaby na prawdziwe hulanki, stąd radość picia piwa dawkował sobie w iście aptekarski sposób.

Połatany i wykurowany opuścił szpital wojskowy przy Libelta dopiero w marcu. Lekarze mówili mu, że mało brakowało, a poszedłby boso na spotkanie ze świętym Piotrem. Ale jakoś udało mu się tym razem wywinąć. Widać miał szczęście w życiu, o czym świadczył choćby fakt, że nim i braćmi Kaźmierczakami postrzelanymi na Ratajach zajęto się w sposób szczególny. Przede wszystkim najwięcej w tej kwestii zawdzięczał Olkiewiczowi. To on tej feralnej nocy kazał Krystkowi, który siedział na koźle, jechać nie do miejskiego, a wojskowego szpitala. Tam wraz z Okoniem wytłumaczyli lekarzowi, który był akurat na dyżurze, że tych trzech postrzelanych trzeba przyjąć, bo mimo że są ubrani po cywilnemu, to tak naprawdę są żołnierzami pracującymi dla Dwójki. Doktor, usłyszawszy, że ma do czynienia z ludźmi z kontrwywiadu, natychmiast postawił na nogi szpital. Błyskawicznie przygotowano salę operacyjną i do rana trzech złodzieje, starannie pozszywani, leżeli już w białej pościeli.

Dopiero następnego dnia Okoniowi, za wstawiennictwem Fischera, udało się sprowadzić do szpitala kapitana Jażdżewskiego, który oficjalnie potwierdził, że ranni są jego ludźmi. Co prawda Kaźmierczaków nie znał osobiście, ale Tolek Grubiński pomógł mu już kilkakrotnie w pewnych tajnych operacjach, których przeprowadzenie wymagało posłużenia się niekonwencjonalnymi metodami i szczególnymi umiejętnościami, więc uznał, że skoro to jego ludzie, to trzeba im

pomóc. Potraktowano ich więc jak prawdziwych obrońców ojczyzny, którym należy się najlepsza opieka.

Gdy w końcu Tolek doszedł jako tako do siebie, chciał jak najszybciej opuścić szpital, bo martwił się tym, jak radzi sobie jego rodzina. Zmartwienia okazały się zupełnie niepotrzebne. Kryśka wyjaśniła mu, że co tydzień dostaje pieniądze na życie od Olkiewicza i on ma myśleć tylko o swoim zdrowiu, a ona już sobie jakoś poradzi, czekając na niego w domu. No więc nie miał innego wyjścia, musiał spokojnie się kurować, tym bardziej że doktor Tchórzewski zapowiedział mu, że najwcześniej wyjdzie ze szpitala na wiosnę. Wkrótce po Nowym Roku szpital opuścił Leon Kaźmierczak, a na początku lutego wypuścili Walka. Tolkowi pozwolono wreszcie iść do domu w ubiegłą sobotę.

Gdy jego najbliżsi współpracownicy Kaźmierczakowie dowiedzieli się o tym, natychmiast przyszedli powitać go w mieszkaniu, ale Kryśka pozwoliła im tylko zostać chwilę i przegnała ich z domu. Tym bardziej że przyszli z flaszkami wódki i piwa w rękach, a lekarz powiedział jej wyraźnie, że alkoholu na razie Tolek brać do gęby nie powinien. On też wziął to sobie do serca i dlatego teraz, siedząc w barze, pił powoli i z umiarem jak nigdy dotąd.

Anastazy Olkiewicz wkroczył do knajpy i przystanąwszy, rozejrzał się wokół. Od razu dostrzegł siedzącego samotnie przy stoliku Tolka. Machnął na barmana Feliksiaka, a ten natychmiast skinął głową, bo dobrze wiedział, czego klient od niego oczekuje.

– Już się robi, panie radco szanowny – zawołał do Anastazego, który nie miał dziś służby, więc dlatego do baru przyszedł ubrany po cywilnemu. Po chwili postawił przed nim setkę wódki i kufel piwa.

– A dla szanownego pana magistra to jeszcze jedno piwko podać?

Tolek spojrzał na swój kufel, w którym widać już było dno. Nie powinien pić za dużo, no, ale dwa piwa to przecież nie było jakieś wielkie picie. Zwykle przepłukanie gardła.

– No, niech będzie. Z kolegą przecie trzeba się napić.

Feliksiak pobiegł za bar, by napełnić kufel, i wrócił do stołu, nim Olkiewicz zdążył powiesić na wieszaku swój kapelusz i płaszcz.

– I jak tam zdrowie? – zagadnął Anastazy, rozsiadając się na krześle.

– Dzięki tobie całkiem nieźle.

– Co ja mam wspólnego z twoim zdrowiem? Sam żeś się wylizał. Lekarzom dziękuj.

– Już dziękowałem doktorowi Tchórzewskiemu

– To nasz łapiduch, znaczy z mojego pułku. Wuchta wiary ino dzięki niemu żyje.

– Tobie muszę podziękować, żeś mnie i chłopaków tam zawiózł, no a potem za to, żeście z nas zrobili agentów wojskowych.

Anastazy się uśmiechnął i sięgnął po kufel. Pociągnął solidny łyk i odstawił kufel na blat stołu.

– Jako agentura macie już swoje kartoteki, tak przynajmniej powiedział Jażdżewski, a to się oznacza, że wszystko było legalnie. A z Jażdżewskim ponoć

już żeś współpracował, to ja ci mogę tylko powiedzieć, że Dwójce opłaca się nieraz dopomóc, bo jak widać, oni z tarapatów mogą za uszy wyciągnąć. A w twoim wypadku i przy twojej robocie to się może jeszcze przydać.

Tolek pokiwał głową. Był na tyle sprytny, by dobrze zdawać sobie sprawę, że taka ochrona dla niego jest po prostu bezcenna. Jednak potrzebował jeszcze czegoś. Tej codziennej bliskiej współpracy z policją. Potrzebował kogoś takiego jak Wróbel, czyli policjanta, który zapewniałby mu ochronę podczas skoków.

– Ile my się już znamy, Anastazy?

– Jak ile? Od zawsze się znamy.

– To znaczy się, że wiesz, że ja jestem uczciwy złodziej i każdemu daje, co mu się należy.

– No... wiadomo. – Olkiewicz odpowiedział z pewnym wahaniem, bo był nie mniej cwany jak jego kumpel. Od razu więc wyczuł, że ten będzie czegoś od niego chciał.

– Pomogłeś mojej Kryśce, jak byłem wew szpitalu.

– A ty byś mojej nie pomógł?

– Jak mi ją przedstawisz, to będę wiedział, komu mam pomagać.

– Sam się jej uklonisz. – Olkiewicz klepnął w ramię swojego kumpla. – Za tydzień w naszym kościele ślub będzie.

– Nie wiedziałem! Jak Boga kocham, nie wiedziałem, bracie. Nie, no to trzeba to opić. Panie Feliksiak, dawaj pan małpkę!

– Już się robi, panie inżynierze szanowny! – zawołał barman, który nie zawsze pamiętał, jaki tytuł powinien nosić jego gość, zawsze jednak pilnował, by jakiś mu nadać.

– A w sprawie, o której żeś gadał, to niby o co się rozchodzi? – przypomniał mu Olkiewicz.

– Idzie o to, że ty żeś jest szkieł, a ja złodziej, a my są od zawsze kumple – zaczął mętnie tłumaczyć Tolek. Anastazy jednak już się domyślił.

– Idzie o to, że potrzebujesz mieć w policji kogoś, kto w razie czego da ci trochę czasu, gdy go w robocie będziesz potrzebować.

Grubiński uśmiechnął się zadowolony, bo jaśniej tego nie można było wyłożyć.

– To znaczy, że chcesz mi odpalać działkę ze swojej roboty?

– No właśnie.

– A ty wiesz że to się nazywa, no ta, jak jej tam... korupcja?

– Tak? – Tolek się zdziwił, bo nic o żadnej korupcji dotąd nie słyszał.

– Ja o tym na kursach policyjnych się uczyłem, że jak jaki szkieł bierze bejmy od przestępcy za to, żeby przymknąć oko na jego sprawki, to taki policjant jest sko... mpro... skompromitowany.

– Aha. No i co?

– I ile zamierzasz odpalać?

– Dobry procent od opchniętego towaru.

– Za dobry procent to ja mogę być skompromitowany, ino że wiesz, sztama między nami i nikt nic nie wie.

– No coś ty, Anastazy, czy ty myślisz, że ja jestem glapami futrowany?

Feliksiak postawił ćwiartkę stołowej na blacie i dodatkowo jeden kieliszek, bo Olkiewicz miał już swój. Ukłonił się i odszedł szybko, bo do knajpy właśnie wchodziło czterech marynarzy z rzecznoego kutra. Mieli ze sobą swoje worki i teki, a to oznaczało że po długiej służbie właśnie zeszli na ląd. Skoro więc weszli do knajpy, znaczyło, że chcą po długim poście zjeść i popić, a wszyscy wiedzieli, że tu U Okonia podaje się najlepszą w okolicy kiełbasę polską na ciepło z bigosem.

– A ten, co do nas strzelał... – Tolek próbował przypomnieć sobie jego nazwisko, ale jakoś mu uleciało z głowy.

– Pytel się nazywał. Marian Pytel.

– No właśnie, o niego się rozchodzi. Bo powiadają chłopaki, że gdzieś go ludzie widzieli na mieście. Ponoć na Łazarzu ktoś go widział...

– Może i na Łazarzu go widzieli – stwierdził Anastazy, który miał nieco świeższe informacje o tym człowieku. – Ino że ja jego widziałem w zeszły wtorek.

– Coś takiego!

– Tak jest. Spotkali my się w kostnicy na indentyfikacji.

– A kogo żeście tam indentyfikowali?

– Jak kogo? Onego właśnie. Leżał se na stole nieborak z dziurą w samym środku czoła. Rozpoznali jego przez fotografie poszukiwanych gości. Bo jak trafia jakiś truposz do kostnicy, co jego nikt nie zna, to zaraz sprawdzają te fotografie poszukiwanych i zobaczyli, że jest podobny do tego, co my jego szukali. To mnie wezwali, żebym jego rozpoznał, że niby dobrze go znałem, bośmy się widzieli i gadali ze sobą, no to go rozpoznałem. To był on.

– Nie może być. – Tolek pokręcił głową, ale tak jakoś bez przekonania. Chwycił kufel i zanurzył w nim wąsy, by ukryć uśmiech, który pojawił mu się mimowolnie na ustach. Pomyślał, że jego dwaj kumple, Leon i Walek Kaźmierczakowie, całkowicie już ozdrowieli, skoro udało im się dopaść tego faceta i tak, jak Walek zapowiadał, odpłacić mu za to, co zrobił na Ratajach, dziurą w czole. Sprawili się tak samo dobrze, jak z tym durnym wywiadowcą Pocięchą, co od dawna mieszał im w robocie. Jednego tylko żałował, że zrobili to bez niego. No, ale przecież nie zawsze wszystko się w życiu układa tak, jak byśmy sobie tego życzyli. Ktoś mu kiedyś powiedział, racha wymaga cierpliwości. Że jest jak siedzenie nad rzeką w oczekiwaniu, aż popłyną nią ciała wrogów. Wtedy nie wiedział kompletnie, o co w tym chodzi. Ale teraz nagle to rozumiał. Tyle że nie nad rzeką warto było czekać, ale w barze U Okonia, bo ciepło, sucho i do tego jeszcze piwo pod ręką.

Cerekwica 2017

Posłowie

Jakiś czas temu zadzwonił do mnie mój znakomity kolega z Lublina, autor doskonałych kryminałów, Marcin Wroński, i zadał mi niespodziewane pytanie:

– Słuchaj, Rychu, powiedz mi, czy ten twój Teofil Olkiewicz (bohater moich powieści milicyjnych) to miał jakiegoś ojca? W słuchawce telefonicznej zapadło milczenie. Marcin nie mógł dostrzec, jak marszczę brwi i zagryzam wargi...

– A dlaczego pytasz? – rzuciłem w przestrzeń między Poznaniem a Lublinem, by zyskać na czasie.

– E, bo wiesz, piszę książkę...

– Poważnie? Super!

– No właśnie i ja w tej sprawie.

– Aha, miał – przypomniałem sobie właśnie.

– Co miał? – zapytał Marcin.

– Miał ojca.

– Tak? A to ciekawe. A czym się zajmował ojciec Olkiewicza?

Znów cisza na łączach. Zaskoczył mnie tym pytaniem. Bo skąd ja, do cholery mogę wiedzieć, co robił ojciec Olkiewicza? Jak na razie nic nie robił. Był ojcem i tyle... Chociaż...

– Zaraz, zaraz, w jednej książce Teoś Olkiewicz chwalił się kolegom, że jego tatuś był w powstaniu wielkopolskim, a później w tych słynnych poznańskich pułkach, co rżnęły bolszewików jak barany!

– Coś takiego! – Marcin ucieszył się. – To znaczy, że wyjechał z Poznania na wojnę bolszewicką i mógł po tej wojnie nie od razu wrócić do domu?

– Mógł, jak najbardziej. Ale nie wiem, czy tak było, bo nikt dotąd nie opisał dziejów ojca Olkiewicza. Nawet nie wiadomo, jak miał na imię.

– Anastazy – rzucił kolega.

– Tak? A skąd wiesz?

– Bo ja w swojej nowej książce, co ją właśnie teraz piszę... to mam w niej takiego policjanta, dokładnie przodownika policji, i on ma na imię Anastazy. Fizycznie podobny do twojego Olkiewicza, tak samo jak on głupi, więc chciałem sprawdzić, czy to nie jest czasami jego ojciec.

– Hmm... – zacząłem się głośno zastanawiać.

– A gdzie go znalazłeś?

– Na Zamojszczyźnie, w 1926 roku.

– Aha... No wiesz, ale Teofil urodził się w Poznaniu, na Chwaliszewie, więc jego ojciec nie mógł mieszkać na Zamojszczyźnie.

– No proszę! Mieszkał, ale tylko do czasu. – Kolega był wyraźnie podekscytowany. – Mój Anastazy w jednej z ostatnich scen książki wsiada do pociągu i jedzie do Poznania. Zresztą w przedziale poznaje pewną niezwykle atrakcyjną, trzydziestoletnią starą pannę.

– Jak miała na imię? – zapytałem szybko i serce zaczęło mi bić mocniej.

– Ta stara panna... Poczekaj, zajrzę do notatek.

– Nie miała czasem na imię Klementyna?

– Tak, skąd wiedziałeś?

– Bo tak miała na imię matka Teofila Olkiewicza.

– No to jesteśmy w domu. – Marcin był wyraźnie uradowany. Znalazł rozwiązanie zagadki przodownika Anastazego, który w powieści *Kwestja krwi* mógł wystąpić już nie jako anonimowy policjant. Na koniec wsiadł do pociągu i pojechał...

Nie miałem więc wyjścia. Musiałem sprawdzić, czy szczęśliwie dotarł do Poznania. No i czy przyjechała z nim panna Klementyna...

Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Epilog](#)

[Posłowie](#)